

Paweł Majka
WOJNY PRZESTRZENI



Spis treści

[Prolog](#)

[Część pierwsza - Popękane skorupy](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Część druga - Mojry](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci](#)

[Rozdział trzydziesty czwarty](#)

[Rozdział trzydziesty piąty](#)

[Część trzecia - Szósty](#)

[Rozdział trzydziesty szósty](#)

[Rozdział trzydziesty siódmy](#)

[Rozdział trzydziesty ósmy](#)

[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)

[Rozdział czterdziesty](#)

[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)

[Rozdział czterdziesty drugi](#)

[Rozdział czterdziesty trzeci](#)

[Rozdział czterdziesty i czwarty](#)

[Rozdział czterdziesty piąty](#)

[Rozdział czterdziesty szósty](#)

[Rozdział czterdziesty siódmy](#)

[Rozdział czterdziesty ósmy](#)

[Rozdział czterdziesty dziewiąty](#)

[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy](#)

[Epilog](#)

Paweł Majka

WOJNY
PRZESTRZENI



Wojny przestrzeni Copyright © Paweł Majka

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017

druk ISBN 978-83-7995-089-8

epub ISBN 978-83-7995-090-4

mobi ISBN 978-83-7995-091-1

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski Skład i typografia: Studio Grafpa,
www.grafpa.pl

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl, www.eBook.MadBooks.pl i eBooks4U.pl

*Ale jeśli prawdą jest, że dusze żyją po śmierci
to go jeszcze spotkam. Dlatego zemsty nie koniec.*

Karol Bunsh, Dzikowy Skarb

Prolog

*Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,
orbita Kallisto*

Cała ta historia zaczyna się od pociągu. Tego zgubnego, nieziszczalnego pragnienia, które kazało Adamowi Drygłowi, chorążemu zakontraktowanemu przez Transport Galicyjski, nie odrywać wzroku od obrazu przedstawiającego najpiękniejszą kobietę, jaką widział w krótkim jeszcze życiu. Najpiękniejszą we wszystkich znanych światach, jak uważał.

Patrolowiec OTG „Dorka” zagrał silnikami dziobowymi, by zmniejszyć nieco prędkość, gdy przechodził obok czaszki Tiamat, szczerzącej kły wielkości ośmiotysięczników na tle ciemnej jak zwykle Kallisto, za którą pęczniał dostojnie Jowisz. Kręgosłup smoczyca otaczał księżyc niczym cenny klejnot. Potwór nawet po śmierci pilnował swego. W lodowych kopalniach Kallisto wydobywano fidezynę, która pozostała po śmierci zamordowanego przed dekadami boskiego gada.

W lewym oczodole monumentalnej czaszki Tiamat rozbłysnął wielobarwny komunikat świetlny. To kolonia potomków sekty oddającej bogini cześć dawała znać o swoim istnieniu. Na przywołanie Tiamat zużyto osiem milionów ton pierwiastka cudu: fidezyny, pozyskanej z ofiary prawie miliona zabitych ludzi i innych bytów posiadających dusze. A wszystko tylko po to, by przebudzona bogini wydała bolesny ryk narodzin, a zaraz potem

skonała.

Jej ciało rozsypało się w proch, pozostawiając szkielet, który stał się ozdobą lodowego księżyca Jowisza. Niewykorzystana do końca fidezyna spłynęła gorącymi, gęstymi jak lawa strumieniami na Kallisto i wżarła się w lód, zstępując coraz to niżej i niżej, ku ukrytemu pod dwustu metrami zmrożonej skorupy oceanowi. Stygła jednak przez cały czas i nie dotarła do wody.

Lód topniał, a następnie odparowywał w mgnieniu oka. Gigantyczne pióropusze pary wystrzeliły w rzadką atmosferę, przebiły się przez nią i zamarły na orbicie księżyca, tworząc wokół niego fidezynowo-węglowy pierścień. Nie przetrwał długo, starczyło ledwie kilka ziemskich lat, by jego składowe opadły: a to na powierzchnię Kallisto, a to na otaczający ją szkielet Tiamat.

W kościach bogini wyryto w tym czasie tunele, żebra przebudowano w orbitalny port i przystanie. W czaszce wzniesiono miasto i ulokowano kosmiczną latarnię, nadającą na cały Subukład Jowisza informacje o zmianach zachodzących we wszechświecie, ale też lokalną muzykę i odczytywane przez wykwalifikowanych bardów opowieści. Nikomu nie przeszkadzało, że w latarni, która zwykle jako pierwsza zdobywała informacje o zbliżających się statkach i okrętach, pracowali kultyści Tiamat. Pomimo niepowodzenia wciąż czcili boginię, zdawali sobie jednak sprawę, że ich pierwotny plan poniósł fiasko; nauczyli się zatem chwytać życia wszelkimi sposobami. Nie chciała ich przyjąć żadna z enklaw Układu Słonecznego, toteż zbudowali własne siedlisko w kościanym pierścieniu bogini.

Pierwsze lata po śmierci Tiamat nie były dla nich łatwe. Wiele

istot w Układzie Słonecznym wysuwało uzasadnione pretensje wobec ludzi planujących przebudować świat wedle własnych krwawych planów. Z czasem sprawa ucichła. Nie pierwsi to i nie ostatni fanatycy szykowali apokalipsę. Ich klęskę potraktowano jako dowód na niedorzeczność takich starań.

Trafiały się i inne głosy. Tiamatyści głosili, że padli ofiarą spisku. Opowiadano o czarnym okręcie, który wyłonił się z cienia Jowisza w tej samej sekundzie, kiedy Tiamat zaczynała wydawać ryk, roznoszący się po Układzie Słonecznym wbrew mistyce klasycznej fizyki.

Przez zamieszkane przestrzenie przetoczyły się opowieści o statku, za którego sterami stała sama Śmierć.

A być może, powiadali niektórzy, ktoś znacznie gorszy od Śmierci.

Po latach szkielet Tiamat stanowił jedną z atrakcji turystycznych i chorąży Adam Drygieł obiecywał sobie, że tym razem wykorzysta okazję, by zwiedzić świątynie i zamtuzy gnieźdzące się w kościach niespełnionej bogini zagłady. Na razie nawet nie zerkał na majestatyczną czaszkę, której biel przesłaniała połowę ekranów OTG „Dorka”. Zostało mu jeszcze pół godziny wachty na mostku. Na obrazie przedstawiającym wnętrze jednej z komnat Pałacu Łączności Transportu Galicyjskiego w Malowanej Moskwie skupiał się jednak nie po to, by jak najpilniej wypełniać obowiązki łącznościowca dalekiego zasięgu, a dlatego, że tym razem wachta Drygła zbiegła się z dyżurem Mariki.

A w Marikę młody chorąży mógłby się wpatrywać bez końca.

Znał ją od ponad roku i przez cały ten czas zbierał się na odwagę, by zagadać do dziewczyny mniej formalnie. Na drodze do

spełnienia tych pragnień stały nie tylko regulaminy floty Transportu Galicyjskiego oraz zapierająca dech w piersiach, onieśmielająca uroda Mariki, ale przede wszystkim fakt, że była ona kobietą namalowaną. To zaś znaczyło, że równie dobrze mogła mieć nieco ponad dziewiętnaście lat, na które wyglądała, jak i dwieście. Jeśli umarła niedawno, jako nastolatka, jej doświadczenie życiowe byłoby zbliżone do doświadczeń Drygła. To z pewnością wiele by ułatwiało. Ale jak flirtować z kobietą, która może pamiętać czasy Kresu?

Faktem, że aby ewentualny związek z Mariką mógł znaleźć spełnienie, Drygieł musiałby dać się namalować, a potem umrzeć, chorąży przejmował się mniej. Podobnie jak drobnym problemem zdobycia fortuny, jaką kosztowało namalowanie portretu przez naznaczonego klątwą szaleńca, zdolnego posługiwać się żywą farbą.

To wszystko stanowiło wyzwania przyszłości. Jeśli tylko Drygieł znajdzie jakiś sposób, by zwrócić na siebie uwagę dziewczyny, reszta jakoś się ułoży.

– Coś nowego, chorąży? – zapytał drugi oficer.

– Żadnych komunikatów, panie poruczniku.

Marika na płótnie skinęła głową, nie patrząc na Drygła. Nic nowego. Nuda.

Choć Transport Galicyjski nie dysponował pełnym monopolem na wykorzystywanie Malowanej Moskwy jako środka łączności, posiadał blisko siedemdziesiąt sześć procent udziału w rynku komunikacyjnym istniejącym wyłącznie na obrazach miasta. To wiele ułatwiało. Zamiast wynajmować domy od malowanych, TG po prostu wykupił od nich cztery kamienice, zlecił połączenie ich

korytarzami i w ten sposób stworzył Moskiewski Pałac Łączności TG. Podobno by zapewnić pełną, całodobową obsługę łączności, TG podpisało szereg kontraktów z desperatami, którzy dali się namalować i zabić w zamian za stałą posadę i względną nieśmiertelność malowanych ludzi.

Istniało wiele form łączności, jednak żadna nie mogła równać się z komunikacją zapewnianą przez Malowaną Moskwę. Odkrycie tego stanowiło jeden z sukcesów TG. Nieważne, jak daleko od ziemskich placówek znajdowały się statki TG – czy orbitowały wokół Marsa albo Jowisza, czy zapuszczały się aż w okolice Plutona. Wystarczyło, że na pokładzie każdej z nich zawieszono obraz przedstawiający którąś z komnat Pałacu Łączności, a meldunki płynęły między nimi nawzajem oraz między nimi a centralą na Ziemi w mgnieniu oka. Gdyby Drygieł chciał przekazać jakąś informację na bliźniaczy patrolowiec OTG „Draken”, wystarczyło, by powiedział Marice, o co chodzi. I choć „Draken” patrolował w tej chwili okolice Saturna, Marika po prostu odwróciła się do siedzącej przy sąsiednim biurku Krystyny, a ta przekazała wiadomość łącznościowcowi na pokładzie docelowego okrętu, na którym odpowiednik Adama wpatrywał się zapewne równie czujnie w obraz przedstawiający to samo wnętrze sali łączności, ukazane z nieco innej perspektywy. Wszystko zajęłoby mniej niż minutę.

Kiedy w innych flotach męczono się, używając powolnych fal radiowych, korzystano z nieco szybszych demonów-posłańców albo znacznym wysiłkiem uruchamiano umiarkowanie stabilne magiczne portale, Drygieł i inni oficerowie łączności TG po prostu

rozmawiali z pięknymi kobietami, dla których kosmiczne odległości nic nie znaczyły, ponieważ istotne były dla nich wyłącznie wymiary Malowanej Moskwy.

– Niedługo kończę wachtę – zdobył się wreszcie na odwagę Drygieł.

Marika skinęła wdzięcznie głową, przyjmując informację do wiadomości.

– Widziała pani kiedyś Tiamat? – zagaił nieregulaminowo chorąży. – Niezwykły widok. W samej czaszce zmieściłoby się pewnie i dziesięć krążowników, a...

– Dziękuję, posiadam te dane – przerwała mu.

Nic w jej tonie nie wskazywało na zainteresowanie Adamem, jednak młodzieniec nie zamierzał się poddawać. Niejeden raz przyglądał się zazdrośnie, jak oficerowie floty nie tyle starali się o względy kobiet, co brali szturmem dziewczyny w każdym porcie, do którego zawijała OTG „Dorka”.

Co gorsza, Petyr Hoygren, z którym Drygieł dzielił kajutę, zbyt długo już nabijał się z nieśmiałego kolegi. Hoygren, choć nie śmiał rywalizować z oficerami, należał do tego typu mężczyzn, którzy nie przyjmują odmowy, obdarowanych w dodatku tym dziwnym rodzajem drapieżnego uroku, który sprawiał, że odmów zwykle nie doświadczał. Ciągał za sobą Drygła po portowych tawernach, przedstawiał go a to wytatuowanemu od stóp do głów mechaniczkom, a to eleganckim sekretarkom kierowników niższego stopnia, a nawet upiorzycom oraz legalnym bądź nielicencjonowanym sukkubom. Żadne z jego starań nie przynosiły jednak rezultatów i rozeźlony nie na żarty Hoygren zapytał w

końcu Drygła wprost, czy ten nie woli facetów, skoro nie podniecają go ani dziewczyny pełne życia, ani nieumarłe czy choćby ożywione.

Wtedy właśnie zaczerwieniony po końcówki uszu chorąży wyznał mu, że odmawia portowym księżniczkom, ponieważ oddał serce jedynej wybrance.

– Znam ją? Kiedy się hajtacie, ty cicha wodo, ty?

Bardziej niż informacja, że chodzi o dziewczynę namalowaną, rozbawił Hoygrena fakt, że Marika pozostawała nieświadoma Drygłowego afektu.

– Koniec z tym pieprzeniem, ślamazaro! – oznajmił, gdy już przestał się śmiać. – Albo ty ją sobie weźmiesz, albo ja cię zastąpię. Daję ci dwa tygodnie. Albo nie. Wiesz co? Daję ci tydzień. Potem będzie moja. Chyba nie wątpisz, co?

Drygieł nie wątpił. Wierzył nawet i w to, że Hoygren dałby się namalować i zabić, byle dopiąć swego.

Rywal starał się mobilizować współlokatora snutymi co wieczór rozważaniami o korzyściach płynących z przemiany w malowanego człowieka i o całych legionach malowanych kobiet, spragnionych spotkania z prawdziwym mężczyzną.

– Marika! – mruzczał lubieżnie i mlaskał, jakby już ciesząc się na zasmakowanie dziewczyny. – Wiesz, bracie, mnie się zaczyna coraz bardziej wydawać, że właśnie te malowane laski są najbardziej prawdziwe. Przyglądałem się tej twojej Marice. Co za cyc, co za spojrzenie! Malował je wszystkie facet, nie? No, to nie żałował farby, powiem ci! Oj, wie ten wariat, jak malować dupeczki...

Tego właśnie dnia, gdy OTG „Dorka” przelatywała obok Tiamat, dobiegał końca czas, jaki Hoygren pozostawił Drygłowi. I to właśnie

on miał przejąć dyżur po nieszczęsnym chorążym.

– Tak sobie myślałem – ciągnął Adam łamiącym się, pełnym rozpaczny głosem – co też pani robi po własnym dyżurze? Wie pani, ja właściwie nic nie wiem o was, malowanych. Ja na przykład muszę iść coś zjeść. Niestety tylko do kantyny, dość ciasnej i ciemnej, mówię pani, żadnego romantycznego nastroju. Siedzimy jeden przy drugim, właściwie trącamy się co chwilę łokciami. Jest duszno, prawie parno. Człowiek marzy, żeby zjeść jak najszybciej, połykamy to żarcie, czasem całkiem niezłe, na wyścigi. Dlatego wiele sobie obiecuję po Tiamat. Bo widzi pani, tu, w czaszce, mieszczą się ponoć najniezwyklejsze kawiarenki. Mówił mi jeden przyjaciel...

– Chorąży – regulaminowy chłód w głosie Mariki ustąpił miejsca zaniepokojeniu. Dziewczyna przestała się też wpatrywać w radiostację, której używano w Malowanej Moskwie do nawiązywania łączności z odległymi dzielnicami miasta i spojrzała wreszcie prosto na Drygła. Po raz pierwszy w historii ich znajomości. – Czy pan się dobrze czuje?

– Nie – jęknął oszołomiony barwą jej oczu, którą, jak sobie uświadomił, poznał dopiero teraz. Turkusowe. Dobry Boże, czy w prawdziwym świecie mogły w ogóle istnieć oczy tego koloru? I czy gdziekolwiek mogły istnieć piękniejsze? – To znaczy wyśmienicie! Ja, nic mi... Wszystko w porządku! Zapewniam!

– Pan tak dziwnie zaczął nagle mówić... – Najniezwyklejsze oczy w Układzie Słonecznym przypatrywały mu się uważnie. – Zaniepokoił mnie pan.

Oszołomiony, zdumiony i zauroczony Drygieł zdołał mimo

wszystko usłyszeć, jak Hoygren zameldował się na mostku, na moment zajmując uwagę drugiego oficera.

– Bo pani mi się podoba! – zawołał zdesperowany. – Znamy się od roku, a pierwszy raz widzę pani oczy! Takie piękne! Pani pewnie teraz myśli, że jestem głupi, ale co mogę powiedzieć? Patrzę na panią i patrzę. Rozmawiamy, a nie rozmawiamy. Te pani kasztanowe włosy, ta kokarda, czasem bordowa, a czasem zielona. Te pani dłonie, takie smukłe, takie zgrabne. A jak pani wdzięcznie przechyla główkę, przyjmując meldunki! No i co ja miałem zrobić?!

Żywe farby musiały dysponować niezwykłą magiczną mocą, bowiem policzki od dawna martwej namalowanej kobiety pokryły się niespodziewanie czerwienią.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć. Nakrzyczeć na młodego durnia? Upomnieć go za złamanie regulaminu? Wyśmiać? A może pocieszyć?

Nie dane było mu się dowiedzieć.

Wybuch zatrzęsł pokładem OTG „Dorki” na tyle mocno, by obraz wypadł z mocowań. Drygieł zareagował odruchowo i złapał go, nim uderzył o pokład.

Wtedy krążownik otrzymał trzy kolejne ciosy i przechylił się gwałtownie, a ściskający ramę obrazu chorąży runął na podłogę.

– Co się dzieje? – krzyczała Marika. – Chorąży! Co się u was dzieje? Katia! OTG „Dorka” ma kłopoty! Melduj do centrali! Chorąży...?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Oślepiająca biel zalała ekrany. Załoga mostka zmagiała się z eksplodującymi monitorami komputerów, iskrami sypiącymi się z pozrywanych kabli. Wszyscy

wykrzykiwali chaotyczne meldunki. Drugi oficer siedział na podłodze, pocierał niepewnie czoło, z którego sączyła się krew. Ktoś krzychał, że zostali zaatakowani, ktoś domagał się natychmiastowego wezwania na mostek kapitana.

Nagle okręt przechylił się jeszcze bardziej. Ściskający wciąż obraz Drygieł zaczął toczyć się ku głównemu ekranowi, który zamienił się miejscami z podłogą. W tej właśnie chwili znów odzyskali widoczność i chorąży odkrył, że stacza się prosto w wyszczerzoną paszczę odradzającej się bogini.

Szczęka smoczy, jeszcze przed chwilą bielejąca kością, pokrywała się ciałem. Wykwitały ścięgna, puchły ciemną czerwienią mięśnie. Na rozwijającej się mrocznym całunem skórze zabłysła pierwsza łuska.

– Spadamy! – krzyknął ktoś. – Szlag trafił silniki!

Między bezwładną „Dorką” a powracającą do życia Tiamat przemknęły dwa srebrne ścigacze, oznaczone herbem płomienia pożerającego biały budynek.

– Herostratejczycy! – zameldował prędko Drygieł. – Niech pani przekaże, że zostaliśmy zaatakowani przez herostratejczyków! „Dorka” straciła napęd! Spadamy w Tiamat! Ktoś ją ożywia! Niech pani to natychmiast przekaże!

Jęknął, gdy uderzył w ekran. Obraz wypadł mu z dłoni i zaczął osuwać się ku stanowisku nawigatora, które po kolejnym przechyle znajdowało się obecnie w najniższej położonej części mostka. Drygieł, starając się ignorować przejmujący ból w ramieniu, spróbował ruszyć za zgubą. Fotel nawigatora, zajmowany przez podejrzenie bezwładne ciało chorążego Stocksa, objęły tymczasem w posiadanie

plomienie. Pożar rozpełznął się po mostku.

Nie można było pozwolić, by spłonął obraz. Był cenniejszy nawet od okrętu.

Drygieł dopadł go, gdy rama i krawędzie płótna zaczęły się tlić.

– Zostaliśmy zaatakowani! – zawołała na widok Drygła Marika. – Panie chorąży, przekazałam pana meldunek. Ale teraz musimy się ewakuować! Pożar...

Rozkaszłała się.

Oniemiały, zastygły w przerażeniu Drygieł zobaczył, że do namalowanego wnętrza sali łączności wbiegło czterech zamaskowanych mężczyzn. Strzelali na wszystkie strony, prawie nie celując. Kobiety krzyczały, starały się ukryć. Napastnicy nie mieli litości. Wyciągali je z prowizorycznych kryjówek i zabijali na miejscu strzałami w głowę.

Jeden z nich skierował się ku Marice.

– Niech pani ucieka! – zawołał Drygieł, zbyt zafascynowany wydarzeniami w obrazie, by przejmować się własną sytuacją. – Niech pani ucieka!

Gdyby potrafił jej pomóc! Ale żywy człowiek nie był w stanie wpływać na wydarzenia zachodzące w Malowanej Moskwie. Chorąży mógł tylko bezsilnie przyglądać się, jak Marika rzuca się do ucieczki, ale potyka się o ciało koleżanki i upada już prawie poza zasięgiem wzroku Adama. Na obrazie widać było już tylko jej stopy.

Aż nazbyt dobrze widział za to zajmującego teraz środek płótna zabójcę. Mężczyzna starannie wycelował w kobietę. Na moment obrócił jeszcze twarz, by zerknąć na wygrażającego mu i na przemian błagającego Drygła. Skinął chorążemu głową i znów

skierował wzrok na Marikę. Powiedział coś, czego Drygieł nie usłyszał.

I zginął.

Krew malowanego człowieka wyglądała jak prawdziwa. Wytrysnęła z rozerwanego kulek gardła i z drugiej rany na piersi, i z trzeciej z boku głowy. Impet ostatniego pocisku był potężny. Adamowi wręcz wydało się, że wyrzucił kilka krwistoczerwonych kropel farby na jego twarz.

Poczuł wilgoć na policzku, ale może to drobiny chłodziwa z przerwanego kabla ochlapały go, gdy przesuwiał się obok po przechylnym pokładzie? Zabójca jeszcze poderwał rękę trzymającą pistolet, wystrzelił niegroźnie gdzieś w górę. Opadł na kolana, a potem runął, przesłaniając zmasakrowaną twarzą cały obraz. Jednak gdy upadał, Drygieł zdołał przez moment dostrzec, jak jakiś elegancki, lekko siwiejący mężczyzna strzela do kolejnego z napastników.

– Na co czekasz? – ktoś szarpnął chorążego za ramię. – Nie słyszałeś rozkazu? Ewakuacja, durniu!

To Hoygren nachylił się nad przyjacielem i zaczął ciągnąć go w kierunku korytarza.

– Jesteś ranny? – zapytał.

– Nie, mogę sam.

Adam spróbował wstać i syknął z bólu. Coś było zdecydowanie nie tak z jego lewym barkiem.

– Ratowałem obraz – wyjaśnił.

– Ratuj siebie!

Pobiegli korytarzem ku szalupom.

OTG „Dorka” konała. Umierały wszystkie jej systemy. Nim pokonali połowę drogi, zgasły nawet awaryjne światła, a komputer odliczający sekundy do kolizji z Tiamat zarzęził i zamilkł. Pozbawiony napędu i silników stabilizacyjnych okręt obracał się coraz szybciej wokół własnej osi, co chwilę przewracając uciekających.

Coraz bardziej przerażony Drygieł zaczął już podejrzewać, że zgubili drogę, kiedy Hoygren wydał nagle triumfalny okrzyk, dopadł ściany i szarpnął za awaryjną dźwignię. Ledwie sekundę później rozblęły światła wewnątrz szalupy.

Wpadli do niej pędem. Hoygren prędko usiadł w fotelu pilota. Wykrzyczał podstawowe komendy, a wobec milczenia komputera pokładowego wstukał na klawiaturze sekwencję alarmową.

– Czekaście na nas! – zawołał ktoś z korytarza.

– Gadaj zdrów! – warknął Hoygren, uruchamiając polecenie odpalenia szalupy.

– Petyr! – krzyknął Drygieł. – Czeka! Zmieścimy się!

– Pieprzenie! Nie ma czasu!

Właz zatrzasnął się. Szarpnęło i OTG „Dorka” wypłuła ich z siebie prosto w pysk przebudzonej Tiamat, rozwierającej paszczę do pierwszego ryku.

Wokół z płonącego okrętu wystrzeliwały kolejne szalupy i kapsuły ewakuacyjne. Te drugie, pozbawione możliwości manewrowych, uderzały najczęściej w smoczyce, by roztrzaskiwać się o jej cielsko. Hoygren przerażonym głosem wywrzaskiwał polecenia komputerowi, ale ten nie dość, że go ignorował, to jeszcze zablokował ręczne stery. Petyr przeklął za to maszynę, ale nie

przestawał wrzeszczeć.

Okazało się, że to komputer miał rację. Minęli kiel zdolny pomieścić miasto, przemknęli nad językiem falującym niczym ciemnoróżowe morze i wylecieli z drugiej strony szczęki wciąż rozwierającej paszczę smoczy.

Za nimi ścigacze herostratejczyków, wierne zasadzie „niszczę, więc jestem”, zestrzeliwały ocalałe kapsuły i szalupy. Panczerze pękały pod bezwzględными uderzeniami, wypluwając z wnętrza ludzi już praktycznie martwych, bo skazanych na śmierć w próżni pełnej rozpędzonych w szaleństwie entropii szczątków. Dziesiątki ciemniejących z każdą sekundą kadłubów tworzyły chaotyczny rój cieni na tle wstrząsanego kolejnymi eksplozjami okrętu.

OTG „Dorka”, płonąca, uderzyła w bok bogini. Kadłub przełamał się w połowie. Pękał zaskakująco powoli, aż wreszcie setki pojedynczych płomieni zlały się w jeden, a ten rozbłysnął po raz ostatni gwałtowną, raniącą oczy bielą.

Zraniona smoczyca potrząsnęła wielkim łbem, jej pierwszy ryk zmienił się z triumfalnego w bolesny. Przeciął przestrzeń, zakłócając łączność na wszelkich skalach, zaburzył pracę komputerów zarówno resztek ocalałych szalup, jak i morderczych pojazdów herostratejczyków. Spotęgowało to chaos. Ścigacze, nad którymi nikt nie panował, wpadały na siebie nawzajem, rozbijały się o ciało Tiamat, zadając jej dodatkowe rany.

Jednak potwór przeżył.

– Kurs na Kallisto? – zaproponował dumny komputer jakimś cudem ocalałej szalupy, gdy ucichł ryk i systemy znów zaczęły działać. Wściekłość i potęga bogini musiały wstrząsnąć nawet

herostrategczykami, żaden z ich ścigaczy nie kontynuował już polowania.

– Jak najdalej stąd! – krzyknął Hoygren.

Podobnie jak Drygieł, starał się zasłaniać uszy. Słusznie, bo Tiamat zaryczała ponownie, ale już nie boleśnie, a triumfująco. Choć tym razem bogini nie zakłóciła systemów szalupy, ogłuszyła jej pasażerów. Jej wrzask doprowadzał do szaleństwa, niósł obietnicę bólu, wieść o nowych porządkach we wszechświecie. Pokład szalupy wpadał od niego w wibracje i wydawało się, że stateczek, któremu dotąd udawało się uniknąć zagłady, tym razem nie zdoła umknąć.

– To niedokładne koordynaty – upomniał pilota komputer. – Proszę o doprecyzowanie.

– Zabierz nas na Ziemię! – rozkazał Drygieł.

Nim zemdlał, zdążył jeszcze zobaczyć, że w Malowanej Moskwie ktoś odciąga zwłoki zabójcy.

Część pierwsza

POPEKANE SKORUPY

Rozdział pierwszy

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Belgrad / Bielsko Biała

Kutrzeba tonął. Chciwe wody Dunaju pochłaniały go, wciągały coraz głębiej. W ślad za nim ku dnu rzeki mknęły pociski wystrzelwane z murów Kalemegdanu – wielkiej, strzegącej Belgradu fortecy, pamiętającej czasy, gdy rzymskie legiony dopiero przebijały się w te okolice przez armie barbarzyńców. Strzelali snajperzy oddziału janczarów należącego do Sabriye Mizrak, ostatniej z pozostałych przy życiu dzieci Ebedi Paszy, samozwańczego a niedoszłego Odnowiciela Imperium.

Marzenia Ebedi Paszy nie umarły wraz z nim, choć skończył jako szef jednego z bałkańskich gangów, niemal co do jednego mieniących się restauratorami którejś z dawno upadłych hegemonii. Kutrzeba wykorzystał fakt, że córka podzielała ambicje ojca i przyciągnął jej uwagę. Poniekąd stanowiło to sukces. Tyle że potem musiał uciekać krętymi uliczkami twierdzy, przemykać pod basztami i wieżami pochodzącymi z różnych wieków.

Fortyfikacje twierdzy odradzały się bowiem i, jak wiele innych legendarnych budowli, powstawały z ruin, a czasem jedynie ze wspomnień. Studnia z czasów rzymskich okazała się nasieniem, z którego wyrosły nowe, wewnętrzne umocnienia. Kalemegdan przebudowywali i Rzymianie, i przybyli po nich Turcy, i Austriacy, a teraz moce przebudzone podczas Kresu sprawiały, że wszystkie

burzone i wznoszone przez nich wieże i mury powracały do życia. Rzymskie i tureckie mury walczyły o przestrzeń, austriackie baszty starały się dominować nad osmańskimi wieżami. Kamienne umocnienia pochodzące z różnych epok i kultur splatały się ze sobą, próbując wyprzeć bądź skruszyć konkurentów.

W efekcie powstał tu nielichy labirynt, w którym równie łatwo zgubić można było pościg, jak i samego siebie. Kutrzebie lepiej wyszło to drugie. Zapędziwszy się w ślepą uliczkę, musiał wspiąć się na mury zewnętrzne i ratować skokiem do rzeki.

Janczarzy mogli być opętanymi przez przywołane upiory nieszczęśnikami, ale strzelali, jakby rzeczywiście szkolili się do tego przez całe życie, a co więcej, było ich stanowczo zbyt wielu, nawet dla wspomaganego przez Zmorę Kutrzeby. Zresztą nie chciał ich zabijać, zamierzał tu znaleźć odpowiedzi, a nie okazję do rzezi.

„Jeszcze nie – powstrzymał Zmorę. – Wytrzymaj”.

Zakłęła, ale pozostała przyczajona, uśpiona.

Ebedi Pasza umyślił sobie, że odbuduje wielkie Imperium Osmańskie, że zielony sztandar Proroka znów załopocze nad największymi twierdzami, które Turcy z takim uporem wznosili nad zdobywanymi miastami południowej Europy. Spędził pół życia, wędrując po krainach, o których czytał w starych wschodnich klechdach. Podobno starł się z Ali Babą i Hodżą Nassredinem. Przez trzy lata udawał Sindbada, by wywołać rozeźlonego ducha oryginalnego żeglarza, a potem wraz z nim rozbijał kolejne statki na morzach w poszukiwaniu Diabła Morskiego, z którym mogłby zawrzeć śmiertelny układ.

Opowiadano, że w starożytnej Fokaji, którą ożywił pieśni

Homera uczyniły śmiertelnie niebezpiecznym miejscem, składał syrenom ofiary z ludzi. W końcu udało mu się – dzięki ich wskazówkom informacjom odnalazł tajne przejście w jaskini Korniasar, prowadzące do Ukrytej Twierdzy pod Alanya, miastem o dachach lśniących od złota pochodzącego, jak głosiła nowa legenda, z ładowni wszystkich zatopionych tu statków. Tam, wśród morza pirackich skarbów, musiał stoczyć bitwę z kultystami oddającymi cześć Lampie.

Już wtedy towarzyszyły mu niedobitki zakonu Białego Wilka, garstki szaleńców uważających się za potomków tych, którym udało się uciec z życiem spod armat Mahmuda II i uniknąć jego krwawej zemsty. Dziewięćdziesiąt lat przed przybyciem Marsjan sułtan brał odwet za lata terroru janczarów, przekonanych, jak wiele elitarnych oddziałów przed nimi, że mogą ustanawiać i obalać władców. Zakon spadkobierców najlepszej piechoty świata padł ofiarą samozwańczego sułtana. Pięćdziesięcioletni wówczas Ebedi Pasza poświęcił ich dla dodania sił Lampie – i zaraz odtworzył. Trzy nowe ordy janczarów oparte zostały na duszach ściągniętych z piekła, opętanych pragnieniem zemsty. To właśnie dzięki nim zdołał wykroić własne państewko na Krymie.

Zmuszony przez Wieczną Rewolucję do ucieczki, wycofywał się ostrożnie, paląc za sobą wsie i miasta. Weneckie upiory dostarczyły mu okrętów nie do końca rzeczywistych, bo pochodzących ze wspomnień umarłych. Zdołał na nich mimo wszystko przepłynąć przez dwa morza, by wylądować, jak niegdyś Cezar, w Oricum, gdzie schodzące na ląd ordy Paszy obudziły duchy ginących tam przez wieki wojowników i pomiędzy żołnierzami samozwańca

wędrowały odtąd kamienistymi plażami upiory legionów Pompejusza i Cezara. Za ich plecami płonęły cienie barek, tak rzymskich, jak i weneckich.

Ludzie kryli się przed tymi upiornymi armiami, gdzie tylko mogli: w meczetach, w małej cerkwi pod wioską, a nawet w górach, choć tam rządziły stada dzikich psów i dziwne duchy, wykopujące nory w skałach i ziemi, obudowujące je kamieniami na wzór bunkrów, z których polowały na pechowców.

Ebedi Pasza tymczasem wyciągał młodych mężczyzn i z meczetów, i z cerkwi. Wysyłał zagony w góry. Aż sformował dodatkową ordeę i jeszcze gwardię, złożoną wyłącznie z albańskich górali. A kiedy uznał, że ma więcej wojska niż żywności dla niego, skierował swój wzrok na Belgrad.

15 czerwca 1969 roku armia samozwańca, wiedzona fatum, które w innym świecie można by nazwać „przedziwnym”, stanęła na Kosowym Polu naprzeciw pospiesznie zebranych sił serbskiego pospolitego ruszenia. Janczarzy przetoczyli się przez nich, prawie nie zwalniając marszu, prawie nie zauważając przeciwnika. Ebedi Pasza wzniósł modły dziękczynne, jego armia zaczęła świętować zwycięstwo.

I wtedy spadł na nich kataklizm.

Dwunastu szaleńców, komando ożywieńców prowadzonych przez przybyłego z serbskich pieśni Milosza Obilicia, w samobójczej szarży powtarzającej tę z bohaterskich pieśni serbskich wpadło między namioty nowego sułtana, urządzając rzeź jego gwardii.

Albańscy górale byli twardzi i nieulekli. Siekli tych, którzy powrócili spośród zmarłych, by jak pięćset osiemdziesiąt lat

wcześniej przebić się przez straż sułtańską i zabić przywódcę wrogich sił. Serbscy przywołańcy, przybysze z największej i najpotężniejszej legendy swojego ludu, wyli niczym upiory, walczyli jakby byli nieśmiertelni, ale padali jeden po drugim. Choć urządzili albańskiej gwardii rzeź, po której ta już nigdy się nie podniosła, tym razem Obiliciowi nie udało się dostać do sułtana i usiec go w zemście za najazd.

Ale dla wielkiej misji Ebedi Paszy nie miało to już znaczenia.

Szeregi jego janczarów zachwiały się, zawróciły na pomoc wodzowi. Być może pomogły mu ocalić życie, ale odebrały imperium. Bo na odsłonięte flanki spadły setki serbskich duchów i ożywieńców. Tym razem obok księcia Lazara, pamiętającego własną śmierć w podobnej bitwie w tym samym miejscu, walczył też syn wiły, heros z legend, księżę Marko, a wyjący z bólu i zgrozy Vuk Branković nie zdradził, lecz odkupił dawne grzechy, równie ciężkie bez względu na to, czy je zmyślono w legendzie, czy były prawdziwe.

Nim nadeszła noc, nie było już armii Ebedi Paszy ani jego imperium. Lampa przepadła. Niektórzy mówili, że pękła, a uwolniony nareszcie džinn sam spróbował zabić swego ostatniego pana, gdy zaś mu się to nie udało, odleciał gdzieś na wschód.

– Nie warto skreślać Lampy – tłumaczył miesiąc wcześniej Kutrzebie Korycki. – Moi ludzie rozmawiali z dziećmi Ebedi Paszy. Lampa jest, istnieje. Pękła wtedy faktycznie, džinn się uwolnił. Jakieś niedobitki gwardii, paru janczarów, którym udało się przetrwać, porwało skorupy i pouciekało z nimi. Wierzyli, że te szczątki będą ich chronić, frajerzy. Sprowadziły na nich śmierć.

Siedzieli w knajpie w Bielsku-Białej przy browarze. Korycki wyraźnie niespokojny, Kutrzeba wypoczęty, w dobrym nastroju. Żaden z nich nie wyglądał kwitnąco. Siwizna coraz bezczelniej poczyniała sobie z ich włosami, zmarszczki pojawiły się w kąciakach oczu. Mimo to niemłoda barmanka o wielu obfitościach, niemal rozsadzających czarną sukienkę, posyłała im obu spojrzenia niosące tyleż słodkie, co smutne obietnice, a oni ignorowali je nie bez żalu. Pachniało smażonym mięsem i cebulą. Wśród kilkudziesięciu klientów agencji Koryckiego popijali piwo, lustrując salę. Dostrzegali głównie siebie nawzajem, ale że nie wszyscy się znali, pozostawali sprężeni, gotowi do akcji.

– A co mnie to obchodzi? – zapytał Kutrzeba. – Kazałeś mi przyjść bez Zmory, żeby nie zaburzała linii czegoś tam, a opowiadasz o jakimś tureckim gangsterze, któremu książkę z serbskich bajek spuścił łomot. Jeszcze raz: co mnie to obchodzi?

– Kazałem ci przyjść bez Zmory, bo są tacy, którzy nauczyli się ją namierzać. A skoro im na tym zależało, to mnie zależy, żeby ani mnie, ani ciebie zbyt łatwo nie znaleźli. Tyle o tym. Sam sobie dopowiedz, kto cię szuka i dlaczego. Teraz nowa sprawa. Ebedi Pasza przegrał, ale nie porzucił swoich planów. Zmodyfikował je, i tyle. Zamiast Imperium Osmańskiego zbudował imperium mafijne. Przejął handel opium na całych Bałkanach. Stał się potężniejszy nawet od władcy Konstantynopola-Istambułu.

– Którego z nich? – rzucił kpiąco Kutrzeba i przez chwilę obaj uśmiechali się nad glinianymi kuflami, jakby przyszli tu pożartować z dziesiątek samozwańczych cesarzy i sułtanów, walczących bez końca o tron stolicy świata, jak upierali się

nazywać setki już razy plądrowane miasto.

Justynian Ósmy, kuzyn zmarłego od trucizny Justyniana Siódmego, prowadził niekończącą się wojnę prawniczą z urzędnikami siedmiu równocześnie uzurpujących sobie miano do tytułu jedyne go prawdziwego sultana przeciwników, odpierał szturmy teologicznych zagończyków Ireny Czwartej Uwodzicielki, zmagał się z dwunastoma innymi niby-cesarzami, a ostatnio jeszcze stawiał czoła delegacji Wiecznej Rewolucji, która wprawdzie z pogardą odrzucała tradycje caratu, ale chętnie przypomniwała sobie, że Moskwa miała być kolejnym Rzymem, w związku z czym upomniwała się o swoje prawa do stolicy Bizancjum.

A istniała jeszcze Malowana Moskwa, coraz częściej uznawana na arenie międzynarodowej za rzeczywiste państwo. I choć nikt do końca nie wiedział, kto w niej rządzi, państwa i korporacje wysyłały dyplomatów, by ci wystawiali pod dostępnymi żywymi obrazami, oczekując na możliwość kontaktu. Na dyplomatów z kolei polowali agenci Wiecznej Rewolucji, starający się spalić wszystkie żywe obrazy i tym samym zniszczyć konkurencyjną Moskwę, nim jej reprezentanci zaczną poruszać temat praw do używania nazw i symboli przedrewolucyjnej Rosji. Choć komunistyczne państwo nadal pozostawało w stanie wojny z całym światem, ostatnio nawet w nim coś się zmieniało. Na ściśle wyznaczone tereny Wiecznej Rewolucji zaczęto wpuszczać dyplomatów, a nawet przedstawicieli niektórych korporacji.

Korycki spowaźniał pierwszy.

– Myślisz, że przyprowadziłem tu armię szpiegów i ochroniarzy, żeby sobie z tobą pożartować przy piwku? – warknął. – Cholera,

trzy czwarte z nich to najemnicy, którzy nawet nie wiedzą, kogo ochraniają. Inni to moi najbardziej zaufani ludzie, których pościągałem z całego regionu, żeby się z tobą spotkać. Po co? W imię starych wspomnień?

– Wiem, że nie. Znowu chcesz mi wcisnąć jakiś kit i wysłać na robotę, z której nikt inny nie wróciłby żywy.

– Nie pochlebiaj sobie, staruszk. Zaczynasz już siwieć. Mam ludzi, którzy rozsmarowaliby cię na tej ścianie jednym palcem.

– No to wykorzystaj ich i przestań mi wreszcie zawracać głowę. Człowieku, od ilu już lat nadstawiam dla ciebie karku, włóczęc się po najgorszych dziurach całego pieprzonego świata? I po co to wszystko? Bo wydaje ci się, że coś wiesz, bo któryś z twoich szpiegów gdzieś coś usłyszał. A ja rzucam się na to jak wychudzony kundel na kość. Ale wiesz co? Czasem nie znajduję tam nawet zapachu tej kości!

– Nie wydzieraj się tak. Jezu! Jesteś najgorszym szpiegiem, jakiego widziałem.

– Nie jestem cholernym szpiegiem.

– To by się nawet zgadzało. Szpiegdy nie wpadają w berserk, bo wstali lewą nogą. Właściwie w ogóle w niego nie wpadają.

– Miło było pogadać...

– Czekaj, siadaj! Okłamałem cię kiedyś?

Kutrzeba otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko spojrzał na Koryckiego drwiąco.

– W istotnych sprawach – doprecyzował Korycki. – Nie będziesz mi się tu chyba bawił w jakiegoś liczykrupę? Okłamałem cię kiedyś w TEJ sprawie?

- Nie przyłapałem cię na kłamstwie. Ale...
- No to, kurna, usiądź i wysłuchaj mnie do końca.
- Nie wiem, czy chce mi się ciebie słuchać, generale, czy kim teraz do diabła jesteś. Już sam nie wiem, od ilu lat... – Kutrzeba potrząsnął głową. – Kiedyś to było prostsze, chyba. Wchodziłem, zabijałem, uciekałem. A od lat nic, tylko ganiam za tropami. I nic.
 - Bo teraz to wielka polityka, bracie. Ten twój Szósty... Kimkolwiek jest, to wyjątkowo zdolna szuja. To już nie jest tylko twoja ponura zemsta, Mirku. On miesza. Miesza jak cholera.
 - Czujesz to, co? Panie „wielka intuicja starego gliny”?
 - Widzę jego ślady, panie „wierzę tylko w to, co zabijam”. Widzę je, gdzie się nie obejrzę. Przemysł fidezyny? Łapiemy płotki, a ktoś potężny znika we mgle. Obozy ofiarne? Wpadamy, znajdujemy stosy kości, ale nie znajdujemy nawet śladu pozyskanej z ofiar energii. Mam w piwnicy wielką mapę, na której wszystko to tworzy splątaną sieć: korupcja, rytualne mordy, powiązania pomiędzy gangami na całym świecie... A jedną z najmocniejszych nici wiążących to wszystko jesteś ty. Połowę tropów odkryłem, obserwując, jak próbują cię dorwać. Tutaj Szóstemu puszczaają nerwy. Jesteś jego słabością.
- Kutrzeba pociągnął łyk piwa. Zaklął, bo zwietrzało. Przywołał gestem barmankę, a ta prędko postawiła przed nim nowy kufel. Niby przypadkiem odchodząc musnęła jego policzek rąbkiem sukni.
 - Nie masz żadnej cholernej mapy w piwnicy. Twoja paranoja nie pozwoliłaby ci na takie ryzyko.
 - Mój łeb to jedna wielka piwnica – zachichotał Korycki. – Mroczna i duszna.

- Kraków źle na ciebie wpływa. Stajesz się poetą.
- Stanę się trupem, jeśli go nie dopadniemy, Mirku. Wiem, że skurwiel ma na mnie oko. Zaszkoziło mi to pomaganie tobie.
- O, teraz to już przesadziłeś, dobry Samarytaninie!
- Nie przeczę, mamy wspólne interesy. Będziemy tak się przytykać do rana, czy wysłuchasz mnie nareszcie?
- Po zastanowieniu wolałbym się poprzytykać. To mnie nie zabije, a twoje pomysły...
- Też bym się poopieprzał, co tobie, jak widzę, przychodzi ostatecznie z łatwością. – Korycki obrzucił krytycznym spojrzeniem wymięte ubranie Kutrzeby, pod którym uwydatniał się brzuch piwosza. – Zanedbujesz się.
- Sam powiedziałaś: jesteś stary, siwiejesz. Świat mniej mnie bawi. Dziewczyny już się za mną nie oglądają, mogę liczyć co najwyżej na zainteresowanie barmanek tuż przed emeryturą.
- Lepiej wróć do formy. Ebedi Pasza wydał fortunę na pozbieranie wszystkich kawałków Lampy do kupy i posklejanie jej z powrotem. Wierzył, że dzinn jest związany z naczyniem i gdy Lampa znów stanie się całością, on będzie musiał do niej wrócić.
- Z używanego przez ciebie czasu przeszłego wnoszę, że Ebediego nie ma już wśród nas.
- Dorwały go chłopaki z Czarnej Ręki. Serbskie służby nie zapominają i nie wybaczą. Zabili Ebedi Paszę i sześciu jego synów. Tym, co zostało z firmy, zarządza jego ostateczne dziecko, córka Sabriye.
- Świat islamu już nie jest taki jak kiedyś, co?
- Świat jest teraz przede wszystkim cholernie cwany i racjonalny.

Cały świat. Słuchaj, plotki głośzą, że Sabriye ma już prawie całą Lampę. Brakuje jej jednego kawałka.

– A ty przypadkiem wiesz, gdzie on się znajduje, więc chcesz, żebym pojechał na jakieś zadupie, rozbił parę łbów, prawie dał się zabić i koniec końców przywiózł ci odłamek glinianego śmiecia? Jak powiedziałem: było miło, ale...

– Szósty chce tej Lampy. Miał silne powiązanie z Ebedi Paszą.

– Teraz to już wciskasz mi kit nad kitami. Wiesz, ile lamp z dzinnami krąży pod świecie? Nawet w Bielsku kupisz jakąś, jeśli wiesz, gdzie. Jest tu takich dwóch braci, śmieszni kolesie, załatwią wszystko...

– Bolek i Lolek, wiem.

– No jasne, że wiesz. Ta ich Tola to pewnie twoja agentka.

– Ona nie.

– To może ten ich superpies? Rex?

– Mirku, to nie jest jakaś lampa z byle dzinnem. To TA Lampa. Od wieków ludzie śpiewają o niej pieśni. To matka wszystkich lamp z dzinnami. To nie jest jakaś zabawa w „spełnię wszystkie wasze życzenia, ale tylko trzy”. Ebedi Pasza zbudował dzięki niej armię.

– I przegrał.

– Bo był małym graczem, któremu się marzyła wielkość. Wiesz, jednym z tych, na których tuczą się gnoje poukrywani za plecami spisanych na straty. Ale Szósty to nie jakiś gówniarz. To jeden z największych cwaniaków. I wiem, że skurwiel staje na rżęsach, by zgromadzić potężne siły, tyle energii, ile tylko może. Jak myślisz, po co?

– Szykuje coś wielkiego?
– Moim zdaniem szykuje się na ciebie, Mirku.
– Kurczę, miło mi. Poważnie. Od dawna nikt mi nie powiedział takiej miłej rzeczy. Ale bądźmy poważni, na mnie potrzeba tylko paru silnych chłopa. Stary jestem, Szuler kazał mi iść do diabła, a i Zmorka moja kochana to już niestety nie to, co... – urwał, skrzywił się boleśnie od niby to przypadkowego kuksańca przechodzącej obok barmanki, co zaraz ukrył, zasłaniając twarz kuflem piwa.

Nic mu to nie dało.

– Jest tu, co? – zasyczał Korycki, patrząc z niedowierzaniem na kobietę w czarnej sukni. – Ty tępą palancie! Wy parę najdurniejszych... A prosiłem! Ale nie, kurwa...

I wtedy zaczął się młyn. Prawie tak wesoły, jak tego wieczora, podczas którego Kutrzeba dał się zwabić do starej twierdzy górującej nad Belgradem, by wdać się w strzelaninę z ostatnimi janczarami wiernymi córce niedoszłego sułtana, potem umykać przed nimi, a wreszcie skryć się w nurtach czarnego jak noc Dunaju i tonąć.

„Jeszcze nie – upomniał Zmoreę. – Jeszcze wytrzymaj!”.

Zaczynało brakować mu tchu. Kule wciąż opadały wokół, ale już prawie bez impetu. Jedna z nich musnęła go w ramię, poczuł to jak ukłucie żądła.

„Ja wytrzymam – głos Zmory przepełniony był zdradzieczą słodyczą. – Ile zechcę. A ty?”.

Sam nie wiedział. Podejrzewał, że starczy mu sił na otchłań czasu mierzoną w jakichś pięciu sekundach, siedmiu, jeśli okaże się lepszy, niż sądził. Płuca paliły go żywym ogniem. Rozsądniejsza,

wierna instynktowi samozachowawczemu część umysłu rozpaczliwie pragnęła przejąć kontrolę nad ciałem, porwać je ku powierzchni i jej pozornemu bezpieczeństwu.

Wyczuł jakiś ruch wokół siebie.

„Są – zameldowała Zmora. – Czekają, aż przestaną strzelać, suki. Bały się”.

Szarpnął rękami. Powstrzymał opadanie ku dnu, a potem, ciężko pracując wszystkimi kończynami, zaczął powoli wznosić się ku powierzchni.

Wtedy drobne, zimne dłonie chwyciły go za stopy i pociągnęły w dół.

„Teraz!” – dał sygnał Zmorze.

Rozdział drugi

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

Moskiewscy strażacy wspólnie z agentami Transportu Galicyjskiego starali się ugasić pożar, nim przeniesie się na inne kamienice. W Malowanej Moskwie, inaczej niż w miastach Twardego Świata, jak nazywano tu niemalowaną rzeczywistość, ogień nie fascynował, a wyłącznie przerażał. Nie było większego wroga namalowanych niż płomienie, potrafiące ogarniać jeden za drugim budynki i ulice, a poprzez nie w mgnieniu oka przeskakiwać z obrazu na obraz.

Dlatego na ulicy w pobliżu Pałacu Łączności Transportu Galicyjskiego nie zebrało się wielu gapiów. Przypadkowi przechodnie raczej uciekali, niż przystawali, by podziwiać przepelniające grozą widowisko. Olga pilnie przypatrywała się tym, którzy jednak przystanęli.

Zapewne nie było wśród nich wielu przypadkowych osób. Na przykład tego wysokiego chudzielca, wpatrującego się w nią niepokojąco odbijającymi płomienie oczami, znała, był agentem jej ojca. Jednym z tych wyznaczonych przez hrabiego, by strzegli jego buntowniczej, postrzelonej córki, która zamiast znaleźć sobie dobrze ustosunkowanego męża, wybrała wariactwo nazywane karierą. „Pal już sześć – grzmiał hrabia Rostow – żeś się, córeczko, postanowiła emancypować. Ale co to, u licha, za kariera, żyć w

cieniu korporacji Twardego Świata, a do tego w ciągłym zagrożeniu?”. „Nie żyję w cieniu, papo – odpowiadała. – Zarządzam Pałacem Łączności Transportu Galicyjskiego. Nie ma w tym nic niebezpiecznego”. „Już ja swoje wiem! – wołał hrabia. – I wiem, czyja to wina!”.

Koniec końców jednak zawsze przytulał córkę, szeptał jej, by uważała na siebie, powtarzał, że matka martwi się o nią i wyjeżdżał.

Czy mama się martwiła, Olga nie wiedziała. Prawie nie rozmawiały ze sobą, a listy, które wymieniały, pełne były oficjalnych, grzecznych formułek. Odkąd rozczarowana zmianami zachodzącymi w malowanym mieście hrabina Aleksandra przeniosła się do specjalnie dla niej namalowanego majątku, leżącego blisko pięćdziesiąt wiorst za Moskwą, stosunki między matką i córką stały się chłodniejsze nawet niż w czasach, gdy jedna z nich już umarła, a druga jeszcze żyła w Twardym Świecie. Zaczynały z matką przypominać dalekie krewne, związane wprawdzie poprzez krew i szanujące się nawzajem, ale raczej skrywające niż okazujące prawdziwie ciepłe uczucia.

Być może mama miała córce za złe jej niezależność. Trudno, Olga nie zamierzała się dla niej zmieniać. Odkąd eksplozja bomby zrzuconej ze sterowca należącego wówczas do agenta Wiecznej Rewolucji zwała sufit na korytarz, którym Olga biegła, by jako ostatnia opuścić dwór w Przystani Carogrodu i ukryć się w jednym ze schronów, dziewczyna nieco inaczej patrzyła na świat. Pamiętała, jak konała przygnieciona tonami gruzu. Jak ignorowała ból towarzyszący każdemu oddechowi i rozpaczliwie starała się

walczyć o kolejny łyk powietrza. Pył dławiał jej gardło, prawie nic nie widziała przez krew spływającą na oczy z piekającej rany na głowie. Słyszała krzyki leszego, wzywającego poddanych tatki, by ratowali panienkę, słyszała nieustającą kanonadę z niebios. Z lewej strony zbliżało się gorąco – to pełzły ku niej płomienie trawiące dwór. Powinna była się ich bać, ale zdała sobie sprawę, że umrze, nim ją dopadną.

Myślała wtedy głównie o tym, jak wielu rzeczy nie zdążyła doświadczyć. O pewnym mężczyźnie, na którego zdobycie zabrakło jej czasu. Dlatego gdy przebudziła się na obrazie, owiniętym byle szmatą i wiezionym w ładowni tego samego sterowca, który przyniósł jej śmierć w Twardym Świecie, wiedziała, że nie może wrócić do dawnego, pustego tak naprawdę życia. Pierwszą myślą namalowanej Olgi po tym, jak spłynęła do niej uwolniona z ciała dusza, była chęć doznania świata w pełni i samodzielnie. Jeśli miała w ten sposób sprawić ból rodzicom, trudno.

Prócz szpiega ojca Olga rozpoznała wśród gapiów jeszcze oficera z Kremla, wciąż rozbudowywanej twierdzy leżącej niegdyś w centrum Malowanej Moskwy, obecnie na jej uboczu. Miasto coraz mniej przypominało oryginał, odkąd sekret żywych obrazów przestał być tajemnicą. Setki tysięcy ludzi pragnęło zakosztować malowanej nieśmiertelności. Ród jurodiwych malarzy, dzięki któremu Rostowowie budowali dla siebie lepszy świat, wciąż pozostawał do ich dyspozycji, jednak teraz z ich usług korzystał także Transport Galicyjski, który objął pieczę nad malarzami, odkąd nie mogli jej sprawować ani Rostowowie, ani ich następcy.

Po ostatecznym upadku Przystani Carogrodu, śmierci bądź

rozpierzchnięciu się obrońców ostatniego bastionu Białej Rosji, potrzeba było kogoś naprawdę potężnego, by chronić malarzy. Transport Galicyjski, z którym zarządzający Przystanią Jasiek i Wanda współpracowali jeszcze w czasach Kolei Galicyjskich, wydawał się odpowiednim protektorem. I okazał się nim rzeczywiście. Niestety, tajemnica Malowanej Moskwy już dawno przestała należeć tylko do Rostowów.

Przede wszystkim Kutuzow, który z Kremla uczynił swą siedzibę, a przez lata rozbudował twierdzę w małe wewnętrzne miasto, starał się przejąć kontrolę nad Malowaną i narzucić jej własną wizję. Dla Kutuzowa Rosja nie była Matką, lecz sierżantem, srogim, zaopatrzonym w bat opiekunem nie obywateli, lecz żołnierzy, którzy powinni z oddaniem służyć swemu władcy – carowi Piotrowi Wielkiemu. Kutuzow nie przyjmował do wiadomości, że ożywieniec Piotra został zamordowany, a żaden z tych, którzy pojawili się po nim, nie dorównywał oryginałowi. Stary generał wierzył, że gdzieś istnieje żywy portret cara. Niestety, szpiedzy Olgi w Twardym Świecie potwierdzali te plotki. Czemu jednak car nie ujawnił dotąd swojej obecności w Malowanej Moskwie, Olga nie wiedziała.

Być może żył we własnym, odmiennym namalowanym świecie? Powstało takich kilka. Genialni malarze, których w laboratoriach śmierci przywoływano, starając się magicznie przemieniać ich tak, by nabrali umiejętności ożywiania obrazów, malowali żywe Paryże, Rzymy i Londyny. Z jakichś przyczyn jednak żadne z tych miast nie nadawało się równie doskonale do życia jak Moskwa. Nawet mieszkańcy tamtych malowanych metropolii starali się uciec do

Moskwy, płacąc bająnskie sumy za możliwość tranzytu.

Olga nie dziwiła się im. Nie tylko dlatego, że Malowana Moskwa była jej domem. Wystarczył rzut oka na agenta ambasady Malowanego Paryża, by zrozumieć, że życie w tym mieście musiało być na dłuższą metę nieznośne. Niemal wszyscy cenili i lubili impresjonizm, ale życie w świecie, w którym przez większą część doby panuje południe płynnie przechodzące w zachód, a światło potrafi odmieniać kształty nie tylko budynków, ale nawet jego mieszkańców, zmieniać smak potraw i wpływać na charaktery ludzi, czyniąc z nich czasem szaleńców, musiało być nieznośne. Olga odwiedziła kiedyś to szalone miasto i uciekła z niego po trzech dniach.

Niektórzy lubili te przemiany, dlatego francuskie kurtyzany cieszyły się w Moskwie największym wzięciem. Olga wolała jednak stabilniejsze światy.

Za Francuzem stał ktoś, kogo nie rozpoznała. Zadrzała. Czy mógł należeć do tajemniczej trzeciej siły? Owego cienia w ukryciu, od dekad starającego się potajemnie przejąć władzę nad Moskwą? Pozostawał wielką tajemnicą. Podobno rządził namalowanym światem przestępczym, ale nawet tam stanowił legendę. Niemniej czasem udawało się schwytać kogoś, kto widząc, że jest bez szans, rozpływał się nagle w rozmazaną plamę, jakby ktoś czuwał stale nad portretami swoich agentów i w ostateczności oblewał ich namalowane wizerunki rozpuszczalnikiem.

Odwróciła prędko wzrok. Agenci TG z pewnością będą śledzić każdego z gapiów. Z ich raportów dowie się wszystkiego.

Prawie udało się opanować ogień. Zwykle ze strażą pożarną

Malowanej Moskwy współpracowali specjaliści TG, nie inaczej było i tym razem. Transport Galicyjski dysponował własnym, nowoczesnym wozem strażackim, a także karetkami i szpitalem. Wynoszeni z Pałacu Łączności ranni układani byli na noszach, na których oczekiwali na transport. Olga dopadła do wyglądającej na przytomną Mariki Nozdriow, kiedy tylko jakiś potężnie zbudowany mężczyzna, na którym wciąż jeszcze tliło się ubranie, ułożył ją ostrożnie na ziemi obok nieszczęsnej Flory Rącz, której płomienie spopieliły niemal całą prawą rękę.

Marika pokasywała, nie chciała puścić dłoni swojego wybawcy. On nie próbował się uwolnić. Głaskał ją po głowie i szeptał coś uspokajająco. Przerwał, gdy pojawiła się Olga. Na sekundę zeszywniał. Także Rostowna, rozpoznając go, zatrzymała się gwałtownie. Czas nie miał się mieszkańców malowanych miast, jednak ten człowiek zmienił się, odkąd dziewczyna widziała go ostatnim razem. Już gdy go malowano, siwizna szturmowała jego włosy, a oczy wydawały się starsze od wszechświata, jednak teraz wyglądał, jakby przytłaczał go dodatkowy ciężar. W przeciwieństwie do wielu ludzi nie pozwolił upiększać swojego portretu, nawet ubranie nakazał zachować typowe dla siebie, nieprzesadnie eleganckie, przede wszystkim wygodne. Choć technologia malowanego świata znacznie się rozwinęła i pozwalała teraz za odpowiednią cenę zmieniać stroje, a nawet fryzury i makijaże, on rzadko korzystał z takich przywilejów, bynajmniej nie ze względów finansowych. Olga wiedziała, że był zamożnym człowiekiem. Być może starał się ze wszystkich sił pozostać takim, jak za życia, a może chodziło o coś więcej. Pokutę?

– Pan! – szepnęła. – Pan...

– Za późno się o wszystkim dowiedziałem – mówił pewnie, a jednak zabrzmiało to, jakby się usprawiedliwiał. – Nie miałem czasu szukać telefonu. Zawiadomiłem swoich, ale nim oni zdołali skontaktować się z Galicyjskimi...

Olga wiedziała, co miał na myśli. Fizyka Twardego Świata miała swoje zasady. Domyślała się, kim mogli być opiekunowie tego mężczyzny, sprawujący pieczę nad jego portretem. Przeszedł ją dreszcz na samą myśl o tych potworach, wędrujących przez kolejne dekady, a nawet stulecia, podporządkowanych jednej opętanej misji. Nic dziwnego, że nie utrzymywali stałej łączności z Transportem Galicyjskim. O ile wiedziała, cały Twardy Świat chciał ich dopaść.

W każdym razie ta jego część, która zdawała sobie sprawę, że nie byli tylko legendą.

– ...to on, Olgo! – Był nadzwyczajnie podniecony. – To on! Nasz tajemniczy władca półświatka. To on zaatakował Pałac, jestem tego pewien!

Wyciągnął ku niej dłoń. W pierwszym odruchu chciała ją uchwycić, ale po chwili zorientowała się, że trzymał coś w ręku.

Kapsułka. Szklana kapsułka.

– Co to jest? – zapytała.

– Dotąd sądziliśmy, że ktoś czuwa nad portretami jego agentów. Ale to prawie niemożliwe, tło portretu jest stałe. Namalowany, który wędruje po Moskwie, znika w tym czasie z własnego portretu. Chyba że opracowali jakąś nową technologię. Ale nie. Proszę to zatem ode mnie wziąć, niech to zbadają. Sądzę, że to jakiś rodzaj

gwałtownie działającego rozpuszczalnika. Morderca próbował go przegryźć, ale na szczęście zginął zanim mu się udało. To znaczy, że oni rozpuszczają się sami, gdy są zagrożeni. Nikt stale nad nimi nie czuwa.

Wzięła ampułkę. Owinęła ją na wszelki wypadek chustką. Diabelstwo mogło się rozbić przypadkiem, a Olga nie zamierzała kończyć jako rozmazana plama. Już raz umarła, powtarzanie tego nie leżało w jej planach.

– Czy był sam?

– Dopadłem trzech. Ale pierwsi z nich... – Rozłożył ręce.

– Dziękuję panu. Ale proszę, niech pan już idzie. Nie powinni widzieć, że się znamy, że rozmawiamy zbyt długo.

– Ma pani rację. – Skinął głową, a jednak wydawało jej się, że w jego głosie pojawił się wyrzut.

Uklonił się najpierw Oldze, potem Marice, i odszedł prędko, nie oglądając się za siebie. Obie kobiety odprowadziły go wzrokiem.

– Zna go pani? – zapytała Marika. – To jeden z naszych?

– Tak i nie. Niezupełnie. Proszę o nim zapomnieć. Tak będzie lepiej.

– Zapomnieć... Pani prezes, on uratował mi życie! Wbiegł do sali wśród płomieni, jakby ich nie zauważał. Zastrzelił mężczyznę, który już miał mnie zabić, a potem jeszcze dwóch! Tak szybko, tak...

– Bezwzględnie?

– Sprawnie. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. A potem wyniósł mnie z pożaru. Takich rzeczy się nie zapomina... – Rozkasłała się i ten kaszel jakby ją otrzeźwił. – Przepraszam. Zaatakowali, gdy

przyjmowałam meldunek od OTG „Dorka”. Tamci też zostali zaatakowani. Ten pożar to dlatego, że obraz przedstawiający moje stanowisko zaczął płonąć w Twardym Świecie. Nie wiem, czy to przypadek, czy zgrana akcja, ale ataki na okręt i na Pałac przebiegły prawie równocześnie. Ja... nie jestem pewna, ale OTG „Dorka” chyba została zniszczona.

– Dziękuję. To ważne informacje. Proszę wstać, pomogę pani dojść do karetki.

Prowadząc ku pielęgniarkom Marikę, wciąż przepraszącą za niedostatek wiadomości o „Dorce”, Olga zastanawiała się, czy rzeczywiście atak tu i w kosmicznych przestrzeniach Twardego Świata mógł być skoordynowany. Należało jednak przyjąć najgorsze rozwiązanie i działać tak, jakby ich wróg okazał się groźniejszy, niż przypuszczali. Jakby, podobnie jak Olga, miał potężnego sojusznika w Twardym Świecie.

Jakby właśnie zaczęła się wojna.

Rozdział trzeci

*Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,
szalupa ratunkowa w drodze ku Ziemi*

Zostawili przebudzoną Tiamat daleko za sobą. Przez czas jakiś wsłuchiwali się w komunikaty o zniszczeniach poczynionych przez boginię, aż wreszcie Hoygren wyłączył radio, w którym zresztą coraz częściej słychać było już tylko trzaski. Być może Tiamat znów wydawała swoje zakłócające łączność i działanie instrumentów ryki, a może zniszczyła większość przekaźników.

Wysłali sygnał w kierunku najbliższej boi sygnalizacyjnej Transportu Galicyjskiego i zamilkli. Drygieł, którego rozcięcie na ramieniu Hoygren zdołał opatrzyć samodzielnie dzięki pokładowej apteczce, wpatrywał się w ocalony obraz, próbując dostrzec coś przez spowijający wewnątrz sali łączności dym. Raz mignęło mu kilku strażaków, ale poza tym nikt nie pojawiał się w polu widzenia i nie było jak nawiązać kontaktu ani z ludźmi z Malowanej Moskwy, ani z centralą TG. Okręty dysponowały zastępczymi technologiami komunikacyjnymi: eksperymentalnymi pciuchami – hodowanymi w wysokich szklanych słojach niczym homunkulusy, a zdolnymi ponoć, w ograniczonym zakresie, wędrować pod prąd czasu i dostarczać wiadomość nawet i na godzinę bądź dwie przed jej wysłaniem – laserowymi przekaźnikami oraz pokładowymi telepatami dalekiego zasięgu, przedziwnymi istotami składającymi się niemal wyłącznie z głowy i

żołądka, żyjącymi w specjalnych pojemnikach wypełnionych odżywczym żelem.

Żadna jednak z tych technologii nie mogła równać się z możliwościami ofiarowanymi przez malowane miasto, a w dodatku wszystkie one przepadły wraz z okrętem.

– Żywności starczy dla nas dwóch nawet i na pół roku – referował sprawdzający stan zapasów i całej szalupy Hoygren. – Smaczne toto za bardzo nie jest, ale co robić. Z wodą gorzej, ale systemy szalupy będą ją odzyskiwać z tego, co wydalamy. Najgorzej z energią. Tu nie mamy stosu atomowego, a jedynie akumulatory i...

– Przecież wiem to wszystko – przerwał mu Drygieł. – Skoro nic nie jest uszkodzone, to wszystko działa, jak nam mówili na szkoleniu.

– Chciałem przerwać jakoś ciszę. Od trzech godzin wpatrujesz się, bracie, w obraz jak sroka w gnat. Tej twojej laski nie widać? To pewnie żyje, bo inaczej widziałbyś jej trupa. Nie myśl już o niej, skup się na nas. Myślisz, że będą nas ścigać te świry?

– Herostratejczycy? Chyba niewielu ich wyszło żywych ze starcia z Tiamat. Tak się kończy igranie z bogami.

– Myślisz, że to oni stali za przebudzeniem?

– A kto?

– Mnie się zdaje, że kultyści. Myśleliśmy, że zasuważą grzecznie w kopalni, a oni przez te wszystkie lata szykowali ponowne przebudzenie smoczycy, skurwiele.

– A herostratejczycy przypadkiem zaatakowali nas w tym samym momencie? Nigdy dotąd nie atakowali TG. Nawet oni nie są tak szaleni. Jeśli Tiamat przebudzili kultyści, jedni musieli

współpracować z drugimi. A może nie tylko z nimi?

– Co masz na myśli?

– Sam nie wiem. – Drygieł wzruszył ramionami. – Za dużo tego na raz. Ale wiesz, tyle lat był spokój! Jasne, jakieś zamachy terrorystyczne, wojna z Wieczną Rewolucją, Wiosna Dżinnów na Bliskim Wschodzie, Imperium Śiwy, Niepowstali... Zebrałoby się tego. Ale w sumie panował spokój. I nagle jednego dnia budzi się Tiamat, a herostratejczycy dostają świra...

– Oni zawsze mieli świra, bracie. „Wolność to prawo do destrukcji”, „niszczenie jako akt sprawiedliwości”, „entropia jest prawem kosmosu”. Mam ci jeszcze pojechać ich sloganami?

– Nie no, jasne. Ale pierwszy raz tak zaszaleli, żeby zaatakować okręt TG. Skąd oni w ogóle mieli takie uzbrojenie? Takie okręty?

– To chyba nie są sprawy na nasze podoficerskie głowy, co?

– Sam chciałeś gadać.

– Prawda, chciałem. Żebyś nie myślał już o tej laluni. Słuchaj, to tylko laska, w dodatku namalowana. Jasne, też słyszałem cuda o ekstazach pod słońcem Van Gogha albo o tym, co mogą ci zrobić dupy od Klimta. Ale do tego trzeba mieć kupę kasy, a potem umrzeć. Skup się na tym, co masz w zasięgu, chłopie. Na przykład ta dziunia z mesy, Kubanka, jak jej tam...

– Maria.

– No, ona. Leci na ciebie. Kurde, oczu od ciebie nie może oderwać. Żywa, cycata laska, chłopie, nie jakiś namalowany duch.

– Żywa to już chyba nie – westchnął Drygieł i na jakiś czas znów zapadła cisza.

Nie zakłócało jej szemranie mechanizmów szalupy. Silniki

milczały. Energii w ich akumulatorach zostało tyle, by pojazd zdolny był do wykonania paru manewrów, ale nie więcej. Łagodne światło panujące wewnątrz pochodziło z prawie niewyczerpywalnej esencji świetlików. Bezszelestnie działał też komputer pokładowy, skupiony teraz na sondowaniu najbliższej okolicy w poszukiwaniu ratunku bądź zagrożenia.

Pozbawiony napędu skonstruowanego w oparciu o legendy o alternatywnych, pozbawionych magii światach pojazd nie mógł posiłkować się ciągiem Lema, by w miarę szybko dotrzeć do najbliższego posterunku TG. Szalupa zużyła mnóstwo energii, by uniknąć zderzenia z Tiamat i szczątkami okrętów, a następnie by odpalić na ledwie piętnaście sekund silniki i uciec od bogini skupionej na większych, apetyczniejszych kaskach. W tej chwili rozbitkowie mogli liczyć tylko na to, że starczy im zasobów do czasu, gdy ktoś wreszcie ich odnajdzie.

– Myślisz o Czarnym Statku? – odezwał się ponownie Hoygren.

– O czym? – nie zrozumiał Drygieł, znów wpatrujący się w obraz. Wydawało mu się, że dym tam rzedniał. Jeśli tak, istniała szansa, że ktoś wreszcie pojawi się w sali łączności.

– Czarnym Statku. Tym, który poprzednio zabił Tiamat.

– Daj spokój! To tylko legenda!

– Oj, chłopie! Słyszysz, co mówisz? „Tylko legenda”? Zapomniałeś, na jakim świecie żyjesz? Nawet jeśli to legenda, to właśnie dlatego powinien się pojawić znowu i zabić Tiamat. Nieprawdę mówię? Cholera, to ty byłeś lepszy na szkoleniach z fidezykacji! Myśl racjonalnie, do cholery! Nie ma nic prawdziwszego od legend!

– No dobra – westchnął Drygieł, odrywając wzrok od obrazu.

Spojrzał na przyjaciela i zdziwił się intensywnością, z jaką tamten wpatrywał się w niego. – Czego ty ode mnie chcesz?

– Żebyś się obudził, chłopie! Jesteśmy rozbitkami. Nasze życie może zależeć od przytomności umysłu, a ty gapisz się w przypalony obraz i pieprzysz od rzeczy. Kurwa, Czarny Statek to tylko legenda, Smok Wawelski to tylko legenda, zabójca Kutrzeba to tylko legenda, a pieprzona Tiamat to tylko mit, tak?

– Mieszasz porządki – skrzywił się Adam. Nie chciało mu się gadać o tych pierdołach, ale uznał, że musi jakoś uspokoić Petyra, który najwyraźniej zaczął histeryzować. Dziwne, Drygieł zawsze uważał, że z nich dwóch to Hoygren jest silniejszy tak fizycznie, jak i psychicznie. – Smok Wawelski, Tiamat, tak. To legendy, mity, ożywione w epoce dzikiej fidezykacji, kiedy nikt nad tym nie panował i nikt nie wiedział, o co chodzi. To stwory z czasów chaosu, relikty z Kresu. Ten tam Kutrzeba to już legenda miejska z XX wieku. Historia o zabójcy tak opętanym zabijaniem, że zmienił się w awatar śmierci, teoretycznie miałyby sens, ale... Niby kiedy miał zginąć?

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym albo siedemdziesiątym ósmym. Jakoś tak.

– No to nie ma siły, żeby zaistniał. Dobra, powiedzmy, że jest małe prawdopodobieństwo. Tylko że jeśli zginął w siedemdziesiątym ósmym, to jak szybko mógł narodzić się jego kult? Ale tak, żeby zebrać wystarczająco dużo wiernych? W dwa lata? W trzy? Przecież koniec lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku to już czas, kiedy rządy i zarządy mocno kontrolowały przepływ fidezyny i uczyły się jej produkcji. Spontaniczne cuda były

coraz rzadsze, bo paru ważniaków na górze zdało sobie sprawę, że zapasy nie są niewyczerpywalne...

– W sumie to są.

– W sumie to za cholere nie są. Chcesz się na ten temat sprzeczać, idź, pogadaj z monoteistami. Oni przeprowadzali badania na ten temat. Ten tam... Heller obliczył, że we wszechświecie nie ma dość energii, by stworzyć nieskończonego, monoteistycznego Boga.

– To był ksiądz, nie? Takie wyniki były mu na rękę.

– Ale co do zasady miał rację. W każdym razie wtedy już prawdziwi ważniacy kładli swoje tłuste łapska na pozyskiwaniu energii z cudów, wiary i takich tam. Więc twój Kutrzeba nie miał wielkich szans zaistnieć jako demon. Do tego potrzeba od cholery wyznawców skupionych na konkretnym celu. Czyli laboratoria albo kościoły. Słyszałeś o jakimś kościele świętego Kutrzeby?

– Ale w laboratorium mogliby go przywołać, tak?

– Gdyby ktoś chciał marnować energię na stworzenie szalonego potwora, którego nie można kontrolować? To musiałby być jakiś świr. Ale teoretycznie...

– Tu cię mam! Świrów na świecie nie brakuje! Ale pal tam sześć Kutrzebę. – Hoygren niby to mrugnął porozumiewawczo, ale Drygiel wciąż odnosił wrażenie, że napięcie nie znikło z jego wzroku. – To miał być tylko taki przykład. Chodzi o Czarny Statek. Jest legendą, tak?

– No jest. Ale...

– Czeka! Wiem, co powiesz. Że fidezyna. Ale słuchaj, ktoś ożywił Tiamat, nie? To wymagało od cholery fidezyny, no i tak się składa, że obok była jej kopalnia. Może zresztą złożyła cały czas zasilali

kultyści, ale nikt się nie połapał, bo przy kopalni były takie zakłócenia, że hej, nie?

– Mogło tak być, ale...

– Czekał, mówię! Więc pojawia się Tiamat, wraz z tym następuje dziki skok poziomemu aktywnej fidezyny. A tak się składa, że pojawieniu się Tiamat towarzyszy jeszcze jedna legenda, ta o Czarnym Statku. Mogłaby się podpiąć pod fidezynę Tiamat?

– Fidezynę użytą do przywołania Tiamat – sprostował odruchowo Drygieł. Zmarszczył brwi. – No dobra, teoretycznie masz rację, to by mogło zadziałać. Tyle że jest jeden szkopuł. Żeby legenda mogła zadziałać, ktoś musi w nią wierzyć.

– Ja wierzę w Czarny Statek!

– Ty jeden to chyba za mało.

– Skąd wiesz, że tylko ja?

– Bo tym razem nie przyleciał, prawda? Nie wyskoczył z ciemności, żeby zabić potwora. Moim zdaniem za pierwszym razem nikt Tiamat nie zabijał. Po prostu fidezyna była niestabilna i przywołanie nie wyszło, a potem ktoś dorobił do tego opowieść o tajemniczym zbawcy. My, ludzie, tacy już jesteśmy, że lubimy podobne opowieści. „Czarny statek znikąd” brzmi lepiej niż „zepsute zaklęcie”. Ale ostatecznie ta legenda okazała się zbyt słaba. To trochę jak z tym twoim Kutrzebą. Może istniał, może nie. Wszystko jedno, ostatecznie opowieść o nim okazała się zbyt słaba, by ją wykorzystać. Chcesz wiecznie żywego zbrodniarza? Poczytaj o Kubie Rozpruwaczu. Ten skurczysyn ciągle wraca.

Rozdział czwarty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Belgrad / Przystań Carogrodu

„Teraz!” – powtórzył Kutrzeba, gdy Zmora nie zareagowała od razu.

„Jeszcze chwilunia. Niech się suki mocno złapią”.

No pięknie. Jemu tu pozostało tchu na sekundę albo dwie, wiły z Dunaju ciągnęły go na dno, a Zmora wpadła w jeden ze swoich buntowniczych nastrojów, podczas których zachowywała się niemal jak jego żona, a nie duch zemsty, czuwający nad spłaceniem krwawego rachunku.

Kiedyś było inaczej. Lata temu, gdy Kutrzeba po prostu parł przed siebie, nie zważając na nic, każdą napotkaną istotę traktując jak narzędzie. Zmora była wówczas tylko przyczajoną w nim energią, pomagającą mu przetrwać, dodającą sił i wyrywającą ze szponów śmierci, gdy mścicielowi powinęła się noga. Kutrzeba zdawał sobie sprawę, że jak wszystko, także i ta pomoc miała swoją cenę. Sądził jednak, że stanie się nią jego dusza, a może jego śmierć, gdy już będzie po wszystkim, gdy dopadnie ostatniego z zabójców odpowiedzialnych za śmierć żony i dzieci. W rzadkich chwilach optymizmu próbował wierzyć, że ceną za wysługi Zmory stało się jego utracone życie: wszystkie te wyrzeczenia, odrzucone miłości, wzgardzona stabilizacja, nienawiązane romanse i przyjaźnie, chwile radości i szanse na szczęście. Każda ze ścieżek wiodących ku czemuś lepszemu, które zignorował, gnany przez

furię siedzącej w nim demonicy. Pogodziłby się z taką ceną, bo ją rozumiał.

Stało się inaczej.

Odnosił wrażenie, że płacił jej swoim życiem i swoją duszą, nie tak jednak, jak przewidywał. Im dłużej pozostawali ze sobą związani, tym bardziej zmieniała się Zmora i relacje między nimi.

Z pewnością nie była już po prostu na jego rozkazy; od dawna nie, o ile kiedykolwiek. Pomagała mu, ratowała życie, nie dlatego jednak, że wzywał ją bądź jej rozkazywał, lecz dlatego, że sama tak chciała.

Kiedyś, w świecie pełnym powietrza i słońca, a nie tych mrocznych zimnych toni, w które Kutrzeba właśnie się zapadał, Szuler położył mu swoje wielkie łapsko na ramieniu i spojrzał na niego przez opaskę zasłaniającą oczy: nie jak człowiek, ale jak bóstwo, postrzegające zmienne linie losu.

Siedzieli wówczas na jednym z niewielkich pagórków odbudowywanej Przystani Carogrodu. Duchy, upiory i ludzie uwijali się, wznosząc nowy pałac wokół mogiły, w której pochowano ostatnich Rostowów. Nie miał przypominać dawnego, pięknego budynku, pełnego radości i śmiechu, lecz raczej bunkier, serce niezdobytej twierdzy. Nowy hrabia i jego narzeczona, choć durni i pełni optymizmu, jak to młodzi, posłuchali w tej sprawie rad mądrzejszych od siebie. Przyszło im to tym łatwiej, że jeden z doradców był bogiem, a drugi morderczym draniem.

– Rozmawiałem o tobie z córuchną – powiedział wówczas Szuler.
– Jest ci wdzięczna za pomoc. Chciałaby podziękować osobiście, ale unikasz jej.

– Wiele nie zrobiłem – zbagatelizował Kutrzeba. – I nie unikam, tylko ciągle jest coś do roboty.

– Unikasz. – Szuler uśmiechnął się po swojemu, czyli ponuro. – Musimy o tym pogadać, Mirku. Wiesz, czym Wandzia jest.

– Wiem, co sobie na ten temat wyobrażasz.

– Nie „wyobrażam sobie”. Wiem. To bogini bogów, Mirku. Jeszcze nie do końca przebudzona. Ale już wyczuwamy jej potencjał. Ja, Burzymur, Sara. Tylko Jasiek nie, ale wiesz, to matoł.

– Ładnie to tak o własnym zięciu...?

– Matoł, mówię! No, ale wybrała go córuchna, nie wiem, dlaczego. Miłość to jednak najsilniejsza magia. Nawet Burzymur i Sara... – przerwał.

– Dogadaliście się w sprawie nazwiska? – zagaił prędko Kutrzeba, by zmienić temat. – Wybiłeś jej z głowy przyjmowanie mężowskiego?

– Prędeż spalę ten gród, a ją zamknę na szczycie szklanej góry, niż pozwolę, że by nazywała się Wanda Koziółek! – warknął Szuler. Dym buchnął mu z uszu. – Przyjmę zięcia głupola, bo ostatecznie dobry z niego człowiek, ale... – przerwał. – Ty mnie tu nie zwódź, Mirku! Powiem ci, co muszę powiedzieć! Unikasz Wandzi, bo sam czujesz przy niej niepokój.

– Boję się, że może na mnie lecieć, a wolałbym sam się zamknąć na szczycie szklanej góry, niż zostać twoim zięciem.

– Czujesz niepokój – ciągnął niezrażony Szuler – bo też działa na ciebie jej moc, niechby nawet utajona. Ludzie jej nie czują. Ty tak. Wiesz, co to znaczy?

– Że jestem niespotykanie wrażliwy?

– Kpij sobie, kpij. To ostatnia ucieczka przed prawdą. Ale ten jeden raz jeszcze posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Ta twoja Zmora cię zmienia. Bardziej niż myślisz. To, że czyni cię bezwzględniejszym, niż kiedyś byłeś, to jedno. Ale zmienia cię w stwora z naszej strony. W demona.

– Mhm. A przebywanie z Nowakowskim zmienia mnie w Marsjanina. Ech, Szuler...!

– Słuchaj, mówię! Może to ostatni raz? Ludzie, zwyczajni ludzie, nie czują siły Wandzi, nie wiedzą, kim jest. To nie ich patronka, tylko nasza. I dlatego ty to wyczuwasz. Ale i ona wyczuwa ciebie. Uwzględnij to, Mirku. Nie dla dobra swojej duszy, bo ona już cię nic nie obchodzi, ale dla dobra tych twoich kalkulacji i planów. Inaczej działa człowiek, a inaczej demon.

– Mogę już?

– Możesz. Co chciałem, to powiedziałem.

– Po pierwsze, podpuszczasz mnie z tym: „dla dobra twoich kalkulacji”... Gdzieś ty się takiego słowa w ogóle nauczył?

– Twardowski tak gada. I Nowakowski. Takie marsjańskie gadanie.

– Aha. Pewnie dożyję dnia, gdy jakiś bóg albo demon obejmie katedrę matematyki na uniwersytecie...

– Ja pewnie dożyję, ale na twoim miejscu nie przesadzałbym z optymizmem. Co jest po drugie?

– Po drugie jest to, że może to nie ja się zmieniam, tylko Zmora we mnie? A może wzięlibyście pod uwagę z córeczką, że to ją właśnie wyczuwacie, a nie jakieś moje przekształcenia?

– Wierz, w co chcesz – westchnął Szuler. – Ja cię ostrzegałem. A

co do Zmory... Że ona się w tobie zmienia, to widzi każdy. Tylko ty tego tak naprawdę, ślepy durniu, nie widzisz.

I tyle było wtedy z rozmowy. A teraz Kutrzeba tonął i zastanawiał się, czy Zmora nie wymyśliła sobie, że pozwoli mu zginąć, żeby bardziej ją docenił, gdy będzie go potem ożywiać. Ostatnio wspomniała coś półgębkiem, że nikt nie dostrzega jej wkładu w misję Kutrzeby i to o nim głównie mówią w pieśniach i powieściach za trzy grosze.

Te powieści i te pieśni, śpiewane po stepach przez dziadów, za którymi wciąż podążały stada upiorów, niepokoiły Kutrzebę bardziej niż ostrzeżenia Szulera. Zdawał sobie sprawę, że większość uznawała je za zmyślane. Ale znajdowali się i tacy, którzy w nie wierzyli albo przynajmniej emocjonowali się nimi na tyle, by czuć się związani z bohaterami opowieści. A wiara i emocje w obecnym świecie stanowiły niebezpieczne zabawki.

Zastanawiał się nawet czasem, czy tylko przypadek stał za tym, że trafił do tych opowieści. Pieśni pasterzy pewnie nie dało się uniknąć. Zbyt wiele dokonał na Dzikich Polach, by nie wspomniano tam jego imienia. Toż w tamtym rejonie wystarczyło spalić byle stanicę, by potwory i ludzie zaraz zaczęli sobie powtarzać, że oto pojawił się nowy awanturnik, pragnący sławy i bogactwa. Ktoś, kto szedł w tan z zagonami Wiecznej Rewolucji, polował na upiory, toczył nad stepem powietrzne bitwy i zyskał prawo do posilenia się krwią Świętego Mikołaja, musiał zyskać sławę. Nawet to, że upiory, które zabijał, ale z którymi czasem wspólnie walczył przeciw czarnym komisarzom, lubiły pieśni o nim, nie mogło Kutrzeby dziwić. Ale pojawienie się opowiadań drukowanych na

papierze tak tanim, że zółknącym, nim jeszcze opuścił drukarnię, dało mu do myślenia.

Ktoś przecież musiał dostarczać materiału pisarzowi bądź pisarzom. Nie żeby drukowane powieści stanowiły odbicie jego rzeczywistych przygód. Ich autorzy zmyślali prawie wszystko. Kutrzeba staczał w nich pojedynki z gigantyczną małą przywiezioną z tajemniczej egzotycznej wyspy, podróżował na Księżyc, by ratować tam dziewicze księżniczki, stanowiące potomkinie jakiejś zagubionej ludzkiej wyprawy, a nawet własnoręcznie zbudowanym okrętem podwodnym odkrywał Atlantydę, na której też znajdowały się jakieś dziewice do uratowania. Niemniej pomiędzy wszystkimi tymi bzdurami umieszczano wzmianki o misji pomszczenia najbliższych, a także kilka innych odniesień do rzeczywistych wydarzeń. A bohaterem pozostawał mężczyzna opętany przez Zmorę i noszący imię Mirosław.

Jeśli więc Kutrzeba rzeczywiście zmieniał się, jak utrzymywał Szuler, to raczej nie za sprawą Zmory, a tych właśnie opowieści.

A jeśli tak, to najpewniej stał za nimi Szósty.

Na razie sprawił głównie to, że zaczytująca się w groszowych historyjkach Zmora wpadła w przygnębienie, odkrywając, że opisują ją tam jako bezmyślnego demona, raczej energię, narzędzie do wykorzystania, a nie czującą i inteligentną istotę. Znudzony jej żalami Kutrzeba rzucił kiedyś, że dla niego ona zawsze była równorzędną bohaterką ich wspólnej opowieści. Pożałował tego zaraz, bo rozplakała się i rzuciła mu się na szyję. Pozostali tak wystarczająco długo, by poczuł się nieswojo i zaczął ją głaskać po

plecach i włosach. A nawet by i on poczuł się jak kiedyś, gdy...

Odegnął to wspomnienie. Nie dodawało mu sił.

Szarpnął nogami, wyrwał je na sekundę z uścisku wił, ale dopadły go prędko.

„Teraz, do cholery!”.

„Teraz” – zgodziła się Zmora, uśmiechając się z zadowoleniem.

Nagle Kutrzebę otoczył bąbel powietrza, wyzwolony z kupionego za cenę małego majątku pod Krakowem czaru, którego Zmora uczyła się przez blisko miesiąc. Mirosław znów mógł zaczerpnąć tchu, ale czar nie po to został stworzony przez mistrza Twardowskiego, przeklętego centusia, który za nic miał wspólną przeszłość, by człowiek tylko oddychał pod wodą.

Bąbel rósł, ogarnął panny wodne i wodników, wiły-brodarice, które przeniosły się nad Sawę i Dunaj, gdy ludzie wyparli je z ich naturalnych siedlisk, mniejsze ryby, służące podwodnemu królestwu za zwiadowców i większe, używane w roli wierzchowców i obrońców. Całe to towarzystwo, dotychczas tak pewne swego, krzyczało teraz z bólu, bo czar ogrzał powietrze, czyniąc je nieznośnie gorącym, zwłaszcza dla stworzeń przywykłych do miłego chłodu. Ryby dusiły się, a i wodnikom brakowało tchu. Starczało ledwie kilka chwil w obrębie czaru, by traciły przytomność.

Kutrzeba znów był wolny. I jemu rozgrzane powietrze wysuszyło w mgnieniu oka usta i gardło, ale cierpiał mniej od istot wodnych. Przyglądał się bez słowa ich mękom. Bąbel powietrza narastał wokół nich, rosła też jego moc. Gdy czar dotarł do powierzchni wody, ta wyglądała, jakby się zagotowała. Mirosław ciekaw był, czy janczarzy Sabriye mogli to dostrzec z wysokości fortecznych

murów. Za dnia pewnie tak. Ale nocą?

Musiał przyznać, że Twardowski się spisał. Targował się o cenę czaru zażarcie, jednak był on wart wszystkich pieniędzy. Zdawało się, że powietrzny bąbel może rosnać bez końca, ogarniając brzegi obu spotykających się tu rzek. Kto wie – gdyby go nie przerywać, może zabiłby całe życie w obu rzekach?

Tyle że nie to stanowiło cel Kutrzeby.

Rozejrzał się niespokojnie. Przybył tutaj, by sprowokować i wywabić istotę, która nie pragnęła spotykać się z nikim, a już na pewno nie z jednym ze śmiertelnych mężczyzn, takim samym jak ten, który zniewolił ją w legendach. Zaakceptowała syna i pomagała mu, ale z ukrycia. Po tym, jak raz nie zachowała ostrożności i pozwoliła ukraść sobie szaty, stała się płochliwa i nieufna.

Kłopot w tym, że Kutrzeba jej potrzebował. Być może znalazłby jakieś inne sposoby na dotarcie do niej, lecz nie miał czasu na subtelności. Docieranie do syna kobiety, którą starał się sprowokować, powoli, poprzez stopniowe zdobywanie punktów u jego poruczników, następnie kapitanów i pułkowników, mogłoby zająć kilka miesięcy. A Kutrzeba odnosił wrażenie, że kończy mu się czas. Musiał wyciągnąć ją z kryjówki i to tak, by wzbudzić jej zaufanie.

Także Koryckiemu zaczęło się coraz bardziej spieszyć. Coś paskudnego musiało dziać się ostatnimi czasy w Krakowie, bo były policjant, obecnie tajna szycha jeszcze bardziej tajnego wywiadu, zaczął się niecierpliwić, a może nawet... bać?

– Dosyć! – Władczyni wód w Belgradzie przybyła wreszcie,

przyciągnięta lamentami swoich poddanych. Kiedyś była zwykłą wilą, żyjącą na granicy niekończącego się lasu i wiecznie zielonych łąk, lubiącą kąpać się od czasu do czasu z jednym z ukrytych stawów. Później jednak została matką jednego z największych serbskich herosów, a to przydało mocy i jej.

Zwłaszcza gdy powrócili oboje w czasach Kresu, a Bałkany stały się na powrót nie tyle kotłem, co huraganem setek mniejszych i większych wojen, toczonych na wszelkich płaszczyznach rzeczywistości.

Wkroczyła śmiało w granice bąbla powietrza. Jaśniejąc księżycowo, pochylała się nad rybami i demonami wodnymi i wyrzucała je poza zabójcze powietrze. Nie mogła jednak dosięgnąć wszystkich. Wśród jej jasnych, prawie białych włosów trudno było rozróżnić kilka naznaczonych siwizną, ale Kutrzeba dostrzegł je mimo wszystko; to były te jaśniejące nieco innym blaskiem, dodającym pani demonów powagi, nie tylko uroku. Choć lata naznaczyły jej twarz surowością, a teraz dodatkowo przepelniał ją gniew, wciąż pozostała niemal zniewalająco piękna, tym rodzajem urody, w którym dojrzałość miesza się z niegasnącą dziewczęcością.

– Dosyć! – powtórzyła. – Natychmiast uwolnij moich poddanych! Już ci nie zagrożą!

– Nigdy mi nie grozili. Przybyłem do ciebie. Uwolnię ich, jeśli mnie wysłuchasz.

– Nigdy więcej nie wejdę w targi z żadnym mężczyzną! Przekonasz się, że nierozważnie byłoby ze mną zadrzeć!

– Pojedynek między nami nie zabije ani mnie, ani ciebie, ale skończy się śmiercią wielu twoich poddanych. Nie chcę od ciebie

niczego więcej, jak tylko możliwości dotarcia do twojego syna.

– Jeśli sądzisz, że ci go wydam...

– Chcę mu zaproponować sojusz – znów nie pozwolił jej dokończyć. Sięgnął do kieszeni, by wydobyć z niej kawałek glinianej skorupy i pokazać go wile. – Mam dary. Myślę, że wiesz, co to jest.

– Uwolnij ich natychmiast!

– A mamy umowę?

– Bądź przeklęty! Mamy umowę.

Rozdział piąty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Dolina Raby / Bielsko Biała / Kraków

Podczas gdy Kutrzeba przez blisko dwa tygodnie przebijał się określonymi drogami do Belgradu, Korycki ukrywał się niedaleko Krakowa, w Dolinie Raby, wśród tamtejszych wzgórz i porastających je lasów. Strzegły ich tam zwierzęta, z którymi pustelnik Antoni, przyjaciel Koryckiego, pozostawał w dobrej komitywie, ale strzegły i upiory. Przysiedli nad brzegiem rzeki, podziwiając nawiedzające ją duchy. Razem z nimi siedział wielki biały pies o jednym uchu szpiczastym, sterczącym nad głową, a drugim klapniętym. Gapił się na wodę, której srebrzyste strumienie roztrącał ogromny duch mężczyzny, podrzucający nad sobą wspomnienie roześmianego dziecka. Ani olbrzym, ani jego berbec nie zwracali uwagi na innych mężczyzn, przyglądających im się z brzegu. Czasem wydawało się tylko, że dostrzegali psa. W takich chwilach obszczekiwał on ich radośnie, bądź przeciwnie, skomlał cicho a smutno.

– I tak jest każdego południa – oznajmił pustelnik, słusznego wzrostu mężczyzna o długiej i cokolwiek skołtunionej czarnej brodzie, której nie miała się siwizna. Głaskał psa po z lekka przezroczystym grzbiecie. – Dzieciak umarł tutaj. Budzi się co południe, wyłazi z grobu i gna nad rzekę, bo jego ojciec, zmarły gdzieś indziej, przychodzi tu się z nim spotkać. Bawią się przez

godzinę, potem każdy wraca do swego domu, a biedny Gon znów staje się moim psem.

– Pies duch – zadumał się Korycki. – Towarzysz dla ciebie w sam raz.

– Miałem kiedyś nawiedzone mrowisko, mogę mieć i psa ducha – wzruszył ramionami Antoni. – Sam wróciłem z martwych, nie? Jak umrę, pewnie też się zamienię w tutejszego ducha. O ile umrę... Nie wiem, czy ożywieńcy opuszczają ten łez padół, jeśli kto ich nie zabije. Mógłbyś tu ze mną zostać na zawsze, przyzwyczaiłbyś się. A może byś i znalazł jakiegoś ducha dla siebie? Chodzi tu taka jedna czarnooka. Piękna, mówię ci. A jak śpiewa...

– Mam już żonę.

– Więc masz i przed czym uciekać.

Korycki na moment rozpogodził się, roześmiał.

– Co ty tam wiesz! – Machnął ręką. – Ledwie ją na oczy widuję, tyle mam roboty. Zresztą, ona już mnie pochowała. Myślę, że pogrzeb był piękny, choć skromny. Leżę teraz na Rakowicach, jak jakiś zasłużony dla miasta, choć pewnie mało kto pamięta o moich starych zasługach, a o nowych mało kto słyszał. A moje serce jedyne jest nieutuloną w żalu, ale jednak dumną wdową.

– Wie? – zapytał pustelnik.

– Zabiłaby mnie, gdybym jej nie powiedział. Ale dzieci nie wiedzą, więc i tak mi się oberwie. Jak wrócę.

Przyglądali się rzadniejącym duchom, wciąż baraszkującym w wodzie.

– Te twoje dzieci i ta twoja baba uratowały ci życie – odezwał się wreszcie Strzelbicki, gdy Gon zawył głucho, a duchy zniknęły. –

Jakby nie one, byłbyś jak ten cały Kutrzeba. Wiele ci nie brakowało.

– Wiem.

Korycki przymknął oczy. Wspomniiał, jak siedzieli z Kutrzebą w bielskim browarze i jak nagle wpadli tam zabójcy, sprowadzeni tropem Zmory. Zerwali się na równe nogi, Kutrzeba, nagle znów żwawy i wcale nie brzuchaty, szybciej. Już strzelał z nowego pistoletu, zaprojektowanego przez jakichś warszawskich inżynierów, gdy Korycki dopiero wyciągał z kabury pod ramieniem swoją broń.

Za nimi do walki dołączali agenci Koryckiego. Część z nich niezupełnie po tej stronie, od której oficjalnie przyjmowała wypłatę. Dwóch zaufanych ludzi generała zginęło od kul w plecy, nim pozostali zorientowali się, że zostali wzięci w dwa ognie.

Czarnowłosa barmanka nagle zgubiła gdzieś swoje lata. Przeskoczyła jednym susem bar sięgający jej do piersi, zmieniła się w smugę mroku. Dopadła pierwszego ze zdrajców, rozerwała mu gardło. Skoczyła ku drugiemu. Obrócił się ku niej, strzelił dwa razy, trafił, rozrywając jej ramię i udo. Z ran buchnął ogień: dziwny, ciemnoczerwony, jakby z najgłębszego kręgu piekła.

– Srebrne! Świecone! – zawyła, padając.

Podniosła się prędko, choć rany nie chciały się zasklepić. Rozchodziły się z nich rubinowe pęknięcia, na razie tylko zygzakowatymi liniami cieńszymi od włosa, ale rosące z każdą chwilą. Z ran wydobywał się gryzący dym, czarny i gęsty.

Kutrzeba posłał kulę prosto w głowę mężczyzny, który już miał wystrzelić w Zmorę kolejne pociski. Zmarnował na to ledwie

sekundę, ale tyle wystarczyło, by dwóch kolejnych zabójców zdążyło wymierzyć we własny cel. A Korycki, nie tak szybki i sprawny jak niegdyś, zdołał zastrzelić tylko jednego z nich.

Nie było w pobliżu Szulera, by odchylił tor pocisku. Zresztą może nie marnowałyby nań mocy, bo napastnicy nie celowali do Kutrzeby.

Pierwsza kula trafiła Koryckiego w pierś. Poleciał do tyłu i wylądował na ławie, z której dopiero co wstawał. Bolało jak diabli. Zaklął. Kamizelka kuloodporna uratowała mu życie, ale czuł się, jakby umierał. Przez chwilę sądził nawet, że tak było. Ból w piersi wydał mu się równie silny jak od postrzału, mroczki latały przed oczami, stracił dech.

Ręka z bronią zdrętwiała mu i opadła. Chciał zastrzelić drania, ale nie mógł w niego wycelować. Odzyskał wzrok prędko, ale głównie po to, żeby zobaczyć, jak tamten mruży oczy, składając się do drugiego strzału. Szczęśliwie zginął, nim sam zdążył zabić. Trafił go, prawie nie celując, przeskakujący nad zagradzającym mu drogę do Zmory stołem Kutrzeba. Głowa zabójcy eksplodowała, a Korycki znów znalazł siły, by zakląć.

Wbiegli następni. Przydusili ogniem ochroniarzy generała, którzy próbowali przebijać się ku szefowi. Ci nowi nie tracili czasu i energii na subtelności. Uzbrojeni w broń maszynową siekli po ścianach i stołach, stawiając siłę i natężenie ognia ponad celność, zakładając, że statystyka będzie po ich stronie.

Korycki zgadzał się z nimi. Sycząc z bólu, zsunął się na podłogę, pod stół. Akurat na czas, by zobaczyć granat, który podtoczył mu się pod sam nos. Zawirował niczym dziecięcy bączek, hipnotyzująco. Generał gapił się w niego, niezdolny choćby drgnąć,

aż granat eksplodował wreszcie, urywając mu głowę.

Wtedy obudził się z krzykiem. Utracił łączność z jednym ze skazanych ostatecznie na śmierć zbrodniarzy, którego ciało mistrz Twardowski zamienił tak, by niczym nie różniło się od ciała starego policjanta, a umysł wyczyścił do cna, poddając go całkowicie woli podczepionego podeń umysłu generała. Śmierć tamtego ciała przebudziła Koryckiego ze snu, w którym prowadził on swojego sobowtóra aż do ostatniej chwili życia.

– Spokojnie. – Nadzorujący procedurę lekarz położył mu dłoń na czole. – Żyjesz pan. Wszystko w porządku. Proszę oddychać. Spokojnie, głęboko. Zaraz damy panu coś do picia. Siostrze? Wody...

– Czarciego mleka! – wychrypiął Korycki. – Pieprzoną butelkę!

Godzinę później siedział naprzeciwko Admirala. Wciąż drżały mu ręce.

– Z browaru zostały zgliszcza – głos Admirala był spokojny, prawie aksamitny. Tak mówili spikerzy radiowi prowadzący nocne audycje albo poeci recytujący wiersze, by uwodzić młode dziewczęta. – Pana okaleczone zwłoki już tu wiozą.

– Kutrzeba?

– Zniknął, jak to on. Pewnie go ścigają. Ale pan oficjalnie nie żyje.

– Znakomicie – bąknął Korycki. Spróbował się uśmiechnąć, ale zupełnie mu to nie wyszło. Wciąż pamiętał uczucie umierania i rozpaczliwy wrzask duszy skazanego, którego wykorzystali. Mogli wyczyścić mu magicznie umysł, ale dusza to zupełnie inna sprawa. Duch wciąż siedział w ciele i zdawał sobie sprawę z tego, co się działo. To przypomniało Koryckiemu o jeszcze jednym.

– Trzeba tam wysłać egzorcystę. Duch... mojego nosiciela może

zacząć straszyć w ruinach i wszystko szlag trafi.

– Już o to zadbaliśmy.

No jasne, że zadbali. Admirał nie pozostawiał nic przypadkowi.

Nikt nie wiedział, kim obecny przełożony generała był naprawdę. Nie znano nawet jego imienia – ani przyczyny, dla której je ukrywał. Kiedyś rywalizowali, on i Korycki. Jeden służył w policji, drugi armii odradzającego się Królestwa Polskiego. Działo się to w czasach, gdy Warszawa starała się jakoś okiełznać ambicje Kolei Galicyjskich i wiedzona starym sporem, naiwnie wzięła na cel Kraków, jakby nie zauważając, że to we Lwowie wzrastały niebezpieczne dla jej państwowej hegemonii siły. Nim doradcy króla uświadomili sobie błąd, Admirał zorientował się, jak wyglądają sprawy. I przeszedł na stronę Kolei, by potem odejść i od nich i działać na własną rękę. Zawsze w cieniu i zawsze użyteczny dla innych, nagle stał się niezbędny praktycznie dla wszystkich, dla których nie do pomyślenia było poddanie Polski jakiegokolwiek obcej dominacji. Warszawa pogodziła się ze Lwowem i z Krakowem, a król Ziemowit Sobieski odkrył, że bliżej mu do rodzimych Kolei Galicyjskich niż do którejkolwiek z obcych korporacji.

Wysoki, szczupły, o posiwiałych skroniach, Admirał przypominał raczej księdza niż wojskowego. Zawsze spokojny, zawsze pewny siebie i zawsze dbający o najdrobniejsze szczegóły.

Wspólnie z Mellizath'lem Nowakowskim, Jakubem Szymanem i nową gwiazdą krakowskiego oddziału Kolei Galicyjskich, Adrianem Segą, praktycznie rządzą obecnie w Krakowie. I choć nie przeszkadzało to Nowakowskiemu wadzić się czasem z Segą, Admirałowi zawsze jakoś udawało się godzić tych dwu.

– Więc zniknę teraz na jakiś czas. Mam już przygotowaną metę, w której mogę się przyczaić.

– U tego...

– Tak, tam.

O ile Korycki wiedział, był jedynym człowiekiem, który potrafił przerwać Admirałowi. Cóż, zostało w nim nieco przekory z dawnych czasów.

– Dobrze. Przyda się panu trochę oddechu. Ale za dwa, trzy tygodnie wezwę pana.

– Za dwa, trzy tygodnie umrę tam pewnie z nudów.

Nie umarł. Grali z Antonim w karty, pili naleweczki i snuli się po okolicznych wzgórzach. A w każde południe chadzali z psem nad rzekę, by pogapić się na duchy.

– Nie żal ci? – zapytał pustelnik, gdy nadeszło wezwanie od Admirala.

– Wszystkiego mi żal. – Korycki spojrzał ożywieńcowi prosto w oczy. – A tobie nie było żal, gdy cię wieszali?

– Ścięli mi, kurwa, głowę. Na znak pieprzonego szacunku. Ile razy mam ci jeszcze powtarzać?

– Nie będziesz musiał odmówić jakichś zdrowasiek za te przekleństwa?

– To twój grzech, że mnie do nich zmusiłeś. Ja jestem tradycyjnie niewinny. Wyjawszy ten jeden raz sprzed dwustu lat.

– Jeden raz, he? Nie ścięli cię za jeden raz, tylko za zarządzanie bandą brutalnych rabusiów. Ale wiesz, w Krakowie nikt już o tym nie pamięta. Wróciłbyś ze mną.

– Nigdy tam nie wrócę.

- Nie dokończyliśmy jednej sprawy...
- Dokończyliśmy wszystkie. Tylko od lat nie chcesz tego zaakceptować.

Nie powiedzieli już nic więcej. Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie i Korycki odszedł, eskortowany przez ducha psa z dziesiątego wieku. Pustelnik, dawny mistrz katów, żołnierz Konfederacji Barskiej, skazany na śmierć przez ścięcie herszt rozbójniczej bandy, ozywieniec, doradca policyjny, a ostatecznie samotnik żyjący wśród duchów, odwrócił się i przeszedł w cieniu ruin kamiennej wieży, które zaczęły wyrastać spod ziemi, odkąd się tu sprowadził. Ukrył się w skromnej drewnianej chatce i jak to miał w zwyczaju od mniej więcej dwóch dekad, ukląkł, by pomodlić się za swojego ostatniego przyjaciela.

Rozdział szósty

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

Większa część mieszkańców Malowanej Moskwy podróżowała przez miasto przy pomocy dorożek, jednak Olga otrzymała do dyspozycji specjalną karetę, niezbyt ładną, w dodatku posępnie czarną, ale zaopatrzoną w pancerne szyby oraz specjalne wzmocnienia, które w razie potrzeby pomogłyby powstrzymać przez jakiś czas napastników. Ciągnięty przez cztery konie pojazd prowadził Piotr Aleksiejewicz Gruszyn, były żołnierz, który przywędrował do Malowanej Moskwy prosto z *Panoramy Borodińskiej*.

Woźnica stanowił jeden z tych dziwnych bytów, które przenikały do namalowanego miasta z innych obrazów, choć nie tworzyli ich artyści obdarzeni czarodziejskimi umiejętnościami. Oldze w każdym razie nie było wiadomo, by Franc Aleksiejewicz Roubaud, który namalował *Panoramę* jeszcze przed wybuchem Wielkiej Wojny, był cudotwórcą. Zważywszy na fakt, że jego wielkie dzieło powstało przed przybyciem Marsjan, być nim nawet nie mógł.

Chyba że, jak utrzymywali niektórzy, magia działała na Ziemi i wcześniej, już wtedy istnieli bowiem ludzie, którzy potrafili korzystać z odkładających się przez dziesiątki tysięcy lat pokładów fidezyny.

Jakby nie było, setki neofizyków próbowały rozwikłać tę tajemnicę. Wyglądało na to, że magia miasta sięgała daleko poza

jego granice. Przyzywała do zbudowanej na tęsknotach i sentymentach stolicy postacie i przedmioty związane z całym krajem. W efekcie w Malowanej Moskwie pojawiali się przybysze z obrazów, powieści i piosenek, a nawet z legend bądź cyklów prasowych. Pojawiały się i budynki, których jurodiwy nie namalował. Dzięki temu miasto rosło i co roku trzeba było przygotowywać jego nowe mapy, uwzględniając w nich i rozszerzające się granice, i zmiany zachodzące w miejscach, które pojawiły się wcześniej. Podlegające Rostowom tajne służby sporządzały takie plany raz na miesiąc, a czasem i częściej, by dysponować także i topograficzną przewagą nad przeciwnikami.

Jednego tylko nie przybywało w Malowanej Moskwie, a mianowicie nowoczesności. Olga marzyła, by pomknąć przez moskiewskie ulice na przykład automobilem, który oczywiście prowadziłaby sama. Nie musiałby to być jeden z tych cudów techniki, jakimi po brzegi wypełniony został Twardy Świat. Niechby trafił się i taki pasujący do maminych wyobrażeń o Moskwie, która zatrzymała się na początku dwudziestego wieku, starusieńki jakiś, choćby i drewniany pojazd, mogący jednak obyć się bez koni, ryczący potężnym, wielocylindrowym silnikiem i płoszący ptaki oraz przechodniów. Olga byłaby szczęśliwa.

Niestety, mogła tylko pomarzyć o automobiliu. Podobnie jak i o samolocie – niebo Malowanej Moskwy pozostawało niedosiężne. Chmury na nim były jedynie pociągnięciami pędzla, a gwiazdy namalowanymi punktami. Mamusia, która wciąż pozostawała w Malowanej Moskwie kimś w rodzaju bogini, nie potrafiła nawet wyobrazić sobie idei lotów kosmicznych i z tego powodu nie mogły

one zaistnieć w namalowanym świecie. Choć miasto potrafiło wzrastać bez skoncentrowanej na detalach uwagi swojej pani, poddawało się jej nastrojom i przekonaniom o tym, jak wyglądał świat. A w wymarzonej, przedrewolucyjnej Rosji hrabiny Aleksandry Pawłowny Rostowej nie było miejsca na nowoczesność, choćby z początków dwudziestego wieku.

Olga widziała czasem w Pałacu Łączności ekrany okrętów, z którymi stale utrzymywały kontakt obrazooperatorki, i zakochała się w widokach ogromnych planet, na orbitach których cumowały statki Transportu Galicyjskiego. W Malowanej Moskwie nawet obserwowany przez teleskop Jowisz zawsze był tylko jasną plamką na tle granatowych smug nieba. Ale widziany przez ekrany gwiazdnych okrętów, ujawniał swój prawdziwy majestat i zapierał dech w piersiach.

Olga wyobrażała sobie czasem, jak nurkuje własnym statkiem między pierścieniami Saturna albo rozpędza się, wyciskając pełną moc z silników i w dzikiej szarży, jakiej nie poprowadził nikt przed nią, dogania ponurego Plutona. Jak na ostrzu ognia opada na powierzchnię Marsa albo krąży w batyskafie wśród mgieł Wenus. Wszystko to jednak pozostawało poza jej zasięgiem. Nie tylko w Moskwie – jak dotąd nikt nie zdołał przenieść namalowanego człowieka do Twardego Świata.

Mknąc pancerną kareta, dziewczyna próbowała skupić myśli na ataku na Pałac Łączności. Wydarzenia, jakie zaszły tej nocy, sprawiły, że wciąż była roztrzęsiona. Najbardziej złościło ją to, że atakiem nie przejęła się tak bardzo, jak pojawieniem się mężczyzny, który zapobiegł większemu nieszczęściu. Nie widziała

go chyba od roku i nie była pewna, czy w ogóle chciała go spotykać. Przybył do miasta dosłownie przed wiekami i przez blisko trzydzieści lat udawało mu się ukrywać swoją tożsamość nawet przed sojusznikami.

Były to niespokojne czasy. Kutuzow wciąż próbował narzucać własną wolę Rostowom, przywracając prawa obowiązujące przed Rewolucją i zmieniając każdego z obywateli malowanego świata w urzędników bądź żołnierzy. Rostowowie, wierni wizjom hrabiny, stawiali temu opór.

Tyle dobrze, że mężczyzna, który w Moskwie ukrywał się pod imieniem „Szczura”, stanął po stronie Rostowów i wyrządził co niemiara szkód Kutuzowowi. Do końca jednak zachował obsesyjne przywiązanie do własnej niezależności, przez co trudno było go traktować jak w pełni użytecznego agenta czy w ogóle agenta.

Bywał kłopotliwy. I z pewnością toczył jakąś własną wojnę, być może nawet wykorzystując armię i agentów Malowanej Moskwy. Mimo to Olga wciąż uważała, że bardziej się przydawał, niż przeszkadzał. I nawet nie chciała go mieć pod swoją komendą. Mogłoby się to okazać jeszcze bardziej niebezpieczne.

Przejechali przez Prospekt Van Gogha, skąd czarna karoca skręciła w Małą Nikicką, gdzie w niewielkim pałacyku, równie „pięknym” i równie obronnym jak karoca, mieścił się dom Olgi.

Czterech uzbrojonych po zęby strażników strzegło tu ciężkiej, stalowej bramy. Sześciu następnych nie odstępowało dziewczyny na krok, gdy wysiadała z pojazdu, by przejść ledwie osiem kroków do opancerzonych drzwi domu. Zatrzaśnięto je za nią, ledwie przekroczyła próg, a akceptowalne przez hrabinę Rostową

mechanizmy zasunęły natychmiast kilkanaście ciężkich rygli.

Strażnicy strzegli tu każdych drzwi, w tym szesnastu prowadzących do tajnych przejść ewakuacyjnych i ośmiu sprytnie zamaskowanych klap na dachu. Wszystkie okna pałacu były pancerne, a gdyby Olga otworzyła któreś od wewnątrz, specjalne mechanizmy zasłoniłyby je na wszelki wypadek kratami. Cały budynek przebudowano i zabezpieczono tak, by między strażnikami i zabezpieczeniami nie prześlizgnęła się nawet mysz.

Myszy rzeczywiście nie dawały rady. Natomiast wszystkie te środki bezpieczeństwa nie były w stanie powstrzymać pewnego kota.

– Zawsze w spodniach – wymruczał na powitanie, przeciągając się na sofie, którą chyba sam kazał tam wstawić. Olga w każdym razie nie przypominała sobie, by poleciła ustawiać taki mebel w swoim gabinecie. – Nie nudzą cię sarkania starych pierników?

– Jak tym razem tu wszedłeś? – Usiadła ciężko za biurkiem. Westchnęła. Nie miała siły na użeranie się z kocurem, nie mogła jednak go zlekceważyć. Był zbyt użyteczny.

Przybył do Malowanej Moskwy z powieści jednego z emigranckich pisarzy, którzy po Kresie i Rewolucji osiedli najpierw w Warszawie Twardego Świata, a potem przenieśli się do Paryża. Do jakiegokolwiek jednak miasta by nie trafiali, pozostawali Rosjanami, a tęsknota rozsadzała ich dusze. Poeci pisali o utraconej Rosji wiersze, malarze tworzyli panoramy nieistniejącego już świata, a pisarze osadzali w ojczyźnie akcje swoich powieści.

– Jak tym razem? – parsknął. – Och, jak zwykle było to tak proste, że nie będę cię obrażał wyjaśnieniami.

– Skoro udało się tobie, może się udać komuś innemu.

– No proszę, a ty mnie obrażasz. – Ziewnął. Sięgnął po metalowy kanisterek, który zawsze miał przy sobie, i pociągnął z niego łyczek. – Jedyne, co może uratować śmiertelnie znudzonego kota, to maleńki łyczek benzyny. – Przeciągnął się. – Naprawdę nie masz innych spraw na głowie? Tego pożaru na przykład?

– Prawdziwy diabeł z ciebie, wiesz?

– Oczywiście, że prawdziwy! – Jednym susem przeskoczył z sofy na biurko, by zacząć przechadzać się dumnie po jego blacie. – Tylko dzięki temu wszystkie moskiewskie koty są do twojej dyspozycji, że je prawdziwie po diabelsku opętałem! Czy to nie godne podziwu i wdzięczności?

Olga westchnęła, ale opowiedziała mu ze szczegółami o ostatnich wydarzeniach, starając się ignorować jego mruczenie za każdym razem, gdy relacja dotyczyła okrętów kosmicznych. Kot dzielił z hrabianką fascynację nieskończonym kosmicznym oceanem, pełnym odkrytych i nieodkrytych jeszcze gwiazd i planet.

– Musisz zwołać naradę – oznajmił, gdy skończyła. – Równoczesny atak w Twardym Świecie i tutaj nie zdarzył się nigdy dotąd. Nie wierzysz chyba w przypadek? Właśnie. Wezwij Czchartiszwiliego, niech się wreszcie na coś przyda, bo te jego zabawy w ściganie byle morderców czy złodziejasków to tylko igraszki. I ten twój Szczur też musi się stawić. Jego niezależność pasowała do czasu pokoju, ale nie do wojny.

– Więc wojna? – mruknęła Olga.

Kiedyś musiała nadejść. Choć blisko dwa stulecia przyszło im przeżyć we względnym spokoju, nie łudziła się, że uda się utrzymać

go na zawsze. Ba, czasem tęskniła za niespokojniejszymi czasami, marzyła wręcz, by wreszcie zaczęło się dziać coś, co przerwie rutynę jej życia i odmieni Malowaną Moskwę na zawsze, pchnie ją na nowe tory. Teraz, wspominając poranione i zabite obrazooperatorki, wstydziła się tamtych pragnień. Prawdziwa wojna nie przypominała tej wymarzonej. A przecież jeśli kocur miał rację, dziewczyny z Pałacu Łączności były tylko pierwszymi ofiarami.

– Kutuzow nie zacząłby jej sam. Nie ma wystarczających kontaktów w Twardym Świecie, a w każdym razie ja nic o nich nie wiem.

– Twardy Świat pozostawiam tobie – fuknął kot. – A tutaj... Nie wiem, czy Kutuzow w ogóle ma coś wspólnego z ostatnim atakiem. Posnęliście, ty i on. Toczycie tę swoją partię szachów tak długo, że przegapiacie życie. A ostrzegałem cię!

– Inna siła – skinęła głową. – Ostrzegałeś. I Szczur też dziś o tym mówił.

– Tym bardziej musisz go wezwać!

– Ale jak? To on kontaktuje się ze mną, kiedy mu na to przychodzi ochota.

– Moje koty go znajdą – oświadczył kocur z pewnością siebie, której nie zdołałaby zapewne zmącić nawet interwencja samego Stwórcy. – Od tego jesteśmy, nieprawdaż? Od łowów.

Rozdział siódmy

*Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,
szalupa w przestrzeni gdzieś między Jowiszem a Ziemią*

Kiedy Drygieł rozpoczął studia na Akademii Transportu Galicyjskiego, ujrzał po raz pierwszy plan Układu Słonecznego. Widząc Pas Planetoid między Jowiszem a Marsem, stwierdził, że planety wewnętrzne otulone są białym kołnierzem, rodzajem kozucha składającego się z miliardów drobin skalnych, pośród których pływały, niczym grudki w owsiance, cztery masywniejsze planetoidy. Wszystko to położone było tak blisko siebie, że w wyobraźni naiwnego studenta możliwe było wręcz przeskakiwanie z jednego kawałka skały na drugi.

Teraz, gdy wędrował przez ten obszar, już tak nie sądził.

Musiał wierzyć zapewnieniom komputera pokładowego, że dotarli do Pasa Planetoid, ale gdy wpatrywał się w ekran szalupy, widział tylko odległe gwiazdy. Żaden kawałek skały, z którego dałoby się przeskoczyć na następny, nie znajdował się w pobliżu.

Hoygren spał, co Adam przyjmował z pewną ulgą. Niby dobrze było dzielić z kimś szalupę, móc porozmawiać tak o rzeczach ważnych, jak i o pierdołach. Jednak od kilku dni Drygieł czuł się w towarzystwie przyjaciela coraz bardziej nieswojo. Wmawiał sobie, że to efekt napięcia, wszak znaleźli się obaj w stresującej sytuacji na pokładzie niewielkiego, ciasnego pojazdu. Choć wysłali meldunek o swoim położeniu, nie mieli pojęcia, czy do kogoś dotarli.

Komputer zapewniał, że po tygodniu sygnał radiowy powinien zostać przechwycony przez boję sygnalizacyjną, która prześle go do najbliższej przelatującej jednostki. Jednak mijał już prawie drugi tydzień i nie działo się nic, nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Ponieważ zaś pokonali w tym czasie całkiem sporą odległość, przynajmniej zwrotna od boi powinna do nich powrócić. Nic takiego jednak się nie stało.

Co mogło oznaczać, że najbliższa boja także została zniszczona.

Nie poprawiło to nastrojów na pokładzie szalupy. Choć Hoygren starał się udawać optymizm, Drygieł wychwytywał jego nerwowe spojrzenia, gdy Petyrowi zdawało się, że przyjaciel nie zwraca na niego uwagi. Do tego Hoygren stał się napastliwy. Wciąż chciał rozmawiać o mitologiach i ludzkim przeznaczeniu. Okazał się niebywałym znawcą starych ballad i opowieści. Czytywał na przykład te nieszczęsne historie o Kutrzebie albo powieści szpiegowskie rozgrywające się w czasach, gdy Transport Galicyjski nazywany był jeszcze „Koleją”. Pytania o los dziewczyn z Pałacu Łączności zbywał. Czasem wręcz kpił z uczucia, jakim Drygieł darzył Marikę, bądź wyrażał się o kobietach wyłącznie opryskliwie i z jawną pogardą.

Wszystko to mogło sprawić, że uczucia między przyjaciółmi chwilowo oziębły. Jednak Drygieł wiedział, że było coś jeszcze.

Nie dawało mu spokoju wspomnienie chwili, gdy Hoygren zatrzasnął właz szalupy przed innymi uciekinierami z konającego okrętu. Niemal beztroska bezwzględność, z jaką Petyr skazał tamtych na śmierć, wstrząsnęła Adamem.

Czy powinien się go obawiać? Do Adama dotarło, że podróżuje z

mężczyzną, który byłby chyba w stanie bez mrugnięcia okiem zabić go, gdyby poczuł się zagrożony. Co jeżeli nie spotkają nikogo przez następne tygodnie i Hoygren zacznie się martwić zapasami wody, żywności bądź nawet powietrza? Co gdy dojdzie do jakiejś awarii?

Z drugiej strony, gdyby nie Petyr, Drygieł nie zdołałby pewnie nawet wydostać się z „Dorki”. Może więc dzielił świat na „swoich” i „obcych”, i „swoich” traktował wedle innych zasad?

Tak czy owak, Adam wolałby się znaleźć między innymi ludźmi, zanim dwaj rozbitkowie zwariują tu z ciasnoty i samotności. Wpatrywał się więc w otaczającą szalupę przestrzeń, próbując wypatrzyć choćby ślad czyjejś obecności. Rozproszeni po Układzie Słonecznym ludzie potrafili uczeplić się nawet skalnych odłamków, jeśli wydały im się z jakichś powodów interesujące. Jedni uciekali od Ziemi i jej większych kolonii w poszukiwaniu niezależności, inni szukali w Pasie Planetoid skarbów.

Jeszcze inni, jak uświadomił sobie Drygieł, polowali na tamtych.

Piraci rzadko docierali na planetarne orbity. Zbyt wiele było na nich uzbrojonych po zęby stacji kosmicznych, zbyt wiele krążyło po nich bojowych okrętów. Okręty Fiata, Mercedesa, Cesarskich Technik Informacyjnych, Transportu Galicyjskiego i innych wielkich korporacji, a także konwoje należące do co bogatszych państw, niezależnych od prywatnych przedsiębiorców, strzegły swoich tras handlowych i zaopatrzeniowych. Nawet Wieczna Rewolucja, poruszająca się okrętami napędzanymi siłą niewolników i atomu, szanowała Traktaty Przestrzeni, atakując wyłącznie wtedy, gdy miała pewność, że nie pozostawi po sobie żadnych świadków. Dlatego piraci skupiali się przede wszystkim

na Pasię Planetoid, gdzie potrafili odnajdywać najsłabsze ofiary i zniknąć, nim przybyły wezwane na pomoc kutry Strażników Pasa.

Opowieści o pojedynkach tych dwu sił, piratów i Strażników, podlegały starannej cenzurze. Nikt nie chciał, by pojawili się szaleni wielbicielę któregoś z kosmicznych bandytów i by ich uwielbienie dodawało rabusiom sił.

Świat znał niebezpieczeństwa niesione przez zbyt potężne opowieści. Na początku XXI wieku pewien charyzmatyczny wizjoner nakręcił filmową trylogię, opisującą w nowy sposób prawa rządzące wszechświatem. Wielbicielę jego wizji stworzyli potężny fandom, zdolny do wykrzesania z siebie energii mogącej rzeczywiście odmienić rzeczywistość. Czciociele nieokreślonej siły zwanej „Mocą” wyprodukowali zdumiewająco potężne ilości fidezyny, a potem spożytkowali ją na stworzenie dwóch przeciwstawnych zakonów rycerskich, które natychmiast skoczyły sobie do gardeł. Wojna ciągnęła się przez dziesięć długich lat, a Stany Zjednoczone Ameryki z trudem podniosły się po zniszczeniach, jakie wywołała.

Oba zakony zostały wyjęte spod prawa, jednak, jak to bywa z podobnymi siłami, przetrwały do czasów podboju Układu Słonecznego. Podobno ich statki zawędrowały aż do Pasa Kuipera, a nawet kierowały się dalej, ku Obłokowi Oorta, który wyznawcy Mocy nazywali „Zewnętrznyimi Rubieżami”. Odtąd pilnie uważano na nowe opowieści. Państwa i korporacje czuwały, by magia kina nie stała się zbyt potężną siłą. Filmowcom sugerowano, by zamiast wymyślać nowe światy i historie, skupiali się na już istniejących, użytecznych opowieściach i wspierali w ten sposób mity, które

można było spożytkować dla dobra firm i krajów.

Choć więc rządzący dokładali starań, by żaden z piratów nie dorobił się własnej legendy, opowieści o nich przedostawały się jednak przez nie dość szczelną cenzurę i przenikały do mieszkańców planet czy do załóg kosmicznych statków. Ich wielbiciele spotykali się w prywatnych mieszkaniach albo oddalonych od centrów miast ruinach fabryk bądź biurów. Powstał w ten sposób tajny fandom, którego członkowie posługiwali się wyłącznie pseudonimami i często nie znali się nawzajem. Nie korzystali z telefonów ani sieci komputerowych, a jeśli już, to wyłącznie używając tajnych haseł, znanych tylko im. I choć służby wywiadowcze różnych potęg starały się ich infiltrować, by likwidować co bardziej uzdolnionych bardów oraz co silniejsze ośrodki fandomowe, kolejne tajne konwenty odbywały się na peryferiach miast, a opowieści przybywało.

We Flocie Transportu Galicyjskiego przynależność do jakiegokolwiek nielicencjonowanego przez TG fandomu była karana natychmiastowym wydaleniem oraz wysłaniem za przyłapanym pechowcem wilczego biletu, uniemożliwiającego mu zatrudnienie w jakiegokolwiek firmie współpracującej z TG. Praktycznie oznaczało to brak możliwości legalnego zatrudnienia gdziekolwiek poza Wieczną Rewolucją, ponieważ pod tym względem rywalizujące zwykle korporacje ściśle ze sobą współpracowały.

Drygiel nie był na tyle nierozsądny, by należeć do jakiegokolwiek fandomu. Mimo to znał imiona niektórych piratów. I nowego Czarnobrodego, i Szalonego Trappa, i Przywołanego Drake'a.

Słyszał o samozwańcym Księciu Bezmiarów, który zbudował piracką twierdzę na Cybele, planetoidzie leżącej w zewnętrznej części Pasa Planetoid, gdzie Strażnicy Pasa zapuszczali się rzadko.

Tknięty złym przeczuciem, nakazał komputerowi podanie odległości właśnie do Cybele. Odetchnął z ulgą, usłyszawszy, że obecnie znajduje się ona po przeciwnej do szalupy stronie Pasa.

– Na co marnujesz naszą energię? – zagaił Hoygren, jak się okazało, całkiem przebudzony i przyglądający się poczynaniom Adama z za jego pleców. – Cybele? Obawiasz się piratów? Stary, to bujda, nic tam nie ma!

– Zapomniałeś, w jakim świecie żyjesz? – rzucił zjadliwie chłopak.

– Ja, mój drogi, mówię o bujdzie, nie o legendzie. Na Cybele nie ukrywają się żadni piraci. Wiem, bo Strażnicy Pasa zbudowali tam REKSiA...

– Reksia?

– REKSiA. Robocie Eskadry Kosmicznej Straży i Ataku. Takie zautomatyzowane stacje, zdolne wypuszczać całe eskadry robotów bojowych. Nowa rzecz, zaczęli ten program jakieś dwa lata temu i jako pierwszą bazę wybrali właśnie Cybele. Mogłeś o tym nie słyszeć, bo nie jest to oficjalnie rozgłaszane...

– Jak wszystko o Straży Pasa, nie?

SP była jednostką niezależną od państw i korporacji, złożoną niemal wyłącznie z ochotników i utrzymującą się z datków, zdobyczy oraz podatków, jakie nakładała na setki niezależnych małych górniczych firm operujących w Pasie. Zdaniem niektórych SP nie różniła się wiele od piratów, w przeciwieństwie od nich jednak zawierała umowy z co potężniejszymi firmami.

– Jak wszystko o tych draniach. – Hoygren uśmiechnął się krzywo. – Masz pojęcie, jak popieprzony jest kosmos? A w każdym razie ta jego część, po której myśmy się rozpierzchli? Dopóki ludzkość siedziała na Ziemi, dawało się trzymać ją w ryzach. A teraz? Herostratejczycy, Tiamat, Czarny Statek, piraci, Strażnicy Pasa, wyznawcy setek religii i Bóg raczy wiedzieć, ile fandomów... Wszystko to rozpełzło się po Układzie Słonecznym. Siedzą po planetoidach i księżycach poza wszelką kontrolą. Pewnie nawet latają w jakichś pordzewiałych rzędach, czcząc coś, o istnieniu czego nie mamy nawet pojęcia. Pamiętasz świrów od Cthulhu?

– Wszyscy pamiętają.

– No! Pojawił się, zeżarł swoich czcicieli i zniknął.

– Nie zniknął, tylko siedzi uwięziony w wielkim lodowcu na orbicie Urana i śpi, czekając na następne żarło.

– Poważnie? Nie wiedziałem. Nieważne. Chodzi o to, że kosmos jest pełen wariatów, gotowych przywoływać bóstwo nawet po to, żeby ich zjadło. Może gdzieś indziej wszechświat jest poukładany, ale tam, dokąd przybywają ludzie, natychmiast wpada w szaleństwo.

– A mówisz o tym, żeby dodać mi otuchy?

– Tak jest, bracie! Tobie się wydaje, że nic nie widać na tych ekranach, ale tak naprawdę próżnia jest pełna życia! Jestem pewien, że wkrótce coś wyskoczy. Może to będą Czerwoni albo Zieloni Marsjanie, może Straż Pasa, zaciekawiona, kim jesteśmy, a może...

– Cthulhu?

– Albo jakiś inny kosmiczny krokodyl.

– Toś mi tej otuchy dodał...

– Damy radę! – Hoygren klepnął go w plecy, aż huknęło. – Musimy tylko czekać i być gotowi. A nie płakać i zamartwiać się. Coś się w końcu pojawi. Na przykład na tym twoim obrazie. Nie widziałeś tam czegoś? Tej swojej lali?

– Nic. – Drygieł pokręcił głową. – Od dwóch tygodni nic. Martwię się tym jak cholera. Powinien tam ktoś być! Jeśli przez dwa tygodnie nie przywrócili łączności, to co takiego musi się dziać w Malowanej Moskwie?

– Może po prostu twój obraz jest uszkodzony. Więcej wiary, bracie! Zobaczysz, coś się wydarzy.

I wydarzyło się, ledwie dwa ziemskie dni później.

Komputer powiadomił ich, że w zasięgu jego czujników pojawił się jakiś statek. Na ile można było to ocenić, napędzany silnikami głębinowymi leciał w kierunku Jowisza, szaleńczo skanując przestrzeń wokół siebie, przez co dla systemów zwiadowczych szalupy świecił niczym choinka.

Jeszcze nas nie dostrzegli – zameldował komputer. – *Obniżyłem ekspresję energetyczną do minimum.*

– To dlatego zrobiło się tak cholernie zimno – odgadł Adam. – Miałem właśnie pytać, czy z naszymi zapasami jest aż tak źle. Czy tamci coś nadają?

Na wszystkich falach.

– A co? – Hoygren pochylił się nad ekranami, jakby wśród mrowia odległych gwiazd zdolny był wypatrzeć drobinę nieznanego statku. – Możesz nam to puścić?

Naturalnie.

Głośniki zachrypiały, jakby potrzebowały chwili, by odchrząknąć,
po czym wewnątrz szalupy wypełnił pijacki śpiew:

Czternastu chłopca na umrzyka skrzyni...

Jo-ho-ho i butelka rumu!

Piją rum, resztę czart uczyni...

Jo-ho-ho i butelka rumu!

– Na hymn floty Transportu Galicyjskiego to nie wygląda... –
burknął Drygieł.

Zauważyli nas – zameldował komputer. – Zmieniają kurs.

Nie musieli pytać, na jaki.

Rozdział ósmy

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Belgrad

Skadarlija okazała się ulicą opadającą łagodnym skosem ku oddalonemu od centrum miasta dzielnicom, za sprawą nieforemnych a wielkich kocich łbów przypominającą zastygłą kamienną lawinę. Kobiety w modnych w tym sezonie pastelowych butach o długich cholewkach i wysokich obcasach potykały się na nierównej powierzchni, kołysały smukłymi ciałami i używały znacznych zapasów silnej woli, by zagniewane grymasy przemieniać w uśmiechy. Wychodziło im to nad podziw dobrze, toteż uśmiechały się pięknie.

Siedzący w restauracyjnym ogródku przy stoliku nakrytym wielobarwną serwetą Kutrzeba oglądałby się za nimi bez końca, tym bardziej że Serbki nie znały najwyraźniej obyczaju nakazującego odwracać płochliwie wzrok albo oblewać się skromnie rumieńcem i opuszczać oczy. Przeciwnie, na zuchwałę spojrzenia mężczyzn, którzy im się spodobali, odpowiadały równie zuchwałymi własnymi, a przez ich ciemne oczy widać było, jak dusze uśmiechały się w nich do śmiazków.

Dusza Kutrzeby się nie uśmiechała. Duszą Kutrzeby była Zmora, a ona komentowała kąśliwie każdą z wędrujących Skadarliją kobiet, zauważając wszelkie ich braki i słabości, tak prawdziwe, jak i zmyślane. Mirosław nie odpowiadał. Nie przejmował się

zrządzeniem, nadal uparcie i wyzywająco oglądał się za Serbkami, tak naprawdę ledwie je zauważając.

Wyglądał mężczyzny, który miał tu przyjść na spotkanie; rozglądał się za szpiclami bądź zabójcami, a także za ochroniarzami, których przybycie powinno zwiastować nadejście prawdziwego króla belgradzkiego podziemia: księcia Marka, syna wiły.

Miejsce spotkania nie podobało się Kutrzebie. Rozumiał, że ulica, składająca się niemal wyłącznie z serwujących dania lokalnej kuchni restauracyjek i barów, pełna tubylców i turystów praktycznie przez całą dobę, mogła wydawać się atrakcyjna dla szpiegów. W tym tłumie każdy mógł przepaść, stać się niewidzialnym. Łatwo też było poukrywać tu swoich agentów, jeśli ktoś takich posiadał. Jednak Kutrzeba, który nie uważał się za szpiega, przywykł do spotkań sam na sam, w ciemnych, opuszczonych domach, gdzieś pośród ruin albo lasów o gęstym, trudnym do przeniknięcia wzrokiem listowiu.

Skarcił się w duchu. Myśląc w ten sposób, popadał w paranoję. Czasem trzeba było komuś lub czemuś zaufać: sojusznikowi, przeczuciu.

Drgnął, gdy między dziesiątkami ciemnych oczu mignęła mu para jasnych. W rwący, rozbrzęczony strumień brunetek wkroczyła niespodziewanie blondynka, różniąca się od nich nie tylko kolorem oczu i włosów, ale także kształtami. Serbki przypominały wiły o proporcjach ciał idealnych dla posągów i nimf; blondynka była od nich niższa, a wszystko w niej zaokrągliło się bardziej. One poruszały się niczym boginki świadome swej wyższości nad

śmiertelnikami, z wystudiowanym, acz zwodniczym dostojeństwem, ona wydawała się nie tyle iść, co podskakiwać, tyleż radośnie, co beztrosko, jakby nawet zwykły spacer stanowił dla niej okazję do dobrej zabawy.

Mijając Kutrzebę, mrugnęła do niego filuternie i zaraz zachichotała, zarumieniła się i odwróciła wzrok. Odeszła krokiem rozkołysanym nie z powodu zastawiających pułapki kamieni, udających tu powierzchnię ulicy, ale od ruchu bioder, poddanych raczej falowaniu jakiegoś niewidzialnego morza niż zwyczajnej ziemskiej grawitacji.

Zmora zakłęła szpetnie. Tym razem nie żartowała, wyliczając niedoskonałości blondynki. Oto nogi kobiety nie były dość zgrabne, jej ramiona i biodra okazały się nazbyt szerokie, a piersi stanowczo zbyt ciężkie. I ileż ton makijażu nałożyła na twarz! Owszem, Serbki też chętnie się malowały, ale przy blondynce wyglądały niczym prace oszczędnych grafików wobec dzieła jakiegoś oszalałego wielbiciela tęczy.

Wszystko to nie przeszkadzało Kutrzebie.

Bardziej obawiał się, że blondynkę wysłano, by odwrócić jego uwagę. Oderwał od niej wzrok i rozglądnął się pospiesznie. Miał rację! Oto trzech brysi, których nie było tu wcześniej, rozsiadło się przy różnych stolikach okolicznych ogródków. Pozamawiali po kawie i udawali, że uśmiechają się do dziewczyn. Ale ich oczy pozostawały zimne, czujne.

Dwie wrony przysiadły na daszku restauracyjki, w której siedział Kutrzeba. Nie odrywały odeń wzroku. Nagle na ulicy zaroilo się od kotów. Pełno ich było w całym Belgradzie, to miasto wręcz szczyliło

się ich obecnością. Rude, białe, czarne, bure, paradowały pewne siebie po chodnikach i ulicach, czasem rozsiadały się bezczelnie przy restauracyjnych stolikach, pewne, że nikt nie waży się ich przepędzić. Teraz schodziły się zewsząd na Skadarliję. Niby ignorowały Kutrzebę, ale każdy posłał mu przynajmniej jedno wymowne spojrzenie. „Tylko czegoś spróbuj” – ostrzegały ich oczy.

– Nieźli strażnicy – przyznał Mirosław, gdy oczekiwany gość przysiadł się wreszcie do jego stolika.

Książę Marko, postać z serbskich pieśni, bohater sprzed wieków i sprzed dekad, ubrany jak zwykle elegancko, tym razem w prążkowany popielaty garnitur z lekkiej bawełny, przywitał się oszczędnie, bez zbytnej serdeczności.

– Strażnicy i zabójcy – mówił cicho, ale pewnie, jak człowiek zdający sobie sprawę ze swoich możliwości. – Jedno moje słowo i rozszarpią tę twoją Zmorę na strzępy. Możecie być sobie silni i twardzi, ale jeśli trzeba, zbiegnie się tu i tysiąc kotów. Nie podołacie im.

– To się nazywa gościnne zagajenie! – Kutrzeba uśmiechnął się krzywo. – A co się stało z „gość w dom, Bóg w dom”?

– Dobra opinia daleko sięga, ale zła sięga o wiele dalej – odparł Marko. – Toteż o tobie słyhać aż na krańcach świata. Nie spodobało mi się to, co zrobiłeś z moją matką.

– Nic z nią nie zrobiłem.

– Dzięki kłamstwu zjesz obiad, ale nie zjesz kolacji – warknął Marko. – To, co robisz jej dzieciom, tak jakbyś robił jej samej. To, co robisz jej, tak jakbyś robił mnie.

Kutrzeba zerknął na swój talerz, na którym leżały jeszcze resztki

pljeskavicy, którą podano mu tak wielką, że nawet on nie zdołał jej sprostać.

– Myślę, że dziś obejdę się bez kolacji – mruknął. – Siedzisz zakopany w jakiejś swojej tajnej twierdzy, nie ma do ciebie dostępu. Jakoś musiałem przesłać ci wiadomość.

– Atakując matkę, przesłałeś mi tylko jedną: wyzwanie.

– Słuchaj, wasza wysokość – zniecierpliwił się Kutrzeba. – Ja się tu nie wyrywałem. Przybyłem, bo mnie wysłali. Jeśli chcesz, naślij na mnie te koty, zobaczymy, kto okaże się silniejszy: wasze pupile z całego miasta czy ja. Jeśli wygrają te opasłe pluszaki, to moi przyślą tutaj następnego kuriera, który na wszelki wypadek będzie miał rozkaz działać miło i dyplomatycznie. W efekcie dotarcie do ciebie zajmie mu pół roku. A za pół roku nie będzie już o czym gadać, bo będziesz trupem.

– To groźba?

– Groźba i prorocstwo. Myślisz, że przyjechałem, żeby wpieprzać góry mięcha i siłować się z tobą na surowe spojrzenia? Zrobiłem coś twojej mamusce tak naprawdę? Parę jej ryb i rusalek przeżyło stres, bo przez chwilę nie miały czym oddychać. Wielka krzywda.

Książę przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę. Wreszcie uśmiechnął się lekko, skinął głową. Zawołał kelnera i zamówił u niego dwie szklanki czerwonego wina. Gdy Kutrzeba spróbował coś powiedzieć, Marko uniósł uspakajająco dłoń. Oczekali więc obaj w milczeniu, aż kelner przyniesie dwa pucharki, z których upili po łyku.

– Przywykłem do macedońskiego vraneca... Za życia, którego nie było – westchnął Marko. – Albo za poprzedniego. Mieszają mi się:

historia i legenda. W jednej jestem sojusznikiem Turków, w drugiej przeciw nim walczę. Pewne jest tylko to, że teraz siedzę w Belgradzie i piję czarnogórskie wino. A naokoło trwa wojna. Tajna, ukryta, ale nie mniej bezwzględna. Niekiedy tęsknię za czasami, gdy mogłem działać jak ty: rozwiązywać wszystkie problemy mieczem.

– Między nami pokój? – upewnił się Kutrzeba.

– Pokój?... Nie wiem. Pakt o nieagresji. Na razie. Wolałbym, żebyś zniknął z Belgradu. Przynosisz ze sobą dodatkowe zamieszanie, a Bóg mi świadkiem, że nie brakuje tu kłopotów. Matka mówiła mi, że masz coś dla mnie.

Mirosław bez słowa podał mu zawinięty w jedwabną chustę przeplatana srebrnymi nićmi kawałek lampy.

– To jest to, co myślę? – zapytał książę. – Ach, niezwykły prezent. Oddajesz mi go ot, tak?

– Dla mnie to tylko kawałek gliny. Wart tyle, ile znaczy dla ciebie. Dżinna tym nie przywołasz.

– Moi wrogowie też nie. Nie bez tego strzępu. Naprawdę był ukryty w murach Kalemegdanu?

– Pod cerkwią, w podłodze kaplicy świętej Paraskiewy.

– Paraskiewy? – nie zrozumiał książę. Choć rozmawiali po serbsku, Kutrzeba odruchowo przetłumaczył imię.

– Svete Petke – przypomniał sobie.

– Tam! – zawołał Marko. – Co za pomysł!

– Demony nie zagląдают do kościołów. A ludzie bez mocy nie wyczuwają cudów. Dobre miejsce.

– Ty jakoś tam wszedłeś.

– Nie jestem demonem. Zresztą, to tylko przesąd, że demona w kościele porazi piorun.

– Przesąd! – parsknął książę.

– Jeden z tych, które jeszcze nie działają.

– No dobrze. Czego oczekują ode mnie ci, którzy cię wysłali?

– Współpracy. Wy tutaj tłuczecie się między sobą, walczyacie z Turkami, z Bułgarami, z Grekami... Praktycznie nie ma takiej potęgi, takiego państwa, które nie uważałoby, że coś im się od Bałkanów należy. W efekcie korporacje inwestują tu raczej ostrożnie, a wy tracicie górę kasy. Ciągłe zmieniają się sojusze. Ty przed chwilą pomagałeś władzom, a teraz musisz działać w podziemiu. Jak się w tym połapać?

– Mogłem walczyć w ostatniej bitwie pod Kosowym Polem, ale zbyt wielu ludzi uważa mnie za zdrajcę. Mam do wyboru: szara strefa albo emigracja. Jak widzisz, polityka bywa potężniejsza od legend.

– Mimo to jesteś teraz silniejszy od wielu polityków. Wszyscy cię chcą. Turcy, Austriacy, Rewolucja...

– Koleje Galicyjskie?

– Coś się szykuje, książę. Po dwudziestu pięciu latach spokoju ludzie i demony obrośli w tłuszcz. Kawał świata to ciągle bezdroża pełne potworów, ale co więksi ważniacy już zaczynają skakać sobie do oczu. Ci, którzy mnie wysłali, chcą być gotowi. Ebedi Pasza nie był twoim jedynym wrogiem. Jego córka może się okazać większą zarazą od ojca. I współpracuje z moimi wrogami.

– Twoimi? Nie tych, których reprezentujesz?

– Ich też. Cała nasza trójka: oni, ty i ja mamy wspólnych wrogów.

- Ale niekoniecznie wspólnych sojuszników – mruknął książę.
- Jeden problem na raz, wasza wysokość. Najpierw załatwmy organizację Sabriye, potem zajmiemy się resztą.
- Zgaduję, że wysłano cię nie tylko z prezentem i wiadomością, ale i po to, żebyś nam pomógł?
- Jestem skuteczny.
- Bez fałszywej skromności, co? Właściwie nawet mi się to podoba. Dobrze, panie Kutrzeba, prezent przyjmuję, nad sojuszem muszę się zastanowić. Przydałby się też jakiś prezent dla matki, żeby ją ułagodzić.
- Przeprosiny nie wystarczą?
- Nie znasz kobiet! – roześmiał się Marko. – Twoja głowa na srebrnej tacy mogłaby nie wystarczyć. Uraziłeś ją. Myślę jednak, że jakoś to załatwimy. Spotkajmy się tu pojutrze. O tej samej porze. Ręczę, że nawet jeśli odpowiedź będzie odmowna, opuścisz Belgrad żywy. Co będzie dalej...

Rozłożył ręce.

Gdy odszedł, a niedługo potem odleciały wrony i zniknęła większość kotów, Kutrzeba zamówił jeszcze jedno wino. Pił je długo, znów przyglądając się uśmiechniętym kobietom, wędrującym w górę i dół Skadarliji. Wreszcie zapłacił rachunek, mruknął do kelnerki i odszedł ku Placowi Cara Lazara, z którego skręcił w jedną z bocznych uliczek.

W małej winiarni kupił butelkę różowego wina. Wychodząc, rozejrzał się, ale nie dostrzegł ani kotów, ani wron. Tylko stadko wróbli baraszkowało przy śmietniku, lecz one nie należały do przyjaciół drapieżników. Przeszedł przez ulicę tak, by iść jej

zacienioną stroną. Wstąpił na kawę do niewielkiej kawiarni o pastelowych ścianach i usiadł tak, by widzieć ulicę. Zamówił dodatkowo pucharek lodów, przyrządzanych tu ponoć wedle tradycji nieziennej od czasów rzymskich. Uśmiechnął się, mrugnął porozumiewawczo do kelnerki.

Gdy dotarł do kamienicy, w której wynajmował mieszkanie, zmierzchało. Wspiął się po stromych, drewnianych schodach, których wszystkie stopnie zostały opatrzone zaklęciami i wezwaniami do demonów i prawosławnych świętych. Przystawał na każdym piętrze, szepcząc coś pod nosem. Na trzecim stał nieco dłużej. Tu, prócz zaklęć magicznych, szeptał też i czule, mające pomóc mu uspokoić Zmorę.

Wreszcie otworzył wszystkie trzy zamki w drzwiach i wszedł do niewielkiego mieszkanka, składającego się w gruncie rzeczy tylko z przedpokoju, łazienki i sypialni. Okno wychodzące na podwórze, na którym bawiło się kilka kotów, zamknięto na stałe i zasłonięto grubą zasłoną.

– Nareszcie! – zawołała na jego widok Sabriye, zrywając się z fotela, na którym przeglądała kolorowe pisma, opowiadające o zagranicznych modach i skandalach. – Uwierzyli ci?

– Jeszcze nie wiem. – Nim wszedł do pokoju, zdjął kapelusz i buty. – Księżę musi pogadać ze swoją współpracowniczką, tak jak mówiłaś.

Podał butelkę wina drobnej, szczupłej brunetce o oczach czarnych, lecz płonących całymi mgławicami żądz. Cisnęła nią pogardliwie na łóżko, chwyciła Kutrzebę za koszulę i przyciągnęła do siebie.

– Napijemy się później – zdecydowała. Jak zwykle mówiła tonem

osoby przekonanej, że cały świat nie marzy o niczym innym, jak tylko o tym, by spełniać jej rozkazy. – A teraz błagaj o przebaczenie za to, że kazałeś mi tak długo czekać!

Przyłożył się i uzyskał łaskę władczyni przywołanych janczarów. Upłynęło jednak wiele czasu, nim wreszcie Sabriye pozwoliła mu otworzyć przyniesioną butelkę.

Wewnątrz niego Zmora zagryzała pięści, by nie krzyczeć.

Rozdział dziewiąty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Kraków

Lokal, w którym Korycki miał spotkać się z warszawskim łącznikiem, mieścił się w centrum Podgórza, rzut kamieniem od Rynku Podgórskiego, na którym akurat odbywały się obchody jakiegoś lokalnego święta. Poustawiano tam stragany, oferujące za zawyżone ceny każdy rodzaj śmiecia zwanego tutaj rękodziełem, ale także odziedziczony po przodkach złom, własnoręcznie robione miody i wypiekane chleby oraz watę cukrową. Podgórzanie nie zawiedli, przybyli tłumnie, ściągając na siebie uwagę całej prawie policji z lokalnego komisariatu. Jeden tylko mundurowy zajrzał do knajpy o nazwie „Bajka”, na co dzień niezgorszej mordowni, by sprawdzić, czemu w niej tak cicho.

Przez opary papierosowego dymu dostrzegł, że część stolików poskładano w rząd w jednym końcu sali, by posadzić za nimi nieco przerośniętego gnoma w okularach, przy pozostałych zaś tłoczyli się inteligenci, co można było poznać po tym, że bezustannie coś notowali, a poza tym prawie wszyscy niezależnie od wieku mieli wysokie czoła i postępującą łysinę, tudzież nosili okulary.

Policjant, nauczony przez wewnętrzne okólniki, że zebranie inteligentów może oznaczać niebezpieczeństwo powstania komórki rewolucyjnej, wszedł do lokalu, przedarł się przez siną zawiesinę papierosowego dymu i usiadł, jak na złość tuż obok próbującego

odnaleźć warszawskiego łącznika Koryckiego. Stójkowy nie rozpoznał byłej policyjnej szczyhy nie z powodu gęstego dymu ani nie dlatego, że należał do tych młodych stażem krawężników, dla których nawet zeszłe lato było zamierzchną przeszłością, ale dlatego, że Korycki zadbał, by jak najmniej przypominać siebie.

Ogolił całkiem siwiejące włosy, a nawet zgolił wąsiska, z których był dość dumny. Nos i policzki wysmarował czerwonym mazidłem, by wyglądać na notorycznego pijaka, i założył okulary w wielkich, rogowych oprawkach. Do tego ubrał się tak, jak jego zdaniem ubierali się inteligenci nieco gorszego sortu: w spodnie z grubego granatowego płótna i białą koszulę, której kołnierz wystawał spod swetra wyciętego „w serek”.

Ponieważ zaopatrzone go w rysopis łącznika, dość szybko udało mu się odnaleźć go wzrokiem. Maciej Parowski, młody, ale podobno zdolny fotograf prasowy, który przyjechał z Warszawy tylko po to, by wysłuchać wykładu tego wyrośniętego gnoma ze Lwowa, siedział w pierwszym rzędzie, pykał sobie fajeczkę i notował najgorliwiej ze wszystkich. A przy tym co pewien czas podrywał się, może by zaprotestować – albo przeciwnie, poprzeć tezy gnoma – ale zamierał pod jego surowym spojrzeniem i opadał potulnie na krzesło. Coś tam jednak mrucał pod nosem. Korycki wiedział, że facet pisuje pod pseudonimem do jakiegoś pisma zajmującego się technologiami, możliwe więc, że zamierzał gnomowi zadawać pytania.

No dobrze, nie gnomowi. Prelegent wyglądał wypisz wymaluj jak najbardziej gnomi gnom, jaki tylko istniał pod słońcem, ale, jak wiedział z akt Korycki, był człowiekiem, pisarzem, psychiatrą i

ideologiem jednej z nowych mód naukowych. „Potencjalnie użyteczny i potencjalnie niebezpieczny” – nie rozstrzygały sprawy akta. Zdaniem generała był wyłącznie niebezpieczny, bo niemal doprowadził go do śmierci z nudów.

Były gliniarz, obecnie wysoko postawiony agent, tak tajny, że oficjalnie martwy, chętnie wstałby od stołu, podszedł do tego całego Parowskiego i wyciągnął go na zewnątrz, kończąc tym samym swoje męki i realizując misję. Niestety, przeklęty stójkowy siedział uparcie tuż obok i notował równie zacięcie jak banda oszołomów, która na wykład lwowskiego psychiatry zjechała się tu z całej Polski.

Jakkolwiek zgromadziło się w „Bajce” tylu mózgowców, że średnia inteligencji w Podgórzu musiała skoczyć o paręset procent, zdaniem Koryckiego wcale prawdopodobna wydawała się teza, iż siedział pośród najgłupszych ludzi na świecie. Inteligencja, jak wiedział, niekoniecznie chodziła w parze z mądrością. Spotykał już profesorów tępych jak stołowe nogi oraz dogorywających na ławach przed chałupami na wsi starców, których mądrości nie pomieściłyby żadne kartoteki. Z pewnością przy stolikach w „Bajce” nie siedzieli ludzie poważnie zajmujący się życiem, skoro tracili czas i pieniądze, jeżdżąc po Polsce, by opowiadać sobie o świecie, który się nie zdarzył.

By przygotować się na spotkanie z łącznikiem, Korycki poczytał sobie trochę o tym, co nazywało się Towarzystwem Badaczy Alternatywy. Gromadziło ono przede wszystkim jajogłowych zajmujących się konwencjonalnymi naukami, zmuszonymi teraz do rywalizacji z magią i cudami religii. Najstarsi z nich dorastali w

czasach kultu starych technologii, gdy zbudowanie nowego typu przekładni bądź stworzenie jakiegoś związku chemicznego zdawało się wydarzeniem na miarę odkrycia nowego lądu i czyniło z przygarbionego laboranta bohatera. Odkrycia naukowe otaczał wtedy wręcz romantyczny nimb, a inżynierowie należeli do elity społeczeństwa. I choć po Kresie nadal ich ceniono (magia nie sprawiła wszak, że zniknęły tradycyjne technologie), to jednak ludzkość skręciła ze ścieżki rozwoju, na której to technokraci zarządzili światem.

Z tęsknoty za tym, co nie nastąpiło, a zdaniem wielu powinno, niektórzy zaczęli pisać powieści, których akcja toczyła się w rzeczywistościach niedotkniętych Kresem. Gnom na przykład stworzył całe wszechświaty pozbawione magii. W jego powieściach ludzie zdobywali kosmos przy pomocy pojazdów napędzanych nie cudami, lecz fizyką. Jakichś dwóch facetów stworzyło trylogię opartą na alternatywnej wersji historii, w której zwyciężyła Wieczna Rewolucja, ale inna niż naprawdę, bo niebędąca boginią stanowiącą wcielenie idei, lecz zwyczajnym systemem politycznym. W powieściach, które nazywano „fantastyką”, cofano się w czasie, przeżywano przygody na Wenus lub Marsie oraz napotymano obce cywilizacje, z którymi szło albo nie szło się dogadać.

Wszystko to można by zbagatelizować, gdyby nie okazało się, że te wyłącznie przygodowe i niezbyt mądre powieści sięgnęły po rząd dusz. Korycki zapoznał się między innymi z analizami astronomów, zaniepokojonych faktem, że na takim na przykład Marsie coraz wyraźniej widać nie tylko kanały, ale również coś, co można interpretować jako ślady po wielkich, zniszczonych miastach, co

pasowałyby do opowieści pewnego szalenie popularnego w Ameryce pisarza.

Fantaści potrafili być więc niebezpieczni i należało ich mieć na oku.

Chcąc nie chcąc i Korycki musiał słuchać, co gnomopodobny miał do powiedzenia. A bredził nieprawdopodobnie.

– ...a żeby cię sepulki zcyborgizowały, awruk twoja taka owaka! – prelegent cytował właśnie jakiegoś swojego mistrza albo zupełnie szczerze unosił się, poruszony czymś niewłaściwym zachowaniem. – Nie wiem, czy to odpowiedź godna, czy wręcz przeciwnie. Nie w godności rzecz, ale w tym, że zarówno Kres, jak i Pokój okazały się dla nas nieszczęściem największym. Czy to wyczerpuje pańską ciekawość, kolego?

Wielki brodacz siedzący obok Parowskiego zapewnił, że jak najbardziej, i po tym, jak zaspokoił ciekawość, przeszedł do zaspokajania innego pragnienia, wypijając duszkiem prawie pełny kufel piwa. W ten sposób sprawił, że na moment zapadła cisza, bowiem nawet prelegent przyglądał się jego wyczynowi z zainteresowaniem.

Korycki wykorzystał okazję, by zamachać do Parowskiego, ten jednak zupełnie nie zwrócił na niego uwagi.

– Co pan mnie trącasz? – syknął za to zirytowany policjant.

Generał opanował odruch, by słusznym rykiem ustawić gówniarza do pionu. Przeprosił, zwałił winę na ciasnotę i przeklinając w duchu, słuchał dalej.

– Nieszczęście nie tylko w tym, że wierzymy w ułudę porozumienia z tzw. „Marsjanami”, na co zwracali tu koledzy

uwagę – podjął gnomopodobny. – Choć przecież dla każdego trzeźwo myślącego człowieka jest oczywistym, że o pełnym zrozumieniu istot tak od nas odmiennych mowy być nie może. Nie chcę się teraz zagłębiać w przyczyny, dla których nam się wydaje, że możemy się dogadać z obcymi intelektami zwyczajnie, jak człowiek z człowiekiem... – „Ha!”, zawołał w tym momencie Parowski, a cała sala, łącznie z Koryckim, wybuchła śmiechem. Nie śmiał się tylko policjant, który przybrał zasepioną i zarazem zagniewaną minę, przez chwilę przekonany, że śmiano się z niego. – ...No właśnie, celna uwaga, panie kolego. Człowiek z człowiekiem z trudem potrafi się porozumieć, a nam się zdaje, żeśmy ot, tak nawiązali kontakt z obcą cywilizacją. Ale nie o tym dziś mamy mówić, lecz o rzeczy dalece ważniejszej, jaką jest utracone dziedzictwo ludzkości. Prawdziwa, nasza, bo przez nas odkrywana nauka i idące za nią technologie. Zwróćcie, koledzy, uwagę, jak bardzo zaniedbujemy je teraz, oszołomieni bogactwem, jakie podobno daje nam magia i technologia, którą niesłusznie nazywamy „marsjańską”. Mój przedmówca – łypnął znacząco na siedzącego na drugim końcu połączonych stołów eleganta w czarnej marynarce, poważnego bruneta, u którego resztki ciemnych włosów przyczaiły się z tyłu głowy, otaczając ją od spodu posępną aureolą – wygłosił nam pieśń pochwalną na temat fidezyny. Wiedzę o tym tajemniczym pierwiastku wreszcie wykradliśmy naszym fałszywym Prometeuszom, którzy wprawdzie przynieśli nam ogień magii, ale nie powiedzieli, jak ona działa. I teraz okazuje się: oto jest fidezyna, pozyskiwana z ludzkich dusz, marzeń, wierzeń i nadziei. Krzysztof starał się rozświecić nam przyszłość, opowiadając o gwiazdnych

okrętach napędzanych skroploną, czy też może spalaną fidezyną, i o planetach, które czynimy sobie poddanymi dzięki tej wspaniałej substancji. Rozumiem te pragnienia. Ale wiem, że się nie spełnią. Tak jak nie spełniły się pragnienia północnoamerykańskich Indian, gdy im przyniesiono technologię, której nie pojmowali, i przy pomocy której udało im się tylko zapić na śmierć bądź stoczyć kilka chwalebnych bitew. Nie gódźmy się na to, by zostać Indianami, koledzy. By zostać tylko szlachetnym, trochę bajkowym wspomnieniem. Badajmy fidezynę, owszem, ale nie zachłystujmy się nią. Oto, jak powinien wyglądać prawdziwy kosmolot...

Upił wody ze szklanki, dzięki czemu zebrani zdobyli nieco czasu, by zacząć bić mu brawo. Korycki zerknął ukradkiem do notatnika policjanta, by przeczytać, że stróż prawa uznał gnomopodobnego za charyzmatycznego, a zatem potencjalnie niebezpiecznego ludzkościowca.

– Nie potrzebujemy cudzej pomocy, by sprowadzić na siebie zagładę – zmienił temat prelegent, nieświadomie sprowadzając wprawiając w zdumienie młodego policjanta, który tak się zdziwił tymi słowami, że aż na chwilę przestał notować. – Ludzkość jest w przeważającej części na tyle głupia, że wpakuje się w poważne kłopoty i bez pomocy Marsjan. Ale, u licha, swoją naukę przynajmniej pojmowaliśmy, rozwijaliśmy ją sami. A fidezotyka, czy też raczej, jak sądzę, fidezomistyka, jak należałoby ją nazwać... albo wręcz fidezofantomatyka... powtarzam, badajmy ją, ale nie wierzy Marsjanom i ich darom i nie porzucajmy własnej ścieżki. Dziękuję.

– A te statki kosmiczne? – przypomniał ktoś z sali, gdy umilkły

oklaski i Korycki miał już nadzieję, że uda mu się nawiązać kontakt z łącznikiem. – Co z nimi?

– A, prawda. Sądziłem, że każdy, kto czytał moje powieści, wie, jak wyglądają. Ale rozumiem, że lud pragnie igrzysk. Dobrze, oto przedstawienie. My nazywamy „fantastyką” tę literaturę, która nie opowiada nam bajek, ale wychodzi od dzisiejszego stanu wiedzy, by projektować możliwą przyszłość. Sposobem na napędzanie rakiet zdolnych unosić nas w przestrzeń kosmiczną jest w takim przypadku rozkład materii, a paliwem – jądra atomowe. Kosmos musimy badać, skoro wiemy, że zamieszkują go obcy. Inaczej nie będziemy wiedzieć o Marsjanach nic ponad to, co sami nam powiedzieli.

Mówił jeszcze przez blisko pół godziny, opowiadając o niedostatkach paliw gazowych, nadzwyczaj trudnych do skroplenia i utrzymywania ich w stanie ciekłym w zbiornikach. O problemach wynikających z ciężaru takich zbiorników. Zakończył nareszcie, ogłaszając, że chodzi o to, by atomy, oddając swą energię, rozpadały się nie byle jak, lecz w sposób ściśle określony, i żeby ten rozpad wyzwalał cząstki dające się zwrócić w dowolnym kierunku.

– Co za atomy? – zagadał do Koryckiego zdumiony policjant. – O czym on mówi?

– Pojęcia nie mam. Pewnie jakieś duszki. No, pan wybaczy, ale nareszcie przerwa!

Generał poderwał się od stolika, przedarł przez zaskoczonych jego obcesowością inteligentów, którzy nadal upierali się rozmawiać o pierdołach, i dopadł Parowskiego, nim ten zdążył przedrzeć się do otoczonego wianuszkiem wielbicieli gnomopodobnego.

– Pan Parowski? – chwycił go za ramię i nie zważając na opór, odciągnął na bok. – Nazywam się Edigey, Jerzy Edigey – podał nazwisko, jakiego teraz używał. – Mieliśmy się tu spotkać. Wie pan, „Jestem późniejszy od ciebie...”.

– „...więc muszę pamiętać wszystko, co sobie myślałem...” – odpowiedział drugą częścią hasła Parowski.

– „...to jest, myślałeś, boż jestem tobą, tylko z przyszłości” – dokończył Korycki. – Bogowie, co za hasło pan wymyślił! Godzinę się go uczyłem!

– Nie ja, nie ja... – Parowski uśmiechnął się skromnie i znacząco zerknął na gnomopodobnego. – Dobrze, że pan przyszedł, choć szkoda, że akurat na spotkanie. Z drugiej strony, mógł pan posłuchać mistrza...

– No, mogłem – westchnął ciężko Korycki.

– Aha! Nie podobało się panu? Wie pan co, chodźmy na zewnątrz, tu się nie dogadamy!

Korycki posłuchał go z ulgą. Zaproponował nawet, by przenieśli się nad Wisłę i tam przysiedli. Widział, że Parowski przyjmuje propozycję z żalem. Mężczyzna obejrzał się na „Bajkę”, w której wielbiciele rakiet napędzanych niezwykłą siłą atomów, czymkolwiek były, wciąż zawzięcie dyskutowali, przekrzykując się i licytując na argumenty, z których normalny człowiek nie zrozumiałby ani słowa.

– Nie ucieknie panu przecież – zbagatelizował Korycki.

– W tym rzecz, że może – westchnął Parowski. – On ma wieczorem konsylium w Kobierzynie. O, po pańskiej minie poznaję, że zna pan to miejsce!

Znał. Może nie cały szpital, ale na pewno tę jego część, w której trzymano ofiary chorób umysłowych związanych z magią, szczególnie te niebezpieczne przypadki. Swego czasu sam podesłał tam paru kuracjuszy.

– Nasze sprawy też są ważne – przypomniał Parowskiemu.

– Są, rzeczywiście są – zgodził się warszawski łącznik. – Zgoda, niech pan prowadzi!

Nad Wisłą zatrzymali się nieopodal Mostu Podgórskiego, dopiero co odremontowanego i po latach zamknięcia oddanego do użytku. Choć z zamiarem remontu Rada Miasta nosiła się już od roku 1913, pracom najpierw przeszkodziła wojna, później Kres. W dodatku nową linię tramwajową pociągnięto wybudowanym w 1933 roku Mostem Piłsudskiego, przez co Podgórski zaczął być przez rajców uważany za zupełnie już niepotrzebny i przebąkiwano nawet o konieczności wyburzenia coraz bardziej zagrażającej żegludze wiślanej ruiny. Co gorsza, pod mostem załagał się emigrant z północy – troll, starający się wymuszać od nielicznych przechodniów opłaty. Ostatecznie konstrukcję uratował Marsjanin, pan Nowakowski, który nie tylko znalazł dla trolla lepsze zajęcie, ale też opłacił remont z własnej kieszeni. Dzięki temu ulica Brodzińskiego, przez całe lata zaniedbana, pełna była teraz knajpek, z których część otworzyła ogródki piwne na nadbrzeżu.

A że dzień był ciepły i słoneczny, dwaj spiskowcy przysiedli właśnie w jednym z takich ogródków. Zamówili po piwie, pochodzącym, jakżeby inaczej, z lokalnego browaru, należącego do Nowakowskiego. Trunek nazywano „prawdziwym marsjańskim”.

– Jakże ma pan dla mnie wieści? – rozpoczął generał, gdy

zorientował się, że zapatrzony w etykietę butelki łącznik nie spieszy się z nawiązaniem rozmowy.

– Wieści? Ach. Pana interesuje fidezyna, prawda?

Prawdę mówiąc, Koryckiego zupełnie nie zajmowała fidezyna, ów tajemniczy pierwiastek, o którym szeroko rozpisywano się od dwóch lat, kiedy to jedna z marsjańskich tajemnic wyszła na jaw. Kwestiami związanymi z fidezyną interesował się jednak Admirał.

– Przeogromnie – skłamał więc. – Tylko proszę mi nie opowiadać o zasadach działania. To nie moja specjalność. Bardziej interesuje mnie przemyt, szpiegostwo przemysłowe... Wie pan, te wszystkie problemy, z którymi użeracie się w stolicy.

– Tak zupełnie bez zasad to się nie da... – Parowski stuknął kilkakrotnie fajką o krawędź stolika, by pozbyć się z niej resztek starego popiołu, i natychmiast zaczął nabijać ją na powrót. Korycki, który sam był zapalonym fajczarzem, póki jego serce kochane, ta zaraza z piekła rodem, jego ślubna, nie zabroniła mu palić, przyglądał się temu z zazdrością. – Widzi pan, wszystko, co nas otacza, ta cała magia, te wszystkie cuda, one nie są tak wolne od reguł, jak by nam się zdawało. Zasada zachowania energii na przykład wciąż działa, w każdym razie jeśli chodzi o przyzywanie duchów i bogów, bo gdy oni używają magii, to rzeczywiście zaczynają dziać się cuda, których ani fizycy, ani neofizycy jeszcze wyjaśnić nie potrafią. Tym, którzy się zastanawiali, kim naprawdę są Marsjanie, przychodziły do głowy fantastyczne pomysły, że pochodzą z równoległego świata, gdzie działają inne prawa fizyki. Ale po tym, jak ten szpieg... Jak on się nazywał?

– Zacharski – podpowiedział Korycki.

– Właśnie, Zacharski. Po tym, jak wykradł z przejętej przez Marsjanina Hughes Aircraft Company tajemnicę fidezyny, wiele się zmieniło. Teraz wiemy, że to prawie klasyczna fizyka. Zacharski ukradł flakonik fidezyny, a rok później jakiś inny szpieg zdobył technologię jej pozyskiwania. Niby dawniej też istniały laboratoria produkujące bogów i demony. Ale to były jakieś prymitywne sale tortur. Zameczali w nich ludzi. Wszystko po to, żeby z modlitw tych nieszczęśników powstawały potwory, takie jakie zaplanowali ci niby naukowcy. A wie pan, co potrafiło się w nich rodzić.

Korycki przypomniał sobie Szulera Losu i zadrżał.

– Wiem aż za dobrze – mruknął.

– Teraz pozyskuje się fidezynę z ochotników albo jeńców... No, pomijając etyczne kwestie, dla dobra dyskusji, bo między nami mówiąc, to poważna sprawa... pozyskuje pan fidezynę i może pan robić, co chce. Tak jak mówił Krzysztof...

– Kto?

– Nie było pana jeszcze wtedy na prelekcji? Nieważne. Z fidezyną nie musi pan zdawać się na przypadek i wierzenia. Czystej, wydestylowanej fidezyny może pan używać jako paliwa do samolotów, a w przyszłości może i do kosmolotów. Może pan nią leczyć nieuleczalne choroby albo przedłużać sobie życie. Właściwie może pan z nią robić, co zechce. I w tym cały kłopot.

– We wszechmocy?

– No tak, w tym też. Ale przede wszystkim w tym, że wszyscy by jej chcieli. A fidezyna działa zgodnie z zasadą zachowania energii, pamięta pan? Nie starczy jej dla wszystkich. I znów, pomijając już kwestie etyczne, choć ich pomijać nie wolno, trzeba też myśleć o

ekonomii. Dlatego Marsjanie latają po całym wszechświecie w poszukiwaniu braci w rozumie. Są chciwi fidezyny. Słyszał pan o Zajdlu?

– Jakiś Marsjanin?

– Nie, Polak, fizyk. Pisze taką fantastykę jak Lem, tylko bardziej młodzieżową i przygodową. Ale pracuje teraz nad powieścią, która może okazać się straszna, gdy ją ktoś właściwie odczyta. Będzie musiał trochę z nią pokombinować, bo jeśli napisze wszystko wprost, to mu cenzura książki nie puści... Pan wie, że nas cenzurują?

– Żyjemy w niebezpiecznym świecie. Jedna książka może narobić sporo zamieszania. Słyszał pan na przykład o tym Austriaku? Niedawno dopiero sprawa wyszła na jaw...

– Tym, co sobie uroił jakąś chorą ponietzscheańską filozofię?

– Tym samym. Dodał do tego trochę rasizmu, teorii spiskowych... i chwyciło. Do tej pory nie wyjaśniono, jakim cudem te jego idee tak szybko się rozprzestrzeniły. Po miesiącu miał już własne bojówki. Gdyby w porę ich nie zlikwidowano, a książki nie wycofano z księgarni... – Korycki wzruszył ramionami. – To wszystko działo się w samym środku Kresu, wszystko było możliwe. Niemcy na wszelki wypadek czekali pięćdziesiąt lat z ujawnieniem tej historii. Cenzura czasem się przydaje.

– Wie pan, tu się nie zgodzimy. Choć ten Austriak... Ciekawa sprawa, swoją drogą. Snerg, inny fizyk, napisał niedawno powieść o tym, że nasz świat to ułuda, ślepa ścieżka historii, która stara się wrócić na ścieżkę właściwą. Dlatego niektóre fenomeny pochodzące z prawdziwej rzeczywistości potrafią tak silnie działać w naszym

świecie. I to jest bardzo ciekawe! Mogłoby tłumaczyć na przykład sukces tego Austriaka. Niech pan sobie wyobrazi rzeczywistość, kto wie, może prawdziwszą od naszej, w której on zdobywa władzę i podbija świat. W takiej wersji historii Warszawa jest pod okupacją tym razem nie rosyjską, ale niemiecką, a my wszyscy odgrywamy inne role niż w teraz i...

– A ta wizja ma się jakoś do tematu naszego spotkania?

– No tak, nie bardzo. Najmocniej przepraszam... Mówiłem panu o Zajdlu, tak? Widzi pan, on stale pyta: kim są tak naprawdę ci cali Marsjanie? Pan wie? Bo ja nie wiem. Nikt nie wie.

– Jak nikt nie wie, jak wszyscy wiedzą? To kosmici.

– No tak, w tym sensie tak. Ale co pan o nich wie ponadto? Niewiele, prawda? Tyle, co nam powiedzieli i co myśmy zdołali im wykraść. Już samo to, żeśmy musieli kraść fidezyne, to dowód na to, że co najmniej trochę nas okłamali. A Zajdel zadaje bardzo niebezpieczne pytanie: „A co, jeśli oni nas nie okłamali tylko trochę, ale dużo bardziej? Jeśli my wszyscy żyjemy w jednym wielkim kłamstwie?”.

– To jest ta wiadomość, którą miał mi pan przekazać?

– Trochę tak, ale nie do końca. Niech pan spróbuje być cierpliwy. Janusz, bo tak ma Zajdel na imię, pytał dalej. Jakie są podstawy naszej wiedzy o wydarzeniach z tysiąc dziewięćset szesnastego roku i ich konsekwencjach? No, jakie są, pańskim zdaniem? Co my wiemy o najeździe Marsjan?

– Przede wszystkim to, że im nie wyszedł?

– No właśnie! Tak jest! My, ludzie, okazaliśmy się wyjątkowi w całym wszechświecie i akurat u nas Marsjanom nie wyszło. Bo

pojawiła się zwrotna, która tak im przywaliała, że pospadały ich kosmoloty, a na Ziemi rozpętała się wojna żywych z umarłymi, Marsjan z bogami. Tak nas uczą, prawda?

– Bo tak było.

– A jeśli nie? – Parowski uśmiechnął się, mrugnął łobuzersko i zaraz potem denerwująco zamilkł, by zaciągnąć się dymem z fajki.

Rozdział dziesiąty

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Pas Planetoid

Nie mieli szans, by uciec. Ich szalupa nie dysponowała ani odpowiednio mocnymi silnikami, ani nawet zapasem energii pozwalającym na ich dłuższe używanie. Drygieł obserwował więc bezsilnie, jak obcy statek – najpierw jako biały punkt mapie wyświetlanej przez komputer, potem na ekranie przedstawiającym otocznie szalupy – zbliża się do nich, nie przestając nadawać przez cały czas szant.

Potrzebował dwóch godzin, by podlecieć na tyle blisko, aby mogli przyjrzeć się jego kształtowi. Był to najpaskudniej spędzony czas w życiu Adama. Nie odzywali się do siebie z Hoygrenem, bo też nie było o czym mówić. Choć szalupę zaopatrzono w broń, nie mogli przecież we dwóch stawić czoła całej bandzie piratów – o ile rzeczywiście byli to piraci.

– Mamy szczęście, że to nie herostratejczycy – mruknął wreszcie zmęczony napięciem Petyr, rozpinając swój hamak. – Oni by nas po prostu rozwalili. Obudź mnie, jak przylecą.

Drygieł został więc sam. Nie znajdując dla siebie innego zajęcia, przypatrywał się nadlatującemu statkowi, zastanawiając się nad jego intencjami, aż wreszcie obudził przyjaciela.

– Co? Już? – skrzywił się Petyr. – Bogowie! Cały czas śpiewają?

*Near, far, wherever you are
I believe that the heart does go on
Once more you open the door
And you're here in my heart and
My heart will go on and on...*

Piraci w tle zawodzili, tupali i przygrywali sobie na akordeonie szybką, wesołą melodię, niezbyt może pasującą do smętnego tekstu, za to znakomicie do wyobrażeń o pirackich załogach.

– Jezu, bracie! – skrzywił się Hoygren. – Toż oni dotrą do nas dopiero za jakieś pół godziny! Mogłeś dać mi pospać!

– Śpisz prawie bez przerwy od dwóch tygodni.

– Bo człowiek śpiący jest mniej awanturującym się, a do tego zużywa mniej tlenu.

– Mamy od cholery tlenu!

– Teraz tak mówisz. A co, jeśli będziemy włączyć się przez, powiedzmy, rok?

– Przez rok to zdechniemy z głodu.

– Ty może tak. Ale ja już zaplanowałem, jak podzielić twoje zwłoki na oszczędne porcje, które wystarczą mi przynajmniej na miesiąc.

Roześmiali się obaj, a potem Drygieł wyjaśnił Petyrowi, czemu zbudził go wcześniej. Nakazał komputerowi powiększenie obrazu nadlatującego statku tak, by można było mu się przyjrzeć w całej okazałości. I Hoygren przyjrzał się, po czym opisał swoje wrażenia dwoma słowami:

– O kurwa...

Zbliżał się ku nim galeon pod pełnymi żaglami.

Na jego dziobie przeżyła się w nieco wyuzdanej pozie szczodrze obdarzona wdziękami czarnowłosa piratka w dziko kolorowej sukni, wyrzeźbiona z takim zamiłowaniem do szczegółów, że podający uzupełniający opis okrętu komputer zdolny był nie tylko policzyć pierścienie na jej palcach, ale również podać rodzaj i liczbę karatów kamieni, jakie je ozdabiały. Zaznaczył przy tym, iż skan wykazał, że kamienie były najprawdziwsze, a nie wyrzeźbione. Nie stanowiło to wielkiego osiągnięcia w czasach, w których dzięki podbojowi kosmosu udawało się w Pasie Planetoid odnaleźć bez wielkiego trudu skałę składającą się niemal wyłącznie ze złota bądź diamentów, niemniej mówiło wiele o zamiłowaniu do szczegółów artysty, który stworzył rzeźbę. Kadłub galeonu szeroki był na około czternaście metrów (trzynaście i osiem dziesiątych, podpowiedział komputer), co nie robiło wielkiego wrażenia na członkach załogi nieodżałowanej OTG „Dorki”.

To widok rozpiętych na czterech masztach żagli sprawił, że zaniemówili.

A także wymalowane na nich na czerwono i czarno czaszki.

– Właściwie – bąknął Drygieł, gdy wreszcie zdołał przełknąć ślinę i odzyskał głos – w próżni to nie ma wielkiego znaczenia, o ile nie wchodzi tym czymś w atmosferę...

– Diabła tam nie ma! – zachnął się Hoygren. – I do diabła z próżnią! Symbole, metafory... Wszystko ma znaczenie! Czerwień jest barwą korsarzy, ale to nie żagle mają czerwone, lecz czaszki. I to ledwie dwie z czterech... Czekał, zwraca się do nas lewą burtą.

No nie mogę. Kurwa, nie znajduję innych słów, jak tylko te: kurwa żesz jego mać!

Adam też by chętnie zaklął, ale nie chciał powtarzać po przyjacielu.

Teraz, gdy okręt obrócił się do nich bokiem, zobaczyli kadłub, który wydawał się drewniany. Oczywiście nie mógł taki być, a właściwie mógłby, gdyby ktoś okazał się na tyle szalony, by obłożyć porządną, ceramiczną powłokę dodatkową warstwą desek. Nie miało to wielkiego sensu, jednakże w przypadku statku zaopatrzonego w żagle – i to nie gwiazdne, łapiące wiatr od Słońca, rozciągane na setki kilometrów, ale zwyczajne, zdałoby się oczekujące na powiew morskiej bryzy – doszukiwanie się sensu mogło oznaczać karkołomne zadanie. Możliwe więc, że właścicielem okrętu był ktoś na tyle ekscentryczny i bogaty, by zaszaleć. Jednak to nie widok drewna na kadłubie i nawet nie dziesiątki odcisniętych na nim białych dłoni różnych rozmiarów sprawiły, że Hoygren, zwykle obdarzony darem kwiecistej wymowy, tym razem potrafił jedynie zakląć.

To unoszące się w kadłubie klapy, odsłaniające trzy rzędy dział wyglądających, jakby przeniesiono je prosto z opowieści o starodawnych piratach, wywarły takie wrażenie na dwóch załogantach szalupy.

Nie zauważyli, że nadawana z galeonu muzyka przycichła, póki w ich głośnikach nie rozległ się nowy, brzmiący tubalnie głos:

– Ahoj tam! Do kroćset! Słyszać mnie?

– Wszyscy pana słyszymy, kapitanie! – zapiszczał głośnik prędką, udzieloną nadzwyczajnie wysokim głosem odpowiedzią. –

Najbardziej ja, pana wierny towarzysz, zawsze stojący czujnie przy pańskim boku! Ale nawet cała załoga...

– Do wszystkich diabłów, pytam tych w szalupie! – przerwał mu ryk tak potężny, że głośniki aż ochryły, starając się przekazać jego siłę. – Ahoj, rozbitkowie! Słyszycie mnie? Niech to wszyscy diabli, bosmanie! Wyłączcie tę cholerną muzykę! Nie słychać mnie przez nią!

– Właśnie, wyłączyć broń psychologiczną! – poparł dowódcę piskliwy głosik. – Zagłusza naszego kapitana! Do stu diabłów!

Drygieł i Hoygren spojrzeli po sobie, by odkryć, że maluje się na ich twarzach ten sam wyraz konsternacji i zdumienia.

– Co im odpowiemy? – szepnął Adam.

– Możesz mówić normalnie, póki nie przełączymy na nadawanie.

– Czy ja wiem? Z takiej odległości mogą wyizolować to, co mówimy, z drgań kadłuba.

– Myślisz? Mnie wyglądają na bandę patałachów i świrów...

– Jezu! Takie rzeczy to już w ogóle mów ciszej!

– Jak zwykle jesteś nazbyt ostrożny, bracie! Ile razy już ci mówiłem: śmielej! Wszystkie twoje kłopoty z laskami biorą się z tego, że...

Ostrzeliwują nas! – przerwał im komputer.

Istotnie, lufy jednego rzędu dział zabłysły, wypluwając z siebie nie kamienne bądź żelazne kule, jak oczekiwał Drygieł, ale białe ładunki plazmy, które jednak ominęły szalupę, przelatując tuż nad jej kadłubem.

– Ahoj, szalupa! – powtórzył kapitan galeonu. – Wiemy, że tam jesteście. Przeskanowaliśmy was, a do tego potrafimy izo... No,

robić to, co mówił ten, co szeptał. Zgodnie z prawem morskim spieszymy na pomoc rozbitkom. Ale jeśli uważacie, że lepiej nas ignorować, możemy zagrać w waszą grę i wygarnąć z dział celnie i skutecznie, żeby zapobiec zaśmiecaniu oceanu. Co wy na to?

– Mówiłem: świry – nadał się Hoygren.

Drygieł nie słuchał go. Przełączył radio, by mogło także nadawać, i zameldował, że na pokładzie znajduje się dwóch chorążych, łącznościowców ze zniszczonego okrętu OTG „Dorka”. Dodał prędko, że Transport Galicyjski z pewnością wykaże liczoną w gotówce wdzięczność za dostarczenie ich do najbliższej placówki TG całych i zdrowych, razem z nienaruszoną szalupą i całą jej zawartością.

Oczekując na odpowiedź galeonu, usłyszeli w tle okrzyki. Część z nich zawierała propozycje, żeby ich zestrzelić i tak. Niektóre wyrażały nienawiść do „pieprzonych burżujów z pieprzonego te-gie”, inne wydawali osobnicy zwyczajnie rozmiłowani w strzelaniu do każdego napotkanego obiektu. Na szczęście przeważały te, które liczyły na zarobek.

– Dobra – oznajmił kapitan. – Kierujcie się ku naszej lewej burcie. U jej spodu otworzy się wjazd do hangaru. Cała ta wasza łódka się tam nie zmieści, ale przycumujemy ją, a wy przeskoczycie przez luk. Broń wam zabierzemy. Co cenniejsze niewielkie rzeczy możecie zabrać ze sobą, na wypadek gdyby szalupę z jakiejś okazji szlag trafił. Resztę zostawcie na pokładzie, te-gie stać na ewentualne straty. To do zobaczenia za jakieś pół godziny. Powodzenia!

Zamilkł, a głośnik znów zaczął nadawać tylko szanty.

Drygiel wyjął ze schowka worek marynarski i zaczął wciskać do niego obraz.

– Powinieneś to schować – powstrzymał go Hoygren, szepcząc najciszej, jak potrafił. – Chyba im nie wierzysz? Spakujesz to, zabierzesz ze sobą, a oni ci to ukradną.

– A jak tu zostawię, to nie ukradną? – odpowiedział mu Adam, także tłumiąc szept. – Co gorsza, mogą faktycznie odstrzelić szalupę.

– No to zabierz go ze sobą, ale nie tak.

– A jak?

– Myśl, człowieku! Wytniemy obraz z ram, żeby zostało samo płótno, a potem owiniemy cię nim... Najlepiej pod majtkami, tam będą szukać na końcu.

– Chyba cię popieprzyło, Petyr. Zwariowałeś?

– Bo co?

– A jak Marika akurat wróci?

– Kto?

– Marika. Obrazooperatorka. Wróci, nawiąże łączność i co? Pierwsze, co zobaczy, to moje... tego... Coś, czego widzieć nie powinna?

– No tak, rozmiarami byś jej nie zaimponował. Słuchaj, złożymy go obrazem do wewnątrz, żeby ta twoja niunia nie dostała szoku, w porządku? Tnij. Ja potrzynam ramę.

Kończyli, gdy głośnik ponownie zaryczał kapitańskim basem:

– Przez dziesięć minut nie wykonaliście żadnych manewrów! Naprawdę chcecie zobaczyć fajerwerki?

– Już, już! Pakujemy się!

– Wy się pakujcie, a komputer niech steruje. Macie minutę, żeby mnie przekonać, że naprawdę się staracie. Potem strzelam. I to nie będzie salwa ostrzegawcza.

– A prawo morskie? – zaprotestował Drygieł.

– Jak się nad tym porządnie zastanowić, to jesteśmy w kosmosie, nie na morzu. Zresztą, ja nie przestrzegam żadnych praw oprócz tych, które mi akurat pasują. Te wszystkie wasze regulaminy i konstytucje to burżuazyjny przeżytek. Minuta.

Podczas gdy Hoygren owijał Adama obrazem, podlepiając go na wszelki wypadek plastrem, komputer – zaraz po tym jak ostrzegł, że nadprogramowe zużywanie paliwa nie oznacza nic dobrego – uruchomił silniki manewrowe i szalupa zaczęła zbliżać się ku galeonowi.

Gdy podlecieli na tyle blisko, by odczytać wymalowany na burcie straszliwie pokreślonymi literami napis „Czarna Sara”, dno okrętu uchyliło się, odsłaniając hangar, z którego zaraz wystrzeliły chwytaki. Połączyły się z systemami cumowniczymi szalupy, a gdy przyciągnęły ją do galeonu na dwadzieścia metrów, z „Czarnej Sary” wysunął się rękaw luku transportowego.

Drygieł i Hoygren na wszelki wypadek założyli kombinezony próżniowe i narzucili na plecy butle z tlenem. Wszystko to ważyło niemało i ograniczało ich zdolności manewrowe, ale gdy weszli w rękaw łączący szalupę z galeonem, byli zadowoleni ze swojej przezorności. Nie tylko nikt nie zadbał tam o sztuczną grawitację, ale i o ogrzewanie.

Inteligentne kombinezony zareagowały na zabójczo niską temperaturę i uruchomiły własne systemy grzewcze, nim zamarзли.

A szanse na to mieli niemałe. Bo choć obaj, jak każdy, kto służył w Transporcie Galicyjskim, trenowali poruszanie się w stanie nieważkości, wyszli z wprawy, skoro od czasów studiów w Akademii nie musieli korzystać z tej umiejętności. Okręty i statki TG zapewniały swoim załogom nieustający komfort ziemskiej grawitacji za sprawą podstawowej magii zmiany masy. To, co nawet najlichszym baśniowym czarodziejom pozawalało zmieniać siebie bądź innych wedle zachcianek w myszy bądź żaby, wraz ze zmianą masy zaczarowanych znalazło zastosowanie w podróżach kosmicznych.

Teraz pokonanie dwudziestu metrów w stanie nieważkości zajęło rozbitkom blisko dziesięć minut, ale nareszcie dotarli do śluzy „Czarnej Sary”. Ozdobione logiem Transportu Galicyjskiego oraz symbolem OTG „Dorki” worki marynarskie, podczipione do kombinezonów na elastycznych taśmach, unosiły się nad mężczyznami niczym proporce, gdy zatrzymali się przed śluzą.

– Raz kozie śmierć! – zawołał Petyr, starając się nadać głosowi wesoły ton, po czym uderzył pięścią w wielki czerwony przycisk, mający otworzyć śluzę.

Jej wrota rozsunęły się, odsłaniając brązowawe wnętrze, oświetlone tylko niewyraźnie latarniami przypominającymi zamrożone pochodnie. Ledwie doń weszli, wrota zamknęły się za nimi, jak odniósł wrażenie Drygieł, znacznie szybciej, niż się otwierały.

Systemy skafandrów zameldowały, że śluzę wypełniło powietrze w sam raz nadające się do oddychania, wzbogacone jednak o zapach lekkiej stęchlizny. Na wszelki wypadek nie zdjęli hełmów.

Zamarli przed włazem, prowadzącym do wewnątrz okrętu. A gdy ten otworzył się, odsłaniając długi, ciemny korytarz, odruchowo przywarli do siebie, ramię do ramienia.

Przywitał ich dziwaczny stwór – wielkolud w popielatym kaszkiecie, zarośnięty na policzkach i brodzie gęstą siwą szczecina, ale najwyraźniej starannie golący wąsy. Miał na sobie długą czarną kurtkę bosmańską, ozdobioną złotymi naramiennikami.

Na ramieniu siedziała mu papuga, a przy nodze stała istota przypominająca karła o najwredniejszym wyrazie gęby, jaki Adamowi zdarzyło się widzieć. Choć olbrzym wydał mu się dość paskudny, ciemna, pomarszczona gęba karła przywodziła na myśl najbrzydliwsze koszmary.

– Na kolana, psy! – zapiszczał karzeł. – Na kolana przed wszechmocnym, ojakżepogromczym a majestatycznie poetyckim i poetycko niepokonanym kapitanem „Czarnej Sary”, Burzymurem Białobrodym!

Rozdział jedenasty

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

Szczura, rzecz jasna, nie udało się znaleźć, o czym zameldował Oldze bardzo starannie ukrywający stropienie czarny kocur, pojawiając się jakby znikąd któregoś poranka w jej sypialni. Nie obudziła się wówczas z krzykiem wyłącznie dlatego, że przywykła już do takich wizyt.

Nie podciągnęła nawet kołdry aż pod szyję, jak robiła to przez pierwsze trzydzieści lat malowanego życia. Potarła tylko twarz dłońmi, przeciągnęła się, ziewnęła. Odsłaniając spod koszuli nocnej ramię, zaróżowione od poświaty liżącej dachy domów za oknem, sięgnęła ku lampie elektrycznej. Elektryczność przeciągnięto przez cały pałacyk ku wielkiemu niezadowoleniu hrabiny Aleksandry, preferującej światło lamp naftowych i świec. Tym razem jednak Oldze udało się postawić na swoim, być może dlatego, że uzyskała w tym poparcie Transportu Galicyjskiego, głównego od dwóch stuleci sponsora i sojusznika Malowanej Moskwy.

Kocur wyglądał, jakby skradał się ku dziewczynie. Pod wpływem światła elektrycznego przymrużył zielone oczy, ale nie zaprzestał wędrówki. Wspiął się po przykrytych kołdrą łydkach i dalej, po prawym udzie, na zasłonięty brzuch, z którego miękkim krokiem podkradającego się łowcy przeszedł na pierś, osłoniętą jedynie lekkim materiałem nocnej koszuli. Tam położył się wreszcie i

zamruczał.

– Ech, gdyby nie ta postać przeklęta! – zaczął jak zwykle, gdy nachodził Olgę w sypialni. – Inaczej byśmy pogadali, krasawica! A teraz podrap mnie za uchem.

– Która godzina? – zapytała, spełniając kocie życzenie, jeszcze nie całkiem rozbudzona. Kot utrzymywał, że nikt na całym świecie nie potrafił drapać go za uchem tak jak ona. Być może flirtował z nią tylko, możliwe jednak, że nie do końca kłamał. Z jakiejś przecież przyczyny utrzymywał sojusz z Olgą, choć dostał ponoć wiele innych propozycji. Opowiadał o nich chętnie, puszczając się przy tym i domagając dodatkowych pieszczot.

– Ta męcząca – odparł. – Ta, o której porządne domowe koty kładą się spać na poduszkach swoich właścicieli, trącając nosami ich nosy i strzegąc najważniejszych, bo porannych snów, tych, które się zapamiętuje. Godzina, o której...

– Czyli: piąta nad ranem. – Olga rozbudziła się już na tyle, by przypomnieć sobie o zegarku leżącym tuż obok lampki nocnej. – Przepadłeś gdzieś na dwa tygodnie, łobuzie!

– Szukaliśmy Szczura – wyznał. – Wstyd było tak pojawiać się z pustym pyskiem. Ale przepadł, drań. Nawet myszy, którym obiecywaliśmy, nieszczerze, przyznaję, że będą puszczane wolno, nic nie wiedziały. Nawet wróble i szczury, i łasice, które polują na nie w kanałach, i...

– Krótko mówiąc, zniknął. – Odepchnęła miękką, kocią łapę, która zapuściła się stanowczo za głęboko w dekolt. – No to nie znajdziemy go, póki sam tego nie zechce. Jak zwykle.

– Miło to słyszeć. – Kot parsknął, niby obrażony, zerwał się na

równe łapy i przeskoczył na stoliczek, by obwąchać zawartość stojącej na nim filiżanki. – Brrrr! Kawa! – Strącił naczynie, pozornie przypadkiem. Zanim odskoczył gwałtownie, by w mgnieniu oka znaleźć się na drugim końcu pomieszczenia, odwrócił głowę ku Odze i mrugnął. – Kiedyś nauczysz się doceniać gorzałkę! – zawołał już z parapetu. – Na razie cieszy mnie, że pogodziłaś się z własną klęską...

– Z moją klęską?

– Skoro ty zleciłaś bezowocne poszukiwania, ty odpowiadasz za ich niepowodzenie – wyjaśnił. – A teraz bywaj, miła! Jesteś słodziutka i chętnie zostałbym z tobą na dłużej, ale muszę zająć się pilnymi sprawami. Nie – podniósł do pyska uzbrojoną w wysunięty pojedynczy pazur łapę – nie prosz, nie ponizaj się błaganiami. Nie mogę zostać. Niech pocieszy cię myśl, że kiedyś wrócę. Nikt nie drapie mnie za uchem tak jak ty.

Uchylił okno i wyskoczył w nadchodzący świt, nim jeszcze zdążyły opaść kraty.

– Wybaczam, bo wiem, jak bardzo jest ci wstyd – zawołała w przestrzeń i zaraz opadła na poduszkę.

To były ciężkie dwa tygodnie.

Najpierw wiceprezes Transportu Galicyjskiego, wyleniały zmorzec pamiętający czasy, kiedy Olga żyła jeszcze w Twardym Świecie, oznajmił, że spalony Pałac Łączności należy natychmiast zamknąć i odciąć od świata, zakazując komukolwiek wstępu doń. Drzwi i okna prowadzące do budynku zamurowano, podobnie jak prawie wszystkie tajne przejścia. Olga pozostawiła tylko jedno, jedyne, o którym wiedziała wyłącznie ona sama. Zmorzec nie do

końca potrafił wytłumaczyć jej, z jakiego powodu podjęto aż tak radykalne kroki. Rozumiała jednak potrzebę znalezienia nowej, bezpieczniejszej siedziby.

Zresztą, od dłuższego czasu przygotowywano taką: podziemny bunkier pod posępną kamienicą przy ulicy Sadowej, wielką, mającą kształt podkowy i pięciopiętrową. Udało się wymeldować z niej wszystkich lokatorów i mieszkania zajmowali tam obecnie wyłącznie agenci Rostowów i Transportu Galicyjskiego. Piwnice zaś rozbudowywano niczym słynne moskiewskie metro, które pojawiło się samo, jakby znikąd, od razu pełne zniszczonych wagonów, plemion zwaśnionych ze sobą ludzi oraz dziwnie przemienionych szczurów. Tym ostatnim zagony kotów przez blisko miesiąc musiały wybijać z głowy pomysł wychodzenia na powierzchnię, nim wreszcie szczurze hordy uznały swoją klęskę i zniknęły z ulic.

Co do podziemnych ludzi, ci prawie nie opuszczali bezużytecznego metra. Od czasu do czasu wpełzali z niego tylko jacyś obwiesie w kapturach głęboko naciągniętych na pozasłaniane maskami twarze i gnębili porządnymi obywateli, zebrząc u nich o najróżniejsze drobiazgi. Gdy wreszcie pogoniła ich policja, przestali opuszczać podziemne korytarze za dnia. Odtąd wyprawiali się na powierzchnię wyłącznie nocami, by grzebać po śmietnikach. Okazali się na tyle dobrzy, że prawie udało im się zastąpić służby komunalne w dziele oczyszczania miasta z odpadków.

Zdaniem Olgi musieli pochodzić z jakiejś wyjątkowo ponurej legendy.

Nawet nie chciała wnikać, z jakiej. Mimo to zleciła odpowiednie badania i nawet spróbowała nawiązać kontakt z przedstawicielami

podziemnych. Kimkolwiek by się nie okazali, należało uczynić z nich sojuszników, nim zrobi to Kutuzow albo owa tajemnicza siła, której wciąż nie potrafili rozszyfrować. Na szczęście podziemni byli tak skłóceni ze sobą nawzajem, że nie udało im się wyłonić sensownej reprezentacji. Poniekąd uspokojona tym Olga zadowoliliła się utrzymywaniem w metrze stałej siatki szpiegowskiej.

Do schodzenia pod ziemię sama żywiła trudną do wytłumaczenia niechęć. Psychologowie Malowanej Moskwy utrzymywali, że dość powszechna wśród malowanych ludzi fobia może wiązać się ze świadomością, że ich prawdziwe ciała rzeczywiście spoczywają martwe pod ziemią, gdzieś w Twardym Świecie. Olga jednak nie do końca wierzyła w tę tezę. Przecież nie żyła już od ponad dwustu lat! Czy nie zdołałaby przez ten czas oswoić się z tą świadomością?

Przecież udało jej się nie popaść w zdziwienie albo apatię, nie zatracić siebie, co zdarzało się wielu innym malowanym ludziom, przytłoczonym pozorem nieśmiertelności. Niełatwo było żyć w ograniczonym świecie z obrazów. Jeśli ktoś za życia był safandulą albo jedną z tych dusz, które bez końca wzdychają do jakiegoś wielkiego sensu życia, przegapiając każdą okazję, jaka mogłaby mu ten sens nadać, to niekończące się lata malowanego życia niszczyły go prędzej czy później. Olga przynajmniej miała swoją misję. Ojciec od najmłodszych lat wpajał jej poczucie obowiązku wobec kraju, którym w przyszłości miała się opiekować. To pomogło. To... i nadzieja, jaką wciąż żywiła w sercu.

Jednak zwyczajnym ludziom nie zawsze udawało się zachować równowagę psychiczną, gdy żyli przez dekady, na pozór nie zmieniając się zupełnie. Jakąż udręką – także dla Olgi – okazało

się noszenie wciąż tego samego ubrania! Nawet mężczyźni zaczęli się z czasem skarżyć na monotonię stroju. Oldze zajęło dwadzieścia lat przekonanie opiekunów swojego portretu, by przemaalowali wreszcie jej jasną, dziewczęcą suknię, wzorowaną na modzie z końca dziewiętnastego wieku, na coś praktyczniejszego i nowocześniejszego. Gdy pojawiła się technologia umożliwiająca malowanym ludziom własnoręczne szycie i przebieranie się, prawie cała Moskwa przez dwa tygodnie balowała ze szczęścia.

Obrazoperatorki dało się przenieść bez trudu do nowej siedziby. Ponieważ malowani ludzie nie musieli siedzieć bez końca we własnych portretach, o ile pojawiali się na nich przynajmniej podczas pełni księżyca w Twardym Świecie, dziewczyny po prostu zeszły do namalowanego schronu i zajęły miejsca na swoich stanowiskach.

Problem leżał po stronie Twardego Świata. Tam nie tylko należało namalować wnętrza nowej centrali łączności, i to jeszcze pod kilkoma różnymi kątami, ale też rozprowadzić nowe obrazy po całej flocie. A to już nie było takie proste.

Olga nie do końca pojmowała zasady fizyki rządzące Twardym Światem. Jako dziedziczka Rostowów odebrała wprawdzie staranne wykształcenie, nie obejmowało ono jednak zagadnień podróży kosmicznych, ponieważ w owym czasie podróż do sąsiedniego miasta stanowiła wyprawę trudną do przeprowadzenia. Nie tylko na Dzikich Polach, ale nawet w bardziej cywilizowanych rejonach świata miasta pełniły wówczas rolę twierdz, pomiędzy którymi rozciągały się terytoria opanowane przez dziką magię i szalonych bogów. Tak więc Oldze musiało

wystarczyć zapewnienie zmorca, że okręty nie są w stanie, nawet przy użyciu magii, pokonywać olbrzymich kosmicznych odległości w mgnieniu oka. W związku z tym w nowe obrazy komunikacyjne zaopatrzone zostały najpierw te jednostki floty, które stacjonowały na orbicie okołoziemskiej. Ich zadaniem było dostarczyć nowe środki komunikacji pozostałym, którzy do tego czasu musieli zdawać się na mniej doskonałe metody łączności.

Całkowita wymiana obrazów miała zająć miesiąc. Tym bardziej dziewczynie wydawało się sensownym utrzymanie choćby ograniczonych dyżurów w dawnym Pałacu Łączności, jednak zmorzec był nieugięty.

– Nie możemy już być go pewni – oświadczył. – Nikomu nie wolno tam wchodzić. Niech pani wystawi wokół niego jawne i tajne warty. Jeśli jakiś nieprzyjaciel się tam przedostanie, może narobić szkód, przekazując fałszywe dane kapitanom floty. Pałac jest stracony na zawsze, proszę się z tym pogodzić.

Oficjalnie przystała na to, choć nigdy nie godziła się łatwo z porażkami. Pochodziła przecież z Rostowów!

Nawiązała potajemnie kontakt z niezależnymi od TG sojusznikami w Twardym Świecie, po czym skupiła się na prowadzeniu wzmożonego śledztwa w Malowanej Moskwie.

Zastanawiało ją, czemu nie otrzymała szybkich kondolencji od Kutuzowa. Ilekroć w mieście którejś ze stron konfliktu przytrafiało się coś złego, ta druga natychmiast wysyłała kurierów, przekazujących wyrazy żalu wraz z zapewnieniami, że nie miała nic wspólnego z kłopotami przeciwnika. Kłamano w blisko sześćdziesięciu procentach przypadków, rzadziej odkąd w

moskiewskie sprawy wtrąciła się trzecia siła. Milczenie Kremla można było interpretować jako brak wiedzy o ataku na Pałac. To jednak wydawało się Oldze nieprawdopodobne.

Albo więc Kreml zrzucił ostatecznie maskę i od zimnej wojny przeszedł do preludium wojny gorącej, albo też Kutuzow był tak pogrążony we własnych kłopotach, że nie zwracał uwagi na cudze.

Od szpiegów na Kremlu Olga dowiedziała się wreszcie, że istotnie zarządzono tam pełną mobilizację tajnych służb i żandarmerii, nie zmieniając przy tym stopnia gotowości armii. Niepotwierdzone pogłoski mówiły, że sam generał-gubernator padł ofiarą zamachu czerwonych terrorystów. Przeżył, lecz siedzące tam dotąd cicho jak myszy pod miotłą frakcje skoczyły sobie do gardeł.

W innych okolicznościach taka wiadomość ucieszyłaby Olę. Teraz jednak zdawała sobie sprawę, że ze słabości jej wroga może skorzystać inny wróg. Na wszelki wypadek nakazała nawiązanie ostrożnego kontaktu z najsilniejszą z rywalizujących grup.

Czerwony terror, no proszę. Nim także musiała się zająć. Wieczna Rewolucja poświęciła sto lat starań, nim wreszcie udało się jej przerzucić do Malowanej Moskwy swojego pierwszego agenta. Ludzie Olgi zneutralizowali go kwadrans po namalowaniu. Biedak rzucał się w oczy. Artysta, który go namalował, wyhodowany w laboratoriach Rewolucji i przejęty wkrótce przez agentów TG, nie miał pojęcia, jak wyglądają i ubierają się normalni ludzie. Jego szpieg wyglądał jak bohater z rewolucyjnego plakatu: idealniejszy od marzeń nastolatek, prostszy niż pragnienia nastolatków, a do tego ubrany w jakąś koszmarną, mieniącą się wszystkimi barwami tęczy wariację na temat dziewiętnastowiecznej mody.

Z czasem rewolucjoniści nauczyli się lepiej maskować pochodzenie swoich agentów, jednak to nie oni byli w Malowanej Moskwie najgroźniejszymi nosicielami bakcyła komunizmu. Tylko nuda. Ta sama, która potrafiła doprowadzać malowanych ludzi do apatii i samobójstw, sprawiała też, że szukali dla siebie najniezwykleszych podniet. W mieście rozkwitały więc najdziksze i najbardziej szalone gałęzie sztuki, co gorsza, uprawianej najczęściej przez osoby pozbawione najmniejszych nawet talentów artystycznych. Samych salonów poetyckich było tu kilkaset. Rywalizowały one między sobą, tworzyły frakcje i tajne loże, a nawet toczyły prawdziwe bitwy na ulicach.

Niestety, wśród tych atrakcji był też komunizm. Trudno powiedzieć, czy przywlekły go do Moskwy wspomnienia z Twardego Świata, czy agenci Wiecznej Rewolucji, czy wreszcie któreś z podziemnych plemion z Metra. Skąd by nie pochodził, przybył do malowanego miasta i rozpalil gorączką część jego mieszkańców. Nie trzeba było długo czekać, a narodzili się z niego terroryści.

„Zbyt wiele dzieje się na raz, by wierzyć, że to wszystko niepowiązane przypadki – dumala Olga, leżąc w łóżku i ciesząc się chłodem poranka wpuszczonym do sypialni przez niesforne go kota. – Może Rewolucja przemyśla więcej agentów, niż sądziliśmy? Ale Szczur utrzymywał, że to *trzecia siła* stoi za wszystkim. Tyle że Szczur przepadł. Nie żyje? Oby nie...”. Zasepiła się. Miała własne plany wobec tego nazbyt samodzielnego mężczyzny.

Przychodził jej do głowy tylko jeden powód jego obecności i zaangażowania. No dobrze, dwa. Ale ten drugi sama sobie zmyśliła, nie należało przykładać do niego wagi. A zatem jeden powód.

Czy to wszystko mogło być ze sobą powiązane?

A jeśli to Szczur był „trzecią siłą”?

Nie!

Nie?

Westchnęła. Niechby diabli wzięli tę robotę! Czemu nie mogła pozostać taką, jaką ją namalowano: młodą, wesołą i trochę naiwną dziewczyną? Czemu niektóre jej uczucia z czasów, kiedy żyła nie zmieniły się, a inne dwieście lat doświadczenia odmieniło tak bardzo?

No dobrze, Szczur to niewiadoma. Trzeba będzie porozmawiać o nim z Czchartiszwilim jak o potencjalnym wrogu. Ucieszy się stary śledczy, od dawna ją już do tego namawiał. Pewnie od dekad prowadzi własne, ciche śledztwo, ale zatrzymuje jego wyniki dla siebie, żeby jej nie drażnić. Swoją drogą, Czchartiszwili to profesjonalista, sumienny aż do obsesji. Jeśli zbadał sprawę, to by znaczyło, że Szczur jednak nie jest wrogiem. Inaczej szef agentów Rostowów z pewnością dawno by o tym Olgę powiadomił, bardziej zważając na jej bezpieczeństwo niż na uczucia.

Ta myśl poprawiła jej humor.

No dobrze. Kutuzow, rewolucjoniści, trzecia siła – oto problemy wewnętrzne.

Niestety, równoczesny atak na Pałac i na w sumie trzy okręty Transportu Galicyjskiego oznaczał, że zagrożenie malowanych przestrzeni było ściśle powiązane z kłopotami w Twardym Świecie. Trzeba będzie tam z kimś pogadać poważniej.

Wstała z łóżka i, nie przebierając się, przeszła do sąsiedniego pokoju, który służył za tło dla jej portretu.

Jak zwykle, kiedy wchodziła w przestrzeń, w której narodziła się na nowo, przebiegł ją przyjemny dreszcz, podobny do tego, jaki towarzyszy człowiekowi, gdy po długiej podróży wraca do domu, ale znacznie silniejszy. Poczowała się szczęśliwsza, jakby wszystkie jej wewnętrzne barwy nabrały intensywności, a dusza wynurzyła się ponad fale prząsnej codzienności i nabrała w płuca haust świeżego cudu.

Mimowolnie przybrała pozę, w jakiej ją namalowano. Lewą rękę wsparła o ułamek marmurowej kolumny, a prawą uniosła w stronę karku, jakby chcąc sprawdzić, czy nie rozsypie się za chwilę jej kunsztownie spięta do pozowania fryzura.

Rozpuszczone na noc włosy zareagowały na malarski czar i same ułożyły się w kształt sprzed dwustu lat. A na Olgę spłynęła cała młodzieńcza radość tego dnia, gdy po raz pierwszy ujrzała swój, jeszcze wtedy nieożywiony, portret.

– Wando! – zawołała. – Wando, jesteś tam?

Rozdział dwunasty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Belgrad

Trzy postacie zawsze przebywały w pobliżu Kutrzeby. W zależności od zasad, których nie rozumiał, różnie je postrzegał. Potrafiły marnieć, rozplywać się, zniknąć prawie zupełnie, tak że kątem dostrzegał tylko ich przezroczyście cienie na krawędzi pola widzenia. Bywało jednak, że objawiały mu się wyraźniej. Na przykład jak teraz, gdy szedł ulicą Króla Piotra, planując potem skręcić w prawo i następnie dalej, obok teatru, ku Skadarskiej, a one spoglądały na niego z drugiej strony drogi, spod dziobatego budynku, z którego tynk odpadał całymi płatami, odsłaniając ceglaną tkanę.

Ostatnio coraz częściej Kutrzeba odwracał od nich wzrok.

Nie z powodu wstydu, że dopełnienie zemsty odwlekło się o całe lata, a duchy niepomszczonych niecierpliwiły się ponoć coraz bardziej. Po wsiach matki zamordowanych wieszały zakrwawione koszule, by zmiany koloru krwi przypominały nierychliwym zabójcom o obowiązku. Duchy czuwające nad pamięcią Kutrzeby nie potrzebowały takich sztuczek. Po prostu wędrowały za nim krok w krok. Żona i dwójka jego dzieci.

Zabił już pięciu z sześciu ludzi odpowiedzialnych za śmierć najbliższych. Poświęcał i siebie, i innych, byle ich dopaść. Nie wstydził się nawet tego, że od lat nie mógł wpaść na świeży trop

Szóstego. Ostatni z numerów na liście do zabicia dobrze odrobił lekcje. Wiedział, co spotkało jego poprzedników, i zniknął.

Nie, Kutrzeba starał się jak najmniej spoglądać na upiory swojego serca, ponieważ coraz słabiej je rozpoznawał i tego właśnie wstydził się najbardziej.

Jeszcze kilka lat wcześniej potrafił przywołać w pamięci każdy milimetr twarzy swojej żony i dzieci. A dziś z trudem przypominał sobie, jak wyglądali. Nie zachowały się żadne ich zdjęcia, zniszczył wszystkie w przyływie szału i rozpacz. Ufał najpierw swojej pamięci, a potem mocy Zmory.

– Coś ze mną robisz – zarzucił jej całkiem niedawno, gdy znów dręczył się tą utratą. – Prawie zapomniałem, jak wyglądają...

– Pamiętam ich tylko tak, jak ty ich pamiętasz – odpowiedziała, trochę rozzłoszczona, trochę rozżalona. – Nie powstałam, by czuwać nad twoją pamięcią, lecz nad zawziętością.

Uwierzył jej. A jednak czuł, że Zmora ma coś wspólnego z zamazanymi twarzami tych, których przysiągł pomścić. Czy raczej nie tyle sama Zmora, co jego do niej stosunek. Nie można z kimś przebywać dzień i noc i nie czuć do niego choćby przywiązania.

W twarzy żony stojącej pod budką z czebabami rozpoznawał już tylko smutne, pełne żalu oczy.

Mirosław odetchnął głęboko, potrząsnął głową. Poprawił kapelusz. Zmora milczała. Może bała się, że ciągle miał jej za złe zbyt długie ukrywanie przed nim obecności upiorów rodziny? Ona widziała je od samego początku, a on dopiero od jakiegoś czasu.

W kontaktach ze Zmorą nie pomagał i taktyczny romans z Sabriye. Szefowa gangu, który pomimo poniesionych strat wciąż

pozostawał silny i wpływowy, nie dawała Kutrzebie spokoju w równym niemal stopniu jak duchy. Nabrała pewności, że owinęła go sobie wokół palca i sądziła, że może rozporządzać nim wedle własnych życzeń. Nieco wolności udawało mu się uzyskać wyłącznie dlatego, że ich sojusz musiał być utrzymywany w tajemnicy. Gdyby dowiedział się o nim książę Marko, nie byłoby dla Kutrzeby przyszłości w Belgradzie. Być może w ogóle nie byłoby dla niego przyszłości.

Nie zamierzał spędzać w tym gorącym mieście więcej czasu, niż było to niezbędne.

Korycki wysłał go tu z kretyńską misją zdobycia fragmentu magicznej lampy, by wykorzystać go do rozgrywania rywalizujących na Bałkanach sił. Gdyby nie wieści o tym, że Sabriye może utrzymywać kontakty z Szóstym, Kutrzeba miałaby całą tę południową politykę w głębokim poważaniu. Nauczył się cieszyć tutejszym gorącem, a i spotkania z Sabriye dostarczały mu przyjemności. Ale tęsknił za chłodniejszą ojczyzną i za samotnością dzieloną wyłącznie ze Zmorą.

Rozgrywał partię z Turczynką po swojemu, czym zapewne wywołałby u Koryckiego atak szału. Cholerny były glina z wiekiem robił się coraz większym paranoikiem i zrzędą. Tak się jednak jakoś losy potoczyły, że związali się z Kutrzebą bardziej, niż którykolwiek z nich mógł kiedyś przypuszczać.

A może... Może tylko bardziej, niż Kutrzeba by przypuszczał? Parę lat wcześniej, gdy szykował w Krakowie zamach na Drugiego, sądził, że to on wykorzystywał wysokiego oficera policji. Teraz nie był już tego taki pewien. Może wykorzystywali się nawzajem, a

może to Mirosław padł ofiarą manipulatora sprytniejszego od siebie? Pozostawało faktem, że od paru lat wykonywał dla Koryckiego najcięższe zadania, samemu coraz mniej na tym zyskując.

Talent Szóstego do znikania był nieprawdopodobny. Przez tyle lat udawało mu się pozostawać w cieniu, choć teoretycznie wiedzieli o nim z Koryckim całkiem sporo. Znali mniej więcej jego wiek, ponieważ wszystkich sześciu spiskowców było prawie że rówieśnikami, gówniarzami, którym zachciało się potęgi i władzy. Wszyscy studiowali prawo, choć jedni robili to z zamiłowania, a innych nakłoniła do tego rodzina.

Korycki z Kutrzebą sprawdzili więc studentów prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, studiujących mniej więcej w podobnych latach. Nie dało się poznać losów wszystkich, blisko dwudziestu przypadło bez wieści. Szósty musiał być jednym z nich.

Sprawdzili więc krewnych zaginionych, ale nikt się z nimi nie kontaktował, żadna z tych osób nie uzyskała nagle dostępu do władzy bądź wielkich pieniędzy. Szósty okazał się na tyle przebiegły bądź zdesperowany, że odciął się od bliskich całkowicie. Musiał więc być człowiekiem zamożnym, dysponującym dostępem do niebagatelnych pieniędzy, robiącym karierę. Przy czym nie budował jej długo, systematycznie, lecz – tak jak wspólnicy – wzrósł nagle i gwałtownie. Powinien mu towarzyszyć smród mocy, który rozpoznałaby Zmora, ponieważ korzystał ze wsparcia boga, dla którego stworzenia doprowadził ze współnikami do katastrofy kolejowej i śmierci prawie trzystu osób.

A mimo to, choć zrywali nici jego knowań, jego samego nie

spotkali nigdy. Nawet się do niego nie zbliżyli.

Coś było z tym mocno nie w porządku. Należało zmodyfikować albo może i zmienić metodę szukania sukinsyna. Może czas odwiedzić Szulera? Wprawdzie Mirosław obiecał dać mu spokój, ale skoro żadne inne sposoby nie przynosiły efektu, być może należało spróbować jeszcze raz. Zdolności boga, któremu Kutrzeba nadał kiedyś imię, by móc korzystać z jego mocy, pozwalały manewrować splotami losu, odmieniać wektory szans. Tam, gdzie nie pomagała logika i sprytne sztuczki, wszystko odmienić mógł łut szczęścia.

Najpierw jednak należało zakończyć sprawy w Belgradzie. Co było o tyle skomplikowane, że Mirosław nie do końca wiedział, jak sprawy owe wyglądają.

Oczekując na księcia, usiadł w tej samej restauracyjce, co poprzednio, znów dając się skusić naganiaczce – młodej szatynce w stroju podobno ludowym. Rozpoznała go, okazała radość z faktu, że mu się u nich spodobało, ale przestała zwracać nań uwagę, ledwie usiadł przy stoliku.

Rozglądnął się. Żadnych kotów i wron. Na razie.

Wszystko było jak za pierwszym razem. I gorąc popołudnia, i piękne dziewczyny wędrujące w dół i w górę ulicy, i pljeskavica, którą zamówił, świadom, że nie zdoła zjeść całej, i niepasująca tu blondynka, która znów pojawiła się niespodziewanie pomiędzy dziewczynami o ciemnych włosach i oczach, by przemknąć między nimi prosto do stolika Kutrzeby i usiąść przy nim, jakby to miejsce czekało tylko na nią.

– Cześć, Mirku! – zaszcebiotała po polsku, trzepocząc rzęsami tak długimi, że jakiś czart musiał uczestniczyć w ich powstaniu. –

Mam nadzieję, że nie czekałeś długo?

– Prawdę mówiąc, wcale. To znaczy, na panią wcale, bo pewien...

– Nie przyjdzie. – Nie wyglądała na przejętą jego obcesowością. Wyciągnęła przed siebie lewą dłoń, by pogłaskać rękę Kutrzeby. Aż przez niego prąd przeszedł, takie to było dotknięcie. A może wcale nie takie? Może to znów wściekała się Zmora, gdy ktoś naruszał jej własność?

– No tak. – Skinął głową. – A ja co? Kula w łeb?

– Zmarnować takiego wspaniałego mężczyznę? – Roześmiała się i odchyliła do tyłu, nie po to, by zawołać kelnera, ale po to, by złapać go za krawędź marynarki, gdy mijał stolik.

Kelner zatrzymał się, obrócił oburzony, ale pod spojrzeniem blondynki natychmiast zmiękł i uśmiechając się niczym szczeniak zagadnięty przez dziewczynę, o której skrycie marzył, pobiegł po zmrożoną butelkę gruszkowej rakiji.

– Czyli zamiast mnie zabić, planuje mnie pani zapić... To znaczy, przepraszam, towarzyszka?

– Och, po co te formalności i uszczypliwości! – Machnęła prawą ręką, lewą wciąż nie wypuszczając dłoni Kutrzeby. – Nie mów, że nie wiesz o mnie wszystkiego! Ja o tobie przecież wiem. Ty jesteś Mirosław Kutrzeba, niezupełnie oficjalny agent Kolei Galicyjskich, wysłany tu przez generała Koryckiego, żeby mi przeszkadzać, wypijemy zaraz za jego pamięć, w końcu poległ na służbie. Nie jest tak?

– Możliwe, towarzyszko Rozalska... – Na zdjęciach w aktach wyglądała nieco inaczej, dlatego nie rozpoznał jej od razu. W czerni i bieli fotografii jej ładna twarz, całkowicie wolna od makijażu,

pozostawała surowa. Usta miała tam zaciśnięte, oczy przymrużone, choć jasne. Włosy, inaczej niż teraz, spięła za głowę. Nie przypominała tej epatującej seksapilem flirciary, lecz opętaną ideologią i poczuciem misji fanatyczkę. Zapewnie niedojadającą w poświęceniu dla sprawy, bo znacznie szczuplejszą, wręcz chorobliwie chudą.

– „Wiero”, proszę. – Zatrzepotała rzęsami.

– Wiero Pawłowno – zgodził się. – Zaangażowana społecznie już od szkoły. Ukończyłaś studia medyczne, ale samo leczenie ludzi nie dawało ci satysfakcji. Szukałaś innego spełnienia. Uczyłaś w szkole, leczyłaś za darmo w gułagach...

– Kołchozach. Nie musimy być złośliwi. To nie wiec.

– Jak zwał, tak zwał. Zgłosiłaś się tam na ochotnika. Wyszłaś za męża, ale życie rodzinne też cię nie pociągało, choć znalazłaś takiego samego, hm, człowieka radzieckiego jak ty. Aż któregoś dnia zgłosił się do ciebie Komisarz z GRU i wszystko się zmieniło. Byłaś eksperymentem. Zamiast po raz kolejny wysyłać na zachód otepiałych fanatyków, przygotowali szpiega skrojonego pod nasze słabości. Piękną, seksowną, zmysłową dziewczynę, inteligentną i posiadającą owo niepoznane i niezbadane nawet przez magów „to coś”. Wystarczy?

– Komplementów? – Teraz uderzyła swoją dłonią w jego. – Och, flirciarzu! Wiesz, że nigdy! Mogłabym cię słuchać przez cały dzień! Ale już nie musisz mi udowadniać, że mnie znasz.

Kelner przyniósł butelkę zanurzoną aż po samą szyjkę w lodzie, którym wypełnił proste, rustykalne wiaderko, pasujące do niby wiejskiego wystroju restauracji. Odkręcił korek, nalał po kieliszku,

najpierw Wierze, potem Kutrzebie.

– Za Koryckiego! – wzniosła toast. – Znał fach, żał człowieka.

– Nawet wroga?

– A tam! – zbagatelizowała. – No co, za przyjaciela nie wypijesz?

Wypili.

– Dobra rakija! – uśmiechnęła się Wiera. – Zabolało, jak od razu wyskoczyłeś z tym „wrogiem”. Nie musimy być wrogami, Mirku.

– Daruj, ale nasze państwa są w stanie wojny, od... niech policzę...

– Sześćdziesięciu lat – podpowiedziała. – Odkąd powstaliśmy. I to nie myśmy ją wam wypowiedzieli. To wy nie uznaliście naszego istnienia. Zresztą, co zabawne, sami nie byliście wtedy państwem.

– Ale nie my na was najechaliśmy.

– Zdania są podzielone. – Znow zaczepiła kelnera, tym razem prosząc go o talerz wędlin. – Wieczna Rewolucja uważa, że należą do niej wszystkie tereny będące przed wojną i Kresem częścią carskiej Rosji. Przyjmując taki punkt widzenia, to wy najechaliście nas. No, polej, Mirku, na drugą nogę!

Kusiło go, by zapytać, czy miała na myśli tę, której stopa, uwolniona z bucika, wędrowała właśnie po jego udzie, ale uznał, że lepiej będzie sprawiać wrażenie, jakby nie było to dla niego nic nadzwyczajnego. Napełnił kieliszek Wiery i swój, a ona prędko wzniosła następny toast:

– Za bliskich!

Wciąż się uśmiechała, trzepotała rzęsami, a jej stopa pod stołem zaczęła zapuszczać się coraz wyżej. A jednak oczy, te roziskrzone wesołością, kuszące i zadziorne, lustrowały Kutrzebę uważnie. Zadrzy czy nie zadrzy?

Doszedł do wniosku, że lepiej będzie zadrzeć. Tym bardziej, że Zmora w nim nie tyle drżała, co miotła się jak huragan wściekłości.

– Ach, przepraszam! – zawołała natychmiast Wiera i tym razem ścisnęła jego dłoń. – Nie chciałam cię ranić złymi wspomnieniami.

W takich chwilach Mirosław podziwiał Zmorę. Kilka lat wcześniej wydrapałaby Wierze oczy za ten bezczelny flirt. A teraz, owszem, zawarczała, zaklęła, ale wytrzymała.

– Nie musimy być wrogami. – W głos Wiery wkradł się smutek. – Och, formalnie nasze kraje pozostają w stanie wojny. – Machnęła lekceważąco ręką, po czym sięgnęła po butelkę i sama rozlała rakiji. – Ale właściwie nie ma państwa, z którym moja nieszczęsna ojczyzna nie pozostawałaby w stanie wojny. To wy wszyscy nas nienawidzicie, nie my was. My chcielibyśmy wam zanieść pokój i szczęście.

– Nie zapominaj, że parę razy u was byłem. Widziałem to wasze szczęście.

– Na pograniczu – skrzywiła się kpiąco, osuwając się nieco na krześle, by móc sięgnąć stopą jeszcze wyżej. – A wiesz, że pogranicze zawsze jest szczególne. Ale masz rację. Nie wszystko nam się od razu udawało. Trudno odnosić sukcesy gospodarcze i społeczne, gdy trzeba bronić granic przed wszystkimi sąsiadami!

– Bronić! – Chciał prychnąć pogardliwie, ale nie zdołał, bo w tym momencie jej stopa dotarła do celu i Kutrzebie wyszło tylko słabe stęknienie.

– Proszę, nie czepiajmy się słów. – Przygryzła wargę i mrugnęła do niego. – Popatrz na mnie, Mirku. Czy wyglądam jak siermiężne

wcielenie zła?

– O, zła jesteś z całą pewnością... – Bardzo nie chciał wymruczeć tych słów, ale wyszło, jak wyszło.

– Niegrzeczna, chciałeś powiedzieć? – I ona zamruczała. – Zobacz, jak nam świetnie się układa. Może dlatego, że jesteśmy ci wdzięczni? Gdyby to było możliwe, dostałbyś od nas medal.

– Teraz to już przesadziłaś.

Przybrała zaskoczoną minkę, jakby nie była pewna, czy miał na myśli jej słowa, czy poczynania stopy pod stołem. Najwyraźniej dokonała wyboru, bo zachichotała.

– Polej jeszcze – poprosiła. – Mnie jakoś niewygodnie. Pamiętasz tę sprawę ze sterowcem, pięć lat temu? Zabiłeś wtedy jednego z naszych. No i za to winniśmy ci medal, bo to był zdrajca, skurwysyn. Szykował przewrót, wiedziałeś o tym?

– Coś wspominał...

– Dzięki tobie uniknęliśmy może nie zagłady, ale na pewno kłopotów. Twoje zdrowie, Mirku, bohaterze Wiecznej Rewolucji!

Sklął, ale wypił.

– Teraz w ramach uprzejmości powinieneś wznieść toast za mnie – podpowiedziała, zagryzając szynką z deski przyniesionej przez kelnera.

– Od razu? Niezłe narzucasz tempo.

– Między nami Słowianami! A co to my jesteśmy, jakieś lebiody z Zachodu? – Roześmiała się. – No, lej, nie mogę się doczekać, co wymyślisz.

– Za Wierę! – zawołał. – Najbardziej podstępna i ponętą diablicę, jaką spotkałem!

– I kuszącą? – podpowiedziała, nie podnosząc kieliszka. – I piękną jak śmierć?

– Kuszącą i piękną jak śmierć – zgodził się, a ona pokraśniała i wypila.

– No widzisz, jak miło. – Twarz jej jaśniała, jakby naprawdę z radości. – Mirku, ty chcesz dorwać tego swojego Szóstego. To nie Wieczna Rewolucja z nim współpracuje, tylko Białe Wilki Sabriye. To nie my chcemy zdobyć lampę, tylko Sabriye. Wnioski wyciągnij sam.

– Nie chcecie lampy?

– A po co nam ona? Wobec potęgi Rewolucji to zabawka. Nawet nie podejrzewasz, jakimi siłami dysponujemy. Gdybyśmy chcieli... – Poderwała prawą dłoń do ust. – Och, palnęłabym! Jak ty na mnie działasz, łajdaku! Prawdziwy as wywiadu. Słuchaj, miły, nam lampa niepotrzebna. Zostawimy ją Marko, niech przy jej pomocy gromi swoich wrogów i buduje potęgę.

– Wchodzicie w sojusz z księciem?

– Rosja zawsze była sojusznikiem Serbii. – Jej głos stwardniał na chwileczkę. – A Marko jest... właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Chcemy, żeby był silny. Widzisz, jak się zmieniliśmy? Z dziesięć lat temu po prostu byśmy ich najechali i zniewolili. A dziś szukamy sojuszników. Pomyśl o tym.

– Czego ode mnie właściwie chcesz?

– Sabriye i lampy.

– Więc jednak lampa nie jest dla was aż taką błahostką?

– Magiczny bibelot dla księcia, turecka zdzira dla nas. Bez żadnych sztuczek. Nie myśl, że nie wiemy. Próbujesz grać na

wszystkie fronty równocześnie. Może gdyby Koleje wysłały jakiegoś innego agenta... Ale ty zawsze postępujesz tak samo. To było oczywiste, że będziesz chciał ograć każdego z nas. Wystawisz nam Sabriye tak, by nie mogła ani ukryć lampy, ani przekazać jej komu innemu. A my w zamian za to powiemy ci wszystko, co z niej wyciągniemy. I jeszcze podzielimy się własnymi tropami związanymi z Szóstym.

– Czemu mam ci wierzyć?

– Bo się zmieniliśmy. Nadal nienawidzimy kapitalizmu, ale przyznajemy, że trzeba korzystać z jego metod, zanim nie sprzedacie nam tej słynnej liny, na której was powiesimy. Więc coś za coś. Ty masz... wyjątkowe dojścia do Sabriye, ona nawet ci ufa. My mamy środki i wiedzę. A jak zasłużysz, to dostaniesz specjalną premię.

Jeszcze raz nacisnęła lekko stopą, a potem cofnęła ją gwałtownie.

– Nie zobaczymy się aż do finału całej sprawy – oznajmiła. – Będą się z tobą kontaktować sroki. No to rozchodniczka, Mirosław! Za następne spotkanie! Oby było dobre, a nawet lepsze!

Wstała, ale nim odeszła, nachyliła się i pocałowała go w policzek.

– Zaliczka – szepnęła i już jej nie było.

Kutrzeba został sam z opróżnioną w trzech czwartych butelką rakiji, nietkniętą pljeskawicą, talerzem wędlin i wielkim niezaspokojeniem.

„Już jest martwa – ostrzegła go Zmora. – To żywy trup”.

– Bardziej niż myślisz – mruknął. – To przywołanka. Wyprodukowali ją w jakimś gułagu, pewnie z marzeń skazańców. Rewolucja zmienia swoją narrację z parcianej i krwawej na zalotną.

Ciekawe, czy Korycki o tym wie? Swoją drogą, co do cholery jest z tymi wszystkimi babami? Wydaje im się, że mogą kręcić mną, jak chcą.

„Głupie suki” – zgodziła się Zmora, ale usłyszał w jej głosie uśmiech, którego wymowa bardzo mu się nie spodobała.

Rozdział trzynasty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Kraków

Korycki nie wiedział, co robić. Za radą Parowskiego i w jego obecności spotkał się w knajpie przy ulicy Józefa z kolejnym fizykiem, owym Snergiem, który roztoczył przed nim wizję wielkiej manipulacji i zakłamania, sięgających granic rzeczywistości. Agent prawie nic nie pojmował z jego słów.

Wynikało z nich, że marsjańskie cuda nie są żadnymi cudami, ale sprytną technologią wykorzystującą rzeczywistą fizykę, która nie była znana ludzkości. A to dlatego, że ludzka nauka od początku skażona została zafałszowaniem, wynikającym z niemożności wyzwolenia się z archaicznego sposobu postrzegania i opisywania świata. Oto zamiast czystej matematyki ludzie skupiać się mieli na jej kulcie, a to, co nazywaliśmy fizyką, było zaledwie prowadzącą ku niej mitologią.

– Ludzie – tłumaczył coraz bardziej otepialemu Koryckiemu ów Snerg (dziwne nazwisko, to musiał być pseudonim) – cierpią na nieuleczalną potrzebę opowiadania sobie o świecie. Nie wyliczamy rzeczywistości, ale opowiadamy sobie o niej historię. Matematyka i fizyka winny być od tego wolne, lecz nasze mózgi od tysiącleci kształtowały się na fabularnym postrzeganiu świata. I to skaziło nas, być może na zawsze. Dlatego jesteśmy tak wspaniałymi dojnymi krowami dla Marsjan. By to zrozumieć, musi pan sobie

wyobrazić tych kosmitów jako istoty wolne od konieczności konstruowania fabuły, składających się potem na mitologie. Oczywiście, nie wiem, czy są takimi na pewno. Ale jeśli spróbuje pan dokonać myślowego eksperymentu i wyobrazić ich sobie jako istoty wolne od balastu fabuły, myślące trzeźwo i jasno, zrozumie pan, jak mogą się od nas różnić.

– Zrozumiał pan, o co chodzi? – zapytał potem Parowski.

Szli szybko ulicą Krakowską, ku Podgórzu, gdzie miało miejsce to, co warszawski łącznik nazywał „konwentem”. Parowski spieszył się na kolejne wystąpienie gnomopodobnego. Skarżył się, że władze pilnowały, by konferencja fantastów nie mogła odbyć się w centrum miasta, lecz starały się zepchnąć przybyłych z całej Polski wariatów na peryferie. Gdyby nie wstawiennictwo i opieka Nowakowskiego, zawsze chętnie wspierającego rozmaitych dziwaków rozprawiających o pozamagicznych technologiach, konwent nie znalazłby miejsca nawet w knajpie nieopodal Rynku Podgórskiego.

– Tylko może z ćwierć tego, co mówił o Marsjanach. – Korycki zerknął na prezent od Snerga, który wciąż ścisnął w dłoni: powielony na jakiejś amatorskiej maszynie maszynopis zatytułowany *Pierwotne założenia Jednolitej Teorii Czasoprzestrzeni w świetle technologii marsjańskich*. – A już nic z tego, co mówił o kosmosie.

– Szkoda. Ale też chyba nie jest to dla pana istotne. Ważniejsze są jego obliczenia oparte na obserwacjach, jakie prowadzili w instytucie...

„Instytutem” nazywał Parowski szopę gdzieś pod Płockiem. W

tajemnicy podobni Snergowi pasjonaci przejęli budynek, będący niegdyś stodołą w całkiem sprawnie działającym gospodarstwie, a potem opanowaną przez stado mamun i niebożąt ruiną. Naukowcy jakoś tam wygnali demony, a może skorzystali z tego, że wyniosły się one z budynku zniszczonego za bardzo nawet dla nich, odbudowali, co byli w stanie odbudować, a potem zaczęli dokonywać tajnych pomiarów i badań. Ich wynikami ostatecznie Snerg podzielił się z warszawskimi fantastami, gdy dowiedział się od nich o teoriach tego drugiego, Janusza Zajdla.

– Z tego też zrozumiałem piąte przez dziesiąte – przyznał Korycki. – Ten pański ekspert wciąż skakał z tematu na temat...

– Po pańskiej minie poznałem, że trochę się pan pogubił – roześmiał się Parowski. – Ta teoria Adama wzbudza, prawdę mówiąc, wiele kontrowersji...

– Przepraszam – przerwał mu Korycki. – Która teoria?

– Jednolita Teoria Czasoprzestrzeni. On sam przyznaje, że jeszcze jej nie ukończył. Tak czy owak nie dziwię się panu, że jej pan nie pojmuje, bo niewielu jest takich, którzy pojmują. Ale niektórzy nie tylko nic z tego nie rozumieją, ale jeszcze kpią ze Snerga. A to bardzo wrażliwy facet. Bo widzi pan, on nie zdał matury przez jędzę, polonistkę, i jest trochę czuły na punkcie swych kwalifikacji... Ale to bardzo mądry człowiek, zapewniam. Ten jego instytut... Oni już sześć lat temu prowadzili pomiary, o jakich nikt z nas wtedy nie myślał! Zanim ten szpieg wykradł tajemnicę fidezyny, Snerg z kolegami już przeczuwali, że technologie marsjańskie muszą się opierać na bardziej naukowych metodach, których jeszcze nie poznaliśmy. A i teraz, po prawdzie, ich nie

znamy. No i masz pan, pod koniec siedemdziesiątego drugiego roku ich instrumenty zarejestrowały tajemniczą emisję nieznannej energii. Potężną, ale wówczas niewykrywalną dla zwyczajnego sprzętu. Dopiero dwa lata temu odkryli, że ta skumulowana emisja zawierała w sobie wielki ładunek fidezyny. Fidezyny, której wówczas wykryć nie mogliśmy, bo nie zdawaliśmy sobie sprawy z jej istnienia. Gdyby nie obecność innych form energii, gdyby nie obecność fal radiowych dziwacznej długości, możliwych od odczytania przez Snerga jedynie jako echa, w ogóle nie dałoby się zarejestrować tego sygnału.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim? – upewnił się Korycki.

– Tak jest! – Parowski pokiwał energicznie głową. Im więcej mówił, tym szybciej szedł, a im szybciej szedł, tym szybciej mówił. – Sygnał płynął stąd, z Krakowa! A wie pan, dokąd?

– Mogę zgadywać bez końca. Szybciej będzie, jak pan mi powie. Dokąd?

– Ba, tak naprawdę nie wiemy. Ale na podstawie ówczesnego położenia Ziemi Snerg wyliczył prawdopodobny kierunek.

– I...?

– Proxima Centauri! – zawołał triumfalnie Parowski, uśmiechając się znacząco, jakby objawił właśnie największą tajemnicę świata.

– To gdzieś pod Płockiem? – strzelił Korycki, gdy już upewnił się, że nic więcej nie usłyszy. – W Ameryce? Azji?

Uśmiech Parowskiego zgasł.

– W kosmosie – mruknął, wyraźnie rozeźlony. Westchnął ciężko i od tego westchnienia zwolnił kroku, przez co znowu westchnął. –

Głupcy i ślepcy! – zawołał. – Niech się pan nie obraża, to nie do pana. To raczej do mnie. To my jesteśmy głupcami i ślepcami, niezdającymi sobie sprawy, że cała reszta świata nie myśli naszymi kategoriami.

Łypnął na Koryckiego, by upewnić się, czy przekonał rozmówcę. Nie przekonał ani trochę, ale też generał ani myślał się obrażać. Wprawdzie miał już powyżej uszu tego całego bełkotu o fizyce, podstawach nauki i kosmosie, ale trzymał nerwy na wodzy. W końcu Admirał przysłał go tu nie bez powodu. Gdyby chodziło o zaspokojenie poczucia ważności bandy świrów, wystarczyłby zwykły agent.

– Widzi pan – podjął Parowski. – Marsjanie przylecieli z kosmosu, ale tak naprawdę nie wiemy skąd, prawda? Wiemy, że nie z Marsa. Ale skąd? Teraz podedukujmy...

– Pan pozwoli – przerwał mu Korycki. Mógł nie wiedzieć nic o kosmosie i niewiele o fizyce, ale dedukcja wiązała się w końcu z czymś, na czym się znał. Z policyjną robotą! W czasach, gdy był jeszcze zwyczajnym gliną, wołał wprawdzie nakłść komuś po mordzie, przesłuchać informatorów, słowem: potrząsnąć właściwymi drzewami w nadziei, że z któregoś spadnie wreszcie owoc. Ale na rozumowaniu też się znał. – Wolę samemu dochodzić do wniosków, niż dostawać je na tacy. Lepiej je wtedy rozumiem.

– No, niech pan próbuje – zgodził się Parowski bez wielkiego przekonania w głosie. Widać wyrobił już sobie opinię na temat możliwości intelektualnych „pana Edigeja” i nie znajdował się pod ich dużym wrażeniem.

A to dlatego, że dotąd zajmowali się teoriami naukowymi, z

których generał nic prawie nie rozumiał i które, prawdę mówiąc, niezbyt go interesowały. Teraz jednak stary glina mógł skupić się na czymś znajomym, na śledztwie.

No więc dobrze. Nie w tym rzecz, żeby całą sprawę od razu rozwiązać, ale by pojąć, o co chodzi Parowskiemu. Potrzebował jeszcze paru danych.

– Daleko ta Proxima? – zapytał.

– Wedle obecnej wiedzy jakieś cztery i ćwierć roku świetlnego od Ziemi.

– A....ha. A to znaczy?

– Rok świetlny, drogi panie, to odległość, jaką światło pokonuje w próżni w ciągu roku. – Maciej dostrzegł wyraz twarzy rozmówcy i prędko wyjaśnił: – Jakieś dziewięć i pół biliona kilometrów. Czyli Proxima Centauri znajduje się czterdzieści bilionów kilometrów stąd.

Do diabła z całą tą Proximą! Niepotrzebnie pytał! Czterdzieści bilionów... Czyli najnowszą lokomotywą Kolei Galicyjskich, prawdziwym cudem rozwijającym średnią prędkość stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jechałby tam... zaraz... sześć? Jakaś diabelska liczba mu wyszła! Sześć i sześć i sześć... milionów? Sześćset milionów lat? Jeszcze dłużej? A, do licha, pokręcił coś z rachunkami; tylko niepotrzebnie zawracał sobie głowę.

Skup się, bracie! Najważniejsze w policyjnej robocie to dokonać selekcji tropów. Kiedy odrzuci się wszystko, co zbędne, pozostają tylko rzeczy właściwe. No więc tak: Marsjanie kłamią o swoim pochodzeniu, kłamią być może o roli, jaką odgrywają na Ziemi. Tak twierdzi ten Zajdel czy jak mu tam. A ten drugi, Snerg, uważa, że

ktoś, czyli pewnie Marsjanie, bo o ile wiadomo tylko oni posługiwali się w siedemdziesiątym drugim fidezyną, wysłał z Ziemi (Korycki pokonał dumę z faktu, że doszło do tego właśnie w jego mieście i odrzucił ją, jak wszystko, co zbędne) sygnał gdzieś w gwiazdy. A ponieważ z gwiazd pochodzili tylko Marsjanie...

– Uważacie, panowie, że Nowakowski wysłał sygnał do swoich pobratymców w kosmosie – oznajmił nareszcie. – A ponieważ najwyraźniej przywiązujecie do tego wielką wagę, albo odszyfrowaliście ten sygnał, albo, co wydaje mi się bardziej prawdopodobne, domyślacie się tylko, że nie była to pocztówka z wakacji, ale jakiś telegram, zawierający ważne informacje. Albo o tym, że na Ziemi wszystko przebiega jak trzeba, albo wręcz przeciwnie, że ocalali Marsjanie potrzebują pomocy.

– Naszym zdaniem Nowakowski, bo przecież nie ma w Krakowie innych Marsjan, poinformował swoich, że owoc dojrzał do zerwania – odparł Parowski. – Ale co do reszty: zgoda. Przyznaję, nie doceniłem pana.

– Nie mam żalu. Wy, naukowcy, jesteście dość... – ugryzł się w język, by nie powiedzieć „ograniczeni” – ...skupieni na swoich... eee... badaniach? Czasem nie rozumiecie, że ludziom, którzy nie zajmują się waszymi sprawami, potrzeba czasu, by je pojąć.

Nagle zatrzymał się gwałtownie. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi! Czy to nie wtedy Nowakowski wybrał się z Kutrzebą na tę cholerną wyprawę, która prawie skończyła się wojną?

Marsjanin przywiózł wtedy coś ze sobą. Coś, o co musieli walczyć z oddziałami Wiecznej Rewolucji.

Ładunek fidezyny? Sprzęt nadawczy?

– Coś zajmuje pana myśli – odgadł Parowski.

– Nie, drobiazg... – zbagatelizował generał.

– Teraz pan nie docenia mnie. No, nie mnie, raczej pańskich odpowiedników z Warszawy. Przecież to do nich zwróciliśmy się z tymi odkryciami... Mam na myśli Snerga, teorie Zajdla ich nie interesują...

– Czyli przechodzi pan nareszcie do rzeczy?

– Nie najlepiej się czuję, mówiąc o tym. Widzi pan, gdy zgłaszaliśmy agencjom rządowym nasze odkrycia, nie sądziliśmy, że wykorzystają nas w roli szpiegów.

– Jeśli to pana pocieszy, znakomicie się nadajecie. Nikt was nie podejrzewa...

– Nikt nie zwraca na nas uwagi – przerwał mu Parowski, uśmiechając się smutno. – Literatura fantastyczna to na razie nisza. Nie jest jeszcze na tyle silna, by wygenerować wystarczającą ilość energii do stworzenia jakiegoś bytu. Kolejna inkarnacja Stefcii Rudeckiej jest rozchwytywaną gwiazdą, żadne wielkie przyjęcie nie może się bez niej odbyć. Sędziwy już dziś Dyzma nawet z więzienia zarządza nie tylko swoją szajką, ale i całą partią polityczną, którą kiedyś stworzył, a która oficjalnie odcięła się odeń, gdy go skazano za malwersacje. A my? Same kanały na Marsie nie wystarczą, nawet one zostały wymyślone przez astronoma, a nie przez pisarza.

– Do rzeczy, jeśli pan pozwoli. Czego oczekuje od nas Warszawa?

– Oni tam zdają sobie sprawę, że jeśli przysłaliby tu swoich agentów, stanęlibyście na głowach, żeby utrudnić im pracę. Dlatego nalegają, byście całą sprawą zajęli się sami. Wybadali

Nowakowskiego pod kątem naszych teorii. Spróbowali poznać treść wysłanej przezeń w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim wiadomości. Dowiedzieli się, co wywiózł z Kresów w lipcu tamtego roku. Może ten słynny Kutrzeba, o którym piszą w groszowych powieściach, coś wie? Trzeba do niego dotrzeć.

– A wszystko to nieoficjalnie? – odgadł Korycki. – Dlatego ja mam się tym zająć?

– Dlatego pan – przytaknął Parowski. – Kimkolwiek pan jest. Bo zaczynam się zastanawiać, czy nie ze słynnym Kutrzebą we własnej osobie mam do czynienia.

– Nie ze słynnym Kutrzebą – zgrzytnął zębami Korycki.

Słynny Kutrzeba siedział w Belgradzie i pewnie robił dwa razy więcej zamieszania, niż Korycki życzył sobie, gdy go tam wysyłał. Niech to szlag, przydałby się teraz tutaj.

– Słynny Kutrzeba nie istnieje – rzucił. – To tylko fantom. Postać zmyślona dla odwrócenia uwagi.

– Skoro pan tak mówi... No, dotarliśmy na miejsce! Skusi się pan na kolejny występ mistrza? Będzie opowiadał o cybernetyce i fantomatyce.

– Myślę, że i bez tego mam o czym myśleć. Chciałby mi pan przekazać coś jeszcze?

– Nasz konwent potrwa jeszcze trzy dni. Potem będzie pan musiał znaleźć własnego łącznika. Żeby zameldował, co i jak, gdy już będzie po wszystkim.

– Po wszystkim, co? To brzmi prawie jak groźba zagłady świata.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Parowski, wyraźnie szczęśliwy, wskoczył do „Bajki”, a Korycki ruszył w stronę Parku

Bednarskiego. Musiał pomyśleć, a to oznaczało, że musiał pospacerować. Najlepiej bowiem rozmyślało mu się, gdy chodził.

Zrezygnował z wspinania się malowniczą ulicą Parkową i skręcił w Zamojskiego, by wejść do parku od drugiej strony. Przechodził akurat obok uruchomionej niedawno szkoły gastronomicznej dla dziewcząt, kiedy z jej bramy wyszła ubrana skromnie, ale nowocześnie kobieta, niebrzydka, acz niezbyt pociągająca, a to za sprawą zmęczonego wyrazu twarzy i oczu, niepokojąco pustych i ciemnych. Coś było z nią nie tak, ale Korycki nie potrafił zrozumieć, co przyciągnęło jego uwagę. Obejrzał się za kobietą i wtedy zrozumiał: wyróżniał ją sposób, w jaki chodziła.

Nie stawiała kroków zmęczonej nauczycielki albo gospodyni domowej. Szła raczej jak łowca, który wybrał się na polowanie i skrada się właśnie ku ofierze. Tak czasem poruszały się kokoty, które upatrzyły już sobie klienta, albo niebezpieczne tygrysice z wyższych sfer, w których rządziły niepodzielnie zmienianymi jak rękawiczki mężczyznami. Ale to były wampy o zmysłowości i umysłach sukkubów. Ta tutaj...

W tym momencie ona także odwróciła się, spojrzała na Koryckiego i uśmiechnęła do niego. Nie zalotnie, nie kpiąco, ale ze smutkiem, jakby ten uśmiech oznaczał konieczność pogodzenia się z losem.

Wyczuł zagrożenie, ale i zrozumiał, że niebezpieczeństwo nie nadejdzie stąd. Szarpnął się w rozpaczliwej nadziei, że zdoła się obronić, lecz było już za późno.

Pierwszy zadany od tyłu cios w głowę sprawił, że tylko zachwiał się na nogach. Drugi sprowadził mgłę na jego oczy, a trzeci pchnął

go w mrok.

Rozdział czternasty

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Pas Planetoid

Bardziej niż okolona siwym zarostem wielka łepetyna kapitana Burzymura Białobrodego, wzrok Drygła przyciągała reszta jego załogi.

Korytarze „Czarnej Sary” były na tyle wysokie i szerokie, by olbrzymiego wzrostu dowódca okrętu mógł się po nich wygodnie przemieszczać. Bez trudu zmieściła się tam także ta część załogantów, która oderwała się od zajęć, by powitać gości. Skupiona teraz wokół swego herszta, ciekawsko wyglądała zza jego nóg, a miejscami nawet wspinała się na potężne kapitańskie ramiona. Menażeria to była niezwykła.

Niemający, sięgający Burzymurowi prawie do brody paskudny stwór o wielgachnym łbie, całym porośniętym gęstym czarnym włosiem, zza którego przebijała jedynie para wyłupiastych oczu, gapił się na rozbitków, łakomie mlaskając wielgachnym jęzorem. Za nim stał mężczyzna na pozór zwyczajny, o rumianej gębie, uśmiechający się tak serdecznie, że z pewnością musiał być niespełna rozumu. Pies i kot uwijały mu się między nogami, nie zwracając zupełnie uwagi na wydzierającą się na nich z kapitańskiego ramienia papugę. Za to pies, bielutki jak śnieg, wciąż warczał na czarnego niczym noc w kopalni kota, odgrażając się mu, zupełnie po ludzku, że pokąsa go, jeśli kot nie odgadnie,

kim są ci dwaj przybysze i jakie żywią względem ich pana zamiary.

Najbardziej niepokojący z całego towarzystwa wydał się jednak Adamowi kuternoga niewielkiego wzrostu, z rzadkimi, sterczącymi niczym druty wąsikami pod krzywym nosem. Obwiązał łeb czerwoną chustą. Małymi, czarnymi oczkami spoglądał wyłącznie spode łba i złośliwie, i cały czas odruchowo zacierał ręce, jakby właśnie udało mu się jakieś wyjątkowo udane przecherstwo.

– Witajcie na pokładzie! – huknął kapitan Burzymur, pochylając się, by najpierw uścisnąć rękę Drygłowi, a następnie Hoygrenowi, który na widok olbrzyma zatrząsł się, a usłyszawszy jego imię, pobladł i stał teraz niezdolny wydobyć z siebie słowa. – Który dowodził niosącą was w nieznane krypą?

Adam oczekiwał, że zgłosi się Hoygren, zawsze bardziej wyrywny i pewny swego, ten jednak, wciąż się nie odzywając, kolnął tylko przyjaciela łokciem na znak, by mówił on. Adam oznajmił w związku z tym, że pełnił obowiązki dowódcy szalupy, choć zastrzegł, że tak naprawdę obaj byli równi stopniem i na OTG „Dorka” pełnili te same funkcje. Przypomniał przy tym, że Transport Galicyjski nagradza wszystkich tych, którzy pomagają jego pracownikom, jeśli ci wpadną w kłopoty.

– Transport Galicyjski, hę? – prychnął Burzymur bez odrobiny ciepła w głosie. – Znam ja te szczury lądowe, które siedzą na Ziemi, bojąc się bez wsparcia floty pancerników wychylić choćby koniec nosa poza atmosferę. Dobra, panie Drygieł, będę cię więc tytułował kapitanem, a tego twojego kumpla pierwszym oficerem.

– Właściwie...

– Właściwie to i tak nie ma żadnego znaczenia – zgodził się

Burzymur. – Bo jedynym prawdziwym kapitanem jestem ja. Pamiętajcie o tym, do diaska!

– Czy jesteście więźniami?

– A skądże! Gośćmi! Albo też cennym ładunkiem, zależy, z jakiej spojrzeć strony... – Wielkolud zamyślił się i wydawało się, że będzie trwał w tej zadumie do końca świata, stał bowiem przez prawie minutę, podczas której nikt z załogi nie ważył się mu przeszkadzać. Dopiero znudzona papuga, nastroszywszy pióra, kolnęła dziobem w kapitańskie ucho i wrzasnęła z całej siły:

– Pobudka, łazęgo! Do krrrrrośet!!!

Burzymur drgnął. Łypnął złowrogo na papugę, ale ta nie przejęła się tym zupełnie, tylko dumnie przeparadowała po jego ramieniu, wychyliła za niego swój pierzasty kuper i pomrukując z zadowolenia, narobiła prosto na śnieżnobiały łeb szczeniaka, obsztorcowującego czarnego kota.

– Prawda... – zaczął Burzymur, przybierając wyraz twarzy osoby próbującej przypomnieć sobie, na czym stanęło. – Do stu fur...

– Pan kapitan, jaśnie wielmożny sir, miał odpowiedzieć tym dwu, co to ich wypluła przestrzeń, czy są więźniami – pospieszył z pomocą kurdupel-kuternoga. Okazało się, że to on był posiadaczem owego piskliwego głosiku, który słyszeli przez głośnik.

– Otóż moim zdaniem...

– Goście! – uznał Burzymur. – Tylko tacy, co lepiej by było, żeby nieproszeni nie ruszali się z kajuty. Dostaniecie jedną, bo tak wygodniej. A teraz słuchajcie. Ten kurdupel bez nogi to mój drugi oficer, Długi Jan Kapral. Będzie się wami bardzo przejmował, bardziej niż wy nim. Ten uśmiechnięty, który ściera ptasie gówno z

psiego łba, to po prostu Kmiotek. Podobno kiedyś był księciem posiadającym magiczny pierścień, ale myśmy go znaleźli w wieży na wyspie. Do której popłynęliśmy za radą Długiego Jana Kaprała, bo był pewien, że czeka tam na niego narzeczona.

– Zwykle w samotnych wieżach siedzą królowny – jęknął płaczkliwie Kaprał. – Skąd mogłem wiedzieć, że ta akurat wieża była odmiennej orientacji?

– Tyś nie mógł – zgodził się Burzymur. – Ale ja powinienem był przewidzieć, że twój plan jak zwykle okaże się do bani.

– Zgodził się, bo spałam! – wtrąciła się papuga. – Widzicie, jestem jego mózgiem. Kiedy śpię, rrobi głupstwa. Nazywam się Eurrralia. – Ukłoniła się tak zgrabnie, że Drygieł nie widział innego wyjścia, jak tylko odpowiedzieć podobnym ukłonem.

Hoygren wciąż stał jak słup soli, nawet gdy tym razem to Adam sprzedał mu kuksańca.

– Czarnogęby to Duppy – przedstawiał dalej swoją załogę Burzymur. – Nie umie mówić i porozumiewa się za pomocą psikusów, więc baczcie na niego. Za mną stoi jeszcze Piotr Gryz, uważajcie, jak się do niego odzywacie. To właściwie szczur lądowy, ale uciekł z Ziemi, gdziekolwiek by się bowiem nie pojawił, zawsze do szалу doprowadzali go namolni sąsiedzi. On was zaprowadzi do kajuty, bo zamieszkacie obok niego. Jest jeszcze kucharz...

– skrzywił się. – Po daniach jego go poznacie. Kto nam jeszcze został...?

– Zmyta! – podpowiedziała papuga.

– A, właśnie. – Burzymur wywrócił oczami. – Jedyna baba na pokładzie...

– No! – upomniała go papuga.

– Znaczy, jedyna bezpióra – poprawił się szybko kapitan. – I to byliby już prawie wszyscy. Są jeszcze zagubione szczury, które pouciekały z tonących okrętów. Nie przejmujcie się nimi, jeśli je spotkacie. Posiłki jadamy wspólnie, wszyscy. Usłyszycie gong... A, nie. Gryz! Odpowiadasz za nich! Przyrowadzisz ich na kolację. I to tyle. Sprawujcie się dobrze, to będziemy żyli w zgodzie.

Odwrócił się i chciał odejść, ale Drygieł zatrzymał go jeszcze.

– Panie kapitanie! – zawołał. – Czy może pan nam powiedzieć, kiedy dotrzemy na Ziemię?

– Na Ziemię! – Burzymur odwrócił się ku niemu niespodziewanie gwałtownie. Twarz miał wykrzywioną wściekłością. Oczy błyszczały mu gniewnie, gdy pochylał się nad Adamem.

Wszyscy członkowie załogi zamarli, wpatrując się w chłopaka z niedowierzaniem i trwogą. Chorąży uświadomił sobie, że musiał nie tyle popełnić *faux pas*, co wypowiedzieć słowa, które na pokładzie „Czarnej Sary” były najstraszliwszą obelgą bądź zaklęciem. Nawet papuga na kapitańskim ramieniu skuliła się i zakryła oczy skrzydłami.

– Nie lecimy na Ziemię! – wyryczał Burzymur.

– Nigdy!

– Ach tak – bąknął Drygieł, bo uznał, że powinien coś powiedzieć.

– A dokąd w takim razie?

Papuga odsłoniła jedno oko, by łypnąć na zuchwalca. Wyglądała na rozbawioną.

Burzymur odczekał, aż jego zaczerwieniona twarz nabierze na powrót zwyczajnych kolorów. Wyprostował się wówczas, poprawił

mundur, po czym oświadczył:

– Ku Kallisto.

– Tej przy Jowiszu? – chciał upewnić się Adam.

– A jest inna?

– Ale tam niedawno narodziła się Tiamat!

– No właśnie – odparł wielkolud i jakby to wyjaśniało wszystko, odwrócił się i odszedł. A za nim podążyła cała załoga. Tylko Długi Jan Kapral łypnął jeszcze na rozbitków wściekle, pogroził Drygłowi palcem, by zaraz potem uśmiechnąć się chytrze i dla odmiany mrugnąć do niego porozumiewawczo i tak przy tym kumotersko, jakby wspólnie wykręcili kapitanowi jakiś wyjątkowo udany numer. Potem pognał za hersztem.

Odchodząc, Burzymur odsłonił stojącego dotąd za jego plecami, ponuro wyglądającego mężczyznę, którego twarz zrobiła na Adamie nadzwyczaj dziwne wrażenie. Wydawała się nieostra i zamazana, jakby patrzył równocześnie na dwie przenikające się osoby. Na wszelki wypadek chorąży przymknął prawe oko i aż cofnął się ze zdumienia. Naprzeciw niego stał nie człowiek, ale wielki czarny kozioł.

– No co? – obruszyło się zwierzę. – Nigdy nie wiadomo, co za stworzenie pod powłoką ludzką na świat przychodzi.

Drygieł czym prędzej zamknął oko lewe, a otworzył prawe. I oto w miejscu kozła zobaczył człowieka, który wydał mu się uparty i nieużyty.

– Widziałeś coś? – zgrzytnął zębami Gryz. – Prawdziwy sąsiad mi się trafił, kurza jego dupa! – Tylko pamiętaj, nie miotaj mi obelg w twarz, bo cię kiedyś w pysk lunę! No, chodźcie za mną, sąsiedzi,

taka wasza dola nieudana.

Ruszyli zatem. Milczący i posepny Petyr oraz ciekawsko rozglądający się na boki, pełen nieugaszonej i, co tu kryć, nietłumionej ciekawości Drygieł.

Na pokładzie „Czarnej Sary” zdumiewało go wszystko. Od kształtu i wystroju okrętu statku po załogę. Oczywiście, i na okrętach Transportu Galicyjskiego nie służyli wyłącznie ludzie. Nawet jednak zatrudniane tam stwory magicznego pochodzenia, mieszańce i demony oraz postacie pochodzące z opowieści tak barwnych i popularnych, że aż nabierały życia, cechowały się opanowaniem i dyscypliną, które nadawały im znamiona zwyczajności. Wszyscy też nosili granatowo-czerwone uniformy firmy, stąd mogli wydawać się nieco do siebie podobni. I nawet jeśli pojawiały się wśród nich istoty obdarzone mocą zmiany kształtu, nigdy nie towarzyszyły im zwierzęta, a żaden wilkołak czy lampartolak nie próbował być równocześnie człowiekiem i zwierzęciem. Jeśli zaś we flocie służyły kozołaki, Drygieł o żadnym nie słyszał.

– Czy tu naprawdę wszystko jest z drewna? – zapytał Gryza, równocześnie obstukując wyłożone belami ściany. – Czy użycie tego materiału ma jakiś sens? Skąd te żagle? Łapiecie w nie światło słoneczne albo prądy grawitacyjne? Czy papuga kapitańska jest rzeczywiście rozumna, czy też tylko tak wyuczona gadać? A ten pies i kot...?

Wreszcie Piotr nie wytrzymał. Zamarł nagle, jakby go piorun trafił, i stał bez ruchu, tylko sapiąc głośno, wyraźnie wzburzony. Na ten widok rozbitkowie znów zareagowali odmiennie: Adam

zamilkł, natomiast ponury dotąd Hoygren niespodziewanie się ożywił.

– Proszę wybaczyć memu przyjacielowi – odezwał się do Gryzła. – On tak z nerwów. Kiedy tylko wpada w nadmierną nerwowość, natychmiast zaczyna nawijać jak najęty. Ile ja razy już próbowałem go powstrzymać... – Uniósł oczy ku sufitowi. – Ale to ponad ludzkie siły. Dlatego...

– Oj, bo lunę! – przerwał mu Gryz, obracając się ku „gościom”. – Widzę, że prawdziwa z wami oboma zaraza! Ty – łypnął na Hoygrena – nie podobałeś mi się mniej, bo żeś milczał. Ale wyszło szydło z worka, taki sam z ciebie psubrat, jak z tego drugiego. Na moją udrękę wyłowił was kapitan z topieli! Prawdziwi z was obu gradem łomotani sąsiedzi! – Ostatnie słowo wyrzucił z siebie niczym najgrubsze przekleństwo i splunął dla dodania efektu. – Dobra, słuchajcie. Powiem wszystko raz, a jak mnie potem który będzie zaczepiał...

Zawiesił głos, a oni skinęli pokornie głowami.

– Tylko wiedzcie, że jak mi który zacznie miotać obelgi w twarz, to w pysk lunę! A teraz słuchajcie. Sąsiedzi. Zacznę od załogi. Kapitan to półolbrzym wielkiej sławy. Grabił stacje orbitalne, napadał na okręty. Papuga na jego ramieniu swój rozum ma, ptaszysko z piekła rodem, i dlatego wydaje jej się, że ona tu rządzi. Ten z psem i kotem to głupek. On by wszystkim pomagał, każdemu rad. Prócz bab, oczywiście. Bo baby to, widzicie, prawie taka sama zaraza jak sąsiedzi.

– A jak baba jest sąsiadem? – nie wytrzymał Adam.

Gryz zamilkł, a jego twarz przybrała szczególnie ponury wyraz,

gdy próbował wyobrazić sobie takie okropieństwo.

– To gorzej niż piekło – ocenił wreszcie i westchnął. – Wracając do głupka: jego baba, żona, księżniczka w bloku zdeptana, go w tej wieży na wyspie zamknęła, jak jej się przyznał, że ma pierścień spełniający życzenia. Teraz ona sama rządzi, a on się z nami błąka. Kto dalej?

– Długi Jan Kapral?

– A, ten. – Gryz, choć to trudne do wyobrażenia, zachmurzył się jeszcze bardziej. – Jego nikt nie rekrutował, on się sam pojawił. Papuga gada, że to nie człowiek, tylko demon, wcielenie wszystkich zdradzieckich przydupasów, jacy kiedykolwiek służyli w armii. Czyli taki patron, ale czy on nam szczęście przynosi i przed czym chroni, tego nikt nie wie. Strzeżcie się go. Duppy nikomu prawdziwej krzywdy nie robi. Chyba żeby dorwał Davy Jonesa, który mu część osobowości ukradł. Tego by zabił, a może i pozał. Kto go tam wie. Tyle że Duppy przez złodziejską naturę tego szubienicznika Jonesa nie potrafi normalnie gadać i porozumiewa się jedynie przez figle. Jakby więc kiedy próbował do was zagadać, to zmykajcie, bo nie ma pewności, czy z takiej rozmowy żywi wyjdziecie.

– Przecież mówił pan, że on nie krzywdzi!

– Celowo nie. Ale wiecie, jak to jest z gadaniem, nie? Wy też, sąsiedzi niemcy, możecie czasem coś niewinnie chlapnąć, co niewinnemu człowiekowi krzywdę robi, nie? No i tak samo jest z Duppy.

– A Zmyta? – przypomniał sobie Hoygren.

– Od razu poznałem, że z ciebie, sąsiad, pies na baby! – Gryz

zmierzył go niezwykłym spojrzeniem. – Jesteście kosmonauci. Znacie szanty?

– A jakże! – pospieszył z zapewnieniem Drygieł.

– No to pewnie znacie i tę o takich jednych łazęgach, co to szły przez Pacyfik i pogubiły po pijanemu cały towar.

– No ba!

– No więc Zmyta to właśnie ta kapitańska baba, co to jej też nie upilnowali. A i chyba nie szukali potem, bo jak trafiła do nas, tak już tu siedzi.

– A okręt? – zapytał prędko Drygieł, widząc, że Gryz zbiera się do dalszej drogi.

– Okręt... Tego sam do końca nie wiem. Nikt nie wie. Jest z drewna, ale nie byle jakiego, jeno z takiego pochodzącego ze wszystkich zatopionych w morskich toniach okrętów pirackich. Mamy tu drewno ze statku piratów, którzy porwali kiedyś Juliusza Cezara, a potem przegrali z nim w kości i w końcu zginęli, bo ich bez litości ścigał. Mamy kawał wydrążonego pnia z największego chyba drzewa na świecie, na którym pływał jakiś samotny kudłacz, by napadać na innych samotnych kudłaczy, jeszcze nim ludzie nauczyli się mówić i stawać porządnie na dwóch nogach. Jak dobrze poszukacie, znajdziecie kawał masztu, do którego kazał się przywiązać Odyseusz, wpływając na wody, gdzie rządziły syreny.

– Odyseusz był piratem? – zdumiał się Drygieł.

– Zdaniem Trojan z pewnością. Mamy tu fragmenty statków ich wszystkich. Drake'a, Surcoufa, przeklętej Anne Bonny i Störtebekera. Wszystkich. Takie to drewno buduje ten okręt. Ale nie trzęście tak portkami, pod tym całym drewnem jest i stal.

– A „Czarna Sara”?

Gryz zebrał w ustach ślinę, by splunąć, ale powstrzymał się. Przełknął, rozejrzał lękliwie.

– To jest śmierć – powiedział. – No, więcej ja już wam nie powiem. Stoicie przed drzwiami swojej kajuty. Na me nieszczęście, tuż obok mojej, chyba pójdę spać w maszynowni albo i na bocianie gniazdo. Lepiej mi będzie w próżni niż przy sąsiadach. Włóżcie i nie drażnijcie mnie więcej, bo lunę. Przyjdę po was, jak zadzwonią na kolację.

To powiedziawszy, w końcu splunął z ulgą i uciekł, nim Drygiel zdążył zapytać o cokolwiek więcej.

Kajuta okazała się na tyle przestronna, że Adamowi udawało się mijać w niej Hoygrena i przy odrobinie wysiłku nie ocierać o niego przy tym przesadnie. Zaopatrzone ją w piętrowe łóżko (Petyr prędko zajął górną pryczę), mizerny stoliczek, dwa taborety oraz skrzynię, do której prędko wrzucili swoje worki marynarskie. Drygiel chciał ukryć w niej i obraz, od którego, prawdę mówiąc, zaczynała swędzieć go skóra, ale Hoygren mu na to nie pozwolił.

– Zgłupiałeś? – zawołał. – Nie wolno ci się z nim rozstawać! Szczególnie tutaj!

– Bo to piraci? Prawdę mówiąc, mnie wyglądają raczej na jakiś cyrk.

– Piraci – wykrzywił się Petyr. – Bracie, naprawdę nie wiesz, kim są?

– No, Zmyta urwała się z szanty... Takie rzeczy się zdarzają, wiesz, że postaci z przebojów potrafią ożywać tak samo, jak te z nadzwyczaj popularnych książek i...

– Burzymur! – naskoczył na niego rozzłoszczony na poważnie Hoygren. – Do ciężkiej cholery, nie mów mi, że nie słyszałeś o Burzymurze, towarzyszu Kutrzeby!

– To ten sam? – Adam pokręcił z niedowierzaniem głową. – Po dwustu latach?

– Olbrzymy są długowieczne jak cholera – jęknął Petyr.

Opadł ciężko na taboret. Spojrzał na Drygła, jak nie patrzył nań jeszcze nigdy dotąd: spojrzeniem, w którym złość mieszała się z żalem i litością.

– Czemu ja? – wymamrotał, ukrywając twarz w dłoniach. – Czemu to musiało spotkać akurat mnie? Niech to wszystko jasny szlag!

– Ale o czym ty mówisz? – zdumiał się chłopak.

– Biedaku – sapnął Hoygren, nie odrywając dłoni od twarzy, przez co Drygieł nie wiedział, czy mówił o nim, czy o sobie. – Młody, utalentowany, wesoły. Tyle życia miałaś przed sobą. A teraz, niech to wszyscy diabli, akurat ty musiałeś na niego wpaść! Słuchaj! – Poderwał się nagle z miejsca i jednym skokiem dopadł przyjaciela. Złapał go za ramiona i potrząsnął. – Jeszcze nie wszystko stracone! Spieprzajmy stąd, nim to diabelstwo się przebudzi!

– Co się przebudzi? – Chorąży wciąż nie pojmował. – Chłopie, co się z tobą dzieje? To tylko stary półolbrzym!

– Tylko! – zaśmiał się jakoś nieprzyjemnie Hoygren. Puścił Drygła i cofnął się o krok. Przejechał dłonią po obowiązkowo przystrzyżonych włosach, odetchnął głęboko. – Tylko! – powtórzył spokojnie. – Jak chcesz, bracie. Zresztą czuję, że już za późno, jużemy w nią wpadli.

- W co?
- W opowieść. W to kurewstwo, które ciągnie się nieprzerwanie od ponad dwustu lat.

Rozdział piętnasty

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Mars

Istnieją na Marsie grobowce starsze niż czas, choć powstały niespełna przed stu pięćdziesięciu laty. Jednym z nich jest piramida położona w cieniu pasma gór Burroughsa, z dala tak od miast czerwonych ludzi, jak i wiosek Dothraków. A także od monumentalnych metropolii innych marsjańskich ras, narodzonych w wybujałych wyobraźniach pisarzy, którzy swoimi wizjami zarażali całe pokolenia czytelników. Im bardziej nieprawdopodobne przygody opisywali, tym większy zdobywali poklask.

Ta akurat piramida różniła się od innych. Nikt nie wiedział, kto ją wzniósł, prawdę mówiąc, niewielu ludzi w ogóle zdawało sobie sprawę z jej istnienia. Wkomponowany w górski krajobraz stożek o nieforemnych, skorodowanych ścianach wyglądał jak niewielkie skalne wzgórze, dopóki nie przyjrzeć mu się z bliska. Pusty, czekał tu, zdawałoby się, od wieków na istoty godne go przejąć.

Ostatecznie stał się grobowcem małżonka bogini bogów i świątynią Wandy.

Stała teraz pośrodku tajemnej komnaty, wysłuchując raportu Olgi. Czuła się patronką także Malowanej Moskwy, wszak jej mieszkańcy należeli do świata duchów, nawet jeśli niezwykłego rodzaju. Wpatrywała się teraz w Rostownę miotającą się po niewielkim salonie, przeznaczonym pierwotnie na tło dla Jaśka.

Tyle że Jasiak nie pozwolił się namalować, tak jak nie pozwolił Wandzie ani żadnemu z jej wyznawców na cud, który mógłby ofiarować mu wieczność.

– Wiem, że to wstrętne, kochanie, zostawiać cię samą – już nie mówił, lecz szeptał zmęczony życiem starzec na łożu śmierci. – Ale jeśli nie umrę, cóż ze mnie będzie za człowiek?

„Wiem, głupiec do końca” – takie były jego ostatnie słowa.

Była na niego wściekła. Tej pełnej wyrzutu złości nie zabiły nawet dekady żałoby. Rozumiała jednak, że miał rację. Jak niewielu rozumiał pokręconą logikę opowieści. Wanda – córka jednej z największych legend swojego miasta oraz stworzonego przez ludzi szalonego boga – musiała mieć za męża mężczyznę, który nigdy nie stracił nic z człowieczeństwa, nawet jeśli sam należał do świata baśni.

Jasiak ciężko zapracował na człowieczeństwo, tak jak ona ciężko zapracowała na swoją pozycję. Bogini w żałobie, cicha pani o twarzy zawsze ukrytej za czarną woalką. Ta żałoba złamała serce jej ojca, ale on znalazł pocieszenie.

Tak czy owak, obraz się przydał, nawet jeśli przedstawiał boleśnie puste tło.

– Sądysz, że powinnam zawiadomić „Wróżdę”? – zapytała Olgę, gdy ta skończyła meldunek.

– Sądzę, że jej kapitan już wie – odparła opiekunka Przystani Carogrodu, miejsca, które obie uznawały kiedyś za swój dom. – Zawiadomiłam Burzymura.

– Biedny Burzymur – westchnęła Wanda. – Mogłabym mu ulżyć, ale nie chce mojej pomocy.

– Nie biedny, tylko głupi. – Olga wydeła wargi. – Nikt nie kazał ślubować jemu i tej jego Sarze, że nie spotkają się, póki nie zakończy się ta historia z zemstą Mirka.

– Przecież wiesz, że oni to dla mojego Jaśka ślubowali! Przez ten jego kontrakt z twoim chłopakiem! Nawet Jasiek myślał, że będzie go wiązał po śmierci. No to chcieli wzmocnić twego lubego swoją przysięgą.

– Nie jest żadnym moim chłopakiem! – krzyknęła Olga.

Długo milczały obie, zagniewane, aż wreszcie Rostowna odezwała się, porzucając niewygodny temat.

– Burzymur leci już na miejsce katastrofy – podjęła – ale dotrze tam za jakiś tydzień. Do tego czasu nie wiemy nic. Transport Galicyjski stracił kontakt z Subukładem Jowisza. Sytuacja jest na tyle groźna, że szukali pomocy u innych instytucji, które podobno też padły ofiarą Tiamat. Nikt nie wie, co się tam dzieje. Myślałam, że może ty masz z nią jakąś łączność?

– Jestem patronką tylko tych bóstw, które do mnie przychodzą. Rzadko trafiają się wśród nich wcielenia chaosu z początku czasów.

– Ona nie była...

– Wiem. Ale jest tym, w co ludzie wierzą, że jest. A przetrwała jako potwór, wróg Marduka.

– Myślisz, że może ci zagrozić?

– Jeśli tu przyleci, to możliwe. Przygotujemy się.

– Burzymur przechwycił dwóch rozbitków. Mówi, że coś jest z nimi nie tak, ale nikt z jego załogi nie potrafi wyczuć, co. A on... znasz go.

– Nie traci czasu na rozmyślanie nad rzeczami, których nie

rozumie.

– Nauka Sary – westchnęła Olga. – Czy myślisz, że oni dwoje...

– Moja droga, zawsze, kiedy mnie o to pytasz, odpowiedź pozostaje taka sama: nie mam pojęcia. Tak, mam tu jasnowidzów, mam nawet Pytię. I dobrze wiesz, co możemy obie zrobić z ich przepowiedniami. Tam, gdzie pojawia się miłość, przyszłość też dostaje bzika. A ci dwoje to może odwrotność, ale jednak miłosnego przeznaczenia. Posłuchaj, spróbuję znaleźć sposób, by sprawdzić, co tam się dzieje, ale niczego nie obiecuję. Tiamat przeraża moich wiernych. Niektórzy z nich sądzą, że to wcielenie zemsty Zapomnianych Kapłanek.

– Jeszcze jedno wcielenie zemsty – jęknęła Olga. – Zapomniane Kapłanki? Myślisz, że to one ją ożywiły?

– To by pasowało, prawda?

– Rozbitkowie meldowali o ataku herostratejczyków. To oni zniszczyli okręt, nie bogini.

– Herostratejczycy wchodzą w każdy sojusz, który sprzyja ich sławie.

– Podsunę Galicyjskim ten wątek. Oni skupiają się na walkach korporacji i węższą kolejną gospodarczą wojnę. Nie wierzą, że byłaby w stanie ich zaatakować jakakolwiek sekta.

– Samodzielnie nie. Ale to nie wygląda na samodzielne działanie. Gdyby wszyscy pomniejsi, ignorowani i nielegalni sekciarze spróbowali współdziałać, stworzyliby poważne zagrożenie.

– Nawet ty nie jesteś w stanie ich zjednoczyć.

– Masz na myśli, że nawet ich nienawiść do mnie tego nie potrafi.

– Wanda uśmiechnęła się smutno. – Tak, to mocny argument. Bądź

dzielna, kochanie. I nie daj się zbałamucić kotu.

– Kot to mój najmniejszy problem. Widzimy się jutro o tej samej porze?

– Jutro o tej samej porze.

Olga dygnęła, jak zwykle uroczo, i jak zwykle mrugnęła do Wandy porozumiewawczo, po czym uciekła. Cały kłopot z komunikacją poprzez obrazy polegał na tym, że trzeba się było dokładnie umawiać na spotkania. Do Malowanej Moskwy nie dało się zadzwonić, żeby uprzedzić o spóźnieniu, nie dało się tam wysłać telegramu ani nawet posłańca (chyba żeby dysponować serią portretów ochotników, którzy dawaliby się zabijać na zawołanie). Trzeba więc było mieć albo pracowników pełniących stałe dyżury po obu stronach obrazów, albo dotrzymywać rytuału punktualności, niczym w starożytnych czasach.

Cały kłopot – albo cały urok. Wanda uśmiechnęła się pod woalką. Lubiła ten starodawny klimat Malowanej Moskwy, ze wszystkimi jej słabościami i ograniczeniami. Dla kogoś niezorientowanego w polityce i historii malowanego miasta mogło się ono wydawać rajem. Dopiero gdy spojrzeć bliżej, okazywało się, że targały nim takie same konflikty, jak całą resztą świata.

Przysiadła przy grobowcu Jaśka, zajmującym centralną część komnaty. Nie opanowała pokusy i pochowała go w kryształowej trumnie, uprzednio opętując wewnątrz czarem wieczności. Pozwoliła mu umrzeć, skoro się uparł (och, jak potrafił się upierać, ten prostaczek o złotym sercu), ale potem i ona postawiła na swoim. Dla niej wyglądał, jakby spał: uroczo siwowłosy starzec, do końca niepoważny, konsekwentnie odmawiający akceptowania prawdy o

świecie. Niektórzy, nawet jej ojciec, widzieli w nim głupca. Wanda zdawała sobie jednak sprawę, że jej ukochany obdarzony był darem specyficznej mądrości. Dzięki niej zawsze, niezależnie od okoliczności, zachowywał pogodę ducha.

Być może to właśnie sprawiało, że Szuler nie mógł z nim wytrzymać. Byli jak dwa żywioły: wieczna radość i wieczna posepność.

No, nie taka znów wieczna – zachichotała. Pocałowała kryształowe wieko i opuściła swoją ulubioną komnatę w piramidzie, by wyjść na spotkanie świata, który znów zaczął stanowić wyzwanie.

„Olga, Burzymur, ja...” – dumiała, przechodząc przez ogrody, którymi wypełnione zostały dziedzińce piramidy, tylko pozornie, dzięki potężnej iluzji, wyglądającej na zamkniętą od góry. Świetliki, nimfy i elfy kwietne, uwijające się wśród wielobarwnych roślin, przerywały na moment pracę bądź igraszki, by kłaniać się swojej pani. Skinęła kilkorgu z nich, jakby oddawała pozdrowienia wszystkim. Wydawały się usatysfakcjonowane. „Czy to możliwe, że wszystko znowu się zaczyna?”.

Już kiedyś, dwieście lat wcześniej, także zostali ze sobą powiązani. Stało się tak za sprawą opętanego mężczyzny, gotowego i cały świat obrócić w perzynę w imię swojej zemsty. On wprawdzie nie żył już od dawna... Najprawdopodobniej. Najdoskonalsi jasnowidze Wandy nie potrafili powiedzieć, jak zginął. A ci, którzy mogli być świadkami jego śmierci, milczeli.

Przecucie, jak zawsze w piramidzie trafne, zaprowadziło ją do przystani. Tam niecierpliwiał się już Charon, tanio i sprawnie

dowożący tu nowych wyznawców. Jego maleńka łódź w cudowny sposób potrafiła pomieścić dowolną liczbę pasażerów.

– Wando. – Staruch nie kłaniał się przed nią ani nie nazywał jej boginią. Była mu za to wdzięczna. – Tym razem tylko dwoje. Jakiś palant, któremu przewróciło się w głowie od bogactwa, i jakiś gad, od którego cuchnie obcością.

Przystań w piramidzie nie sięgała żadnego morza. Otwierała się na czerwone marsjańskie wzgórza, ponad którymi Charon żeglował starą drewnianą łodzią na pojedynczej czarnej fali Styksu, zdolnej przemierzać tak powietrzne, jak i kosmiczne przestrzenie. Dla przewoźnika cały świat był jedną wielką rzeką zapomnienia. On sam nie pamiętał imion pasażerów, a ich kształty zauważał tylko w trakcie wspólnej wędrówki. Dla przewoźnika nie istniało nic poza nim samym oraz celem podróży.

– Dziękuję ci. Jak zwykle jesteś nieoceniony.

– Jak zwykle jesteś zbyt łaskawa – mruknął. – Ja bym ich tu nie wpuszczał. Za pięknie tu dla nich. Mogłem ich zrzucić po drodze do Tartatu albo któregoś z szamańskich piekieł, ale...

– Jeszcze raz dziękuję. Przyjmuję każdego.

– W tym cały problem. Właśnie w tym. Każda jedna szumowina...

– Charonie?

– Dobrze, już dobrze! – Machnął ręką. – Ale sama zobaczysz!

Klasnął, a wtedy łódź wyłoniła się z cienia. Czarna fala uderzyła bezdźwięcznie o próg przystani, a jeszcze przed chwilą niewidzialni pasażerowie zaczęli nabierać konturów. Na razie wyglądali jak mary, przybysze ze świata zmarłych. Jednak uwolnieni z czaru Charona wyszli z jego łodzi, a gdy postawili stopy na kamiennym

nabrzeżu, ich ciała na powrót stały się materialne.

– No to ich masz. Ja spadam – warknął Charon. Wskoczył na łódź i natychmiast zniknął wraz z nią.

Wąż pierwszy pokłonił się przed Wandą. Jego towarzysz, postawny blondyn o nieco rozczochranej fryzurze, najpierw rozejrzał się, zakłopotany. Rozczarowanie malujące się na jego twarzy rozbawiło patronkę bogów. Wielu z tych, którzy tu przybywali, oczekiwało czegoś bardziej spektakularnego.

– Pani – wysyczał wąż o złotej łusce, po której przepływały nikłe płomienie. Prawie położył łeb na posadzce, zwijając się w pokornym pokłonie. – Racz przyjąć prośbę pod swój dach dwóch uchodźców z doczesnego świata. Znużyły nas jego smutki i przyziemności. Przybyliśmy sssłużyć tobie.

Zorientował się, że Wanda wciąż przygląda się towarzyszącemu mu mężczyźnie. Odwrócił ku niemu podłużny łeb i zasyczał wściekle, widząc, że ten nie padł na kolana. Opacznie biorąc rozbawienie Wandy za złość, zaczął przeproszać za towarzyszącemu mu gbura i tłumaczyć, że nie ma z tamtym prostakiem nic wspólnego.

– Nie szkodzi – Wanda przerwała mu. – Obaj jesteście tu mile widziani. Dwa razy dziennie, w południe i o północy, przyjmuję w głównej świątyni. Każdy wskaże wam do niej drogę. Jeśli zechcecie opuścić piramidę, będzie to możliwe. Co tydzień, w środy, przylatuje tu prom. Nie martwcie się, opuszczenie piramidy nie oznacza zerwania przymierza. Raz na miesiąc przyjeżdża też dylizans Szalonego Pete’a. Niektórzy lubią podróżować właśnie z nim, ponieważ nigdy nie wiadomo, dokąd zawiezie swoich

pasażerów. Możecie tu robić, co tylko chcecie, o ile nie będziecie krzywdzić innych. Powiedzcie, proszę, coś o sobie.

Wąż zaczął opowiadać o swoim pochodzeniu. Na początku nieśmiało, jak wielu bogów przywiezionych niegdyś na marsjańskich okrętach wojennych. Podobnie jak inni, pozostawał na nich uśpionym potencjałem. Ocknął się zaprogramowany, by walczyć dla swych panów. Spadł na Ziemię głodny wiary. Pokładowych zapasów fidezyny nie było zbyt wiele i Marsjanie gospodarowali nią aż nazbyt oszczędnie.

Bóg, pozbawiony pełni pamięci o tym, kim był na swojej planecie, pamiętający tylko, że lubił walczyć i zabijać, wylądował gdzieś w górach, w pobliżu zapomnianego cmentarza jakichś starożytnych wojowników. Miał ich przebudzić, uczynić swym oddziałem i na jego czele ruszyć w doliny, ku wioskom. Spadając przez atmosferę obcej planety, ryczał z uciechy. Wyglądał wtedy nieco inaczej. Przypominał smoka o wielkim, wypełnionym płomieniami pysku i ośmiu wielkich, krwistoczerwonych ramionach, kołyszących się wokół cielska.

Przypominał meteor.

Ogień otaczał całe jego ciało. Palił skórę, ale nie zadawał bólu, lecz sprawiał rozkosz. Pozwalał mu rosnąć, pęcznieć od grozy.

Uderzył w szczyt wzgórza, wybijając w nim krater i obalając wszystkie drzewa w promieniu dziesięciu kilometrów. Jego ryk przetoczył się przez całe góry. Gniew i groza, które ze sobą przyniósł, powinny wstrząsnąć żywymi i umarłymi w okolicy.

Ale jego głód okazał się silniejszy nie tylko od furii, ale i od lojalności wobec panów, którzy wyrwali go przed setkami lat ze

świata, gdzie narodziły się o nim legendy, i przywieźli na tę obcą planetę. A ona była tak pełna dzikiej wiary, nie destylowanej jeszcze w skondensowaną fidezyne, szalonej i pysznej... Więc żarł, oddał się, jak wielu innych bogów przypuszczających desant na Ziemię, prawdziwej orgii pochłaniania mocy. Od przyswajanej energii powinien był wzrosnąć w siłę; zamiast tego puchł od ziemskich wierzeń.

I ostatecznie nie powołał legionu umarłych, by poprowadzić ich przeciw ludziom. Zatracił postać i właściwości, jakie przypisywano mu w legendach świata, z którego pochodził, i został złotym wężem – królem gór, by chronić tych, których przybył zniewolić.

Typowa historia marsjańskiego boga. Wandę bardziej interesował ten drugi przybysz, mężczyzna o nieuporządkowanych jasnych włosach i niebieskich oczach, tak pełnych smutku i zagubienia.

– Jacuś – przedstawił się, uśmiechając się nieśmiało. – Bez nazwiska. Mawiają o mnie „ten od paproci”.

– Paproci? – nie zrozumiała.

Wtedy podarował jej kwiat, jakiego nie widziała nigdy wcześniej.

Rozdział szesnasty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Belgrad

Bieganie po dachach, podobnie jak pływanie, zawsze przynosiło jej spokój i radość. Spokój oczywiście wtedy, gdy towarzyszył jej należący do niej człowiek. Bez niego nawet najprzyjemniejsze zajęcia pozostawały tylko cieniem samych siebie. Niechętnie opuszczała nosiciela. Po pierwsze dlatego, że bez niego czuła się nieswojo; czy chcieli tego, czy nie, stanowili teraz całość, jakiś trzeci byt, którego byli dwiema samodzielnymi częściami. Razem nie stawali się jedynie sumą Kutrzeby i Zmory, ale czymś więcej; silniejszym i pełniejszym.

Mimo to czasem dobrze było samotnie pobiegać po dachach.

Nie chciała i chciała tego zarazem. Bo jakże to – opuścić Mirka? Nie strzec go przed niebezpieczeństwami, w które tak ochoczo się pakował... Drażniły ją awantury, w jakie popychał ich ten cały Korycki, nigdy nie dzieląc się całą swoją wiedzą.

„Och, wzięlibyśmy go na spytki po naszymu – kusiła Kutrzebę. – Przestałby kręcić”.

– Nie można. To przyjaciel.

„Przyjaciel! – syczała. – Przyjaciel nie okłamuje, nie ukrywa, nie wysyła na pewną śmierć!”.

– Jeszcze nie umarłem – śmiał się.

„Nieprawda! Umierałeś nie raz! A ja musiałam na to patrzeć. Nie

chęc znowu oglądać twojego konania, Mirku”.

Uciekali oboje od takich myśli i dlatego dziś właśnie Zmora biegła po dachach samotnie. A wszystko dlatego, że trafili w gazetach na trop wampirzycy.

Kutrzeba pasjami lubił czytywać gazety. Wykupywał od gazeciarzy lokalne dzienniki lub jeśli tylko mógł, odchodził co rano od kiosków objuczony całymi stosami pism. Chłonał każdą informację, czy dotyczyła nowych odkryć nauki, czy ciekawostek ze świata elit. „Wszędzie możemy wpaść na jakiś jego trop” – powtarzał znudzonej tym wszystkim Zmorze. Trochę racji miał, ale wiedziała przecież, że tak naprawdę odprawiał w ten sposób jeden z ostatnich rytuałów swojego starego życia, gdy był jeszcze zwyczajnym, nieopętanym człowiekiem. Gdy należał do innej kobiety.

Zakłęła, przeskakując z dachu na dach. „Należał”. Jakby to minęło!

Czasem ona patrzyła na Zmorę tymi wielkimi oczyma, ciemnymi teraz i pełnymi wyłącznie niezaspokojonego głodu. „Rozumiemy się, prawda? – mówiło jej trupie spojrzenie. – Ty i ja, rozumiemy się doskonale”.

Zmora nienawidziła jej. Marzyła o chwili, gdy dopadną Szóstego, ostatniego z oprawców, i upiór wreszcie nazre się do syta, zniknie. Być może zniknie wówczas i Zmora, kto wie? Trudno, przyszła na świat jako demon zemsty. Pogodzi się z własną śmiercią, jeśli Kutrzeba osiągnie cel.

Myśleli oboje, że zajmie im to kilka miesięcy, najwyżej rok. Ile może trwać odnalezienie sześciu morderców?

– Nosi cię – powiedział Kutrzeba tego poranka, niedługo po tym, jak wrócił obładowany gazetami, zaparzył sobie kawę i natychmiast zapadł się w głębokim fotelu, by poznawać wydarzenia ze świata. – Nosi cię jak diabli. Masz, przeczytaj to. Może trochę się rozerwiesz?

– Ty mi przeczytaj – ziewnęła ostentacyjnie, znudzona słowem pisanym. Lubiła czytać powieści o nim i o niej, ale wiadomości i publicystyka nużyły ją śmiertelnie. Ludzie i tak w kółko pisali o tym samym.

Iksiński nie zgadzał się z Ygrekowskim, ponieważ Ygrekowski wcześniej nie zgodził się z Iksińskim. Cała polityka opierała się tylko na powtarzaniu w kółko tych samych od setek lat haseł, za którymi kryli się mali krętacze spragnieni sławy i poważania. Ich wiara w slogany i dogmaty wydawała się Zmorze śmieszna, nieważne, którym ideologiom służyli. Konserwatyści, liberałowie, komuniści i ilu ich tam jeszcze było, tracili czas na głupie gierki, karmili swoją energią ideologiczne byty. Sami nie mieli znaczenia.

– Po Belgradzie grasuje jakaś wampirzyca – streścił jej kilka artykułów. – Podejrzewają różne cuda. Że jest jedną z kochanek tego siedmiogrodzkiego księcia, że przybyła z Anglii... O, ktoś uważa, że to córka Montezumy!

– Phi!

By poczytać w dziennym świetle, Kutrzeba odsuwał co rano ciężkie, nieprzejrzyste zasłony. Dzięki temu Zmora mogła teraz wyjść na niewielki balkon i wystawić twarz do słońca. Polubiła Belgrad za jego gorąco – nie tak duszne i pełne lepiącej się, nieznośnej wilgoci jak w miastach Azji, i nie tak okrutnie piekące

jak w Afryce. Gorąco Bałkanów było miłe, grzało, ale nie raniło, nie męczyło. Zmora spijała je z miasta, z ochotą popijając przy tym chłodne, białe wino w dzień, a czerwone wieczorami. Lubiła te chwile, gdy siadali z jej człowiekiem w kawiarnianych ogródkach, a ona nie musiała siedzieć w nim, lecz siadywała naprzeciwko niego, prężąc się w zachwyconych spojrzeniach mężczyzn i pełnych zawiści spojrzeniach kobiet.

Kutrzeba źle zrozumiał jej prychnięcie.

– Masz rację! To bzdury. Na prawdziwy trop wpadłem gdzie indziej.

Wzruszyła ramionami. Chodziło jej o to, że w nosie miała całą tę wampirzycę. Co ją obchodzi jakaś kuzynka raszpla? Niech gania i wysysa kogo chce, póki trzyma się z dala.

– W kronikach towarzyskich piszą o jakimś Ziggym, playboyu podającym się za Marsjanina. Towarzyszy mu niezmiernie piękna egipska księżniczka. „Błada jak księżyc, zachwycająca jak noc” – tak o niej piszą.

– Och?

– Ten Ziggy ma oczy w różnych kolorach, ale to raczej człowiek. Zdaje się, że piosenkarz. Przyjechał tu z Berlina, gdzie ponoć spotkał tę całą księżniczkę...

Zawiesił głos, więc zareagowała.

– Ach, Berlin – westchnęła.

Berlin, miasto mrocznych, zbrukanych cudów. Nie było tam piwnicy, w której nie mieściłby się klub nocny prowadzony przez jakiegoś wampira albo wilkołaka. Tamtejsze orgie mogłyby zawstydić markiza de Sade, gdyby oczywiście zdołał coś zobaczyć

przez opary opium. Ćpano tam na potęgę, a wampirzyce, chude jak szczapy i wymalowane niczym złowrogie klauny, spijały alkohol i dragi prosto z arterii zachwyconych tym miłośników gotyckich opowieści. Pomędzy nimi biegali wariaci w długich skórzanych płaszczach, fanatycy jakiejś nienarodzonej ideologii. Trudno ich było odróżnić od tych miłośników skórzanych wdzianek, którzy największą radość odnajdywali w smaganiu pejcami bądź poddawaniu się ich razem.

Zmora polubiła Berlin, nawet jeśli śmieszyli ją ci wszyscy artyści i pseudoartyści, czciciele wiecznej zabawy bądź psychopaci musztry. Lubiła ostentacyjną degrengoladę podziemnych klubów i nigdzie nie słyszała tak wielu zespołów grających tak znakomitą a różnorodną muzykę. Kapele przyjeżdżały tam z całego świata, by w ciasnych podziemiach, w których oparów narkotyków było więcej niż powietrza, wygrywać bardziej rytmy niż melodie, zbuntowane przeciw wszystkiemu piosenki o tym, że świat kończy się bez końca i jedynym sensem, jaki pozostał, jest szal.

Kutrzeba nie cierpiał Berlina. Wpadał w ponurą złość, ilekroć musieli włóczyć się po tych wszystkich klubach w poszukiwaniu jakiejś sekty oddającej ponoć cześć Szóstemu. Ale nawet on kilka razy dał się ponieść nastrojowi. Tańczyli wtedy ze Zmorą, sami nie wiedząc, jak długo, bo świt nie dotyczył podziemnych lokali. W zapamiętaniu, upojeni rytmem, używkami i sobą nawzajem, oddawali się szaleństwu, które prowadziło ich dalej, niż kiedykolwiek zdarzyło im się dotrzeć we wspólnej wędrówce.

Budzili się z tego nieodmiennie zawstydzeni, przepełnieni poczuciem winy, ale i żalem, że nie potrafią tak uwalniać się

wzajemnie na co dzień, bez szalu pobudzającego zmysły i oszukującego sumienia.

– Berlin – zamruczała Zmora. – Tak, rzeczywiście, było tam pełno wampirów.

– Widzę, że niezbyt cię zainteresowałem.

Usłyszała, jak odkłada filiżankę na stoliczek o szklanym blacie, wstaje i do niej podchodzi. Naprężyła się odruchowo, czekając na dotyk, ale on tylko podsunął jej gazetę pod nos.

– No to popatrz na tę księżniczkę – oznajmił wesoło.

Spojrzała niechętnie. Kiepskiej jakości czarno-biała fotografia przedstawiała nieco zniewieściałego, ale całkiem przystojnego szczupłego blondyna w towarzystwie blondwłosej lali, tak bladej i suchej, że gdyby ktoś chciał przerobić jej skórę na pergamin, nie musiałby się bardzo starać.

– Ładny chłopiec – przyznała. – David jakiś tam. Nie pamiętasz? Byliśmy na jego koncercie w Berlinie. Ganiał po scenie w sukience i opowiadał, że przybył z gwiazd. Może to Marsjanin?

– Ona. Popatrz na nią. Wyobraź ją sobie bez tego makijażu, za to całą w skórze i jeansie, z ciemnymi okularami motocyklowymi. I jak?

– Możesz mieć rację – powiedziała powoli. – Nie, do diabła, masz ją! O kurwa.

– A myśleliśmy, że zabiliśmy wszystkich, co? Sądzisz, że przyjechała tu przypadkiem?

– Nawet jeśli nie za nami, nie ma to znaczenia.

– Nie mam czasu się za nią uganiać. Dorwiesz ją?

– Dorwę.

– Dzięki.

– Nie dla ciebie – prychnęła. – Dla niego. Podoba mi się jego muzyka, a ta sucz go zniszczy.

I właśnie dlatego Zmora biegła teraz po dachach, nie dla zwykłej przyjemności, ale dla tej większej: łowów. Najpierw śledziła Ziggy’ego i jego wampirzycę od klubu „Underhell”, w którym on dał koncert, a ona wiała się na scenie niczym matka wszystkich węży. Potem przez całą trasę ich spaceru, od knajpek nad Dunajem i Sawą aż po trzy kafejki przyczajone przy długich schodach, prowadzących ku położonemu na wzgórzu centrum miasta.

Przy ulicy Karadziordziewicia wzięli dorożkę, by dojechać nią do hotelu „Moskwa”, gdzie piosenkarz naćpał się i zasnął. Zmora obserwowała uważnie okno ich pokoju i nie przegapiła momentu, gdy wampirzyca wyskoczyła na ulicę, by dachami przedostać się do centrum. Najwyraźniej nie żywiła się Ziggyem, lecz używała go jako przynęty.

Mogła zresztą darzyć go uczuciem, ale Zmora niezbyt w to wierzyła. Ta konkretna wampirzyca kochała jedynie krew i Wieczną Rewolucję.

W Berlinie wpadli na siebie w samym środku śledztwa. Zmora i Kutrzeba występowali przeciw bandzie świrów, którzy właśnie porwali jakiegoś bankiera, by skatować go i widowiskowo zamordować za to, że należał do „parszywych burżuazyjnych psów” i nie chciał płacić daniny Rewolucji.

Skończyło się to krwawo. Gdyby wtedy wiedzieli, że to wampirzyca, pewnie odcięliby jej głowę. A tak przeżyła i trzeba było teraz dokończyć robotę, nim krwiopijka w pełni odzyska siły,

zbuduje nowy zespół i zacznie się na nich mścić.

Gnały więc bezszelestnie, z dachu na dach – dwa cienie, każda polująca na kogoś innego. Zmora oddychała pełną piersią. Miał rację Mirek, potrzebowała tego. Po tych wszystkich nudnych miesiącach, podczas których tylko śledzili jakichś mało ważnych durniów, nareszcie trafiła się akcja, w której Zmora naprawdę mogła wziąć udział. O, jak za tym tęskniła – za prawdziwym życiem. Tak przecież miało wyglądać jej istnienie: od pościgu do pościgu, od walki do walki, od śmierci do śmierci. Na tym polega zemsta, a nie na zmuśnym gromadzeniu tropów. Była wojowniczką, zabójczynią, a nie jakimś śledczym!

Tamta zatrzymała się. Przypadła do dachu, przyczaiła się. Widać wypatrzyła ofiarę. Nie przy jednej z ludnych głównych ulic, nie w pobliżu którejś z otwartych jeszcze knajp, ale z dala od centrum, gdzie kamienice były niższe, mniej zadbane, gdzie tylko niektóre latarnie rozpraszały zmrok.

Kogo spodziewała się tu upolować? Starca? Jakiegoś pijaczka? Cóż to za upadek dla wojującej komunistki, terrorystki porywającej i zabijającej bankierów i przemysłowców? Czy nie lepiej by dla niej było uwieść jakiegoś fana Ziggy'ego? A może wampirzyca brzydziła się swoich burżuazyjnych kontaktów, korzystania z opieki wielkiego muzycznego kapitału? Może, jak Zmora, tęskniła za samodzielnymi łowami?

Nieważne. Jej historia skończy się tutaj.

Zmora podkradła się bliżej do przeciwniczki, skupionej całkowicie na niewidocznej jeszcze ofierze. Pytanie: zabić ją od razu? A może najpierw pobawić się trochę i przepytać ją, czy znalazła się tu

przypadkiem, czy też szukała Kutrzeby?

To drugie byłoby rozsądniejsze, ale pierwsze wydawało się Zmorze smakowitsze. Wystarczyło skoczyć, wpić się pazurami w ciało, a kłami w kark. Wgryźć się, szarpnąć – i skrócić kark. To nie zabiłoby wampirzycy, ale by ją osłabiło. A kiedy ona starałaby się równocześnie regenerować i zapanować jakoś nad koordynacją ruchów, co nie jest łatwe przy uszkodzonym rdzeniu kręgowym, Zmora wyrwałaby jej serce i rozszarpała je.

Wszystko to powinno zająć maksymalnie dziesięć sekund. Takie szybkie zwieńczenie łowów, a ileż satysfakcji. Kutrzeba miał rację, potrzebowała tego. Po tych wszystkich nocach, które spędził z Sabriye, po dwóch tajnych schadzkach z tą blondyną od Wiecznej Rewolucji, do których nie dopuścił Zmory, by uspokoić blondynę, pewną, jak niedawno Korycki, że w ten sposób mogą namierzyć ją wrogowie. Tyle że na spotkanie z Koryckim Mirek ją zabrał, a na randkę z wszawą czerwoną blondyną już nie.

Nigdy więcej!

Już prawie skoczyła, kiedy tamta obróciła się nagle, by spojrzeć Zmorze prosto w oczy.

– No proszę – oznajmiła z uśmiechem. – Jak po maśle. Jakbyśmy prowadziły cię na smyczy.

Liczba mnoga?

To i tak nieważne. Kiedy przeciwnik jest pewien, że cię zaskoczył, działaj. Tego nauczyła się od Kutrzeby. Potrafił reagować głupio, z samobójczą brawurą, ale tego właśnie nie spodziewają się cwaniacy od zastawiania pułapek, zawsze zbyt pewni swego.

Skoczyła na wampirzycę i przez sekundę radowała się przerażoną

miną tamtej. Potem ktoś, kogo nie wyczuła za plecami, zarzucił jej pętlę na szyję i pociągnął w tył.

Zmora zachwiała się. Próbowwała krzyknąć, ale poprzetykana srebrnymi nićmi lina zacisnęła się na jej gardle i zdławiła krzyk. Charcząc, opadła na kolana.

Jak zdołali ją podejść? Co to za magia?

Wtedy wampirzyca zaatakowała, pewna, że poradzi sobie z oszołomioną Zmorą, uwięzioną przez kogoś ciągle pozostającego w ukryciu.

– Myślisz, że zapomniałam? – wysyczała niczym wściekły kot. – O Siegfriedzie, który konał w więziennym szpitalu? O Ulrichu, któremu rozerwałaś gardło? Teraz ja się z tobą zabawię, suko!

Była pewna swego – i zdecydowanie zbyt wolna. A głupcy, którzy zastawili pułapkę, nie docenili Zmory. Nie pospieszyli się i nie związali jej, nim wampirzyca przystąpiła do akcji.

Lewą ręką Zmora zablokowała cios tamtej. Prawą, której palce zamieniła w szpony, uderzyła. Wbiła pazury w te ładne oczy zdumionej kobiety o porcelanowej cerze i szarpnęła, zrywając skórę z połowy twarzy.

Wampirzyca wrzasnęła, spróbowała odskoczyć, ale Zmora trzymała ją mocno. Poczowała szarpnięcie z tyłu. Zbyt słabe. Wbiła szpony w pierś wijącej się „egipskiej księżniczki” i, prawie tak jak planowała, wyrwała jej serce. Zamiast jednak trochę się nim zabawić, po prostu je zmiążdżyła i patrzyła, jak tamta płonie skowycząc i w mgnieniu oka rozsypuje się w proch.

Żadna strata. Będzie można przesłuchać jej pomocników.

Zagryzając wargi z bólu, jaki zadawało jej srebro, odwróciła się,

chwyciła linę, na którą ją schwymano, i pociągnęła z całej siły. Zza komina wyleciał jakiś mężczyzna, wrzeszcząc ze strachu. Słusznie się bał, choć nie zamierzała od razu go zabijać.

Kula trafiła ją w lewe ramię. Srebrna, cholera! Znów spróbowała wrzasnąć i znów zaciśnięta pętla jej to uniemożliwiła.

Był ktoś trzeci!

Tak naprawdę powinna się tego spodziewać, przecież nie zaczęliby się na nią tylko we dwoje. Ale myśl tu demonie o liczbie przeciwników, kiedy wściekły walczysz o życie...

Facet trzymający linę zaparł się nogami. Pociągnął. O, tak łatwo to nie pójdzie, kochany. Skoro jest was tu więcej, można cię spisać na straty. Posłużysz za tarczę.

Spróbowała go przyciągnąć do siebie, ale wtedy zasypały ją kolejne kule. Napastnicy nie przyszli we trójkę, przybyło ich znacznie więcej.

Gdy już leżała bez sił, trzęsąc się w szoku od srebrnej trucizny wżerającej się w ciało, podeszli do niej, spokojni o swoje bezpieczeństwo. Bez trudu zapięli jej srebrne kajdanki na przegubach i założyli srebrny łańcuch na nogi. Przez klapę w dachu zrzucili ją niczym worek ziemniaków na korytarz kamienicy, a potem pociągnęli za sobą, odrętwiała z bólu, ku drzwiom jednego z mieszkań.

Zaczęła wierzyć, że może tutaj umrzeć. Wiedziała, że potrzebuje pomocy znachora. Wpakowali w nią chyba trzynaście kul! Pieprzony RAF! Mirek każe im za to słono zapłacić!

W pokoju cisnęli ją pod stopy blondyny z Wiecznej Rewolucji. Zmora jęknęła. Nie dlatego, że zabolął ją kolejny upadek, ale

ponieważ rozpoznała szefową oprawców. Niech to szlag! Czy dopadli też Kutrzebę? Szarpnęła się, ale nic nie mogła zrobić.

– No i proszę. – Wiera Pawłowna Rozalska uśmiechnęła się prawie zalotnie. – Mamy cię. Nie martw się, nie zginiesz. Nie od razu. Mamy tu znachora, oczyści ci ciało ze srebra. Zdziwiona? Nie chcemy twojej śmierci, dziewczyno. Nawet nie wiesz, jakim jesteś dziwolągiem, co? Nasi cię przebadają, sprawdzą, co z ciebie za twór. I może nauczymy się produkować takie jak ty?

– M...Mirek? – zdołała wyskomleć Zmora. – Jeśli go zabiliście...

– Ten twój opętaniec? – Wiera zmarszczyła brwi. – Och, złotko. Właściwie to już mój... – Mrugnęła do schwytanej. – Tak się o niego martwisz? Niepotrzebnie. Cały i zdrow. To on cię wystawił.

Towarzyszka zerwała się, by odskoczyć, bo Zmora szarpnęła się ku niej tak gwałtownie, że niemal udało jej się zerwać kajdanki.

– Och! – Wiera pisnęła i zasłoniła usta. – Nie wierzysz? – zachichotała, leciutko, srebrzyście, jak flirtująca nastolatka. – A właśnie ty powinnaś. Oddał cię nam w zamian za podanie mu Szóstego na tacy. Właściwie nawet cię nie zdradził, przecież pozostał wierny zemście, prawda?

Rzeczywiście, zemsta była dla Mirka wszystkim. Nie było takiej ceny, której nie był gotów zapłacić za dopadnięcie Szóstego. A przecież spotykał się z Wierą bez Zmory, skrywał myśli i część planów. To on wskazał Zmorze trop wampirzycy i namówił ją na pościg. Mógł chcieć się jej pozbyć, przestraszony tym, co działo się między nimi. Zbyt mocno zmienili się oboje, a jemu wystarczyło tylko jedno zobowiązanie, wobec innej, od lat martwej kobiety.

– Już uwierzyłaś, co? – Blondyna pochyliła się nad Zmorą,

chwyciła za twarz i uniosła ją ku swojej. – Jesteś tylko diabłem, moja mała. Dla takich jak Kutrzeba nadajesz się tylko dopóty, dopóki jesteś użyteczna. Potem pozbywają się ciebie bez wahania. Zresztą... Nie wiesz nawet, jak łatwo owinęłam go sobie wokół palca. Trochę seksu i to jego marzenie o dopełnieniu zemsty. Dałam mu dwie rzeczy, których ty dać nie zdołałaś, i to wystarczyło.

Zmora opuściła głowę, gdy tylko Rozalska puściła ją i odeszła, by wydać polecenia jakiemuś Timurowi, zdaje się temu facetowi, który wciąż dbał, by nie poluzowała się pętla na szyi jeńca. Omawiali sposób opuszczenia miasta.

– Kutrzebę zostaw mnie – oświadczyła Wiera z tak niezachwianą pewnością siebie, że Zmora zaprzestała oporu. Nie miała już o co walczyć. – Zresztą...

Rozdział siedemnasty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Kraków

Targnęła nim złość, ledwie odzyskał przytomność. Kołysał się na linie, zawieszony głową w dół, w kompletnych ciemnościach. Zaklął na głos i trochę dodało mu to ducha – nie zakneblowali go.

Przynajmniej także nie zabili.

Niech to szlag, kto śmiał? Nie wrogowie Kutrzeby, bo oni sądzą, że nie żyje. No dobra, Korycki miał przynajmniej nadzieję, że dali się nabrać. Więc kto? Agenci nie wiadomo kogo, którzy śledzili Parowskiego i jego tropem dotarli do Edigeya? Ale jacy agenci? Mercedesa? Hanzę? Niemiec? Wiecznej Rewolucji? Cholernych Marsjan?

Huczało mu w głowie od ciosów, które zebrał. Nie pomagało, że wisiał niczym wieprzek gotowy do obróbki. Trudno się myślało w takich warunkach.

Kimkolwiek byli, z jakiegoś powodu zależało im na nim. Dlaczego? Z powodu jego wiedzy? Cholera, to byłby kłopot, bo pewnie zaczną go torturować. Pytanie, czy zdołają przezwyciężyć magiczne zabezpieczenia i uwarunkowania, którymi naszpikował ciało, pokrywając je tatuażami wykonanymi wedle zaleceń kilkunastu różnych magii i religii. Do tego dochodziły ukryte zaklęcia, które zapisano mu w mózgu pod hipnozą. Gdyby doszło do najgorszego, nie powinien czuć bólu, nawet jeśli tamci wykażą się

prawdziwym kunsztem. A gdyby mimo wszystko zaczął sypać, ostatnie, najgłębiej ukryte zaklęcie zabije go.

Oczywiście, o ile tamci nie mają lepszych magików i nie zneutralizują jego zabezpieczeń.

Tak czy owak, znudziło mu się to zwisanie.

– Hej! – wrzasnął z całych sił. – Już nie śpię! Pogadajmy! No przecież chcecie ze mną pogadać, nie?

Usłyszał kroki na zewnątrz. Ciężkie, grube podeszwy maltretowały drewniane klepki podłogowe. Gdzie takie mogą być? Wszędzie, cholera. To żadna informacja. To, że szedł ku niemu ktoś duży, także. Wskazujące na to poszlaki ciągle miał na głowie – trzy wielkie guzy.

Zaskrzypiały drzwi i wąska kreska żółtawego światła z lekka rozjaśniła ciemności. Nim urosła, ktoś powstrzymał tego wielkiego.

– Czeka! – zawołała jakaś kobieta. – Nie beze mnie!

Pewnie ta, która nie wyglądała na nauczycielkę. Spróbował ją sobie przypomnieć. Ramiona trochę zbyt szerokie, krok sprężysty. Trenowała? Dbała o muskulaturę? Może należała do typu babochłopa, jednej z tych kobiet, które dawały się porwać nie takim znów nowym ideom, mówiącym, że kobiety nie różnią się od mężczyzn niczym prócz tego, że są lepsze od nich pod każdym względem? Albo była którąś z weteranek Kobięcych Oddziałów Dywersyjnych, tych przerażających formacji wojskowych, dokonujących podczas Kresu prawdziwych cudów w imię obrony ludzkości. Gdy zapanował Pokój, niegdysiejsi dowódcy czym prędzej o nich zapomnieli. Większość żołnierek nie otrzymywała nawet wojskowych rent i emerytur.

Różnie się potem układały ich losy. Korycki sam kiedyś musiał...

Drzwi otworzyły się na oścież i zamiast myśleć o przeszłości, generał skupił się na teraźniejszości, przed jaskrawą napastliwością której musiał zmrużyć oczy.

A baba jeszcze zapaliła światło w pomieszczeniu. Okazało się ono zwyczajnym pokojem o smutnych, zaniedbanych ścianach, z których płatami odchodziła tapeta w wyblakłe pomarańczowe kwiaty. W jednym kącie stała stara drewniana szafa, w innym komoda, a na niej wazon z trupami kwiatów. Pół metra pod nosem Koryckiego zupełnie się nim nieprzejmujące mole pożerały wełniany dywan.

– Odetnij go – poleciła kobieta temu ogromnemu, który stanął za nią. Zgiął się wpół, by zmieścić się w drzwiach, ale i tak musiał przepychać się między framugami. Olbrzym albo coś koło tego, ocenił Korycki. Ciekawe, powinni go mieć w kartotece, olbrzymy i półolbrzymy nie należały do łagodnie usposobionych mieszkańców Krakowa. Jeśli nie trafiały do wojska albo policji, zawsze kończyły po niewłaściwej stronie prawa. Ciekawe, czy ten wielkolud dałby radę Szarakowi, który tak niedawno służył Koryckiemu za ochroniarza. Ale Szarak został, żeby pilnować jego żony i dzieci. Pozostawało mieć nadzieję, że nie generał będzie musiał sprawdzać się w walce z tym tutaj.

Korycki nie zdążył przyjrzeć się bydlakowi dokładniej, bo ten po prostu szarpnął linę, zrywając ją z haka, po czym wypuścił wciąż skrępowanego więźnia z ręki, pozwalając mu gruchnąć twarzą o podłogę. Chmara oburzonych moli poderwała się z dywanu, ale szybko uznała, że nie ma się czym niepokoić i powróciła do uczty.

General chciałby podzielać ich pogodę ducha. Mole nigdy niczym nie przejmowały się zbyt długo, a były przy tym tak bezczelnie zdystansowane do rzeczywistości, że czasem zastanawiał się, czy te wszystkie dywany, koce i płaszcze, które tak lubiły, nie zawierały jakichś środków halucynogennych. Te małe insekty zachowywały się przecież jak upalone ćpuny, można je było odganiać na wszelkie sposoby – a one i tak powoli, niedbale wracały na tor lotu, jakby spodziewały się, że uparte ignorowanie świata musi doprowadzić do tego, że świat w końcu ustąpi.

– Posadź go na fotelu – poleciała baba. Dwie łapy, wielkie jak łopaty i równie delikatne, chwyciły Koryckiego, by cisnąć nim na mebel, wzbudzając poruszenie kolejnego klanu moli.

Teraz tajniak mógł nareszcie przyjrzeć się dokładniej swoim gospodarzom.

– Żelazny Marcin! – odkrył nie bez zdziwienia. – Myślałem, że wypadłeś z interesu. Ale pani... Pani nie poznaję...

Okazała się nawet niebrzydka. Blondynka o owalnej twarzy, rysach nieco ciężkich, grubo, lecz ładnie zarysowanych. Mogłaby się podobać, gdyby więcej uwagi niż zaciskaniu ust i pięści poświęcała dbaniu o urodę. Należała jednak do kobiet gardzących tak makijażem, jak i uśmiechem.

– Baśka – przedstawiła się. Głos miała dźwięczny, stanowczy; mówiła tonem pozbawionym cieplejszych nut, pewnym i zdecydowanym. – Nie: „Basia” ani „Barbara”, i na pewno nie „Basieńka”. Czemu się uśmiechasz? Jednak mnie poznałeś?

Korycki mimowolnie przypomniał sobie żonę, wśród której przodków znajdowały się i wiewiórki. Szybko zgasił uśmiech.

Potrząsnął głową. Czy to imię powinno mu coś mówić? Cholera, wybrała jedno z popularniejszych.

– Pierwszy raz panią widzę.

– Możliwe. Słuchaj, wiemy, kim jesteś. Korycki, kiedyś glina, potem agent pracujący dla ludzi zza kulis. Taki waśniak średniego sortu. Sfingowałeś własną śmierć. Tak udanie, żeśmy w nią przez chwilę sami uwierzyli. Ale jeśli chowałeś się przed nami, to ci jednak nie wyszło. Chowałeś się przed nami? Odpowiadaj, to ważne.

– Nawet nie wiem, kim jesteście.

Żelazny Marcin uniósł łapsko do ciosu, ale Baśka powstrzymała go.

– Czeka! Nie chcemy go uszkodzić.

– Ja bym chciał – nie zgodził się olbrzym.

– Boś ty głupi brutal. Dlatego ja rządę.

– Ty! – warknął Żelazny Marcin, obracając się ku kobiecie. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym olbrzym opuścił głowę. – Ty rządysz – mruknął i cofnął się o krok.

– Nie wiesz, kim jesteśmy. – Kobieta sięgnęła po opierające się o ścianę obok drzwi drewniane krzesło, podstawiała je odwrócone naprzeciw Koryckiego. Usiadła na nim okrakiem, zaplatając ręce na oparciu. – Nie wiesz nawet, kim ty jesteś. Błądzisz w ciemnościach.

– Przysyła was Szósty? – strzelił.

Krzesło zaskrzypiało i zakołysało się niebezpiecznie na rozchwianych nogach, gdy kobieta wybuchała śmiechem.

– Szósty! – zawołała. – Szósty! Nie, kochaniutki, przysyła nas

Kutrzeba.

– Kutrzeba? – Generał zamrugnął i uśmiechnął się głupio. – A kto to?

Tym razem dostał w pysk. Ale nie od olbrzyma i nie od Baśki. Poczul lodowate dotknięcie na policzku, aż mróz przeszedł przez skórę i sięgnął kości. Jeszcze nie zdążył się tym zdumieć, a już głowa odskoczyła mu do tyłu, uderzając w zakurzone oparcie fotela. Przez chwilę mroczki latały mu przed oczami. Poczul coś gęstego, ciepłego w ustach. Splunął na podłogę i zobaczył krew w ślinie.

Co to było, do cholery?

– A to nawet nie kije samobije – wyszczerzył się Żelazny Marcin.
– Oj, przetrzepałby cię ten prezent od Kutrzeby, przerobił na mielone.

– To tylko ja. – Baśka też się uśmiechała, ale tym razem w jej uśmiechu Korycki dostrzegł jakby cień kłów. Potrząsnął głową, w której znów zaczęło mu huczeć po ostatnim ciosie, od wewnątrz przejechał językiem po ciągle zmrożonym policzku. Przyjrzał się Baśce uważniej. Tak, w jej oczach czaiła się ciemność.

– Zmora? – stęknął. – To ty?

Czarny dym wystrzelił z ciała blondynki i zakołysał się na niej na podobieństwo mrocznych płomieni.

– Ona i nie ona. – Kobieta nachyliła się nad Koryckim, pogłaskała go po twarzy, a od jej dotyku aż przeszedł go lodowaty dreszcz. – Myślałeś, że jeden tylko demon zemsty jest na świecie? Ma Mirek swojego, mam swojego ja.

Prawdę mówiąc, Korycki tak właśnie myślał. Badał nawet tę sprawę. Wiadomym było, że ludziom wstępującym na ścieżkę

krwawej pomsty towarzyszyły upiory, zjawy tych, których wyruszali mścić. Zawsze też ciemność odmieniała ich dusze, legły się w nich demony odpowiedzialne za podtrzymywanie gniewu. Ale żaden z nich nie przypominał Zmory.

Nie miały ciała, nie potrafiły materializować się, gdy trzeba było pomagać swojemu nosicielowi, nie umiały go leczyć czy ożywiać. Dodawały mu czasem trochę sił, ale nie jak świadomy pomocnik, ale trochę jak jeszcze jeden dodatkowy gruczoł, pozwalający dopompować więcej adrenaliny niż u zwyczajnych ludzi. Prawdę mówiąc, nie były nawet istotami, raczej nieświadomą formą duchowej energii, miniaturowym wcieleniem mrocznych emocji. To dlatego tak wielu ludzi sądziło, że Kutrzeba i jego Zmora to zmyślane postacie z tanich powieści. A ci, którzy znali prawdę, nie mogli się nadziwić demonce, która opętała mściciela.

A tu proszę. Znalazła się druga.

– Niczemu się już nie dziwię – mruknął Korycki. – A za co chcecie się na mnie mścić?

– Nie lubię psów – rzucił Żelazny Marcin. – Dla mnie wszyscyście... – urwał pod karcącym spojrzeniem Baśki.

– Na tobie? – Baśka rozejrzała się zdziwiona, jakby szukała kogoś, kto wyjaśni jej, o co chodzi. – Milusiu mój, ja nie na tobie chcę się mścić. Tyś dobry, choć głupi. Ja ci przysłałam pomoc.

– A siniaki i guzy mam od przyjacielskich uścisków? Dobrze, żeśmy to sobie wyjaśnili. To rozwiążcie mnie i pójdziemy na jakieś tańce albo co tam robią kumple... Grasz w karty, wielkoludzie?

– Dostałeś w łeb, boś głupi. I dlatego jeszcze posiedzisz związany. Póki nie zrozumiesz.

– Zasad naszej przyjaźni? – domyślił się Korycki.

– Tego, że naprawdę jesteśmy przyjaciółmi. A nawet prawie rodziną.

– Paniusiu, ja już jestem żonaty...

Znów dostał w pysk od cienia, tym razem w drugi policzek. Mocniej.

– Słuchasz, nie gadasz. – Baśka pogroziła mu palcem, gdy odzyskał przytomność. – Zrozumiałeś?

Wymamrotał coś, co miało brzmieć jak potwierdzenie. Baśce to wystarczyło. Całą twarz miał odrętwiałą.

– Myślisz, że masz w Kutrzebie przyjaciela – zaczęła tłumaczyć mu łagodnie. – Że razem pracujecie, że on wykonuje dla ciebie jakieś zadania. Mylisz się. Wszystko, co robi, robi dla siebie. I nie ma przyjaciół. Ani miłości – głos zadrżał jej na moment, aż musiała przerwać, przymknąć oczy. Wtedy Korycki zrozumiał, kim była.

– Ty jesteś ta Basieńka z Kielc! Ta, którą Mirek wykorzystał, żeby się dostać do Trzeciego! – zawołał i w efekcie oberwał tak, że miał wrażenie, jakby ktoś chciał mu wyrwać głowę z kręgosłupa. Na szczęście szybko przestał czuć ból. Właściwie przestał czuć cokolwiek. Na nieszczęście, gdy wróciła przytomność, wrócił i ból.

– Dobrze, że już to wiesz. – Baśka paliła papierosa, uprzejmie wydmuchując dym na boki, by omijał twarz więźnia. – A teraz zrozum nareszcie, że odzywasz się tylko, gdy ci każę. Jasne?

Skinął głową, choć bał się, że mu przez to odpadnie. Mówić na razie nie był w stanie. Nie potrafił nawet poruszyć językiem w ustach, by sprawdzić, czy wszystkie zęby ma jeszcze na swoim miejscu.

– Mam nadzieję, że naprawdę rozumiesz. Słuchaj, Mirek już nawet nie jest człowiekiem. Nie myśli jak człowiek, nie czuje chyba wcale. Nic prócz gniewu. Wypaliło w nim duszę. Mózg mu jakoś działa, ale jak maszyna. Drań chwyta każdego, kto mu się wydaje użyteczny, przemiela go po swojemu, a potem zabija albo porzuca na śmierć. Niszczy wszystko wkoło. Skup się. To ważne, żebyś zrozumiał. On jest żywołem. Furią. Może nawet nie chce krzywdzić ludzi, ale to już nie zależy od niego. Czy wiesz, jak działa świat?

Korycki jęknął. Tylko nie kolejny wykład z kosmologii! Miał ich dość jak na jeden dzień.

– Jeszcze trochę poboli – opacznie zrozumiała go Baśka. – Jakbyś nie był taki głupi, to by tak nie bolało. Słuchaj. Zabić kogoś to jak wyrwać dziurę w świecie. Trzeba ją więc później załatać. Łatamy ją krwią, bo to przelana krew rozdarła świat. To rytuał, wiesz, akt, który ma przynieść spokój. Sprawić, że świat znów będzie zdrowy. Ale Mirek nie może przestać. Tak się zmienił, że już nie przestanie. Nigdy. Odmienia na gorsze wszystko, czego dotknie. Jak mnie, jak jego. – Wskazała wielkoluda. – Myśmy dobrze żyli. Ja miałam swoją robotę i swoje miejsce na ziemi, a Mirek wyrwał mnie z niego, zdradził, zranił. Zmienił we własne odbicie, nawet zmora się we mnie zaległa z tej nienawiści i chęci zemsty. Żelazny Marcin rzucił zbójowanie, żył u dobrego pana, ale obaj spotkali Kutrzebę i wszystko trafił szlag. Ci, którzy ścigali Mirka, uznali ich za jego współników i postanowili dopaść. Przez lata kryli się po tym jak żebracy, bojąc się zostać w jednym miejscu dłużej niż na jedną noc. A takich jak my jest wielu. I ty też do nas należysz.

– Nas? – zapytał. – Jakich „nas”?

– On ma swoją grupę, musiałam zebrać własną. Mścicieli, skrzywdzonych. Ja, Marcin, siostra jednego takiego, którego życie zniszczył w Wiecznej Rewolucji, złodzieje, których zdradził... Zebrała się grupa. Ty...

– Ja?

– A nie miałeś dobrego, spokojnego życia, pókiś go nie spotkał? Co się z tobą stało? Gdzie twoje generałowanie, spokojne życie przy żonie i dzieciach? Myślisz, że jak cię znalazłam? Wyczuwam skrzywdzonych przez Mirka, zmora mnie do nich przyciąga. Dlatego wiem, żeś ty nasz.

„Jednak nic nie wiesz – pomyślał, patrząc jej w oczy. – Nic o mnie”.

Miał własną misję i własną obsesję. Ale ukrył tę tajemnicę głęboko.

– Czego ty ode mnie chcesz? Żebyś go wam wydał?

– Żebyś pomógł załatać dziurę, jaką on wyrywa w świecie – odparła.

– Ale prosto i po ludzku. Mam go zdradzić?

– Może? Na razie cię przygarnęłam z litości. Bo może Mirek już nie żyje? Teraz właśnie powinien wpadać w naszą pułapkę, tam, w Belgradzie, gdzieś go wysłał. Ale to zdolny drań, może ucieknie. Wtedy do ciebie przyjdzie po pomoc. Wówczas się nadasz.

– A co teraz? – zapytał. – Będę tak siedział w tym fotelu, aż i mnie mole zeżrą? Czy mam ci przysiąc, że jestem z tobą i mnie puścisz?

– Przysięgi nic nie znaczą dla takich jak my. – Machnęła ręką. – A ty masz pewnie pilne sprawy, co? Spieszno ci do nich?

– Czytasz w moich myślach, siostró w cierpieniu.

– Więc pewnie cię ucieszy, że ci w nich pomożemy. Gdzie ty, tam i my dwoje. Tylko pamiętaj, że teraz ja rządę. Swoje sprawy załatwiał po swojemu. Ale w sprawie Mirka tyle masz do powiedzenia, ile ci pozwolę. Czy może moja zmora. – Generał znów zobaczył ciemność wokół kobiety. – Zawsze cię wyczuje i dopadnie. Czy to jasne?

– Jasne. Od tej pory gdzie ty, tam ja – oświadczył szczerze, pewien, że za Bašką, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie, musiał stać Szósty. Jeśli miał rację, jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko niego jak teraz. – Macie tu gdzieś telefon? Muszę zadzwonić do starego znajomego.

Rozdział osiemnasty

*Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,
„Czarna Sara”*

Kucharz, jak się okazało Chińczyk, stał za plecami Drygła, zdając się śledzić każdy ruch łyżki. A jego pies, kudłaty ponad wszelkie wyobrażenie pekińczyk, dyszał chorążemu prosto w kark. Kucharz był stary, pomarszczony jak trudy życia oddziału prababć, ale wzrok miał czujny.

– Czy aby smakuje? – dopytywał się nienaganną polszczyzną, ilekroć Drygieł zapominał wydać okrzyk zachwytu po przełknięciu kolejnej łyżki znakomitej zupy. – Czy nie za mało doprawiona?

Cholerny pies gapił się równie uważnie jak kucharz, i to nie zwyczajem psów-żebraków, które patrzą tęsknie a wymownie, których spojrzenia mówią, że nie jadły od co najmniej stu lat, a na pewno nie od wczorajszego wieczoru. O nie, pekińczyk patrzył tak, jak jego pan: uważnie, czujnie i – zdawało się Adamowi – wyzywająco.

– Przepyszne – zapewniał raz za razem chłopak. – Nie powie mi pan, z czego to?

– Psssst! – Kucharz unosił wtedy znacząco palec do ust, uśmiechając się przy tym z ukontentowaniem.

Pekińczyk natomiast nie uśmiechnął się ani razu, przez co Drygieł zaczął się zastanawiać, czy zupy nie przyrządzono aby z jego brata. Jednak ilekroć tknięty tą myślą zamierał z łyżką

zawieszoną w połowie drogi do ust, kucharz znów zaczął dopytywać się o wrażenia smakowe.

– To dlatego, że u nas wszyscy już przywykli do jego kuchni – wyjaśnił chorążemu siedzący obok Długi Jan Kaprał, przybyły na posiłek z prawie całą resztą załogi. – Żeby nie wiem jakie cuda upichcił, dla nas to już zwyczajna rzecz. Ja, oczywiście, chwale go. Ale on się moimi pochwałami nie przejmuje – westchnął, ale niepomyślny klęsk zawołał zaraz, że zupa jest wspaniała, przepyszna, najlepsza ze wszystkich dotąd.

Ani kucharz, ani pies nawet na niego nie spojrzeli.

– Sam pan widzisz. – Długi Jan pokiwał głową. – Znikąd zrozumienia. A ja przecież jestem, poniekąd, jego kolegą po fachu. Mógłby docenić moje docenienia. Ale nie... Kiedyś... – głos mu się nagle zmienił na cichszy, warczący. – O, kiedyś... – urwał w pół słowa, uśmiechnął się do Adama z tak intensywną serdecznością, że nie mogło w niej być choćby źdźbła szczeroci, mrugnął do niego z tym wyrazem porozumienia, którego chorąży nadal nie potrafił zrozumieć, i wrócił do jedzenia.

– Ja go pochwałę, jak zrobi rosół z tej cholernej papugi – odezwał się Gryz.

– Cholerrrrny Grrryz! – zaskrzeczała na to w głos Euralia. – Cholerrrrny rrrrosół z cholerrrrnego Grrryza!

Kapitan na tę wymianę zdań nie powiedział nic. Zjadał zupę nie z talerza, ale z kotła, z którego wielką, błękitną chochlą uprzednio rozlano porcje załodze. Chłęptał, siorbał i za nic miał sobie etykietę, ale milczał. Łypał tylko czasem spode łba na gości, a szczególnie na Hoygrena. Ten zaś odplacał mu równie paskudnymi spojrzeniami i

nie mniej wymownym milczeniem.

Petyr nie odezwał się ani razu od czasu chwili dziwnej wylewności w kajucie. Gdy wyrzucił z siebie wówczas potok niepokojów, zamilkł. Zerkał czasem na przyjaciela, ale już niczego mu nie wyjaśniał. Widać było po nim, że jest wyjątkowo zachmurzony.

„Opowieść – dumał Adam, nie zapominając co kęs albo dwa zapewnić o stanach bliskich ekstazy, w jakie wprawiało go spożywanie zupy. – Co niby złego w tym, że staliśmy się częścią jakiejś pirackiej opowieści? Opowieścią jest wszystko, każde ludzkie życie. Nawet moje, chociaż nie znaczę tak naprawdę nic i nie różnię się za bardzo od setek, a może i tysięcy innych podoficerów. Kocham się w pannie Marice, prawda. Ale kto się w jakiej pannie nie kocha? No, Petyr może nie. Ale chyba nawet on kiedyś spotkał albo spotka taką dziewczynę, że mu zabraknie tej jego bezczelności. No więc moje życie było dotąd opowieścią, której nikomu tak naprawdę nie chciałoby się opowiadać. A teraz, proszę. Siedzę przy pirackiej załodze, pies z chińskiego piekła rodem dyszy mi w kark, kapitan, może sławny, a może nie, żre za pięciu, Długi Jan Kapral knuje, jak to przydupasy, a dziwny statek mknie przez przestrzeń ku niewiadomemu. Taką opowieść to rozumiem!”

I rozmarzył się Drygieł, że nabierze od podróżowania z piratami krzepy i romantyczności, że zgubi wrodzoną nieśmiałość do kobiet. Że gdy następnym razem stanie przed Mariką, będzie trzymał nóż w zębach, w uchu zaświeci mu błyszczący kolczyk, a na ramionach naprężą się mięśnie pod zuchwałymi tatuażami. „Hej, gąsko!” – zawoła, a Marika...

No nie, najpierw trzeba będzie wypluć ten nóż, bo inaczej

dziewczyna nic nie zrozumie z jego mamrotania. To znaczy, oczywiście, nie wypluje, cóż by to było za zachowanie! Dzikim gestem wyjmie go sobie spomiędzy zębów (trzeba więc zapamiętać, żeby trzymać narzędzie mordy ostrzem na zewnątrz, inaczej mógłby sobie chwacko odciąć język i znowu nic by nie wyszło z rozmowy) i zawoła: „Hej, gąsko!”, a Marika...

– Ale smakuje panu? – huknął mu nad głową kucharz, a zirytowany pekińczyk aż zaszczekał.

Drygieł zorientował się, że rozmarzony zapomniał nie tylko chwalić potrawę, ale nawet ją jeść.

– Najlepsze na świecie! – zapewnił za niego Długi Jan. – Apogeum kulinarnej doskonałości! Inwazja smakowej ekstazy! Gdybym mógł uczynić wszechświat rajem, zastąpiłbym próżnię tą zupą!

– Zgadzam się z przedmówcą – bąknął Adam, wciąż mając przed oczami Marikę, której nie pozwolono dokończyć z pewnością pełnego zachwyty okrzyku.

Kucharz uklonił się z wdzięcznością chorążemu, na Kaprała zaś tylko prychnął, po czym odszedł nareszcie.

– A gdzie Zmyta? – zapytał Drygieł.

– Ktoś musi sterować, do sąsiada! – uświadomił go Gryz, Długi Jan bowiem zbyt był skupiony na odprowadzaniu wzrokiem kucharza i mamrotaniu złowrogo pod nosem. – No to mamy babę za kółkiem.

– Kobiety – odezwał się na to nareszcie kapitan – potrafią w każdej dziedzinie dorównać mężczyznom, a nawet ich przewyższyć. W prawdziwym proletariacie nie ma miejsca na patriarchalne uprzedzenia. Słuchaj no, Drygieł, opowiedz, jak to z tą Tiamat było.

– Tiamat! O, to doskonały przykład, że kobiety potrafią człowiekowi dorównać, a nawet go przewyższyć. – Gryz wstał od stołu. – W dziedzinie robienia chaosu. Idę do steru, póki się jeszcze o co nie rozbiliśmy.

– Idź w cholerrrrę! – udzieliła mu zezwolenia papuga.

Wszyscy inni czekali, ciekawi wieści o Tiamat. Adam opisał im więc przebudzenie smoczycy. Zerkał co chwila na Hoygrena, upewniając się, czy przyjaciel nie zechce uzupełnić opowieści, ale ten uparcie milczał. Widać było jednak, że słuchał. Czasem bladł, czasem zagryzał wargi, by się nie odezwać, gdy Drygieł podkreślał jego zasługi.

– Herostratejczy – zamyślił się Burzymur, gdy chorąży skończył. – Durnie. A tyś widział Malowaną Moskwę, tak?

– Moja praca polegała na tym, żeby...

– Tak. Rozumiem. Była tam może panna Olga? Taka czarnulka, śliczna jak mal... No tak, złe słowo... Śliczna, urocza. Bardzo wesoła i bardzo pewna swego.

– Kapitan ma na myśli hrabiankę Rostownę? – zdumiał się Drygieł. Zerknął na Hoygrena i zobaczył, że ten zrobił się dla odmiany czerwony na twarzy. – Ja... Mignęła mi raz czy dwa. Ale to za wysoka figura, kapitanie. Ona tam wszystkim dowodzi. Nigdy z nią nie rozmawiałem.

– A ty? – zapytał Petyra Burzymur.

Hoygren tylko potrząsnął głową.

– Pan ją znał, kapitanie? – zainteresował się Adam.

– W bardzo dawnych czasach. – Olbrzym uśmiechnął się niespodziewanie. – A ten, co zabił napastników, widziałeś go?

- Bardzo niewyraźnie.
- Co się stało z obrazem?
- Przepadł. – Drygiel opuścił głowę, by ukryć rumieńce. Nie należał do dobrych kłamców, twarz zdradzała go, nawet gdy zdołał zapanować nad drzeniem głosu. – Tam panował taki chaos, takie zamieszanie...
- Szkoda. Dobrze, że ci wstyd, bo zaniedbałeś obowiązki. No, ale stało się. Trudno.
- To właściwie była już moja wachta – głos Hoygrena brzmiał, jakby mężczyzna mówił wbrew sobie. – Więc jeśli ktoś coś zaniedbał, to ja. Adam chciał ratować obraz, a ja go odciągnąłem ku szalupie.
- Burzymur, a razem z nim i papuga, długo a uważnie przyglądał się marynarzowi.
- No, no – mruknął w końcu kapitan, a papuga powtórzyła za nim: „No właśnie, no, no!”. – Widzę, panie milczku, że ci nie w smak nasze towarzystwo. Ale przyjaciela bronisz. Nie taki z ciebie ciul, jak myślałem.
- Kapitanie. – Adam postanowił wykorzystać okazję. – Czy to na pewno rozważne, lecieć na pobojowisko? Rozumiem, pana zdaniem mogą tam być teraz niezłe łupy do zebrania. Ale nie wiemy, co wyrabia Tiamat. Kto wie, Układ Jowisza może być już stracony! Pan nie widział tej bestii.
- Rozważne? – odparł Burzymur, odrywając wzrok od Hoygrena, który zaczął dłubać łyżką w talerzu z takim zaangażowaniem, jakby starał się przebić przez porcelanę do podziemnych złóż zupy.
- Ani trochę. Za to konieczne. Łupy... – Wzruszył ramionami.

Nie powiedział nic więcej. Wstał od stołu i odszedł, a za nim poczłapał Duppy.

– Są sprawy, o których powinniśmy porozmawiać – syknął do ucha Adamowi Długi Jan. – Oj, chłopcy, trzymajcie się wy Długiego Jana, a nie zginiecie. W innym przypadku...

Rozejrzał się lękliwie i uciekł.

Drygiel i Hoygren zostali sami.

– Nic mi nie powiesz, Petyr?

– Co mam ci mówić? Gadałeś ze wszystkimi przy tym stole. Rozmówców ci nie brakowało.

– Jesteś na mnie wkurzony?

– Na ciebie nie, bracie. Na świat. Na los. Na siebie. Głupiec ze mnie. A ty naprawdę nic nie kojarzysz? Ten Burzymur zna Rostownę, córkę hrabiego z opowieści o Kutrzebie, i dalej myślisz, że to takie nic? Że nas zwinęli przypadkiem?

– Myślisz, że mogą być zamieszani w atak?

– W coś na sto procent są zamieszani. A na pewno w opowieść, która ciągle żyje. Wiem. – Uniósł rękę na znak, by mu nie przerywać. – Dla ciebie to tylko głupie historyjki przygodowe, klasyka literatury klasy B.

– W sumie najwyżej D...

– Kpij sobie, kpij. Ale występują w niej i Burzymur, i Olga, i Sara. A skoro to taka beznadziejna pisanina, to czemu przetrwała dwa wieki?

– Bo marna literatura sprzedaje się najlepiej.

– Ale przepada z czasem, nie? Wielcy pisarze umierają z głodu, ale ich dzieła trwają na wieki. A ci, którzy zarabiają na pisaniu

pierdół, opływają w dostatki, ale za to nikt o nich nie pamięta, ledwie minie byle dziesięć, dwadzieścia lat. A tu masz: o Kutrzebie pisało kilkunastu autorów i choć nikt nie pamięta ich nazwisk, sama opowieść przetrwała. Musi coś w niej być.

– Niech będzie, że musi – przytaknął Drygieł, sam przed sobą przyznając, że zrobiło na nim wrażenie spotkanie z Burzymurem, choć wcale nie miał pewności, czy był to ten Burzymur z opowiastek, które najwyraźniej stały się obsesją jego przyjaciela. – Masz rację, to niezwykle, żeśmy go spotkali. Może część opowiadań o Kutrzebie jest prawdziwa. Co to zmienia?

– Zbyt wiele – westchnął Hoygren. – W każdym razie dla mnie. Wracajmy do kajuty, jestem zmęczony.

Ruszyli więc drewnianymi korytarzami „Czarnej Sary”. A gdy otwierali drzwi, nagle zmaterializował się obok nich Długi Jan.

– Ha, chłopcy! – zawołał, uśmiechając się jak to on, trochę przyjacielsko, trochę chytrze, a przede wszystkim tak naprawdę wyłącznie do siebie. – Dobrze, żeśmy się tak przyjaznym zbiegiem okoliczności spotkali. Mamy do pogadania, ja i wy. Dla waszego dobra. Bo chyba nie mylę się, sądząc, że coś więcej niż tylko przypadek jest w tym naszym spotkaniu?

– Ja z nim gadał nie będę! – rzucił krótko Hoygren.

Zatrzasnął za sobą drzwi kajuty, zostawiając Drygła samego z uśmiechającym się chytrze piratem.

– Chłopcze, kim właściwie jest ten twój nerwowy kompan? – zagaił Długi Jan.

– Hoygren?

– Właśnie on. Kim on jest?

- Po prostu podoficerem TG.
- Ty może jesteś po prostu podoficerem. Ale twój kompan... – Długi Jan zawiesił głos i zmrużył oczy. – O, to zupełnie inna sprawa. Jak tylko wytrzeszczył gały na kapitana, zrozumiałem, że coś tu jest nie tak. Powiedz no mi coś o twoim kumplu, a może i ja ci coś powiem?
- Nie wiem, co powiedzieć – Drygieł wzruszył ramionami. – On zawsze bardzo przejmował się różnymi opowieściami. Lubi czytać powieści, komiksy... Myśli, że kapitan to Burzymur ze starych opowieści o Kutrzebie.
- No, to oczywiste – machnął ręką Długi Jan. – Powiedz mi coś, czego nie wiem.
- Zaraz! Więc Petyr ma rację? To jest Burzymur? Ten Burzymur?
- Dla ciebie: kapitan Burzymur, gówniarzu. Ale tak. Ten. A nasz okręt nosi imię na cześć jego miłości, Sary. Zostawił ją na Ziemi, na mocy jakiegoś dziwnego układu, którego sam do końca nie rozumiem... Coś tak pobladł?
- Nie... Nic... – wybełkotał Drygieł. Kutrzeba zaczął ostatnio zbyt często pojawiać się w jego życiu.
- Nic? – przekrzywił głowę Długi Jan. – O, nie z Długim Janem takie numery, chłopcze! Coś sobie pomyślałeś! Może coś przypomniałeś, a może uświadomiłeś. Gadaj! Gadaj, pókim dobry!
- Źle się czuję – bąknął Drygieł i uciekł do kabiny.
- Streścił naburmuszonemu Hoygrenowi rozmowę z Kapralem.
- Faktycznie, dużo ostatnio gadamy o Kutrzebie – zgodził się Petyr, ożywiając się nieco. – Coś nas do tego ciągnie. I to spotkanie z Burzymurem... Takie przypadki bywają związane z pamięcią

wszechświata. Albo z pamięcią duszy.

– Petyr, proszę cię...

– Nie, słuchaj. Wszechświat to pewien porządek, nie? I niektórzy, jeśli są odpowiednio wrażliwi, mogą reagować na jego rezonanse. To się może objawiać przez serię przypadków – albo przez jakiś „głos duszy”, reagujący na pozafizyczne zjawiska. Wleźliśmy na pokład okrętu, którym dowodzi jeden z towarzyszy Kutrzeby. Nic dziwnego, że pełno tu ech z tamtych opowieści. Widocznie jesteś podatny na takie rzeczy, skoro je wyczuwasz.

– Jakoś nie wyczuwałem żadnych ech na pokładzie „Dorki”. Ani w żadnym innym miejscu.

– Może ich związek z opowieściami nie był dość mocny. Albo... – zawahał się.

– Albo co?

– Albo z tą opowieścią jesteś związany mocniej niż z innymi.

– To chyba ty! Czytasz w kółko te historie!

– Może jakiś twój przodek spotkał Burzymura albo Kutrzebę? Pochodzisz z terenów, na których operowali, nie? Co wiesz o historii swojej rodziny?

– Niewiele. – Niechętnie o tym myślał. – Tyle że składa się ze skurwieli, którzy podrzucają niemowlęta na progu sierocińca TG. Moja rodzina to flota. Tyle. Nawet nazwisko noszę po strózu, który mnie znalazł. O tym też zapomniałeś?

– Nie... Ale kiedyś grzebałeś, szukałeś śladów. Myślałem, że może dowiedziałeś się czegoś.

– Nic. Zero. Myślisz, że naprawdę mogę mieć coś wspólnego z opowieściami o Kutrzebie? Być jego potomkiem na przykład?

– Nie, przecież jego rodzina zginęła. Za nią się mścił. Nie obraż się, stary, ale z twoim podejściem do lasek najbardziej pasujesz mi na potomka tego prawiczka, głupiego Jaśka.

– Cieszę się, że odzyskałeś swoje poczucie humoru, Petyr. Znakomite, jak zawsze. Boki zrywać.

– No co? Niebieskooki blondynek z ciebie. Pasujesz do opisu. Do tego prawiczek...

– Pieprz się, Petyr.

Rozdział dziewiętnasty

*Rok 1977 starego kalendarza,
25 rok Pokoju, Belgrad*

Nawet najdoskonalsze plany mogą przepaść, gdy to przeciwnik przejmuje inicjatywę. A plany Kutrzeby rzadko bywały doskonałe.

Wierzył, że jego najważniejszą zdolnością jest prowokowanie zamieszania ponad wszelkie pojęcie, doprowadzenie do powstania takiego chaosu, że już nikt nie wiedział, z kim działa i przeciw komu ani o co w tym wszystkim chodzi. W takich warunkach Kutrzeba czuł się wyśmienicie.

Gdy inni stąpali ostrożnie, by nie zrazić do siebie sojuszników, on uderzał na ślepo, rozdawał ciosy na wszystkie strony, wiedząc, że nie tylko nie posiada żadnych prawdziwych sojuszników, ale też że w ostatecznym rozrachunku najważniejsza jest jego misja, dla której gotów był poświęcić wszystko.

Choćby i siebie, jeśli nie byłoby innej rady.

Przysiedli z Sabriye w małej kawiarence, otwieranej dopiero wieczorem i czynnej prawie do rana, jeśli znaleźli się klienci gotowi dotrzymać towarzystwa jej właścicielowi, osobiście stojącemu za barem. Mieszały się tu zapachy kaw sprowadzanych z całego świata, nawet z miejsc tak niebezpiecznych jak Ameryka Południowa, po której szalały demony z kultur praktycznie nieznanymi cywilizowanej ludzkości, ograniczane jedynie przez krwawe rytuały całkowicie poddanych im ludzi. Jakim sposobem

mogła tu trafiać kawa z Meksyku, w którym oszaleli wyznawcy spragnionych krwi bogów walczyli z bandami nie mniej szalonych rewolucjonistów, Kutrzeba nie wiedział.

Próbował wyobrazić sobie straceńców przemykających się przez gęstwiny lasów, w których nawet rośliny cuchnęły krwią, a każda istota, od mikrobów po wielkie, przemieniane wiarą koty, starała się zabić ludzi. Czuł pokusę, by spróbować takiej wyprawy. Choć żądza zemsty wcale nie osłabła, gdy nie było z nim Zmory; teraz tylko łatwiej było mu wyobrazić sobie siebie jako nieco innego człowieka. Na przykład wariata ukrywającego się przed pościgiem w cieniu starożytnych świątyń niemal całkowicie pożartych przez dżunglę. Zlany gorącym, gęstym potem nasłuchiwałby odgłosów pościgu: krótkich nawoływań bosonogich pokurczy o ciemnych, pomarszczonych ciałach, pokrytych niezliczonymi tatużami. Na plecach ciążyłyby mu kilogramy drogocennych skarbów.

Zamiast tego siedział w gorącym nawet o tej wieczorowej porze Belgradzie, popijał kawę, która, podobnie jak on, dotarła do tego miasta szlakiem naznaczonym śmiercią, i zastanawiał się, jak bardzo przegrał.

Sabriye jeszcze nigdy wcześniej nie starała się być tak urocza.

Uśmiechała się słodziej niż zwykle, dotykała dłoni Kutrzeby w sposób charakterystyczny dla zakochanych nastolatek – szybko, na poły nieśmiało, a na poły zuchwale; jej palce zmierzały ku palcom Mirka jak zwiadowcy, niepewni, co zastaną na terenie, ku któremu ich wysłano, gotowe, by cofnąć się na byle grymas twarzy mężczyzny albo jego najdrobniejszy ruch. Długo spoglądała Kutrzebie w oczy, by zaraz spłonąć się i uciec wzrokiem.

Nie podkreślała swojej pozycji, przewag, jakie miała nad Kutrzebą, i nie próbowała nim rządzić.

Zastanawiał się, co poszło nie tak.

Wysłał Zmorę w pościg za wampirzycą, tak jak ustalili z Wierą. Agenci Wiecznej Rewolucji powinni byli przyczaić się i dopaść demonkę, może nawet trochę ją zranić. A w zamian Kutrzeba miał otrzymać informacje o Szóstym, tym ciągle ukrywającym się w cieniu łajdaku – który obecnie, jak wskazywały na to informacje otrzymane od agentów księcia Marko – był rywalem Sabriye w czynieniu sobie Belgradu poddanym.

Szósty, uznał Kutrzeba, to musiał być on. Szukał kontaktów i reagował na wydarzenia. Może rzeczywiście wcześniej uwikłał się w awanturę z Lampą, a może tylko dołączył do gry, gdy zaangażował się w nią Mirek? Teraz polowali na siebie nawzajem i coraz trudniej było ocenić, kto akurat jest łowcą, a kto zwierzyną.

– Wydajesz się jakiś rozkojarzony – przywódczyni janczarów upiła łyk kawy wartej trzech gramów złota za każdą kroplę płynu. – Martwisz się czymś?

Zagrać z nią czy nie zagrać? Kutrzeba rozważał to tylko przez chwilę. Sądził, że siedzi w oku cyklonu i tak chyba było, ale czy znajdował się w środku kataklizmu, który sam rozpętał, czy też padł ofiarą innego żywiołu? Znał tylko jeden sposób, by przejąć inicjatywę.

– Zastanawiam się, jak bardzo mnie zdradziłaś i w jak głębokim gównie się znalazłem.

Roześmiała się, by ukryć zdenerwowanie.

– Zdradziłam? – zawołała.

– Nazwij to szóstym zmysłem.

Odstawiła filiżankę na stół. Spojrzała na nią tęsknie. Nie wypić całej kawy i Mirosław zdał sobie sprawę, że nie spodziewa się jej dokończyć. Oczekuje, że on zaatakuje, wywróci stolik, w każdym razie dokona czegoś, co doprowadzi do rozlania napoju droższego od srebra. Nawet na Sabriye tutejsze ceny robiły wrażenie.

– Nie zdradziłam cię – oznajmiła poważnym tonem. Przez chwilę znów patrzyła Kutrzebie prosto w oczy, potem uciekła spojrzeniem gdzieś za jego plecy. – Nie można zdradzić zdrajcy. Bierzcie go!

Powinien był skoczyć na nią, zasłonić dziewczyną siebie, przyłożyć jej nóż do gardła i z taką zakładniczką spróbować uciec. Ale przecież tego właśnie się spodziewała. Zerwała się, saltem wykonanym z tak niewysłowionym wdziękiem, że trudno było nie westchnąć z zachwytu, przeskoczyła nad oparciem swojej kanapy, kopnęła stolik w stronę Kutrzeby. I już znalazła się poza jego zasięgiem.

Nie ścigał jej.

Poderwał się, złapał w locie filiżankę wyrzuconą ze stołu. Nie zastanawiając się wiele (choć gdzieś w jego podświadomości coś, co u innych ludzi można by nazwać resztkami rozsądku, krzychało, że marnuje cenny czas, że nie ma co się popisywać oraz że brawura bywa zgubna), przytknął naczynie do ust, wypił kawę do ostatniej kropli. Mrugnął do Sabriye i posłał jej łobuzerski uśmiech.

Wydawało mu się, że w odpowiedzi i ona zaczęła się odruchowo uśmiechać, tym razem chyba szczerze, ale zabrakło mu czasu, by napawać się tym małym triumfem.

Już go dopadli.

Okręcił się w miejscu, lewą ręką złapał janczara chwytającego go właśnie za ramię, i lekko pomagając pędowi tamtego, wyrzucił go ponad przewróconym stolikiem. Nie tracąc nic z własnego impetu, Kutrzeba odwracał się dalej, nadając prawej, uzbrojonej w filiżankę dłoni coraz większą szybkość, by wyrządzić jak najwięcej szkód, roztrzaskując nieszczęsną porcelanę na twarzy następnego napastnika.

Celował w oczy. Trafił.

Tym samym na sekundę lub dwie załatwił dwóch pierwszych. Pozostali jeszcze czekali z atakiem, by nie przeszkadzać tamtym. Miał więc chwilę, podczas której mógł wykazać się inicjatywą, a może nawet przejąć ją całkowicie.

Powinni byli go zastrzelić. Tylko tym razem strzelać naprawdę celnie, tak jak potrafili, nie jak wtedy, w twierdzy, gdy rozpętali dziką kanonadę, celując we wszystko, tylko nie w nurkującego w Dunaju Kutrzebę. Tamta akcja miała na celu przyciągnięcie uwagi Marko i jego matki, przekonanie ich, że naprawdę jest wrogiem Sabriye. Dziś, kiedy rzeczywiście się nim stał, janczarzy mogliby wpakować mu w głowę nawet kilkanaście kul. Gdyby chcieli go zabić.

Kutrzeba stawiał na to, że nie chcieli.

Jego wrogowie powinni już dawno nauczyć się, że nie wolno go oszczędzać. Ale Sabriye była nowym przeciwnikiem, jeszcze sądziła, że może go wykorzystać. Może przesłuchać, może sprzedać komuś, kto dobrze zapłaci? Wciąż nie wiedział, dlaczego postanowiła go zdradzić. Przejrzała jego plany? To raczej niemożliwe. Nie miał jakiegoś konkretnego planu. Grał jak zwykle,

na chaos.

Nie strzelali. Pozwolili mu przeskoczyć nad fotelem i nawet wyciągnąć pistolet. Rozbiegli się na boki w poszukiwaniu osłon, gdy otworzył do nich ogień, gnając przez wnętrze niewielkiej kawiarenki.

Wystarczyły trzy susy, by dopaść schodów prowadzących na ulicę. Do ich pokonania wystarczyły dwa. Ostrzeliwując się wściekle, Kutrzeba pokonał te odległości w ciągu dwóch sekund. Wypadł na ulicę i nie zastanawiając się, skręcił w lewo, ku okolicom mniej ludnym, za to splątanych dziesiątkami niewielkich uliczek, gdzie łatwo było zgubić pościg.

A w każdym razie spróbował skręcić. Niestety, zrzucona z góry, obciążona odważnikami sieć skutecznie mu to uniemożliwiła.

Zdołał zastrzelić trzech, nim wytrącili mu pałkami broń z ręki, a potem tłukli go tak długo, aż przestał się wyrywać, rozdawać coraz słabsze ciosy, a nawet kląć, i stracił przytomność.

Gdy się ocknął, znów siedział naprzeciwko Sabriye, a ona znów piła kawę. Nawet siedzieli w tej samej kawiarence, a jej właściciel czytał za barem gazetę, jakby nic się nie stało. Tylko Kutrzebie było znacznie mniej wygodnie.

Dłonie przybili mu srebrnymi gwoździami do oparcia krzesła. Podobnie potraktowali stopy, przybijając je do drewnianej podłogi. Na szyi czuł kolczatą obrozę, zaciśniętą tak, by przy najmniejszym poruszeniu ostrza wbijały się w skórę. Nawet gdy przełknął ślinę, poczuł, jak napały na niego.

Wystarczyło zerknąć na prawo i lewo, by zorientować się, że ten chłód, który czuł na skroniach, to nie jakaś psychiczna reakcja na pobicie, ale lufy pistoletów, które stojący po bokach janczarzy przyciskali mu do głowy.

– Jeszcze nic się nie stało – odezwał się, nim zdążyła to zrobić ona. – Jeszcze możemy się dogadać. Mimo wszystko cię lubię.

Parsknęła śmiechem, wesołym, jak dziewczynka, która usłyszała niezły dowcip. Potrząsnęła głową.

– Legendarny Kutrzeba zawsze w formie? – zawołała radośnie. – Och, Mirku. Daj spokój. Drżą przed tobą mocarze w całej Europie. Opowiadają, że jesteś niepokonany, że gołymi rękami potrafisz strącać sterowce z nieba. Że nie ma takiej pułapki, z której byś się nie wydostał, nie wykorzystując jej przy okazji na własny użytek. Że nikt nigdy nie pokonał cię do końca.

– Odrobiłaś lekcję. A zatem, z łaski swojej...

– Jesteś już stary – przerwała mu. – Za stary. Nie dość szybki, nie dość silny. Ale przede wszystkim nie dość... elastyczny, by zrozumieć nowe czasy. Tobie wciąż się wydaje, że żyjesz w epoce Kresu, gdy samotne wilki prowadziły swoje szalone rajdy, wzniesając chaos i przechodząc do legendy. Gdy podróż nawet nie z miasta do miasta, ale z dzielnicy do dzielnicy stanowiła wyprawę.

– Jeśli myślisz, że jest inaczej, spróbuj się przejechać samotnie na przykład do Sarajewa.

– Och, świat ciągle jest niebezpieczny. – Machnęła ręką. – Ale przestał już być wielkim archipelagiem odizolowanych twierdz. Tobie się ciągle zdaje, że świat to takie Dzikie Pola. Ale wiesz, nastaje epoka fidezyny, wszystko staje się prostsze. I ludzie znów

łatwiej komunikują się między sobą, tworzą wielkie, globalne instytucje. Samotne wilki zdychają w sidłach.

– Powiesz mi, o co chodzi, czy nie?

– Nie. Co to ja jestem, czarny charakter z groszowych powieści o tobie? Ty zdecydowanie zachowujesz się, jakbyś z nich pochodził. Ale ja jestem prawdziwym człowiekiem. Siedzę tu i gadam z tobą dla zabicia czasu. – Zerknęła na zegarek. – Obchodzisz mnie tyle co nic. Obiecałam, że cię nie zabiję, i tyle. Nie jesteś już ani interesujący, ani groźny. Zmora cię nie uzdrowi, bo Zmory już nie ma. Zaraz przyjdzie ten, któremu cię sprzedalam, i to będzie koniec naszych wspólnych przygód. Ani ja nie mam ci nic do powiedzenia, ani ty mnie. Wszystkiego dowiesz się sam. Zapewne tak boleśnie, jak to tylko możliwe.

– Szósty? – zapytał. – Sprzedałaś mnie Szóstemu?

– Szósty nie istnieje. – Wydeła wargi. – Wymyśliłeś go sobie, żeby mieć po co żyć, albo ktoś go wymyślił dla ciebie, by tobą manipulować.

– Kłamiesz!

– Myśl sobie, co chcesz. Ale albo Szósty nie istnieje, albo ty jesteś wyjątkową fajtlapą, że nie udało ci się go dopaść do tej pory.

Żadne z nich nie powiedziało już nic więcej.

Szósty nie istnieje... Dobrze sobie!

Kutrzeba popatrzył prosto w oczy widocznemu tylko dla niego upiorowi żony. Wydawało mu się, że usta drgnęły jej jakby w uśmiechu. Też była rozbawiona? A może tylko krzywiła się z głodu, który nie miał ustać, póki ostatni z odpowiedzialnych za jej śmierć nie zginie.

Usłyszał jakiś ruch za plecami.

– Przyjechali – oznajmił któryś z janczarów.

Pewnych rzeczy nie powinno się mówić. Niezależnie od okoliczności. Czasem lepiej zatrzymać niektóre słowa dla siebie, choćby umysł i dusza krzyczały wspólnie, że tak, że to właśnie najwłaściwszy moment, by wreszcie nacieszyć się swoim sukcesem. Że po latach czekania, tysiącach wyrzeczeń i poświęceń można ofiarować sobie trochę radości, dać się ponieść satysfakcji.

Na przykład gdy jeden z wrogów, płonący od trzynastu srebrnych pocisków rozpływających się w demonim ciele, leży niemal bez życia. Jęczy, wstrząsają nim drgawki. Prawie kona. Nie ma sił nawet na to, by unieść głowę. Gdy wiadomo, że jego najbliższy sojusznik też został pokonany i spętany. Że już właściwie po walce, wojna ciągnąca się od lat dobiegła końca.

Nawet wtedy nie należy mówić pewnych rzeczy.

Bo w świecie magii i wiary, w którym opowieści są równie ważne jak fizyka, nikt nigdy nie wie, czy słowa, które wypowiada, niosą błogosławieństwo, czy przekleństwo. Czy będą cudem, czy zgubą.

– ...zresztą... – Wiera Pawłowna Rozalska, kiedyś jeden ze smutnych urzędniczych cieni Wiecznej Rewolucji, zawsze w burym chałacie i ciemnej chuście ukrywającej włosy, z których dawno wyssano wszystkie barwy; o oczach bladych, sino podkrążonych, ożywających jedynie podczas seansów nienawiści, którą karmiła swoich panów; obecnie piękna jak sny nastolatków, zawsze ubrana tak, by przyciągać męskie spojrzenia, wyprężyła się ponad

trzęsącym się od srebrnej gorączki ciałem Zmory. Wyjęła z kieszeni srebrną papierośnicę, zapaliła długiego białego papierosa i zaciągnęła się nim z rozkoszą. – ...jemu też już wiele życia nie zostało. Myśleliście, że gracie, a to wami grano. Jego chwytają w tej właśnie chwili. Mają go skatować, wiesz? Przebić mu stopy i dłonie srebrnymi gwoździami, założyć obrozę. Powiedziałam Sabriye, że może się nim zabawić, jak zechce. Uciąć mu to i owo, powyrywać paznokcie... Byleby żył, gdy przyjadę. Potem zresztą nie pożyje długo. Musimy go tylko dostarczyć... A zresztą, co ci będę tłumaczyć, demonie. Zdechnie tak czy owak, tylko w swoim czasie.

– Wiero Pawłowna! – ostrzegł ją jeden z pięciu stojących na dachu agentów Rewolucji. – Ona...

– Daj spokój, Timur! – zbagatelizowała. – Jest tak zatruta, że nawet myśleć już chyba nie potrafi. Nie wiem, czy choćby mnie słyszy i rozumie.

Słyszała. Rozumiała.

Potem wszystko stało się szybko. Bo kiedy masz po co działać, działasz. Nie myślisz. Nie tracisz czasu na wątpliwości ani na rozglądanie się na boki, by sprawdzić, czy wróg nie zachodzi cię od tyłu. Co tam wrogowie! Jesteś ty. Tylko ty i to, co musi zostać zrobione.

Nawet nie marnujesz energii na napawanie się cierpieniem tej suki, Wiery, gdy chwytasz ją za stopę obutą w czerwone trzewiczki, którą wykręcasz, prawie urywając, a potem ciskasz wrzeszczącą dziwką daleko, za krawędź dachu. Wiesz, ile sekund jej zostało,

nim uderzy o kamienie podwórka, roztrzaskując sobie kości? Najpewniej nie zginie. Agenci Wiecznej Rewolucji nie giną tak łatwo.

Trzeba im na przykład urywać głowy, jak temu, który trzymał cię na smyczy i sądził, że wystarczy mocniej pociągnąć, by srebrna obroża zacisnęła się ciaśniej, przydusiła. Och, jak zabolalo! Powinno cię to zwalić z nóg, ale przecież nie zwała. Przyciągasz zdumionego agenta do siebie i jednym szybkim ciosem odrywasz mu głowę. Kątem oka widzisz, jak nie do końca martwy łeb, wytrzeszczając oczy, stacza się po dachówkach, barwiąc je czerwonym szlakiem.

Suka jeszcze spada.

Wrzeszczy zdumiona, ciągle nie wierząc w to, co się dzieje. Istnieją przecież prawdy na niebie i ziemi, istnieją zasady. Demon naszpikowany srebrem nie wstaje, by zabijać.

Jest wiele zasad pod słońcem opowieści, Mirku. A ludzie bywają na nie tak bardzo ślepi.

Zostaje ci czterech, do których zaczyna docierać, co się dzieje. Najniebezpieczniejszy jest ten Timur. Inteligentny, o otwartym umyśle. Urodzony przywódca. On pierwszy sięga po broń. Ostrzegają sukę, by się tak nie pyszniła.

Trzeba wyeliminować go jako pierwszego.

Jesteś dla niego czarną smugą pośród nocy. W innych okolicznościach może nawet byś go podziwiał za tę szybkość reakcji, ale gdy srebro płonie w twoich żyłach, gdy niemal rozsadza ci serce, gdy każdy ruch to cierpienie, nie ma w tobie miejsca na podziw. Nie ma go nawet na emocje. Wiesz, że nie zostało ci ani dużo czasu, ani

sił. Nie możesz ich marnować.

Wbijasz szpony lewej dłoni w jego serce, a szpony prawej w gardło. Rozrywasz go na strzępy, z całą jego inteligencją, szybkością reakcji i tym zdziwieniem malującym się w oczach, że nie powstrzymały cię kolejne srebrne kule, które mimo wszystko zdołał wystrzelić.

Ach, kule. Przypominasz sobie trzy szarpnięcia, gdy biegleś. Rzeczywiście. Znow cię trafili. Jeszcze więcej srebra.

Nic to.

Pozostali też już strzelają, ale gdzie im tam do Timura. Tańczysz między torami ich pocisków. Dopadasz jednego po drugim. Odgryzasz im głowy, wyrywasz serca, uderzeniem miażdżysz klatki piersiowe.

Suka wciąż spada, gdy kończysz z ostatnim.

Bardzo krótko jesteś tylko ty i ochłapy mięsa na dachu. Zewsząd zlatują się miejskie cienie, ścierwojady, którym ludzkie zabezpieczenia odebrały prawo do łowów na żywych, którym ukradziono leśne kryjówki, zabudowując je twierdzami i bunkrami pokrytymi magicznymi znakami, mającymi strzec ludzi przed demonami.

Dziś czeka je uczta.

Jedne rzucają się na ciała, inne dopadają bladych, ledwie jaśniejących dusz, wypełzających powoli ze zwłok.

Nie interesuje cię to wszystko. Biegniesz do krawędzi dachu, odbijasz się odeń, skaczesz. W innym świecie ten skok skończyłby się inaczej, ale tobą rządzi siła odmienna niż grawitacja; potężniejsza od niej, jak Słońce potężniejsze jest od Księżyca, w

którego białych pasmach tańczą teraz nad tobą duchy wiedźm.

Dlatego dotykasz ziemi w tym samym momencie, w którym roztrzaskuje się o nią suka.

Lądowanie boli cię chyba bardziej niż ją.

Już nie jest piękna, już nie pobudza męskich zmysłów. Skomle. Próbuje się czołgać, uciec. Chce żyć.

Podchodzisz do niej, nachylasz się i unosisz jej twarz ku własnej. Teraz marnujesz ułamek sekundy, choć nie powinienes, spijając jej przerażenie.

„Możesz to przeżyć – oznajmiasz. – Tym razem, bo kiedyś i tak cię dopadniemy. Ale jeśli powiesz mi, gdzie jest Mirek, gdzie umówiłaś się z tą drugą suką, możesz przeżyć jeszcze kilka minut, może kilka dni. Każda sekunda to teraz wieczność, prawda?”

Dostrzegasz w jej oczach coś, co rozumiesz aż za bardzo. Ona rozpaczliwie chce żyć, ale nie dla samego pragnienia życia, jak większość ludzi. Ona pragnie żyć z tego samego powodu, dla którego czepiasz się życia i ty. Koniec końców każdy na tym świecie znajduje sobie kogoś, na kim chce się zemścić.

Ona...

Jest gotowa zapłacić każdą cenę, nawet cenę porażki.

Przyjmujesz jej spowiedź. Zostawiasz ją przy życiu nie dlatego, że złożyłaś taką obietnicę, że wiąże cię siła umowy, ale dlatego, że zabijając ją, zmarnujesz ułamek sekundy, którego ci marnować nie wolno.

Niech zdycha. Albo przeżyje. To nie ma żadnego znaczenia. Nie teraz.

Na ulicy czeka samochód. Ciężka, czarna limuzyna. Wypada z

niej mężczyzna, a ty go zabijasz. Mimochodem. Wpadasz do wozu, nim kierowca zdąży wyszarpnąć broń z kabury pod pachą. Wbijasz mu szpon w głowę.

„Jeśli pchnę mocniej, jeśli przesunę go w głąb o pół centymetra, umrzesz – oznajmiasz. – Zabierz mnie tam, dokąd miałeś zabrać ją”.

Każdy chce żyć. Nawet ja. Nawet agenci Rewolucji, nieszczęsne istoty o wyjałowionych duszach. Każdy kurczowo trzyma się życia, zaciska dłonie na jego strzępach, jak ja zaciskam je teraz na twoim ramieniu. Boli?

Przepraszam.

Podróż samochodem jest jak mgnienie. Nie pamiętasz jej. Ot, wsiadło się i dojechało, a teraz zabija się kierowcę.

„Przyjechali” – oznajmia jeden z janczarów.

Wypadasz z limuzyny, kopniakiem wysadzając drzwi od środka. Uderzają w jednego z przebudzeńców z taką siłą, że rozsmarowują go na ścianie budynku. Drugi obraca się zaskoczony i ginie, jak ginęli agenci Rewolucji na dachu. Znów jesteś rozmazaną plamą, czarnym płomieniem przebiegającym od janczara do janczara i rozrywającym ich na strzępy.

Wszystko cię boli. Za dużo srebra. Wiesz, że zostały ci sekundy. Żadna magia, nawet największa, nie może bez końca utrzymywać na chodzie kogoś, kogo właściwie już zabito.

Szkoda. Bo chciałbyś poświęcić więcej uwagi tej drugiej suce. Tej, która spięła czarne włosy w kok, podskakujący teraz, gdy próbuje uciec. O, ta podpadła ci bardziej. Masz za co jej nienawidzić.

Ale zostały ci tylko sekundy, więc zwyczajnie ją zabijasz, nie

przeciągając bólu. Dziwka. Wycięła nam ostatni numer.

Potem dopadasz do Mirka, uwalniasz. Chciałbyś uleczyć, ale nie starcza na to sił.

Są słowa, które muszą paść, które trzeba wypowiedzieć bez względu na okoliczności. Nawet gdy ciało lepi się od krwi pomordowanych, nawet gdy trzeba uciekać, bo przecież mogą przybyć posiłki; bo nie wiesz, czy gdzieś nie czają się zabójcy Marko albo Czarnej Ręki; bo ból rozsadza cię od środka, srebro rozlało się już po całym ciele, twoje serce to teraz prawie wyłącznie pył, popiół – wystarczy powiew oddechu, by się rozwiało. Nawet wtedy.

Nawet wtedy trzeba je wypowiedzieć.

Tak brzmiała opowieść Zmory, której Kutrzeba nie usłyszał, bo zabrakło na to czasu, lecz którą wyczuł, którą poznał, gdy Zmora wniknęła swoim umysłem w jego. Nie w duszę, na to nie starczyło sił. Nie usłyszał słów, ale poznał je, wraz z obrazami i uczuciami.

Kłęczeli, poranieni, pośrodku małej kafejki pełnej krwi i ciał. Wstrząśnięty właściciel sięgał po telefon, by wezwać policję, ale zamarł na widok mężczyzn, którzy stanęli nagle w progu. Żaden z nich się nie odezwał, ale właściciel odłożył słuchawkę. Przykucnął, skulił się za barem i zaczął się modlić. Szeptem, najciszej jak potrafił, by nie zagłuszyć rozmowy tamtych dwojga.

„Są słowa, które muszą paść” – dudniło Kutrzebie w głowie myślami Zmory.

Jej głowa opadła mu na kolana. Dłonią zakończoną potężnymi szponami, na których krew zaczynała już stygnąć, spróbowała

dotknąć jego policzka, ale nie dała już rady. Złapał ją więc, uniósł sam i jego krew, wciąż spływająca z przebitej dłoni, wymieszała się z chłodnym popiołem wysypującym się z jej ran. Iskrzyły przy spotkaniu, wzbudzały ciemnoczerwone płomienie żyjące ledwie przez mgnienie, nie dłuższe niż coraz bardziej urywany oddech Zmory.

– Mirku, ja... – zakaszłała i coś przypominającego ciężki, czarny dym, naznaczony żyłkami srebra, wypłynęło z jej ust.

– Nic nie mów. Wiem.

– Nie. To trzeba powiedzieć. Mirku, ja...

Nadstawił ucha, ale nie usłyszał już nic poza ciężkim, głębokim westchnieniem, gdy umarła.

Część druga

MOJRY

Rozdział dwudziesty

Rok 1977 starego kalendarza,

25 rok Pokoju, Kraków

Pojechali do siedziby Nowakowskiego we dwoje. Baśka zgodziła się nie zabierać ze sobą Żelaznego Marcina, by nie przyciągać uwagi. Ale nie zamierzała puścić Koryckiego samego.

Dysponowała samochodem. Uparła się prowadzić zbudowanego w zakładach Nowakowskiego kraka, co generałowi było na rękę. Nigdy nie nauczył się kierować samochodami. Jeszcze kilka lat temu stanowiły rzadkość na ulicach Krakowa, ale Marsjanin uruchomił w Podgórzu ich fabrykę, na początek wypuszczając kilkadziesiąt ręcznie składanych limuzyn. Gdy te przyjęły się wśród najzamożniejszych mieszkańców, uruchomił linię montażową modeli tanich, dostępnych dla każdego, kogo stać było na płacenie w ratach. Krak mini był małym, zwinnym samochodzikiem, zdolnym zmieścić się niemal wszędzie, a przy tym radził sobie zupełnie nieźle nawet na wertepach, w które podczas Kresu zmieniły się drogi między dzielnicami Krakowa. Część z nich odremontowano wprawdzie, ale nie wszystkie. Konie, których przez lata używano jako transportu, dawały sobie wszak radę bez asfaltu albo równo ułożonych betonowych płyt, umożliwiających szybkie przemieszczanie się samochodom.

Korycki rozsiadł się na tylnym siedzeniu, skąd odpowiadał na niekończące się pytania kobiety. Po co tam jadą? Czy to nie nazbyt

ryzykowne? Czy nie lepiej zająć się poważniejszymi sprawami? Czy Korycki, do ciężkiej cholery, nie zrozumiał, o czym do niego mówiła?

Prawdę mówiąc, trochę zrozumiał, a trochę nie. W głowie już mu huczało od tych wszystkich kosmologii. Najpierw Parowski, potem ten cały Snerg, jakieś teorie jakiegoś Zajdla... Teraz znowu Baśka, z jej opowieściami o dziurach wyrwanych w kosmosie z powodu śmierci i niesprawiedliwości, którą trzeba było pomścić.

Przypomniawszy sobie, że Kutrzeba (miał nadzieję, że ten sukinsyn jednak żyje; on i jego Zmora sprawiali wrażenie nieśmiertelnych, zdolnych wyrwać się z najtęższej kabały) też mu kiedyś o tym opowiadał. Dawno temu, gdy ledwie zaczęli się poznawać i dochodzić do wniosku, że jednak mogą być sobie nawzajem potrzebni.

A jaki był wtedy wściekły na Mirosława!

Siedzieli w ulubionej knajpce Koryckiego przy ulicy Kociej. Kutrzeba popijał piwo, uśmiechał się jednym z tych swoich wrednych wykrzywień gęby, pokazujących, że za nic ma sobie świat, a generała trafiał szlag.

– Nie po to cię ściągnąłem, ty chodząca katastrofo, żebyś znowu wywołał mi tu trzęsienie ziemi! – ryczał.

Przynajmniej tym razem obyło się bez wojny kibiców i ofiar śmiertelnych.

– Jakbyś chciał załatwić sprawę inaczej, to byś wezwał kogo innego. – Kutrzeba wzruszył ramionami, zupełnie nie przejmując się tym, że ledwie kilka godzin wcześniej ot, tak wszedł do Pałacu Wielopolskich, wspinał się po schodach kamiennego holu, wkroczył

na Salę Obrad, na której radni miejscy debatowali właśnie o potrzebie zmian nazw kilku ulic na lepsze, po czym ku osłupieniu wybieranych w publicznych wyborach szacownych sług społeczeństwa chwycił jednego z nich za kołnierz i wywlókł go na zewnątrz. Strażnikom machnął przed nosem swoją wielgachną giwerą, a nim przybyła policja, odjechał dorożką powożoną przez kogoś, kto wedle zeznań świadków wyglądał na wielkiego, ślepego diabła.

– Ostatnia moja przysługa dla ciebie! – ryczał diabeł, pomimo oczu zasłoniętych bandażem z niebywałą precyzją lawirując między gapiami i innymi dorożkami, a nawet tramwajami.

– Ale bawimy się nieźle? – zawołał Kutrzeba, ku zgromie świadków.

Niektórzy z nich usłyszeli jeszcze, jak radny zapewniał, że nie, zdecydowanie dobrze się nie bawi, po czym zawiął dziwny wiatr, wzniesając niebywałe tabuny kurzu, który na moment przesłonił wszystko. A gdy opadł, dorożki już nie było.

– Podobno bawiliście się nieźle, sukinsyny? – warknął Korycki.

– Nawet Szuler. Chociaż nie chciał przyznać.

– Kurwa, Mirek, kiedy mówiłem, że potrzebuję, by jeden radny zniknął na jakiś czas, miałem na myśli dyskretną operację!

– Jest dyskretna, bo nikt nie wie, gdzie on jest.

– Nie o taki... – Machnął ręką. – A gdzie jest?

– Śmieszna sprawa. – Kutrzeba zaniósł się śmiechem tak nieszczerym, że Korycki poczuł, jak zimny pot zaczyna ściekać mu po plecach. – Wykorzystałem sztukę takiego jednego morskiego demona, który ukrywa się pod Krakowem przed paroma piratami...

Co tu będę dużo gadał. Krótko mówiąc, ten demon zna czar pozwalający zamykać całe okręty w zwyczajnych butelkach po winie, rumie czy wódce.

– Zamknąłeś radnego w butelce?

– No!

– To nawet trochę zabawne jest. Ale coś czuję, popaprańcu, że to spieprzyłeś.

– Ten demon dorabia, pędząc na boku bimber. No i akurat wczoraj miał włam. Jakies pijaczki okradły go z paru litrów. Takie, wiesz, pijackie Eldorado znalazły.

– Niech, kurwa, zgadnę. Ukradli radnego?

– Brali flaszki, jak leci...

Korycki uśmiechnął się na wspomnienie tamtej afery. Jedno musiał temu cholernemu Kutrzebie przyznać, nie można się było przy nim nudzić.

– Co się tak szczerzysz? – zagaiła po swojemu, miło i subtelnie, Baśka.

Nie odpowiedział. Przekonał się, że babsztyl pozbawiony jest poczucia humoru.

Kto by pomyślał, że z tej cichej, zagubionej szarej myszki, zwyczajnego popychadła, wyrośnie taka herod-baba? Może rzeczywiście było coś na rzeczy, gdy mówiła o Kutrzebie odmieniającym ludzi, z którymi się zetknął?

– No, co się szczerzysz? Jeśli coś knujesz...

– Wspominam, jak ostatni raz tu zaglądałem. Było zabawnie.

Nie było. Przyjechał oficjalnie, by spróbować zakończyć wojnę, jaka wybuchła między Nowakowskim a Transportem Galicyjskim,

gdy Marsjanin wrócił ze swojej wyprawy na Dzikie Pola. Ludzkościowcy nie zamierzali mu wybaczać kradzieży sterowca. Wykonali kilka akcji dywersyjnych w zakładach Nowakowskiego. Na nie zareagowała dość ostro służba bezpieczeństwa, strzegąca wszelkich biznesów Marsjanina, i nieporozumienia narastały, póki nie wrócił szef dysponujący znaczną niezależnością.

Od ich coraz ostrzejszych akcji i kontrakcji omal nie zapłonął wówczas cały Kraków. Wylatywały w powietrze manufaktury, przepadały ciężarówki z towarami, znikali gdzieś majstrowie, inżynierowie i kierownicy. Korycki musiał dwoić się i troić, by gasić konflikty i powstrzymywać kolejne napady i zamachy. Czasem mu się udawało, ale czasem nie.

– Po co tu jedziemy? – zapytała ponownie.

– Ty masz swoją misję, ja swoją. Zostaniesz w samochodzie.

Zahamowała.

– Nic nie rozumiesz, co? – Odwróciła się ku niemu. – Nie ma już „twoje”, „moje”. Teraz moje jest wszystko, co twoje. Nie puszczę cię. Możesz pracować nad swoimi sprawami, ale nie tak, że je przede mną ukrywasz! Jeden mamy cel, zniszczyć Kutrzebę i wszelkie ślady po nim! On jest...

– Chodzącą katastrofą, wiem. Uwierz mi, wiem to lepiej niż ktokolwiek. I tak, pamiętam, że twoi ludzie w każdej chwili mogą zabić moją rodzinę, jeśli uznasz, że nie dość się angażuję. Przejmuję się tym, przysięgam. Ale jak zacznę olewać swoją robotę, przestanę być potrzebny moim szefom, a do tego przyciągnę ich uwagę, prawda? A tego byśmy nie chcieli. Tak? Więc muszę odwiedzić Nowakowskiego, bo mam tropy, które wymagają sprawdzenia.

– Nie beze mnie!

– Oczywiście, że bez ciebie. Chyba że umiesz zostawić tę swoją zmoreę w samochodzie, to proszę bardzo. Ale jeśli nie, to nie przekroczysz progu fortu, bo jego systemy bezpieczeństwa rozniosą cię na strzępy. Umiesz zostawić tu swoją zmoreę?

– Nie – warknęła ponuro. – Nie umiem.

„A Kutrzeba by umiał!” – pomyślał, ale nie powiedział nic. Odczekał, aż Baśka przemyśli sobie sytuację i z powrotem uruchomi samochód.

Przez resztę drogi nie odezwała się już ani słowem.

Czuł na sobie jej ciężkie spojrzenie, gdy stawał pod bramą Fortu Benedykta, ulubionej siedziby krakowskiego Marsjanina, jednej z najpotężniejszych osób w Królestwie Polskim. Odkąd udało mu się zawrzeć rozejm z Kolejami Galicyjskimi, jeszcze bardziej wzrósł w potęgę. Nie w smak to było lokalnym ludzkościowcom, ale zarząd Kolei coraz mniej przejmował się ideologiami, jeśli wchodziły w paradę interesom.

Ludzkościowcy dysponowali wprawdzie niebagatelnymi atutami w postaci polityków i przemysłowców, jednak kierując się określoną ideologią, sami siebie skazywali na ograniczenia. Gdyby byli mniej konserwatywni, może udałoby się im wywołać jakiś rodzaj rewolucji. Ale oni woleli posługiwać się mniej radykalnymi metodami. Być może dlatego, że jak większość ludzi czuli zmęczenie trwającą całe dekady wojną.

Korycki po trosze z nimi sympatyzował. Rozumiał ich obawy. Choć ci Marsjanie, którzy przetrwali Kres, dokładali wszelki starań, by pokonać ostatnie dzikie demony i pomóc ludzkości się

odbudować, nie działali przecież bezinteresownie. Jakoś tak się składało, że czerpali wielkie zyski z odkryć naukowych i technologicznych przełomów. Ich firmy należały do najbogatszych i najpotężniejszych na świecie. Koniec końców, powoli podbijali Ziemię, choć inaczej, niż zamierzali.

Dlatego Korycki zainteresował się nowinami przyniesionymi przez kuriera-fantastę z Warszawy. A jeśli ludzkościowcy mieli rację? Jeśli Marsjanom nie wywietrzały z głowy stare pomysły?

A jeśli, jak utrzymywał ten cały Zajdel, inwazja skończyła się prawie tak, jak miała się zakończyć? Jeśli Ziemianie zostali podbici tak przemyślnie, że nawet nie zdali sobie z tego sprawy? Ba – czerpali dumę ze swoich sukcesów i osiągnięć!

Generał nie spodziewał się, że będzie mógł porozmawiać z Nowakowskim szczerze. Mimo to czuł ochotę, by go odwiedzić.

Gdy wrota otwarły się w końcu, na progu, zagradzając drogę do środka, stanął niezawodny Czus. Prawie nie zmienił się od czasu, gdy Korycki widział go po raz ostatni. Być może niektórzy ludzie przestali się zmieniać po osiągnięciu pewnego wieku? Wciąż szczupły, lekko przygarbiony sługa w nieokreślonym wieku, o siwych włosach i wąsach. Tylko te ostatnie urosły nieco, nabrały mocy, poza tym Czus wyglądał identycznie jak przed laty.

Zmierzył Koryckiego podejrzliwym spojrzeniem.

– To naprawdę pan? – zamruczał. – Trudno było uwierzyć, gdy otrzymaliśmy wiadomość. A jeszcze wygląda pan inaczej.

– Naprawdę ja – nadał się Korycki. – Do diabła, na pewno macie wmurowane w ten próg zaklęcia, które to potwierdzą! Puśćcie mnie pan!

– Posłałem wieniec na pański grób – oznajmił Czus z głębokim wyrzutem, typowym dla starego krakowskiego sknery. – Z napisem „Od starego przyjaciela”. A pan żyje.

Usunął się nieznacznie, robiąc mimo wszystko przejście.

– Najmocniej pana za to przepraszam. – Generał precyzyjnie się obok niego. – Pan w gabinecie?

– W bibliotece. Oczekuje pana.

– Jest sam?

– Pan zawsze jest sam.

– Nie metaforycznie, tylko normalnie.

– Prosił pan o spotkanie w cztery oczy. Nie okłamujemy pana.

„Aha – pomyślał Korycki. – Ale jak tylko zniknę ci z oczu, popędzisz jakimś tajnym korytarzem, przyczaisz się i podsłuchasz całą rozmowę”.

Nie miał nic przeciwko temu. Oddanie Czusa służbie przekraczało zwyczajne normy, a świadomy tego Nowakowski nie miał przed sługą tajemnic.

Być może prócz tej jedynej, dotyczącej prawdy o inwazji. Jeśli pisarze z Warszawy mieli rację.

Przechodząc przez puste korytarze zbudowanego na kształcie rotundy fortu, Korycki zastanawiał się ciągle, jak ma porozmawiać z Marsjaninem. Co mu powiedzieć? O co pytać? Wystąpił o audiencję u niego odruchowo, wiedziony starym instynktem niegdysiejszego gliniarza, który nigdy nie przepadał za mozolnym śledztwem i dyplomacją, ale wolał brać się z problemami za bary; uderzać w podejrzanych i czekać na ich reakcje.

Zastanawiające, jak niewielką liczbą służby otaczał się

Nowakowski. Prócz Czusa służyli mu, oczywiście, inni: sprzątaczkę, kucharz z pomocnikami. Ale stary kamerdyner pełnił również rolę szofera, a kto wie, może także ochroniarza? Kutrzeba opowiadał, że podobno, gdy przyszło co do czego, Czus potrafił się sprawić w walce.

Korycki oczywiście wybadał staruszka, jak i wszystkich pracowników Marsjanina, przebywających dość blisko niego. Nie dowiedział się jednak wiele. W czasach Kresu przybywały do Krakowa dziesiątki tysięcy uchodźców. Przepadło wtedy mnóstwo archiwów, które pozwoliłyby poznać ich przeszłość. Nikt nie wie, jak wielu ludzi pragnących odmienić tożsamość „umarło”, by narodzić się na nowo, pod innymi nazwiskami. A że prawie każdy, kto zdołał przeżyć Kres, musiał walczyć o przetrwanie, to i umiejętnościom Czusa trudno było się dziwić.

Udało się ustalić, że widziano Czusa w 1956 w okolicach Nowego Sącza, i tyle. Już wtedy nie wyglądał na młodzieniaszka. Ile mógł mieć teraz lat? Siedemdziesiąt? W porównaniu z żyjącym od stuleci, jeśli nie dłużej, Marsjaninem i tak wydawał się młodzieńcem.

Wszyscy najbliżsi pracownicy Nowakowskiego przekroczyli sześćdziesiątkę. Może lubił otaczać się ludźmi dojrzałymi, rozumiejącymi choć po części bagaż wieku, jaki sam musiał dźwigać? O ile Marsjanie przejmowali się takimi sprawami. Bo tak naprawdę Korycki nie wiedział o nich zbyt wiele. Żyli jak ludzie i starali się do ludzi upodabniać. Zanim spotkał Parowskiego, uważał to za całkiem rozsądną strategię przetrwania rozbitków, zmuszonych do życia między wrogimi tubylcami. Może jednak była

to strategia podboju?

Jeśli tak, to ów podbój należałby do najperfidniejszych, o jakich Korycki słyszał.

Zastał Nowakowskiego w sytuacji, w której ten przypominał wszystko, tylko nie przebiegłego kolonizatora. Marsjanin wisiał na lewym skrzydle segmentu swojej sięgającej sufitu biblioteczki, zawieszony na niej jedną z czterech rąk, w trzech pozostałych trzymając po wielkiej księdze oprawionej w skórę. Minę miał dość nieszczęśliwą.

– Czy mógłby mi pan pomóc? – zawołał. – Drabina odjechała.

Korycki czym prędzej podsunął mu zaopatrzoną w kółka drabinę i Nowakowski z ulgą zszedł na podłogę, czym prędzej odłożył księgi na biurko i uściskał dłoń wybawcy.

– Drabina ma blokady, ale nigdy ich nie używam. I dziś, widział pan, utknąłem. Musiałbym uwolnić ręce, porzucając księgi, a to rzadkie, cenne i wiekowe egzemplarze, uszkodzenie ich byłoby zbrodnią! Jak pan widzi, teraz podwójnie cieszę się z pańskiej wizyty!

– Podwójnie? – wyraził zdziwienie generał, siadając za biurkiem.

– Po pierwsze, rad jestem pana widzieć, jak starego znajomego. – Nowakowski mrugnął jednym ze swych nadliczbowych oczu, nieświadom, że tym samym niszczy nienajgorsze pierwsze wrażenie i znów przypomina gościowi o nieprzyjemnych warszawskich teoriach. – Po drugie, uratował mnie pan. Zresztą, może cieszę się nawet potrójnie, bo z pewnością pańska wizyta zwiastuje coś interesującego. O czym chce pan rozmawiać? O swoim niezwykłym zmartwychwstaniu? Nie jest pan duchem ani

ożywieńcem, więc musi stać za tym coś więcej. Napije się pan? – Gospodarz sięgnął do barku ukrytego w globusie, przedstawiającym Mars takim, jakim widzieli go marzyciele i pisarze: pełnym kanałów i miast rządzonych przez szlachetne księżniczki.

– Wody – odpowiedział Korycki.

– Wody? – Aż czworo marsjańskich brwi uniosło się w udawanym zdziwieniu. – Śmierć tak na pana podziałała?

– Przeciwnie: życie. Głowa już nie ta co kiedyś.

– Bzdura! – roześmiał się Marsjanin. – Z czasem tracimy może na odporności na alkohol, mądrzejemy za to i uczymy się go coraz rozsądniej pić. No, ale przecież nie będę pana przymuszał. Nawet kropelki koniaczku?

– Wolę być trzeźwy podczas tej rozmowy.

– Ohoho, zapowiada się więc poważnie! Może jednak pana namówię... Czy wie pan, że przeprowadzano eksperymenty na szczurach, dotyczące właśnie wpływu alkoholu na koncentrację? Otóż do nieznanego szczurom labiryntu wpuszczano osobniki trzeźwe oraz takie, którym podano niewielką ilość alkoholu. Taką, by ich nie upić. Czy wie pan, że szczury będące pod wpływem alkoholu znajdowały drogę do wyjścia szybciej?

– Pijackie szczęście? – zgadywał Korycki. – A może skłonność do zataczania się bywa przydatna na zakrętach? Poproszę wodę.

– Zaczynam się zastanawiać, czy nie przynosi mi pan złych wieści.

– Nowakowski westchnął na pokaz, ale nalał gościowi szklanek wody. – U was, w Polsce, ktoś, kto nie chce się napić z częstującym, często przybywa w groźnych zamiarach. Pozwoli więc pan, że sobie

koniaczkę nie odmówię. Dla kurażu. I niech będzie, co ma być.

– Zastanawiam się, czy nie spędził pan zbyt dużo czasu z tym tam... Grabińskim – zażartował generał i na wszelki wypadek sam mrugnął do Nowakowskiego, by ten nie zrozumiał go opacznie.

– Jednym z towarzyszy Kutrzeby? To w sprawie tego najemnika przyszedł pan do mnie? Znowu wplątał się w jakieś problemy? Nie miałem z nim kontaktu od lat. Prawdę mówiąc, po ostatniej wyprawie już go nie zatrudniałem.

– Nie spisał się?

– Spisał się nad podziw! Ale, między nami mówiąc, nie mogłem się pozbyć wrażenia, że to ja pracowałem dla niego, a nie on dla mnie.

– Znam to uczucie.

– Prawda? Niezwykły człowiek. Bardzo niebezpieczny. Ale nie wiem, gdzie się obecnie znajduje ani co robi. Został chyba na Dzikich Polach?

– W Przystani Carogrodu. – Korycki skinął głową. – Pracuje dla jego nowych zarządców. Poluje na potwory. Ale nie, nie przyszedłem z panem rozmawiać o nim. Choć to ciekawe, że muszę jednak nawiązać do tamtej wyprawy. Co pan stamtąd przywiózł, panie Nowakowski?

Marsjanin nie odpowiedział od razu. Obracał w palcach dolnej prawej ręki bursztynowy kielich. Niemal machinalnie sięgnął górną prawą do barku, wyjął z niego drugie identyczne naczynie, które postawił przed generałem, a zaraz potem prostą szklaną butelkę, wypełnioną lekko białawym płynem.

– Czegóż mnie ten cały Grabiński nauczył – mruknął. – To czarcie

mleko.

– Nielegalny towar – przypomniał mu Korycki.

– Przecież nie jest już pan policjantem. – Marsjanin wzruszył górnymi ramionami, a dolną prawą ręką nalał sobie i gościowi. – Niech się pan jednak ze mną napije. Bo coś mi się zdaje, że to nie będzie lekka rozmowa.

Gdy już upili po łyku, a potem pomilczeli chwilę, czekając, aż przygaśnie ogień w ustach i przełykach, Nowakowski odezwał się znowu, z lekka ochrypłym głosem.

– Pan wie, co stamtąd przywiozłem. Albo się trafnie domyśla.

– Fidezynę.

– Czystą, pochodzącą z marsjańskich laboratoriów. Tutaj, na Ziemi, nie da się dziś takiej uzyskać.

– Skąd się wzięła?

– Słyszał pan o meteorycie tunguskim?

– Katastrofa jeszcze sprzed Kresu.

– Sprzed... Powinniście datować Kres właśnie od niej. To nasz okręt zwiadowczy rozbił się z nieznanego mi do tej pory powodu. Wyprzedzał nas o kilka lat... Pan nie wie, jak podróżują floty marsjańskie, prawda? Powiedzmy, że każda stanowi w znacznym stopniu niezależną całość. Patrolujemy galaktykę w poszukiwaniu cennych złóż albo cywilizacji, z którymi moglibyśmy nawiązać kontakt...

– Przez „nawiązać kontakt” ma pan na myśli „podbić”?

– Pan jest ludzkościowcem? Nie wiedziałem... Proszę zrozumieć, ta cała historia z podbojem to nieszczęśliwe nieporozumienie, efekt niedoskonałości translacyjnych. Podczas pierwszego kontaktu nie

dysponowaliśmy słownikiem umożliwiającym właściwą komunikację. Proszę sobie wyobrazić, że dziś, z całą wiedzą i technologią, jaką pan dysponuje, trafia pan do amazońskiej dżungli, do jakiegoś plemienia tak odciętego od świata, że nie doświadczyło ono ani dobrodziejstw rewolucji technologicznej, ani Kresu i zmian, które przyniósł. Nie znają technologii, a ich magia działa tylko na poziomie psychologicznym.

– Istnieją takie miejsca? Proszę mi podać adres!

– Teoretyzujemy. Tak więc trafia pan tam, chce porozmawiać. Jak? Pan nie zna ich języka, oni nie znają pańskiego. Zapewne boicie się siebie nawzajem. Każdy gest, jaki pan wykona, może być wzięty za agresję. Tak samo każdy ich gest pan może uznać za początek polowania, bo pewnie sądzi pan, że to kanibale. Ile potrzeba do rozpętania walki między panem a nimi?

– I tak niby wyglądał kontakt z nami?

– Statek zwiadowczy miał was zbadać. Nauczyć się waszych języków i obyczajów, poznać wasz potencjał. Ale coś nawaliło. Otrzymaliśmy wezwanie o pomoc. Statek opuścił orbitę, spadł na Ziemię i rozbił się. Cała załoga zginęła. Część zbiorników z fidezyną musiała ulec zniszczeniu, bo pojawiły się tam potem jakieś nadprzyrodzone zjawiska. Tubylców napadały demony z ich podań, widywano dziwne światła... Nasi zwiadowcy mieli przygotować obie cywilizacje na pierwszy kontakt, zamiast tego stali się, być może, przyczyną tej nieszczęsnej zwrotnej. Bo kiedy osiem lat później dotarliśmy na Ziemię, ziarna fidezyny zostały tu już zasiane. Tymczasem my nie wiedzieliśmy, jak się z wami skutecznie porozumieć, a trudno nam było dotrzeć do resztek statku

zwiadowczego bez współpracy z tubylcami. Rozpętaliście akurat największą wojnę w swojej historii i ostrzeliwaliście każdą naszą sondę, sądząc, że to pojazd nieprzyjaciela. W efekcie my też doszliśmy do wniosku, że to wy zniszczyliście nasz statek.

– I postanowiliście wziąć odwet?

– Bynajmniej. To byłoby zbyt emocjonalne, nierozsądne podejście. Uznaliśmy, że nie rozwiążemy zagadki, jeśli przedtem nie posprzątamy na Ziemi. Porozumieć się z wami nie dało, zresztą strzelaliście też do siebie nawzajem... Uruchomiliśmy więc program porządkowania waszego świata. Resztę pan zna.

– Chyba nie do końca. Ci pańscy zwiadowcy rozbili się gdzieś nad Syberią, pan uganiał się za ich zapasami po Dzikich Polach.

– Nie tylko ja ich szukałem. Wieczna Rewolucja dotarła do nich pierwsza. Musieliśmy odbić fidezynę. W to wszystko wmieszał się Kutrzeba i jego wrogowie.

– No dobra. Zdobył pan fidezynę. I przypadkiem niedługo potem...

– Korycki sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął notes i przerzucił kartki – ...nadał pan sygnał fidezyjny skierowany na... eee... Proximę Centauri, która, czymkolwiek jest, leży jakieś cztery i pół roku świetlnego stąd. I co pan na to? – zakończył, mając nadzieję, że reakcja Marsjanina powie mu cokolwiek. Jeśli Nowakowski zachowałby kamienny wyraz twarzy, Korycki nie miałby go już czym zaskoczyć. Bał się nawet, że gospodarz zada mu jakieś pytanie o tę całą Proximę. To oznaczałoby kompletną klęskę.

Na szczęście Marsjanin go nie rozczarował.

– Namierzyli! – zawołał, zrywając się na równe nogi. – Ktoś namierzył mój sygnał! Kto? Panie Korycki, ja się muszę dowiedzieć,

kto tego dokonał!

– Pan wybaczy, ale moi informatorzy...

– Zastrzegli sobie anonimowość, oczywiście! Boją się mojej zemsty. Ale, drogi panie, ja się nie chcę na nich mścić. Ja ich chcę zatrudnić!

– Doprawdy?

– Niechże pan skończy z tą podejrzliwością...

– Ekhem...

– No tak, to by było wbrew pańskiej naturze. Dobrze więc. – Marsjanin nie usiadł ponownie na fotelu, lecz zaczął krążyć po bibliotece, zdenerwowany bądź nad wyraz podniecony. – Proszę posłuchać. W siedemdziesiątym drugim nikt nie powinien być zdolny nawet do zauważenia fidezyjnego sygnału. Nie znaliście jeszcze tej technologii. A już namierzenie kierunku, w jakim został nadany... Ja muszę mieć tych ludzi! Chyba... – zmarszczył brwi – ...że stoi za nimi Marsjanin.

– Nie sądzę.

– Czyli ludzkościowcy – westchnął Nowakowski. – Niedobrze. Będę musiał ich zatrudnić przez podstawioną firmę... Rozumiem, że nie powie mi pan teraz, kim są, ale gdyby pan mógł przekazać im wiadomość... Nie ode mnie, oczywiście, ale od przedstawiciela firmy, którą podsunę... Co pan na to? Oczywiście, nie za darmo.

– Próbuje pan odwrócić moją uwagę.

– Słucham?

– Czemu narobił pan tyle zamieszania ze zdobyciem tej fidezyny? Sygnał, który pan wysłał, musiał być diabelnie ważny, skoro nieomal wywołał pan wojnę z Kolejami Galicyjskimi. Pamiętam, co

działo się później, brałem w tym udział. Proxima Centauri. Co tam jest? Stamtąd pochodzicie?

Marsjanin zatrzymał się. Westchnął.

– Nie. Nie stamtąd. Moja ojczyzna... leży znacznie dalej. Panie Korycki, zdaje pan sobie sprawę, jak daleko stąd znajduje się Proxima Centauri i co oznaczają te odległości?

– Że leciałoby się tam ze cztery miliony lat?

– Mniej więcej. Orientuje się pan, że ludzkość nie zna większej prędkości niż prędkość światła. Przy pomocy klasycznych technologii nie można wysłać na taką odległość informacji tak, by dotarła ona na miejsce w czasie, który miałby jakiegokolwiek znaczenie.

– Stąd fidezyna?

– Bogowie, jakich wy, ludzie, stwarzacie przy pomocy dość prymitywnych technologii, są związani z waszym postrzeganiem świata i ze względu na proces ich produkcji niedoskonali. Ładunek skondensowanej fidezyny pozwolił mi stworzyć boga o ściśle określonych parametrach. Boskiego posłańca, zdolnego wędrować przez przestrzeń z prędkościami, o jakich światłu się nie śniło, wybacz pan tę kulawą metaforę.

– Nie mógł pan wyprodukować tej fidezyny sam? Trzeba było rozpętywać awanturę?

– Tak czystą fidezynę? Nie, jeszcze przez dekady nie. Może za sto lat uda mi się doprowadzić rozwój technologii na Ziemi do odpowiedniego poziomu? Ale wtedy byłoby już za późno.

– Dochodzimy nareszcie do sedna...

– Widzi pan, nasze floty, tak samo jak wasze armie i korporacje,

postępują według pewnych procedur. Jeśli flota zwiadowcza, taka jak ta, którą tu przybyliśmy...

– Inwazyjna, znaczy się?

– Jeśli to dla pana takie ważne... W każdym razie jeśli nie daje ona znaku życia przez plus minus sto waszych lat, w przeliczeniu, z najbliższej bazy zostaje wysłana następna flota. Tym razem większa, naprawdę bojowa.

– I pan wysłał do niej wiadomość?

– Mój bóg-posłaniec pokona tę trasę wystarczająco szybko. Ale na miejscu zastanie tylko zautomatyzowaną bazę. Pan rozumie, flota nie stoi w miejscu przez tyle czasu, ma inne obszary do zbadania. Znam przypuszczalne koordynaty jej celów, ale nie wiem, jakie wybrała. Mój posłaniec będzie musiał to sprawdzić na miejscu i wyruszyć w pościg za flotą, dokądkolwiek by się udała. Liczyliśmy, że nasza druga fala przyleci tu za mniej więcej dwieście lat. Okręty mimo wszystko poruszają się nieco wolniej niż bogowie.

Teraz wstał i Korycki. Podszedł do Marsjanina i zadzierając lekko głowę, spojrzał mu prosto w oczy.

– Co pan im wysłał? Dane strategiczne? Informacje o stopniu naszego rozwoju?

– Nic z tych rzeczy, drogi panie. To była prosta wiadomość.

– Jaka? „Ratunku?”. „Spalcie tu wszystko do gołej ziemi?”.

– Wręcz przeciwnie. Przekazałem: „Zawracajcie. Nigdy tu nie przylatujcie. Ziemia jest zakazana. Należy objąć ją kwarantanną. Na zawsze”.

Rozdział dwudziesty drugi

*Rok 2172 starego kalendarza,
220 rok Pokoju, Malowana Moskwa*

Wizyta na Chitrowce przyniosła Oldze poczucie dziwnego podniecenia, które nie bywało jej udziałem już od wielu lat. Ubrana niczym ulicznica, nie jedna z tych, co to pójdą z każdym za byle grosz, ale lepsza, nastawiona na poważniejszą klientelę, szła ulicami, których z pewnością nie mógł nikt namalować, które musiały do Malowanej Moskwy przepłynąć same. Zupełnie jak ulice Krakowa, o których opowiadał jej kiedyś stary pan Grabiński, że same przychodziły do jego miasta i załęgały się w nim niczym żywe istoty z legend.

Nie inaczej musiało być i z Chitrowką, której przecież nikt normalny nie kazałby malować jurodiwym malarzom. Kto poświęciłby majątek na ulokowanie w Malowanej Moskwie owego imperium wszeteczeństwa? Jaki mógłby mieć z tego zysk?

Oldze wystarczył kwadrans spaceru pomiędzy rzezimieszkami i ich damami, żebrakami cierpiącymi na prawdziwe bądź zmyślone przypadłości, handlarzami wszystkim, co tylko przynosili im młodzi chłopcy, dzieci właściwie; spaceru między kokotami starymi i młodziutkimi, wszystkimi wymalowanymi przesadnie, by zorientować się, że nad tym mrocznym, choć rozkrzyczanym królestwem nie zdołałby zapanować nikt. To znaczy: nikt z zewnątrz, bo przecież Chitrowka miała swojego króla, on zaś

swoich hrabiów i baronów. A oni faworyty.

Starala się nie wczepiać zbyt mocno w ramię pana Czchartiszwiliego, teraz noszącego bordową kamizelkę nałożoną na koszulę z najlepszego jedwabiu, kto wie, może nawet lepszego niż ten, z którego wykonano pąsową chustę, jaką przewiązał niedbale wokół szyi? Ponieważ na Chitrowce najwyraźniej zawsze panowała wilgotna jesień, najlepszy agent Olgi miał na sobie także gruby płaszcz upiększony srebrnymi guzikami, a na nogach wygodnie buty o długich cholewach. Zdaniem Olgi wszystko to pasowało do siebie akurat tak samo jak jej błękitny gorsecik, aż nadto wystający spod granatowego bolerka, pasował do jasnorożowej spódnicy o takiej liczbie falban, że gdyby dziewczynie zachciało się zakręcić, mogłaby unieść się i pod samo niebo. Mówiąc krótko: każdą część przebrania dobrano tak, by nie pasowała do drugiej.

Tutaj jednak taki strój wydawał się jak najbardziej na miejscu, bo miejscowi bywalcy gwizdali na widok Olgi z zachwytem, panu Czchartiszwiliemu zaś kłaniali się w pas. Raz jeden musiał dać w pysk jakiemuś zuchwalcowi, któremu zachciało się podkraść do dziewczyny i klepnąć ją tam, gdzie jeszcze żaden mężczyzna nie odważył się podążyć choćby wzrokiem (w każdym razie dopóki nie wybrała się na Chitrowkę). Bezczelny łajdak, na oko lat może piętnastu, po jednym, zadanym otwartą dłonią ciosie wywinął w powietrzu fikołka i runął tą częścią ciała, która tak mu się podobała u Olgi, w wielka kałużę. Błoto trysnęło na wszystkie strony, ochlapując zaśmiewających się do łez kolegów tupeciarza, jego zaś pokrywając cuchnącą mazią od stóp do głów.

Olga oblała się wówczas pąsem, a właściwie dwoma. Pierwszym,

bo jednak nie zapanowała nad sobą po klapsie, drugim ze wstydu za ten pierwszy. Miała przecież grać tutejszą *mademoiselle*, utrzymanką jednego z chwatów, a nie damulkę czerwieniącą się od byle powiewu wiatru unoszącego spódnice. A tu masz, zdradziła się przy byle drobiazgu, już na samym początku podróży. Rację miał pan Czchartiszwili, że wzbraniał się brać ją ze sobą. Tłumaczył, że to nie miejsce dla osoby niedoświadczonej w konspiracji, że na Chitrowce trzeba mieć nie tylko oczy wokół głowy i nerwy ze stali, ale jeszcze i wykazać się niezgorszym talentem aktorskim.

Ale Rostowna uparła się i postawiła na swoim. Miała już dość siedzenia w pałacyku i odbierania coraz bardziej mętnych i niepokojących meldunków. Choć uruchomiono nową centralę i przywrócono wreszcie łączność z większością okrętów TG, Olga odnosiła wrażenie, że zarząd Transportu ukrywał część informacji. Meldunki przesyłano skąpe, dbano, by pracujące w centrali malowane dziewczyny nie mogły zobaczyć nic na ekranach kosmolotów. Odpowiedzi na zapytania Olgi udzielano oszczędnych, pomimo jej codziennych monitów. Traktowano ją wprawdzie z szacunkiem i uprzejmie, jednak wyraźnie coś przed nią ukrywano.

Nie sądziła, by zarząd TG zamierzał usunąć ją na boczny tor bądź zrezygnować z korzystania z Malowanej Moskwy jako podstawowego narzędzia łączności. Nie, meldunki wciąż płynęły przez centralę równie intensywnie jak przed katastrofą związaną z pojawianiem się Tiamat. Wysoko postawiony oficer bezpieczeństwa zapewnił dziewczynę, że w pracowni malarzy trwają intensywne prace nad przygotowaniem portretów nowych pracowników do centrali łączności, a także ich ochroniarzy. Malowana Moskwa wciąż

pozostawała na liście priorytetów TG, a Olga nadal zarządzała wszystkim tu, na miejscu.

Skoro tak, coś złego musiało dzieć się w Twardym Świecie. A Transport Galicyjski, jak każda korporacja, starał się za wszelką cenę ukrywać swoje kłopoty. Nawet przed własnymi sojusznikami.

Niestety, inne źródła informacji również nie spisywały się najlepiej. Ciągle na przykład nie mogła złapać Wandy. Ilekroć nawiązywała wreszcie łączność z marsjańską piramidą, w polu widzenia pojawiał się albo jakiś wredny wąż, który wyraźnie starał się Olgę zbyć, albo zasmucony leszy, poświęcający więcej uwagi wspomnianiu minionych czasów niż przekazywaniu informacji na temat obecnych. Tyle zdołała się od niego dowiedzieć, że Wanda najwyraźniej w końcu spotkała kogoś, kto zdołał choćby częściowo zastąpić w jej sercu dawno zmarłego Jaśka.

Olga ucieszyłaby się z tego, jej zdaniem Wanda zbyt długo nosiła żałobę po tym samolubnym głupcu, który nie dość, że uparł się umrzeć, to nawet nie pozwolił namalować swojego portretu. Gdyby tylko Wanda nie wybrała najgorszego z możliwych momentów na romansowanie i gdyby nie oddała się temu bez reszty, zaniedbując obowiązki!

Pozostałe kontakty w Twardym Świecie nie mogły równać się z możliwościami Piramidy, choć więc współpracowały z oddaniem, nie przekazywały nazbyt użytecznych informacji. Rostowna dowiedziała się od nich jedynie, że w Układzie Słonecznym panuje blokada informacji na temat wyczynów Tiamat, że chyba zmobilizowano różne floty, że doszło do jakiegoś zamieszania w Pasie Asteroid oraz że astrologowie wieszczili wielkie zmiany. Jak

zwykle.

Dziewczynie pozostały jeszcze dwa kontakty. Na razie jednak wolała z nich nie korzystać. Po jeden z nich, ostatni z ostatnich, najchętniej nie sięgałaby wcale. Może gdyby cały świat się walił?

A może nawet wtedy nie.

Rankiem dnia, który miał przynieść jej wyprawę na Chitrowkę, siedziała trochę zmęczona i mocno naburmuszona w swoim gabinecie nad listem do ojca. Przerwała pisanie go na połowie drugiej strony i starając się myśleć o jaśniejszych stronach życia, machinalnie zaczęła szkicować proste portrety przyjaciół z przeszłości: ojca, Grabińskiego pędzącego na siwku przez Dzikie Pola, Wandy z Jaśkiem i Burzymura... Gdy już ich narysowała, z dziwnym zapalem wzięła się za kolejne portrety: Behemota, Czchartiszwiliego, Szczura... Przerwała, gdy zdało się jej, że ten ostatni mrugnął do niej porozumiewawczo. Aż krzyknęła i podskoczyła na krześle. Zakryła dłonią usta, a drugą ręką prędko odwróciła kartkę.

Zachichotała.

– No proszę – zamruczał wielki kocur, pojawiając się jakby znikąd, jak to miał w zwyczaju. – Taki talent się marnuje! Kto by pomyślał!

– To mrugnięcie to twoja sprawka? – domyśliła się. – Bardzo śmieszne...

– Moja, nie moja... – Rozciągnął się na biurku i zamruczał na znak, że pogłaskanie go byłoby czymś w bardzo dobrym guście. – A może ty potrafisz malować żywe obrazy w żywych obrazach? Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, jak malują was ci wasi szaleni

malarze? Potrafią na życzenie zmieniać trochę wasz wygląd i cechy...

– Nigdy u Rostowów! – zaprotestowała. – Wiemy, czym by to groziło!

– E tam, groziło... – Mruczenie stało się głębsze, gdy Olga podrapała kota za uchem. – Człowiek nie diabeł, zmiennym jest. Ty wietrzna istoto.

– Sam jesteś wietrzna istota. – Pokazała mu język. – Każda zmiana portretu ma konsekwencje. Pozbawisz się garbu na nosie i już nie będziesz sobą, lecz kim innym. Zamiast żyć prawie wiecznie, umrzesz, a zastąpi cię twój cień, nie wiadomo: lepszy czy gorszy. Inny. Nie ty.

– Bajanie. – Kocur przymknął oczy i oddał się takiemu mruczeniu, że omal nie zahipnotyzował nim Olgi. W ostatniej chwili oderwała rękę od jego futra. – Mrrrrjesteśmryyy czym jesteśmrrrryyy... Nigdy tacy sami, codzimrrrrrrnie innimrrrrr....

– Czego chcesz? – zawołała nagle rozeźlona. – Po coś przylazł?

Zerwał się na równe łapy. Potrząsnął łbem.

– No i masz! Już jesteś inna niż trzy miłe sekundy temu – parsknął. – A przylazłem, bo na Chitrowce szykuje się heca. Myślałem, że będziesz chciała wiedzieć.

Co za heca, wyjaśnił dziewczynie Czchartiszwili, wpadając tylko na moment, z meldunkiem, że będzie się działo i warto by to sprawdzić.

– No to sprawdźmy! – oświadczyła, wstając.

Czchartiszwili wyraźnie się zakłopotał. Zaczął tłumaczyć, że po pierwsze Chitrowka to nie miejsce dla porządnych panien i trudno

mu będzie ręczyć za bezpieczeństwo hrabianki Rostowny, a po drugie, obserwator zawsze wpływa jakoś na wyniki obserwacji, a obserwator, jakim stałaby się Olga, mógłby wywrócić wszystko do góry nogami.

– ...bo pani tam zupełnie nie pasuje, ze swoją klasą, urodą i wdziękiem. To trzy – dokończył.

– No to niech mnie pan dopasuje. – Tupnęła nogą. – Przecież pan takie cuda potrafi zrobić z makijażem i przebraniem... Mam już dość siedzenia za biurkiem i czytania meldunków, które nie mówią nic a nic. Idę z panem!

I tak to się zaczęło. Dlatego wędrowali teraz oboje, choć Oldze wcale nie było już do śmiechu i trochę nawet żałowała, że wybrała się na tę wyprawę. Za nic jednak by się do tego nie przyznała.

Obejrzała się za zuchwalcem siedzącym w kałuży i dla dodania sobie otuchy pokazała mu język. Ku jej zdumieniu, roześmiał się. Stropiło ją to. Może tutaj pokazanie języka stanowiło zachętę, a nawet – nie daj Boże – obietnicę? Przecież Czchartiszwili, zwany tu, jak się dowiedziała, Szybkim Jurą, uprzedzał ją, że Chitrowka ma własny język i obyczaje, i że Rostowna powinna się odzywać jak najmniej, a najlepiej wcale.

Poznała przyczynę radości chłopca z kałuży, gdy Szybki Jura szarpnął się nagle, zaklął po bandycku: twardo, szpetnie, a tak głośno, że jakby na pokaz, i nagle okazało się, że nie puszczać wcale ramienia swojej dziewczyny, lewą ręką wykręca łapę chłopcu na oko najwyżej ośmioletniemu.

– Ale co też wujaszek! – darł się malec. – Boli, wujaszku! Puszczaj niewinnego prawosławnego! Toż ja tylko...

Urwał, gdy z wykręconej dłoni wypadł mu srebrny zegarek, ledwie chwilę wcześniej spoczywający w kieszonce kamizelki Szybkiego Jury.

– No tak, nie wyszło... – Uśmiechnął się nieśmiało. – Z wujaszka to jednak prawdziwy mistrz. Mówili, a ja, głupi, nie wierzyłem.

– Czyli że to zakład? – Szybki Jura wyszczerzył zęby, z których blisko połowa została pociągnięta złotą farbą.

– Żebym skonał, tylko zakład!

– Na skonanie nie będziesz musiał długo czekać, jak będziesz taki prędko i głupi – ocenił, kręcąc głową, agent. Wprawnie odebrał chłopcu zegarek, trzepnął go w łeb i poczęstował kopniakiem na do widzenia. – Mierz siły na zamiary, synek. To może pożyczysz. Ale za zuchwałość masz tu kopiejkę. – Rzucił monetę chłopcu, który wylądował w kałuży obok poprzednika. – Lubię takich!

Czym prędzej pociągnął za sobą Olgę, byle dalej od zbiegowiska.

– Więc rozumiesz, Soniu – odezwał się do niej imieniem, które wybrał jej na tę wyprawę. – Jeden trzepnął cię po tyłeczku, żeby odwrócić naszą uwagę, a drugi już zabrał się za obrabianie nam kieszeni. Widzisz, jak tu jest.

Widziała. Obróciła się przez ramię, by sprawdzić, czy banda wyrostków nie próbuje ich ścigać, ale okazało się, że śmiali się i poklepywali po plecach. Widać Szybki Jura potraktował ich zgodnie z panującymi tu zasadami i może nawet jakoś ich usatysfakcjonował?

Nie odzywała się na wszelki wypadek i spróbowała powstrzymać przed rozglądaniem na boki, choć bieda panująca tutaj zrobiła na niej wrażenie. Zaczęła zastanawiać się, jakby tu zapobiec

nieszczęściu ludzkiemu, sprawiającemu, że wszyscy ci biedacy lądowali w tak przeklętym miejscu. Może jakiś program prac społecznych mógłby im pomóc z jednej strony zarobić na sobie w uczciwy sposób, a z drugiej nauczyć życia w zdrowym społeczeństwie? A te wszystkie dzieci należałoby posłać do szkoły. Najlepiej połączonej z domem opieki, w którym wykwalifikowani fachowcy...

– Lepiej daruj sobie, słonko, te złudzenia – mruknął Szybki Jura, jakby czytał dziewczynie w myślach. – Oni by tego nie chcieli, pouciekaliby z twoich domów pomocy, to po pierwsze. Po drugie pamiętaj, co to za miejsce. Nikt go nie namalował i większość z tych ludzi to też nie tacy, co to wydali ostatni grosz na żywe portrety. Większość z nich pojawiła się tu razem z Chitrowką, dzięki tej magii Malowanej Moskwy, której nikt nie rozumie. Zmienić ich to ich zabić.

– Czyta mi pan w myślach?

– Nie, słońce. Pamiętam, co sam myślałem, gdy trafiłem tu po raz pierwszy. Miewamy czasem podobne złudzenia, my, ludzie z niby lepszego świata.

– Może te złudzenia trzymają nas przy życiu? A pan mógłby przestać z tym „złotkiem” i „tyłeczkiem”!

– Uprzedzałem, Chitrowka słucha. Tu trzeba wejść na całego albo nie wchodzić wcale. No, nie gniewaj się, Soniu, nosek ci się marszczy od tego. Niby uroczo, ale co jeśli tak pozostanie? Wynagrodzę ci wszystko nocą, skarbie. Obiecuję!

I klepnął ją w tyłek, aż zakołysała się na nogach. Miała ochotę trzepnąć go w gębę, choć pewnie nie poczułby nic przez wielkie,

doklejone bokobrody, ale usłyszała kilka chichotów dobiegających z cieni i zrozumiała, że miał rację. W całym tym harmidrze zawsze ktoś słyszał, co mówili, czyjeś uszy nasłuchiwały każdego ich słowa. Zachichotała więc jak trzpiotka i nawet cmoknęła tego ordynusa w policzek. Jakoś znajdzie sposób, by mu się odpłacić za te figle.

Prowadził ją, jak się okazało, do paskudnej knajpy, wyglądającej jak wielki czarny grzyb, którego kapelusz – przypalane tu i ówdzie daszysko – opadał ku ziemi, niemal zasłaniając ściany i okna budowli. Olga przekraczała próg tej ruiny z obawą, że zawali się ona od byle powiewu. Wpuszczono ich zresztą do środka niechętnie. Ogromny, cuchnący czosnkiem i tytoniem drab ustąpił dopiero, gdy Szybki Jura sprzedał mu śpiewkę w jakiejś tajnej odmianie miejscowego narzecza. Olga nie zrozumiała z niej ani słowa.

Wewnątrz świat odmienił się nagle. Wszystko tu lśniło od złota.

Ściany wydawały się uginać pod ciężarem przybitych do nich monet i dopiero po chwili Olga zorientowała się, że tylko niewielka część z nich była prawdziwa. Pozostałe, gdy przyjrzeć się im bliżej, okazały się równie autentyczne jak Jura i jego Sonia. Ot, pomalowane blaszki poprzyczepiane do pociągniętej złotą farbą ściany. Mimo to bogactwo wnętrza potrafiło oszołomić.

Wszyscy siedzieli tu na ławach obciągniętych futrami egzotycznych zwierząt, pili ze złotych i srebrnych kielichów, a napoje podawano im w kryształowych flaszkach. Patrząc na usługujące oprychom kelnerki, Olga poczuła się nareszcie nie tylko ubrana, ale wręcz okutana od stóp do głów. Ciała dziewcząt także pomalowano na złoto, z wyjątkiem ust, które raniły dobry gust

krwawą czerwienią wręcz ściekającej z nich szminki.

– Król lubi przesadę – znów odczytał jej myśli Szybki Jura. – Chodź, Soniuszka, usiądziemy sobie w kąciku. Spokojnie, skromnie. Tak, żebyś nie rzucała się za bardzo w oczy. Nie chciałbym się tu o ciebie pojedynkować.

– Rzucała w oczy? – sapnęła. – Między tymi naguskami?

– Klejnot błyszczący, nawet gdy zakryty. – Agent mrugnął do niej. – One zresztą wszystkie tak samo gołe, a ty wyzywająco ubrana. Kto się bardziej rzuca w oczy? No, na szczęście inni junacy też przyprowadzili swoje mamzelki. Wszyscy chcą popatrzeć.

– Na nagie dziewczyny? – nie zrozumiała, idąc za nim ku stolikowi w jednym z nielicznych zacienionych kątków lokalu. Z ulgą usiadła na ławie, miękkiej, bo jak inne obciągniętej skórą.

– Na hecę – przypomniał. – Wszyscy tu wiedzą, że będzie się działo. Nie tylko myśmy usłyszeli, że Kapelusznik zasadził się na Króla. Dziś ostatni piątek, wiesz, Sonia, dzień audiencji. Każdy, kto wie, jak zaśpiewać strażnikowi, może tu wejść, złożyć Królowi uszanowanie i przedstawić sprawę. No i dziś właśnie Kapelusznik przyjdzie z własną.

– Bardzo jesteście z kotem pewni, że zagra tak bezczelnie.

– Musi, jeśli chce głowy Króla, moja śliczna. Tak to się tu załatwia. Timur musi przyjść i rzucić wyzwanie.

– Ciągle mi się to wszystko wydaje niepoważne. Gdybym ja wiedziała, że szykują na mnie zamach, nie dopuściłabym do siebie zamachowca. Załatwiłabym to szybko i po cichu. A tu tacy straszni bandyci i taki teatr!

– Takie są zasady dintojry.

Co to dintojra, Olga już wiedziała. Jakaś rada starszych rozbójników. Król mógł sobie rządzić, ale miał nad sobą tę radę i co ona postanowiła, było dla Chitrowki święte. Dintojra z drugiej strony starała się nie ograniczać władzy Króla i wpływać na niego wyłącznie wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Stanowiła ciało stojące na straży bandyckich praw i w razie czego gotowa była wymazać z obrazu tego władcę, który by je naruszał.

Ubrana jedynie w biżuterię, pomalowana na złoto dziewczyna postawiła przed Olgą i Czchartiszwilim kryształową flaszkę i dwa złote kielichy.

– Poczęstunek od Króla – oznajmiła z uśmiechem. – Dla słynnego Szybkiego Jury i jego oblubienicy. Gdy już będzie po wszystkim, Król chętnie ją pozna.

Dygnęła niczym dama dworu i odeszła. Oldze z trudem udało się oderwać wzrok od jej złotych, rozkołysanych pośladków. W duchu zaczęła kibicować Timurowi, kimkolwiek by się nie okazał.

– Obecny Król rzeczywiście narusza nieco konwenanse. – Maniera Czchartiszwiliego czytania Oldze w myślach zaczynała dziewczynę denerwować. – Jego skłonność do przesady i umiłowanie dekadencji drażnią nawet jego poddanych. Timur to wykorzystuje. Próbuje być przeciwieństwem Króla, prostym, serdecznym druhem, co to owszem, swoje zrobi, ale z bogactwem się nie obnosi. Pomógł zresztą wielu na Chitrowce, to i lubią go ludzie.

– Spotkał go pan?

– Nie. Nigdy. On działa z ukrycia. Prawie nikt go nie widział, choć wszyscy o nim mówią.

– To jak pomaga, skoro nikt go nie zna?

– W tym rzecz, że jego nie zna nikt, a on zna wszystkich. Widoczni są jego oficerowie.

– Czy to może być Szczur? – zapytała po chwili.

– Wątpię. Po pierwsze, Szczur działa sam. Po drugie, nie rzucałby wyzwania Królowi, bo musiałby wtedy zająć jego miejsce. A to bardziej utrudniłoby mu działanie, niż pomogło. Znalazłby się na świeczniku, a on woli cień. Przecież pani wie.

– Wiem... – Pociągnęła nosem. – Ale wiedzieć i mieć nadzieję, to dwie różne rzeczy. A on przepadł, jakby się zapadł pod ziemię. Może nie żyje?

– Żyje – odparł Czchartiszwili jakoś posępnie, ale z pewnością. – Tacy jak on nie giną w ciszy. Usłyszelibyśmy, gdyby... No, ale proszę spojrzeć, zaczyna się!

Rzeczywiście! Otwarto drzwi i do wnętrza zaczęli wchodzić jacyś ludzie. Oldze od razu wydało się, że nie pasowali do bogactwa knajpy, stanowiącej odpowiednik królewskiego pałacu. Ubrani byli prosto, w coś pomiędzy robotniczymi kurtami a workowatymi mundurami. Trzymali się prosto, dumnie, choć w ich twarzach było coś dziwnego. Poruszali się szybko, lecz z dziwną sztywnością.

– Który to Timur? – szepnęła.

– Poznamy, gdy zobaczymy. Ten pierwszy to Sima Simakow, ponoć prędko do noża, kłótlivy i wiecznie z czegoś niezadowolony. Ten za nim, na którego nie pasuje kurtka, nazywa się Kola Kołokolczykow; powiadają, że lubi spać do południa, za to nocami nie ma sobie równych w dywersyjnych akcjach. Strasznie niedbały, żyje i zabija byle jak. Ale skutecznie. O, trzeci wszedł Gejka, niewiele o nim wiem.

- Zna ich pan?
- Widziałem raz czy dwa, z daleka. Więcej o nich słyszałem. Ludzie się ich boją, unikają pomimo tych wszystkich pięknych opowieści.
- Rozumiem, dlaczego. Mają dziwne, straszne twarze... Jakby zastygłe w bólu...
- Prawda. Myślę, że źle się stanie, jeśli wygra Timur. Niech to wszyscy diabli! Nie powinienem był pani tu zabierać, ale dobrze, że pani to zobaczyła. Jeśli coś jest prawdziwym zagrożeniem dla Malowanej Moskwy, to ta banda!
- Czemu?
- Słyszałem o tym, ale nie chciałem dać wiary. Myślałem, że to bajdy... Soniu, słoneczko, musimy się stąd zabierać jak najprędzej! Tylko cicho...
- Ale czemu? Nie chce pan zobaczyć, kto wygra pojedynek?
- Sądzę, że wiem, kto.
- Timur?
- Postawiłbym na to swoją duszę. Musi pani o nim zameldować swoim ludziom w Twardym Świecie. Chyba jeszcze nigdy Malowana Moskwa nie znalazła się w podobnym niebezpieczeństwie!
- Nie będę wiedziała, o czym meldować, jeśli pan mi nie wyjaśni, w czym rzecz!
- Niech pani popatrzy na ich twarze. Czy niczego pani nie przypominają?
- Olga obejrzała się na ludzi Timura. Wyglądali paskudnie. Oblicza mieli surowe, ciemne, całe w szpetnych bliznach. Było jednak w

nich coś uroczystego, malował się na nich spokój, jakby pogodzenie z losem i niemal dystygowane wychodzenie mu na przeciw.

– Żadnego z nich nie znam... – szepnęła. Nawet jeśli chciała powiedzieć coś więcej, przerwała w pół słowa, bo w progu pojawił się Timur.

Okazał się rosły i ciemnowłosy. Ubrany był w czarne spodnie z cienkiego materiału i w ciemnoniebieską koszulkę z wyhaftowaną na piersi czerwoną gwiazdą, zapadającą się, jakby pod materiałem kryła się dziura wyrwana w ciele. Podobnie jak jego ludzie, stawiał kroki ostrożnie, sztywno.

Nie szedł sam. Wtulona w niego raczej płynęła niż szła blondynka, kołysząca na boki głową w rytm Timurowych kroków. Pozornie wydawała się piękna: wszystko na jej twarzy znajdowało się na właściwym miejscu i we właściwych proporcjach. A jednak rysy miała w nieokreślony sposób wykoślawione jakby rodzącą się wściekłością, zastygłą, nim zdążyła eksplodować.

Nagle zatrzymali się.

– Olga Nikołajewna! – zawołała blondynka, odwracając się ku Oldze. – Co za spotkanie! Nareszcie! Jakże się cieszę! Koniecznie musimy porozmawiać, gdy już będzie po wszystkim!

Pomachała ręką, dziwnie bezwładnie, a potem oboje z Timurem ruszyli ku wielkiemu stołowi, za którym siedział Król. Monarsze spojrzenie także przez moment spoczęło na Oldze. Zmarszczył brwi.

– Zna ją pani? – szepnął Czchartiszwili, najwyraźniej rezygnując z maskarady. Trudno było się przy niej upierać, skoro wszyscy przez chwilę patrzyli z uwagą na „Szybkiego Jurę” i „Sonię”. – Olgo! Ona panią rozpoznała pomimo przebrania! A ja nawet o niej

nie słyszałem!

– A ja tak – odpowiedziała Rostowna, bo rzeczywiście dotarło do niej, kim musiała być blondynka. O tak, słyszała o niej. Dawno, blisko dwieście lat temu. – Ma pan rację, musimy zabierać się stąd jak najszybciej.

– Obawiam się, że teraz nie będzie to takie proste – westchnął Czchartiszwili.

Nie siedzieli już przy stole sami. Nagle przysiedli się do nich dotychczasowi sąsiedzi ze stolików obok. Dosiadł się też potężny mężczyzna podobny do ludzi Timura, ale o żywszej nieco twarzy. Bo naznaczonej złością.

– Znasz mnie, Szybki? – spytał.

– Figura – słowa Czchartiszwiliego zabrzmiały jak splunięcie. – To, moja droga, jeden z najgorszych mętów pracujących dla Timura. Ale rozkazy przyjmuje tylko od jednego z oficerów, dawniej wroga Kapelusznika. Wszędzie go widać. Szarogęsi się, warcholi... A gdzie twój prawdziwy pan, Kwakin?

– Przyjdzie. – Figura skrzywił się, a Olga dopiero po chwili zrozumiała, że ten okropny grymas miał oznaczać uśmiech. – Przyjdzie jeszcze Misza zatańczyć. Nie bójcie się. Ja tu poczekam z wami, żeby się wam nie stało nic złego.

– I pewnie dla mojego bezpieczeństwa wbijasz mi, bracie, ten nóż w nerki? – zakpił Czchartiszwili.

– Kto tam wie, co się będzie działo, jak się zacznie zabawa? – Figura wzruszył ramionami. – A zacznie się zaraz. Patrz, teraz nasz patron staje przed Królem. Widzisz tych chwatów za jego plecami? Wszyscy oni nasi, jak nasi są chłopcy naokoło ciebie i

twojej dziewczuszki. Tylko Król o tym jeszcze nie wie, jak i ty nie wiedziałeś.

– Nie będzie pojedynku – zrozumiał Czchartiszwili.

– Ano, nie będzie – zarechotał Figura.

– Dintojra was za to...

– Jaka dintojra, braciszku? Ten relikwiarz przeszłości, jak mawia Timur? Z nimi teraz właśnie kończy tańcować Misza. Oj, zmieniają się porządki na Chitrowce. Drżysz, braciszku? Boisz się? Nie ma się czego bać, lepiej będzie! Czeka. Zaraz przybędzie tu i Misza Kwakin. Na znak, że już po wszystkim, że można bić z dział w ten tutejszy pałac zimowy. Patrz, bo to lada chwila.

Olga nie opanowała ciekawości i spojrzała. I rzeczywiście – drzwi zaskrzypiały, uchyliły się. Najpierw lekko, powoli, z każdą sekundą coraz szerzej. A potem pojawiła się w nich głowa Miszy Kwakina, wyszczerzona w okrutnym, przerażającym uśmiechu.

– Ruszaj, jak tylko się zacznie! – szepnął ktoś za Olgą. Szept dobiegał nie tylko zza jej pleców, ale i jakoś z dołu. Choć nie mogła oderwać wzroku od straszliwego uśmiechu, choć gorączkowo zastanawiała się, co on może oznaczać, rozpoznała głos szepczącego i zrozumiała, że spod stołu szeptał do niej kot, który znów znalazł sposób, by wleźć tam, gdzie nikt go nie zapraszał. – No, przyjaciółko, nie czas na wahania. TERAZ!

Rozdział dwudziesty trzeci

*Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,
„Czarna Sara”, Subukład Jowisza*

Wlecieli w sam środek bitwy.

Żagle „Czarnej Sary” ostatni raz zabłysły niezwykłym, mrocznym lśnieniem i opadły, gdy piracki okręt wyłonił się dwieście tysięcy kilometrów od Kallisto, na czarnej fali, którą klasyczni fizycy nazwaliby ugięciem czasoprzestrzeni. Przez ułamek sekundy kadłub okrętu otaczała nie tyle czerń, co bezświatlna studnia. Potem na krawędziach otchłani zaczęło pojawiać się zimne, białe światło, by wreszcie pożreć ją całkowicie, rozbłysnąć gwałtownie i zniknąć.

Okręt, który przez cały ten czas wydawał się trwać w bezruchu, drgnął i ruszył ku pokruszonemu księżycowi.

– Co to było? – jęknął Drygieł, zdumiony efektami towarzyszącymi przybyciu „Czarnej Sary” do Subukładu Jowisza. Mówił z górnego pokładu, otoczonego polem utrzymującym wokół okrętu tlen i niedopuszczającym doń lodowatej próżni. Okręty Transportu Galicyjskiego przemierzały przestrzeń kosmiczną w znacznie mniej widowiskowy sposób.

Adam niemal wtulił się w środkowy maszt, oszołomiony rozciągającym się dokoła widokiem. Wszystko to wydawało się tak nierzeczywiste! Żagle łopotały, choć przecież nie było tu wiatru, a pokład kołysał się jak na wzburzonych falach. Adam jeszcze

mocniej wczepił się w maszt. Zdawało mu się, że wystarczy mocniejszy przechył, by wyleciał za burzę, prosto w otwarty kosmos.

– Triumf nadziei nad rozpaczą – burknął pekińczyk i zwał w objęcia uganiającego się za nim po całym pokładzie kucharza. Starusieńki Chińczyk wydał radosny okrzyk i zaraz umknął pod pokład.

– Powinniśmy ruszyć za tymi dwoma – upomniał przyjaciela Hoygren. – Tutaj...

Zawiesił głos tak znacząco, że może odniósłby skutek, gdyby Adam słuchał go w tej chwili.

Ale jakże miał go słuchać, gdy stał na pokładzie drewnianego okrętu, pośród tysiąca gwiazd otaczających go ze wszystkich stron.

Nad nimi śmigwały srebrzyste ścigacze i krążowniki Transportu Galicyjskiego, wymieszane z okrętami Deutsche Bahn, czarnymi niczym dna parowych kotłów, z dumnymi dreadnotami Wiecznego Majestatu Imperium, z wielobarwnymi niszczycielami Santa Muerte, szczerzącymi białe czaszki na dziobach. Wokół nich roily się dziesiątki okrętów najróżniejszych korporacji.

Gnały ku ogryzkowi Kaliope, na którym przysiadła Tiamat, znacznie większa niż w chwili narodzin.

A wszystko to Drygiel widział nie na ekranie, nie poprzez ciasne iluminatory, ale jak na wyciągnięcie ręki, naokoło siebie. Jakby stał w oku cyklonu.

– Nie chciałem tutaj wracać – szepnął Hoygren i ten szept dokonał tego, czego nie udało się osiągnąć wcześniejszym okrzykiem: przebudził chorążego.

Od czasu gdy przybyli na pokład „Czarnej Sary”, Petyr zachowywał się jak nie on. Zatracił gdzieś dawną radość życia, sponurzał. W kółko chciał rozmawiać o przeszłości Burzymura Siwobrodego, o legendarnym Kutrzebie i jego dokonaniach. Ożywił się raz jeden, gdy Długi Jan Kapral zakradł się do ich kajuty, by porozmawiać o ich dalszych planach. Hoygren zapytał go wówczas, czy kapitan jest TYM Burzymurem, który dwieście lat wcześniej dokonywał prawdziwych cudów podczas wyprawy Kutrzeby.

– Ten sam! – potwierdził gorączkowo Długi Jan. – Wiele my o tamtej sprawie nie wiemy, prawdę mówiąc. Kapitan milczy, co zresztą tylko utwierdza co zmyślniejszych z nas w przekonaniu, że nie wrócili wtedy z pustymi rękami. Wiecie panowie z pewnością dobrze, że Burzymur i jego kompani...

– Raczej Kutrzeba i jego kompani – poprawił Hoygren.

– Gdzie tam! Jedno, co wiadomo na pewno, to że cały ten Kutrzeba działał zawsze sam dla siebie, toteż trudno mówić o jakiejś jego drużynie. Tak więc kapitan nasz i jego kompani obrabowali karawanę Wiecznej Rewolucji. Nie do końca wiadomo, ile tego było i czego...

– Nie do końca? – tym razem wtrącił się Adam.

– No dobra, zupełnie nie wiadomo! Ale musiał to być jakiś skarb. Część jego uwiózł ze sobą Marsjanin, a część zawieziono do Przystani Carogrodu, która odtąd zmieniła się w kwitnący, bogaty gród. Aż do czasu śmierci Jaśka, pierwszego i ostatniego tego imienia. Wtedy kapitan porzucił gródek, zresztą na jego zgubę, bo szybko opanowała go Wieczna Rewolucja podczas Kampanii Ognia. Znacie te historie, prawda? O podziałach wśród nowych

europijskich państw i...

– Znamy – przerwał mu Drygieł. Hoygren spojrział na niego wyraźnie zagniewany, ale nie odezwał się.

– Nikt nie wie, gdzie wtedy był kapitan – niezrażony kontynuował Kapral. – Jedno, co wiadomo, to że Wieczna Rewolucja nic nie znalazła w ruinach grodu.

– Żadnego skarbu? – odgadł Hoygren.

– Ani miedziaka. Nie było tam też grobu Jaśka ani kopca skrywającego ciała Rostowów. Żadnego żywego obrazu. Nic. Wiecie już, co sobie myślę, prawda?

– Że te wszystkie bogactwa musiały się gdzieś podziąć – odgadł Petyr.

– Mamy tu taką umowę – ściszył głos Długi Jan. – Ten, kto znajdzie jakąś znaczącą poszlakę, ma plus pięć procent do podziału. Pięć procent. – Pokiwał energicznie głową.

– Macie umowę? – zainteresował się Drygieł. – Kto?

– Prawdziwa konspiracja wymaga, by udziałowcy nie znali się nawzajem!

– Czyli nie wszyscy – uśmiechnął się chorąży. – A czemu uważa pan, że my się nadajemy?

– Bo nie jestem głupi. Z jakiegoś powodu wylądowaliście blisko trasy naszego przelotu. Z jakiegoś powodu kapitan po was poleciał. Za dużo tych „jakichś powodów” dla takiego starego wróbla jak ja.

– Myśli pan, że jesteśmy podstawieni? – zdumiał się Drygieł.

– E, gdzie tam! Podstawieni. Phi! Już widzę ten spisek polegający na tym, że ktoś budzi Tiamat, zabija setki tysięcy ludzi na Kaliope i niszczy pół księżyca tylko po to, żeby was dwóch ulokować na

pokładzie „Czarnej Sary”! – Kapral zaśmiał się szyderczo, ale naraz spoważniał i pogłaskał nastroszone wąsiki. – Chociaż... – szepnął. – Gdyby skarb okazał się niewyobrażalnej wartości...

– Ale skoro nie jesteśmy podstawieni, to co? – przerwał mu gniewnym warknięciem Hoygren.

– To wtedy – Długi Jan Kapral uśmiechnął się przebiegle – przywieźć was tutaj mogło przeznaczenie. A to potężna moc.

Adama rozbawiło to wpisanie jego paskudnej przygody w jedną z popularnych mistycznych kosmologii, natomiast jego przyjaciel zareagował gniewnie. Nakrzyczał na Długiego Jana, po czym wypchnął go za drzwi, za którymi długo jeszcze gromił namolnego pirata. Poniewierał nieszczęsnym do tego stopnia, że Drygłowi aż żal się zrobiło Kaprala. Uchylił zatrzaśnięte przez przyjaciela drzwi i ujrzał, że Petyr, najwyraźniej nazbyt porwany wściekłością, krzyczy już w przestrzeń, opieprza pusty korytarz, swoją furję obracając akurat przeciw jednej z lamp.

Pirata nigdzie w pobliżu nie było.

– Poszedł już – spróbował uspokoić przyjaciela Drygieł. – Czmychnął.

– I dobrze! – rozległ się znajomy głos z sąsiedniej kajuty. – Bo bym mu lutnął! Ale jak wy dwaj nie przestaniecie się wydzierać...

Drygieł czym prędzej zaciągnął Hoygrena do kajuty, posadził na pryczy, po czym zaczął uspakajać. Petyr ochłonął wreszcie i chyba nawet się zawstydził.

– Przeznaczenie! – mamrotał. – Co oni wiedzą o przeznaczeniu... Powiem ci, że mam dość tych wszystkich predestynacji, losów zapisanych w kontraktach, przeklętych sideł, które wszyscy na nas

zastawiają! Rodzisz się, człowieku, a tam już na ciebie czyhają. Wszyscy! Ludzie, bogowie, państwa domagające się patriotyzmów, firmy wymagające świętych lojalności... A potem wreszcie strażnicy podpisanych przez ciebie cyrografów. Dostyc mam tego wszystkiego! Gdybym wiedział...

Ukrył twarz w dłoniach i nie odzywał się długo. Wreszcie odsapnął, położył rękę na ramieniu siedzącego obok niego Adama i oznajmił:

– Jedno, co mi w życiu wyszło, to ta nasza przyjaźń, chłopie. Nie zostawię cię samego.

Po czym odwrócił się do chłopaka plecami i zasnął.

Jeśli wtedy Hoygren odnalazł jakiś rodzaj spokoju, to Drygiel zgubił go ostatecznie. Po kolacji śniły mu się rzeczy straszne. Musiał, widać, przejąć się wszystkimi tymi opowieściami, bo śnił o wędrówkach po labiryntach zamieszkałych przez postacie z legend i opowieści. Ścigał go tam przeklęty Kutrzeba z zastępem swoich siepaczy, ścigała jakaś mroczna postać szarpiąca wciąż za sznury, pętające wszystkich, których znał. Mignęła mu nawet gdzieś Marika, smutna, chyba dręczona przez kolejną z niezliczonych wersji Kutrzeby. Chorąży chciał ją ratować, ale wpadł w jakieś sidła, z których wybawił go dopiero Petyr.

Adam obudził się z tego koszmaru z krzykiem, by ujrzeć pochylonego nad sobą przyjaciela. W pierwszej chwili przestraszył się jego twarzy – dziwnej, nietypowej dla hulaki i bawidamka, bo nadzwyczaj spokojnej, skupionej.

– Krzyczałeś – oznajmił Hoygren. – Musiałem cię ostro szarpać za ramię, żebyś się obudził. Co to był za koszmar?

– Bitewny – skłamał Drygieł, odruchowo, sam się sobie dziwiąc. – Spadałem.

– Bitewny. – Hoygren skinął głową. – Mnie też się takie śnią. To, co przeżyliśmy, wychodzi z nas we śnie. Spróbuj zasnąć znowu i śpij spokojnie.

Niestety, jego życzenie nie miało mocy sprawczej.

Choć Drygieł nie śnił tamtej nocy o bitwach, chyba że o takich, które toczył z Kutrzebą, ostatecznie trafił w końcu w środek jednej z nich. Samotnie, z pokładu „Czarnej Sary” obserwował właśnie, jak Tiamat rozkłada skrzydła, odbija się od Kaliope i rusza naprzeciw rojowi zjednoczonych flot, które zebrały się w Pasie Asteroid, by pospieszyć z odsieczą Subukładowi Jowisza.

Burzymur Siwobrody także odebrał ów sygnał przywołania dla wszystkich okrętów każdej z flot znajdujących się na tyle blisko, by przybyć do punktu zbiorczego w ciągu tygodnia, a potem wyruszyć ku legowisku bogini. Wzywano każdego: okręty wszelkich korporacji, Strażników Pasa, ale też i piratów, którym obiecano amnestię za udział w odbiciu Subukładu Jowisza.

– Amnestia byłaby niezła – mruknął kapitan „Czarnej Sary”, zapoznając się z treścią wezwania.

– Moglibyśmy wtedy wrócić na Ziemię... – westchnął kucharz Chińczyk i zaraz uciekł, bo Burzymur jak zwykle na wspomnienie o Ziemi wpadł w szał. Zaczął przeklinać, potłukł kilka garnków, a gdy się uspokoił, oznajmił, że wszyscy tu obecni, może za wyjątkiem gości, powinni zapomnieć o Ziemi, jeśli chcą w ogóle myśleć o służeniu na „Czarnej Sarze”.

– Ale do Subukładu Jowisza polecimy – oznajmił. – Nie dla

amnestii, a po sławę.

I tak właśnie piracki galeon, wraz z całą masą innych okrętów, znalazł się w pobliżu Kaliope. A chorąży Adam Drygieł wraz z nim.

Uznał, że tak właśnie być powinno, że historia, która zaczęła się tu miesiąc z kawałkiem wcześniej, powinna zostać domknięta. Jak wszystkie historie. Pozostawienie ich otwartymi psuło rzeczywistość, przyczyniało się do powstawania chaosu w i tak dość zabałaganionym świecie.

Ostatnio coraz częściej miewał takie myśli. Nie rozumiał, dlaczego. Może dorósł po katastrofie, spowaźniał? Zaczął patrzeć na świat inaczej, jak na pełnię, coś dążącego do porządku albo przynajmniej zachowania pewnego wzoru? A może to wszystko przez te dziwne sny o Kutrzebie i jego misji?

Usłyszał nawoływanie. To przez uchyloną klapę prowadzącą pod pokład nawoływał go Hoygren.

– Wracaj tu, durniu! – krzyczał. – Pole wokół statku chroni nas przed próżnią, ale nie przed atakami! Schowaj się!

– Stąd lepiej widać! – odparł spokojnie Drygieł, nie ruszając się z miejsca.

– Dureń! Drań! – wrzasnął Petyr, ale nie zatrzasnął klapy, lecz wybiegł na pokład. – Gdzie ty, tam i ja – oznajmił. – Ale jak nas obu zabijesz, będę cię ścigał przez wszystkie kręgi piekła!

Pierwsi uderzyli Strażnicy Pasa w swoich śmigłych ścigaczach.

Początkowo lecieli prosto na boginię, zmierzającą ku nim z rozczapierzonymi skrzydłami i rozwartym, gotowym do wydania straszliwego ryku pyskiem. Ścigacze przyspieszyły bezgłośnie; podległe prawom klasycznej fizyki nie zmieniły kursu natychmiast,

lecz rozproszyły się po łagodnych łukach. Nie uderzyły w Tiamat, ale otoczyły ją – i dopiero wtedy zaczęły nękać atakami raketowymi, wściekłymi seriami wielokalibrowych karabinów kinetycznych oraz salwami dział dziobowych, także walących seriami pocisków przystosowanych do korzystania z kilkutonowych taśm.

Nie zatrzymali jej.

Bogini wciąż leciała ku głównym siłom floty. Rozwarła pysk na całą szerokość i Drygieł zrozumiał, że zaraz wrzaśnie. Odruchowo osłonił uszy dłońmi, jakby to mogło w czymś pomóc.

Nie wrzasnęła. Wielkie, ciężkie pancerniki Wiecznego Majestatu Imperium, krążowniki Transportu Galicyjskiego i niszczyciele Santa Muerte – wszystkie wielkie okręty prowizorycznej, zwołanej ad hoc armii wystrzeliły równocześnie. Rakiety o jądrowych ładunkach zdolnych spopielać miasta, przekleństwa o mocy jeszcze potężniejszej, białe ciągi plazmy i bezmózgie twory fidezyjne: wszystko to runęło na Tiamat w jednej chwili.

Adamowi wydało się, że w Subukładzie Jowisza rozbłysło nowe słońce. Oderwał dłonie od uszu, by zasłonić oczy, ale było już za późno. Ta salwa, najpotężniejsza w historii ludzkości, oślepiła go. A co gorsza, teraz jeszcze ogłuszył go huk.

Padł na kolana, dziwiąc się, że cokolwiek jeszcze słyszy. Zdawał sobie sprawę, że to nie silniki okrętów ani eksplozje czyniły ten rozchodzący się wokół „Czarnej Sary” hałas. Podległe klasycznej fizyce bronie i napędy pozostawały wierne jej prawom. Ale przekleństwa miotane przez okręty Santa Muerte oraz syntetyczni prawie-bogowie pełniący rolę pocisków nie przejmowali się

zasadami nauk przedkresowych. Na wpół żywe pociski fidezyjne, owi niemalże bogowie, pozbawione świadomości żywe torpedy, ryczały w zaprogramowanej furii; przekleństwa pękały wokół Tiamat z ogłuszającym hukiem. Wystrzeliwane przez okręty Wiecznego Majestatu Imperium banshee otaczały boginię wyjącem przejmująco rojem.

Drygieł poczuł, że przyjaciel go dokądś ciągnie. Dopiero gdy odgłosy walki przycichły nieco, zrozumiał, że Petyr zawlókł go pod pokład.

– Leż! Leż! – Choć Hoygren wrzeszczał mu prosto do ucha, Adam ledwo go słyszał. – Leż, kurwa!

Choraży spróbował się wyrwać. Chciał wiedzieć, jak przebiega walka. Chciał ją widzieć.

Tarł oczy, ale wzrok nie chciał powrócić. Przestraszył się, że oślepnął na zawsze. Zaszlochał. Jak to tak? Oślepnąć, gdy się jeszcze niczego nie dokonało? Od samego patrzenia na bitwę? Żeby choć stracić wzrok w jakimś heroicznym czynie! Ale ponieść taką stratę tylko dlatego, że zachciało się zostać widzem w pierwszym rzędzie?

Poczuł szarpnięcie. To „Czarna Sara” przyspieszyła.

– Ruszamy! – krzyczał Hoygren. – Burzymur nareszcie zdecydował się przyłączyć do walki!

Rozdział dwudziesty czwarty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju, Belgrad

Pierwszym, co zobaczył po przebudzeniu, była twarz jak ze snu: pociągła, śniada, o ogromnych, chyba nieludzkich, ciemnobrązowych oczach. Wąskie, a przecież wyraziste usta otworzyły się, ukazując równy rząd białych zębów, wśród których znalazły się i ponad miarę wyrosnięte kły. Zaraz potem Kutrzeba usłyszał krzyk.

– Wrócił! Wrócił!

Zamrugnął, skrzywił się. Przymknął na powrót oczy, jak mu się zdawało na sekundę, może na trzy. Ale chyba musiało to trwać dłużej, bo gdy je otworzył, wokół niego kotłowało się od ludzi. Byli wśród nich lekarze i pielęgniarki w białych kitlach, i jakieś zwiewne zielonowłose panny i wróżki mniejsze od dłoni.

I księżę Marko.

– Wróciłeś – oznajmił przywódca serbskiego podziemia, gdy wszyscy ci, którzy starali się przywrócić Kutrzebę do życia, nareszcie odstąpili. – Niech to szlag, wróciłeś! Myślałem już, żeśmy się spóźnili.

– Bo się spóźniliście – szepnął Mirosław.

Uniósł dłonie, by się im przyjrzeć. Poowijano je bandażami tak dokładnie, że nie był w stanie rozczapierzyć palców. Zrobili to dla jego dobra czy po to, by trudniej było mu się w razie czego bronić?

– Twoje rany długo nie chciały się goić – wyjaśnił księżę. – Kilka

razy musieliśmy przetaczać ci krew. Nieźle cię urządzili ci janczarzy. Dałeś im radę, ale kiedy przybyliśmy, kiepsko już z tobą było. A potem jeszcze...

– Potem co?

– Myślałem, że ty mi wyjaśnisz. Zniknąłeś na trzy sekundy. Ta czarna, którą trzymałeś na rękach, rozsypała się w pył, a ty zniknąłeś. Trzy sekundy byłeś niewidzialny... To znaczy, tak nam się zdawało, bo wiła, którą zabrałem ze sobą, mówiła, że po prostu przestałeś istnieć. Albo zniknąłeś ze świata. Nie jest pewna. Pamiętasz coś?

– Nic a nic – skłamał. – Tylko to, że zwlekałeś.

– Słuchaj... – Marko usiadł na łóżku Kutrzeby. – Nie chcę, żeby była między nami krew. Mógłbym cię teraz zabić, wiesz?

– Nie mógłbyś.

– Nie? Zerwiesz teraz bandażę, gołymi rękami zabijesz moich ochroniarzy, a potem mnie?

– Przyjąłeś mój dar. Są zasady, nie?

– Są zasady. – Książę skinął głową. – W ich imię wyrwałem cię z tamtej knajpy, nim właściciel zdążył zadzwonić po gliny. Potem ukrywałem cię i leczyłem, gdy byłeś nieprzytomny. I w ich imię zapewnię ci bezpieczny powrót do domu, żebyś mógł zameldować swoim o tym, że między nami sojusz. Jak widzisz, przestrzegam zasad. A że zwlekałem... To twoja wina. No, nie szarp się! Dziwnie grałeś. Dalej nie wiem, co właściwie chciałeś osiągnąć. Kręciłeś z Sabriye, z Wierą, ze mną... Nie wiedziałem, z kim naprawdę jesteś szczery. Wiera wiele obiecywała. Wiele też opowiadała o tobie. Musiałem się przekonać. Jak ta twoja zabójczyni zabiła Wierę...

dobra była.... a ciebie dorwała Sabriye, zajęło mi trochę czasu ustalenie, dokąd cię zaciągnęła. Nie odwiedziła żadnej z met, które znaleźliśmy. Dlatego tyle to zajęło.

– Myślałeś, że możesz zaufać agentce Wiecznej Rewolucji?

– Nie była agentką czerwonych. No dobra, była, ale nie do końca. Słuchaj, panie kurierze, narobiłeś sobie wrogów. Czemu się nie dziwię, odkąd zobaczyłem, jak działasz. Nie jestem ci nic winien, ale tobie się wydaje, że zawałem. Dlatego ci to wyjaśnię. Nakrzywdziłeś ludzi po całym świecie. Wielkich i maluczkich. Ci wielcy jakoś to przełknęli, bo oni grają w inne gry niż ty. Uznali cię za pionka, a oni nie mszczą się na pionkach, jeśli nie mogą sięgnąć przez nie do wielkich figur. Więc nie ścigają cię specjalnie, jeśli sam nie wchodzisz im w drogę. Ale widzisz, pozostali ci maluczcy. Ci, o których może nawet nie pamiętasz. Jakaś wykorzystana do przygotowania zabójstwa, a potem porzucona kobieta. Jakiś drobny bóg, który boleśnie zapłacił za udzielenie ci pomocy. Jakiś złodziej, którego wystawiłeś przy skoku, i któremu ktoś pomógł uciec z więzienia. Siostra drobnego partyjnego szczura, który całkiem nieźle ułożył sobie życie w kołchozie, ale został przez ciebie wykorzystany, potem pokonany, a na końcu puszczony żywcem. Ty wiesz, jak go urządzili komisarze, gdy sprawdzali ponad wszelką wątpliwość, że nie jest twoim szpiegiem? Jesteś jak kamień, który spadając, porusza lawinę. Ciągniesz za sobą ludzkie nieszczęścia, których nawet nie zauważasz.

– Prawo zemsty – szepnął Kutrzeba.

– Co?

– Prawo krwawej zemsty. Koniec twojej zawsze jest początkiem

zemsty kogoś innego. Ale nie myślałem, że ruszą za mną, nim dokonam dzieła. A mnie został jeszcze jeden!

– Ale paru wcześniej zabiłeś, nie? A oni mieli żony, dzieci, rodzeństwo. Od ilu już lat tak się mścisz?

– Wystarczająco długo.

– Jakby było wystarczająco, to już byś przestał.

– Został mi jeszcze jeden.

– Mam nadzieję, że nie tu. Nie w Belgradzie, nie w Serbii. Niech to szlag, nawet nie na Bałkanach! Bo wolałbym, żebyś się zabierał stąd w cholere. Jesteś okiem pieprzonego cyklonu, panie kurier. Ty nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, co rozpętujesz, prawda? Tobie się wydaje, że grasz ze światem w swoją prywatną grę. Że jesteś jak inni opętani żądzą zemsty faceci, którzy gnają przed siebie, byle do celu, a potem umierają spełnieni, gdy ktoś skrzywdzony mści się na nich. Ale to tak nie działa w twoim przypadku. Nie wiem, czemu. Może to przez tę twoją zmore? Słyszałeś, żeby ktoś oprócz ciebie taką miał? Bo dla mnie to pierwszy przypadek w historii. A pochodzę ze światowej stolicy krwawej zemsty! Furda tam Sycylia z jej vendettą. My się od stuleci bijemy z Albańczykami, którzy prawa zemsty, prawie identyczne jak nasze, spisali w ludową konstytucję, którzy oficjalnie płacą podatek krwi, gdy wyruszają się mścić, i burzą domy tych, którzy nie dochowali wierności zemście. U nas prawie wszystkie pieśni o niej traktują. Mszczą się u nas całe wsie, całe pokolenia, całe narody! Ale nikt nigdy nie słyszał o takim demonie, jaki cię opętał. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Rozumiem. I lepiej przestań mówić o Niej.

– Bo zerwiesz bandażę, co? Zobaczyłbyś, że ci pod nimi łapy krwawią, co, prawdę mówiąc, trochę mnie uspakaja. Inaczej bym do ciebie nie podszedł bez armii ochroniarzy. Ale dobra – Marko uniósł dłonie – więcej o niej nie wspomnę. Ale że ciągle jestem ci coś winien, to wysłuchaj mnie jeszcze przez chwilę, nim się zabierzesz stąd w cholerę. Oby. Puścimy cię, wiesz, choć mamusia chciałaby, żeby cię zabić. No, ale ona też wie, że nie może. Zasady.

– Mrugnął.

– Przywołałeś dzinna?

– A wiesz, że nie? Ten kawałek od ciebie rzeczywiście jest ostatni i rzeczywiście autentyczny. Ale jakoś się z tym nie spieszę. Na razie, dzięki tobie, pozbyliśmy się ostatniego dziecka Ebedi Paszy, jego organizacja poszła w rozsypkę. A sukces przypisano mnie. Zdecydowałem się nie protestować. Twoja pani przetrzebiła siatkę Wiecznej Rewolucji w Belgradzie, i to też poszło na moje konto. Więc na razie mi dzinn niepotrzebny. Wystarczy rozpuszczanie wieści, że go mam.

– Niemądrze. Może o tym usłyszeć. A wtedy przybędzie, by zlikwidować zagrożenie.

– Wtedy skleję lampę do końca. Ale po tym, co z tobą przeżyłem, nie spieszy mi się do wielkiego demonicznego zamieszania. Bo tym właśnie jesteś. Wiesz, że Wiera i jej kumple, prawdziwa międzynarodówka, mówię ci... oni założyli coś w rodzaju bractwa.

– Na moją cześć?

– Na twoją zgubę. Może nie na śmierć, bo widzisz, oni są strasznie pokręceni. Rewolucja chciała dostać twoją Zmorę żywcem. Bo im też z nią coś nie pasowało. Ale i ciebie chyba nie chcieli zabijać. Oni

mają cię za coś w rodzaju boga.

Po raz pierwszy od przebudzenia Kutrzeba roześmiał się. I to roześmiał szczerze.

– Pieprzysz!

Roześmiał się i księżę. Ale bez śladu szczerości w głosie.

– Chciałbym. Widzisz... Wiesz, jak jest z krwawą zemstą. Z całą tą ludową kosmologią ładu i wyrwanej w nim dziury, którą trzeba załatać magiczną mocą krwi.

– Z grubsza.

– No więc oni w to wierzą. No jasne, muszą, teraz to jedno z praw wszechświata. W każdym razie uważają, że ktoś naruszył jego ład, zabijając twoją rodzinę i niszcząc wasz mały kosmos, będący częścią większego kosmicznego ładu, który od tego czasu też jest zaburzony. Więc ty jesteś ten dobry, ten naprawca ładu, jak każdy mściciel.

– To zawsze wiedziałem.

– Kpij sobie, kpij. Dobrze, że wracasz do zdrowia, szybciej się cię pozbędę. Ale jest też druga strona medalu. Słuchaj, normalnie mściciel naprawia zburzony ład krwią zabójcy. Tym samym sam narusza ład innej rodziny. I tak może się to ciągnąć bez końca. Ty jesteś równocześnie mścicielem, który naprawia, i zabójcą, który rozrywa ład. Nie kończysz zemsty, nie zamykasz rytuału i świat nieustannie krwawi. To całe bractwo ma hyzja na twoim punkcie. Wiera mówiła mi, że ich stworzyłeś. Jakąś babę w Kielcach wyrwałeś z marazmu, Wierę zmieniłeś z zahukanej nauczycielki w kolchozie w seksowną superagentkę... Tak na to patrzę.

– Świry.

– Świry – zgodził się ochoczo książkę. – Ale jakie to ma znacznie w świecie, w którym religie, nawet najgłupsze, stają się rzeczywistością? Jeśli oni będą w ciebie wystarczająco mocno wierzyć, to kto wie? Piszą o tobie książki, prawda?

– To oni?

– Oni albo jacyś przypadkowi wyznawcy. Powiedz, nie czułeś ostatnio, że się zmieniasz? Zawsze robiłeś taki bezmyślny rozpad jak tutaj? Wiesz, jak działa wiara. Mogą na ciebie wpływać, nawet jeśli o tym nie wiesz.

– Jezu, co za pieprzenie! Nie można zmieniać człowieka pisząc o nim książki!

– Człowieka rzeczywiście nie.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i to Kutrzeba pierwszy odwrócił wzrok.

– Masz dla mnie jeszcze jakieś rewelacje? – warknął.

– To właściwie już wszystko. Lekarze twierdzą, że jesteś już gotów do podróży. Kupiłem ci bilet na pociąg do Bukaresztu. Stamtąd pojedziesz do Budapesztu i dalej, do Krakowa. Czterech moich najlepszych ludzi będzie cię ochraniać, aż opuścisz moje miasto.

– Obejdzie się.

– Wiem, że ich nie chcesz. Ale jej nie ma już z tobą. Może doliczyłeś jej śmierć do swojej prywatnej listy, nie wiem. Ale już nie jesteś tak niezniszczalny, jak byłeś. A ja dodatkowo będę miał pewność, że naprawdę wyjechałeś.

– Możesz sobie tę swoją troskliwość wsadzić...

– I tobie też wszystkiego dobrego.

Książę Marko wstał, uklonił się i skierował ku drzwiom. Jeszcze odwrócił się w progu.

– Nie myśl, że nie jestem ci wdzięczny. Ta Wiera... Prawie mnie opętała. Może świat potrzebuje takich szaleńców jak ty, których żadna miłość, żadne uwodzenie opętać nie zdoła? Nie chcę cię tu, panie Kutrzeba, ale wdzięczny jestem. Słuchaj, Rozalska próbowała mnie zwerbować, mówiąc, że skoro z tobą współpracuję, to już jestem wciągnięty w twoją opowieść. Że teraz stałem się pionkiem na szachownicy twojej zemsty. I że jeśli nie pomogę cię zniszczyć, to prędzej czy później ty zniszczysz mnie, jak niszczysz wszystkich swoich wrogów i przyjaciół. Mówię ci to na pożegnanie nie po to, by ci dopiec, lecz by cię ostrzec. Jej bractwo będzie się starało dotrzeć do wszystkich twoich sojuszników i pozyskać ich tak, jak starało się pozyskać mnie. Strzeż się swoich kompanów, panie Kutrzeba. Tyle chciałem ci powiedzieć. Żegnaj. Obyśmy się już nigdy nie spotkali.

Rozdział dwudziesty piąty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Kraków

Baśka nie wytrzymała w samochodzie. Wysiadła, oparła się o maskę i paliła papierosa za papierosem. Pięć niedopałków walało się pod jej stopami, gdy Korycki wrócił nareszcie od Nowakowskiego. Nim podszedł do mścicielki, zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na gołębie krążące nad fortem. Dwa oderwały się od stada. Jeden powinien mieć list od niego. Ciekawe, jaką i do kogo wiadomość niósł ten drugi?

– I co ci powiedział ten twój kosmita? – zapytała Baśka, wychodząc mu naprzeciw.

– Nie lubisz Marsjan?

– W dupie mam Marsjan. Ale ten zetknął się z Mirkiem. Powinnam z nim pogadać.

– No to idź tam. Daj mu w łeb gazrurką, potem zwiąż go, powieś głowę w dół i opowiedz mu swoją historię. Daję głowę, że z miejsca się do ciebie przyłączy.

– Do nas.

– Co?

– Do nas się przyłączy, nie do mnie. Teraz jesteś nasz. Nie zapomniałeś chyba?

– Do nas... – Skrzywił się. – Ja nawet nie wiem, kto to jesteśmy ci cali „my”. Ty, Żelazny Marcin i kto jeszcze?

– I ty.

– I...?

– Nie myśl, że ci ufam. – Zmrużyła oczy. – Tobie się ciągle zdaje, że ty jesteś gracz. Jak przejrzysz na oczy, może się polubimy. Ale na razie wiesz tyle, ile ja chcę, żebyś wiedział. Wsiadaj do samochodu.

– Dokąd jedziemy?

– Zobaczysz! Jako nieboszczyk nie masz chyba wielu umówionych spotkań, co?

Wsiadł więc posłusznie. Nieboszczyk, dobre sobie. O tym, że żył, wiedzieli już Nowakowski z Czusem, wiedziała Baśka i jej banda. Czy istniał jeszcze ktoś, kto o tym nie wiedział?

Prócz jego dzieci, oczywiście.

Opadł na siedzenie i przymknął oczy, wspominając, jak pięknie i prosto żyło mu się, gdy dopiero przybył do Krakowa. Owszem, nie był to wtedy raj na ziemi. Ciągle szalały wojny Kresu, a za murami miasta łatwiej było spotkać demony niż ludzi. Kraków był wówczas twierdzą, przez całe lata odpierającą szturmy tak potworów, jak i band zdesperowanych i odmienionych ludzi. Gdy rozpoczął się czas Pokoju, wcale nie było dużo lepiej. Nawet między dzielnicami należało podróżować ze zbrojną eskortą, a na rozpościerających się poza miastem spustoszonych ziemiach przez lata panowały bandy rzezimieszków.

A jednak Koryckiemu żyło się wtedy lepiej. Odszedł z wojska, gdzie pod koniec służył w żandarmerii, wstąpił do krakowskiej policji. Zaliczył epizod ze specjalną sekcją zajmującą się sprawami bóstw i demonów, zyskał wtedy i stracił przyjaciół. Wówczas też

wkroczył na ścieżkę, którą podążał do dziś. Może dlatego tak łatwo przychodziło mu zrozumieć Kutrzebę, a teraz tę całą Baśkę, że kiedyś sam miał parę rachunków do wyrównania?

– Nad czym tak dumasz? – odezwała się mścicielka znad kierownicy. – Jak mnie zdradzić, jak każdy facet w moim życiu?

– Za mężczyznami też nie przepadasz, co?

– Nie spotkało mnie nigdy z ich strony nic dobrego.

– Musisz się zdecydować. Albo mężczyźni przed Kutrzebą cię wykorzystywali i Kutrzeba dał ci siły, by się od nich wyzwolić, albo Kutrzeba cię wykorzystał i wyrwał z czułych rąk troszczących się o ciebie kochanków.

Zahamowała gwałtownie, aż poleciał przed siebie; wyciągnął rękę, by nie uderzyć twarzą o przedni fotel. Zabolalo. Jacyś przechodnie, zmierzający Parkową ku Rynkowi Podgórskiemu, obejrzeni się z niepokojem na samochód, którego hamulce wydały tak przeraźliwy pisk, że aż gołębie zerwały się z drzew w Parku Bednarskiego.

– Wszystko to były skurwysyny! – ryknęła Barbara, odwracając się ku generałowi. – Każdy na swój sposób. Tamci gnoje mieli mnie za nic i przez to ja sama też miałam siebie za nic. A Mirek... On mi tyle obiecał...

– Słowo ci jakieś dał?

– Słowo! – fuknęła. Twarz miała czerwoną ze złości, a w jej oczach migotał cień demona mieszkającego w duszy. – Słowo! A on by dał?! On?! Tak uważał, skurwiel, żeby się w nic nie zaplątać! Nie! On gestami, pieszczotami obiecywał! Tak, dał mi siłę! Siłę, żebym go pokochała! A jak już nie byłam mu potrzebna, to kopnął mnie w dupę, żebym z powrotem wpadła w gnojowisko. Tak mnie, kurwa,

wyzwolił ten twój Kutrzeba!

– A nie zostawił ci wystarczająco dużo pieniędzy, żebyś stanęła na nogi?

– Pieniądze! – Tyle pogardy zmieściło się w jej głosie, że gdyby w pobliżu przebywał akurat jakiś zdolny fidezyta, zdołałby z niej pozyskać wcale zgrabny ładunek energetyczny. – Wiesz, co z nimi zrobiłam? Splotłam z nich tę linę, na której go powieszę. Za jaja.

– Wyraźnie się nie zrozumieliście – odezwał się Korycki, odczekawszy chwilę, aż czerwień zaczęła powoli spływać z twarzy Baśki. – On cię nie kochał. Nie umie. Pożegnał cię, jak potrafił najlepiej. Wiem. – Uniósł dłonie, by powstrzymać ją przed kolejnym atakiem. – Zrobił głupio. Może nawet podle. Ale to nie wina kaleki, że nie potrafi poruszać się jak inni ludzie.

Patrzyła, jakby chciała rzucić się na niego i przegryźć mu gardło. Potem zamknęła oczy, odetchnęła głęboko.

– Czemu ty go tak bronisz, co?

– Porwałaś mnie. Ten twój wielkolud mnie obił. Nie, czekaj, daj wytłumaczyć do końca! Potem powiedziałaś, że przyjmujesz mnie do jakiegoś spisku przeciw Kutrzebie i zaraz zgodziłaś się zawieźć mnie tam, dokąd chciałem. Teraz jedziemy nie wiadomo gdzie. Wybacz, Basieńko, ale to wszystko jest strasznie grubymi nićmi szyte. Będziemy jeździć całymi dniami po Krakowie, aż zapałamy do siebie uczuciem? Nie zapałamy. Więc posłuchaj, nie bronię Kutrzeby, jedynie tłumaczę ci złożoność świata. Żebyś zrozumiała, że ani trochę nie wierzę w tę bajeczkę, w której środku mnie umieściliście. Jest zbyt prostacka, zbyt głupia.

– Więc dlaczego ze mną jeździsz? – zapytała spokojnie, tak

spokojnie, że aż zaczął się zastanawiać, czy nie celuje w niego jakiś snajper ukryty w Parku Bednarskiego. Bo obie dłonie Baśki zaciskały się na kierownicy: jedyne, czym mogła go zabić, to wzrokiem.

– Z ciekawości.

Odetchnęła głęboko. Pokręciła głową.

– Wydajecie mi się obaj tak podobni, że aż mam ochotę strzelić cię w pysk – odezwała się już spokojniej. – Trzy dni temu Kutrzeba miał zginąć. Taką otrzymaliśmy wiadomość z Belgradu. Ciebie chcieliśmy dorwać dużo wcześniej, ale wywinąłeś ten swój numer ze śmiercią. Jednak potem pewnego dnia idę sobie przez miasto Krakowską, a tu proszę, ty. Z inną trochę gębą, ale wiesz, że ja nie muszę na gęby patrzeć. Na chybca skleciliśmy tę akcję.

– Eno, nie chcesz chyba powiedzieć, że dałem się załatwić ot tak, z marszu...?

Uśmiechnęła się. Krzywo, jeszcze trochę ponuro, a trochę złośliwie, ale uśmiechnęła.

– Wielki pan Korycki, stary glina, tajny agent, a dał się załatwić babie i półgłówkowi. Tak, z marszu cię wzięliśmy. Tak na wszelki wypadek, głównie po to, żeby cię mieć pod ręką. Więc rzeczywiście pojeździlibyśmy sobie bez sensu, czekając na wiadomość z Belgradu.

– Ostatnią mieliście trzy dni temu?

– Cztery. Że wszystko gotowe. Że lezie w nasze sidła.

– Kutrzeba, który wchodzi w sidła, to najbardziej zabójcza rzecz, jaką mogli napotkać ci twoi ludzie.

– Mirek sądził, że to on rozstawia sieci. Wiem, że jest groźny. Ale

o nas nie wiedział.

– Czyli w tej chwili może już nie żyć? A Zmora?

– Co do niej są inne plany. Nie twoja sprawa, jakie.

– Jeśli mamy tak jeździć bez celu, to lepiej zaparkuj tutaj i przejdźmy się.

– Po co?

– Możliwe, że zabiliście mi przyjaciela. Tak, wiem! Wroga, drania, pasożyta. Ale przyjaciela też. Chętnie się przejdę, jeśli nie mamy nic innego do roboty.

Nie powiedziała nic, ale zawróciła i zaparkowała nieopodal wejścia na stadion klubu Korona. Musieli potem zejść kilkanaście metrów coraz bardziej stromą ulicą ku bramie do parku.

– Nie twierdziłam, że był twoim wrogiem – odezwała się Baśka, gdy mijali niewielki piętrowy domek, przycupnięty przy porośniętym drzewami wzgórku. Wkraczali teraz w nieckę wyrwaną z wapiennych skał, szczyrzących się biało dookoła parku.

– Tylko że był zagrożeniem dla nas wszystkich. Ta jego Zmora wykoślawiała mu duszę.

– A twoja ciebie nie wykoślawia?

– Co ty tam wiesz! Czasem trzeba.

– On pewnie też tak myślał.

– On tak ze złości, dla zemsty. Ja dla ratowania świata.

Przysiedli na ławce przy stawie, jesienią i zimą zmienianym w lodowisko. Teraz rządziły nim kaczki, napraszające się dokarmiania. Dwie podpływały ku Koryckiemu i Barbarze, ale trafnie odczytawszy ich nastrój, dały sobie spokój. Inna, udając, że nie dostrzega ludzi, zaczęła pchać się w przybrzeżne szuwary,

robiąc przy tym tyle hałasu, że przepłoszyła stamtąd wszelkie owady i poirytowane żaby.

Długo siedzieli bez słowa. Po śmierci przyjaciela powinno się go wspominać, najlepiej jakimiś miłymi słowy. Ale jak tu znaleźć coś dobrego do powiedzenia o Mirku Kutrzebie?

– Przyjaźń – mruknął generał. – Śmieszna sprawa.

– Co?

– Nazwałem go przyjacielem. Mam pewność, że on by mnie tak nigdy nie nazwał. Ba, sam tak o nim nie myślałem. Do dziś.

– Śmierć tak działa na ludzi.

– Zapominasz, żeśmy obaj umarli – uśmiechnął się. – I wiesz co? Sądzę, że obaj tak samo.

– Nie wierzysz, że nie żyje?

– Jestem pewien, że nie otrzymujecie wiadomości z Belgradu, bo nie ma jej kto wysłać. Jak utrzymujecie łączność?

– Chciałbyś wiedzieć, co? – zmrużyła oczy, w których znów zaczęły tlić się demonie cienie.

– Uzywacie poczty? – Telefony nie działały między miastami, zbyt wiele jeszcze dzikiej mocy pozostało na bezdrożach, by można było pociągnąć linie telefoniczne. Dlatego poczty państwowe stały się prawdziwymi potęgami, chronionymi przez obyczaje i rytuały sięgające średniowiecza, a bywało, że i jeszcze dawniejszych czasów. Gołębie Nowakowskiego osłaniane były tyleż czarami, co umowami, jakie Marsjanin zawierał z organizacjami demonów. Na szczęście dla ludzi potwory zaczęły się ostatnio organizować na sposoby podpatrzone u śmiertelników. Choć wiele demonich związków i quasi-państw pozostawało we wrogich stosunkach z

ludzkością, można było z grubsza ufać umowom, jakie się z nimi zawiązywało. Posłańców państwowych poczt nie atakowały zaś nawet i bez umów. Klątw, jakimi obłożone były listy oraz torby listonoszy, bały się nawet stwory w Wiekuistej Puszczy.

– Wyciągnąłeś mnie tu na zwierzenia?

– Pytam, żebyś sama się nad tym zastanowiła. Jeśli czekasz na pocztę albo na gołębia, to rzeczywiście jeszcze możesz się łudzić, że wam się udało zabić Kutrzebę i jego Zmoreę. – Roześmiał się, klepnął dłońmi po udach i wstał. – Ale jeśli korzystacie z magii i nie macie jeszcze żadnych wieści... A może to telegraf?

– Nie ufamy telegrafowi – bąknęła. – I nie bądź taki radosny. Nie znasz nas! I naszych możliwości.

– Za to dobrze znam Kutrzebę. I Zmoreę.

– Koniec odpoczywania! – warknęła. – Idziemy!

Ruszyła, nie oglądając się za siebie. Korycki stał jeszcze przez chwilę. Zagapił się w niebo, podrapał po głowie. A potem, upewniwszy się, że Baśka nadal gna przed siebie tym szybkim, wściekłym krokiem, zerknął na kaczkę płaczącą się przy nabrzeżnych szuwarach w poszukiwaniu jakichś kaczych delicji.

– Słyszałaś wszystko? – zapytał.

Kwaknęła na odczepne.

– No to leć, melduj Admirałowi, że jak na razie idzie zgodnie z planem. Dopadli mnie ci, których istnienie tylko podejrzewaliśmy. Kompletni amatorzy, jak mi się zdaje. Jestem na tropie.

„Chyba zgodnie z planem – pomyślał. – O ile ten kretyn nie dał się zabić w Belgradzie”.

Rozdział dwudziesty szósty

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

Zamieszanie wybuchło niemożliwe, jak to często bywa, gdy w jednym, może nie ciasnym, ale i tak zamkniętym pomieszczeniu splatają się nici spisków i kontrspisków, by niespodziewanie postawić wszystkich w sytuacji, w której nikt tak naprawdę nic nie rozumie i nad niczym nie panuje.

Bandyci w takich chwilach sięgają po najprostsze rozwiązanie: zaczynają na wszelki wypadek siec i strzelać.

Najpierw, na sekundę albo dwie, zapanowała cisza tak potężna, że mogło się wydawać, jakby zamarł sam czas. Nikt nic nie mówił, nikt się nie ruszał. Możliwe, że wszyscy znajdujący się w przesadnie bogatym pałacu Daniły Bagrowa, Króla Chitrowki, wstrzymali nawet oddech. I nagie, pomalowane na złoto kelnerki, i zbóje z dłońmi wyciągniętymi, by klepać je po pośladkach, i Król, który może miał jakieś swoje plany, ale właśnie zaczynał się orientować, że gasną na jego oczach, i Timur, który jeszcze nie do końca pojał, co się dzieje, i jego partnerka, już nie tak wesoła, nawet jeśli ciągle wykrzywiała wymalowane usteczka w złośliwym a triumfującym wyrazie.

I jeszcze Figura, dotąd tak stanowczo przytykający ostrze kozika do pleców Czchartiszwiliego, obecnie tak zdumiony, że bezwiednie opuścił uzbrojoną dłoń.

Dwie tylko rzeczy poruszały się wśród tych wszystkich posągów. Najpierw była to głowa Miszy Kwakina, która po tym, jak pojawiła się w drzwiach na normalnej wysokości, na jakiej wędrują zwykle głowy ludzkie uczone karków, spadała teraz, ciągle wyszczerzona szyderczo, ku podłódze.

Drugą rzeczą były kocie pazury, które wystrzeliły spod stołu, by wbić się w uzbrojoną dłoń Figury.

Zaatakowany wrzasnął, wypuszczając kozik, i ten jego wrzask przebudził wszystkich.

Czchartiszwili zareagował, jakby działania jego i kota należały do tych starannie zaplanowanych awantur, jakimi szczył się bandyci, którym udało się dożyć starości na tyle późnej, że stać ich na snucie opowieści o tym, jak to niegdyś było lepiej. Odwrócił się błyskawicznie i z taką siłą wyrzwał Figurę w szczękę, że rzezimieszek ani jęknął, tylko wywinął salto, po którym padł pod ścianą niezgrabnie, z rozłożonymi bezwładnie rękami. Równocześnie tajny agent chwycił drugą ręką dziewczynę.

– Za mną! – zawołał i pociągnął Olgę ku drzwiom.

Mieli wszelkie szanse uciec, bo wewnątrz siedziby Króla głowa Kwakina zatrzymała się właśnie posadzce – i rozpętał się chaos.

Dla niewprawnych oczu Rostowny wyglądało to tak, jakby wszyscy skoczyli sobie nawzajem do gardeł, bez planu, jedynie dla czystej radości walki. Dziewczynę otaczał tłum wrzeszczących ludzi, wywracających właśnie stoły i krzesła. Roztrącane na boki złote kelnerki upuszczały bądź wyrzucały w górę tace z całą zawartością. Ciężkie, twarde podeszwy miażdżyły ze zgrzytem srebrne kielichy, kruszyły naczynia. Z kolei szklanice wylatujące

pod sklepienie zataczały lśniące łuki, przy okazji oblewając rozgorączkowane łby winem, piwem i gorzałką.

Upadały świece, których płomienie zaczynały lizać drewniane stoliki w poszukiwaniu dobrego opału. Zewsząd otaczały Olgę wytrzeszczone w wyrazie wściekłości albo w zdumieniu oczy, języki wysuwały się z rozdziawionych ust, pękały już pierwsze szczęki i tryskała pierwsza przelana krew.

Wszystko to, przy całej grozie, wyglądało jednak niezwykle malowniczo. Oldze zdawało się, że farba nie wszędzie nadaża za ruchem, że da się dostrzec smugi, niczym cień starający się dogonić rozpędzoną postać. Zdało się jej też, że za plecami Króla dostrzegła wybuchające krople ciemnej, prawie czarnej farby – kleks powstały w wyniku zbyt gwałtownego pociągnięcia pędzlem. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że musiała to być krew zdradzonego monarchy, przeciw któremu obróciła się cała gwardia.

Poniekąd – przeleciało Oldze przez głowę, gdy przeciskała się między dwoma kalekami, którzy odzyskali nagle wzrok i sprawność wszelkich kończyn – Królowi dana była śmierć w chwale, na wzór Cezara. Sztylety wbijali weń właśnie ci, którym ufał. I jak niegdyś Cezar, tak teraz władca podziemia nie ulegał śmierci z pokorą.

Rycząc wściekle, odwrócił się ku zabójcom. Wykrzykując ich imiona, chwycił pierwszego z nich, by w jednej chwili skrócić mu kark i cisnąć ciałem zdrajcy w kolejnych napastników. Zaraz potem otrzymał kolejny cios, w lewe ramię, ale nie przejął się tym, lecz ciosem pięści tak potężnym, że Olga niemal oczekiwała, że towarzyszyć mu będzie grom, zmiażdżył twarz następnemu z wiarołomnych gwardzistów.

Co dalej się z nim działo, dziewczyna nie zobaczyła. Widok przesłoniły jej dwa wczepione w siebie i próbujące odgryźć sobie nawzajem głowy wielkoludy.

Padły pierwsze strzały. Nikogo nie uspokoiły ani nie wystraszyły, lecz dodatkowo rozsierdziły walczących. Ryczeli coraz zajadlej, nawet ich ruchy wydawały się Rostownie gwałtowniejsze, a ataki bardziej zaciekle.

– Szybciej! – popędził ją Czchartiszwili. – Szybciej, przecież oni na nas patrzą!

Kto? Kto mógł obserwować ich w tej splątanej masie ludzkich ciał?

Nie musiała długo szukać. Pośrodku sali stał Timur i jego drużyna. Jako jedyni zachowywali spokój. To oni strzelali. Zwróceni plecami do siebie nawzajem, tworzyli mały krąg. Każdy z nich trzymał w obu rękach pistolety. Strzelali z nich skupieni, z rozmysłem, kładąc trupem tylko tych, którzy zdawali się zagrażać im bezpośrednio.

Najwyraźniej, domyśliła się Olga, wcześniej wyznaczyli ofiary.

– Tam! – zawołała w tej chwili Wiera, a jej krzyk przebił się przez bitewny harmider. – Tam ucieka ta suka Kutrzeby i jej tajniak! Nie pozwólcie im uciec, towarzysze! Brać ich żywcem!

Teraz i inni ludzie Timura spojrzeli na Olgę. I po raz pierwszy tego wieczoru zawahali się. Łatwo było powiedzieć „brać ich żywcem”. Ale choć zabójców od Rostowny dzieliło może z dziesięć kroków, równie dobrze mogliby się znajdować na drugim brzegu rzeki. By dopaść ofiary, musieli przedrzeć się przez coraz bardziej zwarty w krwawych zapasach tłum morderców i złodziejasków,

pozczepianych ze sobą w indywidualnych pojedynkach na śmierć i życie. Nie dało się po prostu przejść między nimi, trzeba by wyrąbać sobie drogę, siekąc zarówno wrogów, jak i sojuszników, i tylko pogłębiając w ten sposób chaos.

Zadanie Czchartiszwiliego i Olgi było poniekąd prostsze. Oni nie mieli sojuszników między bandytami.

Agent rozdawał więc ciosy na prawo i lewo, okładając przeciwników dziwnym narzędziem, przypominającym jakiś rodzaj pomniejszonego cepa. Czymkolwiek był, okazał się skuteczną bronią. Łamał kości niczym zapałki. Wystarczyło tylko, by musnął czyjąś głowę bądź nogę, a trafiony walił się na ziemię, tracąc w jednej chwili przytomność lub wrzeszcząc z bólu i zapominając o całym świecie.

Dawna, żywa Olga przejmowałaby się ta straszną, krwawą przemocą. Olga malowana jednak doświadczyła własnej okrutnej śmierci i z tego powodu okazywała nieco mniejszą wrażliwość na cierpienie innych. Zwłaszcza gdy byli jej wrogami.

Przeskakiwała nad ciałami nieprzytomnych, a tych, którzy zachowali tyle świadomości, by spróbować ją łapać pomimo ran, częstowała po drodze celnymi kopniakami, starając się trafić w uszkodzone przez Czchartiszwiliego kończyny.

Choć podwładni Timura znajdowali się zbyt daleko, by dopaść zbiegów, wśród walczących byli przecież ich sojusznicy. I ci spośród nich, którzy zdołali się uwolnić od swoich bezpośrednich przeciwników, zareagowali teraz na krzyk blondyny. Przepychali się między walczącymi, a jeśli byli blisko, wyciągali ręce, by schwytać Rostownę lub jej towarzysza.

Jednemu udało się dosięgnąć dziewczynę. Złapał ją za ramię, szarpnął, pociągnął ku sobie. Krzyknęła, tracąc równowagę. Próbując się bronić, puściła dłoń Czchartiszwiliego. Skupiony na walce agent nie zorientował się wystarczająco szybko, że stracił kontakt z tą, którą miał chronić. Olga uderzyła w twarz zbója, który ją chwycił, rozorała mu paznokciami policzek, ale on tylko zarechotał i jeszcze gwałtowniej pociągnął ją ku sobie.

– Wielka pani, a zachowuje się jak zwykła kotka! – zawołał. – Chono, piękna, Kola Słodziak zgarnie za ciebie niezgorszą premijkę!

Nie przejmując się zupełnie zadawanymi przez nią ciosami, przycisnął ją do lewego boku i zaczął ciągnąć ku grupie Timura. Zgięta wpół dziewczyna widziała teraz przede wszystkim ludzkie nogi, z których większość poruszała się mniej chaotycznie, niż można by sądzić. Niemal wszyscy ich właściciele wykonywali dziwny taniec, to posuwając się o krok do przodu, to do tyłu, a czasem odskakując na boki. Wszyscy zachowywali ten sam rytm, czasem tylko łamiąc go szybkimi wypadami.

Kopniaki w tak gęstym tłumie nie przydawały się na nic, chyba że komuś szczęśliwie udało się wcisnąć kolano między uda przeciwnika i zakończyć walkę jednym celnie wymierzonym ciosem. Jeden taki nieszczęśnik upadł na kolana tuż przed Olgą, a twarz miał tak czerwoną, że biel wyłupiastych oczu odcinała się na jej tle szczególnie. Trwało to tylko chwilę, bo po pierwszym ciosie nadszedł prędko drugi. Czyjeś kolano zmiażdżyło nos i wargi klęczącego. Co stało się z nim później, Olga nie wiedziała, bo pociągnięto ją dalej.

Rytm tańca rozpoznawała. Brała przecież lekcje i boksu, i szermierki, by w razie czego być gotową na walkę. Niestety, blisko dwa stulecia ćwiczeń nie zdały się na wiele. Zbyt późno zrozumiała, że korzystała z usług niewłaściwych nauczycieli. Zamiast walki szlacheckiej i honorowej, trzeba się było uczyć zdradzieckiej i podstępnej. No i trzeba było w ogóle nabyć wprawy w prawdziwej walce.

Gdy opryszek złapał Olgę, zareagowała ona nie jak bokser, a jak kompletny dyletant, panienka z pensji. Poczowała wstyd, przypominając sobie ów zadany otwartą dłonią cios. Jej nauczyciel boksu jak wszyscy mężczyźni dziwił się Oldze, że próbuje poznawać dziedziny zarezerwowane dla mężczyzn. Przekonywał kiedyś, że powinna zdać się na broń niewieścia: urodę, urok, manipulację i małe kłamstewka. „No, a w ostateczności paznokcie – westchnął, gdy uświadomił sobie, że uparta dziewczyna nie zamierza ustąpić. – Widzi panienka, paznokcie kobiety potrafią być śmiertelnie niebezpiecznie, jeśli tylko wie się, gdzie je wbijać”.

Nauczyciel mówił wtedy wprawdzie o oczach i różnych punktach na twarzy i szyi, które są szczególnie wrażliwe na ból, ale widok kolana wbijającego się w krocze jednego z walczących podsunął dziewczynie nowy pomysł. Prawą rękę miała wolną, porywacz nie przejmował się jej ciosami. Myśl wprawdzie była niegodna damy i hrabianka Rostowna zaczerwieniła się, gdy podejmowała tę decyzję. Miała jednak nadzieję, że nikomu nie będzie musiała opowiadać, jak udało jej się uwolnić.

To znaczy, o ile jej się uda.

Powędrowała wolną dłonią po nodze opryscha. Sięgnęła jego ud.

Zawahała się. Zagryzła wargi, wściekła i upokorzona, po czym, zamykając przy tym nie wiadomo po co oczy, odnalazła cel poszukiwań. Znów się zawahała.

A potem wbiła paznokcie i ścisnęła z całej siły.

Ryk porywacza, dziwnie piskliwy jak na mężczyznę jego postury, przedarł się przez wszelkie odgłosy walki. Po raz drugi tego wieczora wszyscy zamarli. I ostatni z pozostałych przy życiu gwardzistów, podrzynający właśnie gardło wciąż walczącemu Królowi, i spoceni, zakrwawieni zbóje, spleceni w morderczych uściskach, i nawet Timur wraz ze swoimi ludźmi. Na tę jedną chwilę centrum bitwy przeniosło się w to miejsce, w którym stała wciąż schylona i dzięki temu niewidoczna Olga oraz jej jeszcze przed chwilą oprawca, a teraz już ofiara, wielki, zwalisty mężczyzna, zadzierający łeb w górę, by wyskowyczeć swój ból.

Łapsko puściło Rostownę. Wyprostowała się szybko, by zorientować się, jak daleko odciągnięto ją od Czchartiszwiliego. Był to poniekąd błąd, ponieważ, jak natychmiast się zorientowała, wszyscy patrzyli akurat w jej stronę.

– Ona! – wrzasnęła blondyna. – Tam jest! Brać ją!

I znów czar prysł, a wokół Olgi się zakotłowało.

Wielu starało się ją schwytać, a nikt nie spieszył jej z pomocą. Jeśli jacyś zbóje walczyli przeciw ludziom Timura, to z własnych powodów. Dziewczyna starała się przepychać między nimi. Tym razem rozdawała ciosy staranniej, pamiętając o odebranych lekcjach. Widziała też, że Czchartiszwili przedziera się ku niej. Poczwała, że mimo wszystko ma szansę na ratunek.

Wtedy Timurowi udało się odmienić szanse.

– Daniła zdechł! – zawołał tym swoim głuchym, martwym głosem.
– Król zdechł!

Jakimś sposobem przedarł się przez hałas. Walki nie ustały od razu, nie da się tak po prostu zapanować nad ludźmi usiłującymi pozabijać się nawzajem. Jednak niektórzy zatrzymywali się, obracali głowy. A gdy Timur powtarzał swój okrzyk, dołączali do nich kolejni, trochę zdziwieni spokojem wokół siebie.

I stopniowo, zbyt szybko jak dla próbującej wykorzystać i tę okazję Olgi, fala otrzeźwienia rozlewała się na całe pole bitwy.

– Król zdechł! – powtórzył tonem zupełnie pozbawionym emocji Timur. Nawet jego twarz pozostawała martwa, gdy to mówił. Wyglądał, jakby zupełnie nie przejmował się walką, ranami swoich ludzi i śmiercią wielu z nich. – Od tej chwili ja jestem królem. Potem odbiorę wasze przysięgi. Teraz przynieście mi tamtą dziewczynę. Żywą.

Znów wszyscy spojrzeli na Olgę. Zmartwiała. Była już tak blisko! Może dwa metry od Czchartiszwiliego.

– Biegiem! – wrzasnął agent. – Na miłość Boską, niech pani biegnie!

Ta dziwna broń zawirowała w jego rękach i nagle zrobiło się wokół niego pusto.

Nie wszyscy bandyci uznali nowego władcę. Odszczepieńcy, kierowani odruchem buntu, uznali, że skoro uzurpator chce Olgi, oni muszą jej bronić. Nagle zaroilo się wokół niej od samozwańczych błędnych rycerzy. Odpychali napastników, osłaniali dziewczynę przed ciosami.

Należeli jednak do mniejszości.

Padali jeden po drugim. Olga odkryła, że dwa metry mogą się okazać niewiarygodnie dużą odległością, niemal nie do pokonania.

– Wybacz, piękna – szepnął ostatni z jej obrońców, padając pod ciosem tasaka.

Z jednej strony Czchartiszwili wyciągał ku Oldze rękę, nie przejmując się zupełnie napastnikami, których miał na plecach, z drugiej gęstniał tłum bandziorów. Zrozumiała, że nie ma szans na ocalenie. Trudno. Może jest na tyle cenna dla Timura i jego blondyny, że uda jej się jakoś wytargować uwolnienie? W każdym razie nie zabiją ich od razu.

Odwróciła się ku nowemu władcy podziemia, by zawołać, że się poddaje, i zażądać, by także jej agentowi darowano życie. Otwierała już usta, gdy zorientowała się, że znów coś się zmieniło. Kamienne dotąd oblicze nowego władcy Chitrowki po raz pierwszy wyglądało, jakby próbowało pojawić się na nim jakieś uczucie. Zdumienie?

Szara błyskawica przeleciała pomiędzy Rostowną a bandytą, który już prawie ją schwytał. Mężczyzna wrzasnął. Uniósł dłoń ku dwóm krwawym dziurom, w których jeszcze przed chwilą mieściły się jego oczy. Nagle podobne krzyki zaczęły dobiegać zewsząd.

– Biegiem! – syknął wielki czarny kocur, popychając Olgę ku wyjściu. – Przyprowadziłem koleżków. Ale widzisz, przyjaciółko, oni prędko znudzą się tą zabawą. Biegiem!

– Koty! – zawołała blondyna. – To tylko koty!

– Tylko koty! – parsknął kocur. – Oj, jeszcze poigram z tą myszą!

Rozprawił się z drabem, który próbował jeszcze powstrzymać Olgę; kolejnego ogłuszył Czchartiszwili. Agent chwycił dziewczynę za rękę. Do drzwi brakowało im ledwie paru metrów. Dopadli do

nich i zamarli. Wyjście zagradzała im przedziwna, wielka postać w jaskrawo kolorowej, błyszczącej od złota szacie, ciągnącej się aż do ziemi. Wystawały spod niej zwierzęce kudły.

Stwór musiał się schylić, by wyciągnąć wielkie łapska ku Oldze i Czchartiszwiliemu. Agent uderzył w jedną z nich swoją bronią, ale olbrzym nie przejął się tym atakiem. Warknął, odepchnął napastnika jak muchę. Znow się schylił i wtedy dziewczyna zrozumiała, że drzwi strzegł wielki, tresowany niedźwiedź w cygańskim stroju. Nie był chyba zwyczajny, bo w jego ślepiach błyszczała złowroga inteligencja. Zaryczał triumfalnie na widok Olgi.

– Ja z nim tańcował nie będę! – pisnął Behemot. – Zwiewaj panna! Choćby i przez komin!

Nie uciekł jednak. Zasłonił Olgę, wystawił pazury. Zasyczał tak, że pochylając się nad leżącym pod ścianą Czchartiszwilim dziewczynę aż przeszedł mróz. To nie było zwyczajne kocie syczenie, jakie miała okazję usłyszeć kilka razy w wykonaniu normalnych malowanych kotów, rozeźlonych czyimś zuchwalstwem. To była obietnica śmierci. Nie byle jakiej, lecz pełnej męki śmierci z pazurów łowcy, którego ośmieliło się obrazić. Gdyby pojawiła się tu sama Kostucha, by wycelować kościsty paluch w ofiarę, nie zrobiłaby takiego wrażenia, jak ów koci syk.

Nawet niedźwiedź sprawiał wrażenie przejętego. Choć kot wyglądał przy nim niczym zabawka, potwór zatrzymał się, skierował łeb, sam jeden większy od kocura, ku nowemu przeciwnikowi. Pociągnął nosem.

A potem zarechotał pogardliwie.

– I tyle z broni psychologicznej – miauknął Behemot. – W nogi!

Łatwo było powiedzieć. Kot umknął z zasięgu niedźwiedziej łapy, choć wystrzeliła ku niemu ze zdumiewającą prędkością. Ale Olga pomagała wstawać wciąż oszołomionemu Czchartiszwiliemu. Sama byłaby zbyt wolna, co dopiero z rannym.

– Niech mnie pani zostawi! – stęknął agent.

– Niech pan będzie szlachetnym mężczyzną kiedy indziej! – ofuknęła go. – Nie zostawiam swoich!

Tylko co teraz robić?

Przysięgłaby, że niedźwiedź uśmiechnął się do niej szyderczo. Przepchnął się jakoś przez drzwi, niemal rozsadzając przy tym futryny. Wlazł do wnętrza i zaczął się prostować. Wydawało się, że będzie to trwało bez końca, że sufit okaże się dla niego nie dość wysoki, taki był wielki. Wstawał i wstawał, a Olga, jak zahipnotyzowana, nie mogła oderwać od niego wzroku. Nie ona jedna. I ludzie, i koty, i nawet drużyna Timura – wszyscy wpatrywali się w niedźwiedzia.

Pierwsze ocknęły się koty, co można było poznać po tym, że zniknęły, gdy tylko uświadomiły sobie, że zabawa dobiegła końca i zaraz przyjdzie walczyć o życie. Następna zareagowała blondyna.

– Bierz ją, Borys! – poleciła niedźwiedziowi. – Żywa ma być. Ale możesz się z nią trochę pobawić.

Potwór skinął wielkim łbem. Spojrzał Oldze prosto w oczy, uśmiechnął się po swojemu.

I umarł.

Nie poddał się łatwo. Choć pierwsze trzy kule roztrzaskały mu czaszkę, zdołał odwrócić się ku zagrożeniu. Zaryczał. Wtedy dostał

kolejne kule w pierś i to sprawiło, że cofnął się o krok. Zachwiał się. Plasnął na futrzany tyłek, okryty jaskrawoczerwonymi portkami, aż zadrżał cały dom, a deski podłogowe trzasnęły z hukiem. Tynk wciąż jeszcze sypał się ze ścian, gdy Borys próbował wstać, na przekór kolejnym kulom wgrzyzającym się w jego cielsko.

– Jest i kawaleria! – ucieszył się kot. – Do wyjścia, nim się ockną!

Borys do końca starał się pozostać wierny rozkazowi. Sięgnął ku Oldze łapą, ale teraz tak powoli, że bez trudu mu umknęła. Zaskomlił żałośnie. Znow spróbował się podnieść, ale trafiały go kolejne pociski. Zrozumiał, że umrze, i to bez walki. Nie wgrzyzie się w godnego mu przeciwnika, skona zabijany przez jakąś pchłę, walczącą, jak to ludzie, bez honoru.

Skierował łeb ku Timurowi i blondynie. Przypominające ludzkie łzy ciekły mu z ciemnych oczu, gdy otworzył pysk, wydając zeń bolesną skargę. Po czym skonał.

– Musiałem czekać, aż odsłoni wyjście – zawołał stojący na zewnątrz Szczur, kolejny raz przeładowując pistolety. – Co za bydlę! Ciekawe, jak udało się im go ukryć? Prędko, to jeszcze nie koniec!

Wskoczył na kozioł dorożki. Odczekał, aż Olga z kocurem usadzą na niej Czchartiszwiliego, po czym strzelił batem. Szarpnęło. Próbującą wspiąć się na miejsce obok Szczura dziewczynę odrzut cisnął na fotel obok kocura. Coś świsnęło jej obok głowy. To strzelali ludzie Timura, którzy ocknęli się z osłupienia i wybiegli na ulicę. Rostowna ujrzała, że niektórzy z nich dopadają trzech innych dorożek, zaparkowanych nieopodal królewskiej siedziby.

– Gonią nas! – ostrzegła Szczura.

Rozdział dwudziesty siódmy

*Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,
„Czarna Sara”, Subukład Jowisza*

Ogień rozlewał się po ciele Tiamat. Przekleństwa naruszały strukturę jej łusek, dzięki czemu torpedy jądrowe nie odbijały się od nich, ale wgryzały w tkankę, by eksplodować z kilkusekundowym opóźnieniem. Każda taka eksplozja wstrząsała smoczycą, przerywała wespół jej groźny ryk, w innych okolicznościach mogący sparaliżować instrumenty okrętów.

Małe złośliwe demony, które zwykle nie miałyby z boginią szans, obsiadły obrażenia, by infekować je urokami utrudniającymi gojenie. Wspomagały je ścigacze Straży Pasa, rojące się wokół Tiamat i wypuszczające serie pocisków w każdą z odsłoniętych ran. Tam, gdzie osłabiona w ten sposób skóra stawała się cieńsza, widać było, jak przeświecają przez nią eksplozje kolejnych torped.

A jednak bogini nie poddawała się.

Wyciągnęła łapę i przeorała pazurami bok jednego z pancerników, rozrywając go na części. Symbiotyczne diabły wyskoczyły z bogini, by porwać dusze ginących w próżni ludzi i tkać z nich opatrunki dla smoczycy. Jej ogon wbił się między okręty Santa Muerte i choć nie trafił żadnego z nich, zakłócenia grawitacyjne, jakie wywołał swoją masą, spotęgowaną zaklęciem zwiększającym na sekundę gęstość, sprawiły, że flota meksykańskiej bogini zgubiła szyk. Jej okręty rozsypały się w przestrzeni, a kapitanowie skupili się raczej

na przywracaniu porządku, a nie na atakowaniu Tiamat.

– Zatrutą ektoplazmą w sukę! Salwa z lewej burty! – zakomenderował Burzymur, a sekundę później „Czarna Sara” aż zatrzęsała się od równoczesnej palby trzech szeregów dział.

– Kto je obsługuje? – zdumiał się Drygieł, zaciągnięty na mostek przez Hoygrena.

– Same się obsługują – wyjaśniła Zmyta. – To nawiedzone działa. Spętała w nich dusze.

– Spętała? – zaciekawił się Hoygren. – Kto?

Zmyta nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok, zagryzła wargi.

Adam widział ją po raz pierwszy. Przez całą tę podróż Zmyta zdawała się go unikać, ciągle pełniła gdzieś służbę. A gdy przybywał na miejsce, trawiony ciekawością, jak wygląda jedyna kobieta na pokładzie „Czarnej Sary”, jej już tam nie było. Nie pojawiła się też na żadnym z posiłków. Chorąży stracił wreszcie wiarę w jej istnienie.

Gdy wreszcie ją zobaczył, na jej widok prawie zapomniał o bitwie.

Po raz pierwszy zrozumiał, że istnieją kobiety, których opisać nie sposób. Cóż z tego, gdyby powiedział, że była brunetką, skoro nie znaczyło to nic poza określeniem koloru jej włosów. Że były długie, proste i mocne, opadające na ramiona? To prawda. Taki opis przydałby się policyjnemu portreciście, lecz przecież w żaden sposób nie oddawałby prawdziwej urody Zmytej.

Drygieł mógłby pokusić się o bardziej poetycką próbę oddania tego, co zobaczył. Nawet najbardziej koślawe, niewprawne metafory znaczyłyby więcej niż proste próby oddania rzeczywistego wrażenia. Jednak metafora wymaga odniesienia do jakiegoś

zjawiska, a nie było takiego, które chorąży byłby zdolny połączyć z tym wyglądem. Oczy Zmytej nie wyglądały jak mrok wszechświata, choć istotnie były ciemne, chyba czarne; nie wypełniał ich blask poranka, mimo że dostrzec w nich można było światło, ilekroć spoglądała na kapitana.

Ów brak słów i metafor na opisanie Zmytej brał się stąd, że Drygieł, patrząc na nią, nie myślał, chyba nawet nie czuł, ale chłonał jej obecność całym oniemiałym sobą. A gdy ocknął się na tyle, by zacząć myśleć ponownie, od razu zrozumiał, że Zmyta znajdowała się poza jego zasięgiem. Nie tylko jego, nawet tego łamacza kobiecych serc, Hoygrena. Zmyta urodziła się jako „kapitańska baba” i najwyraźniej świata nie widziała poza kapitanem okrętu, na którym służyła.

Tym smutniejsze było, że on zdawał się jej nie dostrzegać.

– Jeszcze raz skażoną ektoplazmą! – zakomenderował Burzymur i nic a nic się nie przejął tym, że gdy Zmyta powtarzała jego okrzyk, brzmiało to, jakby osiągała właśnie pełnię ekstazy.

– Ten statek jest najbardziej popieprzoną łajbą we wszechświecie – mruknął Hoygren, który także nie potrafił oderwać wzroku od Zmytej.

Tak zapatrzeni, przegapili koniec pierwszej fazy bitwy.

Na nic zdała się potęga Tiamat, jej furia i rozpaczliwe ataki. Bogini zniszczyła cztery pancerniki i prawie jedną trzecią floty Santa Muerte. Pożarła „Noble House”, jeden z najslynniejszych i najbardziej zasłużonych drednotów Wiecznego Majestatu Imperium, który kiedyś samotnie stoczył bitwę na orbicie Fobosa z

ośmioma pirackimi ścigaczami, któremu udało się namierzyć i zniszczyć flotyllę upiorów „Latającego Holendra”, którego kapitanem był ponoć golem zbudowany na szkielecie samego Francisa Drake’a. „Noble House” przepadł wraz z całą załogą w jednym, trwającym osiem sekund rozbłysku, do końca waląc w Tiamat ze wszystkich luf, nawet gdy przepadał już w jej szczękach.

Możliwe nawet, że to on zapoczątkował jej koniec, bo bogini zawahała się wtedy, zamarła na chwilę po eksplozji. A wówczas rozwścieczeni kapitanowie innych drednotów Wiecznego Majestatu Imperium spadli na nią, niesieni przez furję zemsty.

Nie oni jednak zadali ostatni cios.

Czarny statek wyłonił się jakby znikąd. Wyłynął w pełnym pędzie z ciemności, możliwe, że stanowił tylko jej odprysk, splunięcie nieskończonego mroku. Nawet strzelał czarnymi smugami, widocznymi jedynie na tle blasku Jowisza.

– Przybyła „Wrrrrróźda”! – zaskrzeczała z kapitańskiego ramienia Euralia. – „Wrrrrróóóóźda”! Narrrrreszcie!

– Wiem – mruknął Burzymur. Nie wydawało się, by podzielał radość papugi. – Widzę.

– „Wróźda”? – Hoygren szarpnął głową. – Czarny statek? Tak się nazywa? Adam, spójrz!

Drygła okręt mógłby nawet coś obchodzić, gdyby akurat nie patrzył na Zmytą. Dlatego Petyr musiał chwycić go za głowę i siłą skierować ją ku ekranom.

Adam zamrugał zdziwiony. Jakby obudził się z dziwnego snu. Chciał zerknąć jeszcze na Zmytą, ale przestraszył się, że znów ulegnie jej urokowi. Nic dziwnego, że się ukrywała. Gdyby kręciła

się po pokładzie, okręt przestałby pewnie funkcjonować, bo załoga nie byłaby zdolna do wykonywania jakiegokolwiek pracy.

Z drugiej strony, chyba tylko on z Petyrem tak się na nią gapili. Może urok z czasem słabł?

– „Wrrrrrózda”! – darła się nieprzejęta kapitańską obojętnością papuga. – „Wróóóózda”! Hurrrra!

Czarny statek okazał się zadziwiająco niewielki, mniejszy na pewno od „Czarnej Sary”, nie wspominając nawet od drednotach albo krążownikach Transportu Galicyjskiego. Nie dorównywał rozmiarami nawet co większym ścigaczom Strażników Pasa.

Owalny i cokolwiek spłaszczony, szczyrzył na dziobie cztery czarne kły, spomiędzy których strzykał salwami ciemności. Każda z nich dosięgała Tiamat. Choć nie czyniły jej zauważalnych szkód, bogini drżała przy kolejnych trafieniach, wyraźnie cierpiąc od nich bardziej niż od przekleństw Santa Muerte czy torped jądrowych.

– Skondensowana nienawiść – wysyczał Długi Jan Kapral. Oczy mu lśniły, wąsiki drgały nerwowo. Nie mówił do nikogo konkretnie, raczej dawał upust swojej zazdrości. – Rozpacz, żal, wściekłość. Ech, gdybyśmy mieli takie pociski!

Tiamat odwróciła łeb ku pikującej na nią „Wróździe”. Nie ryczała, nie próbowała atakować. Zamknęła paszczę, w której wciąż tkwiły resztki kadłuba „Noble House”, i po prostu patrzyła na zbliżającą się ku niej zagładę. Drygłowi wydało się, że w jej ogromnych oczach po raz pierwszy dostrzegł rezygnację i smutek.

„Wróźda” lekko zmodyfikowała kurs i przeleciała tuż nad łbem smoczyca, bez ustanku bombardując ją ciemnością. Wstrząśnięty Adam przyglądał się, jak bogini umiera.

W pewnym momencie „Czarna Sara” znalazła się dokładnie naprzeciwko niej i chorążemu wydało się, że Tiamat spojrzała prosto na niego. Nie mogła go dostrzec, ale takie właśnie odniósł wrażenie, gdy spoglądał w jej pełne żalu, gasnące oczy. Jeszcze przed chwilą jaskrawo żółte, pełne życia, teraz coraz bledsze, z rosnącymi plamami czerni w miejscu źrenic.

Widowiskowość nie towarzyszyła tej śmierci. Nie było wielkich eksplozji. Tiamat gasła cicho. Jej ciało stygło, zamierało. Ale jej oczy do ostatniej chwili nie odrywały spojrzenia do chłopaka, a chorąży czuł, jakby odbicie duszy wściekłej, ale i przerażonej bogini towarzyszyło mu do ostatniej chwili jej życia.

Gdy te oczy wypełniła ciemność, sam przestał cokolwiek widzieć. Zamrugął.

Ból w ramieniu pomógł mu się ocknąć. To Hoygren nieświadomie zaciskał na nim palce.

– „Wróżda” – szeptał, nie odrywając wzroku od czarnego okrętu. – „Wróżda”! Zemsta!

Rozdział dwudziesty ósmy

*Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,
w drodze między Belgradem a Bukaresztem*

Kiedyś pociągi wyglądały inaczej. Kolorowe wagony, pełne mniej lub bardziej zadowolonych podróżnych, mknęły przez niemal zawsze urocze krajobrazy. Uprzejmi członkowie załogi dbali o samopoczucie pasażerów. Istniały pociągi będące prawdziwymi pałacami elegancji, wizytówkami państw, które reprezentowały. Budowano je solidnie, lecz przede wszystkim miały być wygodne i piękne.

W niczym nie przypominały tych posępnych fortec na kołach, w które zmienił pociągi Kres.

Nikt nie przejmował się urodą baniastych, pokrytych pancierzem wagonów, z których każdy zaopatrzone był w co najmniej dwie wieżyczki strzelnicze. Wprawdzie nadal je malowano, jednak nie dla urody, ale by zabezpieczyć je za pomocą magicznych i religijnych symboli. Każdy z wagonów pozostawał odizolowany od pozostałych. Gdy już zajęło się miejsce we własnym, pozbawionym okien przedziale, w którym oświetlenie zapewniały lampy elektryczne zaopatrzone w żarówki osłaniane drucianą siatką, można było co najwyżej pospacerować niezbyt długim i wąskim korytarzem, zawsze strzeżonym przez przynajmniej jednego wartownika. Albo, jeśli ktoś spragniony był towarzystwa, przejść się do ciasnego pomieszczenia barowego. Tam, przy jednym z ośmiu

małych stolików dało się prawie zawsze zjeść coś ciepłego.

Kutrzeba, jeśli już musiał korzystać z pociągu, chował się zwykle w najtańszych wagonach najniższej klasy, gdzie między krowami i kurami oraz poprzytulanymi do nich prostymi ludźmi, mamroczącymi przez całą drogę modlitwy, nie tylko czuł się najlepiej, ale też sam stanowił najmniejsze zagrożenie dla całego składu.

Niestety, w pociągach międzynarodowych nie istniały najniższe klasy. Wszystkie wagony wyglądały jak identyczne bunkry, których celem było pokonywanie wciąż jeszcze nie do końca bezpiecznych bezdroży.

Samo odtwarzanie linii kolejowych oznaczało długie lata wojny o każdy ich kilometr. Dzikie duchy szybko zorientowały się, jak ważna była kolej dla państw i firm pragnących odbudować cywilizację. Z kolei barbarzyńskie plemiona ludzi, którzy zdecydowali się oddać pod opiekę przebudzonych mocy, nienawidziły nowoczesnych technologii, widząc w nich największe dla siebie zagrożenie. Jedni i drudzy dokładali zatem starań, by możliwie najmocniej szkodzić tym, którzy próbowali odbudowywać dawne połączenia.

Swój przedział Kutrzeba dzielił z trzema innymi mężczyznami. Nadmiernie wesoły, chudy jak tyka ksiądz próbował z początku zabawiać współpasażerów grą na gitarze, jednak szybko przekonał się, że nie trafił na melomanów. Schował instrument do futerału, który Mirosławowi wydawał się nieco zbyt duży, ale nie poddał się. Zaczął opowiadać anegdotki ze swoich podróży. Odbył ich sporo, był bowiem misjonarzem, przekonany, że każdy, nawet diabeł z

najczarniejszego zakątku Piekła, może zasłużyć na zbawienie.

Słuchał go wyłącznie nieustannie wiercący się grubasek, wydający co jakiś czas okrzyki pełne zdumienia bądź ekscytacji, mające zapewne skłaniać księdza do dalszego opowiadania. Grubasek nie ukrywał, że był jest dziennikarzem, ujawnił to, ledwie wszedł do przedziału. Przedstawił się z taką pewnością siebie, jakby żywił nadzieję, że jego nazwisko zrobi wrażenie na towarzyszach podróży. Mylił się. Ksiądz czytał wyłącznie Biblię i wydawnictwa kościelne. Kutrzeba nigdy nie zwracał uwagi na nazwiska pismaków. A jeśli ostatni z pasażerów czytał cokolwiek, nie dał tego po sobie poznać.

Milczał przez całą drogę. Nie przedstawił się, z nikim nie przywitał. Odmawiał spożywania mięsa, gdy steward przynosił obiad do przedziału, i chyba tylko dzięki tym krótko rzucanym „Nie, żadnego ścierwa” można było poznać, że w ogóle potrafi mówić.

Wieczorami rozkładali siedzenia, przekształcając je w ciasne leżanki. Musieli wtedy współpracować ze sobą, niemożliwe bowiem było rozłożenie żadnego z łóżek osobno. Rzeczy trzymali ukryte w skrzyniach pod leżankami, toteż gdy chcieli się do nich dostać, także musieli uzyskać zgodę sąsiada. Wszystko to sprawiło, że podzielili dobę na określone okresy snu, korzystania z toalety i wygrzebywania z bagaży tego, co powinno im być danego dnia potrzebne.

Broń zawsze trzymali pod ręką.

Nikt się temu nie dziwił. Pancerna płyta w miejscu okna zaopatrzona była w zasuwę, umożliwiającą w razie potrzeby

odsłonięcie wąskich otworów strzelniczych.

Skorzystali z nich dotychczas tylko raz. Gdy zbliżali się do granicy rumuńskiej, umieszczone w każdym z przedziałów głośniki ochryple ogłosiły alarm. Ksiądz natychmiast zaczął się modlić. Milczek po prostu odsunął się od okna. Kutrzeba zajął stanowisko przy jednym otworze strzelniczym, a dziennikarz przy drugim. Gryzipiórek dysponował sztucerem, całkiem niezłą bronią podczas polowań, niezbyt natomiast poręczną, gdy strzelało się z niej z wnętrza przedziału. Dwa razy podczas odrzutu kolba trącała milczka, a ten warczał coś pod nosem.

Kutrzeba położył jeden z pistoletów na stoliczku przed sobą, a z drugiego starał się trafiać napastników. Nie widział ich zbyt dobrze. Zmierzchało. Dziwne, przypominające ludzi, ale mniejsze od nich istoty wypadały z gęstwiny leśnej, oddalonej od torów o jakieś pół setki metrów, i szarżowały ku pociągowi na stworach spokrewnionych chyba z wilkami. Jeźdźcy wydawali z siebie coś na kształt wycia, ciskając w wagony dzirytami o kamiennych ostrzach, na których wyryto zaklęcia.

Zabijało się ich łatwo. Trafieni wyrzucali ręce do góry i spadali z grzbietów swoich bestii. Te zaś zawracały do lasu, gdy tylko straciły jeźdźca. Kutrzeba wystrzelał cały magazynek, zmienił broń. Nie musiał przeładowywać. Atak skończył się równie gwałtownie, jak się rozpoczął.

Po chwili w drzwiach przedziału stanął steward.

– Czy nic się żadnemu z panów nie stało? – zapytał. – Znakomicie! Z radością donoszę, że w naszym wagonie w ogóle nie ponieśliśmy strat. Czy życzą sobie panowie koniaku na koszt firmy?

Oczywiście, zażyczyli sobie. We trzech, bo milczek nie pijał alkoholu. Nie grywał także w karty, ku wielkiemu żalowi księdza, jak się okazało zapalonego brydżysty.

Wypili po lampce, a ksiądz natychmiast przypomniał sobie o przygodzie, jaka spotkała go kiedyś w Prusach, gdzie pogańskie demony zdołały jakoś wyrwać kawałek ziemi niezłe wykwiwowanym i potrafiącym wspaniale maszerować pruskim batalionom. Kutrzeba zdecydował się nie wysłuchiwać tej opowieści. Nie przepadał za współczesnymi Prusami. Ani za tymi dzikimi, pogańskimi ludami, czczącymi zabójców Świętego Wojciecha, ani za twierdzami z czerwonej cegły, zarządzanymi przez wielkich mistrzów nowego Zakonu, twardzieli w białych płaszczach i monoklach osłaniających patrzące bystro oczy. Kiedyś zdarzyło mu się zastrzelić kilku takich łajdaków, którzy wymyślili, że powinien podzielić los Juranda. A wszystko przez to, że jeden z tropów zawiódł go w poszukiwaniu Szóstego właśnie tam.

Musiał przyznać, że wykazali się nielichą pomysłowością. Udało im się jakimś sposobem przyzwać, a następnie spętać upiory żony i dzieci Kutrzeby. Kazali mu się stawić samemu. Stawił się. Oddać broń. Oddał.

A potem razem ze Zmorą pozabijali ich wszystkich. Całą załogę cholernego zamku.

Niestety, ich brak wiedzy o możliwościach Zmory upewnił Kutrzebę, że nie mieli wiele wspólnego z Szóstym. Do tej pory nie wiedział, czemu upatrzyli sobie akurat jego.

Wyszedł na korytarz. Skinął głową strażnikowi. Ten posłał mu mało życzliwe spojrzenie. Wypełniając wniosek biletowy, Kutrzeba

musiał uprzedzić o spoczywającym na nim przekleństwie. On i pociągi nie przepadali za sobą. Nim wsiadł, patron lokomotywy przebadał go uważnie. Kręcił głową, mamrotał coś. Wreszcie kazał Kutrzebie obwiesić się trzema amuletami wykonanymi z węgla i wrócił do kotła, nadal do końca nie usatysfakcjonowany.

Niemniej pozwolili mu się z nimi zabrać. To dobrze. Mirosław nie chciał tracić czasu na jazdę konną.

Skierował kroki do części barowej. Zamówił piwo i pljeskavicę. Zamierzał korzystać z usług serbskiego kucharza tak długo, jak tylko było to możliwe. W Rumunii zapewne zaczną podawać jako lokalny przysmak mamałygę, a Kutrzeba nie potrafił wykrzesać w sobie sympatii dla tego specjału. Lubił konkretne dania o wyrazistym smaku. A mamałydze zwykle daleko było do wyrazistości. Raz jeden jadł taką, która rzeczywiście zrobiła na nim dobre wrażenie.

Ścigał wówczas jakiegoś oszalałego wampira w górach Bucegi. Nie należał on do jednego z tych elegantów o cierpiętniczych minach, którzy uwodzili kobiety i mężczyzn opowieściami o swoich tragicznych rozterkach, by wydobyć od nich pisemne zezwolenie na pokąsanie bez zobowiązań. Wampirowi z Bucegi daleko było do wyrafinowania tamtych naciągaczy. Zresztą, nie znalazłby chętnych słuchaczy wśród pasterzy, spośród których się wywodził. To spryt i brutalność utrzymywały go przy życiu, a nie dekadencja na pokaz.

Zaraził się wampiryzmem w niewiadomy sposób. Od razu zorientował się, co go czeka w górach, tu nie certolono się z takimi jak on. Porzucił styńę, jak tubylcy nazywali bacówki, zanim wbili

mu kołek w pierś i obciął głowę. Zbiegł w doliny, gdzie, z każdym tygodniem coraz bardziej oszalały, napadał po zmroku na kogo się dało.

Gdy opłacony przez jednego z lokalnych watażków Kutrzeba ruszył jego śladem, uciekł z powrotem w góry, wśród których znalazł dziesiątki szlaków i ścieżek, gdzie mógł z łatwością zgubić obcego łowcę. Mirosław zatrudnił więc pasterzy na przewodników i wraz z nimi oraz ich silnymi, wrednymi psami podjął trop. Pościg zaprowadził go do podziemnych, wykutych w skałach tuneli, zamieszkałych jedynie przez rzeźby olbrzymów. Tam przewodnicy porzucili go, bojąc się zamieszkujących je ponoć istot, pochodzących od pierwszych ludzi, jeszcze sprzed Potopu. Mieli być gigantami przybyłymi z gwiazd.

Tam Kutrzeba nie potrzebował już jednak przewodników. Wampir także nie znał podziemnych korytarzy i błądził w nich tak samo jak Mirosław. Wędrowali w ciemnościach przez tydzień, aż wreszcie Kutrzeba dorwał oszalałego stwora, klęczącego u stóp nieforemnego kamiennego olbrzyma i błagającego go o wsparcie.

Kamień pozostał obojętny i na błagania wampira, i na jego śmierć. Mirosław obciął potworowi łeb, resztę cielska pozostawiając podziemnym bogom. W świetle pochodni przyglądał się twarzom posągów, spróbował naszkicować kilka z nich w notatniku. Żałował, że nie miał ze sobą aparatu fotograficznego, bo rysownik był z niego, niestety, nieszczęśliwy. Przez kolejny tydzień wędrował z powrotem ku słońcu. Zapasy jedzenia skończyły mu się już po trzech dniach. Przeżył, bo pod ziemią odnajdywał strumienie, ale gdy dotarł do pierwszej styny, gotów był zapłacić majątek za choćby

kęs jedzenia. I wtedy właśnie mamałyga, posmarowana śmietaną gęstą jak masło, przegryzana bryndzą, smakowała mu jak nigdy w życiu.

Miał pewność, że ta, którą zaserwują mu w pociągu, nie dorówna tamtej.

W barze siedziała, przy wspólnym stolczku, tylko para ludzi, chyba małżeństwo. On, tęgi, spory i łysy, w prostym, ale niekoniecznie tanim garniturze, wyglądał na kupca. Ona, w granatowej sukni pasującej raczej do lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, mogła być jego córką. Kutrzeba obstawiał jednak żonę, tyle że znacznie młodszą od męża.

Jedli w milczeniu. On siorbał głośno, ona starała się na to nie oburzać. Zerknęła na Kutrzebę, szybko, ukradkiem, ale mąż i tak wyłapał to spojrzenie. Przerwał siorbanie, obrócił się ku Mirosławowi i długo a znacząco mu się przyglądał. Znaczył teren. Korzystając z tego, i kobieta spojrzała na przybysza. Oczy miała wąskie, jasne, przestraszone i zakłopotane. Jej drobne usta drgnęły.

Kutrzeba uklonił się lekko, obojgu równocześnie. Nie odwzajemnił spojrzenia typa, przeciwnie, ukrył twarz za kartą menu. Usłyszał usatysfakcjonowane sapnięcie tamtego.

- Dla szanownego pana pljeskavicę z prażonymi ziemniaczkami?
- odgadł kelner, stając przed Kutrzebą. – I jasne?
- Zrobiłem się przewidywalny?
- To nic złego mieć dobry gust. – Kelner mrugnął. Mirosław zdążył z nim po drodze wypić już parę butelek ze swojego zapasu. Miał nadzieję, że dostaje dzięki temu lepsze kawałki mięsa.

Po chwili znów rozległo się znajome siorbanie.

Ono Mirkowi nie przeszkadzało. Jadał już w różnych warunkach. Częściej między prostakami niż wśród elit. W ogóle lepiej dogadywał się z ludźmi prostymi niż z wyrafinowanymi. A przecież rodzice wychowywali go na człowieka potrafiącego się zachować i odnajdywać w towarzystwie. Gdy wstępował do oddziałów prywatnej armii Czartoryskich, był już po szkole podchorążych. Jako oficer Familii bywał w domach co lepszych kupców i wcale nie takiej znów drobnej szlachty. A wszystko to dzięki temu, że awansował prędko, w ciągu trzech lat dosługując się stopnia kapitana.

Nawet wówczas nieźle czuł się pośród żołnierzy, gdy najpierw uczestniczył w rajdach na potwory i dzikich, a potem sam takie wodził. Choć wówczas podwładni traktowali go już z dystansem, czując słuszny respekt dla jego dystynkcji. Zupełnie inaczej niż teraz.

Gdy brał ślub, sam księżę...

Przerwał przywoływanie wspomnień. Nie wiedział, czy to dlatego, że były zbyt dobre, czy przeciwnie, zbyt złe. Rozejrzał się odruchowo, ale nie dojrzał żadnego ze swoich duchów. Nie widział ich od tamtej chwili w Belgradzie, gdy spojrzął w oczy upiorowi żony, a potem się od niej odwrócił.

Trzy sekundy, tak powiedział Marko. „Zniknąłeś na trzy sekundy”.

Trzy sekundy. Niezupełnie tak to zapamiętał.

Gdy skończył posiłek, małżeństwo wciąż siedziało przy stole. Zajadali deser, a pan mąż zamawiał gorzałkę dla siebie i jakąś

słodką nalewkę dla żony. Nie chciała, protestowała.

On upierał się, że powinna go posłuchać. Ot, małżeństwo w podróży.

Kutrzeba zatrzymał się w progu baru, obrócił, by spojrzeć na nich raz jeszcze. Drobną, sprzeczka przywołała niechciane wspomnienia.

Zaklął. Wrócił do swojego przedziału, by trafić w sam środek partyjki remika, rozgrywanej między księdzem a dziennikarzem. Milczek nie odzywał się, tylko rzucał gniewne spojrzenia.

Dla zabicia czasu przypatrywał się graczom. Ksiądz okazał się być przebiegłym zuchwalcem, trzymającym wszystkie karty w ręce do samego końca, tak by załatwić przeciwnika jednym gwałtownym atakiem. Dziennikarz grał ostrożniej. Wykładał się, ledwo uskładał pulę. Czasem udawało mu się w ten sposób urwać przeciwnikowi parę punktów, jednak każdą serię drobnych zwycięstw ksiądz przerywał potężnym triumfem, po którym obaj byli znów się w punkcie wyjścia.

Minęło może piętnaście minut, nim rozległo się pukanie do drzwi. Stał w nich strażnik wagonu. Rzucił okiem na karty, ale zaraz potem skierował wzrok na Kutrzebę.

– Muszę pana prosić na chwilkę na zewnątrz.

– Coś się stało? – zainteresował się dziennikarz.

– Nie, drobiazg. Po prostu mam do tego pana jedno małe pytanko.

– Jedno małe pytanko? – powtórzył Kutrzeba, gdy znaleźli się obaj na korytarzu, a strażnik zamknął starannie drzwi do jego przedziału.

– Jadł pan kolację kilkanaście minut temu w barze?

– Tak.

- Zauważył pan coś szczególnego?
- Nie. Nic nadzwyczajnego. Czemu pan pyta?
- Bo po tym, jak pan opuścił bar, doszło w nim do czegoś.
- A konkretniej?
- Konkretniej... – westchnął strażnik. – Konkretniej to mamy trzy trupy, proszę pana. I bardzo wkurzonego kapitana, który domaga się przyprowadzenia tam pana, choćby siłą.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

Szczur nie oszczędzał koni. Gnali ulicami Moskwy z prędkością, do której dorożka z pewnością nie została dostosowana. Jej resory nie pomagały wiele, gdy koła odrywały się co chwila od nawierzchni, by zaraz opaść na nią z wściekłym trzaskiem, od którego Olgę aż przechodziły dreszcze. Za każdym razem oczekiwała, że tym razem pękną albo osie, albo same koła. Upomniałaby Szczura, aby zwolnił, bo ani tempo pościgu, ani fakt, że dorożka cała się trzęsła, nie służyły Czchartszwiliemu, coraz bledszemu, na przemian tracącemu i odzyskującemu przytomność.

Rzecz w tym, że nie mogli zwolnić.

Ścigały ich trzy dorożki pełne zbójów równie zdeterminowanych jak uciekinierzy. Co gorsza, czterech bandytów znalazło osiodłane konie i na nich właśnie z każdą chwilą zmniejszało dystans. Najodważniejszy z nich niemal zrównał się z dorożką, wyszarpnął zza pasa rewolwer i strzelił bez celowania. Chybił, zbyt trudno było trafić w takich warunkach. W dodatku nieprzyzwyczajony do takich hałasów koń szarpnął się, przestraszony, i na chwilę bandyta znów został z tyłu.

Strzelał jednak nie on jeden. Z pojazdów bandytów dolatywała istna kanonada. Strzelano wyłącznie na ślepo, w nadziei, że przy tak znacznej liczbie pocisków statystyka stanie wreszcie po ich

stronie. Toteż Olga kuliła się w dorożce za każdym razem, gdy słyszała świst przelatującej w pobliżu kuli.

– Głowy nisko! – wrzeszczał Szczur. – Trzymajcie głowy nisko!

– Sam se trzymaj! – prychnął kot, i nagle odbił się wszystkimi czterema łapami od podłogi i wystrzelił jak z procy ku ponownie zrównującemu się z dorożką bandycie.

Tym razem jeździec starał się celować cierpliwie i uważnie. Kot uderzył weń z impetem, przejechał mu pazurami po twarzy, ugryzł go w nos, a potem zdążył jeszcze wbić pazury w uzbrojoną rękę. Następnie odbił się od mężczyzny, który puszczał właśnie i lejce i rewolwer, by rękami zasłonić twarz. Kocur wywinął w powietrzu fikołka i prawie zdołał powrócić na dorożkę. Niestety, albo tym razem źle obliczył skok, albo spłoszony koń szarpnięciem zmienił tor kociego lotu.

– Spaaaaaaadnę! – wrzasnął rozzierająco Behemot, rozpaczliwym wyrzuceniem łap wbijając pazury w skraj drzwiczek dorożki. Ta akurat znów podskoczyła na bruku. – Ratuuuuuujcie!

Olga złapała go w ostatniej chwili. Niestety, niezbyt zręcznie.

– Ogoooooon! – zamiauczał boleśnie. – Kobieto, nie za ogooon!!!

Nie miała czasu na zabawę, bandyci, widząc, jak się wychyla, skoncentrowali teraz ogień na niej. Kule zaczęły mijać dziewczynę niebezpiecznie blisko. Jedna uderzyła ledwie centymetr albo dwa od jej twarzy, wyrwała dziurę w brzegu dorożki, wznecając przy tym ulewę drobnych drzazg. Olga pisnęła, gdy kilka z nich wbiło się jej w twarz, nieprzyjemnie blisko lewego oka. Nie przejmując się więcej kocią godnością, szarpnęła zwierzaka z całej siły, wciągając go do środka.

Upadł, oczywiście, na cztery łapy.

– Ufam, że nie będziemy o tym opowiadać. Ani rozmawiać – warknął. – O, dosyć już tego!

Wskoczył na kozioł obok Szczura.

– Przejmuję lejce! – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Pan się lepiej przydasz, strzelając do tych łajdaków! Tylko uważaj, bo poprowadzę po swojemu!

Co to oznaczało, przekonali się rychło. Olga prędko zatęskniła za stylem powożenia Szczura. Konie zakwiczały zdumione, gdy Behemot ściągnął gwałtownie lejce, wskazując im nowy kierunek. Dorożka zakręciła niemal w miejscu.

Koła z prawej strony uniosły się nad ulicą, a pojazd osiągnął taki przechył, że uderzyły w parterowe okna mijanej właśnie kamienicy. Szyba trzasnęła, rozsypując się na setki szklanych drobin, sypiących się na plecy Szczura, który szykował się właśnie do zmiany pozycji.

Mężczyzna krzyknął coś niezrozumiale, tracąc równowagę, i runął na Olgę, starającą się w tej chwili jedną ręką ratować przed wypadnięciem Czchartszwiliego, a drugą siebie.

Zapewne dorożka trwała w takim przechyle najwyżej moment, ale dla Olgi ta chwila zdała się wiecznością. Jakimś sposobem udawało jej się rejestrować wszystko, co działo się wokół niej. Jakby nagle zyskała dostęp do nowego, magicznego sposobu postrzegania świata. Równocześnie widziała i chmurę szklanych odłamków, i przerażoną twarz kobiety, która zerwała się wewnątrz mieszkania na równe nogi. Staruszka o siwiuteńkich włosach wytrzeszczała oczy, spoglądając wprost na Olgę. Rostowna poczuła irracjonalną

pokusę, by ukłonić się starszej pani, a także by wytłumaczyć jakoś swoje położenie. Przecież z punktu widzenia dobrych obyczajów znalazła się w nieco kompromitującej sytuacji.

Ubrana niczym panna lekkich obyczajów, przebywała w balansującej na krawędzi katastrofy dorożce w towarzystwie dwóch mężczyzn, z których jeden wyglądał jak bandyta z Chitrowki, a drugi wprawdzie ubrał się w uniform fiakra, jednak teraz akurat upadł prosto na Olgę, tak że ich nosy niemal stykały się ze sobą, a ich ciała...

Cóż, ich ciała także bywały już w znacznie mniej kompromitujących okolicznościach. Na przykład nie cierpiały tak od licznych sińców i otarć. Nie świstały nad nimi kule, wystrzeliwane przez bandę nieokrzesanych brutali, których Olga również teraz dostrzegała, i to wyjątkowo wyraźnie. Na przykład ten łysy w czapce marynarskiej, wykrzywiony w wyrazie wściekłości, miał gębę pokrytą całym archipelagiem ospowych blizn. A jego towarzysz, składający się właśnie do strzału, wystawiał język, nieświadomy, że próbuje dotknąć nim koniuszka nosa w wyrazie największego skupienia.

Ale ważniejsze było, że ciała Olgi i Szczura nigdy dotąd nie znalazły się tak blisko, nie przylegały do siebie tak ściśle. I nigdy jedno nie leżało na drugim, z oczami tak blisko oczu tego drugiego, z ustami...

– Niech to jasny szlag! – ryknął Szczur.

Pokonał jakoś przeciążenie i przeskoczył na uniesioną część dorożki, zmieniając dzięki temu balans. Koła z prawej strony pojazdu znów dotknęły nawierzchni.

Wjechali już w zaułek, w który szalonym manewrem zdołał wprowadzić ich kocur. Nie była to żadna z głównych ulic miasta ani nawet któraś z bocznych. Prawdę mówiąc, Olga nie miała pewności, czy to w ogóle ulica, a nie przypadkowa przestrzeń między dwoma budynkami. Była tak wąska i ciasna, że dorożka tarła bokami o ściany, a deszcz szklanych odłamków sprzed sekundy zastąpiła teraz prawdziwa ulewa odprysków tynku. Olga skuliła się, próbując osłonić przed nimi siebie i Czchartszwiliego.

– Kto cię uczył powozić? – wrzasnął Szczur, chwiejąc się na krawędzi dorożki. Uderzenie w ścianę oderwało drzwiczki po jego stronie, toteż mężczyzna kołysał się teraz niebezpiecznie. Spadłby niechybnie, gdyby miał dokąd spaść. Zamiast tego oparł się dłonią o ścianę, krzyknął z bólu. Odzyskał równowagę, ale dłoń miał całą w krwi.

– Faeton! – zaniósł się śmiechem kocur.

Szczur zaklął. Odwrócił się, wyciągnął z kabur przy pasie dwa pistolety. Wycelował, ale odkrył, że nie ma do kogo strzelać.

Jedna ze ścigających ich dorożek po prostu pognała przed siebie. Druga spróbowała powtórzyć manewr kota, ale albo jej woźnicy zabrakło umiejętności, albo też była zbyt obciążona liczną grupą bandytów i nie zdołała. Zakręciła w miejscu, ale zamiast przechylić się, prawie cała wystrzeliła w powietrze.

Okręciła się wokół własnej osi, nie dotykając kołami ulicy. Część pasażerów wysypała się z niej, wrzeszcząc, część próbowała utrzymać się wewnątrz. Trudno powiedzieć, którzy mieli więcej szczęścia, bo w tym właśnie momencie w pojazd wbiła się z pełnym impetem trzecia dorożka. Jej woźnica rozpaczliwie starał się

powstrzymać rozpędzone zwierzęta, a one ze wszystkich sił starały się go posłuchać. Nie osiągnęli sukcesu.

Przerażone krzyki koni i ludzi zlały się w jeden nieziemski hałas, uzupełniony sumą paskudnych trzasków, gdy pękało równocześnie drewno oraz ludzkie i zwierzęce kości.

– I co? Nieźle powożę, nie? – pochwalił się kot.

– Znakomicie – skrzywił się Szczur. – Wpakowałeś nas prosto w ślepią uliczkę!

Zaskoczona Olga zaryzykowała i uniosła głowę. Istotnie, pędzili prosto na ścianę wyrastającą ledwie kilkanaście metrów przed nimi kamienicy. Nawet w magicznym, namalowanym świetle nie mieli szans zahamować, nim w nią uderzą.

Co gorsza, znów usłyszała za sobą strzały. To jadący konno bandyci poradzili sobie tam, gdzie klęskę poniosły dorożki. Trzech jeźdźców nie zatrzymało się, by pomóc tym spośród kompanów, którym mogło się to jeszcze przydać, i kontynuowało pościg. Oldze wydali się jeszcze bardziej rozżłoszczeni niż wcześniej.

– Ja się zajmę tymi. – Szczur uśmiechnął się, chyba szczerze uradowany. – A ty, dachowcu, zrób lepiej jakieś swoje czarnokocie czary-mary!

Rostowna nigdy jeszcze nie była uczestniczką czegoś takiego. Oniemiała patrzyła na Szczura, zachowującego się, jakby stał na sportowej strzelnicy, a nie w rozkołysanej, coraz gorzej wyglądającej, zasypywanej nieprzyjacielskim ogniem dorożce, pędzącej z zawrotną prędkością prosto na wielką kamienną ścianę. A co gorsza, prowadzonej przez woźnicę będącego na wpół szalonym, wielkim czarnym kotem, który, jak odkryła, gdy

zerknęła z kolei na niego, cały czas pociągał z niewielkiego kanisterka, podczepionego sprytnie na specjalnie sporządzonych szelkach. Dostrzegł, że Olga mu się przygląda i mrugnął do niej.

– Zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz, zaczarowany koń! – zawołał. – No to trzymajcie się! Tym razem mocno!

Obaj wydawali się szczęśliwi jak nigdy w życiu.

I gdy kot nagle znów wprowadził dorożkę w zakręt tak szaleńczy, że tym razem przez chwilę wszystkimi czterema kołami jechali nie po ulicy, lecz po ścianie, Olga poczuła nagle, że doskonale ich rozumie. Ba, zgadza się z nimi. Miała ochotę śmiać się i krzyczeć.

Być może za chwilę zginie po raz drugi, tym razem ostatecznie. Ale nigdy dotąd tak mocno nie czuła, że żyje.

Kot rzeczywiście musiał korzystać z jakiejś magii, bo znów im się udało, choć po jego ostatnich akrobacjach dorożka jechała już tylko na trzech kołach. I prawie nie miała boków. Niemniej jechała. Co więcej, ścigał ich już tylko jeden konny.

Pierwszy z jego towarzyszy nie zdołał skierować konia w gwałtowny zakręt i w sposób niewysłowienie daleki od przyjętych w dobrym towarzystwie norm estetycznych roztrzaskał się o tę samą ścianę, po której udało się przejechać dorożce. Problem drugiego rozwiązał celny strzał Szczura. Tym bardziej niezwykły, że oddany właśnie w momencie, gdy podróżowali wbrew zasadom fizyki, sztuk malarskich i znanej Oldze magii.

Trzeci nie od razu zorientował się, że został sam. Dopiero gdy próbował ponaglać kompanów, odwrócił się i odkrył, że popędza tylko sam siebie. Zwolnił i poprzestał na wygrażaniu pięścią.

– Nie musisz już tak gnać – uświadomiła kota Olga.

– Ale chcę! – Zaniósł się śmiechem. – Jeszcze jeden zakręt, co? I wracamy do cywilizacji.

Pozwolili mu na ten jeszcze jeden zakręt, po którym rzeczywiście wjechali na jakąś szerszą, oświetlaną gazowymi latarniami ulicę. Gdyby tak nie pędzili, dziewczynie udałoby się może nawet zorientować, dokąd trafili. Jednak kot nie zamierzał zwalniać i świat wydawał się Rostownie niewyraźny, zamazany – latarnie jawiły się pasażerom bardziej już wraku niż pojazdu jako żółte smugi, a domy jako rozpędzone foremne cienie, szczerzące rozświetlone plamy okien.

Co gorsza, nie czekała tam na nich wcale cywilizacja, ale ostatnia z wrogich dorożek.

Jej woźnica musiał widać znać zaułki nie gorzej od kota. Obliczył, którędy wyjadą zbiegowie, podjechał do wylotu uliczki i ustawił tam własny pojazd jako barykadę. Za nią kryli się bandyci, prujący teraz z pistoletów w kierunku nadjeżdżających ku nim z pełną prędkością uciekinierów.

– No dobra! Tym razem nie wyrobimy! – ostrzegł kot, po czym prędko zeskoczył z kozła na ulicę, przekonany najwyraźniej, że nawet w tej sytuacji opadnie na cztery łapy.

Rozdział trzydziesty

*Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,
„Czarna Sara”, Subukład Jowisza*

– Teraz zacznie się prawdziwa zabawa – sapnął Burzymur Białobrody. – Kapral! Czas na twoją robotę! Bierz Zmytą i uruchomcie syreny.

– Rrrrrabunek! – poparła go papuga. – Rrrrrrozbój!

Syreny? Drygieł nie był pewien, czy dobrze słyszał.

– A my? Co mamy robić? – zapytał, przywykły we flocie TG, że zawsze znajdowało się coś do roboty po zakończonej walce.

– Starajcie się nie plątać pod nogami. Stanowicie część ładunku, nie załogi.

Hoygrenowi zdawało się to nie przeszkadzać. Nie odrywał wzroku od ekranu, na którym wciąż widniał czarny statek.

Podczas bitwy większa część załogi „Czarnej Sary” po prostu siedziała na mostku, przyglądając się walce. Burzymur miotał starodawnym, drewnianym kołem sterowym i wydawał rozkazy, z których część powtarzała papuga. Tylko Gryz i Duppy pilnowali, by nawiedzone działa nie rozszalały się za bardzo i pilnie spełniały rozkazy. Jeden czuwał przy bateriach na lewej, a drugi na prawej burcie. Wydawałoby się, że gdy walka dobiegła końca, rychło nadejdzie czas odpoczynku, tymczasem teraz dopiero członkowie załogi zaczęli sprawiać wrażenie przejętych i zapracowanych. Obawiając się zawracać głowę kapitanowi, Drygieł zapytał

ostatniego z beczynnych – Kmiotka.

– No przecie to piraty! – Zapytany wzruszył ramionami. – Toż dla nich teraz zaczyna się prawdziwa robota. Patrzaj, syreny!

I rzeczywiście, na jednym z mniejszych monitorów, porozwieszanych naokoło ekranu głównego tak gęsto, że centrum obserwacyjne na mostku kojarzyło się z łbem wielkiego pająka, widać było kilkanaście syren w specjalnie dla nich dostosowanych kombinezonach plazmowych. Wyślizgnęły się przez klapy w dolnych częściach pokładu i ze zdumiewającą szybkością śmigały ku trupowi bogini. Choć ich kombinezony nie posiadały żadnego widocznego napędu, przypominającym teraz srebrne łyż syrenom udało się wyprzedzić barki i szalupy wypuszczane z innych okrętów. Dopadły Tiamat pierwsze.

– Łuski, fidezyna, kawałki mięsa bogini, a nawet popiół... Cenny łup. – Kmiotek pokiwał głową. – A patrzajcie, jakie one zgrabne, jakie wartkie! Co tam im próżnia! Syrena wszędy pływa, dla niej wszystko jak morze.

– Ale jednak... Bezwładność? Masa? Pęd? Przyspieszenie? – wyrzucał z siebie Drygieł. – Ja wiem, magia! Ale co innego na wielką skalę w wyładowanych fidezyną okrętach, a co innego to!

– Toż mówię, że dla nich wszędy morze! Kapitan, łebski gość, przecie specjalnie te szanty gra.

– Nawet teraz?

– Zawsze jak jest akcja. No ale przecie nie wewnątrz naszego korabia, coby załogi nie rozpraszać. Na wszystkich falach – falach, rozumiecie! – nadaje. To jest magia. Magia morza. Jak wierzyć, że ono jest, to jest.

- Ilu jeszcze członków załogi kapitan przed nami chowa?
- Członków załogi? – Kmiotek łypnął na niego zdziwiony. – Syreny to nie załoga. To broń.
- Nadają, psubrrraty! – rozdarła się papuga.
- Czego chcą?
- Dwóch rzeczy, kapitanie! Żebyś przerrrrwał grać naszą muzykę. I żebyś porzucił łupy. Każdy jeden psubrrrat nadaje, że Tiamat jego.
- Byłem pewien, że tak będzie – sapnął Burzymur. – A to chciwe sukinsyny!
- Przełączył interkom.
- Kapralu! – warknął. – Syreny mają może pięć minut. Nie więcej. Po pięciu minutach mają kończyć robotę i zwijać się na pokład!
- Tak jest! A potem co, kapitanie? Spadamy ukryć ten łup z pozostałymi skarbami? Tam, gdzie tylko pan wie?
- Burzymur nie zaszczycił go odpowiedzią. Obejrzał się na Drygła, który, tknięty nagłym pomysłem, odważył się do niego podejść.
- Czego?
- Myślałem, że może pan teraz nawiązać kontakt z okrętami Transportu Galicyjskiego, kapitanie. I odesłać nas do nich.
- Tak po prostu, co?
- Nie musi pan niczego negocjować, kapitanie! Regulamin floty przewiduje określone nagrody finansowe za ocalenie rozbitków, w zależności od szarży i zasług. Pan nas odsyła, oni wypłacają panu bez gadania pieniądze. Prosta sprawa.
- Prosta sprawa, he? – Burzymur podrapał się po brodzie. –

Słuchaj, kapitanie szalupy. Chętnie pozbyłbym się ciebie, a jeszcze chętniej tego twojego kumpla. Ale tu zaraz zaczniesz się prawdziwa bitwa. Nie mamy czasu na zabawę.

– Prawdziwa bitwa? Ale...

– On ma na myśli, że zaraz wszyscy skoczą tu sobie do gardeł – odezwał się ponuro Hoygren zza jego pleców. – Już po chwilowym sojuszu. Mylę się, kapitanie?

– Nie – burknął Burzymur i odwrócił się od rozbitków. – Kapralu, co, do cholery, z tymi syrenami?!

– Zbierają się! Zbierają!

– Najwyższy czas. Suka zaczyna płonąć.

Ciało bogini, zbudowane w znacznej części z przetworzonej fidezyny, powstałej nie tylko z modlitw jej wyznawców, ale także z przekleństw, jakie rzucali na swoich wrogów, utrzymywała w całości wyłącznie wola Tiamat. Gdy jej zabrakło, prędko rozpoczął się rozkład, inny jednak od entropii pożerającej ciała ludzkie. Uwalniana fidezyna płonęła.

W niektórych miejscach gorącym pomarańczowym płomieniem, w innych lodowatym błękitnym. Olbrzymie cielsko zmieniało się w tłusty gorący popiół, który, jak po poprzedniej jej śmierci, spadłby na nieszczęsny, poharatany księżyc. Albo, utrzymany więzami ciężenia, utworzyłby wokół niego drogocenny, przesączony fidezyną pierścień, na który natychmiast rzuciliby się łowcy z całego ludzkiego wszechświata.

Można było ratować choćby fragmenty bezcennego na czarnym rynku ciała przed rozpadem. Należało jednak działać szybko. Dlatego syreny umieszczały w nasączonych magią pęcherzach węży

morskich każdy strzęp mięsa, jaki udało im się wykroić. Dlatego działały w szalonym pośpiechu. I dlatego każdej ze zgromadzonych wokół flot zależało na tym, by jak najszybciej pozbyć się konkurencji.

Cielsko Tiamat stanowiło łup wart małej wojny.

W przestrzeni zaroilo się od radiowych i świetlnych komunikatów. Każda z flot przypisywała sobie główną zasługę w pokonaniu potwora, każda powoływała się na zapisy w setkach traktatów, interpretując je tak, jakby to właśnie jej należała się zdobycz. Ludzkość dawno nie natknęła się na tak cenny łup. Choć teoretycznie każde państwo czy korporacja mogłyby stworzyć sobie podobnego potwora, nikt nie chciałby marnować na to środków, a mało kto odważyłby się poświęcić życie i dusze tysięcy istnień dla stworzenia potężnego boga. Jednak skoro znaleźli się zdolni do podobnej zbrodni szaleńcy, czemu nie skorzystać z ich głupoty?

– Szybciej! Szybciej! – Obserwujący odrywające się od ciała Tiamat syreny Burzymur prawie krzyczał. – Zaraz zaczną!

Nie mylił się.

Pierwsza przestała nadawać swoje żądania flota Santa Muerte. Udało się jej odtworzyć szyk, choć wcześniej straciła dwa okręty. Teraz wielobarwne kadłuby statków wymalowanych w płomienie, kwiaty i szkielety ustawiły się tak, by wyszczerzonymi czaszkami dziobów celować w okręty Transportu Galicyjskiego – jednego z największych potencjalnych przeciwników. Oczodoły czaszek zapłonęły krwawo, oznajmiając wystrzelenie pierwszych salw przekleństw.

Nie wszystkie wycelowano w TG. Jeden mniejszy okręt Santa

Muerte skierował się ku „Czarnej Sarze”.

– Zdrrrrrrada! – wrzasnęła Euralia. – Skurrrrrwysyny!

– Trzymajcie się! – Burzymur zakręcił gwałtownie kołem sterowym. – Kmiotek! Wyrzutnia Jonaszy!

Pirat zerwał się na równe nogi i pognał dokądś, ignorując nagły przechył, jakby siła jego wiary wystarczyła, by przekonać go, że wędruje po normalnie ustawionym pokładzie. Drygłowi zabrakło jego umiejętności. Zatoczył się i byłby upadł, gdyby niezawodny Petyr nie złapał go i nie przytrzymał.

Okręt przechylił się na lewą burtę i ładunek przekleństw minął go o włos. Rozpędzone klątwy odleciały na tysiąc kilometrów, nim ich systemy celownicze zorientowały się, że chybiły. Wtedy zawróciły.

„Czarna Sara” przyspieszała, kierując się ku przeciwnikowi z Santa Muerte. Biała jak uśmiech samej Śmierci czaszka rosła na głównym ekranie. Jej oczodoły znów rozbłysły czerwienią, gotowe do następnej salwy.

– Bez kozerrrry powiem pińcet! – zameldowała Euralia. – Tamte cholerrrrry z pierrrrwszej salwy są od nas o pięćset kilometrrrrów, kapitanie!

– Jak Jonasze?

– Trza nam podejść bliżej, kapitanie! – Interkom przeniósł głos Kmiotka.

– No to tym razem oberwiemy – mruknął Burzymur. – Trzymać się!

– Jonasze? – zdumiał się Adam.

– Ano! – Olbrzym obrócił się ku niemu, szczerząc wielkie zębiska.

– Każdy jeden przynoszący pecha okrętowi frajer, którego topili, żeby się pozbyć nieszczęścia. Syreny zbierały ich dla nas po całym morskim dnie. Każdy jeden jest tutaj. A teraz czekajcie...

Krwawa czerwień spadła na „Czarną Sarę”, spowijając jej wnętrze nieprzejrzystą mgłą, gęstą, kleistą, cuchnącą padliną.

Drygieł padł na kolana, czując, jak czyjeś głosy wdzierają mu się do głowy. Szeptały o niechybnej śmierci i o piekle, jakie czeka na stojących na drodze Santa Muerte. Adamowi zdało się, że płonął żywcem i że to miało trwać wiecznie. Otworzył usta, by wrzeszczeć z bólu, ale w tej właśnie chwili wszystko minęło, nie pozostawiając śladu poza przykrym wspomnieniem.

Ze zdumieniem popatrzył na swoje dłonie. Sądził, że ujrzy, jak mięso odchodzi na nich od kości. Były nietknięte.

– Są klątwy i przeciwklątwy – zarechotał Burzymur, po czym ucałował koło sterowe. – Dziękuję, kochanie! Kmiotek, co do diabła z Jonaszami?

– Jeszcze trzysta metrów, kapitanie! Dwieście, sto... Poszły!

– Zeżryjcie to! – roześmiał się Burzymur i ponownie zakręcił kołem sterowym, zmieniając kurs tak, że „Czarna Sara” wzięła gwałtowny przechył w prawo i zakręciła tuż przed dziobem okrętu Santa Muerte.

Dwie czerwone smugi pierwszych wystrzelonych przekleństw nie dały się jednak oszukać. Ominęły macierzystą jednostkę i poleciały za statkiem olbrzyma. Wydawało się, że ich dopadną, nagle jednak zaczęło dziać się coś dziwnego.

– Skurwysyny nie wiedzą, co w nich trafiło! – zaśmiewał się do łez Burzymur. – Patrzcie, panowie z Transportu Galicyjskiego!

Posłaliśmy im dwóch zakonserwowanych Jonaszy, prosto w tę ich wyszczerzoną gębę! I proszę, zaraz zdechł im jeden silnik. Pech, odkładający się przez stulecia, dobrze zakonserwowany, skondensowany pech i wściekłość ducha człowieka zamordowanego przez towarzyszy.

Niespodziewanie klątwy zawróciły, by uderzyć we własny okręt. Zderzyły się z nową serią przekleństw gotowych do wystrzelenia i zaraz dwie czerwone fale przetoczyły się przez kadłub okrętu Santa Muerte, powodując zdumiewająco potężne zniszczenia.

– Pomysł mojej Saruni kochanej. – Burzymur otarł łzę z oka. – To ona, serce moje, wymyśliła numer z Jonaszami. Dawno temu...

– Jeszcze jedną salwę? – zaskrzeczał interkom.

– Nie, już po nich.

– To może w kogo innego? Tam się teraz tłuką, że hej!

Rzeczywiście, Transport Galicyjski przyjął pierwsze salwy Santa Muerte. Dwa okręty musiały oberwać poważnie. Zgasły ich światła pokładowe, a kadłuby przechyliły się, bez silników niezdolne stawić czoła grawitacji Kallisto. Pozostałe jednak otworzyły ogień. Przyłączyły się do nich ścigacze Strażników Pasa, zawsze opowiadających się po silniejszej stronie. Także pozostałe floty uznały Santa Muerte za agresora i dołączyły do ostrzału.

– Jak skończą z nimi, pewnie wezmą się za siebie nawzajem – ocenił Burzymur. – A w tym czasie my moglibyśmy...

– Zabawiłeś się? – Niespodziewanie czerń wypełniła główny ekran, przesłaniając obraz bitwy. Głos, który przemówił, wydał się Drygłowi zimny, niemal pozbawiony życia, za to pełen jadu. – To może weźmiemy się do roboty?

– Nie będziesz mi rozkazywać! – ryknął z wściekłością Białobrody.
– Nikt! A szczególnie ty, przekłeta...

– Jest robota na Marsie. – Czerń nie przejmowała się furją kapitana. – Wanda przestała odpowiadać na moje wezwania. A ostatni meldunek... Nie brzmiało to dobrze. Jesteśmy potrzebni w piramidzie.

– Wanda... – głos Burzymura złagodniał natychmiast. – Wanda poradzi sobie. Jest z nią przecież ojciec.

– On też nie odpowiada. Dodaj dwa do dwóch, ty tępym olbrzymie. Nagle pojawia się Tiamat, świat skacze sobie do gardeł, herostrajczycy okazują nie tylko aktywność, ale wręcz potęgę, a piramida milknie. Do tego cała ta afera w Malowanej Moskwie...

– Jaka afera? – nie wytrzymał Adam.

Aż się cofnął, bo choć na ekranie widać było nieprzeniknioną czerń, wśród której nie wyróżniały się żadne oczy, odniósł wrażenie, że ciemność spojrzała na niego. Zabrakło mu tchu pod tym spojrzeniem. Jakby nawoływało go Piekło.

– Kto to jest? – wysyczała.

– Rozbitkowie – wyjaśnił Burzymur. – Byli na tym statku TG, zezartym przez Tiamat.

– Rozbitkowie... – Czerń przestała zwracać uwagę na chłopaka. Ten znów zaczął oddychać. – Dodaj dwa do dwóch, durniu. Zaczęło się. Wiesz, co to oznacza.

– Wolność? – oczy wielkoluda zabłysły.

– Wolność, śmierć... To samo, prawda? Widzimy się na Marsie. Nie zwlekaj!

Czerń zniknęła z ekranu równie nagle, jak się na nim pojawiła, i

znów widać było bitwę toczącą się w kosmosie. Flota Santa Muerte przegrywała. Jej niedobitki, brocząc płonącym tlenem wypływającym z dziesiątek ran, przyjmowały kursy ucieczkowe. Nie przestawały się ostrzeliwać, prowadząc na wszystkie strony ogień zarówno konwencjonalnymi pociskami, jak i opróżniając zapasy przekleństw i demonów.

Wrogowie nie zamierzali pozwolić im uciec. Ścigacze Strażników Pasa kąsały zawzięcie, okręty TG słały salwę za salwą. Ale drednoty Wiecznego Majestatu Imperium, choć ciągle pluły torpedami jądrowymi, przyjmowały już pozycje, które umożliwiłyby im w razie czego skuteczny ostrzał jednostek Transportu. Albo floty Deutsche Bahn, której działa już milczały, ale okręty ustawiły się w trakcie starcia z Santa Muerte tak, by oddzielić pozostałych od ciała Tiamat.

Burzymur miał rację, uświadomił sobie Drygieł. Zaraz na poważnie zacznie się tu bitwa wszystkich ze wszystkimi. I nikt nie wie, jak teraz ułożą się sojusze.

Na tle eksplodującego pancernika Santa Muerte zamigotała plama ciemności. To czarny statek porzucał Subukład Jowisza.

– Załoga! Nowy kurs! Lecimy na Marsa – odezwał się ciężkim, zmęczonym głosem Burzymur. – Wszystkie syreny na pokładzie?

– Są, kapitanie! – zameldował Długi Jan. – Na Marsa, kapitanie? Czy tam ukryjemy zdobycz?

– Zmyta na mostek! – zignorował go Burzymur. – Przejmiesz ster. Obejrzał się na Drygła z Hoygrenem.

– Wracajcie do swojej kajuty – polecił im ponuro. – Zabawa skończona. Teraz... – urwał. – Nie wasza rzecz. Na Marsie

odstawimy was do waszego przedstawicielstwa.

Za jego plecami główny ekran ukazał, jak Deutsche Bahn oddało pierwszą salwę do okrętów TG.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Kraków

– Jestem tu po to, by uratować mu życie – oznajmił facet, którego paskudną, pooraną bliznami gębę Korycki znał ze zdjęć w aktach. Jewgienij jakiś tam... Cholera, pamięć już nie ta, nie wszystkie nazwiska udawało się zapamiętać.

Mówiący wyciągnął ku Koryckiemu dłoń, a ten uścisnął ją bez wahania. Twarda, mocna. Ścisnął już gorsze i należące do gorszych sukinsynów. Dawno przestał zwracać na to uwagę, chyba jeszcze podczas pracy w policji. Honor i kwestia godności osobistej musiały ustąpić miejsca skuteczności, dlatego poważnie je przedefiniował.

– Uratować mu życie, tak? Ciekawe, jak pan to zrobi, pracując z nią?

Skinięciem głowy generał wskazał Baškę, która nalewała sobie właśnie kawy, przyglądając się im obu.

Siedzieli w kuchni niewielkiego mieszkania przy ulicy Kalwaryjskiej, w jednym z tych tanich lokali, na jakie poprzerabiano pomieszczenia po austriackim arsenale. W Radzie Miasta co chwila podnoszono pomysł wyburzenia tego paskudztwa, jednak ze względów prawnych i finansowych potworek ciągle stał. Nikt go nie remontował, nikt też nie kwapił się, by przyznać się do posiadania doń praw własności. Cesarstwo Austro-Węgier upadło, Podgórze odzęgnywało się od ruiny, a Nowakowski nie chciał nawet

słyszeć próśb, by zajął się szkaradnym budynkiem na własną rękę.

A wszystko dlatego, że sądzono, iż budynek ten przynosi pecha.

W jego okolicach zaczął się upadek zaborcy w Krakowie, co mogłoby przydać mu blasku, gdyby nie seria dziwnych wydarzeń, które miały tu miejsce zaraz potem. Nie było miesiąca, żeby ktoś się tu nie powiesił albo kogoś nie zamordowano. Arsenał przejęli komuniści, szykując się do wywołania w Krakowie rewolucji bolszewickiej. Gdy ich wystrzelano, ich miejsce zajęli sataniści. Ci z kolei zostali pożarci przez demona, którego przywołali, i którego musiał potem ścigać po całej dzielnicy nie kto inny, jak właśnie Korycki, zajmujący się wówczas w policji podobnym sprawami.

Po satanistach odważyli się zamieszkać tu żebracy. A po nich anarchiści, którym udawało się rządzić coraz bardziej podupadającym budynkiem do dziś. Wierni idei wolności za wszelką cenę, zaczęli jednak z czasem pobierać drobne opłaty za wynajmowanie mieszkań. „Dla sprawy” – jak mówili.

Nikomu nie chciało się ich ruszać, ponieważ prędko ustalono ponad wszelką wątpliwość, że anarchistami byli iście krakowskimi: zajmowali się głównie prowadzeniem głośnych rozmów, podczas których złorzeczyli każdej władzy, oraz urządzali wieczorki wolnościowe, które zdaniem policji oznaczały głównie orgie, przez policyjnych wywiadowców inwigilowane ze szczególną uwagą. Czasem organizowali jakieś manifestacje, jednak mało kto na nie przychodził i większość tego typu wydarzeń kończyła się w kawiarniach, gdzie narzekano głośno na ignorancję i obojętność ludu krakowskiego.

Agenci Wiecznej Rewolucji, przysyłani tu, by werbować

zamachowców, prędko popadali w marazm, poddawali się dekadentckim nastrojom, po czym zaczęli wysyłać do ojczyzny bałamutne meldunki. W końcu Rewolucja poddała się i przestała przysyłać tak szpiegów, jak i zabójców, których celem była eliminacja zdrajców.

„A po co wysadzać?” – wyznał kiedyś jeden z anarchistów podczas przesłuchania, któremu Korycki przyglądał się z ukrycia. – „Wszystko i tak prędzej czy później samo się zawali. Trzeba tylko nieco cierpliwości”.

Ta jakże słuszna uwaga zdawała się jednak nie dotyczyć budynku dawnego arsenału. Choć nikt go nie remontował i nie zabezpieczał, za to wielu źle mu życzyło, trwał niczym wyzwanie rzucone entropii.

– Z Barbarą? – upewnił się Jewgienij. – Jakoś nie znalazłem innych chętnych do pomocy. Ja mam swoje cele, ona swoje... Nie różnią się aż tak, jak się panu wydaje.

– I ty się na to zgadzasz, Baśka?

– Każdy się przyda. – Usiadła przy nieco rozchwianym stoliku, pokrytym ceratą w jasne kwiaty. Odcisnęły się na niej ślady setek kubków i filiżanek. Kto wie, może pamiętała nawet czasy pierwszej wizyty Koryckiego w tym przeklętym budynku? – Nawet taki, co chce Kutrzebę ratować. Kto wie, może to też jest droga? Znasz reguły krwawej zemsty?

– Nasz wspólny znajomy tłumaczył mi je, ilekroć żeśmy się upili – westchnął Korycki. – Najpierw ty kogoś ścigasz, a potem jego krewni ścigają ciebie. A wszystko wedle zasad. Po zabójstwie dostajesz taki mały immunitet, nikt cię nie może zabić przez trzy

dni. I jeszcze...

– Nie te. – Barbara upiła łyk kawy. Skrzywiła się. Sięgnęła do cukierniczki, zanurzyła w niej mokrą łyżeczkę, by wyciągnąć całą oblepioną białymi kryształkami. Gdy mieszkała w szklance, dzwoniła głośno o jej ścianki. – Te drugie.

– Drugie?

– O drugich nie mówił, prawda? – Jewgienij uśmiechnął się smutno.

– Jakie, kurde, drugie?

– Są dwa oblicza wróżdy – wyjaśniła Baśka. Upiła znów łyk, znów się skrzywiła i znów dosłodziła. – Oba związane z krwią. Jedno to sama zemsta. O tę najłatwiej. Tylko o niej piszą w powieściach. Drugie to pojednanie. Wybaczenie.

– Mirosław miałby wybaczyć zabójcy swojej rodziny? – roześmiał się Korycki. – O, toście mnie ubawili! To zresztą niemożliwe i z innych powodów. Ten Szósty...

– Chuj z Szóstym – przerwał mu Jewgienij. – Przecież wiemy, że Kutrzeba im nie wybaczy. Ale my moglibyśmy wybaczyć jemu. Jakby poprosił.

– Ty to chyba raczej nie masz mu czego wybaczać, co? Nie uratował ci przypadkiem życia?

– Uratował, zniszczył. – Jewgienij machnął ręką. – Trochę tego i trochę tego. Ale masz rację, Ja mu nie mam czego wybaczać. Ale ona, tak.

– I co? Wybaczyłabyś mu? I to by wystarczyło? Załatwiłoby wszystkie problemy?

– To nie takie proste – odparła kobieta. – Gienia czasem patrzy

na świat jak naiwny dzieciak. Wierzy w bajki. Po pierwsze, nie ma krwi między mną a Kutrzebą. No to jak tu stosować reguły wróżdy? Po drugie, ja go nie chcę zabić dla zemsty, ale dla spokoju świata. Bo on niszczy ludzi. Po trzecie wreszcie, on by mnie musiał o przebaczenie sam poprosić.

– Jesteś jedyną osobą, którą mógłby o to poprosić – powiedział z przekonaniem Jewgienij. – Wszyscy inni... – Splunął. – Jeśli on ma jeszcze jakieś wyrzuty sumienia, to tylko wobec ciebie.

– Może i tak. Ale to nie między nami jest krew.

– O ile go nie zabiłaś – przypomniał jej Korycki. – Albo nie skrzywdziłaś Zmory. Bo jeśli ona by zginęła przez ciebie, Baśka...

– Ona to demon! Demonów nie tyczą się ludzkie prawa!

– Nie? A to coś nowego, po zmianach Kodeksu Karnego z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego...

– Prawo karne! – prychnęła z pogardą. – Przestrzegałeś go kiedyś?

No cóż, kiedyś przestrzegał. Do pewnego stopnia. Kiedy był glina, musiał przynajmniej sprawiać pozory.

– Co ja tu robię? – zapytał. – Czekam z wami na wiadomość z Belgradu? Wiecie, jaka to strata czasu? Ile mam rzeczy do zrobienia?

Niech to szlag. Naprawdę miał co robić. Wiadomości od warszawskiego łącznika wiele zmieniały. Przecież jeśli rację mieli ci fantaści, jeśli Marsjanie tylko udawali, że przegrali wojnę, by łatwiej zarazić ludzkość przemysłem fidezyjnym i wykorzystywać jako nieświadomych niewolników, przekonanych, że działają dla własnego dobra, to nawet sprawa Szóstego zmieniała się w

bagatelę. Ambicje jakiegoś skurwiela, gotowego zabijać dla ich spełniania choćby i setkami, bladły wobec globalnego spisku obcych.

A on siedział w kuchni z parą pomyleńców.

Z drugiej strony, co on, Korycki, mógł działać przeciwko potajemnie podbijającym Ziemię Marsjanom? Niech się z nimi mierzą globalni gracze. Szósty to była jego liga.

– Zadzwońeś? – zapytała Jewgienija Baśka.

– Powinien tu być lada chwila.

I rzeczywiście, nie zdążyła nawet dopić kawy, kiedy klucz zazgrzytał w zamku, niezbyt pasującym do rudery, bo nowym. Potem zaskrzypiały drzwi, zupełnie niepasujące do nowego zamka, bo stare i przegniłe. I w progu kuchni stanął młody, elegancko ubrany mężczyzna. Korycki zaklął w duchu. Znał go.

– Robert Rymar – przedstawił się jeden z najbardziej wziętych krakowskich adwokatów młodego pokolenia, liczący ledwie dwadzieścia sześć lat, a już będący współwłaścicielem kancelarii Zoll i Rymar. – Cieszę się, że nareszcie mogę pana poznać.

Ten szczeniak nie mógł być Szóstym, uznał Korycki. Generał nie liczył na serio, że sam Napoleon Zbrodni pofatyguje się do meliny służących mu, świadomie bądź nie, ludzi. Ale nieco nadziei miał. Marzył, by cała ta sprawa dobiegła nareszcie końca.

Uścisnął wyciągniętą rękę.

– Rymar – odezwał się, siadając. – Pan jest synem tamtego...

– Tak. Tak zwanego Drugiego. Zamordowanego w tym samym czasie, gdy toczono najsłynniejszą derbową bitwę na Błoniach. Na pewno pan pamięta.

– Pamiętam – przyznał Korycki, nie spuszczać wzroku z gówniarza. Czy wiedział? Czy znał szczegóły śmierci swojego ojca na tyle dobrze, by domyślać się, że Korycki, podówczas pułkownik policji, miał w niej swój udział?

Czy przyprowadzono go tu tak naprawdę po to, by gówniarz mógł dokonać na nim zemsty za ojca?

Przynajmniej dowiedział się, skąd ta banda świrów miała środki na swoje działania.

Opanował pokusę, by zerknąć w prawo, na Jewgienija. Z Basieńką sobie poradzi. Z gówniarzem pewnie też. Blisko trzydzieści lat doświadczenia w walce z każdym rodzajem drani, ludzkich i nieludzkich, pozwoli mu pokonać tego szczeniaka, nawet jeśli młodziak jest w lepszej formie. Ale Jewgienij pozostawał cholernie niepokojącą niewiadomą. Całymi latami zarabiał jako strażnik karawan. Wiedział to i owo o zabijaniu.

Jego, uznał Korycki, trzeba będzie wyeliminować pierwszego. Skutecznie, czyli, niestety, śmiertelnie.

– Zapewnie czuje pan niepokój – ton Rymara był spokojny, życzliwy. – Między mną i zabójcą, używającym najczęściej nazwiska „Kutrzeba”, jest krew. On zabił mojego ojca, a pan jest z nim zawodowo związany. To mogłoby czynić z nas wrogów. – Uśmiechnął się pojednawczo, rozłożył ręce, ukazując otwarte dłonie. – Ale nie czyni. Jesteśmy po tej samej stronie, pan i ja.

– Tak, słyszałem. Bo Kutrzeba niszczy ludzi.

– Tak jest. Proszę spojrzeć na Barbarę. Baśkę, znaczy – poprawił się pod jej ostrym spojrzeniem. – Powinna była się załamać, a nie stać się mścicielką. A Jewgienij? Jego kariera rozwijała się, a teraz

nie potrafi sobie znaleźć miejsca w życiu. Pan wreszcie. Proszę się nie obrazić, ale nie jest już pan w wieku, w którym człowiek nadaje się na agenta polowego. Powinien pan bawić wnuki w pięknym ogrodzie, a nie udawać przed własnymi dziećmi, że nie żyje.

– Czytasz mi w myślach, młodzieńcze. Chociaż na wnuki to jeszcze za wcześnie. Mów jasno, czego chcesz.

– Pokoju. Panie Korycki, wiem, że Kutrzeba obwiniał mojego ojca o śmierć swoich najbliższych. Mylił się. Ojciec miał swoje wady, ale nie był krwawym potworem. Pan rozumie, teraz ja powinienem się mścić za jego zamordowanie. Ale nie jestem pewien, czy chcę. Moja matka się o mnie boi. Błaga, żebyśmy zapomnieli o zemście. Straciła męża, nie chce stracić syna. A ja... Cóż, też nie jestem typem wojownika. Za to znam się trochę na taktyce. Wiem, że mogę zatrudnić setki strażników, ale jeśli Kutrzeba przejmie inicjatywę, w niczym mi nie pomogą. Dlatego chcę pokoju. I dlatego pan jest mi potrzebny. Chciałem dotrzeć do pana wcześniej, ale... No cóż, uwierzyłem, że pan nie żyje. Jest pan jedynym znanym mi człowiekiem, o którym wiem, że utrzymuje w miarę regularne kontakty z Kutrzebą. Dlatego chciałem do pana dotrzeć. Żeby się z nim porozumieć. Zaproponować pokój.

– On z panem nie wojuje. Zabił pańskiego ojca, to mu wystarczy.

– Zemsta to zemsta, panie Korycki. Jestem nią związany. Nocami nawiedzają mnie upiory, nie tylko ojca, ale też tych wszystkich ludzi, których Kutrzeba zabił w drodze do niego. Muszę je nakarmić, jeśli nie chcę zwariować. Ale nie potrzebuję wojny z Kutrzebą. Boję się go. Dlatego chcę rytuału pojednania. Skończmy to. Dusza mojego ojca zazna spokoju. Nikt nie musi ginać. Co pan

na to?

– Ja? Co Baśka na to? Ona chce go zabić.

– Chcę załatać dziurę w świecie – odpowiedziała. – Wszystko mi jedno, jak. Nie rozumiałeś nas dotąd. Może teraz zrozumiesz?

Zrozumiał.

– Co się stało w Belgradzie? – zapytał.

Wymienili spojrzenia. Rymar po raz pierwszy spuścił wzrok.

– Wasi ludzie zawiedli, tak? – ciągnął Korycki, skoro nikt inny nie chciał się odezwać. – Mirek żyje. Zgadza się?

– Jedzie tu – odparł po krótkim zastanowieniu adwokat. – Powinien dotrzeć za około cztery dni. Do Krakowa.

– Dlatego potrzebujecie mojego wsparcia. A Zmora, co z nią?

Milczenie było aż nazbyt wymowne.

Kurwa mać.

Korycki przymknął oczy. Zmora. Spotkał ją może ze dwa razy, kiedy wylazła z Mirka, żeby go za coś opieprzyć. Generałowi wystarczyłby jednak tylko raz, by zrozumieć, że relacje między tymi dwojgiem wykraczają poza wszelkie granice.

Wypytywał o demonkę wszystkich, którzy się z nią zetknęli. A potem długo rozmawiał o tym, czego się dowiedział, z najlepszym znanym sobie ekspertem od spraw kobiet i ich pokreconych związków z popieprzonymi mężczyznami. Ze swoją żoną.

– Nigdy nie stawaj pomiędzy nimi – poradziła, gdy go wysłuchała.

– A jeśli będziesz musiał go zabić, zabij ich oboje i spal ciała.

– Jezu, Małgośka!

– Wiem, kim jesteś i czym się zajmujesz, kochanie.

– Kiedy mówisz do mnie „kochanie” wiem, że mam przesrane.

– Panuj nad językiem, pieprzony wulgarny psie! Nie jesteś, kurwa, u siebie na posterunku!

– Tak lepiej, najmilsza. Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?

– Pamiętasz, jak słuchałeś bajek, które czytałam dzieciom na dobranoc? To znaczy, te dwa albo trzy razy, kiedy raczyłeś wrócić do domu na tyle wcześnie, żeby dzieci mogły przypomnieć sobie, jak w świetle dnia wygląda ich ojciec.

– Coś pamiętam. Choć głównie to, jak zaparło mi wtedy dech na twój widok, serce ty moje... Ogonek ci się tak ładnie kołysał. A piersi...

– Zabieraj łapy! Skup się, maniaku seksualny! Bajki! Pamiętasz coś?

– Pamiętam. Piąte przez dziesiąte.

– To przypomnij sobie wszystko, co w nich było o tej sile, zdolnej pokonać każdą inną. Tej największej. I nie stawaj nigdy między tymi dwojgiem.

Miłe wspomnienie. A teraz siedział w ciasnej, trochę brudnej kuchni między trojgiem ludzi, których być może będzie musiał za chwilę zabić, jeśli nie spodoba im się to, co ma do powiedzenia. Cała nadzieja, że pan mecenas naprawdę jest nienawykły do przemocy. I że, jak większość prawników, wierzy, że zdoła wykaraskać się z każdych kłopotów.

– Zmora – powtórzył Korycki. – Proszę, powiedzcie, że nic jej się nie stało.

– Jej się nie udało – odrzekł Rymar blahym tonem człowieka niepojmującego, że właśnie popełnił największy błąd w życiu.

– No to możesz pan wsadzić sobie swoje pojednanie w dupę.

Jesteście martwi. Wszyscy troje i każdy, kto brał w tym udział.

– Jest jeszcze szansa, że coś przydarzy się mu w pociągu, prawda?
– zapytała Baśka.

– Wykorzystałem pewnych ludzi. – Rymar skinął głową. – Fanatyków... Prawdę mówiąc, chciałem z panem pomówić i o nich. Po wszystkim trzeba będzie ich usunąć, bo to niebezpieczni szaleńcy. Postanowiłem, że pan się tym zajmie.

– Postanowiłeś? – syknął Korycki. – Są w pociągu? – upewnił się.
– Szykują się na Kutrzebę?

Adwokat przytaknął. Najwyraźniej ciągle jeszcze bardzo z siebie zadowolony.

– Rany Boskie, jaki ojciec, taki syn! – jęknął Korycki. – Człowieku, przyszykowałeś zasadzkę na Kutrzebę w pociągu? Nie wiesz, jak to się wszystko zaczęło? Przecież tam mogą wszyscy zginąć!

– Wszyscy? – zapytał Rymar, a Koryckiemu zrobiło się niedobrze od nadziei, jaka rozbłysła w jego oczach.

– Wszyscy oprócz niego – zgasił ją więc.

Rozdział trzydziesty drugi

*Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,
w drodze między Belgradem a Bukaresztem*

Oficer, niewysoki, lecz pełen wigoru i charyzmy, należał do ludzi niepotrafiących ustać w miejscu, gdy trawi ich jakiś niepokój. Z tego też powodu miotał się po całej przestrzeni barowej, czasem przesuwał gniewnie krzesła, by stały równo przy stolikach, a czasem je ignorując.

Innymi słowy, zdeptał wszystkie ślady, a następnie tak odmienił miejsce zbrodni, by prawie nic nie dało się zeń wyczytać.

– Przyszedł pan! – zawołał na widok Kutrzeby. – Sprawca całego tego nieszczęścia!

Całe to nieszczęście, czyli zwłoki trzech osób, leżały w miejscach, na których zastała je rozhisteryzowana pasażerka – kobieta mająca lat około sześćdziesięciu, acz niełatwo ulegająca swojemu wiekowi. Ba, ubrana była jak ktoś, kto niechętnie ulega czemukolwiek, a zwłaszcza konwenansom. Choć druga połowa lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku przyniosła pewne zmiany dotyczące statusu kobiet czy sposobu ich ubierania się, widok krótko ostrzyżonej damy, paradującej w spodniach i męskiej marynarce, nadal należał do nieczęstych. Bez względu jednak na to, jak silną osobowością by nie była, znalezienie trojga martwych ludzi wstrząsnęło nią nielicho.

– Kiedy wychodziłem, były tu cztery osoby. – Kutrzeba nie tracił

czasu na sprzeczki z oficerem. Facet mógł należeć do tych kompetentnych albo do fajtłap. Okaże się. Z oboma typami należało postępować stanowczo, nim przyjdzie ocenić, do kogo ostatecznie należeć będzie inicjatywa. – Kucharka, kelner i małżeństwo.

– Kiedy pan tu wchodził, wszyscy jeszcze żyli. A kiedy wychodził...

– Też żyli. Myśli pan, że jeżdżę pociągami i zabijam przypadkowe osoby? Czemu teraz, a nie tuż przed postojem w Bukareszcie, gdzie mógłbym uciec? Przecież to oczywiste, że od razu pomyślicie o mnie. Jestem przeklęty, ale nie głupi.

Oficer wyglądał, jakby chciał odpowiedzieć równie bezczelnie. Poczerwieniał. Otworzył usta, jednak tylko po to, by zaraz je zamknąć.

– Kogo brakuje? – zapytał w końcu.

Może jednak nie był taki tępy.

– Dziewczyny. Ten pod barem to kelner. Ta za barem kucharka. Ten grubas to mąż młodej dziewczyny. Trochę się spierali. On ją ochrzaniał za byle co.

– I jej brakuje, tak? – Oficer zmarszczył brwi. – Tej kobiety, którą, jak pan mówi, publicznie obsztorcował mąż?

Wyjął kajecik w oprawie z herbem Kolei Galicyjskich, otworzył go i coś sprawdził.

– Ungeheuer – przeczytał. – Rudolf i Elżbieta. Przedział czwarty... Małżeństwo. Może jednak wróciła do przedziału? Regulski – zwrócił się do jednego z dwóch strażników, tego, który przyprowadził Kutrzebę. – Niech pan to sprawdzi. Kobieta w szale...

– To nie ona go zabiła – wtrącił się Mirosław.

- Nie? A skąd to przypuszczenie?
- Grubasek ma w ręce pistolet z tłumikiem, nie? Dałby się tak po prostu zastrzelić żonie? Zresztą, co tam zastrzelić... Nóż wystaje mu z piersi. Pozostałych dwoje zostało też zastrzelonych tak, że nikt tego nie usłyszał...
- Pociąg trochę hałasuje – napomniał go oficer.
- Dlatego wcale nie było słycać strzału. Tłumik nie wycisza go tak zupełnie. Mamy więc dwie osoby z obsługi, zastrzelone, i pasażera, uzbrojonego, zadżganego. Zresztą jednym z kuchennych noży. Obstawiam, że Matej nieźle miotał nożem i chwycił ten, jaki miał pod ręką.
- Matej... – Oficer znów zerknął do kajecika. – Był pan z kelnerem na „ty”? Ciekawe. I co, zabili się z Ungeheuerem nawzajem?
- To byłoby widowiskowe, nie? Ale podejrzewam, że Mateja zastrzeliła słodka żoneczka.
- Para morderców?
- I to dziwna para. Wie pan, on nią naprawdę pomiatał. Chyba że odstawiali to na pokaz... Ale po co? Nieważne. Ma pan poważny problem. Dlaczego dwoje zabójców, dobrze przygotowanych, bo z pistoletami zaopatrzonymi w tłumiki, jechało tym pociągiem? Jedzie nim ktoś ważny?
- Tak ważny, żeby najpierw ci pańscy superzabójcy narobili zamieszania, zabijając bogu ducha winnych, przypadkowych ludzi?
- zaskoczył Kutrzebę oficer. – To dopiero fantazja, drogi panie.
- Mogli chcieć pana odciągnąć od kogoś, kogo powinien pan szczególnie chronić.

– Nikogo specjalnego nie chronię – skrzywił się oficer. – A jedyną szczególną osobą w tym pociągu jest pan. Co prowadzi nas...

Kutrzeba nie dowiedział się, dokąd wiodły wnioski oficera, ponieważ w tym momencie wagonem szarpnęło tak potężnie, że żaden z nich nie zdołał utrzymać równowagi. Mirosław, porwany siłą nie do przewyciężenia, poleciał prosto na stół, pod którym spoczywało ciało kupca.

– Hamulec! – wrzeszczał oficer, padając na podłogę. Potoczył się w kierunku drzwi do przedziału, ale po pierwszym szarpnięciu nadeszło drugie, o przeciwnie skierowanym wektorze, przez co odtoczył się z powrotem pod bar i uderzył weń, najwyraźniej boleśnie, bo jęknął z bólu. – Pociąg hamuje!

Oślaniał jedną ręką twarz przed naczyniami i sztućcami spadającymi z góry. Drugą miał wygiętą pod nienaturalnym kątem.

– Lokomotywa! – zawołał, próbując wstać. – Musimy do lokomotywy!

Regulski pierwszy podniósł się z podłogi, na którą i jego cisnął impet gwałtownego hamowania, i ruszył ku przełożonemu. Zatrzymał się w pół kroku na widok wypadającej z ciasnej kuchni istoty, tylko z lekka przypominającej drobną kupiecką żonę, która niespełna pół godziny wcześniej wysłuchiwała pokornie małżeńskich połajanek.

W poszarpanej sukni, czarnej od sadzy, prześlizgnęła się przez wąziutkie drzwi, oddzielające kuchnię od reszty przedziału. Dopadła baru i przesadziła go jednym susem, wyciągając przed siebie absurdalnie małą dłoń, ściskającą zaopatrzonego w tłumik pistolet. Nie była w stanie dobrze celować w takich warunkach i

tylko dzięki temu strażnik przeżył. Kula przeleciała kilkanaście centymetrów nad jego głową i rozbiła zdobiony w ludowe motywy talerz, zawieszony nad wejściem. Odłamki posypały się na głowę ostatniego ze strażników.

– Piec! – stęknął, osłaniając twarz. – Nie sprawdzaliśmy pieca!

Kobieta wylądowała na podłodze, tuż obok oficera. Uchwyciła pistolet w obie dłonie, przesunęła prawą stopę do tyłu, pochyliła się, wycelowała i tym razem już nie chybiła. Kula trafiła wciąż jeszcze zbyt zaskoczonego strażnika w sam środek czoła.

Upadł, nie wydając najmniejszego dźwięku, a ta blondwłosa drobina, której Kutrzebie było jeszcze niedawno żal, która wzbudziła w nim wyrzuty sumienia za każdą kobietę, jaką wykorzystał, a nawet za te dwie zabite przez Zmorę tak niedawno, natychmiast strzeliła ponownie.

Pocisk nie dotarł do celu tylko dlatego, że oficer chwycił nogę kobiety i pociągnął z całej siły. Zabójczyni krzyknęła, zachwiała się, ale nie upadła. Strzeliła ponownie, być może odruchowo, bo pocisk z pistoletu trafił w sufit.

– Chwała! – wrzasnęła, obracając się ku oficerowi. – Wieczność!

Leżąc u jej stóp ze złamaną prawą ręką, był prawie bezbronny. Nawet nie próbował sięgać do kabury na biodrze. Gdy kobieta z łatwością wyrwała nogę z jego dłoni, po prostu uniósł rękę w daremnej, symbolicznej próbie zasłonięcia się przed pociskiem.

Pozostały przy życiu Regulski nie mógł mu pomóc, dopiero podnosił się z podłogi. Choćby okazał się najszybszym z ludzi, nie zdołałby prześcignąć kuli.

Kutrzebie nakazano zostawić broń w przedziale, był przecież

podejrzany. Kiedy zaczęła się rozróżba, klął na czym świat stoi. Nie próbował wstawać, po co przyciągać uwagę uzbrojonego napastnika, zdaje się szaleńca? Wolałby podpełznąć niezauważenie do drzwi i spróbować dotrzeć do przedziału. Że jednak szanse na powodzenie takiej operacji wydawały mu się raczej nikłe, szukał innych opcji.

Gdy dziewczyna zabijała pierwszego ze strażników, rozglądął się w poszukiwaniu jakiejś broni. Dojrzał ją. Zaklął. Przy drugim strzale już wyciągał nóż z piersi nieboszczyka, przy trzecim wstawał. Zdołał cisnąć nożem, nim padł strzał czwarty.

Nie dorównywał umiejętnościom nieodżałowanego Mateja, mistrza w pluciu do zupy, a także, jak się okazało, w miotaniu bronią białą. Nóż wbił się w prawe ramię dziewczyny. Wszedł w mięsień gładko, nie wyrządzając jej większych szkód.

Niemniej przyciągnął uwagę zabójczynie.

Zaskoczona, poderwała zranioną rękę, akurat gdy naciskała na spust. Strzał, zamiast zabić oficera, ogłuszył go tylko i oślepił. Kobieta na chwilę o nim zapomniała. Zwróciła rozzłoszczoną twarz ku Kutrzebie, skupiona już tylko na nim, teraz naprawdę bezbronnym, nawet nie próbującym szukać sobie kryjówki.

Półkłęczał z prawą ręką wciąż wyciągniętą przed siebie. W przeciwieństwie do zabójczynie widział, że za jej plecami strażnik wstał wreszcie i właśnie przybierał pozę człowieka zamierzającego rzucić się do biegu swojego życia. Znow jednak musiał się okazać zbyt wolny dla kuli.

Mirosław rzucił się w prawo, bez wielkich nadziei. Kobieta nie była może wybitnym strzelcem, ktoś jednak nauczył ją podstaw.

Można było mieć tylko nadzieję, że w ruchomy cel na tyle trudno będzie jej trafić, że rany nie okażą się śmiertelne. Jeśli uda się ofiarować strażnikowi ze dwie, trzy sekundy, nawet kosztem utraty krwi, być może wyjdą jeszcze z tego cało.

Przetoczył się najszybciej, jak potrafił. Pierwsza kula uderzyła w ścianę wagonu, w miejscu, w którym powinna znajdować się głowa celu. Zrykoszutowała, przeleciała tuż przed nosem Kutrzeby, po czym odbiła się od podłogi, by pechowo trafić w kolano strażnika, znajdującego się już bardzo blisko zabójczynie, wyciągającego ku niej ręce. Impet pocisku był osłabiony, toteż kula nie zmiażdżyła kości, jedynie ją zadrasnęła. Co nie znaczy, że nie zaboląło. Przeciwnie. Trafiony wrzasnął, potknął się, skulił.

Nawet nie zdołał tak pokierować upadkiem, by zwalić kobietę z nóg.

– Chwała! – zawołała raz jeszcze, szykując się do następnego strzału. Tym razem nie powinna była chybić. Ale to nie ona strzeliła.

Oficer wciąż jeszcze był ogłuszony i na wpół ślepy po tym, jak pistolet wypalił ledwie kilka centymetrów od jego twarzy, osmalając ją całą. Nie musiał jednak wyraźnie widzieć, by trafić. Sokoli wzrok nie jest niezbędny, gdy cel stoi rozkraczony tuż przed człowiekiem. W takiej sytuacji nie przeszkadza nawet fakt, że broń wyjęło się z kabury niezgrabnie, słabszą lewą ręką, starając się ignorować ból w złamanej prawej i ten wściekły huk wystrzału, który nie chce zamilknąć w głowie; wystarczy po prostu unieść broń, przytknąć lufę do ciała i strzelać, strzelać bez końca, aż ten wielki facet, którego podejrzewało się o wszystko, co najgorsze, nie

podejdzie i nie wyjmie człowiekowi pistoletu z ręki.

– Już opróżnił pan magazynek! – wrzasnął Kutrzeba prosto w oficerskie ucho. – A ona nie żyje.

– Ja... wiem! – odwrzeszczał oficer, szczęśliwy, że jest zdolny słyszeć jakikolwiek ludzki głos. – Ja wiem!

Otarł dłonią twarz z sadzy i krwi. Szczególnie tej drugiej było mnóstwo, ale on czuł w tej chwili euforię na myśl, że nie była to jego krew.

– Musi pan iść ze mną! – Kutrzeba nie tyle pomógł mu wstać, co podniósł go siłą z podłogi.

– Co?

– Iść ze mną, szybko!

– Ale dlaczego?

Huk w głowie zaczął nareszcie ustępować szumowi. Dobrze. Ale czemu zdawało mu się, że nadal strzelają? Czy ta kanonada pozostanie z nim już na zawsze?

– Może pan tego jeszcze nie słyszeć. – Mirosław przysunął swoją twarz do oficerskiej tak blisko, jak to było możliwe, i wrzeszczał z całych sił. – Ale strzelanina trwa w całym pociągu. Oni nie byli sami!

Rozdział trzydziesty trzeci

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

O Boże!

A więc tak wygląda latanie?

Nie pierwszy raz podczas tego wieczora czas zamarł wokół Olgi, która znów znalazła się w centrum świata, unieruchomionego, jak przystało na obraz. Ten namalowano raczej krótkimi szarpnięciami niż pociągnięciami pędzla. Miała wrażenie, jakby wróciła do Paryża, moskiewska ulica zmieniła się bowiem w grę świateł.

Największe ich skupisko jaśniało oczywiście w samym środku nocnego pejzażu, w miejscu, gdzie rozpedzona dorożka uderzyła w tę postawioną w poprzek drogi. Katastrofę ukazano na kształt eksplozji. Jej epicentrum jaśniało od roztrzaskującego się drewna i milionów drzazg, rozsypujących się na wzór iskier i ogników. Żółciły się i złociły od kul, których kształty przybrały zamarznięte w ułamku sekundy światła latarni. Naokoło bieleły twarze przestraszonych ludzi i czerwieniały tych rozwścieczonych. Rozbłyskiwały lufy pistoletów plujących długimi, ciemnoczerwonymi smugami wątych płomieni, przecinających przestrzeń naokoło unoszącej się nad tym wszystkim Olgi.

Pamiętała i nie pamiętała zarazem, jak zaczął się jej lot.

Tuż przed zderzeniem ktoś chwycił ją w pól. Chyba krzyknęła zaskoczona. A potem silne ramiona targnęły nią, cisnęły z całej siły

w górę. I tak właśnie wzleciała w powietrze, wyrzucona ze zdumiewającą siłą, wzmocnioną zapewne pędem dorożki. Ale nie dorównującą potędze następującego sekundę wcześniej zderzenia, kiedy to zginęły nieszczęsne konie, istniejące w tej zamarłej chwili jako dwie ciemne plamy, z których wychlapywały się krwawe kleksy.

Były i inne kształty, wyglądające jakby malarz namalował je szybkimi pociągnięciami pędzla. Na przykład bezwładne ciało Czchartiszwiliego, leżące z boku, także wyrzucone z pojazdu. Oraz mężczyzna, o którego Olga obawiała się najbardziej. Ten, który wypadł ciśnięty impetem i wciąż leciał przed dziewczyną, wyprostowany, z dłońmi wyrzuconymi przed siebie jakby w próbie osłonięcia się, gdy uderzy o ziemię.

Nie była to jednak wcale próba osłony. Cień Szczura stał się na obrazie metaforą życia tego człowieka, który nawet w tej chwili nie próbował się ratować, lecz chciał zabić jak najwięcej wrogów.

Z jego wyciągniętych dłoni wypływał ogień. Szczur myślał tylko o walce, o usuwaniu przeszkód. Instynkt samozachowawczy musiał w nim zgasnąć dawno temu. W tej postawie wiecznego łowcy było coś tak nieludzkiego, że Olga aż się wzdrygnęła. Jak musiało wyglądać jego życie i w jakim stanie znajdowały się jego umysł i dusza?

A ponieważ nawet to drobne wzdrygnięcie było ruchem, czar, który zamroził chwilę, pękł i czas znów zyskał dostęp do malowanego świata.

Nim jednak poczuła strach i ból, zdążyła jeszcze pomyśleć, że być może Szczurem nie kierowała wściekłość i nienawiść, ale troska o

nią. Przecież wyrzucił ją z dorożki, ignorując własne bezpieczeństwo, a teraz strzelał nie dla radości zabijania, lecz by usunąć tych, którzy chcieli pojmać i skrzywdzić Rostownę. Była to miła myśl. Ostatnia taka na jakiś czas. Bo następna...

O Boże!

A więc tak wygląda spadanie!

Gruchnęłyby w sam środek morza odłamków, pomiędzy wrzeszczących z bólu i wściekłości ludzi, z których część wciąż jeszcze nie wierzyła, że ich sprytna pułapka zmieniła się w katastrofę. Kilku bandytów leżało z poprzetrącanymi kręgosłupami; to ci, którzy nie zdążyli odskoczyć od barykady. Dwóch ukrywało w dłoniach twarze, w które powbijały się drzazgi. Jeden siedział, wpatrując się ze zdumieniem w ułamany dyszel, który trafił go w brzuch i przebił na wylot. Inny, z kawałkiem końskiej kości w oku, wciąż biegł, zataczając się i strzelając na wszystkie strony.

Jednego zdołał zastrzelić Szczur, który upadł zadziwiająco zgrabnie na ulicę, przetoczył się po niej kilka razy i natychmiast spróbował wstać. Bez powodzenia. Zatoczył się, upadł na jedno kolano. Musiał podeprzeć się lewą ręką, by nie upaść. W drugiej wciąż trzymał pistolet, z którego strzelał do dwóch pozostałych bandytów.

– Co to za człowiek? – Olga uświadomiła sobie, że nie ona wypowiedziała te słowa, ale ktoś, kto dopadł ją, nim upadła, złamał jej lot uderzeniem własnego ciała i teraz lądował obok niej na ulicy.

Wielki czarny kot.

On oczywiście nie upadł, ale miękko osiadł na bruku, uginając

zawsze przygotowane cztery łapy. W przeciwieństwie do niego dziewczyna grzmotnęła o ulicę z taką siłą, że z jej płuc wydobył się głuchy jęk.

Dusiła się.

Wiła się na ulicy, daremnie próbując oddychać. Płuca nie słuchały jej, poobijane, może nawet połamane zebra protestowały. Bolało ją wszystko, całe ciało musiało teraz składać się ze złamań i sińców. Ale żyła, wciąż jeszcze żyła i nie straciła przytomności.

O, zdecydowanie wolałaby ją stracić! Wtedy nie czułaby tego wszechobecnego bólu oraz czegoś znacznie gorszego: pęczniejącego skowytu własnych płuc, spragnionych choćby haustu powietrza. Nie myślała już ani o wciąż pozostających przy życiu wrogach, ani o martwym być może Czchartiszwilim, ani o Szczurze, dla którego takie awantury stanowiły widać chleb powszedni. Wcale nie myślała. Rzucała się niczym zwierzę złapane w sidła i z całych sił próbowała przypomnieć sobie, jak się oddycha.

Ale w głowie miała tylko pustkę.

Kocur przyłożył jej w twarz łapą. Raz, drugi. Bez skutku. Zaklął.

– Oto efekty posiadania mięciutkich łap – warknął. – Potrafię zrobić wszystko, tylko nie porządnie spoliczkować!

Odbił się z całej siły od ziemi, by spaść prosto na piersi leżącej. Zwyczajny kot nie osiągnąłby w ten sposób zbyt wiele, ale on rozmiarami i wagą przypominał raczej rysia, więc podziało. Ludzka samica stęknęła, po czym z sykiem wciągnęła powietrze do płuc.

No dobra, skoro tu załatwione, zobaczmy, co z pozostałymi ciamajdami.

Ten dziwny facet, Szczur, zdołał zastrzelić ostatnich bandytów,

ale na tym wyczerpały się jego zapasy sił i padł nieprzytomny. Jak zwykle, ludzie niczego nie potrafią doprowadzić do końca. Wszystko na barkach biednego kota.

Odkręcił swój wierny kanisterek i pociągnął długi łyk. Ach, nie ma to jak maleńki łyczek benzyny.

Za jego plecami Olga przypomniała sobie, jak się oddycha i właśnie odkrywała na powrót umiejętność wydawania wrzasków. Kot westchnął. Tak mu się zdawało, że złamała rękę. Ale złamana ręka i tych parę żeber to betka. Zagoją się, piękności nie zaszkodzą. Może po drzazgach powbijanych w twarz (chyba ich jeszcze nie zauważyła, bo wtedy dopiero podniosłaby krzyk) zostanie kilka blizn. Ale one przecież jej nie oszpecą. Uroda postrzegana przez kota dotyczyła gracji ruchów, zmysłowości gestów i seksualnej aury, rozpościerającej się wokół samicy. Co go obchodził wygląd jej twarzy? Cud, że odróżniał ją od innych fajtłap. Miała w sobie coś takiego ta dziewczyna, że chciało mu się dla niej wysilać.

Co teraz?

Trzeba mieć priorytety, proszę państwa. Naokoło konają wrogowie, ale i sojusznicy nie mają się najlepiej. W każdej chwili może się okazać, że ten cały nowy królik półświatka wysłał jeszcze parę swoich łamag w pościg. Czy kocur poradziłby sobie z nimi sam? Duma podpowiadała mu, że z pewnością, w końcu nikt nie plątałby mu się pod łapami. Jednak rozsądek wskazał inne zakończenie ewentualnego starcia.

Nie, zdecydowanie trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby jak najszybciej wrócić do domu. Sam po prostu odszedłby spokojnym, wypracowanym kocim krokiem, jednym z tych wyraziście dających

do zrozumienia, że jakakolwiek katastrofa by się nie wydarzyła, on nie ma z nią nic wspólnego. Potrzaskane dorożki, zabite konie i martwi ludzie? Naprawdę? Nie zauważyłem. Byłem akurat skupiony na lizaniu prawej łapy.

Niestety, musiał zająć się nieprzytomnymi, uciążliwymi sojusznikami.

Co robić?

Oczywiście, należy zachować priorytety. A co jest w tej sytuacji najważniejsze?

Podszedł do Olgi, otarł się o nią i polizał ją po twarzy.

– Uratowałem cię – zamruczał. – Ja cię właśnie uratowałem. Ja.

Niech wie, komu ma być wdzięczna.

– Teraz to dopiero mnie kochasz i podziwiasz? – odpowiedział.

– Kocham cię i podziwiam – przytaknęła, opierając się o niego, nie po to jednak, by podrapać go po karku bądź za uchem, jak powinna, ale by wstać. – A teraz ratujmy innych. Gdzie policja? Czemu nie reaguje?

– Reaguje – odparł urażony. – Reaguje jak każdy rozsądny obywatel. Czeka, aż wszystko ucichnie i zrobi się bezpieczniej.

– Nie tak powinna się zachowywać policja – stęknęła. – Kolejna rzecz do zrobienia.

Najpierw sprawdzili stan Czchartiszwiliego. Ku zaskoczeniu dziewczyny agent żył.

– Oddycha! – zawołała z ulgą, odsuwając od jego ust ocalały ułamek lusterka. – Nie wiem, jakim cudem, ale żyje. Tylko boję się go ruszać. Zresztą z moją ręką... – Popatrzyła wymownie na bezwładną, puchnącą kończynę, którą prowizorycznie

unieruchomiła, przewiązując ją strzępem koszuli zerwanym przez Behemota z ciała bandyty. – Kocie, nie dam rady. Musisz sprowadzić pomoc.

– Jesteś pewna?

– Zaraz będziesz tu jedyną przytomną osobą. Czuję, że kręci mi się w głowie. Zemdleję.

– Przez cały czas jestem tu jedyną przytomną osobą – prychnął. – Tylko dlatego wybaczam ci niedostatecznie okazaną wdzięczność.

Zrobił, o co prosiła. Po swoim.

Wyczuł konie w trzecim domu po prawej. Tym wysokim, pięknym na swój prostacko-cukierkowy sposób pałacyku otoczonym wysokim parkanem. Parkan. Też coś. Phi. Przeskoczył go jednym susem, by wylądować nos w nos z dobermanem, równie zaskoczonym jak on.

– Spadaj! – wysyczał, naprężając grzbiet, tak samo jak niedawno w siedzibie Króla.

Doberman to nie niedźwiedź. Zrozumiał, w czym rzecz, i umknął, skomlać. Kocur, nie niepokojony, przetruchtał przez wielobarwny ogród, w którym kwiaty, drzewa i krzewy sadzono bez ładu i składu, zatrzymał się przed przeszklonymi drzwiami, ciosem w łeb pozbawił przytomności wytrzeszczającego na niego oczy pajaca w liberii równie kolorowej jak ogród, po czym bez wahania wykopał drzwi z zawiasów. Zignorował dwie wrzeszczące na jego widok służące, to nie na nie polował.

Jaśnie państwo, oboje pulchni, o różowych gębulach, dość zacnych obliczach, typowych dla dobrego ludu rosyjskiego, skorego do poczciwości, jeśli akurat nie wpadł w morderczy szal, przerwali na jego widok wieczorny posiłek. Gapili się nań, niezdolni wydusić

choć słowa, gdy bezceremonialnie wskoczył na stół i przemaszerował po śnieżnobiałym obrusie, przyozdobionym srebrną zastawą.

– Witajcie, dobrzy ludzie! – Ukłonił się najpierw gospodyni, potem gospodarzowi. Lokaja, który próbował go powstrzymać, trzasnął niedbale w pysk, a sługa aż odleciał pod ścianę, zsunął się po niej na podłogę i tam już pozostał. – Przybywam do was niezapowiedziany, ale w ważnej sprawie. Otóż... O, sandaczyk! – Zgarnął rybę z talerza, pochłonął ją natychmiast i mlasnął z uznaniem. – Bogowie, co za wyborna ryba! Gust macie taki sobie, ale smak... Pierwsza klasa! Pogratulujcie potem kucharzowi. Otóż, słuchajcie, prawosławni, potrzebuję waszego powozu. Raz-dwa! Czasu jest tyle, że właściwie go nie ma. Wzywajcie woźnicę, zaprzęgajcie konie...

– A kysz! – krzyknęła gospodyni. – Andrzeju, zrób coś, na Boga, z tą maszkarą!

– Maszkarą? – obruszył się kot. – Szanowna pani, wyglądam może nieco nieelegancko, proszę jednak wziąć pod uwagę, że stoczyłem przed chwilą bitwę, a nawet dwie, ratując przy tym dziewicę z opresji. No i miałem małą stłuczkę. Nie został wam jeszcze kawałeczek sandaczyka? Nie wzgardziłbym też kropelką gorzałeczki. W ostateczności może być szampan. Rosyjski, ma się rozumieć, nie podejrzewam was, drodzy moi, że pijecie jakieś francuskie świństwo.

– To oburzające! – nadał się gospodarz. – Precz, żebraku! Nim wezwę straż!

– Żebraku? – zasyczał kot. – Żeby w prawosławnym domu tak

traktować gościa? Gdzie się podziała tradycyjna gościnność słowiańska? Czyżbym trafił między jakichś – wzdrygnął się – Niemców? No, jak tak, to tak. *Ordnung muss sein!* – ryknął na gospodarza, doskakując do niego jednym susem tak, że wpakował się przednimi łapami w sam środek stojącego przed struchlałym mężczyzną gęsiego pasztetu. – A wiesz ty, kupczyku z ambicjami do szlachectwa, komu ja służę? W czyjej sprawie przyszedłem?

– W czyjej? – bąknął gospodarz, jak wielu obywateli Moskwy uważający, że każdy, kto drze się nań odpowiednio głośno, musi widać mieć do tego prawo.

– A jaśnie wielmożnego pana hrabiego Rostowa! – ryknął na niego kocur.

Gdy przekonał się, że na te słowa pobledli oboje, a gospodyni nawet wykonała znak krzyża, usiadł całkiem już uspokojony i zaczął zlizywać sobie pasztet z łap.

– No nie mogę, pasztecik też wyborny! Ja się chyba zacznę u was stołować, drodzy moi. Na czym to stanęliśmy... Aha. Konie zaprzęgać. A migiem! Potem parę waszych ciamajd wyślijcie na ulicę, pokażę wam, kogo z niej pozbierać. Pojedziemy do Rostowów. Wiecie, gdzie to?

– Na Małej Nikickiej?

– Brawo! A jakby was kto pytał, mnie tu nie było, nic nie widzieliście, nic nie słyszeliście. Ani słowa choćby i policji.

– Nawet policji? – wydukał gospodarz.

– Tajna misja w służbie Rostowów! – warknął kot. – No, do roboty!

Potem już wszystko poszło szybko.

Zaroilo się od służby na ulicy. Nieprzytomnych Czchartiszwiliego i Szczura przeniesiono ostrożnie do wielkiej, zaprzężonej w sześć koni karety, wyglądającej tak, jak zdaniem kupców winien wyglądać pojazd cara z baśni. Olga, która jednak nie zemdlala, wsiadła do niej sama. Potem wystarczyło parę trzaśnień z biczka, by przemknąć ulicami miasta i stanąć przed pałacowym murem. Tam trzeba było przekonać straż, by nie otwierała ognia do próbujących sforsować bramę obcych.

I było już właściwie po wszystkim.

Ponieważ u Rostowów pełnił dyżur zawsze co najmniej jeden lekarz i jeden znachor, prędko zajęto się rannymi. Lekarz złożył panience złamaną rękę, a znachor posmarował ją magicznym mazidłem, sprawiającym, że nim minie doba, złamanie zrośnie się, jakby go nigdy nie było. Kocur pozwolił wyczesać sobie zmierzwiene futro, po czym w ostatnim pojedynku stoczonym tej nocy samodzielnie pokonał butelkę szampana i zapadł w głęboki sen, z którego zbudził się, dopiero gdy ranek panował już nad Moskwą w pełni.

Przeciągając się, strącił butelkę z blatu biurka, na którym spędził noc. Ziwnął. Śledził wzrokiem, jak szkło toczy się ku krawędzi i spada z niej na miękki dywan. Żałował, że nie rozprysło się na dziesiątki kawałeczków, lubił ten widok, gdy obraz eksplodującego szkła zamarzał mu na ułamek sekundy na źrenicach. Korzystając z tej niezwykłej chwili, w mgnieniu oka liczył wszystkie odłamki, bawił się, przewidując tory ich lotów.

Cudna zabawa, takie rozbijanie butelek.

– Nie jesteś głodny? – zapytała Olga.

Stała przy biurku i z uśmiechem przyglądała się Behemotowi. Lewą rękę miała na temblaku, twarz pokrywały jej plastry, a czoło przewiązane było bandażem. Wyglądała ślicznie, jak kotka po ostrej nocnej awanturze.

– Głodny ciebie, zawsze – zamruczał. – Ale i głodny wieści. Co tam się wczoraj działo? Kim naprawdę jest ten cały Szczur? Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak on! Przypomina wściekłego kota samotnika.

– Tak, to samotnik. – Uśmiech Olgi zgasł. – To ja powinnam pytać, co się działo wczoraj! Wyście przyszykowali jakąś pułapkę!

– Gdyby to była nasza pułapka, wszyscy bandyci byliby martwi, moja droga. À propos, jak tam Czchartiszwili?

– Nie odzyskał przytomności. Lekarze mówią, że stan jest stabilny, ale... Ma wstrząs mózgu. Nie wiemy, czy jeszcze się obudzi ani w jakim będzie stanie, jeśli się obudzi. Co do Szczura, zaskakująco szybko odzyskuje sprawność. Przywołam go.

Porwała z biurka dzwonek, którego kot nie stracił nocą z blatu, jak uczynił to z piórem, kałamarzem i większością dokumentów. Wezwała służącego i nakazała mu sprowadzić Szczura, który, jak się okazało, przeglądał akurat magazyn broni.

– Behemot pyta, kim jesteś – przywitała mężczyznę. – Zrobiłeś na nim wrażenie.

– Jak na ciamajdę – prychnął prędko kocur. – Wdzięku w tobie mało, ale muszę przyznać, że jesteś uparty.

– Ja jednak – ciągnęła niezrażona Olga – chciałabym przede wszystkim wiedzieć, co tam się wczoraj, do diabła, wydarzyło! I żeby mi żaden z was nie kręcił! Mam już dość tego błędzenia w

ciemnościach. Omal nie zginęliśmy wszyscy.

– Czchartiszwili nie powinien był cię zabierać ze sobą – odparł Szczur. – To był błąd.

– No! – naskoczył na niego kot, który akurat ten plan układał z Czchartiszwilim. – Po pierwsze, spróbowałbyś ją powstrzymać, jak już sobie coś wbije do głowy! A po drugie, żaden błąd, bo przez cały czas czuwałem nad nią ja.

– Po pierwsze, trzeba ją było związać. Po drugie, widziałem, jak ci wychodziło to czuwanie, gdy ten wielki zbój ciągnął ją do Timura.

– Nie znasz się na strategii! Miałem wszystko pod kontrolą!

– Niedźwiedzia pewnie też?

– Odciągnąłem jego uwagę? No, powiedz, odciągnąłem? Olgo Nikołajewno, nie będę pracował z tym tępym, aroganckim zabijaką. Albo z gabinetu wyjdzie on, albo ja. Na zawsze. – Posłał jej najdramatyczniejsze ze swoich spojrzeń. – Na zawsze, zawsze, zawsze. Gwiazdy spadną, a ja nie wrócę.

– Dosyc tego! – Tupnęła nogą. – Spokój, obaj! Ty, kocie, skończ z tym teatrem! Siad!

Zdumiony Behemot klapnął na tyłek, nim zorientował się, co robi.

– No, żeby mnie, bohatera, jak psa... – jęknął.

– A pan... – Olga zgasiła triumfujący uśmiezek Szczura, podchodząc do niego i uderzając placem w pierś, aż się cofnął – ... natychmiast kończy z tą pozą. Dosyc już tej samowoli! To nie są czasy pańskich wygłupów w Twardym Świecie, ale Malowana Moskwa, tu i teraz! I ja tutaj rządzę! Od tej pory przechodzi pan pod moją komendę. Nienienienie! – zawołała, kładąc mu dłoń na ustach, co akurat kotu, który też już zaczął się uśmiechać,

spodobało się mniej, bo uznał ten gest za raczej czuły niż gniewny.
– Nie może się pan nie zgadzać! Nie ma pan już nic do gadania! Długo pozwalałam panu na wszystko, w imię starych czasów. I dlatego, że... – urwała, cofnęła się o krok. – Ale z tym koniec! Mamy wojnę i nie mogę się dłużej zastanawiać, z czym pan znowu wyskoczy! Zrozumiano?

– Tak jest! – zawołali obaj równocześnie, obaj podobnie kpiącym tonem. Spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– Ja nie żartuję! – Ujęła się pod boki. – Ten, któremu się zdaje, że może mnie traktować jak dotąd, do którego nie dociera, że ja tu naprawdę dowodzę, może natychmiast wyjść i nie wracać. Nie potrzebuję żołnierzy, których nie mogę być pewna. Ale jak tylko przekroczycie próg, koniec naszej przyjaźni. To jak będzie?

– Ja zostaję – poddał się kot, przyjmując tak godną minę, na jaką tylko było go stać; do końca udając, że sprawy potoczyły się dokładnie tak, jak to sobie zaplanował. – O nic innego mi nie chodziło.

– Oddaję się pod pani rozkazy – zapewnił Szczur.

– Na pewno? Mówiłam poważnie.

– Daję słowo, Olgo. Od tej pory działamy wspólnie.

– Dziękuję. Wam obu. – Opadła na fotel, wycieńczona niczym po ciężkim pojedynku. – Na początek wyjaśnijcie mi wreszcie, co tam się naprawdę stało? Co w ogóle dzieje się w moim mieście?

Rozdział trzydziesty czwarty

*Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,
„Czarna Sara”, orbita Marsa*

Urodził się na Kręgu Ciszy, starej stacji zawieszanej na ziemskiej orbicie, a zamieszkaney przez uchodźców z Wenus, którym nie podobały się na ich rodzimej planecie ani twarde rządy Kaisera Odnowionych Prawdziwych Prus, ani szaleńcze Królestwo Santa Muerte. Państewko wyznawców Świętej Śmierci po trwającej blisko piętnaście lat wojnie wyrwało Kaiserowi jeden z wenusjańskich kontynentów, gigantycznych sztucznych enklaw stworzonych sto lat wcześniej.

Początkowo platformy kontynentalne wykupywali milionerzy z całego Układu Słonecznego. Jedna z nich trafiła w ręce multimilardera-hipisa, który starał się odtworzyć na Wenus hipisowski raj. Przez dwadzieścia lat wyglądało na to, że ma wszelkie szanse na powodzenie, a potem i w jego państwie wybuchła rewolucja, przemieniając platformę kontynentalną Miłość w wielkie państwo producentów i handlarzy narkotyków, rozprawdzanych stamtąd po całym Układzie Słonecznym.

Gdy armia Kaisera wtargnęła tam, by w trzy tygodnie wybić oddziały narkobaronów seriami precyzyjnych uderzeń, wszystkie państwa i korporacje w Układzie Słonecznym odetchnęły z ulgą. Nikt nie przejął się losem starych ideowców, zasiedlających zgłiszcza Miłości. Kaiser dał im prosty wybór: albo ugiąć karki i

nauczyć się reguł musztry, zastępującej w Prusach tak prawo, jak i etykietę, albo wynosić się do diabła.

Rodzice Petyra wybrali tę drugą opcję – i w ten właśnie sposób trafili na Krąg Ciszy, gdzie każdy mógł żyć, jak chciał, pod warunkiem, że nie wtrącał się w życie innych. Dzięki tym zasadom młody Petyr dorastał jako sąsiad pedofila oraz rodziny rastafarian. Ten pierwszy nie zainteresował się nim ani razu, tymi drugimi nie zainteresował się Petyr, ponieważ zbyt przypominali mu jego rodziców, tych pełnych ciepła wyrozumiałych świrów, starających się wpoić synowi, że świat przenikają fale miłości, zaś każdą własną niedoskonałość da się wykorzystać jako wspaniały potencjał, jeśli tylko uwierzy się w siebie.

Chłopiec nie do końca się z nimi zgadzał, choć wybaczał im ich ślepotę. Po pierwsze, mieli mózgi przeżarte miłością – nie uczuciem, którym zresztą epatowali do tego stopnia, że sąsiad pedofil płacił im całkiem nieźle za możliwość destylowania ich emocji raz na tydzień, ale narkotykiem, z którego produkcji utrzymywali się i na Wenus, i na Kręgu Ciszy. Tyle że na Wenus pracowali jako robotnicy przy taśmie, zaś w pordzewiałej, skleconej byle jak puszcze, unoszącej się ze zgrzytem na okołoziemskiej orbicie, zostali producentami działającymi na własną rękę. Kochali świat, siebie nawzajem i swojego syna. Pozostawali jednak zdumiewająco ślepi na jego nieszczęście i gniew.

Petyr nie rozumiał na przykład, jak miałby obrócić na własną korzyść fakt, że urodził się jako garbus zdolny władać w pełni tylko jedną ręką, druga bowiem okazała się zwiędłym kikutem, nienadającym się do niczego poza sprawianiem kłopotu i bólu.

Nosił ją na temblaku, ściągając zeń tylko raz dziennie, na masaże, niezbędne, by mięśnie mu nie obumarły. Marzył, by mu ją po prostu odcięto, ale rodzice się na to nie zgadzali. „Pewnego dnia zrozumiesz” – powtarzała mama, nadając głosowi tajemniczy ton osoby obdarzonej wiedzą, której nie wolno w pełni ujawniać. „Pewnego dnia odłożymy tyle szmalu, żeby zrobić ci porządną magiczną operację” – obiecywał ojciec. Chłopak bardzo chciał wierzyć w oba te zapewnienia, zwłaszcza w drugie. Ale jakoś żaden z obiecanych dni nie chciał nadejść.

Dorastał więc jako dzieciak, którym brzydził się nawet sąsiad pedofil. Gdy w końcu osiągnął szósty rok życia, nadszedł inny dzień, którego nikt mu nie obiecywał, ani przed którym nikt go nie ostrzegał.

Dzień Suzanne.

Przybyła spoza Układu Słonecznego. Miliardy lat zajęło jej samotne przemierzanie galaktyki i zgrabne unikanie wpływów grawitacyjnych innych ciał niebieskich, póki nie wpadła w pułapkę, jaką stanowiły wzajemne wpływy globów US. Ważyła dwadzieścia pięć tysięcy ton z okładem i jakimś cudem udało jej się minąć nawet Jowisza, nim zwróciła uwagę astronomów. Dokonali oni swoich magicznych obliczeń i najpierw zachwycili się jej pochodzeniem, a następnie przerazili nieuchronnością, z jaką zmierzała ku Ziemi.

W epoce powszechnych podróży kosmicznych i wojen toczonych w przestrzeniach Układu Słonecznego zestrzelenie Suzanne albo nawet rozbicie jej w pył – bądź zamienienie w mysz albo kawał sera – nie stanowiło technicznego ani magicznego problemu. Stanowiło

natomiast problem ekonomiczny. Wszyscy, którzy byli bezpośrednio zainteresowani zniszczeniem planetoidy, zmuszeni byli opłacić kogoś, kto dysponował prawami do podejmowania jakichkolwiek działań związanych z eksploatacją ciał niebieskich w Subukładach Jowisza albo Marsa, ewentualnie w Pasiu Planetoid. Takich firm istniała wprawdzie cała masa, każda z nich uznała jednak Suzanne za okazję do zbitcia niebagatelnego majątku. W związku z czym na początku negocjacji przedstawiała absurdalnie wysokie stawki. Nikt nie spieszył się, by spuścić z tonu, ponieważ wszyscy uważali, że im bliżej Ziemi znajdzie się bolid, tym łatwiej będzie wycisnąć więcej grosza z jej mieszkańców.

Nie pomagało, że do akcji wkroczyły wielkie korporacje, zainteresowane wiedzą, jaką można pozyskać dzięki przechwyceniu Suzanne.

W ten sposób przybysz z odległych otchłani dotarł aż do Marsa. Dopiero wtedy Rada Wszystkich, organizacja, której celem było godzenie funkcjonujących na Ziemi państw i firm, zajęła się problemem na poważnie. Zrobiła to w swoim stylu – zwołując w trybie pilnym nadzwyczajne posiedzenie i używając wszelkich dostępnych środków, by zamrozić inne działania dotyczące planetoidy. Radzie udało się osiągnąć pewien sukces – gdy Suzanne znajdowała się dwieście tysięcy kilometrów od orbity, doszło do takiego impasu, że nikt nie potrafił przerwać go, nie wywołując przy okazji konfliktu zbrojnego rozciągniętego na cały US. Dziesiątki tysięcy elitarnych urzędników nie marnowały ani chwili, starając się znaleźć zgodne z prawem i zasadami biurokracji rozwiązanie, które pozwoliłoby ocalić Ziemię.

Daremnie.

Wreszcie, gdy do nieuchronnej katastrofy pozostało ledwie dwanaście godzin, a większość korporacji po prostu ewakuowała z Ziemi wszystkich swoich pracowników wraz z rodzinami, gdy obrady Rady Wszystkich przeniesiono na Księżyc, z chmury mroku wyłonił się niespodziewanie czarny okręt i zniszczył Suzanne kilkoma salwami swoich dział, po czym na powrót zniknął.

Nie można powiedzieć, że wszyscy byli zadowoleni z takiego rozwoju wypadków. Wojna jednak wybuchła, choć nie tak straszna, jak się spodziewało. Ograniczyła się do Ziemi oraz Księżyca i zakończyła ostatecznym upadkiem Rady Wszystkich. O odłamki planetoidy okręty kilku korporacji stoczyły nieformalną bitwę, od której następnie stanowczo odżegnali się ich pijarowcy. Niemniej większość ludzkości uznała zakończenie tej historii za nader satysfakcjonujące.

Petyr nie należał do większości.

Podobnie jak prawie wszyscy mieszkańcy Kręgu Ciszy zresztą. Stał się on cichy absolutnie po tym, jak trzy odłamki Suzanne, żaden nie większy od ziarna groszku, przebiły licze poszycie stacji w trzech różnych miejscach, prowadząc do nadzwyczaj widowiskowych a katastrofalnych efektów. Po latach uznano Efekt Kręgu Ciszy za dość istotne zdarzenie w historii ludzkości, która zjednoczyła się wówczas w chwalebny sposób, starając się uratować rozbitków z coraz wyraźniej rozpadającej się stacji.

Na ratunek Kręgowi Ciszy ruszyły statki wszelkich korporacji, które akurat nie walczyły ze sobą nawzajem. Nie było takiego państwa, które nie zadeklarowałoby chęci pomocy. Ostatecznie

przyznano kilkaset orderów, kilka tysięcy pochwał. Urządzono parady na cześć bohaterskich ratowników, a nawet ustanowiono jeden z listopadowych dni Dniem Chwały Zjednoczenia.

Dzięki tym wszystkim wzmożonym wysiłkom udało się uratować aż dwa i pół procenta mieszkańców Kręgu Ciszy, co, jak przyznawali niemal wszyscy eksperci w mediach, stanowiło nie byle jakie osiągnięcie, a nawet było splunięciem w twarz przeznaczeniu i statystyce.

Chwała Zjednoczenia nie okazała się na tyle skuteczna, by uratować rodziców Petyra, wystarczyło jej jednak, by ocalić jego. Wylądował w przejściowym księżycowym domu sierot. Przeżywał nawet moment chwały, bo kilka razy pokazano go w telewizji. Opiekunowie zapewniali, że dzięki temu z pewnością rychło zjawi się jakiś przejęty Ziemianin, być może celebryta, nie marzący o niczym innym, jak tylko o adoptowaniu chłopaka.

Mylili się.

Z powodu wojny, jaka wybuchła zaraz po upadku Rady Wszystkich, nikt miał czasu przejmować się losem małego medialnego garbusa. Zresztą, na Ziemi była akurat nadpodaż sierot, co prędko odczuło także księżycowe przedszkole Petyra, w którego tymczasowość szybko zwątpił.

Jeszcze szybciej odkrył, że jego życie w sąsiedztwie ignorującego go pedofila oraz rastafarian nie było aż tak złe, jak sądził. W porównaniu z życiem w sierocińcu, w którym znęcali się nad nim nawet najślabsi, wydawało się wręcz rajem. Nie było takiej istoty, która nie umiałaby nim poniewierać. Posiadał wszak tylko jedną rękę i nie miał przyjaciół ani choćby sojuszników. Lały go nawet

młodsze dziewczyny.

Nienawidził świata i siebie. Oddałby duszę diabłu, by zmienić swój los, ale i diabeł wydawał się nim gardzić. Aż do chwili, kiedy jakimś cudem dożył swoich dziewiątych urodzin. Odwiedził go wtedy cudem odnaleziony wujek Igor.

Siedzieli naprzeciw siebie w pokoiku o błękitnych ścianach, w którym odbywały się spotkania sierot z tymi, którzy podawali się za ich krewnych bądź znajomych. Władze sierocińca nie sprawdzały dokładnie gości, pensjonariuszy wciąż było zbyt wielu, a środków zawsze zbyt mało. Dlatego każda okazja, by upchnąć komuś malucha, witana była jak cud boski.

– Nie znam cię – powiedział Petyr, pożerając żarłocznie lizaka, którego otrzymał w prezencie. Gdyby zachował smakołyk na później, na pewno by mu go odebrano, tę lekcję przyswoił sobie już w pierwszym dniu pobytu w sierocińcu. A spędził ich w nim już blisko sześćset, wiedział, bo każdy liczył z ponurą zaciętością. I każdego dnia uczył się czegoś nowego. – Ale zrobię wszystko, jeśli mnie stąd zabierzesz.

– Nie wiesz, czego będę chciał – odpowiedział Igor, wysoki, łysy mężczyzna w niezbyt drogim, ale eleganckim garniturze.

– Jestem brzydki, więc raczej nie chcesz mnie przelecieć. Chyba że jesteś wyjątkowym zбочeńcem. Sądzę, że chcesz mnie zabrać na eksperymenty albo wyszkolić na terrorystę samobójcę. Byłbym pewnie niezłym żebrakiem, ale chyba nie opłaca się tu lecieć po żebraka, co? Nie masz jeszcze jednego lizaka?

– Jezu! – Igor potarł dłońmi oczy. – Co to za gówniane miejsce, mały? Tak ci tu źle?

– Źle to mi będzie w piekle. Tutaj jest koszmar. No to czego chcesz?

Igor odetchnął. Zaklął. Pokręcił głową.

– Mogę cię stąd zabrać – oznajmił. – Dać ci nowe życie. Nie będę kłamał. Moi pracodawcy uznali, że jesteś idealnym kandydatem. Trafiłeś w takie szambo, że zrobisz wszystko, by się z niego wyrwać. A do tego jesteś dzieckiem. Czekaj chwilę... – Wyjął z kieszeni małą, zieloną kulkę i zmiażdżył ją między palcami. Natychmiast otoczyła ich oba delikatna poświata. – Teraz tym, którzy nas podsłuchują, będzie się zdawało, że słyszą jakąś rozmowę, choć nie słyszą nic.

– Czar! – zawołał rozradowany po raz pierwszy od lat Petyr. – Jesteś czarodziejem?

– Nie, ale znam paru. – Igor uśmiechnął się krzywo. – Słuchaj, mały, oto propozycja. Zabiorę cię stąd. Dostaniesz nowe życie. Uleczy my twoje ciało. Otrzymasz wykształcenie odpowiednie dla naszych celów. Od tej pory będzie ci się wiodło przyzwoicie, aż zaczniesz żyć na własny rachunek. Jeśli wtedy coś zawalisz – wzruszył ramionami – to będzie już tylko twoja wina.

– I za co to wszystko? – Chłopak zmrużył nieufnie oczy. Nie potrafił sobie wyobrazić, by mógł zrobić cokolwiek, co byłoby warte takiego cudu.

– Oddasz nam swoje życie. Nie, nie zabijemy cię. Po prostu całe życie od momentu, w którym cię stąd zabiorę, poświęcisz jednej jedynej misji. To wszystko.

– A ta misja?

– Prosta. Będziesz musiał poznać osobę, którą ci wskażemy, i

zostać jej najlepszym przyjacielem. Prawie bratem. Towarzyszyć jej wszędzie, pomagać, wysłuchiwać jej żali i wspierać w kłopotach. Być może narażać dla niej życie. A potem, jeśli będzie trzeba, obudzisz ją.

– Obudzę?

– Wyjaśnię to później.

– Czy w ten sposób zdradzę tego kogoś? – zapytał Petyr, głównie po to, by poukładać sobie w głowie wszystkie dane. Nie interesował go los jakiegoś barana, którego będzie musiał niańczyć. Nie wyobrażał sobie, że mógłby się z kimś naprawdę zaprzyjaźnić.

– Nie. Przeciwnie. Przebudzenie go będzie przysługą. O ile nadejdzie. Bo może być tak, że spędzisz całe życie, a nie będziesz musiał go budzić.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Chcesz nowego ciała. I życia.

– No ba. – Garbus wzruszył jednym, zdrowym ramieniem.

Do końca nie wierzył, że dadzą mu nowe ciało, ale naprawdę tak zrobili. Kazali się nazywać Mojrami. Naprawili jego ramię i zaraz zaczęli go uczyć. Metod walki, pozyskiwania zaufania, zjednywania sobie ludzi. Prostych czarów, pomagających na przykład sterować cudzymi snami, by odpowiednio je nastroić. Ostrzegli, że jeśli zawiedzie, znajdą go i zamkną na powrót w ciele kaleki. I powiedzieli mu to dopiero po jakimś czasie, gdy Petyr Hoygren pokochał na powrót nie tylko siebie, ale i świat.

Cieszył się wszystkim: ćwiczeniami, pracą fizyczną, nauką. Potem seksem. Odkrył, że potrafi uwodzić kobiety i świetnie się przy tym bawi. Gdy wstąpił do Akademii Floty Transportu Galicyjskiego, bo

tak kazali mu jego opiekunowie, należał do najlepszych uczniów, a z Adamem Drygłem, którego wskazano mu jako cel, zaprzyjaźnił się nie tylko bez trudu, ale nawet naturalnie.

Długo tylko nie rozumiał, dlaczego tak wielką wagę przykładano do tego, by uczył się historii Kresu i lat następujących po nim. Czemu musiał zakuwać tyle tych wszystkich bajek o Kutrzebie i jego przygodach.

Aż wreszcie go uświadomiono.

Igor urządził dla niego pożegnalną kolację na dzień przed tym, jak Petyr miał przenieść się do internatu Akademii.

– Twój cel nie jest zwyczajnym człowiekiem – oznajmił, gdy przeszli do deseru. – Nigdy się nie urodził, podobnie jak setki jemu podobnych. To klon.

– Klon?

– Uczyłeś się o klonowaniu ludzi.

– Nie wiedziałem, że ktoś to robi. Są lepsze metody na tworzenie swoich kopii.

– Nie chodzi nam o kopie magiczne. Ale o prawdziwe wcielenia, naczynia utworzone z rzeczywistych, a nie magicznie stworzonych ludzi. Przygotowujemy armię agentów nieświadomych, czym naprawdę są. Posiadających tę samą strukturę genetyczną, ale osobne historie i osobowości, a dzięki temu nieidentycznych. Żyją własnym życiem, bez wiedzy, że czekać na nich może specjalne powołanie. Właśnie tacy są nie do wykrycia. A równocześnie wiemy, że możemy na nich polegać, bo gdy się przebudzą, nie będą wierni nam, ale wierni sobie.

– Co oznacza to przebudzenie? Nigdy mi tego nie wyjaśniłeś.

Igor pchnął ku niemu małe puzderko z różanego drewna. Petyr upewnił się, że wolno mu je otworzyć, a dopiero potem uniósł wieko. Zmarszczył brew, odnajdując zasuszoną kropelkę krwi.

– Przebudzenie – wyjaśnił Igor. – Gdy nadejdzie czas, wprowadzisz to do organizmu obiektu. Możesz rozpuścić tę krew w winie albo i wódce, którą wypije. Zmusić go do zjedzenia jej. Wstrzyknąć mu ją rozcieńczoną w narkotyku. Każdy sposób jest dobry. Ona nosi klucz do przebudzenia pierwotnej osobowości nosiciela. Wystarczy parę sekund i stanie się on prawdziwym sobą.

– Czyli kim?

– Kimś, kto został oszukany i skrzywdzony. Wiele razy. Kto musi wreszcie znaleźć spokój. Pamiętasz czarny okręt? Ten, który zabił twoich rodziców?

Petyr skinął głową. Wprawdzie bezpośrednio za śmierć Lucy i Henryka Hoygrenów odpowiadała Suzanne, ale trudno nienawidzić kawałka skały. Dlatego mały Petyr znalazł sobie inny cel. I tylko marzenie o dopadnięciu tych, którzy tak niedbale, bezmyślnie zniszczyli Suzanne, czekając z tym do niemal ostatniej chwili i nie przejmując się konsekwencjami, trzymało go przy życiu. To oni skazali go na piekło. Śnił o tym, jak ich dopada i podrzyna im gardła, powoli, by czuli, że umierają.

– Jest wielu opiekunów troszczących się o klony, jak ty będziesz się troszczył o swojego – odezwał się Igor. Przyglądał się chłopcu z niezwykłą intensywnością. – Ale szczerze wierzę, że nie ma wśród nich nikogo takiego jak ty. A to za sprawą czarnego okrętu. To dlatego cię wybraliśmy. Nie wierzę w przypadki, sądzę więc, że to przeznaczenie. Ci, którzy podróżują „Wróżdą”, ci, którzy cię

skrzywdzili, skrzywdzili także tego, komu służysz. Przeznaczenie, widzisz? Wierzę, że to właśnie ty ich znajdziesz i przebudzisz naszego szefa.

– Nie łatwiej byłoby po prostu wysłać za nimi jakąś najemniczą flotę? – zapytał Petyr, podniecony, ale mimo wszystko zdziwiony tak skomplikowanymi machinacjami.

– Nie, to musi być on, szef. On ich musi zabić. Inaczej krąg się nie zamknie.

– No dobra... – Nie bardzo to rozumiał. Widać musiało chodzić o jakiś rodzaj magii. – A co potem z tym nosicielem, jak już wypełni swoją misję? Mam go zabić?

– Broń Boże! – zawołał Igor, szczerze przejęty. – Nie wolno ci! To będzie naprawdę nasz szef. Gdy jego osobowość się przebudzi, stanie się sobą!

– Jak to? To kto nam wydaje rozkazy? Nie szef? Ma istnieć w dwóch postaciach?

– Nasz szef – uśmiechnął się wyrozumiale Igor – nie żyje od dwustu lat. Dowodzi nami poprzez swój testament. Gdy go przebudzisz, narodzi się na powrót. Dlatego nie wolno ci go zabić ani dopuścić do jego śmierci. Musisz mu za to pomóc ze wszystkich sił, nawet z poświęceniem życia, by dokonał zemsty. Rozumiesz?

– Rozumiem – skłamał Petyr.

Gdy teraz stał na pokładzie „Czarnej Sary”, wraz z Adamem przyglądając się czerwonej planecie pod nimi, starał się nie zerkać w stronę czarnego okrętu, lecącego ledwie dwieście kilometrów z przodu. Jeszcze godzina i zaczną lądować na Marsie. A potem wejdą do piramidy, oni, załoga Burzymura Białobrodego i ci, którzy

służą na „Wróździe”.

Nareszcie ich spotka.

Dotknął palcami amuletu, który zawsze nosił na piersi. W klejnocie pierścienia z różanego drewna czekała krwawa kropla. Wydawało mu się, że drżała ze zniecierpliwienia.

– Coś nie tak? – zapytał Drygieł. – Drżysz.

– Zniecierpliwienie. Nie mogę się już doczekać, kiedy wrócimy do floty.

– To już niedługo – pocieszył go towarzysz. – Przez zamieszanie z Tiamat odwlecze się to najdłużej o tydzień albo dwa. Tak mówił Burzymur. A ja chętnie zobaczę wcześniej tę całą piramidę. Ty nie?

– O tak, stary – zapewnił go Petyr. – Wprost o tym marzę.

Rozdział trzydziesty piąty

*Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,
w drodze między Belgradem a Bukaresztem*

Odgłosy strzelaniny dobiegały ze wszystkich wagonów. W drodze ku lokomotywie Kutrzeba wpadł do swojego przedziału po broń. Zatrzymał się w progu, niepewny, co robić.

Dziennikarz siedział na miejscu, jednak głowę miał odrzuconą do tyłu, oczy wybałuszone, a gardło poderżnięte. Naprzeciw niego, z zakrwawionym nożem w ręku, dogorywał ponury pasażer w czerni.

– Skorzystałem z pańskiej broni. – Pobladły, ale zaskakująco opanowany ksiądz podał Kutrzebie jeden z jego pistoletów. – Ten czarny nagle wyjął nóż i rzucił się na pana Karola. Myślę, że wybrał go, bo sądził, że jestem mniej groźny.

– Nieco się pomylił – mruknął Kutrzeba, sprawdzając pistolet. – Położył go ksiądz jednym strzałem.

– Stał ze dwadzieścia centymetrów przede mną – odparł mężczyzna, wstając. – Dziecko by trafiło. A ja...

Sięgnął na półkę, by zdjąć z niej futerał na gitarę. Otworzył go, wyjął zeń instrument, który jednak odłożył na bok.

– No cóż, na misjach spotyka się różne rzeczy – stwierdził. Wcisnął zamek futerału, a wtedy wewnątrz szczęknął mechanizm. Wieko odskoczyło, odsłaniając ukrytą przestrzeń. – Jako duchowny muszę być przygotowany na wszystko.

– Tommy gun – gwizdnął z podziwem Kutrzeba, widząc, co krył

schowek. – M1921? Piękny, ale starość.

– M1928 – sprostował ksiądz. – Starość, ale zabójczy. Potrzebujecie panowie pomocy? Udzielam także ostatniego namaszczenia, jeśli potrzeba.

Ruszyli dalej we czwórkę, z księdzem, oficerem i Regulskim. Od lokomotywy dzieliło ich pięć wagonów. Musieli przebijać się przez wszystkie.

Pierwszy szedł, z racji uzbrojenia, ksiądz. W razie czego zasypywał wąskie korytarze krótkimi seriami, zmiatającymi szaleńców próbujących zastąpić im drogę. Większość z nich gubiło przekonanie, że powinni wykrzyzczyć swoje imiona i nazwiska, zanim zaczną walczyć. Ani ksiądz, ani osłaniający go Kutrzeba z Regulskim nie próbowali się przedstawiać. Od razu strzelali.

Ksiądz, mimo wszystko, spowalniał ich trochę, ku niezadowoleniu ранnego oficera straży. Duchowny pochylał się nad każdy trupem, czy był to jeden z zabitych strażników kolejowych, czy bandyta. Szeptał słowa modlitwy i znaczył kciukiem znak krzyża na czołach.

– A jeśli to niewierzący albo poganie? – złościł się oficer, którego zdenerwowanie rosło z każdym trupem strażnika, jakiego znajdowali. Wyglądało na to, że napastnikom udało się wykończyć znaczną część ochrony pociągu. Ataki z zaskoczenia musiały być skuteczne.

– Bóg pozna swoich – odparł ksiądz. – Każdemu należy się szansa na zbawienie.

– Czy wszyscy mają te tatuaże? – Kutrzeba odchylił makiet koszuli jednego z zabitych, odsłaniając nadgarstek ozdobiony znakiem przedstawiającym płonący biały budynek, przypominający

antyczną świątynię.

– Nie zwróciłem uwagi. – Ksiądz zmarszczył brwi. – Myśli pan, że to ważne?

– Potem będziecie ich sobie oglądać! – krzyknął rozdrażniony oficer. – Naprzód, do diabła!

– Drogi panie... – Ksiądz spojrział na niego surowo. – Nie sądzę, by w tych okolicznościach przywoływanie akurat tej postaci było wskazane.

– Oczywiście. Przepraszam – zmitygował się oficer. – Chciałem powiedzieć: na miłość Boską! Na świętą Katarzynę! Na kogo tylko ksiądz chce, ale pospieszmy się! Nie możemy stracić lokomotywy!

Lokomotywy nie stracili. Gdy dostali się wreszcie na jej pokład, zastali tam trzech zdenerwowanych strażników, stojących nad ciałami swoich kolegów i dwóch maszynistów.

– Przyszliśmy za późno, kapitanie! – zameldował jeden z nich, z dystynkcjami kaprała na ramieniu. – Ci skurwiele już tu byli. Zresztą... Jeden z nich to maszynista!

– Spokojnie, grunt, że odbiliście lokomotywę. – Oficer poklepał go po ramieniu. – Każdy z nas był szkolony do jej prowadzenia. Damy radę!

– Ale panie kapitanie! Oni uprowadzili patrona!

– Co?

– Nie zdążyliśmy! Przepraszam... Po prostu nie zdążyliśmy...

O ile kocioł parowy stanowił serce lokomotywy, patron był jej duszą. Choć to para napędzała silnik, patron dbał o powodzenie podróży. Symbiotyczny demon ognia pilnował, by kotła nie dotknęło żadne zło. Nie istniała w historii ludzkości taka kultura,

w której ogień nie zajmowałby szczególnego miejsca. Wykradano jego najświętszą tajemnicę bogom, służył jako medium pozwalające szamanom kontaktować się ze światami: niebiańskim i podziemnym, służył utrzymaniu łączności z bóstwami. Oferował nieskończone możliwości, był święty, ale także niebezpieczny. Jeśli ktoś nie potrafił nad nim zapanować, przez płomień mogły przedostać się złośliwe dusze; bogowie mogli sięgać przezeń do śmiertelników, by karać ich za zuchwałość. Co gorsza, ogień zamknięty w stali i żelazie niósł jeszcze większe wyzwania. W ogniu i stali wiązano wszystkie żywy, a wraz z nimi błogosławieństwa i przekleństwa całego wszechświata.

Uruchomienie kotła bez patrona było niczym próba lotu na kuli armatniej. Teoretycznie mogłoby okazać się możliwe, jednak by to przeżyć, trzeba było dysponować niewyobrażalnym, przekraczającym ludzkie możliwości szczęściem.

A już na pewno nie było to możliwe, jeśli miało się na pokładzie kolejowego Jonasza, człowieka dotkniętego przekleństwem. Jak Kutrzeba.

– Ile czasu minęło, odkąd uciekli? – zapytał ów, opanowując się jako pierwszy.

– Dziesięć minut? – zgadywał strażnik. – Piętnaście?

– Wyruszę za nimi. – Kutrzeba zwrócił się do oficera. – Mam pewną wprawę w takich akcjach. Pan niech opanuje sytuację w pociągu. Trzeba sprawdzić, czy nie zostało tu kilku tych drani. Niech pan sprawdzi też te tatuaże, może to jakiś trop... Jeśli nie wrócę w ciągu dwóch godzin...

– I tak nie ruszymy. Nawet bez pana nie odważę się uruchomić

lokomotywy. Wezwiemy pomoc. Ale nim przybędzie... – Oficer pokręcił głową. – Nie wiem, ilu zostało mi ludzi, ale nie może iść pan sam.

– Oczywiście, że nie! – huknął ksiądz. – Po to pan powołał mnie na pasterza, bym strzegł jego owieczek. Ja też pójdę!

– Patron to owieczka Pańska? – zdziwił się Kutrzeba.

– Bramy raju otwarte są dla każdego czystego serca, synu. Ale myślałem raczej o panu. Idę i już.

– I tak muszę posłać kogoś z wami. Patron nie zaufa komuś pańskiego pokroju, panie Kutrzeba. Bez urazy, ale księdzu też nie. Kapralu! Tak jak wszyscy ze straży, byliście przedstawieni patronowi. Pójdziecie z tymi ludźmi. Niestety – zwrócił się do Kutrzeby – przy tych stratach nie mogę dać wam nikogo więcej.

– Wystarczy, że nie będą mi się plątać po nogami – pocieszył go Kutrzeba. – Ja dowodzę!

Wyskoczył z lokomotywy. Zapadł już zmrok, zmitrężył więc nieco, przyzwyczajając oczy do półmroku. Dopiero potem pochylił się nad ziemią przy torach.

– Szuka pan śladów? – domyślił się ksiądz. – Już ciemno, to może pomogę? W Afryce na przykład tropiłem...

– Niech ksiądz nie przeszkadza. Ślady, których szukam, są innego rodzaju niż te zostawiane przez słonie. Kapralu, ilu było tych ludzi?

– Chyba sześciu.

Mirosław odnalazł odcisk buta. Przytknął doń otwartą lewą dłoń, przymknął oczy. Odmówił litanie, jakiej kiedyś nauczył go pewien syberyjski łowca. Wśród otaczających go teraz wzgórz i lasów nie było wprawdzie sług Matki Tajgi, by za odpowiednią cenę

pospieszyli mu z pomocą, jednak każdy las i każde wzgórze skrywały jakieś życie.

Kutrzeba nie był Jaśkiem, nie szukał chętnych zwierzątek, które mógłby przekonać do siebie miłymi słowy i dziecięcą naiwnością. Raczej groził niż obiecywał, przekupywał niż próbował pozyskać przyjaciół. Niemniej znalazł to, czego szukał. Zbłąkaną duszę niedoszłego bohatera, który zgubił drogę w zaświatach.

Najpierw usłyszał rzenie konia. Potem przezroczyście kopyta uderzyły o trawę, ciemną, przywiedłą.

– Jeszcze nie! – zawołał koń, zupełnie po ludzku, układając jednak zdanie ze słów pochodzących z różnych języków. – Czekaście.

Tylko Kutrzeba go widział, ale ksiądz wyczuł coś, cofnął się o krok, przeżegnał.

– Na co czekamy? – szepnął kapral, dziwnie poblady.

Mirosław uciszył ich obu.

– Gdzie twój pan? – zapytał widmowego konia.

– Dzielny Greuceanu przepadł za upadłą gwiazdą – zawołało zwierzę. Pochyliło łeb, musnęło twarz Kutrzeby. – Leży pod samotnym głazem, który przybył z gwiazd. Uwolnisz go, jeśli ci pomogę?

– Słowo, że uwolnię.

Koń długo mu się przyglądał, nim podjął decyzję.

– Dobrze! – zdecydował wreszcie. – Samotny głaz znajdziesz na południowy zachód stąd. Nic naokoło niego nie rośnie poza krwawym mchem. Będą tam pnie powalonych drzew, rozłożone naokoło niczym ramiona gwiazdy. Greuceanu leży pod kamieniem.

Strzeż się jego mocy. Gwiazdy noszą w sobie piekło, wiesz?

– To akurat wiem.

– Przysięgasz, że go uwolnisz?

– Przysięgam! Do cholery, spiesz mi się! Mam cię zmusić do gadania?

Koń szarpnął się do tyłu. Zarżał gniewnie.

– Mógłbyś? – zawołał. Przyjrzał się Kutrzebie uważniej oczami w kolorze mgły. – Mógłbyś...

– szepnął. – Ci, których ścigasz, uciekają na południe. Wspinają się teraz na tamto wzgórze. – Targnął łeb, wskazując kierunek. – Jest ich sześcioro, z więźniem. Pętają demona. Łączy ich więcej niż jeden węzeł. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

– Nie, jesteś wolny.

– Pamiętaj, przysięgałeś! – przypomniał mu koń, zarżał żałośnie i się rozwiął.

– I co, znalazł pan coś? – dopytywał się kapral, dla którego, podobnie jak dla wszystkich pozostałych, Kutrzeba zamarł w transie, wpatrując się bez słowa w ciemność przed sobą.

– Tak. Pobiegli tam. – Mirosław wskazał wzgórze, wyrastające łagodnie może pięćset metrów przed nimi. – Możesz ich uznać, kapralu, za żywe trupy. Naprzód!

Ksiądz posłał mu uważne, zamyślane spojrzenie, ale ruszył za mścicielem. Pobiegli ile sił w nogach. Kutrzeba pierwszy, narzucając mordercze dla innych, ale i nielekkie dla siebie tempo. Zabolało go w piersiach ledwie po pięciu minutach biegu, odezwały się i nie do końca zagojone żebra, które połamali mu oprawcy Sabriye, i stopy, w których ślady po srebrnych gwoździach nie

zmieniły się jeszcze w stare, niesprawiające bólu blizny, choć lekarze i tak byli zdziwieni, jak szybko postępowało gojenie. Cóż, Kutrzeba pamiętał, że jeszcze niedawno jego rany zasklepiały się niemal natychmiast, a ciało odzyskiwało pełną sprawność w ciągu sekund.

Zacisnął zęby i biegł dalej, aż dostrzegł przed sobą sylwetki ludzkie, znajdujące się już prawie na szczycie wzgórza. Wtedy zatrzymał się, przykucnął. Usłyszał, jak jego towarzysze przystanęli, gruchnęli na ziemię. Oddychali ciężko. Ich zmęczenie sprawiło mu nieco satysfakcji. Jednak tak całkiem jeszcze formy nie stracił.

– Nie ma się tu za czym kryć – wyszeptał. – Trawa byle jaka, prawie żadnych krzewów, a drzew wcale. Jak się który z nich odwróci, to nas zobaczy. Pan, kapralu, jako jedyny z nas ma broń przydatną na większą odległość.

– Oni też mają tylko pistolety.

– Prawda. Do tej pory całą ich przewagą było zaskoczenie. Dlatego wygrywali. Mimo to nie chciałbym, żeby zobaczyli nas zbyt wcześnie. Poczekamy, aż wejdą na szczyt. Jak zaczną z niego schodzić, samo wzgórze osłoni nas przed ich oczami.

– Lepiej się spieszymy, proszę pana. Na ten szczyt mamy chyba ze dwadzieścia minut drogi. A potem dalej pościg, i walka, i powrót... Mnóstwo czasu. W każdej chwili coś może napaść na pociąg. A my nie mamy teraz nawet ludzi do pełnej obsługi wieżyczek obronnych.

– Mnóstwo czasu? – nie uwierzył Kutrzeba. – Mniej niż godzina.

– Jak się myśli o bezpieczeństwie pasażerów, to każda sekunda trwa wieki. Jak pan woli ostrożniej, to pójdziemy sami.

– No dobra. To robimy tak: lecimy za nimi, a jak nas zobaczą, my z księdzem szarżujemy w nadziei, że strzelamy lepiej od nich, a pan, kapralu, nas osłania. Dobry plan?

– Jeśli można, proszę pana, to powiem, że gówniany. Ale lepszego nie mam.

– A ja wręcz przeciwnie – wtrącił się do rozmowy ksiądz. Obejrzał się na pociąg, niewidoczny już w ciemnościach, przesłonięty też pagórkami, które mijali w biegu. – Rozgrzeszam cię, synu – oznajmił, po czym przeciągnął serią z thompsona po piersi kaprala, rozszarpując ją na strzępy.

Strażnik nawet nie jęknął. Odrzucony siłą pocisków, odleciał do tyłu i padł na ziemię martwy.

– No, no! – ksiądz upomniał Kutrzebę, natychmiast kierując lufę pistoletu maszynowego ku niemu. – Żadnych gwałtownych ruchów, proszę. Niech pan wyjmie te piękne pistolety z kabur i rzuci mi je pod nogi. Powoli.

Ze wzgórza dobiegły ich zaniepokojone okrzyki. To uciekinierzy reagowali na strzały.

– Znajdę u księdza tatuaż na nadgarstku? – zapytał Mirosław, odrzucając broń.

– Płonącą świątynię? Nie, skąd. – Ksiądz uśmiechnął się z pogardą. – Herostratejczycy to głupcy, mięso armatnie. Chociaż świat jeszcze o nich usłyszy. Ja, synu, jestem Mojżą. Dbam o to, żeby nici przeznaczenia zbiegły się jak trzeba, gdy tacy jak oni spieprzą sprawę. No, Mirosławie Kutrzebo, odwróć się do mnie plecami. Powoli, spokojnie, tak, żebym sobie nie pomyślał, że chcesz mi coś zrobić.

– Strzelisz mi w plecy, co? – zapytał Kutrzeba, obracając się posłusznie. Zobaczył, że ci, których ksiądz nazwał „herostratejczykami”, zbiegali ku nim ze wzgórza. Jego szanse gwałtownie malały. Albo rosły, jeśli spojrzeć na to z drugiej strony. Gdyby udało mu się załatwić cwaniaka z thompsonem, nie musiałby już uganiać się za tamtymi po wzgórzach, dostałby ich jak na talerzu. Wystarczyło poczekać, aż do niego zejdą.

Drobiazg: trzeba tylko dożyć tej chwili.

– Wiesz, że wolę w ten sposób? – odezwał się pogodnie ksiądz. – Nie lubię patrzeć ofiarom w oczy. Taka słabostka. No to żegnaj, Mirku Kutrzebo! Koniec przygód!

Część trzecia

SZÓSTY

Rozdział trzydziesty szósty

Wcześniej, gdzieś indziej

Trzy sekundy. Tak powiedział książę Marko: „Trzy sekundy byłeś niewidzialny... To znaczy, tak nam się zdawało, bo wiła, którą zabrałem ze sobą, mówiła, że po prostu przestałeś istnieć. Albo zniknąłeś ze świata”.

Trzy sekundy.

On zapamiętał to inaczej.

Istnieją słowa, które muszą zostać wypowiedziane. I nie powstrzyma ich ani huk karabinowej palby i krew rozkwitająca na piersi, ani ciemność spływająca na oczy. Morze rozstąpiłoby się przed nimi, gdyby było trzeba. Szarża kawalerii, lewiatan wypływający z głębin z rozwartym pyskiem, furia spadającej komety zdolnej spopielić planetę albo otchłań otwierająca się pod przełamanym wół tonącym okrętem, woda tak lodowata, że serce zanurzonego w niej zamiera po ledwie paru sekundach – wszystko to byłyby zbyt słabe, by je powstrzymać.

Śmierć, jak się wydaje, to co innego. Kostucha zawsze jest wystarczająco prędką, by dopaść człowieka, gdziekolwiek akurat przebywa. W jednej chwili idziesz sobie ulicą, oddajesz celny strzał, jak ci się zdaje, rozwiązujący sprawę, może triumfujesz, może przegrywasz. A w chwili następnej zdobycie jednego krótkiego oddechu jest już dla ciebie za trudne.

O tak, śmierć jest prędką i potężną.

Gdy Kutrzeba pochylał się nad konającą Zmorą, nie sądził, że zabraknie mu tej sekundy, a może nawet jej ułamka, by usłyszeć, co chciała mu powiedzieć. A jednak Kostucha nie zwlekała i Mirek, zamiast wsłuchać się w słowa, które musiały paść, patrzył bezradnie, jak ciało tej, która tyle razy go ratowała, którą coraz trudniej było mu zrozumieć, zmienia się w popiół przesypany mu się między palcami.

Słyszał, jak słowa właściciela kawiarni zamierają na widok mężczyzn pojawiających się w progu. To przybył spóźniony, zbyt długo wahający się książe Marko.

Powietrze pachniało prochem. Rany na dłoniach i stopach Kutrzeby paliły wściekle. Po raz pierwszy od wielu lat miał długo od nich cierpieć; nie mógł już liczyć na to, że Zmora je zagoi.

Przytknął do twarzy dłoń, na której stygła ciepła jeszcze garść popiołu. Natarł nim usta i oczy. Palcami kreślił na policzkach kręgi przyzwań, święte znaki przywoływania martwych, symbole mające chronić go przed nieprzychylnymi umarłymi. Szeptał inwokacje, których nauczył się kiedyś i które wywołałyby przerażenie u każdego, kto choć trochę znał się na czarnej magii.

Pomyślał, że chyba wie, co Zmora chciała mu powiedzieć. Podniósł wzrok i zobaczył księcia, klnącego na czym świat stoi.

– Nic, kurwa, z tego – powiedział Kutrzeba. – Nie ma mowy.

Nie patrzył na księcia, ale na upiory stojące za nim. Młoda kobieta, której twarz coraz słabiej pamiętał, i dwoje dzieci, których twarzy nie pamiętał już prawie wcale. Wyciągały ku niemu dłonie. Mówiły, że to jeszcze nie koniec, że ciągle są głodne. Że powinien wstać i ruszyć w pościg. Bo na tym właśnie polega teraz jego rola

męża i ojca. Niech to szlag, z trudem przypominał sobie, jak to było – żyć jako ktoś taki.

– Przepraszam – powiedział i odwrócił się od nich.

Na trzy sekundy, podobno. Tak twierdził ksiązę Marko.

Kutrzeba inaczej to zapamiętał.

Chaos ma imię. A właściwie tysiące, miliony imion. Krąży zawsze na krawędzi postrzegania, na wyciągnięcie ręki, o włos od ludzi. Wystarczy sięgnąć, chwycić. A potem nie puszczać.

Świat jest tak pełen granic, że niemal się z nich składa. Przekraczanie codziennych rytuałów, zmylenie słowa modlitwy bądź zaklęcia, skręcenie w niewłaściwą ulicę – wszystko to może przynieść zaburzenie świętej powszedniości, wytrącić człowieka ze zwyczajnego rytmu i pchnąć go na ścieżkę prowadzącą w otchłań. Wie to każdy, komu przyszło żyć po Kresie – jeśli zaniedbasz codzienne rytuały, możesz naruszyć bariery, które oddzielają ład od chaosu. A on jest zawsze czujny, czyha, wypatruje najmniejszych skaz na zabezpieczeniach, którymi otaczają się żywi. Na chroniących ich łańcuchach drobnych gestów: naznaczeniu chleba znakiem krzyża, zawieszeniu świętego obrazka na właściwej ścianie. Szuka niedoskonałości w obronie, stwarzanej ustawieniem stołu w taki sposób, by każdy miał przy nim swoje miejsce, albo budowanej na pamięci o zmarłych i ukrywaniu żelaza w te dni, gdy chadzają oni między żywymi.

Wszystko, co robią ludzie w świecie po Kresie, czemuś służy. Ale czasem coś się zmienia, dochodzi do przekroczenia granicy między jednym sposobem życia a drugim. A wtedy niczego nie można być pewnym, stałość zostaje zastąpiona przez niepewność i przypadek.

To może być coś wielkiego albo drobiazg; nagła zmiana w zaplanowanym życiu bądź niespodziewany gest.

Młody człowiek, który nie nazywał się wówczas Mirosław Kutrzeba, nie planował zbyt szybko drugiego dziecka. Ale czy to marzenia jego żony biegły innymi torami, czy też wtrącił się los, dość, że na świat przyszedł jego syn, mały rozwrzeszczany załazek wielu pięknych historii, których nikt, jak się okazało, nie miał opowiedzieć. Zmierzwilo to spokojne wody ustalonej codzienności młodzieńca, który zaczął się zastanawiać, czy oficerskiej pensji starczy mu na utrzymanie żony i dwojga dzieci. Wojna dobiegła końca już jakiś czas temu, a jej echa cichły powoli. Wprawdzie ludzie potrafiący posługiwać się bronią ciągle byli w cenie, a on sam należał do oficerów cenionych przez księcia Czartoryskiego, lecz malała liczba okazji do szybkiego awansu.

Z drugiej strony, otrzymał propozycję od prywatnej lwowskiej firmy. Zawierała ofertę finansową, której nie można było zlekceważyć. No i gdyby przyjął tę pracę, jego dzieci mogłyby dorastać w jednym z tych dużych, bezpiecznych miast. Miałyby tam szansę na lepszą edukację, a następnie na karierę w odmienionym świecie, który on sam czyniłby spokojniejszym miejscem.

Nie musiał przyjmować tej oferty. A potem nie musiał wsiadać do tego akurat pociągu, wiozącego go najpierw do Krakowa, gdzie miał jeszcze kilka formalności do załatwienia. A skoro już wsiadł, nie zdając sobie sprawy, że chaos miotał się za pancernymi ścianami wagonu, że każda podjęta decyzja, niszcząca bezpieczne rytuały stałych czynów, ścieżek i gestów, przybliżała go do jakiejś katastrofy, nie musiał poddawać się chwili słabości, ochocie, by

napić się zimnego piwa w wagonie restauracyjnym.

„Kupię wam coś słodkiego” – tymi słowami pożegnał się z żoną i dziećmi.

Gdyby został, zginąłby wraz z nimi w zmiażdżonym wagonie. I wszystko, do czego doszło później, nie nastąpiłoby, albo może stałoby się udziałem kogoś innego.

Na pozór wciąż znajdował się pośrodku belgradzkiej kawiarni, lata po tamtej katastrofie, coraz mniej rozumiejąc, kim się stał. Nie widział ani ścian, ani baru, ani zdradzieckiego właściciela, ani księcia i jego ludzi, ani trupów janczarów, ani ciała Sabriye. Widział za to trzy upiory, wpatrujące się weń z wyrzutem.

Naokoło niego panował chaos.

Wszystkie związane z Kutrzebą wydarzenia, te, które miały miejsce, i te, które tylko mogły się wydarzyć, rozgrywały się równocześnie. Widział swoje niezliczone śmierci, doświadczał zdrad ze strony wszystkich sojuszników i oglądał własne zdrady, prawdziwe i takie, które nigdy się nie wydarzyły, do których, jak sądził, nie byłby zdolny. Między nimi, w huraganie zdarzeń, przewijały się i blaski dobrego życia. On jako dowódca patrolu szturmującego wioskę potępionych, on jako ojciec, on bawiący wnuki. Widział karierę Grabińskiego, która nigdy nie została złamana, widział Nowakowskiego, przypominającego nie humanoidalnego pająka, ale lśniące istnienie, tkwiące w centrum ogromnego okrętu wędrującego wśród gwiazd.

Śmiejąc się radośnie, zawirował wraz z wtuloną weń Olgą w białej sukni i welonie. Tańczyły wokół nich szkielety i upiory. W ułamkach sekund wszystko naokoło Kutrzeby rozkwitało i więdło,

rodziło się i konało. Wędrował od śmierci do śmierci, od narodzin do narodzin. Gubił się wśród nich. Zapadała się pod nim drewniana podłoga, nagle zmieniona w ruchome piaski. Wciągały go w nie dłonie tysiącletnich mumii, a gdy się z nich wyzwalał, odkrywał, że stoi po kolana w bagnie, a ławice wodników o twarzach jego przyjaciół próbują zepchnąć go w cuchnącą głębię. A zaraz potem zdawało mu się, że kona w samym środku płonącego nieba.

I tak bez końca.

Trzy sekundy?

Doprawdy, dla niego trwało to dłużej.

– Czy byłeś choć raz dobry dla kogoś? – zapytał Jasiek, przemykając mu przed oczami, lecz uciekł, nim Kutrzeba zdążył choćby zastanowić się nad odpowiedzią.

– To nie kwestia dobroci, lecz ceny – zawołała Sara, wtulona w Burzymura. Zaraz oboje zmienili się w dziwną parę, wczepioną w siebie, właściwie zrośniętą ze sobą, a jednak spółkującą. Eksploдовali i Kutrzeba znów musiał przedzierać się przez inną rzeczywistość, w której był jednym z uwięzionych na Dzikich Polach upiorów, budzących się na pieśń ślepego starca. Patrzył na siebie i na hrabiego Rostowa, zamarłych, zdumionych, a coś w nim wołało, aby rozerwał im gardła.

Przebył i te Dzikie Pola.

Szturmował pałace z czaszek olbrzymów, szukał brodów w rzekach krwi, cały czas odpychając od siebie wszystko to, co nie wydarzyło się w jego życiu naprawdę, czy było dobre, czy złe. Zabijał sam siebie i niezliczone cienie swoich sojuszników i przyjaciół. Znów mordował pierwszych pięciu, broniących przed

nim przepraw i mostów.

Aż wreszcie, nim upłynęły te trzy sekundy, które dla niego były niemalże wiecznością, zatracił się, zapomniał o wszystkim: o upiorach, które musiał nakarmić, o swoich misjach i spiskach, a nawet o Szóstym. Zapomniał większość swoich imion, przybieranych przez niego i tych, którymi naznaczali go inni. Parł przez rzedniejący, coraz słabszy chaos, pamiętając tylko jedno imię i tylko jedno dręczące go uczucie.

W ten sposób trafił w ciemność, zbuntowaną, niechęcą się poddać i zgasnąć łagodnie. Próbowwała go odepchnąć, wyrzucić z siebie, a nawet zabić. Nie zrobiło to na nim wrażenia. W końcu jedynym, co pamiętał, były słowa, które powinny zostać wypowiedziane.

– Nie wolno ci! – próbowała powstrzymać go do końca. – To daremne! Nie masz tyle siły, a cena...

Roześmiał się jej w twarz. Jaka tam cena!

Pamiętał, że zapanował wtedy spokój. Żadnych mamideł, żadnego chaosu wrażeń i rzeczywistości. Nigdy jeszcze nie zaznał takiej ciszy. Stał w środku ciemności, przejętej, przestraszonej własną nadzieją, niepewnej. Powiedział jej to, czego ona nie zdążyła powiedzieć jemu, a potem wysłuchał smutnej odpowiedzi.

I nagle znów znalazł się w kawiarni pełnej ciał martwych janczarów. Podobno zniknął na trzy sekundy. Cóż, inaczej to zapamiętał.

Spojrzał wtedy na dłonie. Krwawiły. Rany nie goiły się tak prędko jak kiedyś. Mimo to uśmiechnął się, nim poleciał na twarz, tracąc przytomność. Znów zapadł w ciemność, ale tym razem inną niż poprzednio. Nie był w niej sam.

Trzy upiory przyglądały mu się, gdy upadał. Były smutniejsze niż przedtem. Ale wciąż tak samo głodne.

Rozdział trzydziesty siódmy

*Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,
w drodze między Belgradem a Bukaresztem*

Czerń, która wypłynęła nagle z Kutrzeby, rozszarpałaby księdza na strzępy, ale Mirosław nie pozwolił jej na to. Zmiażdżyła więc tylko dłonie i kolana duchownego. Pchnęła go na ziemię, przycisnęła do niej i chwyciła za gardło. Zabójca zdążył tylko sapnąć, że to przecież niemożliwe, że ona nie żyje!

– Są moce silniejsze od śmierci, złotko! – wyszczała mu w twarz.

Kutrzeba chwycił thompsona i pobiegł na spotkanie herostratejczyków. Zamarli ze zdumienia tylko na sekundę, lecz to wystarczyło. Trzech rzuciło się do ucieczki, trzech pozostało, by osłaniać wycofujących się. Strzelali, ale niezbyt celnie. Żadna z kul nawet nie musnęła Mirosława. On zaś, gdy zbliżył się do nich już wystarczająco, ściał ich jedną, długą serią.

Odrzucił bezużyteczny karabin, wyrwał rewolwer z trzęsącej się jeszcze dłoni konającego herostratejczyka, który próbował wykrzyczeć swoje imię, wykorzystując ostatni oddech. Kutrzeba nie słuchał go. Już wbiegał na wzgórze, cały czas przyspieszając.

Miał swoje lata? I owszem! Zmora wciąż była jeszcze zbyt słaba, by całkowicie go uleczyć? Tak jest! Tak naprawdę żadne z nich nie wiedziało, kim się teraz stała. Po tym, gdy w końcu, po raz pierwszy, to on przywrócił do życia ją. Przy pomocy tych dziwnych słów, których nigdy w życiu nie spodziewał się wypowiedzieć

ponownie. I owszem! Ale czuł się żywy, jak nie czuł się już dawno.

Nie mogli mu uciec.

To były jakieś patałachy, amatorzy, którym ktoś dał broń do rąk i kazał napaść na pociąg. Których ktoś zaraził jakąś idiotyczną, niezrozumiałą ideą i wysłał na śmierć, wykorzystując jak mięso armatnie, by odwrócić uwagę od działań prawdziwego zawodowca. Mojry? Biegając za ostatnimi trzema terrorystami, Kutrzeba próbował przypomnieć sobie znaczenie tego słowa. Nie brzmiało zupełnie obco, kiedyś musiał je słyszeć. Jakieś demony?

A może patron Szóstego zaczął wreszcie działać? Ten bóg stworzony wielkim pentagramem krwi, ofiarą z setek ludzi, który z tajemniczych powodów nie zdołał pomóc swoim pierwszym pięciu wyznawcom, gdy dopadł ich Kutrzeba. Wcześniej dodawał im sił, przychyłał szczęścia, uczynił ich bogaczami i bohaterami. Ale gdy mieli zginąć, znikał. Nie przybywał na czas, może nawet się ukrywał. Dlaczego? Korycki wymyślił kiedyś, że było to efektem spisku Szóstego, który chętnie pozwolił zabić swoich dawnych współników, by zatrzymać pełną moc przywołanego boga dla siebie.

– A może... – Korycki poskrobał się po głowie pewnej pijackiej nocy, kiedy wszyscy klienci opuścili już knajpkę przy ulicy Kocie i nawet barman mruknął, żeby zatrzasknęli za sobą drzwi, gdy skończą, i wyszedł – ...może teraz ty, nieświadomie, dokonujesz jakiegoś nowego rytuału? Czeka! Tu na zapleczu powinny być jakieś mapy!

Nie było go tak długo, że znudzony Kutrzeba zdążył się zdrzemnąć. Korycki nie przepadł jednak w ciemnościach knajpy, w której wygaszono już większość lamp. Wrócił zaopatrzony w trzy

butelki wina oraz wielką mapę Europy, którą rozłożył na blacie stołu, docisnął doń ciężkimi jeszcze od trunków flaszami i dopiero wtedy obudził Kutrzebę.

– Masz, rysuj! – Wcisnął mu do ręki ołówek.

– Co mam rysować?

– Zaznacz punkty, gdzie ich zabijałeś, tamtych pięciu. A ja je potem połączę liniami. No!

– Chłopie, coś mi tu przyniósł? – Rozbudzony na tyle, by przyjrzeć się dokładniej mapie, Kutrzeba z niedowierzaniem odczytywał naniesione na nią nazwy. – Jaka „Carska Rosja”? Jakie „Austro-Węgry”? Czemu tu nie ma Wiecznej Puszczy? Co to jest?

– Przedwojenna mapa. Kurde, nazwy się nie liczą, nie? Tylko miejsca!

– Ale te nazwy pomogłyby mi je odnaleźć. No dobra. Pierwszy był tu...

Zazaczył punkty zgonów pierwszych pięciu łajdaków, a potem przyglądał się, jak Korycki próbuje połączyć je w jakiś mający sens kształt.

– Wyszedł ci durny bohomasz – ocenił jego starania.

– Ale da się zamknąć w pewien rodzaj kręgu, nie?

– Każde trzy kropki da się połączyć „pewnym rodzajem kręgu”. To jest bohomasz. Żadnej magii w tym nie ma.

– A może... Nie, kurde, rzeczywiście nie – zmartwił się Korycki. – A szkoda, bo to była taka ładna teoria.

– Która?

– Że on cię wykorzystuje. Żebyś mu oczyścił pole, usunął zeń konkurentów.

– To akurat całkiem możliwe. Każdy z nich był sukinsynem zdolnym poświęcić życie setek osób, jeśli nie tysięcy. Czemu nie mieliby potem wyróżnić się nawzajem? Jak byłeś w policji, bandyci tak nie robili?

– Czasem nie, czasem tak. Wiesz, złodziejski honor to nie jest do końca wymysł. Oni miewają zasady.

– Nawet gdy chodzi o wielki łup? Zresztą, ci moi to żadna stara szkoła bandyterki. To byli drobni urzędnicy, jacyś kupcy gorszego sortu, żołnierz, któremu nie chciało się spędzać życia na mozolnym pokonywaniu szczebli awansu po to, żeby umrzeć z emeryturą majora albo pułkownika. To było pięciu skurwieli, którzy jakoś się spotkali ze skurwielem szóstym i wspólnie wybrali drogę na skróty.

– Albo pięciu skurwieli, których zebrał skurwiel szósty – wymyślił Korycki.

– Zebrał?

– Słuchaj, myśmy cały czas zakładali, że to było sześciu kumpli, nie? Że spotkali się jakoś, nie wiem, może w jednym przedziale pociągu, i zaczęli narzekać, że życie mają do dupy, bez perspektyw. Że kumple z lepiej ustawionymi tatusiami albo teściami, z kluczami wykonanymi ze szmalu, robią kariery, a oni muszą zadowalać się ochłapami. A może nie było tak? Może oni od początku nie byli sobie równi? Może istniał jakiś jeden facet, który wyszukał sobie pięciu nieudaczników i ich wykorzystał? Zorganizował to tak, że wszystkie tropy, jakie zdołaliśmy zebrać, prowadziły tylko do nich. On planował, oni wykonywali robotę. Myśleli, że złapali Pana Boga za nogi, tymczasem od początku byli spisani na straty. Gdybyś ty ich nie zabił, Szósty by to zrobił. Żeby

mu nie zaszkadzili, gdy zaczną rosnać im apetyty, a uwierz mi, takim draniom, którym udał się pierwszy skok albo przekręt, zawsze rosną apetyty. Albo chciał, żeby bóg służył tylko jemu. Dlatego zresztą ten ich patron nie przybył na pomoc żadnemu z pierwszych pięciu. Nawet jeśli udawał, że próbował. Szósty zawsze trzymał go na smyczy.

– I dlatego nie możemy gnoja znaleźć – zrozumiał Kutrzeba. – Przygotował się na to.

– Może nawet nie robi wielkiej kariery? Przyczaił się. Na pewno jest blisko władzy, ale nie na jej szczycie. Raczej pułkownik niż generał, raczej sekretarz niż prezydent. Rozumiesz?

– Tyle się natrudzić, żeby spędzić życie jako czyjeś popychadło? Nie wierzę.

– Nie popychadło, tylko człowiek z cienia. Ten, który pociąga za sznurki z ukrycia.

– Nie, to facet pełen pychy. Nie zabijasz tylu ludzi, żeby nie móc potem kroczyć czerwonymi dywanami.

– No to może ukrywa się przed tobą? Ujawni się, gdy znikniesz.

– Więc może powinienem zniknąć? Zainscenizować własną śmierć?

– Nawet niegłupi pomysł. Ale z tobą nie przejdzie.

– Bo?

– Bo masz Zmorę. Niby jak masz z nią umrzeć? Nie, w twoim przypadku Szósty czekałby latami na dostarczenie mu jednoznacznych dowodów twojej śmierci. Mnie mogłoby się udać... Zniknąłbym z celownika, mógłbym działać z ukrycia.

– Jak dawniej, co?

- Jak dawniej. Tęsknię czasem za tamtymi czasami...
- Gdy nie byłeś jeszcze pantoflarzem?
- Odezwał się, facet z babą w duszy!
- Że niby co masz na myśli, tatuśku?
- Nie, nic. Zapomnij.
- Nie ma, że zapomnij! – uparł się pijacko Kutrzeba. – Powiedziałeś „a”, musisz powiedzieć „żet”. Coś miałeś na myśli? Co?
- Wiesz, co.
- Co wiem? Nic nie wiem! Gadaj, jeśli nie chcesz, żebyśmy zdemolowali tę twoją ulubioną norę!

Wtedy Zmora wylazła z niego i wyciągnęła go za kołnierz z knajpy, a potem zaciągnęła do hotelu, w którym akurat nocował. Przez cały czas szturchała go i narzekała, że przyszło jej opętać takiego pijaka. Nadawała też na Koryckiego, na durny męski ród w ogóle, a gdy wreszcie cisnęła Kutrzebą na łóżko, ten zrozumiał i zachichotał.

– Czego? – warknęła. – Leż, śpij, żulu! Ja w ciebie dziś w nocy nie wejdem, nie zamierzam dzielić twojego kaca!

– Korycki myśli, że jesteśmy jak małżeństwo, ty i ja – zaśmiewał się Kutrzeba. – Głupi drań! Ale wiesz co? Dziś w nocy faktycznie zachowałeś się jak żona!

– A ty dziś w nocy faktycznie zachowałeś się jak idiota – odpowiedziała, ale nie usłyszał już tego, bo zasnął.

Nie pamiętał o końcówce tamtego pijaństwa, aż do teraz. Cholera. No proszę. Czy wszyscy wiedzieli, tylko on był taki durny?

Zastrzelił terrorystę, który czaił się na niego za rozłupanym głazem. Dobrze, teraz zostało tylko dwóch. Mojry. Kim, u licha,

były?

U stóp wzgórza, wśród wielkiego pola dzikich słoneczników, ostatnia dwójka zdecydowała się stawić mu czoła. Zaczaili się między wysokimi, nierozkwitłymi jeszcze roślinami. Mieliby szanse, gdyby nie ich brak doświadczenia. Drżeli, może ze strachu, może z podniecenia. Nie potrafili zamrzeć bez ruchu i Kutrzeba bez trudu ich wypatrzył. Zaszedł każdego od tyłu. Jednemu skręcił kark, drugiego zastrzelił.

– Nie dotykaj mnie! – pisnął patron, niewielkie, czarne od sadzy stworzenie, po którego ciele wciąż pełzły ciemnoczerwone płomyki.

– Przyszedłem cię ratować.

– Wiem! Ale jeśli mnie dotkniesz akurat ty, to i tak wszystko na nic! Pospieszmy się, nim zgasnę!

Ruszyli więc jak najprędzej. Kutrzebę niepokoiło, że ogniki na ciele patrona ciemniały coraz bardziej, zdawał sobie sprawę, że gdy zgasną, symbiotyczny demon zapadnie w śpiączkę i trudno go będzie rozbudzić. Może wystarczy samo wrzucenie go do rozgrzanego kotła, ale możliwe też, że nie obejdzie się bez pomocy kapłana albo szamana. Skąd ich jednak znaleźć na takim bezludziu?

Gdy dotarli do Zmory, patron znów pisnął swoje „Nie dotykaj mnie!”, choć nawet nie sięgnęła w jego kierunku. Siedziała pośrodku okręgu uczynionego z krwi i ciała księdza. Spragnione ludzkiego mięsa cienie krążyły w pobliżu, ale trzymała je z daleka. Kilka spróbowało podbiec ku Kutrzebie, odpędziła je warknięciem. Długim językiem zlizywała krew z czaszki niemal doszczętnie obdartej z mięsa.

- Coś ty zrobiła! – jęknął Mirosław. – Chciałem go żywego.
- Wydobyłam z niego imiona – wysyczała. – Teraz je tylko potwierdzam.
- Masz coś konkretnego?
- Mam. – Posmutniała nagle. Odrzuciła czaszkę, podbiegła do Kutrzeby, zarzuciła mu ramiona na szyję. Musnęła okrwawionymi ustami policzek. – Jedno bardzo konkretne. Nie spodoba ci się.

Rozdział trzydziesty ósmy

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

– Oni byli martwi – upierał się Szczur. – Ten Timur, Wiera i część ich ludzi. W tym ten, który dowodził drużyną, wysłaną, by wykończyć dintojrę.

– Wolałeś ratować ich niż nas? – upewnił się kocur.

– Nawet nie wiedziałem, że mam was ratować. Trzeba było powstrzymać zamach na starą złodziejską radę, żeby wśród bandziorów nie zapanował chaos i władzy nad nimi nie przejęła trzecia siła. W życiu bym nie pomyślał, że w tym samym czasie dziedziczka Rostowów wybierze się w przebraniu ulicznicy na królewską orgię. Akurat, gdy będą tam przeprowadzać zamach stanu. Olgo, to był bardzo zły pomysł.

– Miałam dość tonięcia w papierach. – Wzruszyła ramionami, niby buńczucznie, ale spuściła oczy i zaczerwieniła się. – Może mi pan jeszcze raz wyjaśnić, czemu to takie ważne, że Wiera i Timur byli martwi? Wszyscy mieszkańcy Malowanego Świata są martwi w Twardym świecie.

– Ale pozwali do portretów za życia. A tu mamy do czynienia z zupełnie nową technologią. No dobrze. – Odetchnął głęboko. – Jeszcze raz. Wiera Pawłowna Rozalska, specjalna agentka Wiecznej Rewolucji, w tajemnicy działająca też dla grupy nazywającej się Mojrami, zginęła podczas nieudanej akcji w

Belgradzie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku.

– Jest pan tego pewien?

– Widziałem to.

– Czyli: zabiłeś – miauknął kot.

– Zginął wtedy też dowódca jej ochroniarzy, Timur – zignorował kocura Szczur. – Co do pozostałych... Nie wiem. Mogli też tam być.

– To o Wierze przecież wiem – nadała się nie wiedzieć czemu Olga. – Nie od pana... Sprawdzalam tamte sprawy... No, nieważne. Czy to takie nieprawdopodobne, że ona już wtedy miała swój żywy portret?

– Olgo. – Spojrzał na nią surowo. – Bardzo nieprawdopodobne. W siedemdziesiątym siódmym tylko Przystań Carogrodu dysponowała takim malarzem.

– Nie tylko. W marcu siedemdziesiątego szóstego porwano z Przystani jurodiwego. Powinien pan to pamiętać, przecież...

– Odbito go po miesiącu – przerwał ją z gwałtownością, która zaskoczyła przysłuchującego się z uwagą rozmowie kota.

Tych dwoje, jak odkrył nareszcie, łączyło coś więcej niż kruche sojusze malowanego miasta. Sądził dotąd, że Olę fascynowała fałszywa romantyczność Szczura, tego samotnego szpiega, tajemniczego wojownika stojącego przeciw całemu malowanemu światu. Teraz jednak przekonywał się, że między nimi było coś więcej. Wspólna przeszłość? Może sięgająca nawet życia w Twardym Świecie? Kusilo go, by unieść się dumą, oświadczyć, że czuje się tu niepotrzebny i skoro oni wyraźnie nie zamierzają dopuścić go do swoich małych, śmiesznych sekretów, to sobie idzie. Obawiał się jednak, że by mu na to pozwolili. Siedział więc

cicho i słuchał, starając się wyłowić z ich sprzeczki jak najwięcej.

– Przez miesiąc – kontynuował Szczur – zdołałby namalować jeden, powiedzmy dwa portrety. No, może trzy. Powiedzmy nawet, że namalowałby Wierę, już wtedy ważną agentkę. Ale po co miałyby tracić czas na malowanie jej ochroniarzy? I to nie tylko Timura, było nie było oficera, ale i jakichś poślednich żołdaków?

– Może malował tych, którzy byli pod ręką? Siedzieliście... Pan Grabiński siedział im cały czas na ogonie. W pośpiechu malowali tego, kogo mieli pod ręką. Byleby mieć u nas agentów.

– Ta teoria ma dwie słabe strony. Pierwszą już przedstawiłem. Druga wynika ze znaczenia Wiery dla Rewolucji. Ona była eksperymentalnym agentem. Miała za zadanie uwodzić dyplomatów, werbować zdrajców, a nie organizować awanturnicze podjazdy i porwania. Rewolucja nie wysłałaby jej z taką misją.

– No dobrze... – zgodziła się po namyśle Olga. – Powiedzmy, że mnie pan przekonał. Ale to by znaczyło, że... Przecież to niemożliwe! Musieliby wykonać portrety po ich śmierci!

– Dlatego to takie ważne. Słyszała pani o portretach trumiennych? Stara sztuka, sięgająca korzeniami starożytnego Egiptu. Przypadkiem bardzo popularna wśród polskiej szlachty. Nie było prawie takiego szlachcica, który nie pragnąłby mieć portretu na trumnie. Powstawały ich tysiące. A w Wiecznej Rewolucji służyło niemało polskiej szlachty. Taki Dzierżyński to najbardziej znany przykład. Może trafił się wśród nich jakiś malarz, który postanowił poeksperymentować? Proszę sobie wyobrazić, jak uruchamiają fabrykę trupich portretów. Lenin, Stalin, Dzierżyński właśnie... A także wyszkoleni agenci, którzy

ponieśli klęskę w Twardym Świecie, lecz których doświadczenie nie musiało zostać zmarnowane. Teraz pani rozumie? Mogą nam tu przerzucać samych asów, najgorszych rzeźników, najbezwzględniejszych dyktatorów. Jeśli ktoś namaluje pani portret tutaj, pozostanie on martwy, nie ma takiej technologii, żeby ożywić portrety malowanych ludzi. Ale portret trupa namalowany przez magicznego malarza, jak się okazuje, może ożyć. Pamięta pani dziwne, trochę sztywne ruchy Wiery i Timura? Mamy tu inwazję żywych trupów, Olgo. Trzeba jak najszybciej ostrzec przed nimi Transport Galicyjski. A nawet... Kutuzowa.

– Kutuzowa? – skrzywiła się.

– Widziała pani, jak Timur przejął rządy na Chitrowce. No, dzięki ocaleniu dintojry nie do końca mu się udało. Będą tam mieli teraz prawdziwą wojnę domową, a my może zyskamy nieco czasu. Ale kto wie, kto teraz infiltruje Kreml? Jakiego trupa wykopała i sportretowała Rewolucja? Nawet gdyby wyciągnęli tylko czaszkę jakiegoś, nie wiem, Rasputina, istnieją w Twardym Świecie metody pozwalające na odtworzenie na czaszce twarzy. Potem, jeśli mam rację, trzeba tylko machnąć na jej podstawie portret trumienny i kolejny żywy trup ląduje u nas. Kto wie, ile ich mieszka już w Malowanej Moskwie i jedynie czeka na sygnał do rewolucji?

– Rewolucja trupów – prychnął kocur. – Bardzo nieapetyczne.

– Boże – szepnęła Rostowna. – Ale z żadnego z naszych chwilowych sojuszy z Kutuzowem nigdy nie wynikało nic dobrego. On jest taki nieprzejednany! Żyje marzeniami o imperium, w którym wszyscy znali swoje miejsce, a Rosja była największym i najpotężniejszym państwem na dwóch kontynentach. Raczej

obozem wojskowym niż krajem. Jemu się zdaje, że to był raj.

– Dla arystokracji pewnie był – prychnął kot. – Dla nich to zawsze są raje.

– Nigdy nie przystanę na taką Moskwę! I mamusia też nie!

– Przecież nie namawiam pani, by mu się podporządkować. – Szczur pokręcił głową. – Ale by działać wspólnie, póki nie pokonamy nowego zagrożenia. Równocześnie Transport Galicyjski powinien podjąć kroki, by zniszczyć zarazę u źródła. Proszę się skontaktować z „Wróżdą”. Jej załoga może sobie pozwolić na dokonanie rajdu na tereny Wiecznej Rewolucji bez wywoływania zadrażeń dyplomatycznych.

– W Twardym Świecie już trwa wojna – uświadomiła go.

– Wojna? Nie wiedziałem!

– Herostratejczycy zaatakowali okręty w Subukładzie Jowisza – wyjaśniła. – Oni albo ktoś inny zdołał ożywić Tiamat. Gdy kontaktowałam się z nimi ostatnio, sklecony naprędce sojusz kierował tam swoje floty. Mieliśmy też meldunki o atakach herostratejczyków w innych rejonach Układu Słonecznego. Może odpowiadają nawet za atak na nasz Pałac Łączności?

– Oni lub raczej Mojry – rzucił ponuro. – Długo siedzieli przyczajeni. Herostratejczycy to tylko ich nieświadome mięso armatnie. Szósty... – Zagryzł wargi. – Podejrzewaliśmy coś takiego, odkąd dowiedzieliśmy się, kim był. Jego plany mogły wydawać się szalone, ale trzeba mu przyznać, że zawsze wybiegały daleko w przyszłość.

– Możliwe – zgodziła się. – Tylko że „Wróżda” raczej nie zajmie się teraz szukaniem fabryki trupich obrazów. Kiedy ostatni raz z nimi

rozmawiałam, poprosiłam, by sprawdzili, co się dzieje na Marsie. Od jakiegoś czasu nie dostajemy meldunków z piramidy. A ostatnie, które jeszcze doszły, też nie zrobiły na mnie wrażenia wiarygodnych.

– Czyli na razie możemy liczyć tylko na siebie – podsumował Szczur. – Uśmiechnął się niespodziewanie. – Wie pani, to wszystko tak naprawdę bardzo mnie cieszy. Nareszcie się zaczęło. Po tylu latach knucia, czekania...

– O, doprawdy! – zawołał kocur, wskakując na biurko i nie dopuszczając Olgi do głosu. Uznał, że ma już dość. Tych dwoje odjechało w rejony tak mu obce, że przestał cokolwiek rozumieć z ich rozmowy. – To może poradzimy się wszyscy troje? Do diabła, czy ja wam aby nie przeszkadzam, gołąbeczki? „Wróżda”? Piramida? Jakieś Mojry? Co to wszystko ma znaczyć? Olgo, czy nie jestem jednym z najważniejszych i najulubieńszych twoich agentów? Już nie mówię, że prawie narzeczonym. Jak mam być skuteczny, do diaska, kiedy nawet nie wiem, co się dzieje?! A już widzę, że rozgrywa się tu zupełnie inne polowanie, niż myślałem. Na piekielne ogary, nie uda mi się upolować dla was szczura, jeśli sądzę, że zasadzamy się na mysz! Albo mówicie mi wszystko, albo wychodzę i radźcie sobie sami!

– Są sprawy... – zaczął Szczur, ale Rostowna nie pozwoliła mu dokończyć.

– To jeden z moich najbardziej oddanych sojuszników, Mirku! – zawołała, czerwieńjąc na twarzy. Oczy błyszczały jej, w kącikach pojawiły się łzy i kocur pojął, że dzieje się coś znacznie ważniejszego, niż przypuszczał. – Zasługuje na prawdę. A jeżeli

jego zasługi nie mają dla ciebie znaczenia, to przecież ma też rację! Nie będzie dla nas użyteczny, jeśli nie pozna prawdy. Użyteczność! To powinieneś zrozumieć!

Wyglądała, jakby miała się rozplakać. Szczur postąpił ku niej krok, ale odpędziła go machnięciem ręki. Stropił się. Spojrzał bezradnie na kocura, ale ten tłukł tylko znacząco ogonem po blacie biurka na znak irytacji. Starał się zachować kamienny wyraz pyszczka, ale w głowie myśli pędziły mu jak oszalałe. „Mirek! Mirek! Co za Mirek? Szczur ma imię, no dobra, wielkie mi co! Nawet ja mam imię! I nawet prawie je pamiętam. Mirek...”.

– No dobrze, masz rację, Olgo – poddał się Szczur. – Kocie, wiele z tego, co tu się dzieje, sięga korzeniami mojej przeszłości w Twardym Świecie. Moi wrogowie tutaj i tam nie chcą dać mi spokoju. Możliwe, że znaczna część zamieszania bierze się właśnie stąd. Nazywam się...

– Mirosław Kutrzeba! – przypomniał sobie nareszcie kot. – Pomniejszy watażka, bandyta, agent, bohater bardzo kiepskich powieści!

– Myślę, że można tak to ująć. On i ja to nie do końca te same osoby, ale poniekąd... To dość skomplikowane. Posłuchaj.

Opowiedział mu swoją historię. Zawierała tak dużo splątanych wątków, pobocznych awantur i postaci ciągle zmieniających imiona, że kot musiał mu przerywać co jakiś czas i dopytywać o szczegóły. Zajął im to wszystko blisko dwie godziny. Gdy wreszcie skończyli, kocur poczuł się bardzo głodny, nieco rozgniewany, ale przede wszystkim nad wyraz rozbawiony. Do tego stopnia, że nie zapanował nad sobą i najpierw zaczął chichotać, potem roześmiał

się w głos, a na końcu wprost tarzał się ze śmiechu po blacie biurka.

Szczur spąsowiał. Za to Olga zerwała się z krzesła, by ratować wszystkie te cenne drobiazgi, które kot strącał.

– O co chodzi? – krzyczała. – Co cię tak śmieszy?

– No właśnie – naburmuszył się Szczur. – Co tak zabawnego powiedziałem?

– Za chwilę – wyrechotał Behemot. – Chwilunię! No nie wytrzymam! – znów poddał się spazmowi nieopanowanego śmiechu.

Gdy wreszcie udało mu się uspokoić, tamtych dwoje miało bardzo obrażone miny.

– Przepraszam – parsknął kot. – To pewnie z nerwów. Trochę. Bo poza tym jesteście oczywiście bardzo zabawni. Zwłaszcza ty. – Wycelował pazur w Szczura. – Nie, naprawdę... – zdusił chichot. – To znaczy, ja to oczywiście doskonale rozumiem. Nawet doceniam. To przecież ogromnie kocie, stawiać się w centrum wszystkiego, uważać za pępek świata. Ale bądźmy poważni. – Spojrzał na nich karcąco. – Jesteście tylko ludźmi. Mimo wszystko.

– Ale o co chodzi! – jęknęła Olga. – Kocie, nie odpowiada mi rola idiotki, która nic nie rozumie. A wy dwaj bardzo staracie się mnie w taką zepchnąć. Nie będę pytać po raz kolejny. Przejdź do rzeczy!

– Twój Szczur, moja droga, tak się przejmuje samym sobą, to nic nadzwyczajnego, oczywiście, wszyscy po trosze cierpimy na tę przypadłość, że sądzi, iż cały wszechświat kręci się wokół niego. Ale spróbujcie być rozsądni choć przez chwilę. Naprawdę, waszym zdaniem ktoś tutaj i w Twardym świecie rozpętuje wojny na

kosmiczną skalę, angażuje niewyobrażalne środki, by dorwać jednego mężczyznę w ramach zemsty ciągniętej przez stulecia? Zastanówcie się. Z całym szacunkiem, Szczurze, jak możesz być tak ważny?

– Mojry powstały z mojego powodu – bąknął Kutrzeba. – A one za tym wszystkim stoją. Wieczna Rewolucja mnie nienawidzi...

– Wieczna Rewolucja nienawidzi każdego – zbagatelizował kot. – Ona już tak ma. Oni się tam czują równocześnie gorsi i lepsi od całego świata. Nie ma chyba na to lekarstwa. Skupcie się, człowieku. Zabiłeś paru agentów. Nie ty pierwszy, nie ostatni. Zabiłeś jakiegoś generała, o którym nikt nie słyszał poza waszym lokalnym państewkiem, i jakiegoś bankiera, o którym słyszało jeszcze mniej ludzi. Zabiłeś kupca, no faktycznie, wielki wyczyn, powód, by rozpętywać wojny. W Malowanej Moskwie, nie przeczę, mieszasz, ale czy bardziej ode mnie czy Czchartiszwiliego? Pomyśl rozsądnie. Czy te wszystkie twoje dywersje i zabójstwa, niewątpliwie ważne dla ciebie i tych, których ścigałeś, mogą być tak znaczące dla ogromnego świata, by rozpętała się przez nie wielka wojna, obejmująca wszelkie dostępne ludzkości, twardej i malowanej, przestrzenie? Kim ty jesteś? Jezusem Chrystusem? No nie, to na pewno nie... Set Destruktor bardziej by pasował do twojego charakteru...

– Powiedzmy, że masz rację – głos Szczura zabrzmiał głucho. – Co by to miało oznaczać? Mylimy się we wszystkim?

– Nie wierzę, żebyście byli aż tak durni. – Kot usiadł i polizał w zastanowieniu łapę. – Ty może i tak, zafiksowałeś się na swoim znaczeniu tak bardzo, że oślepieś na rzeczywistość. Ale Olga, osoba,

która okazała się na tyle mądra, by wybrać mnie na towarzysza i powiernika? Nie, coś mimo wszystko jest na rzeczy. Mylicie się głęboko, ale nie całkowicie. Sądzę, Szczurze, że ktoś wykorzystuje twój niewątpliwy talent do rozpętywania chaosu. I dzięki temu odwraca uwagę od tego, co naprawdę ważne, od prawdziwej gry. Coś przegapiamy, przyjaciele. Coś, a raczej kogoś.

– Przychodzi ci ktoś do głowy? – zapytała Olga.

– Tak. – Kot łypnął na Szczura. – Ale jemu nie spodobają się moje domysły. Jeśli zapomnimy o tym, że pan Szczur jest pępkiem świata, to co pozostaje do rozegrania między twardymi i malowanymi ludźmi, między bogami i ich wyznawcami?

– Marsjanie – odparł Szczur.

– Marsjanie – zgodził się kot. – I zdrajca.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju, Mars

Choć na Marsie pojawiły się miasta i wioski wykowane w skałach, choć zdarzało się, że kanałami płynęła woda pozyskiwana z lodowców, choć wreszcie planeta zyskała atmosferę umożliwiającą oddychanie, a niebo, na którym unosiły się dwa księżyce, stało się błękitne jak nad Ziemią, przeważająca część powierzchni pozostała ciemnoczerwoną pustynią. Wzdłuż wielkiej rzeki rozpełzły się pasma zieleni, w niektóre doliny opuszczono tysiące wielotonowych brył lodu pozyskiwanego z Pasa Asteroid, by zmienić je w jeziora, wokół których wznoszono mieszkalne habitaty. Jednak to pustynny krajobraz pozostał wyróżnikiem czerwonej planety. I wielu jej mieszkańcom nadzwyczaj to odpowiadało.

Linie losu splątały się wokół potężnej postury mężczyzny, siedzącego na jednym ze wzniesień. Ponieważ nie przepadał za mechanicznymi pojazdami, towarzyszyły mu dwa znudzone wielbłądy, leżące teraz obok siebie. Jedyne, co je interesowało, to czy tym razem wrócą do domu przed nocą, która na marsjańskich pustyniach należała do jeszcze chłodniejszych niż na ziemskich. Zwierzęta musiały znieść już trzy pustynne noce z rzędu i wcale im się to nie podobało, choć ich pan rozłożył specjalnie dla nich wielki namiot, ogrzewany energią pozyskiwaną z baterii słonecznych i porozkładanych naokoło wiatraków. Jakby się nie starał, i tak wewnątrz było chłodniej niż w stajniach piramidy.

Komuś innemu potrafiłyby dać do zrozumienia, że ma do wyboru: wracać z nimi teraz albo kiedy tylko zechce, ale w samotności. Jednak ich pan należał do tego rodzaju ponurych właścicieli, którzy chętniej od słów używali razów i nadzwyczaj łatwo okazywali niezadowolenie. Gdyby wielbłądy porzuciły go tutaj, nie zginąłby, ale dotarł do piramidy, a potem przerobił swoje niewierne wierzchowce na żarcie, którego starczyłoby mu pewnie ledwie na tydzień. Wielbłądy czekały więc i marzyły cierpliwie, nawet jeśli marzyły o ucieczce.

Ich pan uważnie przyglądał się światu, choć oczy miał przesłonięte. Nie interesowały go gry światła, ale linie losu, w których potrafił czytać. Dostrzegał ich teraz setki, a żadna mu się nie podobała.

To nowe porządki w piramidzie pchnęły go do tej pielgrzymki. Miał tu swoje ulubione wzgórze, przypominające kształtem egipskiego Sfinksa, być może dzieło jakiejś starożytnej cywilizacji, która nigdy nie istniała naprawdę. W piramidzie namnożyło się nowych potencjalności, od których Szulerowi Losu robiło się z każdym dniem duszniej. Wandzia wyraźnie go unikała, wręcz się przed nim ukrywała. Wcześniej to on usuwał się w cień, by nie trapić jej swoimi ponurymi wątpliwościami i jeszcze gorszymi pewnościami. Choć nie pochwalał opuszczenia Ziemi, podobało mu się, jak urządziła swoje sanktuarium.

Kiedyś sądził, że Wanda poprowadzi zastępy bogów i demonów w świętej krucjacie przez całą planetę. Że on, jej ojciec, zostanie generałem błogosławionych armii pustoszących stary świat, by zakłać go w nowy porządek. Choć wiedział, że nie ma w nim

nienawiści wobec odmiennych, nieważne, czy byłeś demonem, czy sztucznie stworzonym bogiem, czy nadnaturalnym uchodźcą, bóstwem przywiezionym przez Marsjan z dalekiego kosmosu.

Zdaniem Szulera po inwazji nie istniały już na świecie istoty naturalne, wolne od nadprzyrodzonych wpływów i zdolności. Wystarczyło, byś stosował magię ochronną, zaklęcia i rytuały, które miały chronić cię przed kimś takim jak Szuler, a już naznaczało cię piętno pozanaturalności. Podobno istniały sekty, które przed tym uciekały, odmawiały rytuałów innych niż te wywodzące się z wyznawanych przez nie monoteistycznych religii. Odrzucający także nowoczesne technologie sekciarze żyli gdzieś na pustkowiach, które starali się uprawiać wedle własnych potrzeb. Część z nich kończyła marnie, bo monoteistyczni bogowie nie przybywali ratować swoich wiernych. Ale niektórym udawało się przetrwać. W państwie Szulera i tacy mieliby zapewnioną ochronę.

Ale najpierw stary świat musiał spłonąć. Państwa i korporacje powinny upaść, starzy przywódcy zginąć, a bogowie przyjąć zwierzchnictwo Wandzi.

Nic z tego nie wyszło, bo córeczka nie miała ochoty zostać patronką świętej wojny.

Szuler spodziewał się tego, odkąd dostrzegł wśród linii losu tę jedną, prowadzącą do związku Wandzi z Jaśkiem, tumanem nad tumanami, prostakiem i naiwniakiem. A że do wszystkich jego wad należało doliczyć także i tę, że był człowiekiem wręcz fanatycznie dobrym, miłość, jaką darzyła go Wandzia, musiała doprowadzić wymarzony plan Szulera do ruiny. Bo jakże to: wymordować miliony w imię pokoju? Krzywdzić ludzi i bogów, łamać ich wolną

wolę? Nic z tych rzeczy, to się nie godzi.

Szlag by trafił tego durnego Jaśka!

Bóg nie mógł otwarcie stanąć przeciw niemu. W przeciwieństwie do większości ojców Szuler miał wgląd w potencjalne przyszłości i zdawał sobie sprawę, że w większość przypadków doprowadzi to do otwartego buntu córki. W innych, nielicznych wersjach przyszłości, gdy jednak stawiał na swoim, światło Wandzi gasło i zamiast zostawać boginią bogów, zmieniała się w ich przekleństwo i śmierć, samotną wiedźmę przynoszącą nieszczęście tym, których powinna chronić.

Ustąpił więc i porzucił marzenia o krucjacie. Powróciły, gdy dowiedział się, że Jasiek uparł się umrzeć naprawdę. Jednak szybko okazało się, że wpływ tego głupka po śmierci był jeszcze większy niż za życia. Wandzia pozostała wierna idei Ustronia, miejsca, w którym każdy bóg i demon mógł się schronić, jeśli szukał spokoju. Nadnaturalni przybywali do niej po błogosławieństwo, a ona leczyła ich rany, bywało, że czyściła pamięć, jeśli tego pragnęli. Mogli zostać i modlić się do niej, najpierw w Przystani Carogrodu, później w zielonej twierdzy, jaką zaoferowała im Wiekuista Puszcza, a w końcu tutaj, w marsjańskiej piramidzie.

A przecież można było obronić Przystań Carogrodu. Odeprzeć nawet całą armię Wiecznej Rewolucji. Szuler namawiał do tego córuchnę, tłumaczył, że wystarczy, aby wezwała swoich wyznawców, a naprzeciwko Komisarzy staną bogowie i demony z całego świata. Nawet takie, które nie zamierzały oddawać Wandzi czci, zechciałyby jej bronić.

Nie zgodziła się i wtedy. „To rozpoczęłoby wojnę w mojej duszy –

odpowiedziała. – Nie wiem, czy zdołałabym potem zgasić ten ogień”.

Uciekli więc. Zabrali ze sobą grób Jaśka i ciała Rostowów w skrzyniach wypełnionych ziemią z poświęconego im kopca. Zabrali ze sobą sadzonki drzew z chroniącego gródek lasu. I czmychnęli, by Wandzia nie musiała doświadczać wojny. To wtedy Szuler po raz ostatni widział Grabińskiego, zbliżającego się wówczas do osiemdziesiątki.

„Za stary jestem, by się zmieniać, przeprowadzać – zrzędził. – Jedźcie, róbcie swoje. Ja zrobię swoje tutaj, bylebyście zostawili mi zapasy czarciego mleka”.

Na próżno prosili go i nakłaniali, żeby schronił się choć w twierdzy Świętego Mikołaja. Nadał się i nawrzeszczał na nich. Gdy odjeżdżali, sędziwy bohater Dzikich Pól, łowca potworów, zabójca Komisarzy siedział na ganku swojej chaty, kołysząc się na bujanym fotelu. Stary karabin snajperski trzymał na kolanach. Na ramieniu siedziała mu ta jego nieśmiertelna sówka o piórach tak posiwiałych, że aż białych niczym włosy Grabińskiego. Nikt nie znał jej historii. Podobno kiedyś po prostu usiadła mu na ramieniu i tak już zostało. On pociągał czarciego mleka z gąsiorka, ona popijała je z naparstka, który trzymała zgrabnie w pazurkach.

Nie wiedzieli, co się z nim potem stało. Podobno ziemia rozstąpiła się pod czerwonoarmistami wkraczającymi do grodu i pochłonęła ich wraz z Grabińskim. Podobno sówka urosła i uniosła go prosto do nieba. Podobno zmienił się w zabójczego ducha zemsty, który wciąż poluje na stepie na Komisarzy.

Dla Szulera jego historia pozostała tajemnicą. Jeśli dawny druh

stał się demonem, nigdy nie zastukał do wrót marsjańskiej piramidy.

Teraz, nareszcie, po blisko dwustu latach Wandzia wyzwoliła się spod władzy Jaśka. Niestety, nie przyniosło to zmiany na lepsze. Szulerowi od początku nie podobał się ten cały Jacuś i jego zielsko. Zbadał historię kwiatu paproci, a to, co zaczęło dziać się w piramidzie, tylko potwierdziło wszystkie jego podejrzenia. Wandzia przestała zajmować się bogami, a zaczęła skupiać na sobie i swoim nowym chłopaku. Spędzali ze sobą całe dni i noce, zajmując się jedynie własnymi zachciankami i igraszkami. Z piramidy popłynęły do marsjańskich miast zamówienia na nowe suknie, tysiące pasujących do nich pantofelków, na kryształowe lampy i biżuterię ze wszystkich rodzajów istniejących na świecie klejnotów. Bogini bogów przebudziła stare pasje w duszach bóstw-awanturników i rozesłała ich na wyprawy po szczególne cuda.

Piramida ożyła.

Rozpoczęły się w niej wielkie bale, niekończące się imprezy, jarmarki cudów. Obchodzono możliwie hucznie każde święto wiążące się z jakimkolwiek obecnym w Ustroniu bóstwem. I wszędzie sadzono tę cholerną paproć, a bogowie i demony modlili się, by zakwitła i dla nich.

Podczas jednego z przypominających orgię balów Wandzia ogłosiła swoje zaręczyny z Jacusiem. Od razu przyznała mu prawa niemalże małżonka, pana piramidy, którego słuchać należy nieledwie jak jej samej.

– Znów kogoś kocham, tatusiu. – Spojrzała na Szulera zapłakana, gdy przyszedł zwrócić jej uwagę, że to chyba ciut za wcześnie. –

Przez prawie dwieście lat nosiłam żalobę. Nie wystarczy?

– Niewiele o nim wiemy, o tym twoim narzeczonym.

– Ty niewiele o nim wiesz! – zawołała. – Ja wiem o nim wszystko, co trzeba! Wiem też, że nigdy nie lubiłeś moich ukochanych. W końcu zrozumiałam, dlaczego. Po prostu chcesz mieć mnie wyłącznie dla siebie!

– Ten kwiatek... – spróbował. – Ten, który ciągle nosisz na piersi. On ma moc. Zbadałem sprawę i...

– Dosyć! – Poderwała się rozgniewana. Otarła łzy z oczu. – Dosyć! Posuniesz się do wszystkiego, byle postawić na swoim, prawda? Nie zapominaj, że jestem także twoją boginią, a ty nie do końca jesteś moim prawdziwym ojcem. Zostaw w spokoju mnie i Jacusia! Precz!

Co mu pozostało? Ukłonił się i opuścił jej komnaty. Spróbował dostać się do sali łączności z Malowaną Moskwą, ale tam rządził już złoty wąż, który przybył wraz z Jacusiem.

– Jej wysokość, najświętsza królowna Wanda, obarczyła mnie tą służbą – zasyczał pokornie. – Tylko za jej upoważnieniem mogę tu wpuszczać kogokolwiek. Czy posiada pan jej pisemne upoważnienie?

„Wiem, kim jesteś, sukinsynu – pomyślał Szuler. – Część linii losu wiodła właśnie do tego miejsca, ciebie i mnie. Od tak dawna byłeś jednym ze złych prawdopodobieństw, a my czekaliśmy na ciebie”.

Przez chwilę napawał się spełnieniem wizji, w której dusi gada. To byłoby cholernie dobre uczucie. Oparł się jednak pokusie, odwrócił i odszedł bez słowa.

Byłby pewnie zdolny zabić ich wszystkich. Nie na raz, aż tak silny nie był. Ale podstępnie i zdradziecko dałby radę. Miał świetnego

nauczyciela. Tyle że w ten sposób nie odzyskałby córki.

Przyglądał się jeszcze przez jakiś czas nowym porządkom w piramidzie, poznał datę ślubu, a wtedy spakował najpotrzebniejsze rzeczy, zabrał dwa wielbłądy ze stajni i wyruszył medytować na pustynię. Tam właśnie spłynęło na niego wspomnienie.

Zobaczył nagle siebie i Mirka, dwieście lat wcześniej. Stali wówczas na Krzemionkach, przyglądając się rozbudowywanemu fortowi Nowakowskiego.

– Wszystko jest możliwe – mówił Kutrzeba. – Marsjanin może mówić prawdę, może kłamać.

– Nie obchodzi cię to, co? Robisz swoje, a resztę świata masz, jak zwykle, w dupie.

– Tak mnie oceniasz? Chyba słusznie. Ale kilka rzeczy się zmieniło.

– Ty i Zmora...

– Nie tylko ja i Zmora.

– Jesteś już wolny. Rób, co chcesz.

– Nie.

– Nie?

– Nie jestem wolny.

– Ale...

– Nie jestem wolny, Szuler. A razem ze mną i wy nie jesteście. Będę was potrzebował. Cholera wie, jak długo. Trzeba będzie przyszykować wiele planów.

Szuler spojrział na niego poprzez linie losu i aż się cofnął, tak przeraziło go to, co tam zobaczył.

– Jesteś szalony! – szepnął. – Kompletnie obłąkany!

– Nie ja. – Kutrzeba uśmiechnął się smutno. – On. Przygotował się lepiej, niż sądziliśmy. Czeka nas wiele pracy, stary druhu.

Wieszczono dwieście lat wcześniej przez Kutrzebę kłopoty w końcu nadeszły. Szuler zrozumiał to, gdy tylko zobaczył złotego węża, tego uciekiniera spod marsjańskiej władzy, który osiadł kiedyś pod Turbaczem, by pewnego dnia spotkać Kutrzebę i splątać z nim swe losy. Tym samym został dostrzeżony przez swych dawnych panów i przekonał się, że niektórzy z nich nie zapomnieli o zdradzie.

A potem dołączył do Mojr.

– Dwieście lat – mruknął Szuler. – Zakładaliśmy, że może to potrwać tyle czasu, a jednak trochę mnie zaskoczyło. Zapomniałem... Dni tak szybko zlewają się jeden z drugim. Kalendarz łatwo nam umyka.

Błyski na niebie przyciągnęły jego uwagę. Uniósł głowę, by zobaczyć dwie spadające gwiazdy. Nie musiał sięgać ku nim swoimi mocami, by odgadnąć, kim były. Dla jego spojrzenia, przeczesującego świat poprzez potencjalności, jaśniały niczym supernowe.

– Witajcie... przyjaciele – szepnął, podnosząc się z piasku. Jeśli popędzi wielbłądy, zdąży na czas, by powitać ich na lądowisku. Tych dawno niewidzianych łajdaków, którzy przybywali ostatecznie zburzyć spokój piramidy. Wyjdzie im naprzeciw jak gospodarz.

W końcu teraz on był Marsjaninem.

A potem...

Posmutniał. Nie tego chciał. Już nie.

Potem wojna zagości w duszy jego córeczki.

Rozdział czterdziesty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju, Kraków

Jakiś knypek łąził za nim wszędzie. Dokądkolwiek by się Korycki udał, pokurcz z gębą, której nie sposób zapamiętać, skrywający ją pod szarą czapką z tych, co to podobno lubił je nosić jeden z proroków Rewolucji, a w Krakowie osłaniali nimi głowy przede wszystkim starcy i kieszonkowcy, szedł za nim jak cień. Znikał tylko gdy generał meldował się u tej fanatyczki, Basieńki, wciąż spragnionej jego towarzystwa, choć minęły już trzy dni od spotkania z Rymarem.

Były komisarz zwalczył wówczas pokusę, by aresztować ich wszystkich. Zatrudnili jakichś szalonych terrorystów, by dopaść Kutrzebę? Wysilił pamięć, by przypomnieć sobie ich pokręconą nazwę i cele. „Herostratejczycy”, ludzie spragnieni miejsca w historii, przekonani, że w świecie, w którym dziedziczy się sławę, bogactwo i władzę, słabi i biedni muszą niszczyć i zabijać, by trafić do podręczników historii. Jakiś wyjątkowo pokręcony rodzaj anarchii. Ale czasem właśnie takie durne idee najłatwiej trafiały na podatny grunt.

Czy za herostratejczykami mogła stać Rewolucja? Chętnie wykorzystywała takich straceńców. Może jednak byli zbyt szaleni nawet dla niej?

Miał nad czym myśleć. Przysiadł na ławce pod murami miejskimi, wzdłuż których rajcy pociągnęli ostatnio pas zieleni, nazywając go

Plantami. Miało to zdaje się sprawić, że Kraków stanie się bardziej przyjazny mieszkańcom, straci charakter twierdzy, którą był przez ostatnich sześćdziesiąt lat.

Czasy się zmieniały. Wiele potworów oswojono, inne stopniowo wybijano. Pięć lat wcześniej nie dało się dojechać do Mogiły bez silnej eskorty, dziś jeździł tam pociąg. Pancerny, jak wszystkie pociągi, ale jednak. Przywracano komunikację między miastami królestwa, a Koleje Galicyjskie rozbudowywały swoją flotę, tak pociągów, jak i sterowców. Mówiono o przywróceniu tramwajów w Krakowie.

Rajcy miejscy zapragnęli wprowadzić gród w nowy, lepszy świat, uczynić coś symbolicznego, pokazującego, że pokój nastął naprawdę. Murów wprawdzie nie zburzono, wciąż zbyt niebezpiecznie było na bezdrożach, jednak przecież miasto rozpościerało się teraz i za nimi.

Odbudowywano kamienice, które w czasach młodości Koryckiego stanowiły osiedla duchów. Kraków na powrót połączył się z Kazimierzem oraz Podgórzem i teraz mury wzniesiono na granicach dołączonych do Krakowa dzielnic. Mimo to Korycki nie wróżył wielkiej przyszłości Plantom. Oparła się ich ekspansji na przykład stara, dobra ulica Kocia. Trawa nie chciała rosnąć tam, gdzie wyrwano bruk, a sadzone przy Kociej w miejscu dawnych murów drzewa usychały błyskawicznie. Generał żałował, że nie mógł odwiedzić swojego ulubionego zakątka Krakowa. Wciąż jeszcze nie wszyscy wiedzieli, że nie zginął w Bielsku-Białej.

Zagapił się na mury niegdysiejszego kolegium Jezuitów, potem zmienionego w więzienie, obecnie oddanego na użytek

uniwersytetowi. Pod umocnieniami, na ławce zagarniętej z alejki i zaciągniętej na pagórek, siedziało trzech studentów, osuszając butelkę taniego wina. Knypek w szarej czapce jakoś zaplątał się między nich. Pokrzykiwał jak i oni, pociągał oszczędne łyki, by trunku starczyło na dłużej, ale co chwila zerkał na mężczyznę, którego śledził. Pozostali patrzyli raczej na zgarbionego staruszka, wspinającego się ku nim z mozołem. Wyglądał na typowego krakowskiego żulika, sprawdzającego okazję do naciągnięcia kogoś na parę groszy. Planty szybko zapełniły się takimi jak on.

Kim był knypek? Należał do Mojr czy też został przez nie tylko wynajęty? Jeżeli spotkał się kiedyś z Kutrzebą, to w jakich okolicznościach? Czym ten cholerny mściciel, ciągnący za sobą ławicę pokrzywdzonych istot, zawinił akurat jemu?

Stanowczo zbyt wiele ostatnio się działo. Korycki nie potrafił przestać myśleć o Parowskim i jego teoriach. Zagrał po swojemu, poigrał z Nowakowskim, ale nie wyglądało na to, by zrobił na nim wrażenie rewelacjami fantastów. Marsjanin ponoć wysłał swoim ostrzeżenie, by nigdy tu nie przylatywali. Czemu? Bo Ziemia okazała się pułapką. Dlaczego? Bo nastąpiła zwrotna.

– Nigdy wcześniej się z tym nie spotkaliście? – zapytał Marsjanina podczas odwiedzin, tuż przed opuszczeniem jego gabinetu.

– Przecież pan wie.

– Może nie wiem. Widzi pan, dzięki swojej pracy poznałem całą masę rozmaitych typów. Prostych łajdaków i cwanych sukinsynów. Ale tak naprawdę w żadnym z nich nie było nic nadzwyczajnego. Bo tacy jesteśmy, my, ludzie. Zwyczajni. Wstajemy rano i szukamy

sobie jakichś powodów do życia. Ich pula wydaje mi się żałośnie ograniczona. Proszę mi wyjaśnić, co takiego nadzwyczajnego pojawiło się w milionach zwyczajniaków takich jak my, że po raz pierwszy wasza supernowoczesna, starożytna rasa poniosła klęskę?

– Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, nie rozmawialibyśmy teraz. Byłbym bogiem bogów. Albo kimś jeszcze ważniejszym.

– Czy wy nie znacie opowieści? – zaryzykował Korycki.

– Słucham?

– Poznałem faceta, który uważa, że ludzie są skażeni... jakby to powiedzieć, fabularyzacją. Że my do wszystkiego dorabiamy opowieść i mitologizujemy. Nawet nasza nauka jest cała w opowieściach. Już od dzieciństwa nie uczymy dzieci matematyki normalnie, prosto, ukazując im czyste liczby, ale opowiadamy im o nich historie. Wie pan... Na początku mówimy dzieciom coś w stylu: „jeśli Jacek ma dwa jabłka i Jola ma dwa jabłka, to ile razem mają jabłek?”. A potem idziemy dalej i opowiadamy o tym, że Jacek zabrał Joli jedno jabłko... Rozumie pan? Opowieść zamiast czystej matematyki. Od maleńkości jesteśmy tak uczeni. Ten facet, z którym rozmawiałem, zgadywał, że z wami mogło być inaczej. Że u was matematyka była po prostu matematyką, a religia religią. Ja nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak można mówić o bogach bez przypowieści, ale dla was, Marsjan, mogłoby to być jakoś możliwe. I dlatego, gdy spuściliście swoich bogów na Ziemię, stało się to, co się stało. Nie byliście przygotowani na opowieści.

– Zabawna teoria. – Marsjanin roześmiał się. – Chętnie poznałbym tego fantastę. Bo to jeden z nich, tak? Pan wie, że wspieram literatów, prawda?

– Pierwsze słyszę.

– Mam trzy wydawnictwa. Nawet zakładałem domy pracy twórczej, jednak nie przyjęły się, prawdę mówiąc. Korzystający z nich pisarze przestawali tworzyć. Skupiali się, no cóż, na chlaniu i rozmnażaniu. Gdyby pański znajomy znalazł wyjaśnienie i dla tej zagadki...

– To akurat mogę panu wyjaśnić sam. – Teraz uśmiechnął się i Korycki. – Jak mówiłem, jesteśmy prości i mamy proste potrzeby. Gdy zaspokoił pan problemy z jedzeniem, pić i dachem nad głową, pańscy artyści zajęli się określaniem kolejnych punktów z listy prostych potrzeb.

Teraz, siedząc na ławce, którą ktoś już zdążył pokryć wyrytymi w zielonej farbie wyrazami miłości do jakiejś „Ani przepięknej”, Korycki zastanawiał się, czy Nowakowski celowo nie zmienił wtedy tematu rozmowy.

No dobra, powiedzmy, że ten Snerg ma rację. Marsjanie myślą czysto abstrakcyjnie, nie znają fabuł. A my jesteśmy jedyną rasą, jaka używa opowieści. Co z tego? Jak z tego wywnioskować, czy Nowakowski wysłał swoim ostrzeżenie, czy wezwanie?

„A zresztą, co mnie to obchodzi? Nawet jeśli wezwał ich na pomoc, przylecą za jakieś dwieście lat. Ani mnie, ani moich dzieci nie będzie wtedy wśród żywych. Mam się przejmować losem prawnuków moich prawnuków? To dla mnie obcy ludzie!”

A jednak, uznał, chyba nie do końca. Kochał te bachory, swoje dzieci, i wiedział, że one tak samo będą kochać swoje. A choć prawnuki jego prawnuków były dla niego obcymi ludźmi, to przecież w jakiś sposób, miał nadzieję, odziedziczyłyby tę część

miłości, którą obdarzał swoje dzieci.

– Jebany maraton – zaklął, żałując, że nie może dołączyć do knypka i jego nowych kumpli, przydałby mu się teraz łyk czegoś mocniejszego.

– Ano, panie, wszystko takie przejebane, całe życie – zgodził się z nim siwiuteńki żul, który ledwie parę minut wcześniej daremnie starał się naciągnąć na poczęstunek studentów. – Ale moje, jak mi się zdaje, jest ciut bardziej przejebane niż pańskie. Pan, na ten przykład, masz pieniążki, których mnie brakuje. Poratuj, panie, starego!

– Spieprzaj, dziadu! – ofuknął go Korycki, może i roztkliwiony nieco, nie na tyle jednak, by przejmować się losem drobnych pijaczków.

– Teraz to spieprzaj! – nie ustępował żul. – Siedzisz pan sobie zadowolony na ławce, nikt pana z niej nie wygania. Ważny pan. A ja? – Wzniósł oczy ku gałęziom drzewa, na którym gołębie przyglądały się komuś nowemu na Plantach: maleńkiej sowie. – Siedziałem sobie spokojnie w domu, popijałem czarcie mleko pędzone tam przez najlepszych mistrzów, a tu nagle przylatuje gołąb, taka jego mać. Z pismem. „Agencie Sokół, zbieraj ekipę, pożyczaj sterowiec od Świętego Mikołaja i w te pędy przyjeżdżaj do Krakowa!”. No to jestem. Mało żeśmy balonu nie zgubili, tak pędziliśmy. A co nas spotyka? „Spieprzaj, dziadu”.

– Jesteście? – Korycki nagle rozpogodził się, z trudem próbując zapanować nad twarzą. Jak doszło do tego, że nie rozpoznał tego opoja na pierwszy rzut oka? Prawda, nie widział go od lat. Ale mimo wszystko... Z drugiej strony Grabińskiemu nadzwyczaj łatwo

było przyjąć wygląd jednego ze starych żuli, którzy prawie nie różnili się od siebie nawzajem w oczach zwyczajnych krakowian. – Wszyscy?

– Wandzia z Jaśkiem zostali. Mają tam, w Przystani Carogrodu, własną robotę. Ale reszta przybyła. Niechętnie, od razu to powiem. Szulera to córka musiała siłą z domu wykopać. A, kazał przekazać, że Mirek żyje. Czułby, gdyby zginął.

– Nie wiem, czy się cieszyć, czy płakać.

– To tak jak i my. Zatrzymaliśmy się w Kazimierzu, ale zaraz nad rzeką. Migiem możemy stanąć w Podgórzu. A teraz daj pan trochę grosza i spadam, zanim się ta przyczepiona do pana pluskwa się zorientuje. Tyle? – zawołał z tak szczerym oburzeniem, że uwierzyły mu nawet gołębie, które oderwały na chwilę wzrok od sówki i popatrzyły na Koryckiego z pogardą. – Panie, dajże pan porządny grosz, żeby choć na zwyczajną gorzałkę starczyło! No. Oto porządny człowiek! – wrzasnął w końcu, kiedy generał sięgnął znów do portfela. – Nie to, co ci gówniarze, co nie potrafią docenić starego człowieka! Mostowa trzydzieści pięć – szepnął Koryckiemu. – Bóg z tobą, dobry człowieku!

Odchodząc, stawiał wolne, drobne kroki, niczym najprawdziwszy starzec, a nie legenda Dzikich Pól, zabójca ognistych węży i upiorów, łowca potworów do wynajęcia, o ile miało się czarcie mleko, by mu zapłacić. Sówka poleciała za nim, ale nie wylądowała mu na ramieniu, by nie zdekonspirować współnika.

– Kupiłbyś coś do żarcia, zamiast wszystko przechlać! – zawołał za nim Korycki. Doczekał się w odpowiedzi krótkiego, acz treściwego „Idze, idze, bajoku!”, co studenci skwitowali śmiechem.

General udał, że tego nie słyszał. Wstał i ruszył w stronę Kazimierza. Ulica Mostowa. Tak od razu na nią nie pójdzie. Niech knypek pomęczy się trochę, chodząc za obiektem od straganu do straganu, posnuje się między synagogami, utknie w tłumie rozkrzyczanych chasydów, co do których nigdy nie można było mieć pewności, czy spierają się właśnie o cenę baraniny, czy o Absolut. Możliwe, że sami tego nie wiedzieli, albo też potrafili rozmawiać o jednym i drugim równocześnie. Kazimierz był ich pełen.

Uciekali tu ze wschodu, z terenów zagarniętych a to przez Rewolucję, a to przez Wiekuistą Puszcę. Przynosili ze sobą swój mistycyzm. Upychali w i tak już przesyconą magią atmosferę miasta swoje ochronne łańcuchy anielskich alfabetów, tańców, które ponoć były modlitwami. Przybywały za nimi byty niebędące tak naprawdę aniołami, ale starające się pełnić choć częściowo ich funkcję.

Starannie nie zauważali Koryckiego, kiedy ich mijał, a on odwzajemniał się im tym samym. Przystawał czasem przed wystawami maleńkich sklepików, których pełno było w tej dzielnicy, ale nic nie kupował. Zresztą żaden sklepikarz nie biegł ku niemu, by zachwalać towar. Ci uchodźcy, przybyli tu z ziem opętanych przez siły dążące do wymordowania ludzi, przeżyli swoje i rozpoznawali na pierwszy rzut oka takich, od których lepiej trzymać się z daleka.

„Jak stałem się kimś takim?” – dumiał Korycki.

– „Może Mojry mają rację? Może Mirek naznacza nas wszystkich?”.

Bzdura, oczywiście. To nie Kutrzeba był odpowiedzialny za paskudne przygody Koryckiego w wojsku i policji, to nie on wplątał

go w aferę z Chochołem. Mojry to łajzy próbujące zrzucić na kogoś odpowiedzialność na wszystko, co im w życiu nie wyszło. Świat jest pełny takich. Ktoś, komu są potrzebni naiwni fanatycy, znajduje te wszystkie zagubione dusze i kreuje je dla własnych potrzeb.

Szósty... Kurwa, ten mityczny Szósty, siła większa od wszystkich innych sił, z jakimi Korycki kiedykolwiek się zetknął. Może sami przydawali mu potęgi, dostrzegając jego macki w każdym niepowodzeniu? Może uczestniczyli w jakimś ciągnącym się przez lata rytuale, którego celem było stworzenie Napoleona zbrodni, arcyzłoczyńcy?

Od tego się wszystko zaczęło, prawda? Od rytuału, który miał stworzyć boga – patrona dla sześciu skurwieli, spragnionych kariery i władzy. Trochę im wyszło, a trochę nie. Bo oprócz boga stworzyli sobie też Kutrzebę. Fortuna to suka.

Korycki uśmiechnął się do siebie. Skręcił w Wąską, ruszył w stronę Józefa. Stamtąd skręcił na Plac Żydowski i tam, w jak zawsze gęstym, rozgwarzonym tłumie, zgubił bez trudu knypka między stoiskami rzeźników.

Cieszyło go, że wreszcie coś zaczyna się dziać. Miał już dość tego całego plątania się bez celu i dumania nad losem. Niech wreszcie coś się wydarzy.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

– Nie rozumiem tylko, czemu to trwa tak długo – marudził kocur, gdy wysłuchał wreszcie nowej teorii dotyczącej Marsjan i całkiem zgrabnie łączącej się z tym, na co sam wpadł. – Dwieście lat! Nawet koty nie są tak cierpliwe.

– To nie kwestia cierpliwości, lecz konieczności – odparł Szczur. – Pewien mój... – zawahał się wyraźnie.

– Przyjaciel – podpowiedziała Olga.

– Niech będzie. Pewien przyjaciel wysnuł teorię związaną z Marsjanami. Sądzi, że chodzi o przybycie ich drugiej floty. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku z Ziemi został wysłany ku niej sygnał. Podobno z ostrzeżeniem, by nie zbliżali się do Ziemi. Ale to niepotwierdzona informacja. Zamiast ostrzeżenia mogło to być wezwanie na pomoc. W takim przypadku całe to zamieszanie z Tiamat, aktywność herostratejczyków, a nawet wojna, która teraz wybuchła w Subukładzie Jowisza, byłyby tylko działaniami mającymi odwrócić uwagę od floty marsjańskiej, która powinna wkraczać już w granice Układu Słonecznego. Zastanie nas skłóconych i tak zajętych wojowaniem ze sobą nawzajem, że nie tylko zbyt późno zorientujemy się, że w ogóle przybyli, ale też nie będziemy w stanie stawić im czoła.

– Zabawne. Jak za pierwszym razem, prawda?

- Chyba nie rozumiem.
- Jak za pierwszej inwazji Marsjan – wyjaśnił kocur. – Wtedy też przylecieli w samym środku wojny. I jak to się dla nich skończyło?
- Wtedy sytuacja była zupełnie inna.
- Może tak, może nie? – Kocur zaczął paradować po blacie biurka z dumnie uniesionym ogonem. – Kto wie, jak naprawdę układa się świat? Czy na przykład Malowana Moskwa przestałaby istnieć, gdyby spalono wszystkie przedstawiające ją obrazy? Przecież żyją w niej również istoty nienamalowane, jak ja. Może miasto jest już czymś więcej niż sumą obrazów? Zastanawialiście się kiedyś nad tym?
- To interesujący pomysł. – Olga spojrzała na kota z zainteresowaniem. – Ale nie rozumiem, co ma do rzeczy?
- Nic a nic! – prychnął kocur. – Podobnie jak to wasze dumanie nad Marsjanami. Liczy się tylko to, co w zasięgu łap, reszta to zwykle marnowanie czasu! Nieważne, czy za naszymi kłopotami tu i teraz stoi jakiś superłotr z Twardego Świata, Marsjanie czy sam Pan Bóg. Jakie to ma znaczenie dla nas teraz? Liczy się to, że Rewolucja próbuje przejąć władzę nad półświatkiem. Zapobiegłem temu, niech będzie, że z waszą małą pomocą, więc na razie to problem numer dwa albo i trzy. Uratowałem też przed śmiercią panią, Olgo. Zatem imperium Rostowów jest chwilowo bezpieczne. Kto jest kolejnym najważniejszym ośrodkiem władzy w naszym mieście?
- Kutuzow – zrozumiał Szczur. – Zaatakowali Króla, zaatakują i Kutuzowa. Ale coś mi tu nie pasuje... Przecież nie atakowali jeszcze Olgi!

– Nie? – Kot obrócił się ku mężczyźnie, zmrużył oczy. – Czyli ta cała awantura z dorożkami, rozkazy tej tam... Wiery i wspaniały pojedynek, jaki stoczyłem z miśkiem, musiały mi się przyśnić, tak? A śniłem tak mocno, że pan Czchartiszwili aż się od tego połamał!

– Olga była oczywiście w niebezpieczeństwie – przyznał Szczur. – Ale to nie Czerwoni urządzili na nią zamach. To ona sama pchała się do meliny Króla. Nie Rewolucja ją tam ściągnęła. Chyba że... Czchartiszwili może być jej agentem?

– Nie ma mowy! – zaprotestowała dziewczyna.

– Przyznaję, że i moim zdaniem jest raczej lojalny... – Kocur skrzywił się, nie wiadomo, czy niechętnie chwając kogoś poza sobą, czy dlatego, że słowa Szczura były mu nie w smak. – Cholercia, jeśli atak na Olgę dopiero nas czeka...

– Musimy go uprzedzić – zdecydował Szczur. – I ostrzec Kutuzowa! To na początek. Olgo... Chyba tutaj jest pani najbezpieczniejsza. My z kotem pojedziemy na Kreml...

– Aha! – Tak rozsierdziły ją słowa Szczura, że aż tupnęła nogą. – Pojedziecie na Kreml, a tam co, panowie bohaterowie? Pozabijacie setki żołnierzy, żeby dostać się do środka? A potem? Kim jesteście dla Kutuzowa? Pan, owszem, pana kiedyś znał. Ale jeśli pana rozpozna, to od razu każe powiesić. A ty, kocie?

– Bywałem na Kremlu, ale starałem się nie rzucać w oczy...

– No właśnie! Jediną osobą, jaką Kutuzow nie tylko zna, ale z którą zgodzi się rozmawiać jak równy z równą, jestem ja! Oficjalny zarządca moskiewskich dóbr rodu Rostowów i przedstawiciel Transportu Galicyjskiego na Malowaną Moskwę. Mnie na pewno wpuszczą na Kreml i wysłuchają.

– Ale mogą już nie wypuścić... – Szczur nie wyglądał na zachwyconego.

– Mogą, nie mogą. – Pokazała mu język. – To jedyny sposób. Poza jakimś szturmem, czy co tam bylibyście jeszcze w stanie wymyślić.

– Olgo, ale to wystawia panią na niebezpieczeństwo! – Kocur teatralnie załamał łapy.

– A bierne siedzenie i czekanie na rozwój wypadków nie? – Znów tupnęła nogą. – Oj, dosyć już tego! Kto tu rządzi, do diabła?! Zachowujecie się obaj, jakbyście mogli decydować za mnie. Słucham waszych rad, ale nie rozkazów! To nie koty i szczury rządzą Moskwą, ale Rostowowie. I Rostowów będziecie, moi mili, słuchać! Jedziemy na Kreml!

– Wspaniale powiedziane! – zawołał hrabia Rostow, stając niespodziewanie w drzwiach.

Ubrany w czarny mundur gwardii Rostowów, z szablą przy pasie i rzędami orderów na piersi, wyglądał jak generał przyszykowany na paradę. Na jego widok kot zeskoczył czym prędzej z biurka, a zdumiona Olga cofnęła się o krok.

– Papa? – szepnęła.

– Wspaniale powiedziane, córeczko! – powtórzył, ignorując tak kota, jak i Szczura, i kierując się z wyciągniętymi ramionami ku Oldze. – Właśnie tak jest! Malowaną Moskwą rządzą Rostowowie. A Rostowami rządzą ja.

Tuż za nim do gabinetu wbiegło sześciu gwardzistów. Trzymali w rękach karabiny gotowe do strzału, z bagnetami nałożonymi na lufy. W przeciwieństwie do hrabiego nie poświęcili uwagi Oldze, ale skupili się na jej gościach. Trzech dopadło Szczura. Otoczyli go,

celując weń. Trzech pozostałych bagnetami zapędziło kota do jednego z kątów pomieszczenia. Syczał na nich, nastroszył sierść, ale nie atakował. Zerkał za to niepewnie na dziewczynę.

– Papo! – zawołała. – To przyjaciele!

– Ładni mi przyjaciele! – warknął hrabia, porywając ją w ramiona i przytulając do siebie. – Boże, córeczko, jak ty wyglądasz! Cała poobijana, w sińcach! Ze złamaną ręką! Gdy tylko doszły do mnie wieści o tym, co się dzieje, rzuciłem wszystko i przyjechałem! Awantury z bandytami! Nocne pościgi! Ci dwaj... – po raz pierwszy zaszczylił kota i Szczura gniewnym spojrzeniem – ...narażali twoje życie! Dałaś się im omotać, kochanie. No, ale przybyłem w porę. Dosyć już tej niepoważnej, głupiej polityki!

– Głupiej? – Wyzwolila się z jego ramion, odsunęła. – Ktoś cię zawiadomił? O czym ty w ogóle mówisz?

– Są jeszcze w Moskwie ludzie, którzy wiedzą, komu winni są lojalność. Ostrzegli mnie, że zaczynają się tu dziać coraz dziwniejsze rzeczy. Przykro mi, kochanie, ale nie poradziłaś sobie z zarządzaniem miastem. Nie mam o to do ciebie żalu. To trudne czasy, a w dodatku miałaś doradców najgorszych pod słońcem. Pan... – Odwrócił głowę ku Szczurowi. – Nie pierwszy raz miesza się pan w nasze sprawy. I zawsze kończy się to dla nas tragedią. Na szczęście tym razem zorientowałem się wystarczająco szybko i zdążyłem zareagować. Wyprowadźcie ich i zamknijcie w jednej z cel pod piwnicami!

– Papo!

– Nie protestuj, kochanie. Robiłaś, co mogłaś, ale czas, żeby rządzeniem Moskwą zajął się ktoś, kto wie, jak to robić. Przykro

mi. To nie na twoje siły. Próbowalaś, ale nie podolałaś. Od tej chwili Moskwą rządzą ja.

– Jedno pani słowo – zasyczał kocur – a rozerwę te fajtlapy na strzępy!

– Poczekaj! – powstrzymała go. – Papo, proszę ich puścić! To moi przyjaciele.

– To wrogowie! – Hrabia spojrzał na córkę surowo. – Kutrzeba gra własne gry i gotów jest dla własnych celów obrócić świat w perzynę. Wykorzystał nas kiedyś i próbuje wykorzystać znowu. A ten kocur to awanturnik, demon. Nie wiemy nawet, jak tu trafił! Posłuchaj, córeczko, dałaś się omotać im obu. Też przecież sądziłem kiedyś, że Kutrzeba to przyjaciel. Ale zrozumiałem, że tylko nas krzywdził. Zginęłaś przez niego! Nie pozwolę, by to się powtórzyło. Czy widzisz, do jakiego stanu się doprowadziłaś? Omal znowu nie zginęłaś!

– Nie rozumiesz! Jest wojna! Tu i w Twardym Świecie! Komuniści, Marsjanie, Szósty!

– Daj spokój z Szóstym! – Machnął ręką. – Nie damy się wciągnąć w zemstę Kutrzeby! Komuniści, masz rację. Próbują nas zniszczyć, jak zawsze. Dlatego musimy odnowić stare sojusze.

– O czym mówisz?

– Pojedziemy na Kreml, jak planowałaś. Ty i ja. I wreszcie, jak trzeba było to zrobić dawno, połączymy domy Rostowów i Kutuzowów. Wspólnie zmiażdżymy czerwonych.

– Papo! – Cofnęła się o krok.

– Tym razem mi nie przeszkodzisz! – krzyknął na nią. – Dostyc już szkód narobiłaś! Zawiozę cię na Kreml i wreszcie zakończymy tę

głupią wojnę! Zobaczysz – głos mu złagodniał. – Zrozumiesz w końcu, że to najlepsze wyjście. Obiecuję, że twoim przyjaciółom włos z głowy nie spadnie. Muszę ich tylko zatrzymać na jakiś czas, żeby nam nie przeszkadzali. To wszystko. Wyprowadzić ich!

– No proszę, jednak Mojry przetrwały! – rzucił kpiąco Szczur, kiedy wychodził poszturchiwany przez gwardzistów.

Kocur zasyczał, a potem spokojnym, zrelaksowanym krokiem ruszył za nim, bardzo starannie nie zauważając cały czas wycelowanych weń bagnatów. Mijając Olgę, zatrzymał się na chwilę i mrugnął do niej.

– Czy mama wie o tym wszystkim? – zapytała Olga, gdy zostali z hrabią we dwoje.

– Mama musiała pogodzić się z tym, że mam coś do powiedzenia w naszej rodzinie! – głos hrabiego Rostowa zadrżał mimo woli. – Z czasem i ona zrozumie... Kochanie, przygotowałem dla ciebie odpowiednie suknie. Dość już głupot z noszeniem tych potwornych spodni. Musisz stanąć przed dyktatorem Kutuzowem jak dama. Dama, którą jesteś.

– Jestem też prezesem przedstawicielstwa Transportu Galicyjskiego – oświadczyła stanowczo. – A tego stanowiska mi nie nadałeś. Aresztowałeś przed chwilą dwóch agentów pracujących dla Transportu. A teraz próbujesz wpływać na decyzję jednego z członków ich rady nadzorczej. Przykro mi, tatusiu, ale nie pojedę z tobą na Kreml. Wychodzę.

– Transport Galicyjski pogodzi się z tym, co nieuniknione. – Zastąpił jej drogę. – Malowana Moskwa jest dla nich zbyt cenna, by tracili ją w imię kapryśków rozwydrzonej pannicy!

Chwycił ją za rękę i pociągnął ku drzwiom. W korytarzu minęli zakłopotanego leszego.

– Ty! – rzuciła się na niego Olga. – Ty doniosłeś! Zdrajco!

Opuścił głowę.

– Bałem się o panienkę – szepnął.

Hrabia pociągnął ją dalej, ku garderobie, strzeżonej teraz przez dwóch gwardzistów.

– Widzę, że sprowadziłeś całą armię, tato!

– Jak powiedziałaś: trwa wojna. – Delikatnie wepchnął córkę do garderoby. – Sądzę, że błękitna suknia będzie najlepsza – poradził.

– Przebierz się prędko. Chcę dotrzeć na Kreml tak szybko, jak to tylko możliwe.

– A jeśli się nie przebiorę?

– Wtedy przyślę kogoś, kto ci pomoże.

– Nie poznaję cię, papo!

– Bo nareszcie się przebudziłem. Pięć minut, córeczko. Masz pięć minut.

Wyszedł, zostawiając ją samą. Spojrzała na błękitną suknię rozłożoną na fotelu i ze złością zrzuciła ją na ziemię. Kutuzow? Znowu ta farsa? Co opętało papę? Naprawdę mógł zostać jedną z Mojr? Członkiem tej opętańczej sekty ni to tropiącej, ni czczącej Kutrzebę?

– Mojry – kocur odzywał się beztrosko, jakby toczył rozmowę w salonie, a nie był prowadzony do lochu. – Nie przestaje mnie pan zadziwiać, Szczurze. Ciągle ta sama mania wielkości. Teraz nawet

hrabia miałby należeć do tego gangu, istnieć tylko po to, żeby miał pan z kim walczyć.

– Milczeć! – warknął na niego jeden ze strażników.

– A niby czemu wystąpił przeciwko nam? – uparł się Szczur.

– Bo jest ojcem, a my rywalizujemy o serce jego córki? – zgadywał kocur. – Żaden teść nie lubi przyszłych zięciów. To taka odruchowa nienawiść wobec tego, kto odbierze tatusiowi jego córeczkę.

– Że co? – Szczur spojrział na kota szczerze zdziwiony. – Jak to: „rywalizujemy”?

– Milczeć! – ostrzegł ponownie strażnik.

Schodzili teraz schodami, wygodnymi, szerokimi, lecz i tak zbyt ciasnymi, by trzech mężczyzn zmieściło się na nich, idąc obok siebie. Toteż dwóch gwardzistów stanowiło straż przednią. Za nimi szedł Szczur, strzeżony przez dwóch następnych, niezdejmujących luf z jego pleców. Następny kroczył dumnie kot, a za nim dwóch kolejnych żołnierzy.

– No tak. – Kocur pogładził wąsy. – Rywalizacją rzeczywiście nazwać tego nie sposób, bo pan jesteś bez szans. Przyznaję, macie się ku sobie. Troszkę. Ale pan jest wyraźnie zbyt głupi, aby to przyznać. No i ta pańska obsesja i egocentryzm. – Aż nim zatrzęśło. – Nie poświęca pan naszej Oldze należytej uwagi. I jak znam takich jak pan, prędzej słońce zgaśnie, niż przyzna się pan przed sobą i przed nią do swoich uczuć. Dlatego ja, oczywiście, wygram.

– Milczeć, do cholery! – wrzasnął na niego strażnik.

Kot zatrzymał się gwałtownie.

– Przerwanie inteligentnej konwersacji, w dodatku takim bezczelnym darcim mordy, to skończone chamstwo – oświadczył

stanowczo, odwracając się ku gwardziście. – A chamstwa nie znoszę!

Żołnierz spaśował. Wytrzeszczył oczy, otworzył usta, by wrzasnąć, i uniósł kolbę karabinu do ciosu.

– Czemu właściwie pozwoliliśmy się aresztować? – zapytał kilkanaście sekund później kocur, gdy już, liżąc prawą łapę, siedział na jednym z sześciu nieprzytomnych gwardzistów.

– Bo lepiej, by myśleli, że mają przewagę. A poza tym, hrabia każe Oldze założyć sukienkę – odparł Szczur, zdzierając mundur z tego z gwardzistów, który najbardziej przypominał go posturą. – A ja od prawie dwustu lat marzę, by znowu zobaczyć ją w sukience.

– No tak – westchnął kot. – Może nie od dwustu, ale też o tym marzę... A żaden z nas nie miał jaj, żeby ją o to poprosić, co?

Wyszczrzyli się do siebie bez słowa.

Rozdział czterdziesty drugi

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Mars

Całe życie stanęło Adamowi przed oczami, kiedy wspólnie z załogą „Czarnej Sary” wkroczył do piramidy.

Początkowo nie zamierzano go tam zabierać. Nikt jednak nie chciał zostać na pokładzie okrętu, a tego z kolei Burzymur Białobrody nie chciał zostawiać z dwoma niepilnowanymi „gośćmi” na pokładzie. Poklął więc trochę, pozzymał się na nierychliwość marsjańskich przedstawicieli Transportu Galicyjskiego, ale w końcu zabrał Drygła i Hoygrena ze sobą. Nie wydał im jednak broni, choć cała załoga „Czarnej Sary” uzbroiła się na tę „przyjacielską wizytę” po zęby.

– Ano, jak to na spotkanie z sąsiadami! – warknął tylko Gryz, gdy zapytali go, o co chodzi.

– Wydawało mi się, że są zaprzyjaźnieni – spróbował porozmawiać z Petyrem Adam, ale jego przyjaciel, odkąd dowiedział się, że lecą na Marsa, na spotkanie z Wandą, sposepniał jeszcze bardziej i prawie w ogóle przestał się odzywać. Spoglądał za to czasem na Drygła z tak zachmurzoną miną, jakby to jego winił za wszystko złe, które spotkało ostatnio ich obu.

Bitwa z Tiamat i ta, która nastąpiła później, sprawiły, że wszyscy mieli zszarpane nerwy. Gdy przybyli nad Marsa, na jego orbicie trwały już walki pomiędzy orbitalnymi patrolowcami należącymi

do różnych sił. To dysponujące najszybszą technologią komunikacji siły TG zaatakowały konkurencję, nim ta otrzymała informacje o przebiegu bitwy z Tiamat. W konsekwencji większość marsjańskich baz i miast ogłosiła pełną mobilizację. „Czarna Sara” przemknęła między szczątkami patrolowców i satelitów bojowych. Raz nieomal uwikłała się w walkę z okręcikiem Wiecznej Rewolucji, dla której kolonie na Czerwonej Planecie stanowiły jedno z najważniejszych osiągnięć propagandowych. Ten kłopot rozwiązała jednak „Wróżda” szybką salwą dziobową.

– Ktokolwiek tam dowodzi, nie traci czasu na półśrodki, co? – Chorąży spróbował po raz kolejny wyrwać przyjaciela z odrętwienia. Nie doczekał się odpowiedzi.

Wylądowali ledwie trzy kilometry od piramidy – olbrzymiego stożka, którego szczyt nikał w chmurach. Czerwona planeta okazała się znacznie mniej czerwona, niż Adam się spodziewał. Niebo nad piramidą, jak przystało na tlenową atmosferę, było niebieskie. Słynne zaś piaski Marsa wydawały się chorążemu raczej bure niż czerwone.

Posadzono go na powietrznym skuterze, za kierującą maszyną Zmytą. Objął ją w pasie, nie bez obaw. Pomyślał, że może bliskość pięknej kobiety mogłaby obudzić Hoygrena. A potem nie myślał już o niczym, tylko krzyczał, bo skuter szarpnął i pognął przez siebie. Okazało się, że Zmyta nie wie, co to ostrożna jazda.

„Wróżdę”, która wylądowała sto metrów od „Czarnej Sary”, opuścił tylko jeden skuter. Jego kierowca opatulony był od stóp do głów w ciemną szatę, raczej szarą niż czarną, zakrywającą nawet twarz. Dotarł do piramidy przed ludźmi Burzymura.

Kapitan zsiadł ze skutera i podszedł do postaci w czerni. Bez słowa skinęli sobie głowami. Gryz, patrząc na nich, zaklął i splunął przez lewe ramię. Długi Jan Kapral skrzywił się, Zmyta westchnęła głęboko. Pekińczyk pisnął i ukrył się na rękach kucharza.

Nie kazano im czekać. Wrota piramidy rozstąpiły się z takim zgrzytem, że Drygłowi wydało się, jakby napędzał je kamienny, starożytny mechanizm. A potem na progu stanął olbrzym. Tak w każdym razie wydało się chorążemu w pierwszym momencie, dopiero gdy podszedł bliżej, zorientował się, że facet, który wyszedł im na powitanie, nie był aż tak wielki. Choć nie górował wzrostem nad Burzymurem, kapitan jednak wydawał się przy nim z jakiegoś powodu umniejszony.

Gospodarz przeniósł spojrzenie ukrytych za opaską oczu z Burzymura na stojącą przy nim postać z załogi „Wróždy”.

– Miałem nadzieję, że już nigdy się nie spotkamy – powiedział ponuro.

– To jest nas dwóch! – Burzymur splunął. Papuga na jego ramieniu milczała.

– Nie ma ucieczki – odpowiedział przedstawiciel „Wróždy” głosem kobiecym, niskim, lekko zachrypniętym, a przecież przepelnionym uwodzicielską nutą. – Nie przed tym, czego jesteśmy częścią.

– Pieprzenie. – Gospodarz skrzywił się i ustąpił o krok w głąb korytarza. – Właźcie.

Wtedy Hoygren chwycił Drygła za ramię, ścisnął. Przytrzymał.

– Wiesz, kto to jest? – syknął.

– O, jednak ciągle umiesz mówić? – Adam miał mu za złe to całe milczenie. – Proszę, proszę...

– Wiesz, kto to jest?

– Stary, zaczynasz mnie przerażać. Skąd mam wiedzieć? Faraon? Marsjanin?

Zdumiała i przestraszyła go bladość przyjaciela. Co znowu?

– Wielki, ślepy facet – mruzczał Petyr. – Wielki, ślepy facet w piramidzie, siedzibie patronki bogów. I nie wiesz, kim jest! – Potrząsnął głową i nawet się uśmiechnął. Krzywo, słabo, ale jednak.

Gdy weszli do piramidy i wrota zawarły się za nimi, mruknął, że musi się napić. Sięgnął za pazuchę, wyjął lśniąca czerwono od światła pochodni metalową piersiówkę. Otworzył, zawahał się. Podsunął ją Drygłowi.

– Masz, walnij sobie – zachęcił.

Patrzył na przyjaciela z jakąś dziwną intensywnością, jakby działo się właśnie coś niezwykle ważnego. Adam aż cofnął się przed tym spojrzeniem.

– Petyr, nie wiem... Chyba nie mam ochoty – szepnął.

– No, weź. – Hoygren spróbował się uśmiechnąć, ale znów wyszedł mu tylko przerażający grymas. – Kurwa, stary, wiem, że zachowywałem się ostatnio jak ciul, nie kumpel. Walnijmy banię na zgodę. Cholera wie, co nas tu czeka. No! Tylko ty i ja przeciw światu. Jak dawniej.

– Ty i ja – mruknął Drygieł i niechętnie przyjął piersiówkę. Pociągnął mały łyk. – Na odwagę!

Ruszyli w ślad za piratami, którzy szli już w głąb piramidy, prowadzeni przez tego cholernego Szulera Losu, obok którego kroczyli Burzymur i tajemnicza baba z „Wróždy”.

Zaraz, Szuler Losu? Skąd nagle przypomniał sobie imię ślepeca? No tak, przecież znał opowieści o Kutrzebie. Jako przyjaciel Hoygrena nie mógł ich nie znać. Dziwne, że nie uświadomił sobie tego od razu. Wielki, ponury ślepiec, strzegący Wandy, patronki bogów. To nie mógł być nikt inny.

A jednak... Adam zachwiał się i byłby upadł, gdyby Hoygren go nie podtrzymał.

– Spokojnie – upomniął przyjaciela. – Łatwo o tym zapomnieć, bo powietrze jest tu takie jak na Ziemi, ale Mars ciągle ma mniejszą grawitację. Idź ostrożniej, póki nie przywykniesz.

Posępność, towarzysząca mu, odkąd weszli na pokład „Czarnej Sary”, zniknęła z jego głosu. Petyr przemawiał łagodnie, niemal pogodnie, prawie jak stary dobry Hoygren, który nie przegapi żadnej okazji do zabawy bądź małych złośliwostek, zawsze jednak gotów jest pomóc przyjacielowi.

– Cieszę się, że wróciłeś – bąknął Drygieł. Czuł się jakoś niewyraźnie. Niższa grawitacja? Czy ona mogła odpowiadać za te zawroty głowy, które nagle zaczęły go dręczyć?

Podczas całej wędrówki przez mroczne, bo oświetlane tylko pochodniami korytarze o wysokich stropach, musiał opierać się na druhu. Przynajmniej te tunele wyglądały tak, jak powinny: zbudowane z wielkich płyt piaskowca, zabarwione na ciemnoczerwono. Ściany pokrywały napisy w setkach języków, a tylko niektóre z nich były zrozumiałe dla ludzi. Starzy bogowie, ożywiani mocą sentymentu, przynosili ze sobą mnóstwo tajemniczych alfabetów. Znali minojski i wszystkie typy staroegipskiego. Sumeryjski nie krył przed nimi żadnych tajemnic.

Rzadko jednak dzielili się wiedzą ze śmiertelnikami. W świecie, w którym nie dysponowali przewagą mocy, w którym to ludzie posługiwali się technikami trudnymi do zrozumienia przez boskie umysły, kurczowo trzymali się swoich ostatnich atutów.

Adam nie rozpoznawał więc treści zapisanych na ścianach. I tak zresztą by ich nie zgłębiał. Czuł się dziwnie. W głowie kłębiły mu się dziesiątki myśli i emocji. Część z nich przejmowała go lękiem, nie rozpoznawał ich. Skąd na przykład brała się ta z trudem tłumiona wściekłość? Skąd dziwne poczucie radości, niemal euforii? Jak godziły się obie ze sobą? Nagle ogarnęło go przecucie, że nie powinien nikomu ufać, że każdy może szykować mu zdradę.

– Co było w tej wódce? – szepnął, czując się kimś innym niż dotąd. Miał irracjonalne wrażenie, jakby nagle nabrał wagi dla świata.

Hoygren zignorował go.

Zdumiewająco wyraźnie Drygiel usłyszał rozmowę przed sobą.

– Co z Wandzią? – pytał Burzymur.

Zamiast odpowiedzieć, Szuler schylił się i zerwał kawałek zielska rosnącego wzdłuż korytarza.

– Ten chwast rozplenił się wszędzie. – Podał roślinę wielkoludowi.
– Cholerstwo, które przywiózł ze sobą kumpel węża, Jacuś.

– Co to jest?

– Paproć. Wiem, że nie wygląda jak paproć. To jakiś cholerny mutant.

– To skąd wiesz, że paproć? – zapytała kobieta z „Wróżdy”.

– Bo sprawdziłem pieprzone baśnie. Tylko jedno zielsko pasowało do tego, co się dzieje z Wandzią. Zaraz sami zobaczycie. Oto wnętrze piramidy!

Sięgnął do ukrytej przekładni. Znów zazgrzytał kamienny mechanizm i jedna ze ścian usunęła się z hukiem, od którego zatrzęsała się cała piramida. Jaskrawe światło na mgnienie oka oślepiło chorążego. Ciemność korytarza musiała ustąpić przed jaskrawością ogrodu pełnego ludzi i roślin.

Wydawał się tak rozległy, że trudno było dostrzec ściany piramidy. Na pewno brakowało sufitu, ogród nie został osłonięty od góry, spadało nań światło słoneczne prosto z marsjańskiego nieba. Ono jednak nie mogło być tak jaskrawe. To tysiące lampionów pozawieszanych na kolorowych kwietnych girlandach, jaśniejących setkami barw, sprawiało, że trzeba było mrużyć nawykłe do półmroku oczy.

– Paproć – wywarczał Szuler Losu. – Pieprzony kwiat jebanej paproci. Porasta tu już prawie wszystko. I proszę, w co zmieniła się świątynia mojej Wandzi.

Kobiety i mężczyźni wielu ras, bogowie, demony, święte zwierzęta, patroni i patronki gajów i strumyków, duchy źródeł i upiory, które moc bogini bogów uwolniła od klątw, wszyscy oni cieszyli się życiem wewnątrz piramidy. Początkowo Adam sądził, że tańczyli. Wydając dzikie okrzyki, tłoczyli się, ocierali o siebie. Oto jakiś faun spijał krynicy wprost z ust patronki górskiego źródła. Jedna jej dłoń zanurzała się w gęstwinie jego włosów na brzuchu, inna nawijała na siebie złoty lok boginki-wierzby o jasnozielonych oczach. Dopiero po chwili Drygieł dostrzegł krople krwi spływające po dłoni patronki. Demonka wbijała zakończone niewielkimi, ale ostrymi pazurami palce w ciało fauna, a on drżał równocześnie z bólu i rozkoszy.

Obok wysoki, siwy mężczyzna o głowie zwieńczonej najpotężniejszymi jelenimi rogami, jakie Adam w życiu widział, zaśmiewał się w głos, rozdając ciosy próbującym go pokonać leśnym diabłom. I one się śmiały, ich celem nie było najwyraźniej skrzywdzenie starca, lecz odebranie mu dzbana wina. Być może walczyły o napój, możliwe też jednak, że to drwiące okrzyki grupy driad zagrzewały je do walki.

Radość, którą opanowani zostali bogowie, teraz wydała się Adamowi wypaczona, okrutna. Wszyscy oni równocześnie cieszyli się i cierpieli. Każdy próbował nasycić się kosztem innego, wciągał go w pułapkę bądź opętywał. Nikt chyba nie panował tu nad sobą, wszyscy zatracili się w spełnianiu najskrytszych, często najmroczniejszych pragnień.

Ktoś zatoczył się i wpadł na chorążego. To kobieta o ciele pokrytym migoczącymi węzowymi łuskami w upojeniu straciła panowanie nad sobą. Spojrzała zdumiona na przeszkodę, oczy zalśniły jej złoto.

– Chodź – szepnęła, głaszcząc Drygła po twarzy. – Nie znam cię, więc cię chcę. Chodź!

Hoygren odepchnął ją ze złością. Wtedy odwróciła się ku niemu, zasyczała groźnie, wystawiając rozdwojony język.

– Mój! Odpieprz się od niego! – zawołała. – Mój!

Szuler chwycił ją za szyję, uniósł w powietrze i bez trudu odrzucił o kilka metrów. Runęła między karły, dobierające się do odurzonych czymś rusalek. Kurduple rozpierzchły się z krzykiem, ale gdy spostrzegły, że wężyca też straciła przytomność, ze zdwojoną ochotą zabrały się i za nią.

– Nie daj się im, głupcze! – warknął na chłopaka bóg. – Nie daj się mocy kwiatu!

Paproć rzeczywiście rosła tu wszędzie. Deptali po niej, stawiając każdy krok. Jej szerokie, rozrosłe ponad miarę liście kołysały się wokół istot leżących jak popadło: na sofach, na fotelach, ale i na podłodze. Otaczały fontannę stojącą na środku sali i zdobiący ją wielki posąg nagiego mężczyzny z trójzębem, przypatrujący się Dryglowi raczej podejrzliwie, lecz tylko przez chwilę, póki jego uwagi nie odwróciły rozbawione syreny.

Niektórzy bogowie zrywali te liście, zwijali, a następnie palili niczym cygara. Aromatyczny, słodki dym unosił się wszędzie, drażnił nozdrza, sprawiał, że chłopakowi jeszcze bardziej kręciło się w głowie.

– To ma być raj? – zapytała kobieta z „Wróżdy”.

– Jeden z rajów – odparł Szuler. – Oni nie są zbyt groźni. Każdy myśli tylko o sobie, liczą się dla nich tylko przyjemności. Groźniejsze demony, te, które cieszą tortury... one wolą podziemia. Zszedłem tam raz, ale musiałem się wycofać. Z trudem opanowałem chęć pozabijania ich wszystkich. A przecież to wierni mojej Wandzi, tylko otumanieni. Oszukani, jak ona.

– I to wszystko sprawił jeden kwiatek? – nie chciał wierzyć Burzymur.

– Jeden kwiatek, który wrósł w serce bogini bogów – wyjaśnił ze złością Szuler. – Tak, to wszystko sprawił jeden kwiat. Skurwiele wiedzieli, gdzie go zasadzić.

– Mojry – szepnęła kobieta, której twarz ginęła za woalem barwy popiołu. – Nie przewidzieliśmy tego.

– Nie wszystko da się przewidzieć, nie? – Bóg łypnął na nią pełen złości. – Wam zawsze się wydawało, że jesteście tacy cwani! Ale tak naprawdę nigdy nic nie działo się zgodnie z waszymi planami! I zawsze cierpieli niewinni!

Kobieta wytrzymała jego atak. Nie cofnęła się ani o krok.

– Mówisz tak, jak oni – odpowiedziała spokojnie. – Tak właśnie Mojry zdobywają serca. Wmawiają ludziom i bogom, że to inni ponoszą odpowiedzialność za ich krzywdy. Że ty jesteś bez winy...

– Wiem, że nie jestem bez winy! – ryknął na nią z taką furją, że bogowie wokół nich ocknęli się na moment. Przerwali swoje zabawy i zdumieni spojrzeli na Szulera Losu, miotającego się pomiędzy nimi od dławiącej go wściekłości. – Nie winię was bardziej niż siebie! Powinienem był zabić tego gnoja, nim dał mojej córuchnie ten cholerny kwiat! Myślisz, że nie wiem?

– Myślę, że czas z tym skończyć – odpowiedziała. – Ludzie, państwa i korporacje skaczą sobie do gardeł. Nie mamy łączności z Malowaną Moskwą, a z ostatnich meldunków mogliśmy wywnioskować, że tam też nie działo się dobrze. Jeśli obliczenia Koryckiego są prawidłowe, Marsjanie są już bardzo blisko. To chaos, przyjacielu. A nasz atut, nasza bogini, jest opętana przez kwiat paproci i ma wszystko w swojej zgrabnej dupie. Więc może przestań się nad sobą rozczulać i zaprowadź nas do niej.

Przez chwilę wyglądał, jakby gotów był ją rozszarpać. Ale opanował się i skinął tylko głową. Ruszyli dalej, między bogami, którzy na powrót pogrążyli się w uciechach. Drygieł coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał. Kroki też stawiał coraz słabiej. Petyr nie tyle pomagał mu iść, co włókł go za sobą.

Ale najgorsze, że właśnie wtedy całe życie stanęło Adamowi przed oczami. I nie było to jego życie.

Rozdział czterdziesty trzeci

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Kraków i okolice

Pociąg z Bukaresztu wjechał na dworzec w Krakowie z kilkunastosekundowym opóźnieniem. Duchy ochronne zamieszkujące wieżę strażniczą dworca skierowały czujne pyski ku hamującemu przy wyznaczonym peronie pojazdowi, wymieniły informacje ze skrytym w kotle jego lokomotywy patronem. Już wiedziały, że pociąg przywoził niebezpiecznego pasażera. Od kuzynów na innych dworcach dotarły do nich wieści o napadzie na pociąg z Belgradu. Szeptane przez demony meldunki niosły się potoczach, ukryte w echach stukotu kół i zaszyfrowane w ich rytmach. Duchy strażnicze wiedziały, że przeznaczenie Mirosława Kutrzeby znów dało o sobie znać, klątwa nie wygasła.

Oficerowie służby bezpieczeństwa Kolei Galicyjskich – tajnej policji korporacyjnej – zgarnęli go, ledwie wysiadł.

– Spokojnie, mamy pana tylko przesłuchać. Jako świadka – prędko wyjaśnił jeden z nich. – Musimy wiedzieć wszystko, co się da, o tych herostratejczykach.

– Wszystko spisałem po drodze. – Mirosław cisnął w niego plikiem notatek. – Nie mam dla was teraz czasu.

– Pan nie rozumie – nie ustępował oficer. – Oni nie zaatakowali tylko was. Nie polowali na pana, w każdym razie nie tylko. Uaktywnili się na całym świecie. Próbowali wysadzić katedrę w

Kolonii, zamordować Smoka Wawelskiego u nas. Zabili trzech Marsjan w Brazylii. To jest większe od pana. Mamy użyć wszelkich środków, by pana zatrzymać. A naprawdę zależy nam tylko na przesłuchaniu.

– Spiesz mi się – spróbował jeszcze stawić opór. Tych czterech tutaj pewnie by pokonał, ale co jeśli zbiegnie się straż kolejowa? Jeśli duchy obronne dworca uznają go za zagrożenie? Czy byłby w stanie poradzić sobie z nimi wszystkimi?

Z drugiej strony tych tutaj mógł przysłać Korycki. Wiedział, że Kutrzeba mógłby nie zaufać zwykłej policji, natomiast wewnętrzne służby Kolei Galicyjskich to co innego. Generał nie miał nad nimi oficjalnie władzy. A nieoficjalnie? Nie pierwszy raz Kutrzeba zdał sobie sprawę, że nie zna prawdziwych możliwości byłego policjanta.

– Rozumiemy. – Oficer starał się mówić spokojnie. – Ale to szczególna sytuacja. Postaramy się załatwić sprawy jak najszybciej.

Choć Zmora miotała się w Kutrzebie, ostrzegała, napominała, a nawet groziła, zdecydował się ustąpić. Będzie, co ma być. Jeśli to pułapka, rozegra ją na własną korzyść. Jak wszystkie. Jak tę, którą zastawiono na niego, wykorzystując herostrategików.

Tej nocy, kiedy nareszcie dowiedział się, kim jest Szósty.

Długo nie potrafił w to uwierzyć, choć na pozór wszystkie szczegóły pasowały. Wiek, korzyści osiągnięte dzięki stworzonemu w katastrofie bóstwu, wszystkie te problemy, jakie ciągle piętrzyły się przed Kutrzebą, gdy starał się odszukać ostatniego z winowajców... Wszystko zgrywało się w idealnie poukładaną całość, logiczną, konsekwentną. Może układało się nawet aż za dobrze?

Zmora nie dzieliła jego wątpliwości. Dla niej wszystko stało się

jasne, gdy ksiądz podał im nazwisko. Kutrzeba czuł jednak, że musi wyjaśnić kilka szczegółów. Znał przecież przeszłość tego faceta, zbadał ją, gdy się poznali. Ten człowiek nie musiał sięgać po tak rozpaczliwe, straszliwe środki.

– Trzeba działać ostrożnie. Dowiedzieć się więcej – oznajmił Zmorze, gdy wracali tamtej nocy do pociągu.

– Ale po co? – prawie krzyczała. Ogarnęła ją euforia. Gdyby mogła, wzbiłaby się w powietrze, uniosła ze sobą Mirka i jak najszybciej przefrunęła do Krakowa, by tam natychmiast zakończyć sprawę. – Masz nazwisko! Masz przyczynę wszystkich naszych niepowodzeń!

– Cały czas coś mi w tym nie gra. A jeśli ten facet nas wystawił?

– Umierając? Mówił szczerze!

– Więc może ktoś wystawił jego?

– Jak? Opisał nam go! Zresztą, ja nie tylko pytałam. Wyssałam z niego tę wiedzę. On go widział, rozmawiał z nim! Przyjmował od niego rozkazy. Widziałam to w jego wspomnieniach!

– Mimo wszystko muszę jeszcze sprawdzić to i owo. Nie zabiję go, dopóki nie będę miał pewności.

– Ja już ci nie wystarczam? Nawet jeśli czuję, że jest tak, jak mówił? Że to on, Szósty? Ja? Demon twojej zemsty?

– Zmieniłaś się.

– Umarłam. A ty mnie przywróciłeś do życia. To zostawia w człowieku ślad. W demonie także.

– Nie chodzi o to, że umarłaś. Zmieniałaś się przez całe lata. Przegapiłem to. Nie jestem pewien, czy jesteś jeszcze demonem zemsty.

- Zwariowałeś! To kim?
- Nie wiem.
- Więc bardziej ufasz jemu niż mnie?
- Nikomu nie ufam bardziej niż tobie. A jemu nie ufam prawie wcale. Ale coś mi w tym wszystkim nie pasuje.

Oficerowie Kolei Galicyjskich wsadzili go do pancernego samochodu i zawieźli niedaleko – na Mogilską, gdzie mieściła się ich siedziba. Kutrzebie przyszło spędzić dwa dni w smutnym, prostym budynku pozbawionym okien, wzniesionym z czerwonej cegły. Otaczała go dziwna ochronna magia, sprawiającą, że nad siedzibą straży wyrastał duch większego, sięgającego chmur budynku.

Traktowano go uprzejmie, ale przesłuchiowano całymi godzinami, zrywając z nóg w środku nocy, mieszając godziny posiłków tak, by myliły mu się dzień i noc. Przesławiano zegary w pomieszczeniach, w których przebywał. Przesłuchiwali go i zwykli ludzie, i kapłani, a nawet magowie. Opowiadał im zawsze to samo, czasem tylko zmieniając niektóre drobne szczegóły, by nie odnieśli wrażenia, że przygotował swoje zeznania i nauczył się ich na pamięć.

Zmora dostawała szału, szydziła ze starań agentów i zawsze podawała Kutrzebie właściwy czas. A równocześnie skarżyła się, że jej nie posłuchał i dał się wciągnąć w zastawioną przez Szóstego pułapkę.

Rozbawiło go jej zdziwienie, gdy zostali wreszcie wypuszczeni. Nikt nie tracił czasu na przeprosiny. Podziękowano mu za udział w pokonaniu herostratejczyków i walkę w obronie własności Kolei Galicyjskich, wręczono medal i wypłacono kwotę, jaką Koleje

przewidywały za podobne zasługi. A potem kazano spieprzać i najlepiej przez jakiś czas trzymać się w ogóle z dala od pociągów.

Za część pieniędzy z nagrody kupił konia. Ignorując protesty Zmory, wyjechał z Krakowa, kierując się w stronę Gdowa. Nie odzywała się do niego przez całą drogę i dopiero gdy rozbijał obóz w ruinach kościoła, któremu podczas Kresu nie udało się obronić mieszkańców pobliskich Łazan, wyszła z Kutrzeby. Przysiadła przy ognisku, przyglądając się, jak opisywał obóz ochronnym kręgiem.

Duchy i upiory zbiegły się do nich z całej okolicy, rzadko miewały gości. Wychudłe zmory spragnione ludzkich dusz nawoływały swoją kuzynkę, prosząc, by podzieliła się z nimi żarłem. Jakiś skarłały wampir skomlał cicho, próbując podkopem pokonać zabezpieczenia Mirosława. Z pobliskiego dębu o osmolonym pniu gapił się na nich starożytny pogański bożek, o którym przetrwała pamięć, choć nikt nie pamiętał jego imienia.

Duchy pomordowanych podczas wojny, tych, których zabili ludzcy żołnierze, i tych pożartych przez demony, po prostu obserwowały w milczeniu podróżnych. Jakiś czarny pies próbował rozpędzać te widma, ale zawsze wracały, poddał się więc i uciekł do swojej siedziby: pordzewiałego wraku czołgu rozbitego artyleryjskim pociskiem, akurat gdy wjeżdżał na skrzyżowanie.

– Może się boisz? – zapytała Zmora, gdy Kutrzeba przysiadł wreszcie obok niej. Nadział zabraną przezornie kielbasę na zaostrzony kijek, po czym wetknął ją w płomienie.

– Cały czas się boję.

– Boisz się, że gdy go zabijesz, zniknę.

– Nie, tego nie.

- Nie zależy ci na mnie?
- Naprawdę tak myślisz? – Przypomniał sobie, jak odwrócił się od upiora żony, by pobiec za Zmorą w śmierć. A ponieważ byli już ze sobą związani mocniej, więzami, których sami do końca nie pojmowali, ona również to sobie przypomniła.
- Nie. – Oparła głowę o jego ramię. – Tak naprawdę to nie. Ale myślę, że boisz się mojego zniknięcia po tym, jak już dokonasz swego. Ja się tego boję, wiesz?
- A mimo to namawiasz mnie do jak najszybszego działania.
- Jestem demonem zemsty, pamiętasz? Wcieloną wróżdą.
- Nie znikniesz – powiedział z przekonaniem.
- Takiś pewien?
- Takim pewien. Nie wydaje mi się, byś nadal była demonem zemsty. Już nie. Zresztą, nie jestem pewien, czy kiedykolwiek nim byłaś.
- Chyba bym wiedziała, gdybym przyszła na świat jako amerek, nie sądzisz?
- Dlaczego akurat amerek? – zapytał i tej nocy nie rozmawiali już więcej. Nie słowami.
- Drugiego dnia, w południe, dojechali do rzeki, gdzie kąpał się duch mężczyzny i jego syna, którym przyglądali się duch psa i zmartwychwstaniec.
- No proszę, kogo przyniosło! – zawołał na widok przybyłych Antoni Strzelbicki, niegdysiejszy mistrz katowski. – Witajcie!
- Wiesz, kim jestem?
- Wiem, kim oboje jesteście. Widzę tę twoją babę niewyraźnie, ale widzę. Nie mogłaby z ciebie wyleźć? Jakoś mi tak oczy same zezują,

gdy w tobie siedzi.

Zmora wyszła więc z Mirka i we troje odczekali, aż dwa spośród trzech duchów znikną, po czym udali się za pustelnikiem do jego chaty.

– Mówił, że przyjdziemy? – zapytał Kutrzeba, przyglądając się, jak Strzelbicki miesza w garnku z grochówką, ponoć jedną z ulubionych zup duchów, upiorów i zmartwychwstańców. Zmorze do gustu przypadł najwyraźniej już sam zapach, stała bowiem tuż obok pustelnika, śledząc każdy jego gest.

– Mówił o was, ale nie o tym, że przyjdziecie. On chyba nawet nie sądzi, że wiecie o moim istnieniu. Wymazano mnie z wszelkich akt. Oficjalnie nie istnieję, nie przyszedłem na świat po raz drugi. Ta twoja dziewczyna zawsze tak się kręci pod nogami?

– Uczę się o gotowaniu! – pisnęła Zmora. Zarumieniła się, czmychnęła na ławę i usiadła obok Kutrzeby.

Strzelbicki spojrział na nich oboje, dojrzał, że demonka złapała Mirosława za rękę pod stołem. Pokręcił głową.

– Mówił mi i to, że z wami taka sprawa – oznajmił. – I że sami o tym nie wiecie. Ale to, widzę, już przeszłość.

– Jaka sprawa? – zachnął się Kutrzeba. Wyrwał swoją dłoń z dłoni Zmory. Odchrząknął. – Usunęli cię z akt? Czemu?

– Wyjaśnię po obiedzie. A ty nie bądź taka świnia, trzymaj tę swoją dziewczynę za rękę, inaczej ja ją chwycę. I nie tylko za rękę.

– Mrugnął do nich. – Tu nie cywilizowany świat, w dupie mam, kto z kim co pod pierzyną wyrabia. Sam nie jestem do końca człowiekiem, wiesz to?

– Wiem.

- Skąd? Nie od niego przecież?
 - Są duchy, które można wypytać, jeśli się wie jak. Miasto pamięta, nawet jeśli jego władze chcą zapomnieć.
 - Miasto pamięta. – Strzelbicki pokiwał głową i nawet uśmiechnął się mimowolnie na te słowa. Zaraz potem przeżegnał się. – A, wyłazi ze mnie jeszcze pycha! – zamruczał. – Ale wiecie, to moje miasto... Słyszeliście, że ustrzeliłem ruskiego generała przy jego obronie? Pewnie nie?
 - Nie pytałem tego ducha o wojnę – przyznał Kutrzeba.
 - O tej ostatniej to sam niewiele wiem. Ale to wam mogę opowiedzieć i przy kuchczeniu. Otóż słuchajcie, w czasie konfederacji barskiej...
- Na słuchaniu opowieści o bohaterskich i mniej bohaterskich czynach upłynął im i czas przygotowywania obiadu, i jego jedzenia. Nie przerywali pustelnikowi, czy to przez grzeczność, czy też rzeczywiście zainteresowani dokonaniem kata, który najpierw bronił mieszkańców Krakowa przed wojskami zaborcy, a potem ich rabował.
- ...no i ścięli mi głowę pod Szarą Kamienicą – zakończył opowieść, kończąc też wycierać pajdą chleba ścianki drewnianego talerza. – To się może wydawać niezbyt chwalebne, ale pomyślcie o tym, że takich jak ja to się po prostu wieszalo. Ale w uznaniu moich zasług uczyniono dla mnie wyjątek. To i szczytę się tym ścięciem jak inni orderami. Dobra historia?
 - Pyszna jak ta zupa! – zawołała Zmora.
 - Ale nie po nią przyjechaliście, co? – Łypnął na nich. – Chcecie zapytać o naszego wspólnego przyjaciela? Byłem pewien, że

przyjedziecie, jak tylko uznacie, że on za tym wszystkim stoi.

– A stoi? – zapytał po chwili Kutrzeba. Odsunął od siebie talerz. Choć zaskoczyła go otwartość niegdysiejszego kata, postanowił zagrać jak tamten: szybko, bez kombinowania.

– A uwierzcie mi, jak wam powiem?

– Coś się stało, prawda? Coś go zmieniło. Sprawdziłem jego historię. Niby wszystko wiem, ale są pewne braki w aktach. Ciebie tam nie ma. Ale nie ma też przyczyn awansu. Coś się stało w latach sześćdziesiątych. A ja nie wiem, co. I żeby było jasne, coś mi z tym nie gra. Coś mi nie gra jak jasna cholera. Zmora jest pewna, że to on. Bo widzisz, kacie, jakby to był on, to wszystko by pasowało. I to podrzucanie mi tropów dotyczących pozostałej piątki, i to, że wszystkie inne tropy znikają. I jego awans, zbyt szybki, tajemniczy. Ale mnie się zdaje, że go znam i że to do niego nie pasuje. Więc chcę wiedzieć, co się wtedy stało. Może mi to rozjaśni w głowie. Bo póki w życiu Koryckiego widnieje ta dziura, niczego nie mogę być pewny.

Strzelbicki wstał, zebrał talerze, wrzucił je do wiadra z wodą. Otworzył jedną z szafek, drewnianych, poprzycinanych nieforemnie, jakby rzeźbionych toporem. Wyjął z niej dzban i dwie szklanki. Po zastanowieniu dołożył do nich trzecią.

– Ja właściwie nie piję – zaprotestowała Zmora.

– Ja właściwie też nie. – Mrugnął do niej i nalał każdemu po szklance piwa. – Cały czas się zastanawiam, czy by was nie zabić. Wiecie, co to znaczy?

– Że staropolska gościnność zdechła wśród pustelników? – zgadywał Kutrzeba.

– Że sam nie wiem, czy mój jedyny przyjaciel to ten wasz Szósty, czy nie. I wam tego nie powiem. Sami wymyślicie. Słuchajcie, było nas trzech. W każdym krew trochę inaczej grała. Ja byłem ten „rubaszny, trochę zły”, Korycki ten „twardy, strasznie brzydki”, a taki jeden gołowąs, Brumik, ten „trochę naiwny, ale dobry”. Ponieważ świat jest popieprzony, to właśnie tego Brumika zrobiono naszym dowódcą. Wszyscy trzej żeśmy służyli w policji krakowskiej i zajmowaliśmy się przestępstwami popełnianymi przez duchy. Wiecie, jak kogoś demon opętał albo jak jakaś zmora jak seryjna dręczycielka grasowała albo sukkub mordował, takie tam. Ale świat się wtedy szybko zmieniał. Demony przestały działać niezależnie, jak w opowieściach. Zaczęły zakładać stowarzyszenia i gangi. Pewnie nie słyszeliście o Chochole, co?

Pokręcili głowami.

– Nikt nie słyszał, prawie wszyscy, co w tym siedzieli, nie żyją, a całą sprawę wykreślono z akt. Chochół to był taki gangster. Stworzyli go ludzie, bardzo paskudną magią, wymagającą złożenia człowieka w ofierze. Tak się złożyło, że wybrali na tę ofiarę dziewczynę Brumika. A ten Brunik, niegłupi chłopak, ale trochę za młody na taką robotę, był dla naszego sierżanta jak syn. No więc załatwiliśmy Chochoła, ale zostało nas po tym już tylko dwóch. Ja, ze wstrętem do policji i do tego miasta, i Korycki. Mówił: „Zostań ze mną, Antoni, póki nie załatwimy sprawy”. Ale ja udałem, że nie ma już żadnej sprawy i uciekłem... – Strzelbicki zwiesił głowę. Osuszył szklankę jednym łykiem i zaraz napełnił ją z powrotem. – No i został sam. Sam przeciw, kurwa, wszystkim. Bo ja spękałem.

– Jak to przeciw wszystkim? Mówiłeś, że załatwiliście tego

Chochoła?

– Chochoła tak. – Strzelbicki aż się wstrząsnął. – Dwa, kurwa, razy. Ale za Chocholem stali ci, co go przywołali, i ci, co brali od niego w łapę... Grube ryby. Politycy, milionerzy. Takie figury. Oni i nasz samotny sierżant policji ze specjalnej jednostki, którą pospiesznie rozwiązano. Jemu dali awans i przenieśli do zabójstw. Żeby odpuścił i zapomniał.

– Nie odpuścił i nie zapomniał – odgadła Zmora.

Strzelbicki potrząsnął głową. Wbił wzrok w stół.

– W dwa lata wszyscy nie żyli – powiedział. – A Korycki znów awansował. Jak to zrobił, nie wiem. I do dziś nie chciałem wiedzieć. Wystarczy mi, co żeśmy wtedy nawyrabiali. W efekcie szychy z magistratu zrobiły wszystko, by o sprawie zapomnieć. A teraz wy mi powiedzcie, mógł sprzedać duszę dla zemsty?

Rankiem odjechali. Kat odprowadzał ich wzrokiem, aż zniknęli za zakrętem drogi, którą nie jeździł prawie nikt, ale wędrował nią duch odwiedzający syna, więc roślinność nie pozarastała jej przez uprzejmość i przez pamięć o tym, że to on zarządzał kiedyś gródkiem, w którego odżywiających ruinach mieszkał teraz Strzelbicki.

– Ech, Gon, Gon – mruczał kat, głaszcząc psiego ducha. – Będiesz tu dla mnie wszystkiego pilnował? Bo wrócę.

Pies zaskomlił w odpowiedzi.

– Tyle w tobie wiary we mnie? – zaśmiał się Strzelbicki. – Wrócę. Może jako upiór, ale wrócę. Kurde, drugi raz nie zawalę sprawy.

Rozdział czterdziesty i czwarty

Rok 2272 starego kalendarza, 250 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

Czarna karoca mknęła przez ulice Malowanej Moskwy, posępnej jak nigdy wcześniej. Choć wstał dzień, ciemność uparła się zachować panowanie nad światem. Czarno-sine chmury zalegały nad miastem, odcinając drogę nawet najzuchwalszym promieniom słońca. Deszcz nie padał, lecz siąpił, tłumiąc niedobitki światła. Mgła pełzła po gzymsach budynków, otulała okna. Mieszał się z nią płynący od Chitrowki dym. Wciąż nie ustawały tam walki, obrońcy starego porządku obwarowali się w kamienicach-twierdzach. Żołnierze Timura podpalili część z nich, lecz przez wszechobecną wilgoć ogień nie rozpałił się, ale tlił.

Malowane powietrze przypominało od tego popiół: barwą i wonią. Bat, którym woźnica smagał grzbiety koni, musiał przebijać się przez nie, znacząc popielate smugi. Pióropusze hełmów sześciu gwardzistów mknących za karocą kołysały się powoli, szerniały od powietrza; przypominały teraz kłęby dymu unoszące się nad głowami żołnierzy.

Pod murami Kremla czekał już na nich oddział reprezentacyjny: szesnastu konnych w paradnych, zielonych mundurach, wręcz ociekających złotem. Ludzie i konie prężyli się, gdy mijała ich karoca. Hrabia Mikołaj Rostow uchylił na moment zasłony, zasalutował. Zagrały trąbki, z wysokich murów wystrzeliły

powitalną salwą działa.

Wydawało się, że gdy pojazd podskoczył na wystającym z bruku kamieniu, spod karocy dobiegło miauknięcie. Nie usłyszał go jednak nikt poza końmi, które wymieniły spojrzenia i chyba nawet uśmiechnęły się przy tym.

Kto jednak zwracałby uwagę na miny koni, skoro władca jednej części Moskwy wjeżdżał właśnie do twierdzy dyktatora drugiej jej części i witany był tam niczym monarcha? Orkiestra maszerowała w miejscu, grając na cześć hrabiego jego ulubione utwory, wypuszczono stado białych gołębi, nie przejmując się tym, że ich pióra prędko pociemniały od rządzącego Malowaną Moskwą mroku.

Karoca nie zatrzymała się pod starodawnym zamkiem carów. Jemu Kutuzow kazał czekać na władców, oficjalnie jedynie przez niego zastępowanych. Stała pod twierdzą wewnątrz twierdzy – posępną warownią, masywną i groźną, gdzie mieszkał gubernator Kremla. Słudzy w liberiach przypominających wojskowe mundury prędko podstawili schodki pod drzwiczki. Hrabia wyszedł pierwszy, po to jednak, by pomóc opuścić pancerną karocę córce, hrabiance Oldze, wyglądającej, jakby odziała się w falę jeziora o głębokiej toni.

Granatowa suknia zaszumiała, gdy prowadzona przez ojca dziewczyna popłynęła ku dyktatorowi, oczekującemu gości pośrodku szpaleru złożonego ze stu gwardzistów, tym razem w śnieżnobiałych mundurach. Rostowowie nie tyle szli między nimi, co wędrowali. Otaczał ich las karabinów i szabel, roziskrzona rzeka złotych epoletów, w górę której posuwali się mozolnie, by wpaść wreszcie w ramiona gospodarza.

Mężczyźni obcałowali sobie policzki, Olga wysunęła ku narzeczonemu dłoń w ciemnej rękawiczce. Dyktator przypadł do niej z uwielbieniem, gdy hrabia przeproszał kurtuazyjnie za pogodę.

– Małżonka źle się dziś czuje – wyjaśnił.

– Raczej się gniewa! – huknął Kutuzow i machnął ręką. – Matka zawsze gniewa się na zięcia i na męża, gdy ten oddaje komuś córkę. A i wiem, że hrabinie nie w smak to małżeństwo. Ona by chciała, żeby Moskwa była wielkim ogrodem, w którym bal nigdy nie dobiega końca, a ludzie żyją wedle własnego widzimisię. My obaj wiemy, a sędzę, że i panienka też to rozumie, że Rosjanie nigdy nie znieśliby takiego życia. Życie to nie bal, lecz wojna. Zresztą i bale przecież podporządkowane są regułom!

Hrabia skinął głową, Olga tylko skłoniła się przed przyszłym panem mężem. Poprowadzono ich zaraz w głąb twierdzy, ciężkie wrota rychło zamknęły się za nimi.

Sześciu gwardzistów Rostowa stanęło naprzeciw całej armii Kutuzowa. Jedni ukłonili się drugim, zaś wybrani żołnierze gospodarza zaprowadzili swoich kolegów, a wkrótce zapewne i towarzyszy broni, do kantyny, gdzie czekał już na nich poczęstunek. Na miejscu ludzie Rostowa zdjęli hełmy, położyli je przed sobą na blacie długiego stołu.

– A ja cię, bracie, chyba nie znam! – zawołał porucznik gwardii Rostowów, bardzo zdziwiony odsłoniętą teraz twarzą swego sąsiada. W hełmach wszyscy wyglądali tak samo, z identycznymi sumiastymi wąsami i bokobrodami dokładnie przesłaniającymi policzki.

– Ja za Mikołaja – odpowiedział zagadnięty. – Ten kocur rozorał mu gębę. Nie nadawałby się do eskorty.

– Za Mikołaja, nie za Mikołaja. Aleś ty z moskiewskich chłopaków, nie z naszych!

– Nie z waszych – przyznał Szczur. – Ale czy to nie wszystko jedno?

– Nie wszystko jedno – nasrożył się porucznik. – Nie wszystko jedno, bo ja odpowiadam za eskortę i ja powinienem wyznaczać zastępstwo. A pierwszy raz cię, chłopcze, widzę na oczy. A my nie ufamy moskiewskim. Za bardzoście tu pod wpływami panienki.

– A panienka nie Rostowa?

– Jeszcze tak. – Porucznik uśmiechnął się niezbyt przyjemnie. – Jeszcze przez godzinę, może dwie. Bośmy ją tu przecież na ślub przywieźli!

– Tak od razu na ślub?

– A po co czekać? – Kapitan gwardii Kutuzowa podszedł do nich, widząc, że dzieje się coś niezwykłego. – Ważne sprawy się dzieją, trzeba działać szybko. Jutro wszyscy będziecie paradować już w naszych mundurach!

To ostatnie nie spodobało się porucznikowi gwardzistów hrabiego bardziej nawet niż fakt, że nie zawiadomiono go o zastępstwie.

– No, to jeszcze zobaczymy! – Wstał, by spojrzeć kapitanowi prosto w oczy. – A może wy w naszych?

Mierzyli się wzrokiem, niby to uśmiechając się do siebie serdecznie, ale gdyby ktoś nadstawił ucha, mógłby usłyszeć wzbierające w nich obu warczenie. Wokół nich zaczęli się gromadzić pozostali żołnierze i nagle chmura bieli została otoczona

plamami czerni i zieleni. Wszyscy stali, napięci, gotowi, jeden Szczur siedział i nawet popijał wino, którego sam musiał sobie nalać, bo służącemu w kanarkowym uniformie nie udało się przebić do stołu przez gęstniejący tłum coraz bardziej wrogich sobie żołnierzy.

Tenże służący, niemłody już, łysy, z trzema tylko włoskami sterczącymi zadziornie na środku glacy, westchnął zasmucony tak losem swoim, jak i tej ślicznej panienci, oglądanej przezeń ledwie przez moment, którą pewnie czekało teraz smutne zamążpójście. Miała stać się nie tyle żoną, co podoficerem, a może raczej szeregowcem w armii Kremla. Groza jej przyszłości nie mogła się jednak równać z przyszłością służącego, nabrał on bowiem pewności, że już całkiem niedługo przyjdzie mu sprzątać w ruinie kantyny, którą panowie gwardziści niewątpliwie zaczną zaraz obracać w perzynę. A co gorsza, nim to nastąpi, jedni i drudzy przyłożą pewnie parę razy jemu, tylko za to, że płacze się im pod nogami.

– Ciężkie masz życie, Kanarejka – szepnął do siebie, bo nikt inny nie spieszył się go żałować. Rozejrzał się, szukając najlepszej drogi ucieczki, i nagle zamarł na widok dziwnego, czarnego, sprężonego, a zarazem miękuchnego kształtu, zbliżającego się z zatrważającą prędkością od zewnętrznej strony wielkiego okna, które za sekundę miało rozprysnąć się na tysiące kawałków.

– Wydaje mi się, że widzę kotka! – zawołał Kanarejka, zdumiony nie tylko dziwaczną postacią, ale i własną odwagą, pozwalającą odezwać się głośno pośród tych wszystkich żołnierzy szykujących się do mordobicia.

Które zresztą wkrótce nadeszło, ale ciut inaczej, niż to sobie wyobrażali. Nie wśród twardych męskich wyzwisk, lecz pośród prychnięć i miauczenia.

Pałac wewnątrz twierdzy przypominał Oldze miasto. I tu krzyżowały się na wzór ulic setki korytarzy, niektórych szerokich niczym główne miejskie aleje, innych wąskich, pobocznych, przeznaczonych dla przechodniów uważających za niewskazane pchać się przed oczy zacniejszym obywatelom. Rolę okien pełniły obrazy, nieożywione panoramy zabijania, pomiędzy którymi prężyły się dumnie starożytne zbroje na przemian z prawdziwymi strażnikami. Czasem zza pancerzy wystawały łby zwyczajnych i mitycznych zwierząt, których skóry porozpinano tu na pamiątkę myśliwskich triumfów, polowań, z których część tak naprawdę nigdy się tutaj nie odbyła, pościągano je z obrazów i gobelinów sławiących sukcesy łowieckie całych pokoleń władców Rosji.

Obywatelami Kremla byli wyłącznie żołnierze. Nawet kucharki miały tu swoje stopnie i nosiły dumnie dystynkcje na białych uniformach. Słudzy wyższych klas sarkali na sługi klas niższych. Lokaje krążyli między nimi niczym pułkownicy, ustępując miejsca jedynie prawdziwym żołnierzom. Całe zaś życie w tym pełnym ludzi mieście zamierało na widok Kutuzowa.

Wszyscy zatrzymywali się, gdy dostrzegli, że nadchodzi, i kłaniali mu się w pas, czy ręce mieli wolne, czy też taszczyli w nich całe tace uginające się pod ciężarem złotej zastawy.

Hrabiemu Mikołajowi zdało się, że trafił do raję. Podkręcał węsą,

uśmiechał się do zamarłych służących i głośno wrażał zachwyty tym, jak wszystko tu zostało wspaniale urządzone i jak cudownie jest widzieć ludzi nie tylko znających własne miejsce, ale także szczęśliwych, że je zajmują.

Olga wędrowała wraz z ojcem wśród obrazów przedstawiających triumfy rosyjskiego oręza, malowniczych panoram rzezi oraz dumnych defilad. Mijała płonące, bo zdobywane miasta, porównywała się ze sznurem kobiet nanizanych na łańcuch i wiedzionych w niewolę, ale też z pięknymi księżniczkami, bawiącymi się na balach uświetniających zwycięstwa.

Prowadzący ich Kutuzow zagadywał uprzejmie, pytał o zdrowie i zapewniał o swojej wielkiej dla hrabianki miłości, trwającej jeszcze od czasów, gdy była ona żywą dziewczyną, a on przywołańcem mającym zbawić Rosję od Wiecznej Rewolucji.

– No i proszę! – zawołał wesoło. – Teraz oboje żeśmy namalowani, a Rewolucja przyszła tu za nami.

Strażnicy, a może służący, Olga nie potrafiła odróżnić jednych od drugich, otworzyli przed nimi kolejne wielkie drzwi i nagle wszyscy troje znaleźli się rzeczywiście na balu. Damy, piękne jak ze starych obrazów, w jasnych sukniach, lekkich i zwiewnych, tańczyły tu z bardzo przystojnymi mężczyznami w mundurach lśniących od złotych orderów. Nim otworzyły się drzwi, wszyscy oni wirowali do melodii angielskiego walca, a flirty i ploteczki szemrały między nimi francusko-rosyjską mieszanką. Teraz zamarli, jak zamierali słudzy, i Olga po raz pierwszy poczuła, że rzeczywiście trafiła do obrazu. Wrażenie to jednak szybko minęło, bo po chwili tancerze równocześnie, jak zaczarowani, zwrócili się ku wchodzącym i

ukłękli przed nimi. „Teatr, nie obraz – pomyślała hrabianka. – Obrazy mogą ukazywać prawdę, tu wszystko odbywa się na pokaz”.

Ku jej konsternacji ukląkł przed nią i Kutuzow.

– Nie ma dla mnie życia bez pani! – zawołał z emfazą. – Czy uczyni mi pani zaszczyt i zmieni ten lichy bal w święto naszych zaręczyn?

Teraz spostrzegła, że w wyciągniętej ku niej dłoni trzymał pierścień, przez swój ogrom kojarzący się raczej z ostatnim ogniwem złotego łańcucha niż z klejnotem. Spłoszona zerknęła na ojca. Ten rozciągał właśnie usta w upiornym uśmiechu, kiwając równocześnie entuzjastycznie głową. Znów, jak wtedy, w pędzącej na zderzenie dorożce, czas zwolnił, a wraz z nim światło i dźwięki. Lecz tym razem Olga znajdowała się w pułapce bez wyjścia.

Spojrzała znów na Kutuzowa. On się nie uśmiechał. Zaciskał usta, jakby w złości, może gniewało go, że musiał przed kimś klęczeć? Jego oczy były zimne, groźne.

– Pan mnie zaszczyca – szepnęła dziewczyna.

– Pan...

– Powiedziała tak! – ogłosił hrabia, a Kutuzow wcisnął Oldze pierścień na palec, poderwał się, przyciągnął narzeczoną do siebie i pocałował w usta, długo, mocno, lecz chłodno. Odruchowo spróbowała się wyrwać, ale trzymał ją obiema rękami.

Wtedy armaty huknęły na wiwat.

Aż pękły od tego szyby w oknach i pokruszone szkło posypało się na roześmianych, wiwatujących balowiczów.

Kutuzow jeszcze mocniej przyciągnął do siebie Olę.

– Uciekajmy! – krzyknął jej prosto w ucho. – Na miłość Boską,

niech pani o nic nie pyta, lecz ucieka ze mną! Teraz mamy cię
szansy!

Rozdział czterdziesty piąty

*Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,
Mars; z grubsza...*

Ciekawe, ale najpierw zobaczył chatę. Zwyczajną, drewnianą chatę pod lasem. Padał śnieg, a on bardzo tęsknił do ciepła jej wnętrza, do tego, by usiąść przy piecu, może dostać zupy, może kawałek chleba.

Tyle że nie było żadnego ciepła, bo przez chatę przegalopowali jeźdźcy, dzicy ludzie w futrzanych kurtach, znajdujący przyjemność w paleniu i niszczeniu wszystkiego na swojej drodze. Krew tryskała spod kopyt ich niewielkich, ale silnych koników, śnieg topniał od płomieni pożerających dom.

Potem tonął.

Potem bił się z kimś mówiącym w jakiś dziwnym, przypominającym szeleszczące warknięcia języku. Potem uciekał. Potem poczuł, że już nigdy nie chce uciekać.

Zobaczył króla, przed którym klęczał. Nie pierwszego ani nie ostatniego.

Życie przelatywało przed oczami Adama, długie, cudze życie, które coraz bardziej stawało się jego własnym. Kropla krwi rozpuszczona w wódce ożyła, ledwie trafiła do jego organizmu. Ekspłodowała milionami nici o średnicach cieńszych niż atomy. Wgryzały się w krew Drygła i przemieniały ją na swoje podobieństwo, tym łatwiej, że odkrywały w niej identyczne

łańcuchy genów, opisane tymi samymi kodami. Infekcja błyskawicznie rozchodziła się po ciele. Budziła pamięć przyczajoną w DNA. Gdy dotarła do układu nerwowego, przez ciało chłopaka przebiegł dreszcz, nagle uderzyła w niego od wewnątrz fala ognia. Omal nie zaczął wtedy krzyczeć, ale czujny Petyr zakrył mu usta.

Wtedy spłynęła na Drygła wiedza, spłynęły umiejętności. Odruchowo chwycił rękę, która go dławiła, wykręcił ją.

– Co ty! – jęknął Hoygren, osuwając się na kolana. – Jesteśmy kumple! Albo... ja ci służę!

Adam cofnął się. Zamrugał. Jak to? Gdzie się znajdował?

Prawda, Mars, piramida, kapitan Burzymur i wzburzony Szuler Losu. Dotarli do sali tronowej, ale nie znaleźli tam Wandy. Wtedy Szuler grobowym głosem oznajmił „Wiem, gdzie jest” i poprowadził ich dalej.

Leżała naga w swojej sypialni, w krwistoczerwonej pościeli. Rozrzuciła ramiona na kształt krzyża. Biały kwiat wyrastał spomiędzy zdumiewająco bladych piersi, a jakiś chłopak o pospolitej urodzie spijał z niego nektar. Jedną dłonią poruszał leniwie między udami bogini bogów, kciuk drugiej wpychał jej w usta. Także był nagi, zapamiętały w pieszczotach, otumaniony od nektaru. Śmiali się oboje, krzyczeli z upojenia.

Zgroza na twarzy Szulera przepełniła Adama dziką radością. Właśnie tak powinno być!

Właśnie tak?

Napłynęły do niego wspomnienia wszystkich krzywd, jakich doznał. Na początek, że umarł. Pamiętał tamtą śmierć. Drygieł wolałby ją zapomnieć, ale ten nowy człowiek w nim, ten, który

kradł mu ciało, krzyczał: „Patrz! Czuj! Zdychaj! Zdychaj bez końca!”. Więc czuł. Jak stał rozorywała mu czaszkę, jak padał w śnieg tak dobry, bo zimny, i jak budził się z tej śmierci uzbrojony w wiedzę wyszeptaną mu do ucha przez upiory.

Potem przyszło wspomnienie śmierci drugiej, zadanej nie przez anonimowego dzikiego wojownika, ale przez zapamiętałego zabójcę. Ta była gorsza, bo oczekiwał jej latami, pewien, że choćby nie wiem co zrobił, nie zdoła jej uniknąć. Umierał tak naprawdę każdego dnia, a kiedy umarł wreszcie naprawdę, przyjął śmierć niemal z ulgą. Tym bardziej że przecież zdołał znaleźć dla siebie tylne wyjście.

Wspominał i życie – tę pełną wrażeń nieskończoną walkę, wielką wojnę ciągnącą się przez stulecia. Znał język cudów, jeszcze zanim przybyli Marsjanie. Potrafił wyciskać nektar, zwany przez nich fidezyną, z dusz ludzi i przedmiotów. Tak długo starał się czynić dobrze, przestrzegać zasad... Ale wtedy zawsze przegrywał.

Jakiś krzyk wyrwał go z zamyślenia i Drygieł znów spojrział na świat własnymi oczami. Nie uwolnił się jednak od wspomnień tego, który stopniowo kradł mu duszę.

Zmora wyrwała się spomiędzy piratów. Minęła zastygłego Szulera, wskoczyła na łoże patronki bogów. Rozorała gardło Jacusia jednym ciosem. Gdy gorąca krew tamtego trysnęła na kwiat i kobietę, z której wyrastał, ta zaniósła się radosnym śmiechem. „Więcej! Więcej! – zawołała. – Jesteśmy tacy głodni!”.

Cała piramida odpowiedziała jej krzykiem. Tysiące gardeł wykrzyczało: „Głodni! Głodni!”.

Zafalowały paprocie. Kwiat rozchylił żarłocznie kielich, by

spływało do niego więcej krwi.

– No to mamy trochę jakby przesrane – ocenił Burzymur, sięgając do kabur przy pasie.

Zmora pochyliła się nad Wandą. Szuler ocknął się na ten widok. Krzyknął.

A Drygieł miał przed oczami swoją pierwszą zemstę, gdy dopadł tych, którzy spalili jego ciepły domek w lesie, zabili rodziców, siostrę, dziadka. To nie byli ci sami ludzie, ale ta sama rasa, pokrewne im plemię. Zdobywcy i niszczyciele. Spalił ich wszystkich żywcem, przysięgając sobie, że nie dopuści, by jeszcze kiedykolwiek coś podobnego spotkało jego bliskich.

Okazało się, że z tym akurat nie miał problemów. Zabrakło mu czasu na znalezienie kogoś, o kogo mógłby się troszczyć.

Szukał sposobów na zapewnienie sobie i swojej przyszłej żonie – bo jeszcze wtedy wierzył, że taką znajdzie – bezpieczeństwa. Znajdywał jego namiastki. Zrozumiał, że musi nauczyć się więcej, poznać tajemnice przekraczające umiejętności zwyczajnych ludzi. Dotarł do świata duchów, choć nie wiedział jeszcze wówczas, że ich moce nie pochodzą od umarłych i Boga, a z wiary ludzkiej i energii, jaką niosła. Czy to ważne? Nie znając wszystkich tajemnic fidezyny, nauczył się z niej korzystać. Żył. Żył, chociaż inni umierali. Wciąż umiał odczuwać ból, wciąż cierpiał, gdy ponosił porażki. Jego wrogowie byli coraz silniejsi, coraz liczniejsi. Zabijali władców, w których on pokładał nadzieję, uderzyli na jego kraj i zamordowali go, jak niegdyś zamordowali jego rodzinę. Więc mścił się na nich, jak potrafił, i cały czas powtarzał, że znajdzie sposób, by nikt nigdy więcej go nie skrzywdził.

Pierwszą falę wdzierających się do sypialni Wandy bóstw, dzielących jej opętanie tak, jak niedawno dzieliły jej spokój i miłość, Burzymur kosił seriami swoich archaicznych, ale przecież ciągle skutecznych karabinów maszynowych. Zmora zmagala się z Szulerem, pragnącym odciągnąć ją od Wandy. Piraci siekli i strzelali, Adam stał bez ruchu, a Petyr leżał u jego stóp, szlochając.

Wszystkie bitwy zlewały się przed oczami Drygła w jedną niekończącą się wojnę.

Kiedy przybyli Marsjanie, walczył na froncie wschodnim, starając się ratować, co się da, z oddziału służącego w armii carskiej Polaka, chyba dalekiego krewnego kogoś, kogo kiedyś lubił. Jako jeden z pierwszych zrozumiał, że dzieje się coś przełomowego, czego ludzkość nigdy nie doświadczyła. Coś, co nareszcie może dać mu prawdziwie wielką wiedzę, odsłonić przed nim te tajemnice świata, których sam nie potrafił zgłębić. Cóż z tego, że uczył się u najlepszych: Johna Dee, Łukaszewicza... Żadnemu z nich nie udało się sięgnąć do sedna rzeczywistości. Ale Marsjanie...

Prawie udało mu się dotrzeć do jednego z nich, ale znów mógł tylko patrzeć, jak ktoś, z kim wiązał nadzieje, umiera, mordowany przez tłuszcę na ulicach Petersburga. Znów powiedział sobie...

– Nigdy więcej! – mamrotał Drygieł, idąc ku łóżu Wandy.

Cieszyła go rozpacz Szulera i przerażała go ta radość. „Klon! Klon!” – huczało mu w głowie, a jakiś głos szeptał, że oto nareszcie jego życie znalazło spełnienie. Że całe prawdopodobieństwo świata grało właśnie o tę chwilę. Tysiące klonów i tysiące ich sług rozproszonych po całym Układzie Słonecznym, czekających na ten jeden moment, gdy ścieżki tych, którzy się mszczą, przetną się

nareszcie. A wszystko to, jeśli spełnią się jego plany, nastąpi w godzinie powrotu Marsjan. Tak starał się przygotować świat na ich powtórne przybycie, by, jak przed ponad dwustu laty, wpadli w sam środek wojny. Powstały w niej chaos bardzo by mu wszystko ułatwił.

To wydawało się takie proste, wtedy, gdy snuł swoje ostateczne plany.

Użyć magii. Nie tak, jak używał jej przez całe wieki, po kryjomu, w strachu, że ktoś odkryje jego tajemnice, ale jawnie, w jednym wielkim dziele, podczas którego stworzyłby własnego potężnego boga.

„Tiamat!” – Drygieł przypomniał sobie boginię, zabijającą ludzi setkami.

Nie, nie Tiamat, zaprotestowały głosy w jego głowie. Boga służyć. Potężnego, lecz zniewolonego.

Cóż za pokusa – mieć taką istotę na usługi! Ale Adam nie potrafił zapomnieć rzezi urządzonej przez przebudzoną boginię. Groza wspomnień klona starła się z pychą oryginału.

Zmora nie potrafiła wyrwać się Szulerowi. Wanda wciąż śmiała się opętańczo, a piraci Burzymura cofali pod naporem bóstw i demonów wiedzionych przez złotego węża.

Pewne rzeczy można zrobić tylko w jeden sposób. Wyznaczyć pentagram krwią i we krwi go skąpać. Dla większego dobra. Śmierć niewinnych położy się na tym cieniu, ale po latach cierpienia, daremnych klęsk, ten, kto przejmował ciało i duszę Drygła, gotów był zapłacić tę cenę.

– Muszę wyrwać ten cholerny kwiatek! – krzyczała Zmora.

– A jeśli to ją zabije? – upierał się Szuler.

Adam przeszedł między nimi.

Pochylił się na Wandę. Ich spojrzenia spotkały się. Uśmiechnęła się do niego, drapieżnie, wyzywająco. Czubkiem języka oblizwała wargi z krwi Jacusia. Zmrużyła oczy.

– Chodź, skosztuj – zamruczała, kołysząc biodrami.

Kwiat nachylił ku Adamowi kielich.

Za plecami przemieniającego się chłopaka piraci ulegali naporowi bogów, pragnących przede wszystkim dotrzeć do swojej patronki. Złoty wąż dojrzał swoją szansę. Sprężył się, skoczył. Przeleciał nad ramieniem Burzymura, zbyt zajętego zmaganiem z trzema wielkoludami. Wąż zasyczał triumfalnie.

Wylądował na plecach Zmory. Szarpnęła się, ale Szuler trzymał ją za obie ręce, wciąż przekonany, że będzie chciała dopaść Wandy. Nie widział rozgałęzień linii losu, oślepiiony ojcowską miłością.

– Chodź – kusiała Wanda. – Weź sobie wszystko, co chcesz. Świat istnieje po to, by go sobie brać.

Pachniała oszałamiająco, wyglądała piękniej niż jakakolwiek kobieta na świecie. Drygiel pochylił się niżej, prawie dotknął ustami jej ust. Za jego plecami siedzący na Zmorze wąż odsłonił zęby jadowe ociekające ogniem.

Wszystkie miłości, wszystkie rozkosze, jakich zaznał Adam w nie swoim życiu, spłynęły na niego jednym wspomnieniem. I wtedy sobie przypomniał.

On, ale naprawdę on, nie ten upiór wykluty z kropli krwi, nigdy dotąd nie pocałował żadnej dziewczyny.

Odsunął się gwałtownie, akurat by zobaczyć, jak złoty wąż uderza

w Zmore. I jak nagle z jej pleców, z mroku, który je spowijał, wyrasta trzecie ramię, inne niż pozostałe, bo wielkie, męskie, całe w tatuażach. Wąż zaskrzeczał, gdy ginął, miażdżony.

– Bóg, tak? – Mordujący go, wyłaniający się ze Zmory demon-człowiek uśmiechał się szyderczo. – Marsjański bóg nie wiadomo z jakiej planety. Znalazłeś właściwe miejsce, by zdechnąć.

Głosy w Drygle zanosły się śmiechem z radości. Rozpoznały upiora, krzyczały jego imię. Jeszcze się nie zorientowały, że ich nosiciel miał je gdzieś. Adam widział tylko pełne złości oczy Wandy.

– Odrzuciłeś mnie! – wrzasnęła.

– W żadnym razie – odpowiedział szeptem, starając się nie zwracać uwagi na skowyt w głowie, na ten odruch, który kazał mu wykorzystać okazję i zabić upiora, jaki wyłonił się ze Zmory, a potem ją samą.

Burzymura obalono na kolana, wyrwano mu z rąk karabiny maszynowe. Zmyta próbowała przedrzeć się do swojego kapitana, ale powstrzymywały ją dwie gigantyczne pajęczycy. Wszystkie złośliwe dowcipy Duppy'ego nie obroniły go przed atakiem stada faunów. Jednorożec tratował Gryza, któremu nie pomogła przemiana we wściekłego kozła. Pekińczyk daremnie starał się odciągnąć pierzastego węża od swojego pana.

Osobowość opanowująca Drygła triumfowała. Spełniały się jej plany. Bitewny zamęt to doskonała okazja, by pozbyć się nareszcie tej przeklętej pary złodziei i morderców, która nawiedziła i opętała się nawzajem. Teraz wystarczy tylko sięgnąć do Zmory i jej opętańca, i zmiażdżyć im gardła.

Chłopak wyciągnął przed siebie dłoń. Znów przed oczami

przeleciały mu wszystkie te zemsty, których przez wieki dopełniał i których bywał celem. Szczytne idee, lęki i nienawiści zlewały się w jedno. Nie potrafił już rozpoznać, kto jako pierwszy utworzył tę krwawą pętlę, kto zacisnął ją na czyim gardle. Hordy upiorów, całe armie pomszczonych i niepomszczonych, przyglądały mu się w milczeniu. A on patrzył na Kutrzebę, który powinien był umrzeć tak dawno temu, a może nawet i umarł, ale powrócił jako demon opętujący Zmorę, bo tak przesiąkł rytuałami, że nawet śmierć nie mogła go już uwolnić.

A może, przyszło do głowy Adamowi, może jednak co innego spętało ze sobą tych dwoje. Nie tylko nienawiść, ale i coś, o czym trudno było mu nawet pomyśleć, gdy patrzył na nich, jak opierali się o siebie plecami, walczyli, osłaniali wzajemnie.

Może prawdziwy Drygieł, a może upiór w nim, pomyślał o zmęczeniu. I o tym, że zazdrości tamtym dwojgu. Jak oni się odnaleźli w tym krwawym, trupim korowodzie?

A potem zacisnął pięść na łodydze kwiatu.

Rozdział czterdziesty szósty

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Kraków

Coś było w tym wszystkim nie tak, uznał Korycki, gdy dowiedział się, że Kutrzebę dopadły służby bezpieczeństwa Kolei Galicyjskich. A potem wypuścili go po dwóch dniach, a on zniknął z Krakowa.

Generał, przekonany, że kolesie z Kolei mogą go oszukiwać, użył wszelkich kontaktów, własnych i Admirala, by przekonać się, że Koleje nie miały z tym nic wspólnego. Kutrzeba rzeczywiście zniknął. Z własnej woli, albo i nie. Jeśli nie, to pewnie porwały go Mojry. Pozbawiony Zmory był słabszy.

Dlatego Korycki nakazał obserwację siedziby Mojr, a gdy ta nic nie przyniosła, spotkał się z Grabińskim. Ułożyli razem nowy plan, w wyniku którego generał stał teraz pod drzwiami dawnego arsenału, łomocąc w nie wściekle. Niech szlag trafi Mirka i jego knucia!

Drzwi otworzył mu Żelazny Marcin.

– Czego? – warknął.

– Wszystkiego! – odpyskował Korycki, pchnął wielkoluda z całej siły, dzięki czemu zyskał akurat tyle przestrzeni, by precyzyjnie się obok niego i przedostać do wnętrza kamienicy.

– Nikt tu na ciebie nie czeka! – Żelazny Marcin chwycił go za kołnierz płaszcza, przytrzymał.

– Nikt? – Koryckiemu brakło cierpliwości. Wyszarpnął z kabury

pod ramieniem pistolet, przyłożył go wielkoludowi do gardła. Ledwie sekundę później poczuł na ramieniu dotknięcie czegoś twardego.

– Kije samobije. – Żelazny Marcin uśmiechnął się wesoło. – Odlóż tę zabaweczkę, robaku.

– Myślisz, że nie zdążę strzelić?

– My, wielkoludy, mamy twarde skóry.

– Kula w mózgu to kula w mózgu. Wiem, że masz mikroskopijny, ale z tej odległości nie chybię.

– Chłopcy, chłopcy! – Najwyraźniej tknięta intuicją, Baśka zeszła do nich po schodach. – Od razu musicie się kłócić? Marcinku, to nasz sprzymierzeniec!

– Kutas w koźlej dupie, a nie sprzymierzeniec – burknął wielkolud, ale puścił Koryckiego. – Gównu robi, urywa się ogonom... Przeszedłeś nam coś powiedzieć, cwaniaku, czy tylko tak se posiedzisz i pogapisz się na cycy szefowej?

– Ja się nie muszę tylko gapić. – Korycki mrugnął do niego, chowając broń. – Przeszedłem wam powiedzieć, że Kutrzeba był w Krakowie, ale zniknął. Przechwycili go galicyjscy. Puścili i przepadł.

– Zapraszam na górę. – Baśka skinęła głową wielkoludowi, ujęła generała pod ramię i poprowadziła go do siebie, na pięterko. – Tam porozmawiamy.

– O Mirku wiem – kontynuowała w kuchni. Milczący, wyraźnie rozeźlony Jewgienij siedział na parapecie, co chwila zerkając nerwowo na ulicę. Palił papierosa za papierosem, wydmuchiwał dym przez lufcik. Przywitał się tylko szybkim skinieniem głowy. –

Uciekł naszym. Ci herostratejczycy to jednak patałachy. Był między nimi nasz człowiek, zawodowiec. Ale i on zawiódł.

– A jak się ma ten zawodowy zabójca do twojego planu ratowania Mirkowi życia? – zapytał Korycki Jewgienija.

– Jewgienij się na nas o to gniewa – odpowiedziała za niego Baśka. – Po co pan naprawdę przyszedł? Przecież pan już chyba nie gra po naszej stronie?

– Bo urywam się tym ciamajdom, które wysyłacie, żeby mnie śledziły?

– Bo ściągnął pan do Krakowa całą tę ekipę z Kresów. Tak, wiemy już o tym. To, że dogadał się pan z Marsjaninem, wcale nie było takie sprytne, wie pan? Mamy wtyki wszędzie.

– Ale trochę czasu wam to zajęło.

– Trochę – zgodziła się. – I co, są tu? Szykują się na nas? Przyszedł pan dać nam ostatnią szansę?

– A jeśli? W jednym macie rację. Ta cała heca Mirka ciągnie za sobą rzekę trupów. Nie chcę, żeby w moim mieście doszło do rzezi. Zabiliście Zmorę, idioci. On wam tego nie daruje. Nie zostawi tu kamienia na kamieniu, jeśli będzie musiał. Ale jakby tego było mało, zaatakowaliście Koleje Galicyjskie. Wydaje się wam, że wiecie, co to jest zemsta? To, co wyprawia Mirek, to zabawa w porównaniu z tym, co zrobią z wami Koleje. Jemu wystarczy, że wsadzi wam kulę w łeb. Koleje z takich jak wy robią przykład na wieki.

– Jakoś po tej katastrofie z Kutrzebą się nie popisali...

– Po pierwsze, to były inne czasy. Po drugie, to nie był ich pociąg, tylko konkurencji. Wam przygotowują prywatne piekła, w których

będą was trzymać przez wieczność.

– Więc co, mamy się poddać Kutrzebie, żeby tego uniknąć? – po raz pierwszy jej głos zdradził nerwowość.

– W dupie mam, czy zdołacie tego uniknąć. Chcę, żebyście się wynosili z Krakowa, nim Koleje was namierzą i przyślą tu bombowce. Jeszcze nie wiedzą, kto stoi za akcją w Rumunii, bo Mirek na pewno nic im nie powiedział. Ale w końcu na to wpadną. A wtedy nie będą się certolić, to nie ich styl. Wysadzą całą tę ruinę w powietrze, a potem wygrzebią z leja wasze szczątki i zwiążą wasze dusze. A mnie Admirał wyrwie jaja z korzeniami, za to, że temu nie zapobiegłem. Więc, z łaski swojej, wypieprzajcie stąd. Niech was mordują za Krakowem.

– Straszysz, bo sam się boisz – odezwał się nareszcie Jewgienij.

– Trzęsę się ze strachu – przyznał szczerze Korycki. – Na samą myśl, coście nawyrabiali, dostaję gorączki. Ale bardziej się boję tego, co będzie dalej.

– To nas chroń – zaproponowała Baśka. – Powiedz, że byliśmy twoimi agentami.

– Aha, żeby Koleje ścigały jeszcze mnie, tak?

– Wystaw im kogoś. Słuchaj, nic się nie zmieniło w naszej sprawie. Ciągłe chodzi o Mirka i zamęt, który on wywołuje. To z pociągiem, z Kolejami, to przecież też tylko jeszcze jeden efekt uboczny tej jego zemsty! Nie rozumiesz?

– Rozumiem – westchnął. – Jewgienij, przemówisz jej do rozumu czy też zwariowałeś?

– Tu się dzieje więcej, niż myślisz. – Mężczyzna zeskokczył z parapetu. Zamknął okno, zaciągnął zasłonę. – Jesteś trupem, choć

jeszcze o tym nie wiesz. Ja pewnie też. – Wzruszył ramionami. Spojrzał na Baškę jakoś tak miękko. Widząc to, Korycki zrozumiał, że nie ma wyboru.

– Dobra – powiedział do mikrofonu ukrytego w guziku płaszcza. – On też.

Grabińskiemu zdarzało się czasem chybiać, ale nie na odległość, jaka dzieliła dach kamienicy naprzeciwko od budynku arsenału. Cóż to jest: ledwie trzydzieści metrów dla snajpera, któremu zdarzało się ściągać na stepie Komisarzy z odległości i kilometra.

Fakt, że i wtedy, i teraz robił to z pomocą Szulera. Dla niego i zasunięta zasłona w oknie nie stanowiła przeszkody. Przez bandażę, którymi przewiązał oczy, patrzył przecież inaczej niż ludzie.

– Skoryguj w lewo – doradził leżącemu obok snajperowi. – Przesunął się trochę po tym, jak zeskoczył z parapetu.

– Szkoda trochę chłopca – mruknął Grabiński, ale nacisnął na spust.

Gdy głowa Jewgienija eksplodowała, Korycki wyszarpnął pistolet i prędko wpakował zawartość całego magazynka w Baškę. Modlił się przy tym o dwie rzeczy: aby srebrne, pobłogosławione przez kardynała krakowskiego kule wystarczyły, i aby Burzymur zdążył przybiec mu na pomoc.

Choć Mojry zadbały o wzmocnienie bramy wejściowej, nie była ona w stanie powstrzymać zakłęcia rzuconego przez Sarę. Pestka jabłka wbiła się w drewno, a potem rozsadziła drzwi na strzępy, rozrastając się gwałtownie. Burzymur przeskoczył nad pniem drzewa, wbijającym się teraz w mur.

– Hej, kamracie! – zawołał do Żelaznego Marcina, na pierwszy odgłos strzałów biegnącego już ku schodom. – Tutaj!

– Ty! – Dawny druh splunął na jego widok. – Sprzedałeś się kapitalistycznym psom!

– Gównu tam wiesz! – zawołał Burzymur i runął na niego.

Uderzyli w siebie z impetem, który wstrząsnął całym budynkiem. Naruszona wrastającym w nią drzewem ściana frontowa pękła, całe piętro osunęło się ku ulicy. Uratowało to Koryckiego, bo Baśka nie chciała umrzeć.

Choć dym i krew mieszały się, wypływając z jej ran, ruszyła ku generałowi, chwiejąc się od uderzeń kolejnych pocisków, lecz nie upadając. Grabiński skupił się na niej, ale i to nie pomagało. Gdy budynek zatrzęsł się od starcia olbrzymów, Korycki nie miał już kul w magazynku, a Baśka prawie chwytiała go za gardło. Dopadłaby go, gdyby nie polecili oboje w dół razem z całą kuchnią.

Zawiśli dwa metry nad ulicą. Korycki opierał się plecami o strzaskaną ramę okienną, próbując nie myśleć o tym, jak trzeszczy pod jego ciężarem umęczone drewno. Odnalazł dłonią zapasowy magazynek podczepiony do pasa, ale choć starał się poruszać jak najszybciej, zdawał sobie sprawę, że nie zdąży przeładować. Baśkę impet uderzenia rzucił prosto na niego. Przygniatała go teraz do resztek okien i właśnie unosiła głowę.

Nie wyglądała pięknie. Kule strzaskały jej część czaszki, mózg wyciekał przez pęknięcia. Jedno oko wypłynęło, ale Korycki nie wiedzieć czemu miał pewność, że kobieta nie potrzebowała już wcale oczu. Ciemność gnieźdząca się w pustym oczodole sprawiała wrażenie żywej, podobnej do Zmory.

– No i doigrałeś się – wychrypiała nie swoim głosem i uniosła ramię do ciosu.

Grabińskiemu udało się odstrzelić jej dłoń, na twarz Koryckiego spadł tylko skrwawiony kikut. Baśka wrzasnęła, próbowała wstać, a wtedy resztki framugi pod plecami mężczyzny poddały się nareszcie i załamały, wypuszczając go na ulicę.

Upadł z jękiem. Spróbował się podnieść, ale obolałe ciało nie chciało go słuchać. Złamał coś? Chyba nie. Ale wypuścił broń z ręki. A Baśka, choć nie wypadła, ochoczo wyskoczyła za nim na ulicę.

Wylądowała jak kulawy kot, na trzech kończynach, i natychmiast ruszyła na czworaka w stronę ofiary. Grabiński znów strzelił, znów trafił i znów nie przyniosło to żadnego efektu. Poprawił natychmiast, odstrzeliwując jej stopę. Upadła, ale zaraz wstała koślawo, a niewiele dzieliło ją już od wciąż niepotrafiącego wstać Koryckiego.

Nagle otoczyły ją wyrastające prosto z ulicy kolczaste gałęzie. To Sara włączyła się do walki.

Kolce wbijały się w zmaltretowane ciało mścicielki, lecz nie zdołały zatrzymać jej zbyt długo. Cóż z tego, że rozrywały skórę i raniły głęboko, kiedy połamała je bez trudu? Sara cisnęła w nią kolejnym zaklęciem, ale jakąkolwiek niosło siłę, Baśka odbiła je bez trudu.

Czarownica aż sapnęła ze zdziwienia. Opętana uśmiechnęła się do niej szyderczo.

– W niej jest to samo, co w Mirku! – ostrzegł Korycki.

– Nie, nie to samo – odparł ktoś za nim. – Ani trochę nie to samo.

Zaskoczony generał odwrócił się, by zobaczyć drobną postać, być może kobiety, gdyby można tak nazwać istotę o skórze tak czarnej, jakby światło starało się jej unikać, i skośnych oczach płonących ciemnością.

Stojący za Zmorą Kutrzeba mrugnął do Koryckiego.

– Czekaliśmy, czekaliśmy, aż się do czekaliśmy – zawołał. – No, bierz ją, maleńka!

Zmorze nie trzeba było dwa razy powtarzać. Rzuciła się na stworzenie będące niegdyś zwyczajną Basieńką z Kielc, by po raz pierwszy zetrzeć się z innym demonem zemsty. Stwór ryknął wściekle i także ruszył do ataku, porzucając przy tym udręczone ciało nosicielki. Zwłoki Baśki osunęły się na ulicę, a ku Zmorze śmignęła czarna błyskawica.

W tym momencie budynek, wstrząsany cały czas walką olbrzymów, zawalił się ostatecznie. Chmura pyłu skryła na kilkanaście sekund wszystko w okolicy. A gdy opadła, Zmora, cała w resztkach tynku, była sama. Za nią Burzymur opierał nogę na gardle Żelaznego Marcina. Kije samobije wciąż okładały zwycięzcę po głowie w daremnych wysiłkach.

– Burzymurciu! – załkała Sara, odganiając magiczną broń zaklęciem.

– Uciekł. – Zmora spojrzała na Kutrzebę zdziwiona.

– Uciekł? – spytał, podchodząc do niej. – On?

– Tak, to facet. To chyba logiczne, że zemstą mężczyzny jest kobieta, a baby facet?

– Hej, wy dwoje! – przypomniał o sobie wciąż leżący na ulicy Korycki. – Może pomogliście mi wstać? Cholera, co za rozpizd! A

miałem nadzieję załatwić to wszystko po cichu. Ej, co jest?

Zamarł, widząc lufę pistoletu Kutrzeby wymierzoną w środek swojej głowy.

– Zwariowałeś? – jęknął.

– Może tak, może nie. – Zmora pochyliła się nad generałem, otrzepała mu pył z głowy. – Panie Szósty?

Korycki zeszywniał.

Szukając pomocy, obejrzał się na wciąż tkwiącego na dachu Grabińskiego. Ten zamarł. Dupa, nie agent! Szulerowi opadła ze zdziwienia szczęka. Opanował się prędko, zeskoczył z dachu, niezgrabnie upadł na jedno kolano, zaklął, choć to ulica ucierpiała bardziej. Podbiegł do Koryckiego. Spojrzał na niego po swojemu. Plątało się teraz wokół niego nie mniej prawdopodobieństw niż wokół Kutrzeby. Ale bóg nie potrafił odnaleźć wśród nich tego najważniejszego.

Za to inne przyciągnęło jego uwagę. Ciekawe. Spojrzał na Mirka. Czy dobrze zgadywał?

– Niemożliwe! – zawołał. – On?

– Ano, on. Miał, skurwiel, swoje powody. Ale ja mam je w dupie – potwierdził Kutrzeba i strzelił.

Rozdział czterdziesty siódmy

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

Z miny hrabiego Rostowa dało się łatwo odczytać, że nic a nic nie rozumiał z sytuacji, w której się znalazł. Przybył po triumf, po gest, który miał mu pozwolić ostatecznie uwolnić się od tego przeklętego Polaka, Kutrzeby. Miał go kiedyś wprowadzić za przyjaciela, ale łajdak okazał się prawdziwą klątwą. Wytłumaczył to hrabiemu niedawno pewien człowiek, który dotarł doń poprzez obraz jego małżonki. Dowody były niepodważalne.

Czy to nie awanturnictwo Kutrzeby ściągnęło śmierć na hrabiego i jego córkę? Czy nie on wprowadzał zamieszanie w Malowanej Moskwie, gdzie przez blisko dwieście lat działał potajemnie? Cokolwiek zamierzał, musiało się skończyć katastrofą, bo tak zawsze kończyły się wszystkie jego działania.

Jedyne, co pozostawało kochającemu a szalenie zaniepokojonemu ojcu, to wkroczyć i ostatecznie zabezpieczyć przyszłość córki. Na szczęście wszystkie problemy dało się rozwiązać jednym posunięciem. Ślub z Kutuzowem czynił Olgę kobietą zamężną, a zatem niedostępną dla Kutrzeby. Co więcej, kończył męczący spór z dyktatorem i pozwalał połączyć siły w celu stłamszenia nieznośnej Rewolucji, której nie dość było, że zniewoliła Rosję w Twardym Świecie, to jeszcze wyciągała swoje proletariackie łapy po Malowaną Moskwę, ostatnią ostoję świętego kraju.

Wszystko szło tak dobrze! Kutuzow przystał na jego plan z ochotą. Udało się zaskoczyć Kutrzebę. I kota... No tak, kota hrabia się nie spodziewał. Nie takiego w każdym razie. Od wiernych sług słyszał wprawdzie, że jakiś kocur szarogęsi się w pałacu, lecz co go obchodził choćby niezwyčajny sierściuch? Ale potem go zobaczył.

Zdecydowanie, jego córka nie powinna zadawać się z takimi dziwakami!

Widok rannej, poobijanej Olgi wstrząsnął hrabią. Prawdziwy cud, że zdążył, nim ci dwaj doprowadzili ją do ostatecznego upadku... Polak i kot. Nie planował ich zabijać. Kota byłoby jakoś głupio, trudno go zresztą traktować jak kogoś równego człowiekowi. Jednak Kutrzeby hrabia też nie zamierzał pozbawiać życia, pamiętał, że byli kiedyś towarzyszami broni. Trzeba tylko przetrzymać tego człowieka w zamknięciu do momentu ślubu. A potem odesłać gdzieś... Nie do dóbr pod Moskwą, bo hrabina Aleksandra też przejawiała dziwną słabość do tego mężczyzny. Może do Malowanego Paryża? Niechby się tam zagubił pośród tych wszystkich odblasków słonecznych. Może nawet dobrze by mu zrobiła taka odmiana?

Wszystko szło więc jak najlepiej i nawet zaręczyny udało się ogłosić. A tu masz! Biegli teraz bocznymi korytarzami, uciekając przed kremlowską gwardią, i prowadził tę ucieczkę nie kto inny, jak sam Kutuzow, dyktator Kremla!

Dlaczego władca miałby uciekać przed swoją gwardią, hrabia mógł się łatwo domyślić. Przeklęta gwardia od zawsze stanowiła dla carów powód do niepokoju, większy nawet niż polskie rebelie czy czeczeńscy górale. Jednych i drugich dawało się pacyfikować,

zresztą działali oni z dala od stolicy i póki nie wynaleźli bomb miotanych w carskie powozy, nie byli tacy znów groźni. Ale gwardia to co innego. Gwardię carowie mieli pod bokiem, a ona uważnie im się przyglądała i – co tu kryć – mordowała starych, by wynosić nowych, jeśli z jakichś powodów władcy zaczynali gwardii przeszkadzać.

Szkoda, że Kutuzow nie wyciągnął właściwych wniosków ze starych lekcji. Pretorianie, janczarzy, gwardziści – nie ma nic groźniejszego dla panujących niż ich elitarne oddziały. Przez jego zaniedbanie musieli biec teraz korytarzami dla służby, strzegąc się tych, których uważano dotąd za oddanych dyktatorowi. Każdy lokaj i każda pokojówka mogli się okazać uczestnikami spisku.

Zaledwie kilka minut temu Mikołaj Rostow cieszył się ze zwycięstwa. Teraz nie był pewien, czy przeżyją.

Co gorsza, wciąż nie mógł zapomnieć o wielkim czarnym kocie, prowadzącym szturm podobnych mu, choć mniejszych czteronogich komandosów. Gdy to, co nie było jednak palbą na wiwat, ale starannie odmierzoną salwą artyleryjską, roztrzaskało okna, zmieniając w krwawą miazgę eleganckie pary złożone z samej elity Kremla, zaatakowały koty.

Czegoś takiego hrabia jeszcze nie widział, choć przecież polując na Dzikich Polach napatrzył się na różne okropieństwa. Nieliczni ocalali strażnicy próbowali się bronić, ale jak tu przebić szablą rozpędzony niewielki kłębek futra, atakujący czterema uzbrojonymi w pazury łapami, zdałoby się ze wszystkich stron na raz?

Kutuzow przystanął nareszcie. Dyszał ciężko. Kiedyś, w dawno

minionej młodości, mógł być sprawnym oficerem zdolnym do znoszenia każdego trudu. Ale gdy malowano jego żywy portret, lata świetności miał już dawno za sobą. Powrócił jako ozywieniec, wygrzebał się z grobu, zdziwiony faktem, że szkielet znów obrósł mu ciałem, niestety nie na kształt młodości, a zaawansowanego wieku. I następnie takim utrwalono go na żywym obrazie.

Teraz oparł dłoń o zbroję jakiegoś starożytnego rycerza. Pchnął lekko głownię trzymanego przez nią miecza i nagle w ścianie ukazały się sekretne drzwi.

– Chyba tylko ja o nich wiem – wysapał. – Prędko!

Jeśli poprzednie korytarze wydawały się wąskie, hrabia nie miał pojęcia, co powiedzieć o tym. Musiał wręcz przeciskać się między wilgotnymi ścianami, cały czas poruszając się w kompletnych ciemnościach. Stanowił straż tylną, przed nim szła Olga, prowadził Kutuzow.

„Biedactwo, zrujnuje sobie suknię – hrabia spróbował się uspokoić, skupiając myśli na jednym w miarę neutralnym temacie. – Dobrze, że jednak założyła tę granatową zamiast błękitnej. Szkoda by jej było. Ale nawet ta... Pomyśleć, że ten jeden raz rzeczywiście przydałby się jej męski strój!”

Dotarli do obszerniejszego pomieszczenia. Tam Kutuzow odnalazł przełącznik w ścianie i nagle hrabia musiał zmrużyć oczy, by ochronić je przed nieprzyjemnie jaskrawym, zimnym światłem.

– Elektryczność – pochwalił się dyktator, opadając na jeden z foteli umieszczonych w tym dziwnym salonie bez okien, do którego trafili. – Mimo wszystko kilka rzeczy mi się udało. Zainstalowałem ją, korzystając z odrobiny swobody. Nie było łatwo, możecie mi

wierzyć. Usiądźcie państwo, proszę. To miejsce to jedna z moich tajnych, mam nadzieję, kryjówek. Prawdziwy bunkier. Nawet jeśli go odnajdą, nie sforsują łatwo jego zabezpieczeń. Może ci wasi wygrają, wtedy mamy szansę. Gratuluję, hrabio, piękny pozorny gambit.

– Dziękuję – wymamrotał Rostow, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc. Usiadł w fotelu, rozejrzał się. Odnalazł stoliczek zastawiony gromadką butelek. Spróbował wstać, żeby po nie sięgnąć, ale zabrakło mu sił. – Jakże to? Pan liczy, że wygrają nasi? Jaki gambit? Jacy „nasi”, na miłość Boską? Olgo...

Podeszła prędko, otworzyła pierwszą z brzegu butelkę, napełniła jej zawartością dwie szklanki. Jedną podała ojcu, drugą narzeczonemu.

– Zostańcie tu, ja muszę już iść – oświadczyła. – Muszę też zwrócić panu słowo, książę. – Zdjęła pierścień z palca i podała go Kutuzowowi. A potem, nim hrabia Rostow zdołał uświadomić sobie, co jego córka zamierza, zaczęła zdzierać spódnice.

– Kochanie! – zaprotestował przerażony, że zaraz zobaczą z Kutuzowem to, czego w żadnym razie oglądać nie powinni. Jednak to nie bielizna ukazała się ich oczom, ale ukryte pod sprytnie uszytą spódnicą spodnie.

– Była pani gotowa – cmoknął z uznaniem Kutuzow. Zwrócił jej pierścień. – Co dałem, niech do mnie nie wraca. Niech go pani zatrzyma na pamiątkę, bez zobowiązań. Zakładam, że niestety nie przybyliście mi na ratunek?

– Ten plan jest mniej przemyślny, niż się panu zdaje, wasza książęca mość. – Olga skończyła obdzierać resztki krępującego ją

odzienia.

Wyglądała teraz przedziwnie. Od pasa w górę wciąż odziana w to, co pozostało z eleganckiej niegdyś sukni, ściśle opięta gorsetem, od pasa w dół z kolei ubrana w przylegające do nóg spodnie. Rozejrzała się, na jednym z prężących się pod książęcymi ubraniami manekinów dojrzała pasujący kolorem do resztek sukni surdut. Narzuciła go prędko.

– Ech, nie dopnę... W pasie za szeroki, ale wyżej... Oni nie przybyli ratować pana, lecz mnie. Nie mieliśmy pewności, że jest pan więźniem we własnej twierdzy. Kot kiedyś rzucił takie przypuszczenie, ale wyśmialiśmy je. Szczur sądził, że przywódca tego, co nazywamy „trzecią siłą”, ukrywa się gdzieś na Chitrowce. A tymczasem, proszę, nie było żadnej trzeciej siły... Albo nie była taka, jak sądziliśmy. Tylko pan i ten, kto pana zniewolił. Muszę wiedzieć, gdzie go znajdę.

– Córeczko! – zawołał hrabia. – Nie możesz tam iść! Tam trwa bitwa!

Podbiegła do niego, ucałowała go w oba policzki.

– Papo, trwa wojna. Większa i straszniejsza, niż sobie wyobrażaliśmy. Nie rozstrzygniemy jej tutaj, ale przynajmniej możemy uratować Moskwę. Zaufaj mi, proszę.

– A mam inne wyjście? – bąknął. W tej chwili przypominała mu matkę, silną, zawziętą i pewną swego. Jedyne, co odróżniało Olgę od tamtej władczej bogini, to fakt, że dziewczyna wciąż potrafiła uśmiechać się szczerze i radośnie. – Nawet nie rozumiem, co tu się dzieje.

– Jego wysokość papie wyjaśni. Książę, proszę nie mówić mi, że

nie ma pan tu ukrytej broni i jakiegoś wyjścia ewakuacyjnego!

– Pistolety znajdzie pani tam. – Wskazał jedną z ciężkich drewnianych szaf. – A także szable, gdyby miały się na coś przydać. Fechtuje panna?

– Jak dotąd tylko na treningach, wasza księżęca mość.

– Proszę więc zaufać staremu żołnierzowi i zdać się na pistolety. Niech się pani nie waha, gdy przyjdzie co do czego. On nie będzie miał litości.

– Nie zawaham się – zapewniła, choć wcale nie była tego taka pewna. Znalazła pas z rewolwerami, okręciła go wokół bioder, zapięła. Po chwili zastanowienia wzięła też i szablę. Lepiej potem nie żałować, że jej zabrakło. – Gdzie go znajdę, wasza księżęca mość?

– Ma swoją pracownię w piwnicach, we wschodnim skrzydle. Tam przebywa najchętniej.

Kutuzow wstał, podszedł do zajmującego prawie całą ścianę portretu, przedstawiającego jego samego w młodzieńczych czasach.

– Martwe obrazy w żywym obrazie. – Uśmiechnął się smutno, naciskając lekko na lewą ramię, co spowodowało, że całość odsunęła się na bok i odsłoniła otwór w ścianie. – Portret z czasów mojej młodości, której ten ja tak naprawdę nigdy nie miał. Państwo zdajecie sobie sprawę, że nie do końca jesteśmy tymi, którymi byliśmy za życia?

– Taką mam nadzieję – zawołała Olga i nim wkroczyła w ciemny korytarz ukryty za portretem, pocałowała jeszcze Kutuzowa w policzek. – Dziękuję, wasza księżęca mość.

– Powodzenia, panienko. Szkoda, że nie chcesz tego pierścienia.

Może w to nie wierzysz, ale pasowalibyśmy do siebie.

– Proszę mi wybaczyć zuchwałość, wasza książęca mość, ale mam już do kogo pasować – oświadczyła, po czym ruszyła biegiem przed siebie.

Gdy zniknęła w ciemnościach, Mikołaj Rostow ocknął się. Znalazł siłę, by poderwać się z fotela i ruszyć za nią. Kutuzow złapał go za ramię, powstrzymał.

– Proszę zostawić tę awanturę młodym, hrabio. My się jeszcze nawojujemy, gdy trzeba będzie po nich posprzątać.

– To moja córka!

– I moja dwukrotna narzeczona. – Dyktator uśmiechnął się i używając nieco siły, zaprowadził hrabiego z powrotem na fotel. – Dlatego musimy zadbać, żeby miała gdzie mieszkać, gdy się to wszystko skończy. Proszę, niech pan usiądzie. Młodzi niech walczą, my zacznijmy omawiać warunki pokoju.

– Niech mi pan choć powie, o kim żeście rozmawiali! Kto pana niewolił? Kogo ona ściga?

– Pana samozwańczy sojusznicy nazywają go, zdaje się, Szóstym.
– Książę zmarszczył brwi. – Ja znam go pod przydomkiem Alchemika. Wkupił się w moje łaski, został najważniejszym po mnie człowiekiem na Kremlu. Wiedział tak wiele o Transporcie Galicyjskim i o Kutrzebie! A także o Moskwie Rostowów. Polegałem na nim. I zanim się zorientowałem, okazało się, że to już nie ja tutaj władam...

Szczur sparował pchnięcie olbrzymiego, ale niezbyt rozumnego i

nazbyt powolnego żołnierza Kremla. Roztrzaskał mu prędko czaszkę ciosem własnej szabli i obrócił się, by obronić się przed biegnącym ku niemu kolejnym napastnikiem. Zawahał się. Rozpoznał tę parszywą gębę.

– Jak już będzie po wszystkim, ty cholerny szpiegu, policzymy się!
– wrzasnął porucznik gwardzistów Rostowa, osłonił Szczura przed zdradzieckim ciosem od tyłu, po czym, wydając okrzyk, który zabrzmiał podejrzenie radośnie, rzucił się w wir walki.

Szczura otaczali walczący zapamiętałe żołnierze Kremla, zdecydowani bronić twierdzy przed każdym, choćby i kotami wspieranymi przez nielicznych gwardzistów Rostowów. Wśród ruin pałacyku, w którym odbywał się bal, tak bezwzględnie potraktowany salwą przejętej przez koty na murach artylerii, Szczur starał się przebijać ku schodom, na których stała Olga. Kiedy wbiegł tam z kotami, zobaczył jeszcze, jak Kutuzow odciąga ją w głąb korytarza. Próbował podążyć za nimi, jednak wtedy do środka wpadli kremlowscy i trzeba było zająć się nimi.

– Wciąż ich przybywa! – zameldował Behemot, przeskakujący po głowach walczących i rozdający ciosy na prawo i lewo. – Jeszcze chwila i zmiażdżą nas samą masą! Moi mają już dosyć. Zabawa przestaje być tak przyjemna, gdy przychodzi w niej umierać!

– A nie macie dziewięciu żyć?

– Każda śmierć boli. Szykuj się do ucieczki.

– Nie mamy Olgi!

– Więc tak uciekaj, żeby ją gonić. Fajtlapy, co ja z wami mam!

Wydał z siebie przeraźliwe, przeciągłe miauczenie, które na moment zagłuszyło inne odgłosy. Ludzie na ułamek sekundy

zamarli ze zdumienia. A po chwili zaczęli się rozglądać, zaskoczeni, bo te wściekłe koty, które przez ostatnie minuty starały się wydłubać im oczy, nagle gdzieś zniknęły.

– Przegrupowanie – szepnął kocur. – Czekaj...

Niespodziewanie koty znów wyskoczyły spod nóg walczących, tym razem atakując tak, by otworzyć drogę ucieczki Szczurowi i Behemotowi.

– Na schody! – warknął ten drugi i pierwszy pognął przed siebie.

– Za mną! – zawołał do porucznika gwardzistów Szczur. Nie czekał jednak, by sprawdzić, czy tamten go posłuchał.

Ledwie udało im się dopaść schodów, koty znów zniknęły. Zrobiły swoje i miały dość. Od tej pory musieli radzić sobie sami. Prawie sami, bo porucznik gwardzistów jednak zdołał przebić się wraz z nimi. Czarny mundur porwany miał na strzępy, poznikały gdzieś wszystkie ordery. Krwawił z płytkiej rany na czole i ze znacznie cięższej w lewym ramieniu. Utykał lekko.

– Tylko ja zostałem – dyszał ciężko. – Ot, nielekka będzie śmierć, ale chwalebna.

– Pieprzyć śmierć! – Szczur pociągnął go na korytarz. – Mamy robotę! Trzeba znaleźć Olgę i hrabiego!

– Panienkę, chciałeś powiedzieć, szpiegu? – Gwardzista zmierzył go zimnym spojrzeniem. – Hrabiankę Olgę Nikołajewnę Rostową? Tak się o niej powinni wyrażać tacy jak ty.

U stóp schodów strażnicy kremlowscy zaczynali się już orientować, że tym razem ich najgroźniejsi wrogowie zniknęli na dobre. Przestali osłaniać dłońmi krocza i twarze, rozglądać się po podłodze w poszukiwaniu przyczajonej futrzastej śmierci. Kilku

spojrzało już ku schodom, a dwóch nawet przymierzyło się do strzału.

– Mówił o mojej dziewczynie i jej starym! – pisnął, widząc to, kocur. – W nogi!

Nie była to łatwa ucieczka. Ścigani przez strażników strzelających w biegu, więc niecelnie, ale przecież groźnie, musieli też radzić sobie z innymi kremlowskimi, starającymi się zastąpić im drogę. Szczur roztrącał tych, którym się to udało, rycząc bardziej jak nawiedzony niedźwiedź niż jak człowiek. Kocur wydrapywał oczy we wściekłych atakach, wydawało się, że zmieniał kierunki skoku w locie. Gwardzista siekł zapamiętane każdego, kto odważył się stawić mu czoła. Klął ze złości, ale chyba i ze strachu, coraz bardziej zdumiewał się samym sobą i tamtymi dwoma, ale szedł przed siebie i walczył, przekonany, że nie padnie, póki oni nie padną.

Przebili się na ulicę. Zaskakująco pustą. Spodziewali się, że wyjdą prosto w dwuszereg wycelowanych w nich luf, jednak nikt nie pofatygował się, by obstawić akurat to wyjście. Atak na Kreml wywołał takie zamieszanie, że żołnierze miotali się po całej twierdzy, obejmującej przecież trzecią część Moskwy. Tylko ci, którzy strzegli sali balowej, wiedzieli, kim byli atakujący, pozostali uwijali się w ufortyfikowanym mieście w mieście, próbując zgadnąć, kim byli przeciwnicy i gdzie się mogą pojawić. Ignorowano koty, słano posiłki do ruin pałacu, skąd dobiegały odgłosy walki, a wszystko to czyniono w ogromnym chaosie, potęgowanym nieobecnością nie tylko Kutuzowa, ale też jego prawej ręki, człowieka zwanego Alchemikiem, który od kilku dziesięcioleci coraz

częściej zastępował księcia, usuwając się w cień wyłącznie podczas oficjalnych okazji i wystąpień publicznych.

– Gdybyśmy mogli dopaść koni... – zasugerował gwardzista.

– Nie zostawimy Olgi!

– Nie to miałem na myśli! Do diabła, za kogo mnie masz, szpiegu!

Trzeba przyszykować drogę ucieczki!

– Konie zwrócą uwagę... Musimy...

– Musicie się gdzieś schować, fajtlapy! – zirytował się kocur. – Przyciągniecie uwagę w tych czarnych mundurach. Ukryjcie się, przebierzcie w łachy po jakichś tutejszych trupach, a znalezienie dziewczyny zostawcie mnie. Szybko, łajzy, nim wylezie tu za wami pościg!

Nie czekał na ich reakcję, tylko odbił się wszystkimi czterema łapami, wskoczył na gzyms i wspiał się na dach.

Posłuchali go i czmychnęli. W biegu zrzucili czarne kurty i koszule, pozostając w samych spodniach. Tu nie znaleźli zwłok, które mogliby obrabować. Starali się unikać ulic pełnych żołnierzy. Kreml nie posiadał bocznych, wąskich uliczek. Zamek, wzniesiony jeszcze przez carów, rozbudowano tak, by każdy budynek mógł w nim stanowić małą twierdzę, ale także by wszystkie ulice były odpowiednio przestronne dla kolumny wojska. Niczego nie domalowano tu przypadkowo. Poszczególne dzielnice i ich kwartały otaczano murami, wszystkie drogi biegingy do siebie prostopadle bądź równolegle. Co dziesiąty budynek pełnił rolę arsenału.

– Koszary, a nie miasto – mruknął Szczur, przemykając w cieniu murów.

– Mnie też się podoba. – Gwardzista skinął głową. – Gdybyśmy

się włamali do którejś z tych zbrojowni, znaleźlibyśmy może jakieś mundury?

– Za dobrze strzeżone. Pilnuj pan, czy nikt nie idzie, a ja uwolnię jednego z tutejszych mieszczan od nadmiaru marności.

– Marności?

– Przywiązanie do dóbr materialnych to słabość, nie wiedział pan?

– Szpieg i na dodatek złodziej!

– Dziękuję, ja nie mam dla pana komplementów.

Nie czekając na odpowiedź, Szczur wspiął się po gzymsie nieco mniej zgrabnie od kota, ale nie mniej skutecznie. Chwilę zmarudził z oknem, ale podważył wreszcie blokującą je od wewnątrz zasuwę. „Partacze!” – rzucił na użytek gwardzisty, po czym zgrabnie zniknął we wnętrzu mieszkania.

Do uszu oficera dobiegł stłumiony prędko pisk, zaraz potem głębokie westchnienie. Niespełna minutę później na ulicę zeskoczył Szczur, już w białej koszuli i brązowym kaftanie. Gwardziście posłał podobne odzienie.

– Ciasne – ocenił oficer, przyglądając się, jak Szczur ociera usta z czegoś, co wyglądało jak czerwona farba. – Mierzyłeś pan pod siebie, a ja jestem solidniejszej postury. Co to było, tam na górze?

– Gospodyni. Trochę zaskoczona.

– Jezusie! Ogłuszyłeś ją pan? Kobietę?

– Tak jakby. W każdym razie zemdląca.

– Szpieg, złodziej i damski bokser!

– Nie wiem, jakim cudem chcecie wygrywać jakiegokolwiek wojny z tymi wszystkimi zasadami. Czekaj pan, nie pyskuj! Coś słyszę! Jakby kota.

Chwilę później usłyszał i gwardzista. A także zobaczył.

Niespełna sto metrów od nich po dachu kamienicy gnał jak szalony kocur, drąc się najgłośniej, jak potrafił, i wzywając pomocy. Kroku z trudem dotrzymywała mu hrabianka Rostowna, ubrana bardzo dziwnie, bo w górę od sukni, na którą narzuciła miejscami zbyt obszerny, a miejscami przyciasny surdut, oraz w spodnie. Szabla kołysała się jej przy boku ponad miarę, tłukąc dziewczynę po udach.

– Pomocy! – darł się ile sił w płucach kot. – Ratujcie, prawosławni! Diabeł nas goni!

Istotnie, ścigał ich prawdziwy potwór. Wielki, wyższy nawet od gwardzisty ptak, złożony wyłącznie z kości i piór, przebierał dwiema nogami i rozkładał dziwnie postrzępione skrzydła. Czarnym dziobem, z którego buchał ogień i dym, próbował dosięgnąć uciekinierów. Prawie mu się to udawało.

Przypominał pokraczną wronę o poprzypalanych piórach, wyrastających z samych kości.

Gwardzista przeżegnał się odruchowo, ale zaraz ruszył na pomoc. Szczur nieco dłużej przyglądał się maszkarze, próbując dostrzec jakieś jej słabości. Widział już wiele, ale nigdy czegoś podobnego. Wreszcie wypatrzył prześwitujące między kośćmi, bijące żywo płonące serce. Uniósł pistolet. Wycelował powoli, ostrożnie, wstrzymując oddech. Strzelił, ale chybił. Kula uderzyła w skrzydło potwora, nie robiąc mu krzywdy.

Niemniej przyciągnęła jego uwagę.

Ptak zatrzymał się. Zwrócił gorejące oczy ku strzelcowi.

– Ty! – zaskrzeczał. – Ty!

I rzucił się z dachu.

Rozłożył skrzydła, szybując na nich niezgrabnie. Opadając, obalił gwardzistów ciosem potężnego szponu. Gdy wylądował przed Szczurem, bruk pod nim pękł. Ptak zachwiał się, zgubił kilka piór, a te, ledwo oderwały się od reszty, zapłonęły i w mgnieniu oka zmieniły się w popiół.

– Ty i ja – wyskrzeczwał ptak. – Tu i wszędzie.

– Nie kręć. Zmajstrowałeś sobie jakiegoś wroniego kościeja, ale to nie ty. Załatwię twoje ptaszysko, a potem dorwę ciebie.

Żaden z nich nie zwracał uwagi na żołnierzy, których przyciągnęło to widowisko. Obok straży Kremla z całego miasta zbiegło się też pospolite ruszenie, przyciągane odgłosami walki, wrzaskami kota i skrzeczeniem kościeja. Ptak przekrzywił głowę, nasłuchując przemowy Szczura. Zaśmiał się szyderczo.

– Jestem duszą spalonej Moskwy! – wrzasnął. – Splątany wspomnieniem wszystkich jej wron i kruków, świadków głodu armii Napoleona! Spalono mnie i pożarto, a jednak jestem! Nic mi nie zrobisz!

Skoczył na Szczura, ledwie skończył mówić. Mężczyzna zareagował błyskawicznie. Uniósł pistolet, wycelował w serce, teraz lepiej widoczne i znajdujące się w odległości, z której kula pistoletowa mogła go skutecznie dosięgnąć. Ale nie wystrzelił, bo potężny cios skrzydła wytrącił mu broń z ręki i obalił go na ulicę.

Wroni kościej zaskrzeczał radośnie.

Rozdział czterdziesty ósmy

Rok 1977 starego kalendarza, 25 rok Pokoju,

Kraków

– A więc zastrzelił go pan? – Admirał, jak zawsze spokojny, ale i jak zawsze czujny, przyglądał się Kutrzebie zza biurka o szerokim blacie, zapchanego całą masą dokumentów, kałamarzami i stojakiem na pióra.

Leżał na nim i kindżał, służący za nóż do rozcinania papieru, zdolny jednak w razie czego podrzynać gardła. A pod jedną z teczek z pewnością czaił się nabity pistolet. Nie siada się naprzeciwko ludzi takich jak Kutrzeba bez zabezpieczenia. Zwłaszcza gdy odprawiło się strażników, by nie słyszeli zbyt wiele.

– Tak ślubowałem. Że zabiję ich wszystkich sześciu.

– A Korycki na pewno był tym Szóstym?

– Na pewno. Jego nazwisko podał mi zabójca, którego dorwałem w Rumunii. Sprawa pociągu, wie pan.

– Znam ten... kłopot. Ale nazwisko... Każdy mógł się podszyć pod Koryckiego, żeby go zrobić.

– Ten zabójca opisał go bardzo dokładnie.

– Więc mógł chcieć go zrobić.

– To nie był żaden spiskowiec, Admirale, tylko cyngiel do wynajęcia. Ale tak, mógł chcieć go zrobić. Więc sprawdziłem swoje źródło.

– Jak?

– Zastrzeliłem drania, a potem spętałem i przesłuchałem jego duszę.

– Stosuje pan dość bezwzględne metody.

– Stosuję skuteczne metody. Ten zabójca spotkał się z Koryckim i przyjął od niego zlecenie na moją głowę. Ale nie poprzestałem na tym. Badałem sprawę dalej. Korycki pasował do wszystkich tropów. Łatwo mógł mnie wykorzystywać, żeby gmatwać ślady, usuwać świadków, podsuwać mi fałszywki.

– A jak zdołał ukryć się przed tą pańską...

– Zmorą?

– Tak... Czy to prawda, że nie żyje?

– Zamordowano ją w Belgradzie. Nie wiem, jak zdołał ukryć przed nią, kim był, prawdę mówiąc. Może ten bóg, którego przywołał, potrafił go maskować? Proszę posłuchać, Korycki miał motyw. Najsilniejszy, jaki znam. Sam się mścił. Sprawa Chochola, zna ją pan?

– Tak. Korycki przeżył wtedy istotnie coś w rodzaju załamania nerwowego...

– Chciał się zemścić na ludziach, których nie był w stanie osiągnąć. Nie normalnymi metodami. Potrzebował siły i władzy. Zwerbował i wykorzystał tamtych pięciu, ukrył się za nimi, a potem usunął ich moimi rękami. Ale najpierw się zemścił. Proszę mi wierzyć, rozumiem go.

– Ale mimo to go pan zabił.

– Tak to już jest z zemstą.

– I nie boi się pan, że jej reguły osiągną teraz pana?

– Na pewno osiągną. Są te Mojry, chyba ich nie wybiliśmy do

końca. A Korycki miał dzieci. Gdy dorosną, pewnie ruszą moim tropem.

– Hmm... Tak. Panie Kutrzeba, będę szczery, nie wiem, co z panem zrobić. Zabił pan mojego najlepszego agenta. Wprawdzie okazał się zbyt samodzielny i niebezpieczny... Kto wie, może jestem panu winien wdzięczność? Ale jest pan zbyt niebezpiecznym człowiekiem, bym po prostu pana wypuścił.

– Zabije mnie pan?

– Nie wiem, czy bym się odważył. – Skąpy uśmiezek wykrzywił usta Admirala. – Pańscy towarzysze uciekli. Są prawie tak groźni jak pan. Mam propozycję. Zastąpi pan Koryckiego, będzie pracował dla mnie. W zamian za to zapewnię panu względne bezpieczeństwo i nawet nie będę ścigał tych pańskich pomocników. O ile wydadzą nam ciało, żebyśmy tym razem mogli pochować je naprawdę.

– Spaliłem to ścierwo.

– Aż tak go pan nienawidził?

– Aż tak bałem się, że mógł się jakoś zabezpieczyć. Dobremu magikowi mogłaby wystarczyć zachowana kropla krwi. Więc spaliłem wszystko.

– Pana zapamiętałość robi na mnie wrażenie. Naprawdę. Zakładam, że przyjmuje pan moją propozycję?

– A mam inne wyjście?

– Może pan po prostu wyjść, wyjechać z Polski. Nie będę pana ścigał, jeśli pan to zrobi i będzie się trzymał z dala od spraw tego kraju. Ale wie pan co? Myślę, że wtedy nie będzie pan miał po co żyć. Już pan nie ma. Nie daję panu szansy na wykaraskanie się z kłopotów, ale szansę na znalezienie nowego celu. Ja wiem –

machnął ręką – on będzie marny, zastępczy. Ale nic innego pan nie ma.

– Nic innego mi nie zostało – zgodził się Kutrzeba. – Mogę nie odpowiadać od razu?

– Poczekam do jutra. Do, powiedzmy, dziewiętnastej.

– Dziękuję.

– Nawet popiołu pan nie zostawił?

– Zebrałem go, wrzuciłem do gara, wygotowałem, a potem rozpuściłem w kwasie.

– Jezu. No dobrze, czekam do jutra. Niech pan mnie nie zawiedzie podjęciem złej decyzji.

Kutrzeba wstał, uklonił się. Kapelusz założył, dopiero gdy zamknęły się za nim drzwi gabinetu najpotężniejszego człowieka w Krakowie, a pewnie i jednego z najpotężniejszych w kraju. Członkowie zarządu Kolei Galicyjskich mogli mieć więcej pieniędzy, ale i tak wzbudzał w nich lęk. Admirał mógł udawać, że był pod wrażeniem zaciętości Kutrzeby, może nawet rzeczywiście był. Ale decydował o życiu i śmierci dziesiątek ludzi, których zabijał bądź zbawiał jednym podpisem, a czasem jednym słowem. Mirosław wiedział, że znalazł się już na jego liście, nie wiedział tylko, po której stronie.

Drzwi gabinetu strzegło dwóch strażników, dwóch następnych stało na końcu korytarza. Nie jacyś tam ochroniarze z przeceny, ale twardzi zabójcy. Tacy sami oddali mu broń dopiero na parterze budynku, królującego nad ulicą Wielopole. Mieściły się w nim oficjalnie biura sześciu różnych firm. Nikt nigdy nie zwrócił uwagi na to, jak niewielu przychodziło tu klientów. Nikt nigdy nie

zastanawiał się, dlaczego większość pracowników tych firm wygląda jak typy spod ciemnej gwiazdy.

Ludzie po prostu woleli nie zauważać pewnych rzeczy. Tak było zdrowiej.

Gdy Kutrzeba schodził po schodach, zastanawiając się, czy iść dalej Wielopolem ku Rynkowi, gdzie mógłby złapać jakąś dorożkę, czy też od razu zawrócić ku ulicy Dietla, by wybrać się do Podgórze spacerem, olbrzymi facet, wyglądający nieco komicznie w wielkim, a i tak ściśle opinającym jego ciało prochowcu, oderwał się od jednej z kolumn strzegących bramy prowadzącej do siedziby Admirala. Przez kilka minut udawał, że śledzi Kutrzebę, jakby typ jego postury był w stanie zniknąć w tłumie przechodniów.

– Oglądałeś niewłaściwe filmy – zagadał doń Mirosław, gdy zrównali się krokiem. – Widać cię z kilometra. Przyciągasz spojrzenia bardziej niż seksbomba w samej bieliźnie.

– O, jest tu gdzieś taka? – rozejrzał się Strzelbicki.

– Niestety nie. Po coś przylazł?

– Podobno zabiłeś mi przyjaciela.

– Będziesz się mścił?

– Jeszcze nie.

– Wydajesz się zaskakująco spokojny.

– Śmierć i parę lat pustelniczego życia trochę mnie zmieniły.

Powiedz mi, to on?

– Co „on”?

– Parę lat pustelniczego życia nie zmieniło mnie aż tak, do cholery! Pracowałem w policji, kiedy ty jeszcze mściłeś się wyłącznie na pieluchach! Kurwa, pracowałem w niej, zanim

Marsjanie dowiedzieli się o istnieniu Ziemi!

– Słuchaj, wiem, że jesteś bohater wojenny...

– Kat to jakby glina – uparł się Strzelbicki. – Robiłem sekcje mordercom i ich ofiarom, nim stało się to modne.

– No i łapałeś bezpańskie psy – przypomniał Kutrzeba.

– Moi czeladnicy łapali! Nie zagaduj mnie, nie wciskaj kitu, tylko gadaj! On?

– Że niby Admirał?

– Że niby. On?

– A kto inny dysponował materiałem na to, żeby skrócić z umarlaka sobowtóra Koryckiego? Zrobili to raz, w Bielsku, to zrobili i drugi, wzór mieli, nie? Wysłali sobowtóra, żeby mój ksiądz dokładnie go sobie obejrzał. Chodź, złapiemy tę dorożkę. Ale nie gadaj po drodze. Pewnie nas śledzą. I to nie jacyś partacze. Żadnego ogona nie widzę, ale musi być. Tak po prostu by mnie nie puścił.

Pojechali do Podgórze, rozmawiając o drobiazgach: podrywanych i porzucanych kobietach, zmianach, jakie zachodziły w mieście i na świecie, polityce mocarstw... Zastanawiali się, czy Ziemowit Sobieski wreszcie się ożeni i kto wygra kolejne wybory do Rady Miasta. Ignorowali gazeciarzy i nie pozwolili się naciągnąć dorożkarzowi za kurs, za to zostawili mu napiwek. Wyszli pod „Bajką”, gdzie wypili po piwie, kłócąc się zawzięcie o przewagi Cracovii na Wisłą i na odwrót, a gdy przyciągnęli wystarczającą liczbę słuchaczy i ochoczych współdyskutantów, by przemienić kłótnię w burdę, zniknęli.

– Stare, sprawdzone metody – śmiał się Kutrzeba, gdy uciekali

piwnicami ku Wiśle. Wyszli ukrytymi schodami na zapleczu niewielkiej piekarni, w której piece stygły po nocy. Ostrożnie otworzyli jedno z okien i uciekli niezauważeni.

Lawirując między nadwiślańskimi ogródkami kawiarnianymi, skierowali się ku ulicy Rękawka, gdzie ukryli się w kolejnej knajpie, w której jak zawsze tłoczyli się robotnicy z zakładów pana Nowakowskiego, a mniej lub bardziej urocze dziewczęta w sukniach więcej odkrywających niż zakrywających okazywały życzliwość każdemu, kto im za nią zapłacił. Minęli na schodach korpulentną kobietę o księżycowej twarzy. Skrzywiła się na widok Kutrzeby, lecz nie powiedziała ani słowa. Wspięli się wyżej, na poddasze chronione prawdziwą płataniną zaklęć wyrysowanych na drzwiach i ścianach.

Zatrzymali się przed wejściem. Kutrzeba zastukał sześć razy w ustalonym rytmie. Mrugnął do Strzelbickiego na znak, że bawi go ta konspiracja.

– Po coś wyłaził z tych ruin? – zdziwił się na widok kata Korycki, unosząc wzrok znad szachownicy, na której przegrywał nie pierwszą partię z Grabińskim. – Kurde, ten staruch jest niepokonany, jak się napije! – zawołał do Mirosława.

– Uprzedzałem. – Kutrzeba wzruszył ramionami. Kompletnie niezainteresowany szachową batalią, skupił się na odparciu szturm, który przypuściła na niego Zmora.

– Nienawidzę, gdy wychodzisz beze mnie!

– Mogą cię wyczuć. Wszystko by się poszło... Sama wiesz.

– Wiem, ale ciągle mi się to nie podoba. Ona gapi się na mnie z wyrzutem. Nienawidzi mnie.

Wiedział, o kim mówiła. Żona i dzieci, wciąż nienakarmione i głodne.

– Już niedługo – powiedział.

Korycki i Strzelbicki stali naprzeciwko siebie bez słowa. Wreszcie ciszę przerwał kat.

– To już dwa razy cię niby zabili, tak? Cholera, więcej niż mnie.

– Tyle że ciebie naprawdę.

Padli sobie w ramiona. Kutrzeba, zajęty Zmorą, zdawał się tego nie zauważać, za to Sara i Burzymur, dotąd kłócący się o coś zawzięcie, przypatrywali się im bez skrępowania.

– Same żywe trupy na tym poddaszu – marudziła czarownica. – W jakie żeśmy towarzystwo wpadli, Burzymurciu, to szkoda gadać. Trupy i przekłęci.

– Poddajesz partię? – zapytał poirytowany czymś Grabiński.

– A niech będzie, że poddaję.

– To wisisz mi już trzy litry.

Gdy uspokoili się nareszcie, Korycki zapytał o szczegóły wizyty u Admirała.

– To nie on – powtórzył zmartwiony Kutrzeba. – Ale na pewno siedzi u drania w kieszeni. Podstawił twojego sobowtóra, żeby ten księżulek i herostratejczycy byli pewni, że to ty ich wynajmujesz.

– Po co? – zapytał kat.

– Żebyśmy się pozabijali nawzajem, jakby zamach na Mirka nie wyszedł – wyjaśnił Korycki. – Niewiele brakowało. No ale jakoś poszło. Ja znowu umarłem, dzięki pani Sarze i Szulerowi. Ale myślałem, że to Admirał – zasepił się. – Wszystko na niego wskazywało.

- Nie podoba ci się, że to Marsjanin, co? – skrzywił się Kutrzeba.
- Polubiłeś go.
- Nie pasuje mi ten Nowakowski jako Szósty – mruzczał generał. – Wiem, ten duch z Basieńki, co to ze Zmorą mówicie, że jest cieniem ich wywołanego boga, jak z niej wylazł, to uciekł do Fortu Benedykta. Ale po jaką cholere Nowakowski miałby wyczyniać cuda z powoływaniem dla siebie boga przez rytualny mord? To Marsjanin, do cholery! Oni potrafią takie cuda, że im niepotrzebne podobne rytuały!
- Będziemy tak w kółko? – zirytował się Kutrzeba. – Nowakowski potrzebował od cholery fidezyny, żeby wysłać wiadomość do swoich. Tam, w kosmosie, sam mówiłeś.
- Proxima Centauri – przypomniał Korycki ponuro.
- Tam. Nie miał narzędzi, żeby ją pozyskać legalnymi sposobami, nikt jej wtedy nie produkował. To urządził ten krwawy rytuał. Może by i więcej ludzi namordował, ale dowiedział się, że istnieje jeszcze zapas na Syberii.
- Mimo wszystko coś mi tu nie gra – zżymał się Korycki.
- Przedstaw mi lepszego kandydata i lepszą teorię – zaatakował Kutrzeba. – To pogadamy.
- Przedstawiam ci swoją intuicję starego gliny.
- Za mało.
- Przesłuchajmy go, nim go zabijesz.
- Przesłuchamy – poddał się Kutrzeba. – Jeśli damy radę. Ty, kacie, wchodzisz w to?
- A jak nie, mam spieprzać?
- Ty to jednak dobrą masz intuicję.

– To posłuchaj jej, jak podpowiada, że lepiej słuchać mojego starego sierżanta.

– Wchodzisz czy spieprzasz?

– Wchodzę.

– No to jakoś cię wpiszemy w akcję. Słuchajcie, zrobimy to tak...

Tym razem Kutrzeba podjechał pod siedzibę Nowakowskiego nie automobilem, a dorożką. Towarzyszył mu poirytowany Grabiński, któremu pozwolono się napić, ale zabroniono brać broń. Siwa sówka przebierała ze zdenerwowania nóżkami na jego ramieniu.

– Trzeba było wziąć choć Burzymura – marudził.

Mirosław nie odpowiadał. Dumał. Czy słusznie zaufał Strzelbickiemu? Korycki tłumaczył, że kat to złodziej, hulaka, łajdak nad łajdakami, ale równocześnie człowiek wierny swojej dumie, a przez to i przyjaciółom. Co więcej, między tymi dwoma było coś jeszcze. Kutrzebie nie dawało spokoju pytanie, jakie kat zadał Koryckiemu. „To ciągle to?” – zapytał zaraz po powitaniu. Szeptem, ale nie dość cicho dla Zmory.

Czy Korycki zakończył swoją zemstę przed lat? A może wykorzystywał dla niej Kutrzebę, jak on wykorzystywał innych?

Zresztą, jakie miało to znaczenie, jeśli uda im się dorwać i zabić Szóstego?

Mirosława niepokoiły jednak także wątpliwości Koryckiego. A jeśli to nie Marsjanin? Kutrzeba wysłuchał opowieści generała o spotkaniach z emisariuszem z Warszawy i jego fantastycznych pomysłach. Czy to wszystko było możliwe? Czy Marsjanie nie

przegrali wojny, ale udali, że przegrywają? Czy cała inwazja stanowiła przekręt, mający przekonać ludzkość o zwycięstwie i tym sposobem sprawić, by przerabiała świat wedle marsjańskiego przepisu, chętnie i bez oporu?

„Kim jesteśmy, Mirku? – pytał Korycki. – Panami siebie czy niewolnikami, ślepyi na własne niewolnictwo?”.

„A jakie to ma znaczenie dla nas, tutaj? – odpowiedział wtedy. – Dla mojej zemsty?”.

Nie miałoby, gdyby szedł zabić człowieka. Co jednak, jeśli Nowakowski mówił prawdę i rzeczywiście starał się przekonać swoich, by nie przylatywali na Ziemię? Jeśli tak, dokonał tych wszystkich potworności, doprowadził do śmierci żony i dzieci Kutrzeby po to, by wysłać w kosmos sygnał, który, niezależnie od pobudek, jakimi się kierował, ratował Ziemię przed drugim najazdem Marsjan.

Bo byli jeszcze oni. Przylecą czy nie przylecą za dwieście lat?

Pewnie martwiły się tym jakieś rządy. Przecież od początku było wiadomo, że ci, którzy najechali Ziemię, byli tylko częścią wielkiej cywilizacji, jedną z wielu flot. Jednak Marsjanie utrzymywali, że wszechświat jest zbyt olbrzymi, by przejmować się tą sprawą w bieżącym tysiącleciu. Zapewne więc politycy zachowali się jak zwykle i natychmiast zapomnieli o wszystkich problemach, jakie nie dotyczyły ich kadencji.

– Broń i tak by nam odebrali na wejściu – przypomniał Grabińskiemu. – Sami musimy być bronią.

– Ja zbliżam się do siedemdziesiątki, ty, Mirku, też już nie jesteś młodzieniaszkiem – burknął snajper.

– Ostatnio ciągle ktoś mi to powtarza. No, dojechaliśmy.

Wysiedli. Kutrzeba rzucił markę siedzącemu na koźle Strzelbickiemu.

– To ja na panów poczekam, co? – zawołał kat tak głośno, by usłyszał go wychodzący na powitanie gości przed bramę frontową fortu Czus. – A długo tam panowie zabawicie?

– Uwiniemy się raz-dwa.

Zadowolony kat skinął głową i podjechał pod kościółek świętego Benedykta, gdzie zatrzymał się w pobliżu straganiarzy, sprzedających święte amulety i pył z kości męczenników nigdy niemalejącemu stadku dewotek, które nawet plotki wymieniały w rytmie modlitwy. Zeskoczył z kozła i pobiegł przyglądać się oferowanym tu cudom. W dawnym, prawdziwym życiu trudnił się podobnymi sprawami, choć on sprzedawał części ciała wisielców, a czasem fałszywe korzenie mandragory, wyrastające niby pod szubienicami.

Najwierniejszy i najbardziej zaufany ze służących Marsjanina odprowadzał go wzrokiem, marszcząc brwi.

– Pan zawsze wybiera sobie przedziwne towarzystwo – skwitował, przeszukując gości w poszukiwaniu broni.

– Ten tam? Wziąłem pierwszego z brzegu fiakra. – Kutrzeba wzruszył ramionami.

– Ach tak? W takim razie los musi dziwnie panem miotać.

– A co? Zna pan go?

– Z dawnych czasów... Ale też nie będę panom zwracał głowy wspominkami. Pan Nowakowski czeka. Ucieszył się, że pamiętał pan... Pamiętali panowie o nim. Lubi wspominać tamtą wyprawę.

Przeszli przez żelazną bramę, potem, w cieniu fortecznych murów, przedostali się na okrągłe podwórko. Kamiennymi schodami weszli na piętro. Choć okna, jak przystało na fortecę, były tu rzadkie i wąskie, dzięki natłokowi elektrycznych lamp wewnątrz budynku było jasno niczym w pogodny dzień. Dręczony kaczem Grabiński mrużył więc oczy, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Kutrzeba natomiast rozglądał się ciekawie.

Niewiele zmieniło się tu od czasu jego ostatniej wizyty. Nowakowski, będąc wielkim miłośnikiem nowoczesnych technologii, potrafił być równocześnie ogromnie konserwatywny jeśli chodziło o architekturę i wystrój wnętrz. Całe Podgórze rozbudowywał na przykład wedle architektonicznych wzorców z końca dziewiętnastego wieku. Nie uznawał też tego, co nazywał sztuką nowoczesną, zwłaszcza jeśli współcześni artyści starali się podrabiać estetykę marsjańską. Choć więc w korytarzach fortu znaleźć można było rzeźby o dziwacznych dla ludzi kształtach, wszystkie one albo pochodziły ze zbiorów zachowanych po Zwrotnej, albo były kopiami tradycyjnych marsjańskich rzeźb.

„Czysta matematyka – pomyślał Kutrzeba. – Jak można sądzić, że Marsjanie są wyzbyci opowieści i mistycyzmu, jeśli mają sztukę?”.

Z drugiej strony, Mirosław spotkał kiedyś kompozytora utrzymującego, że muzyka jest czystą matematyką, on zaś nie tyle komponuje nowe dzieła, co tworzy i rozwiązuje równania. Może więc rzeźby w fortowych korytarzach także nie były dziełami sztuki, a równaniami zaklętymi w kamieniu? Zdaniem Kutrzeby to by nawet pasowało. Muzyki owego kompozytora nie znosił, a i

marsjańskie rzeźby mu się nie podobały.

Nowakowski przyjął ich nie w gabinecie, ale jak przyjaciół: w salonie. Przez wąskie okno widać było stąd kopiec Kraka, w przeciwieństwie do córki preferującego wieczny sen, a nie czuwanie. Choć jednak starożytny władca spał, śnił świadomie, a jego snom udawało się utrzymywać porządek w okolicy. Koleje nie miały z tym nic wspólnego. Wstawał z grobu tylko raz do roku, o czym mało kto wiedział. Przemykał wówczas w przebraniu ulicami miasta, udawał się pod Wawel, by przez osiem godzin grać w karty ze Smokiem i wysłuchiwać odeń plotek o pośmiertnym życiu pochowanych na Wawelu monarchów, stanowiących teraz izbę wyższą Rady Miasta Krakowa.

– Przyjaciele! – Marsjanin rozłożył na ich widok dwie pary ramion, nie spieszył się jednak do uścisków.

Stał pod oknem, uśmiechając się w sposób jeszcze bardziej ludzki niż przez lata. Wciąż wiele czasu poświęcał na trenowanie mimiki. Przy tym nie pozbył się dodatkowych oczu i ramion, choć dzięki biomechanizmom, z których zbudowane było jego ciało, mógłby to uczynić bez większego trudu. Zdolny był przybrać ciało na pozór zupełnie nieróżniące się od ludzkiego i wmieszać się w tłum. Czegoś takiego zakazywały wprawdzie traktaty pokojowe, które jednak mógłby powstrzymać go przed tym, gdyby zachował ostrożność?

– Panie Nowakowski? – Kutrzeba uklonił się lekko, zanim usiadł, natomiast Grabiński, nie bawiąc się w ceregiele, dosłownie wpadł w fotel i natychmiast zaczął domagać się od Czusa czarciwego mleka.

Siwy sługa wymienił spojrzenia z Nowakowskim, sadowiącym się

wygodnie w specjalnie przystosowanym do marsjańskich potrzeb fotelu. Uzyskawszy pozwolenie, westchnął znacząco i nakazał młodszemu od siebie służącemu przyniesienie poczęstunku. Oznaczało to alkohol, od mocy którego dech zaparło na moment nawet Grabińskiemu.

– Na wszystkie święte i diabelskie gorzelnie! – zawołał. – Co to jest?

– Nazwałem to dionizją – wyjaśnił wyraźnie zadowolony gospodarz. – Igraszka, specjalnie dla pana i tych, którzy dzielą pańskie gusta. Użyłem odrobiny fidezyny pozyskanej z marzeń... Powiedzmy, specyficznego typu ludzi, o alkoholu idealnym. To, co panowie piją, jest poniekąd esencją protoboską.

– Dionizosa, zdaje się, Grecy odtworzyli jako pierwszego z bogów – przypomniał sobie Kutrzeba.

– Istotnie. Ale Dionizos pozostał wierny winu. Na sam zapach tego bimbru uciekłyby z krzykiem. Może rzeczywiście należałoby zmienić nazwę na bimbrozję albo jakoś tak? Franciszku, zleć proszę naszym ludziom od marketingu stosowne badania. Nie wprowadzałem jeszcze dionizji na rynek, wciąż negocjuję to z prawnikami Dionizosa... Proszę na wszelki wypadek nie chwalić się, że panowie to pili. To poniekąd jeszcze nielegalne.

– Nie byłby to pierwszy nielegalny bimber w moim życiu – mlasnął Grabiński, zastanawiając się nad sposobem włamania do skarbcza, w którym trzymano to чудо.

– Jak tylko rozwiążemy wszystkie kwestie prawne, przyślę panu skrzyneczkę. – Marsjanin mrugnął do niego oczyma z prawej strony twarzy. – W imię starych czasów. A właśnie. O czym

chcieliście panowie ze mną porozmawiać? Bo przecież nie może chodzić tylko o wspomnienia?

– Trochę tak, trochę nie – odpowiedział Kutrzeba. Zerknął ukradkiem na zegarek. – Właściwie chcieliśmy porozmawiać o moich sprawach. Jak pan wie, ostatnio trochę się wydarzyło.

– Ach! Dokonał pan zemsty, prawda? Byłem zdumiony, gdy dowiedziałem się, że to świętej pamięci... Przepraszam, nie powinienem tak nazywać go w pańskiej obecności. Rozumiem, że musiał pan zabić Koryckiego, ale proszę mi wierzyć, lubiłem tego człowieka...

– Jak i ja. Póki nie dowiedziałem się, kim był.

– Naturalnie. – Nowakowski nie odzywał się przez chwilę. – Proszę mi powiedzieć, czy jest pan pewien, że to on?

– Właściwie – odpowiedział powoli Kutrzeba – jestem pewien, że nie. Co więcej, jestem prawie pewien, że to pan.

Za jego plecami Czus wciągnął głęboko powietrze, a służący wypuścił z rąk butelkę drogiego, choć wciąż jeszcze nielegalnego trunku. Osłupienie obu trwało ledwie sekundę, zaraz sięgnęli po pistolety ukryte w kaburach pod marynarkami.

Wyraz twarzy Marsjanina nie zmienił się ani na jotę. Nowakowski nie drgnął, nie próbował sięgać po broń.

– Ach tak? – westchnął. – Więc to ciągle ta sama ponura historia? A ja miałem nadzieję, że przyszedł pan popytać o naszą inwazję i to wszystko, co niepokoi w niej Warszawę.

– Każdy ma jakieś priorytety. Los ludzkości nie należy do moich.

Czus przytknął lufę pistoletu do tyłu głowy Kutrzeby, zaś służący stanął za Grabińskim. Stary snajper zdawał się tym nie

przejmować. Pociągnął kolejny łyk dionizji czy też może bimbrozji ze szklanki i mimowolnie uśmiechnął się z rozkoszą.

– Nie wierzę! – odezwał się po krótkim namyśle Nowakowski. – Nie wierzę, że przyszedł pan tu tak po prostu, sądząc, że ja jestem Szóstym! Gdyby był pan o tym naprawdę przekonany, przypuściłby pan szturm na fort albo wywabił mnie na miasto i tam zastawił pułapkę! Nie, pan w coś gra! Dobrze! Zacznijmy od tego: skąd ten absurdalny pomysł, że miałbym być pańskim wrogiem? Po co byłyby mi te wszystkie zbrodnie?

Mirosław streścił mu swoją teorię. Marsjanin wysłuchał jej cierpliwie, ale zaraz znów pokręcił głową.

– Ta historia jest pełna luk! Co tam luk, dziur! Po pierwsze, nie jestem jedynym Marsjaninem na Ziemi...

– Ale był pan dowódcą wyprawy – wpadł mu w słowo Kutrzeba.

– Czyli na mnie spoczywa odpowiedzialność za jej powodzenie i ja powinienem dołożyć starań, by wezwać dla niej pomoc? Niech będzie. Ale niechże pan słucha, przez chwilę zapanuje nad sobą i mi nie przerywa. Przecież gdybym chciał złożyć ofiarę z ludzi i stworzyć w ten sposób odpowiednią ilość fidezyny, by wywołać swego posłańczego boga, mógłbym to zrobić podczas wojny! Wtedy nikt by się nie zorientował. Zużylibyśmy choćby i tysiące jeńców, których los pozostałby dla ludzi na wieki tajemnicą. I żaden mściciel nie wędrowałby naszymi tropami.

– Powiedzmy. Ale podczas wojny mogliście wierzyć, że wygracie. Dopiero po podpisaniu pokoju stanąłby pan wobec sytuacji, w której musi zawiadomić swoich, a nie ma jak.

– Po pierwsze, wojny nie kończą się w sekundę. Zdążylibyśmy się

zorientować, że przegrywamy, i przeprowadzilibyśmy ten zbrodniczy rytuał. Po co mielibyśmy czekać do Pokoju! Po drugie, teza, że przegraliśmy, kłóci się chyba z teorią, że tak naprawdę wygraliśmy, bo to wszystko było jednym wielkim przekrętem.

– Ta teoria nie musi mnie obchodzić – rzucił Kutrzeba niecierpliwie. – A nawet gdyby, to taki rytuał, do którego użył pan ludzi, jakoś nawet by do niej pasował. Co do kwestii końca wojny... Znów niby ma pan rację, ale przecież mieliście wtedy na głowie ratowanie własnej skóry. Z tego co wiem, nie było wśród was jednomyślności. Może pan też potrzebował pokoju, by odzyskać siły i choć część władzy? Właśnie podczas wojny, gdy przegrywaliście, nie było miejsca na mordowanie jeńców. Stanowili oni jedną z waszych kart przetargowych. A w dodatku nie mógł pan mieć pewności, że inny Marsjanin nie wykorzysta wiedzy o tej zbrodni przeciwko panu. Czy to wszystko do siebie nie pasuje?

– Mogłoby, gdyby było prawdą. – Nowakowski zmarszczył brwi. – Ale to ciągle spekulacje, domysły dopasowywane na siłę do jednej teorii. Skądś przecież się wzięła, jakoś ją pan wymyślił. Jak?

– Po pierwsze, nie pasowało mi, że Zmora nie jest w stanie wyczuć Szóstego. Potrzebowałby sporych umiejętności, żeby się przed nią ukryć. Chyba że byłby Marsjaninem. Wasza rasa wciąż skrywa przed nami wiele tajemnic.

– To jest równie słaby i naciągany trop jak poprzednie – zbył argument Nowakowski. – Nie wierzę, że nie ma pan nic więcej!

Kutrzeba i Grabiński wymienili spojrzenia. Stary snajper dyskretnie sprawdził godzinę na ręcznym zegarku. Westchnął i chyba dla odegnania złych myśli sięgnął po szklaneczkę.

– Po drugie, jak pan wie, Szósty posługiwał się własnym bogiem. Tym, którego stworzył rytuałem. Ten bóg był dziwny. Niby patron, a nigdy nie obronił żadnego ze swoich wiernych. Uznaliśmy, że Szósty manipulował nimi wszystkimi; skorzystał na ich śmierci, przejmując całą siłę bóstwa dla siebie, by mógł użyć go w pełni. Wydawało mi się dziwne, że stworzone takim wysiłkiem bóstwo zdaje się działać słabiej na przykład od mojej Zmory. Wie pan, w ostatnich latach coraz więcej osób zwracało mi uwagę na jej niezwykłość. Sam nadal nie rozumiem jej istoty. Ale próbowałem badać sprawę. I okazało się, że nikt poza mną nie nosił w sobie takiego demona. Istnieją duchy zemsty, ale to cienie zamordowanych. Wgryzają się w dusze nierychliwych mścicieli, ale nie potrafią przyoblec się w ciało, rozmawiać, czuć czegoś więcej niż głód. I nagle do Krakowa przybywa przepełniona żądzą zemsty na mnie Basieńka.

– Basieńka?

– Kobieta, którą wykorzystałem, by dorwać Trzeciego. Próbowałem to jakoś naprawić, ale... – zawahał się, ponownie zerknął na zegarek. – Nieważne. Znienawidziła mnie i ruszyła się mścić. Dołączyła do Mojr, a może nawet zapoczątkowała ich istnienie.

– Nie żyje – domyślił się Nowakowski. – To była jedna z tych osób, które zginęły podczas tych zamieszek ostatnio?

– Tak. Sądzę, że od początku była mięsem armatnim. Pańskim...

– Czy raczej Szóstego?

– Niech panu będzie, na razie. Tak, Szóstego. On się ima coraz bardziej rozpaczliwych, dramatycznych sposobów, by mnie

powstrzymać. I coraz radykalniejszych. Ważne, że Basieńka nosiła w sobie demona zemsty, który dodawał jej sił. Prawie takiego samego jak moja Zmora.

– Kolejna rzecz, która nie ma w tym wszystkim sensu! – zawołał Marsjanin, uderzając dłonią w stół.

– Zależy, jak na to spojrzeć. Jasne, że to bez sensu, bo przecież między mną a Basieńką nie ma krwi. Wtedy nie było. Więc skąd demon zemsty w jej sercu? Z drugiej strony, wie pan, wróżda to zawsze była męska sprawa. Ale kobiety... Zna pan to: „Niebo nie zna wściekłości takiej, jak miłość w nienawiść zmieniona, ni piekło nie zna furii takiej, jak kobieta wzgardzona”?

– Szekspir! – odgadł Nowakowski.

– Też tak myślałem, ale nie. Nieważne. – Kutrzeba machnął ręką.

– Rzecz w tym, że może tylko nam, facetom, wydaje się, że te nasze gniewy i uniesienia są największe i najważniejsze na świecie. A nie doceniamy kobiet. Więc może Basieńka mogła mnie tak nienawidzić, że wyhodowała sobie własnego demona zemsty? Ale jeśli przyjąć, że Mojry to jedna z zagrywek Szóstego, trzeba by się zastanowić, czy ktoś w Basieńce tego demona nie zaklął. Pomyśleliśmy, że gdyby tak było, to mógł nim być ów stworzony w rytuale bóg albo jakaś jego część. A wtedy, po śmierci Basieńki, wróciłby do swego pana.

– Śledziliście go – domyślił się Nowakowski.

– Uciekł tutaj.

Długo patrzyli na siebie w milczeniu. Ciszę przerwał Grabiński:

– Teraz to już na pewno wpakujecie nam kulki w tył głowy – powiedział zadziwiająco pogodnie. – Swoje przeżyłem, nie zależy

mi. Ale czy moglibyście mi nalać jeszcze łyk tej ambrozji? Niech umrę z nią w ustach.

– Nie umrze pan – powiedział Marsjanin, nie odrywając wzroku od Mirosława. – W każdym razie nie teraz i raczej nie tutaj. Bo mimo wszystko to nie ja jestem Szóstym. Choć tak znakomicie wszystko wam w waszej teorii pasuje. Mnie nie pasuje jedna rzecz. Mogę o coś zapytać, panie Kutrzeba?

– Mam lufę przyłożoną do głowy. Może pan wszystko.

– Po co ta cała przemowa niczym z klasycznego kryminału? Po co to wyjaśnianie mi wszystkiego? Po co wystawia się pan na pewną śmierć?

– Ponieważ jestem dureń, w datku stary i zmęczony – odpowiedział Mirosław, wzdychając. – I chyba z latami przybyło mi naiwności. A jeden facet, który uważa się za mojego przyjaciela, przez ostatnie trzy dni tłukł mi do głowy, że to na pewno nie pan. Że coś mu nie gra. Pomyślałem, że sprawdzę. Podam panu, co mam, i zobaczę, co będzie.

– I co pan zobaczył?

– Nie wiem. Pan albo nie pan. Demon uciekł tutaj. Nie do pana? Więc do kogo? Kogo pan tu ukrywa? Ja nie wiem. Pan teraz wie to samo, co i ja, ale może wie też coś, czego nie wiem? Nie jesteś pan Szóstym? No to powiedz mi pan, kto nim jest.

Nowakowski nie odpowiedział. Oparł podbródek na złożonych dłoniach górnej pary rąk, w dłonie dolne ujął stojącą przed nim pustą szklanę i zaczął bawić się nią machinalnie.

Był dowódcą floty, istotą, której ciało i umysł zbudowano z mikroskopijnych cząstek zaprogramowanych tak, by stworzyły nie

tylko doskonałą maszynę bojową, ale przede wszystkim oficera zdolnego szybko i trafnie analizować sytuację na polu walki. Dlatego nie potrzebował wiele czasu na wyciągnięcie wniosków. Znacznie dłużej zastanawiał się, co z nimi zrobić.

Wreszcie podjął decyzję.

– Niech to wszystko jasny szlag. – Westchnął smutno. – Mariuszu – spojrzał na młodszego służącego, wciąż celującego do Grabińskiego – natychmiast zastrzel Franciszka!

Młody służący posłusznie oderwał lufę od głowy snajpera. Ale nie w Czusa wycelował, lecz w Nowakowskiego.

– To ja ich przyjmowałem i szkoliłem, mój biedny panie – z prawdziwym smutkiem oznajmił Czus, Szósty na liście zbrodniarzy ściganych przez Kutrzebę. – Już od lat wszyscy tutaj słuchają tak naprawdę mnie.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Malowana Moskwa

„Proszę zdać się na pistolety” – poradził Oldze stary żołnierz. Postanowiła go posłuchać.

Gdy wraz z kotem opuścili tajne korytarze, uznali, że bezpieczniej będzie przemykać dachami niż ulicami, po których miotali się dezorientowani żołnierze Kremla. Mimo to nie zdołali wdrzeć się do pracowni Alchemika, bo drogę zastąpił im wielki kościany ptak.

– Prrreecz! Preeecz! – zaskrzeczał, strosząc pióra, wyglądające jakby składały się głównie z popiołu.

– Prrreecz!

Olga strzeliła mu prosto w paskudną czaszkę, co, jak teraz wiedziała, było błędem. Nie tam należało celować. Kula odbiła się od twardej kości, ledwie parę piór rozsypało się w proch. Nie mogło to powstrzymać stwora, który, wrzeszcząc na alarm, zaatakował dziewczynę.

Cóż mogli zrobić we dwoje z kotem wobec takiego potwora? „W nogi!” – zawołał kocur, jak wcale często mu się to zdarzało, i uciekli.

Jednak teraz, gdy ptasi kościej zeskoczył z dachu i zatakował Szczura, Olga wiedziała już, w co celować. Dostrzegła, że mężczyzna starał się trafić w ogniste serce ptaka. Chybił, bo strzelał ze zbyt dużej odległości. Trzeba było podejść bliżej.

– Kocie! – zawołała. – Za nim!

Dobiegli do krawędzi, tam Olga musiała się zatrzymać. Cztery piętra w dół. Daleko.

– Sama nie zeskoczę, a schodami będzie za długo! – zawołała. – Kocie, utrzymasz mnie?

– Połamiemy się – szepnął.

– Inaczej nie zdążymy!

– Dobrze, kochanie, że jesteś taka krucha – mruknął.

Gdy wykrzykiwał zakłęcie, zabrzmiało jak płacz dziecka. Nagle urósł, nabrał masy. Zawsze był wyjątkowo dużym kotem, teraz jednak przewyższył rozmiarami lwa.

– Cholerne marnowanie energii – parsknął gniewnie.

Złapał zębami za szew sukni dziewczyny, wgryzł się w gorset. Nie bez wysiłku uniósł hrabiankę i odbił się z całych sił od dachówek, zanim przemyślał dokładnie, na co się porywa.

Surdut pożyczony od Kutuzowa zafurkotał na plecach Rostowny, jego poły unosiły się niczym rachityczne skrzydła. Kocur mełł przekleństwa przez zaciśnięte zęby, bo biły go po bokach. Niezbyt boleśnie, jednak irytująco.

Wylądował na czterech łapach, a jakże, ale przecież prędko przetoczył się na grzbiet, by przyjąć impet uderzenia i chronić przed nim Olgę. Poczuł, że coś chrupnęło mu w grzbiecie. Ciemność spłynęła na oczy. Spróbował wstać, nie potrafił.

„Mam nadzieję, że z tymi dziewięcioma żywotami to prawda” – pomyślał.

Zakłęcie przestawało działać, z powrotem zmieniał się w prawie zwyczajnego kota. Nie widział już, jak Olga z trudem pozbierała się

z ziemi, nie poczuł, jak pogłaskała go po karku. Nie poświęciła mu wiele czasu, nie mogła. Wyciągając rewolwery, biegła już ku kościejowi, który wytrącił pistolet z ręki Szczura i właśnie unosił dziób do śmiertelnego ciosu.

– Hej, wrono! – zawołała. – Tutaj!

Potwór nawet się na nią nie obejrzał. Miał swoje priorytety.

Zatrzymała się. Spróbowała wycelować. Wstrzymała oddech. Pomyślała, że głupotą było wyciąganie obu rewolwerów. Trzeba było chwycić jeden i trzymać go w obu dłoniach. Ale nie miała już czasu na zamianę. Zaczęła strzelać, starając się trafić w gorejące serce ptaka.

Wątpiła, by dosięgła go jedną, wyjątkowo celnie wypuszczoną kulą. Ale co najmniej jedną z jedenastu wystrzelonych na pewno.

Kościej wygiął cielsko, ryknął. Zachwiał się i teraz już obrócił w stronę hrabianki, przeładowującej rewolwery najszybciej, jak potrafiła.

– Prrrrecz! – zaskrzeczał, postępując ku niej o krok.

Ale wtedy cały już płonął. Ogień uwolniony ze strzaskanego serca popłynął gwałtownymi falami między kośćmi, w mgnieniu oka ostatecznie spopielając pióra.

– Prrrecz! – zaskrzeczał rozsypujący się szkielet. – Prrrecz... – powtórzyła po raz ostatni opadająca na ulicę czaszka.

Mężczyzna leżący ziemi i stojąca naprzeciw niego dziewczyna, oboje poranieni, w postrzępionych ubraniach, popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się niepewnie. Wtedy wreszcie oboje dostrzegli żołnierzy przyglądających się dotąd bez słowa temu widowisku. Pierwsi z nich już zaczęli unosić karabiny i wyciągać szable z

pochew.

– Jestem Olga Nikołajewna Rostowa! – zawołała Olga, unosząc dłoń tak, by wyraźnie dostrzegli błyszczący na niej pierścień. – Narzeczona jego wysokości księcia Michaiła Iłarionowicza Kutuzowa, władcy Kremla! Ratunku! Napadli na nas komuniści! Spieszcie na pomoc memu narzeczonemu, uwięzionemu w pałacu, obleganemu przez zdrajców! Już! Na co czekacie?!

Kilku od razu odwróciło się i odbiegło. Ci, którzy pozostali, patrzyli po sobie niepewnie.

– Proszę wybaczyć – odezwał się wreszcie jakiś oficer. – Ale pani zabiła jednego z demonów Alchemika... I jeszcze ten strój...

– Nie poznajesz mnie? – naskoczyła na niego Olga. Wcale nie musiała udawać rozeźlonej. – Nie widziałeś, jak przyjechałam dziś z ojcem do księcia? I jak sam książe witał nas w pałacu? Nie poznajesz tego?! – Podetknęła mu pod nos pierścień z herbem Kutuzowa.

– Najmocniej przepraszam waszą wysokość. – Oficer uklonił się głęboko. – Wierzę wam, oczywiście! Ale Alchemik...

– Alchemik zdradził! – krzyknęła na niego. – Jest szpiegiem czerwonych! Niech pan nas eskortuje do jego pracowni, trzeba go aresztować! I niech jacyś ludzie zabiorą mojego kota do lekarza! Ma to przeżyć!

Oficer jeszcze się wahał i Olga przestraszyła się, że mógł należeć do ludzi, których Alchemik podporządkował sobie całkowicie. Raz jeszcze spojrział na nią i na pierścień. Jeśli wciąż miał jakieś podejrzenia, zachował je dla siebie. Zasalutował i zaczął wydawać odpowiednie rozkazy.

Dziewczyna podbiegła do wciąż niepodnoszącego się Szczura. Pomogła mu w stać.

– Uratowany przez księżniczkę – spróbował zażartować. – Niezupełnie jak w bajkach. Nie sprawiłem się.

– Piszemy własne baśnie. Musimy się spieszyć!

– To naprawdę on? Tu się schował?

– Tak myślę. Kutuzow był właściwie więźniem, a Szósty rządził Kremlem.

– Nie na Chitrowce, ale tutaj... – Szczur pokręcił głową. – Znów mnie wykiwał. A myślałem, że drugi raz nie powtórzy tej samej sztuczki...

Olga nie słuchała dalej. Szybkim krokiem podeszła do kocura, nad którym pochylał się już jeden z żołnierzy.

– Ma żyć! – zawołała. – Żeby nie wiem co, ma żyć!

– Czy przeżyje, to nie wiem – odparł spokojnie żołnierz, jeden z tych starych wiarusów, którzy przywędrowali do Malowanej Mokwy z batalistycznych obrazów. – Ale na razie jeszcze dycha. Proszę się nie martwić, wasza wysokość, ja ze wsi jestem, na zwierzakach się znam. Zrobię, co się da.

– Ma żyć! – powtórzyła Olga, już ciszej, drżącym głosem. – Dziękuję wam...

– Piotr Iwanowicz. Ja jeszcze pod carem Aleksandrem Niemiaszków bijalem – pochwalił się. – Inaczej wtedy bitwy wyglądały... A teraz księciu służę, i jak Bóg da, będę służył i jej wysokości. A ten Alchemik to psubrat! Zawsze mówiłem! Tak się szarogęsił, diabły miał za sługi!

– Dobra, już dobra, kapralu! – pogonił go oficer. – Wasza

wysokość, posiłki do pałacu wysłane. Zostałem sam z dwunastoma ludźmi. Czterech odeskortuje waszą wysokość w bezpieczne miejsce. Innych poprowadzę, by aresztować Alchemika. Jeśli wasza wysokość pozwoli...

– Nie pozwolę – przerwała mu. – Do Alchemika idziemy wszyscy. Nie wiadomo, jakie jeszcze maskary go bronią. Prowadzę ja!

Próbował jeszcze protestować, ale odwróciła się od niego i lekko utykając – dopiero teraz poczuła ból w lewej nodze – ruszyła ku siedzibie Alchemika.

Szczur dogonił ją. Mijając żołnierzy, słyszał, jak szepczą między sobą: „A to znalazł ojczulek nasz narzeczoną! Zaprowadzi ona porządku na Kremlu!”.

– Nie chichrać się tam! – ryknął na nich oficer.

– Zaręczyny, widzę, mimo wszystko udane – mruknął Mirosław, zrównując się z Olgą. – Wasza książęca mość...

– Zaręczyny zerwane – odparła zdecydowanie, nieco obcesowo, lecz szeptem. – Książę pierścień dał mi jeszcze raz, na pamiątkę. Ale zastanowię się, czy nie przyjąć ponownie jego oświadczyn. Bo jego konkurenci... – parsknęła jak zirytowana kotka. – Szkoda słów. Jeden chciałby ze mnie zrobić jakąś ciapowatą księżniczkę z bajki...

– Niczego takiego nie mówiłem!

– ...a drugi już traktuje mnie jak swoją własność. Książę przynajmniej zachowywał się po rycersku.

– Widziałem ja tę rycerskość, jak cię obłapiał! – warknął Szczur.

– To było na pokaz. Taki fortel. – Wzruszyła ramionami, uradowana jego zazdrością. – A jeszcze on nie bałby się przyznać,

że chciałyby mnie widzieć czasem w sukni – dodała.

– Skąd wiesz? Podśluchiwałaś, jak rozmawiałem z kotem?

– Co miałam podśluchiwać? Widać to w waszych oczach. Tak samo się na mnie gapicie, człowiek i kot. A teraz milczeć i za mną!

– Tak jest, wasza wysokość! – westchnął.

Stanęli więc przed siedzibą Alchemika w czternaścioro. Zamarli na widok strzegących jej stworzeń. Stał tam i garbaty koń, niewielki, ale wyraźnie silny, i ponad dwudziestu mężczyzn przypominających raczej upiory niż ludzi, z mięsem gnijącym na kościach i rozpadającą się skórą. Ubrani byli w szlacheckie kontusze, a w rękach trzymali szable pamiętające czasy Samozwańca. Za nimi straż pełniły upiory we francuskich mundurach. Gęby miały straszne, powykrzywiane głodem, skórę napiętą i spękaną od mrozu. Trzymały w rękach karabiny.

– Będzie kogo tłuc. – Szczur przerwał pełną lęku ciszę. – Panie oficerze, każ pan swoim strzelać!

Ożywieńcy sarmaccy ruszyli z wrzaskiem do ataku, natomiast piechurzy francuscy wycelowali karabiny.

– Ognia! – rozkazał rosyjski oficer, a ledwie sekundę później taką samą komendę wydał Francuz.

Dym przesłonił oba oddziały. Olga strzelała na ślepo, a gdy opróżniła bębunki obu rewolwerów, odrzuciła broń i sięgnęła po szablę.

Kutuzow radził zdać się na pistolety. No cóż, rada dobra, ale jak wiele dobrych rad, niepasująca do każdej sytuacji. Gdy z kłębow dymu wypadł na hrabiankę żywy trup, przyjęła postawę obronną, zasłoniła się tak, jak uczyło ją wielu nauczycieli, w tym Szczur, i

modląc się w duchu do Matki Boskiej, czekała na uderzenie. Nie nastąpiło. Rycząc z uciechy, Szczur ściął tamtemu łeb, przygwoździł go butem do ziemi, odciął dłoń ściskającą szablę i wyjął ją spomiędzy wciąż poruszających się palców.

– Czarna – mruknął. – Husarska. Najlepsza broń na świecie.

I zaraz, dzierżąc w jednej ręce szablę gwardzistów Rostowa, a w drugiej tę odebraną przywołańcowi, rzucił się na dwóch następnych.

Trochę zła na niego Olga podążyła za nim. Gdy mężczyzna blokował ciosy, ona wyprowadzała sztychy pod jego blokami i walcząc w ten sposób, niekoniecznie honorowo, ale jednak skutecznie, przebili się do drzwi dwupiętrowej kamienicy, w której mieściła się pracownia Alchemika. Szczur wywalił je kopniakiem i wbiegł do środka.

– A oni? – Olga zawahała się w progu, obracając się ku żołnierzom Kutuzowa, stawiającym czoła wciąż licznym przywołańcom.

– Jeśli nie zabijemy Szóstego, cała sprawa będzie na nic! – przypomniał jej Szczur.

Zgodziła się z nim niechętnie. Choć oszukała żołnierzy, czuła się za nich odpowiedzialna. Walczyli przecież dla niej. Szczur, uświadomiła sobie ze smutkiem, nie rozumiał tego. On zawsze był samotnikiem, dla którego cel był ważniejszy od środków. Oj, będzie musiała go sobie wychować od nowa, gdy się to wszystko skończy.

Dopadli Szóstego w piwnicy. Zabrakło mu już obrońców. Stał pośrodku pomieszczenia zapełnionego wypchanymi zwłokami ludzi i potworów oraz niezliczonymi kawałkami papierów, zalegającymi na podłodze. Olga zatrzymała się na jego widok. Potoczyła

wzrokiem po monstrach poustawianych pod ścianami. Czy i one żyją?

– Zawsze z jakąś dziewczyną u boku – roześmiał się Szósty: niewysoki, starszy mężczyzna o posiwiałych skroniach, zadbanym wąsie, w eleganckim fraku, niewiele różniącym się od ubioru podobnie ceniącego elegancję pana Czchartiszwiliego. – Zmory nie namalowali?

– Zmory nie da się namalować – odparł Szczur. Odłożył szablę gwardyjską, a tę, którą nazwał „czarną”, choć wcale nie była tego koloru, przełożył do prawej ręki. – Zresztą Zmora jest związana z Kutrzebą, a ja nim nie jestem.

– Nie? – Szósty sięgnął do ściany, przy której stał, i zdjął z niej jedno ze skrzyżowanych ze sobą ostrzy. Jego szabla była odmiennego kształtu niż ta, którą dzierżył Szczur. Z powodu otwartej rękojeści i szerokiego jelca broń przypominała Oldze raczej miecz, ale miała zakrzywioną głownię. Szósty zważył broń w dłoni, zamachnął się na próbę. Uśmiechnął się, zadowolony z wyniku. – Musiałem się widać pomylić. To nie ty mnie ścigasz przez dwa wieki? Za życia i po śmierci?

– Ja. Ale żywe malowanie wydobywa prawdę o człowieku. Jurodiwyj malował Kutrzebę, ale namalował Mirosława Stogniewa, męża Izabelli, ojca Mariusza i Katarzyny. Kutrzeba miał już inną małżonkę. Ty też nie jesteś taki sam jak wtedy. Wróciłeś do alchemii. Jurodiwyj wyciągnął z ciebie twoją pierwotność, początek wszystkiego.

– Może i masz rację – przyznał Szósty. – Może tutaj, przynajmniej na początku, jesteśmy czystszy niż za twardego życia. Nie wiem, czy

prawdziwsi, bo prawda to nasze zbrodnie i chwały. Więc tu zabiję Stogniewa, a w Twardym Świecie nowy ja zabije Kutrzebę. Zakończymy tę waszą niedorzeczną zemstę, usuniemy wszystkich waszych sojuszników tak tam, jak i tutaj. I nareszcie będę żył. Zabrałeś mi dwieście lat swoją głupią wróżdą. Ale teraz koniec.

Strzelił palcami i, jak się obawiała Olga, maskary ożyły. Rzuciły się na Szczura. Te, które były ożywionymi ludźmi, próbowały dosięgnąć go nożami, a demoniczne zwierzęta kłami i pazurami. Ilekroć Szczurowi udało się posiekać jednego z potworów, zaraz atakował go drugi. Dziewczyna ruszyła na pomoc, ale wtedy drogę zastąpił jej Szósty.

– O nie, panienko! – zawołał wesóło. – To sprawa między nami, Polakami. Ty idź precz, jak radził ci mój kościej. Może cię nawet oszczędzę?

Opuściła szablę. Zrozumiała, że łotr nie pozwoli jej pomóc Szczurowi. Co mogła zrobić? Spojrzała na Alchemika. Kim był? Żołnierzem? Jednym z tych polskich awanturników, którzy kiedyś wdarli się na Kreml, a potem pozjadali się nawzajem, gdy oblężenie odcięło ich od dostaw żywności? Magiem?

To wszystko nie było istotne wobec pytania: jakim okaże się szermierzem.

Szczur zarąbał kolejnego przeciwnika. Zaklął. Chyba bał się, że nie podoła w tej walce, bo krzyknął, żeby Olga uciekała.

Dobre sobie. Ciągłe nic nie rozumiał. Nieważne, nauczy się.

Jak ją szkolili? Lewa ręka za plecy? A nie, to nauczyciel papy. Szczur na przykład mówił, że lewą ręką można coś złapać i cisnąć w przeciwnika. Że walka to nie olimpiada. Ale też napominał, żeby

za bardzo się na tym nie skupiała. Niech o podstępach pamięta jakaś część mózgu, która nie odpowiada za robienie szablą. No dobra. Najpierw trzeba pokazać temu typkowi, że nie można jej traktować jak jakiejś gąski.

Odgarnęła włosy z czoła. Przyjęła postawę, której nauczyła się od Szczura. Będzie, co ma być.

Szósty tylko się roześmiał. A potem zaatakował. Szybko, śmiało. Nie dość szybko, za to zuchwale.

Potem nie pamiętała wiele z tej walki. Strach, podniecenie. Chyba krzyczała z radości, ilekroć wychodziła jej jakaś osłona, i ze złości, gdy parował jej cięcia. Świat zniknął, była tylko ona, raczej ruch niż człowiek, i ten cień chowający się za błyskami wrogiej szabli. Gdy próbowała sobie to później przypomnieć, czuła się, jakby sięgała do snu, chwyciła coraz zwawiej uciekające, rozplływające się w świadomości nici wspomnień.

Nie spostrzegła, że przerażony jej decyzją Szczur wrzeszczał: na nią, na potwory, z którymi walczył, na Szóstego. Wpadł w szal. Ogień zapłonął w jego oczach. Z przegryzionych w szale warg popłynęła krew, w kącikach ust zebrała się ślina. Zaryczał tak, że nawet potwory cofnęły się przestraszone.

Olga nie widziała tego wszystkiego. Jej ciało ruszało się jakby poza kontrolą, wedle odruchów wpojonych podczas setek godzin treningów. Jej umysł prowadził własne obliczenia, dotyczące szybkości, z jaką opadały ostrza, kątów, pod jakimi uderzały. Serce bilo jej mocno jak nigdy dotąd, nie wiedziała – ze strachu czy z podniecenia.

Potem jakiś głos, chyba Szczura, ale nie miała pewności, płynący

od wewnątrz czy z zewnątrz, powiedział: „Męczysz się bardziej niż on, ręka zaraz zacznie ci omdlewać. Skończ to. Za wszelką cenę skończ to”.

Zrobiła więc coś, czego nie uczył jej nikt poza Szczurem. Zachwiała się, w ostatniej chwili uniknęła ciosu od góry, zastawiła się słabo, odskoczyła, udała, że próbuje uderzyć z lewej. Pozwoliła, by odtrącił ją łatwo, gwałtownie. Jej ręka opadła, ostrze zabrzęczało na posadzce. Alchemik krzyknął z radości, bo przeciwniczka osuwała się ku niemu bez sił. Uderzył strasznie, znów z góry, uchyliła się, ale nie dość, nie poczuła bólu w boku, ale jakąś zimną pustkę. Nic to, bo on stęknął. W czasie wypadu zdążyła unieść prawą rękę i przeciwnik sam nabił się na ostrze.

Zrobiło się jej jakoś lekko. Nie czuła, że upada, ale musiała upaść, bo Alchemik patrzył teraz na nią z góry. Albo nie patrzył, bo wzrok miał szklisty, martwy. Nagle krew buchnęła mu z ust i zniknął jej z pola widzenia.

Przez chwilę nie czuła nic, potem poczuła pieczenie – najpierw w policzku, tam, gdzie Szczur przyłożył jej otwartą dłoń, potem w boku, gdzie chłód ustąpił już miejsca bólowi.

– Ty idiotko! – wrzeszczał na nią mężczyzna. – Ty skończona kretyńko! Nigdy w życiu nie biłaś się naprawdę! Prawie dałaś się zabić! Gdyby nie to, że on dawno nie trenował... – Głos mu się załamał. Szarpał na niej resztki sukni, by dostać się do rany. Na jej widok uspokoił się nieco. – Masz więcej szczęścia niż rozumu! Ten twój gorset...

– Nienawidzę go – szepnęła, bo bała się, że straci przytomność, jeśli się nie odezwie.

- Kocham go. Zadziałał jak zbroja! No, prawie...
- Dorwałam go? Powiedz! Dorwałam?
- Dorwałaś – odpowiedział gniewnie. – Zabiłaś go! A z nim padły te jego maskary... Cholera! Wiesz, co zrobiłaś? To musi być krew za krew! Nie było krwi między tobą a nim! Nie zakończymy wróżdy bez wymieszania krwi! A ty i ja... Niech to szlag! Miałem nadzieję, że to wszystko się skończy, a tak... Gdybyśmy choć byli spokrewnieni, ale jesteśmy różnej krwi!
- To najbardziej niepokładane oświadczyń, jakie w życiu słyszałam. – Spróbowała się uśmiechnąć, ale nie była pewna, czy jej się udało. Niezbyt panowała teraz nad własnym ciałem.
- Co?
- Najbardziej niewprawne oświadczyń – powtórzyła i czując, że zaraz zemdleje, zdobyła się na ostatni wysiłek. – Ale pokonałam smoka i uwolniłam cię. Przyjmuję.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Rok 2172 starego kalendarza, 220 rok Pokoju,

Mars

Nawet największe wojny zaczynają się zwykle od małych ludzi, tyle tylko że przepełnionych potężnymi ambicjami bądź przejętych ogromnym strachem. Interesy korporacji i racje stanu państw, potrzeba dostępu do zasobów i spory o granice ogrywiają swoją rolę, ale za każdą wojną stoją mali, przestraszeni i rozszoszczeni tym strachem ludzie.

Adam Drygieł, chorąży floty Transportu Galicyjskiego, a równocześnie także żyjący od stuleci alchemik, wcielenie Czusa przez lata służącego Marsjaninowi, by kryć się w jego cieniu przed zemstą, a przy tym zgłębiać jego tajemnice, klon będący reinkarnacją Szóstego, który w Malowanej Mokwie przez dwieście lat snuł swoje plany, a wcześniej stworzył Mojry i wykorzystał herostratejczyków oraz kultystów Tiamat, wpatrywał się z niedowierzaniem we własną/niewłasną rękę, w której trzymał wyrwany z korzeniami z piersi Wandy kwiat paproci.

Bogini bogów wrzasnęła.

Wrzask ten przetoczył się przez piramidę, zachwiał jej podstawami, ogłuszył tych, którzy się w niej znajdowali. Połączeni z jestestwem swojej patronki bogowie wyli i skręcali się ze zgrozy, potęgując fale furii i żalości, jakie wydobywały się z jej ust i duszy. Nie tylko oni upadli, wijąc się z bólu. I Burzymur, i Zmora z

Kutrzebą, i reszta piratów też leżeli już na podłodze. Tylko Drygieł stał pośród nich bez ruchu. Przyglądał się, jak krwawoczerwone wici wyrastają z kwiatu, pną się po jego ręce, próbując sięgnąć serca. Dwóch ludzi w jednym ciele, Szósty i Drygieł, zareagowało z jednaką odrazą. Strącili kwiat, choć wił się i starał wczepić w ubranie i ciało. A potem zdeptali go, starannie miażdżąc obcasem, aż umarł.

Wanda nie przestawała krzyczeć.

Drygieł i Szósty spojrzeli na nią, ale to nie był czas na zajmowanie się Wandą. Przeciwnie, trzeba było wykorzystać okazję. Rozglądnęli się wokół, próbując odnaleźć coś pomiędzy ciałami, rozedrganymi, trzęsącymi się, ryczącymi z bólu.

Przekraczali je kolejno, aż wreszcie znaleźli to, czego szukali. Nabity pistolet. Podnieśli go, zważyli w dłoni. Adam patrzył na broń jak na coś obcego. Szósty cieszył się nią jak dziecko. Znów się rozglądnęli. Wrzask Wandy słabł, trzeba się było spieszyć.

Odszukali Kutrzebę, który dopiero co wyłonił się ze Zmory, by ją ratować, przybrał materialne ciało i włączył się do walki.

– Skurwysyn znalazł sposób na to, by przetrwać tych dwieście lat – mamrotał Szósty. – Ta suka go nie puściła. Ty wiesz, że ten jej statek, „Wróżda”, to tak naprawdę jeden wielki grobowiec?

– Miłość przewyciężająca śmierć – szepnął Drygieł.

– Tak, właśnie tak – roześmiał się Szósty. – Szybko! Szybko!

Podeszli do Kutrzeby, który wraz ze Zmorą daremnie starał się przewyciężyć czar. Klęcząc, wsparci o siebie, przyglądali się nadchodzącemu.

– Przestała krzyczeć! – zorientował się Szósty. – Szybciej!

Szybciej!

Istotnie, Wanda i jej wyznawcy już się ocknęli, ale byli jeszcze zbyt słabi, by cokolwiek zrobić. Ciało niosące dwa życia stanęło przed Mirosławem i Zmorą, uniosło uzbrojoną w pistolet rękę. Szósty zaniósł się śmiechem. Nareszcie! Przelał krew i zginął za to, a teraz nareszcie pomści sam siebie. Zamknie krąg zemsty po swojemu. Tyle wyrzeczeń, tyle krwi! Zabójstwa, rzezie, wojna. Ale uwolni się od tego przekleństwa!

– Tato? – szepnęła Wanda. – Śniłam taki dziwny sen...

Kutrzeba drgnął. Spojrzał na broń, którą jedyna istota w piramidzie, zdolna stać o własnych siłach, przykładała mu do czoła. Spróbował sięgnąć ku pistoletowi ręką, ale nie zdołał.

– Tato?

Szuler Losu pełził ku Wandzie.

– Szybciej! – niecierpliwił się Szósty. – Zanim odzyskają siły!

No dobrze. Adam popatrzył na broń w swoich rękach. Czy przed chwilą nie trzymał w nich kwiatu?

Tyle się działo.

Tyle historii miał w głowie. Pamiętał, jak był młody i tęsknił do ciepła chaty, do której brnął przez śnieg sięgający mu do kolan. Pamiętał, jak złorzeczył tym, którzy zabili jego bliskich i jak przysięgał, że będzie ich ścigał poza granice piekła. Przypomniawsobnie, jak ich dopadł i jak niewiele zmieniło dla niego dokonanie tej zemsty. Ledwie zabił głupich, prostych żołdaków, zapragnął dopaść ich panów. Służył więc większym od siebie, by korzystać z ich władzy. Ale związał się z nimi bardziej, niż planował, i w efekcie mścił się potem także za ich klęski. Życia mu nie starczyło, by

odpłacić wszystkim; ciągle pojawiali się nowi wrogowie i nowe zobowiązania. A on musiał zdobywać coraz więcej i więcej mocy, by sobie z nimi poradzić. Pamiętał wreszcie, jak wagony pociągu wpadały na siebie niczym zabawki, jak pękały i wysypywali się z nich potrzaskani ludzie. Jeszcze raz spojrzął na broń w swoich dłoniach.

Zemsta. A więc tak to smakuje.

Życ z zemstą to jakby czuć cały czas lodowatą dłoń śmierci na karku, to widzieć węzły splatające rzeczywistość, być samym pośród wielu, mieć cel w życiu, twardy, nieznośny i bezlitosny. To nigdy nie odpoczywać, marzyć o uldze, jaką przyniesie zabijanie.

Ukląkł.

Słowa nadchodziły do niego sam nie wiedział skąd. Po raz pierwszy poczuł, że stał się częścią prastarego rytuału. Wydawało mu się, że tysiące mścicieli patrzą na niego przez otchłanie czasu. Ich usta poruszały się w rytm jego zaklęć.

– Ja, którym zabił i niewinnie zgładził ze świata pana żonę, Izabellę, i dzieci, Mariusza i Katarzynę, proszę, abym mógł uczynić miłościwą pokorę.

Popatrzyli na niego zdumieni. Zmora nie rozumiała, Kutrzeba chyba pojął. Skinął głową.

Szósty wrzeszczał, starał się nacisnąć na spust pistoletu, który obaj trzymali w ręku, ale Drygieł mu na to nie pozwolił. Dziwił się własnej sile.

– Zabiłem niewinnie waszą drogą żonę – kontynuował. – Zabiłem niewinnie waszego drogiego syna. Zabiłem niewinnie waszą drogą córkę. Pokorę wam za to pokornie czynię i proszę was, abyście mi

litościwie przebaczyli ten nierozważny czyn, którego się przeciw wam dopuściłem.

Wcisnął pistolet w rękę Kutrzeby. Sam ją uniósł, by oprzeć lufę o czoło. Przypomniał sobie własną poprzednią śmierć. Zamknął oczy.

– Za to, żeś zgładził ze świata moją żonę, moje dzieci – odezwał się drżącym głosem Kutrzeba – i z tego powodu czynisz tu pokorę, w imieniu naszym i wszystkich naszych krewnych, przebaczymy ci.

Zachwiał się. Palce zacisnęły się wokół spustu pistoletu. Ale nie strzelił.

„To się tak nie skończy!” – ostrzegł Szósty. Wciąż nie znikał. Adam zdawał sobie sprawę, dlaczego.

– To nie wszystko – przypomniał Kutrzebie.

Ten skinął głową. Przetarł oczy. Podniósł głowę, by spojrzeć na wszystkich, którzy go otaczali. Burzymura, Szulera, Wandę... Drygiel zastanawiał się, o czym Mirosław mógł myśleć w tej chwili. Czy też widział umarłych mścicieli? Jeśli Adama ustrzegła przed dokonaniem zabójstwa niewinność i pragnienie, by przeżyć własne życie, normalne, wolne od furii jakiegoś mordercy sprzed wieków, Kutrzeba musiał oprzeć się na czymś innym. Urodzony dwa stulecia temu mściciel przecież nawet śmierć oszukał dla zemsty. I może nawet wyrzekł się dla niej człowieczeństwa. Na czym mógł oprzeć się ktoś taki, gdy miał się wyrzec wszystkiego, czym był?

Adam przypominał sobie zmęczenie, jakie spłynęło nań ze świadomością Szóstego. Czy Kutrzeba mógł być równie zmęczony? Czy też... Spojrzenie chorążego raz jeszcze spoczęło na wtulonej w mężczyznę Zmorze. Starala się mu pomóc ze wszystkich sił. Nie przypominała teraz bogini zemsty, kapitana „Wróždy”, okrętu, o

którym opowiadano wyłącznie z lękiem.

– Ja, którym zabił... – zaczął Kutrzeba i zawahał się.

– Myślę, że możemy opuścić fragment o niewinności – podpowiedziała Zmora.

– Rytuał to rytuał – warknął. – Ja, którym zabił i niewinnie zglądził... – zaczął jeszcze raz.

Adam wysłuchał go do końca. I przebaczył w imieniu tego, który został zamordowany.

Wzajemnie pomogli sobie wstać. Potem Drygieł podbiegł do wciąż leżącego, półprzytomnego Hoygrena. Petyr spojrział na niego nieprzytomnie.

– Dorwą mnie, odmienią – zaszlochał.

– Kto? – nie zrozumiał Adam.

– Ci, którzy nas stworzyli, Są jeszcze inni, tacy jak ja i tacy jak ty. Gdy się dowiedzą... Ty będziesz miał szczęście, po prostu cię zabiją. Mnie z powrotem zmieniają...

– To nie jest pewne – chorąży spróbował go pocieszyć, choć nie rozumiał ostatniej części wypowiedzi przyjaciela. – Nie jestem już cieniem obłąkanego umarlaka. Jakoś się obronimy.

Wokół nich bogowie i demony odzyskiwali siły. Spoglądali zdziwieni na siebie nawzajem i nieufnie na piratów. Szuler chwycił wciąż leżące przy jego córce zwłoki Jacusia. Cisnął nimi o najbliższą ścianę z taką furją, że aż się rozprysnęły. Krwawe strzępy opadały na podłogę, a Szuler przyglądał im się poprzez swoje moce.

Ten pokaz wściekłości i przemocy pomógł ocknąć się reszcie. Zerkając płochliwie na swoją patronkę, starającą się skutecznie

osłonić porwanym prześcieradłem, mieszkańcy piramidy wymykali się na korytarz.

– Och, tatku – westchnęła Wanda. Objęła Szulera za szyję, przytuliła się do niego. – Tak bardzo mi przykro! Przepraszam!

– Nie masz za co przeproszać, maleńka. Ten łajdak zbałamucił cię starą magią kwiatu paproci. Moja wina, że byłem taki głupi!

Nagle obejrzał się na Kutrzebę.

– Z twoją sprawą też już koniec? – zapytał ostrym tonem.

– Jest jeszcze Szósty w Malowanej Moskwie. Nie wiem, jak tam się sprawy toczą...

– Ale tutaj? Koniec?

– Koniec. – Kutrzeba obejrzał się na Drygła. – Smarkacz niczemu nie jest winien. Może takiego nam trzeba było niewiniątka, jak nie przymierzając Jasiek, kiedyś, żeby naprawdę sprawę zakończyć. Pokora i Pojednanie zamykają krąg nie gorzej od śmierci.

– Drugi Jasiek? – szepnęła Wanda i jakoś inaczej popatrzyła na Adama. – Pamiętam cię, jak przez sen... To ty uwolniłeś mnie od kwiatu, prawda?

Adam poczuł, jak policzki pokrywają mu się szkarłatem.

– Ja właściwie... – zaczął się jąkać. – To znaczy, właściwie...

– Dziewica! – skwitował Burzymur. – To jest, chciałem powiedzieć, prawiczek!

Piraci nagrodzili jego słowa rechotem, co dziwnym trafem humoru chłopakowi nie poprawiło.

– Ten rytuał... – odezwała się Wanda, być może by pomóc Adamowi, zmieniając temat. – O ile wiem, przewidywał dalsze kroki. Chrzcziny, adopcje, małżeństwa.

– Dzieciak może nie jest zły, ale ja za niego nie wyjdę – zastrzegła Zmora. – Mojemu Mirkowi też nie pozwolę!

– Możemy go usynowić – uznał Kutrzeba. – Jak rytuał, to rytuał. Kosmiczna konieczność.

Zmora obejrzała się na Adama, wciąż oniemiałego i całego w pąsach.

– Strasznie brzydki nie jest – oceniła. – Może się i nada? Ale taki prostaczek... Niezbyt do nas pasuje. Faktycznie ma w sobie coś z Jaśka.

Szuler szybko połapał się w niebezpieczeństwie.

– O nie! – zawołał. – Znowu prostaczek-dziewica? Drugi Jasiek?

– Uratował mnie, tato – przypomniała mu Wanda. – Właśnie dzięki temu, że jest jak Jasiek, gdy go poznałam. Prosty i czysty.

– Możliwe, że po tym, jak go usynowimy, zostanie twoim zięciem!
– zawołał Kutrzeba, uśmiechając się jak to on: trochę krzywo, trochę okrutnie, nie wiadomo, radośnie czy szyderczo.

Epilog

Takie opowieści powinny kończyć się ślubami, bo gdy uwikłani we wróżdę ludzie zrywają jej łańcuch pokorą i pojednaniem, gorączkę przelanej krwi trzeba ugasić jej powiązaniem. Takie opowieści powinny kończyć się wspomnieniem kogoś, kto był na tych ślubach, pił miód i wino, a pewnie nie tylko.

I owszem, odbyły się dwa śluby, dokładnie takie, jak trzeba.

Z obu najbardziej zadowoleni byli państwo młodzi. Szuler zżymał się do końca. Burzymur niecierpliwił, bo ledwie Kutrzeba powiedział mu, że już koniec przekleństwa, zaczął się nagle rwać ku Ziemi, na którą wcześniej nie chciał wracać.

W Malowanej Moskwie książe Kutuzow robił dobrą minę podczas wesela, na którym wolałby występować w roli pana młodego, a hrabia Rostow krzywił się niemiłosiernie, ilekroć roztańczona para wirowała w jego pobliżu. Behemot, choć oznajmił, że niezabliźnione rany nie pozwalają mu uczestniczyć w zabawie, wdarł się na nią ukradkiem z grupką kumpli, by ukraść cały zapas przeznaczonego na wesele jedzenia. Tak się jednak jakoś złożyło, że zaczęli wspólnie kosztować potraw, by zacząć rabunek od najsmaczniejszych, a gdy je już wybrali, okazali się zbyt zmęczeni, by działać dalej. Kocury postanowiły więc odpocząć, zwinęły się w puszyste kłębki i posnęły.

Nie tak wiele dni później Zmora i jej Mirosław na czarnym okręcie stanęli przed obrazem Malowanej Moskwy, by przyjrzeć się Oldze i jej Mirosławowi. Panowie czuli się tak skrępowani tą

sytuacją, że zostawili swoje towarzyszki same. Może to i dobrze; gdyby stali się świadkami ich rozmowy, skrepowanie z pewnością by wzrosło.

Drugi ślub odbył się później, bo i Wanda potrzebowała czasu, by uporządkować sprawy w piramidzie, i Adam musiał poukładać sobie to, co dla bogini było jasne niemal od początku. No i trzeba było poczekać, aż Szuler wróci z pielgrzymki, na którą uciekł, gdy tylko zorientował się, co się szykuje. O wyprawie, którą przedsięwzięto, by odnaleźć i skłonić niechętnego przyszłego teścia do powrotu, można by napisać osobną powieść, a może i epopeję.

Wszechświat, prawdę mówiąc, nie przejął się zupełnie tym zamieszaniem. W Układzie Słonecznym właściwie go nie zauważono. Wszyscy mieli tam własne kłopoty. Korporacje, jak zawsze, skakały sobie do gardeł, państwa stawały na krawędzi wojen albo i je przekraczały. Dostrzeżono już pierwsze okręty zwiadowcze drugiej floty Marsjan, wkraczające w granice Układu Słonecznego. Zmagania w przestrzeni kosmicznej wchodziły w nową fazę, dla której miesiąc miodowy nowożeńców nie miał wielkiego znaczenia.

„Czarna Sara” powróciła z Ziemi akurat na czas, by jej załoga mogła obserwować z pokładu, jak piramida odrywa się od powierzchni Marsa i grając potężnymi silnikami, dociera na jego orbitę, gdzie już czekała na nią „Wróżda” w towarzystwie dziesiątek okrętów dowodzonych przez bogów, którzy zdecydowali się odpowiedzieć na wezwanie swojej patronki.

Kutrzeba i Zmora, opętani przez siebie nawzajem, obserwowali to, siedząc na krawędzi grobowca skrywającego ziemskie ciało

Mirosława; mauzoleum zajmowało główną salę „Wróždy”.

– Mieliliśmy uzyskać spokój – poskarżył się Kutrzeba. – Nasza opowieść dobiegła końca. Po co nam ta wojna?

– Syn nas poprosił – przypomniała mu.

– Syn – westchnął. – A kiedyś myślałem, że najgorsze, co czeka człowieka z dziećmi, to ząbkowanie.

Silniki okrętów rozbłysły i cała flota przyjęła kurs na Subukład Jowisza. Statki musiały tam posprzątać po jednej wojnie, by przygotować świat na następną. Działo się. Ale to już zdecydowanie inna historia, o innych bohaterach, więc opowiemy ją innym razem.

*W tekście wykorzystałem opis obrzędu pojednania, wzorując się na książce Stanisława Ciszewskiego „Wróżda i pojednanie, studjum etnologiczne”,
Warszawa 1900.*



Paweł Grzegorz Majka

Urodził się w czerwcu 1972 roku w Krakowie i mieszka w nim dotychczas. Dorastał w czasach, kiedy składając papiery na studia należało wypełniać rubrykę: „pochodzenie klasowe”, a słodycze (wyroby czekoladopodobne) i obuwie przydzielano na kartki. Być może książkom było wówczas łatwiej niż dziś, nie musiały wszak konkurować z armią innych rozrywek, możliwe więc, że właśnie dlatego stosunkowo szybko nauczył się czytać na jednym z tomów *Tytusa, Romka i A'Tomka*. Niedługo później przetrząsając biblioteczkę dziadka w poszukiwaniu książek o muszkietkach i rycerzach (bo takie lubił najbardziej) odkrył *Eden Lema*. Srebrna (albo biała) smukła rakietka z okładki tej powieści trafiła go prosto w serce. Choć nadal lubił opowieści o podróżnikach i awanturnikach rozmaitych czasów, jego wyobraźnię zawładnęła fantastyka. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że pierwsze opowiadanie, jakie opublikował dzięki zajęciu trzeciego miejsca w konkursie literackim „Świata Młodych” (gazeta młodzieżowa, bardzo popularna m.in. ze względu na fakt zamieszczania na ostatniej stronie komiksów) było opowiadaniem fantastycznym.

Później publikował w pismach i portalach internetowych: „Science Fiction, Fantasy i Horror”, „Fantasy & Science Fiction” (edycja polska), „Nowa Fantastyka Wydanie Specjalne”, „Nowa Fantastyka”, „Czas Fantastyki”, „Fahrenheit”, *Esensja*, *Creatio Fantastica*. Jego opowiadania znaleźć można w antologiach: *Nowe Idzie*, *Science Fiction*, *Kanon Barbarzyńców*, *Tempus Fugit*, *Rok po końcu świata*.

Jego debiutancka powieść, *Pokój światów*, została nominowana do Nagrody im. Janusza A. Zajdla, a także zdobyła główną Nagrodę im. Jerzego Żuławskiego. Rok później ponownie zdobył Nagrodę im. Jerzego Żuławskiego za powieść *Niebiańskie pastwiska*.

Zdjęcie autorstwa Wojciecha Kuchty

Pokój światów

Paweł Majka



I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odtąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i na pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmara dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

ZDOBYWCA LITERACKIEJ NAGRODY

IM. JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

NOMINACJA DO NAGRODY

IM. JANUSZA A. ZAJDLA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/pokoj-swiatow-pawel-majka/>

Idź i czekaj mrozów

Marta Krajewska



W świecie, gdzie puszcza włada leszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmyry i strzygonie, młodziotka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

„Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem oplatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka.”

Paweł Majka, autor *Pokoju światów*, zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

„Autorka wymieszała z wprawą dobrze wyszkolonej zielarki elementy demonologii i mitologii słowiańskiej, komponując własną, smakowitą mieszankę.”

Witold Jabłoński, autor cyklu *Gwiazda Wenus, Gwiazda Lucyfer*

PIERWSZY TOM OPOWIEŚCI Z WILCZEJ DOLINY

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/idz-i-czekaj-mrozow-marta-krajewska/>

Zatopić Niezatapialną

Anna Hrycyszyn



Jollienesse Roźnowski, zwana przez przyjaciół Nes, dowodzi parowcem „Niezatapialna”. Pani kapitan i jej załoga są legendą w Palude. Córka skazanego opozycjonisty, od lat siejąca postrach w Krainie Tysiąca Jezior i Rzek, podbiła serca prostego ludu.

Władza jednak nie może dłużej tolerować jej istnienia. Świat ulega społeczno-ekonomicznym przemianom, a ambitny minister postanawia przykładowo ukarać buntowników. Nieubłagane nadciąga koniec ery rzeczno-pirackiego.

W pogoń za „Niezatapialną” rusza kapitan Feliks Ucelli i dowodzona przez niego elitarna jednostka Straży. Pętla się zaciska, a sytuacja wydaje się bez wyjścia. Ale niełatwo zatopić „Niezatapialną”. A już na pewno nie uda się zatopić jej na wieki.

„Błyskotliwie napisana historia, z budzącymi sympatię bohaterami. Autorka sprawnie operuje motywami, których możemy spodziewać się w przygodowej powieści o piratach, dokładając jednak własne, unikalne spojrzenie, które razem czynią z „Zatopić Niezatapialną” powieść wyjątkową.”

Michał Cholewa, autor cyklu *Algorytm Wojny*, laureat Nagrody im. Janusza A. Zajdla
„Czy historia „Niezatapialnej” jest szalona? Tak. Czy są w niej piękne kobiety? Tak. Pojedyńki, hulanki w portowych karczmach i walki na śmierć i życie? Tak, przecież to opowieść o piratach! Jest też magia, miłość i steampunkowy klimat z parowcem w roli głównej! Aha, wspominałam o tym, że nas ścigają? Wskakujcie, opowiem wam później, przy szklaneczce rumu!”

Marta Krajewska, autorka *Idź i czekaj mrozów*

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/zatopic-niezatapialna-anna-hrycyszyn/>

Betelowa rebelia: Spisek

Daniel Nogał



W Betelii, leżącej na krańcu świata tropikalnej kolonii, ścierają się interesy dwóch mocarstw: Regalium i Septium. W ich cieniu rozgrywa się prawdziwa walka pomiędzy zupełnie nowymi graczami: wszechwładnym Bankiem Rotów i tajemniczą Lożą Mechanistów. Napiętą sytuację komplikuje antykrólewska rebelia, wzniecona przez szlachetnych idealistów, dążących do wyzwolenia kolonii spod imperialnej władzy Regalium.

W „betelową rebelię” zaangażuje się, ku własnemu zdziwieniu, nałogowy hazardzista Angus, odważna dziennikarka Marta Brus i wielu innych. Będzie wśród nich szalony profesor Fergus, badający zwyczaje nagów, gadzich mieszkańców Betelii. Tłem dla losów rewolucji okażą się podróże przez malowniczą dżunglę, zapomniane świątynie, niezwykle wynalazki, pirackie zamki na rajskiej Tygryskiej Wyspie...

Betelia stanie w ogniu! Jaki będzie los rebeliantów?

„Porządne, awanturnicze fantasy. Jest tu bunt i spisek, są walki i pościgi oraz twardzi bohaterowie. Nogał stworzył wciągający świat, a to dopiero początek serii!”

Marcin Jamiołkowski, autor *Okup krwi*, *Order*, *Bezsenni* i *Keller*

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/betelowa-rebelia-spisek-daniel-nogal/>

Pieśń węży

Maria Dunkel



Upadający monarchowie sprowadzają na swoich popleczników same nieszczęścia. Ren Maghar, jeden z dostojników Kahru, niegdyś najpotężniejszy człowiek po królu, teraz musi wysługiwać się nowemu władcy, aby utrzymać swoją rodzinę przy życiu.

Wplątany w polityczne intrygi staje przed dylematem – czy powinien pozostać pionkiem, czy jednak ponownie stać się graczem. Jeśli wybierze pierwsze, zapewne przetrwa, choć jego los nie będzie różnić się od losu niewolnika. Jeśli wybierze to drugie, będzie musiał opanować ciągle zmieniające się zasady gry o władzę i poznać nowych, potężnych graczy.

Tam, gdzie nagrodą jest korona, utrzymanie głowy na karku graniczy z cudem.

„Zemsta, intrygi, zwaśnione frakcje... Maria Dunkel czerpie z najlepszych wzorców gatunku. Osią wydarzeń jest walka o władzę: walka brudna, bezwzględna i krwawa. To nie świat romantycznych bohaterów i przeznaczenia zapisanego w gwiazdach, lecz historie ludzi zdradzonych, wykorzystanych, gotowych na wszystko. W grze, w której stawką jest korona, nie ma sentymentów i trwałych sojuszy, a polityczne ambicje ostudzić może jedynie rzeka krwi”

Jacek Wróbel, autor bestsellerowych *Cudów i Dziwów Mistrza Haxerlina*

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/piesn-wezy-maria-dunkel/>

Redlum

Katarzyna Rupiewicz



Najbardziej epickie przygody zawsze rozpoczynają się w karczmie. Dlaczego jednak nie pozostać w niej do samego końca? Zaintrygowani?!

Witajcie w Redlum, mieście potworów, gdzie rzeczywistość przeplata się z magią, a reguły wolnego rynku z brutalnymi prawami natury. Wjeżdżacie na własną odpowiedzialność! W naszym pięknym mieście możecie wiele zyskać, ale również w okamgnieniu wszystko stracić.

Karczma Słodkiego jest jedynym miejscem, gdzie cichną spory i waśnie, a wszyscy – zarówno mieszkańcy, jak i przyjezdni – mogą zaznać chwili spokoju. Nie dajcie się jednak zwieść pozorom. Słodki nie jest człowiekiem, a jego klienci również nie wydają się szczególnie normalni. Szczerze mówiąc, to przeważnie potwory. Ale najgorsze bestie czają się gdzieś tam... na zewnątrz.

Czy Redlum przetrwa? Wydaje się, że nawet tego nie chce!

Czytałam tę książkę dwa razy i za drugim podobala mi się jeszcze bardziej niż za pierwszym. Jest w „Redlum” humor, który w idealnych proporcjach łączy się ze scenami chwytającymi za serce, jest sympatyczny główny bohater, są tajemnice oraz oryginalny pomysł na miejsce akcji. I wreszcie jest efektowne zakończenie, które zgrabnie spina w całość rozrzucone wcześniej tropy. Polecam.

Anna Kańtoch, pięciokrotna zdobywczyni Nagrody im. Janusza A. Zajdla i zdobywczyni Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/redlum-katarzyna-rupiewicz/>

Spalić wiedźmę

Magdalena Kubasiewicz



Sara Weronika Sokolska, zwana Saniką, w niczym nie przypomina nadwornej czarodziejki. Młoda, żywiołowa i dzika jak magia, którą włada, stanowi jedną z największych tajemnic królewskiego dworu. Nie wiadomo, gdzie uczyła się magii i kto był jej mistrzem, ani nawet skąd przybyła do Krakowa. Plotki mówią, że jest najbliższą przyjaciółką i powiernicą króla Julina, a może nawet kimś więcej. Media donoszą o jej spektakularnych wyczynach: polowaniach na biesy, inkuby i strzygi, o pojedynkach z członkami Łoży Czarodziejów.

Wydaje się, że Sanika jest najpotężniejszą czarownicą w Polanii i tylko szaleniec mógłby rzucić jej wyzwanie. A jednak nawet moce wiedźmy mogą okazać się niewystarczające w starciu z przeciwnikiem, który pragnie zniszczenia Krakowa. Wrogiem, za którym stoi pradawna i niezwykle potężna magia...

„W alternatywnej, przesyconej magią rzeczywistości monarchią Polanii rządzi król Julian, a drugą co do ważności osobą po władcy jest Pierwsza Czarownica, harda i nieugięta Sara Weronika Sokolska. Gdy nad Krakowem zawisa widmo czarnoksiężskiej apokalipsy, to ona staje przed wyborem: chronić miasto czy... siebie.

Magdalenie Kubasiewicz udało się zgrabnie wpisać motywy z krakowskich legend w nowoczesność, a baśniową symbolikę połączyć z wartką akcją. Smok wawelski, czarnoksiężnik Twardowski, diabeł z Krzysztoforów zyskują nowe oblicze, ale to pyskata Sara skradła moje serce.”

Agnieszka Hałas, autorka cyklu *Teatr węży*

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/spalic-wiedzme-magdalena-kubasiewicz/>

Okup krwi

Marcin Jamiołkowski



Herbert wie, że spokojne życie w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie nikt nie zna jego mrocznej przeszłości. Nawet przed ukochaną kobietą skrzętnie skrywa kim jest naprawdę. Bycie skromnym krawcem z Podkowy Leśnej jest spełnieniem jego marzeń.

Przeszłość jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Melania zostaje uprowadzona i jej życie zależy tylko od tego czy Herbert zdąży na czas dostarczyć tajemniczą przesyłkę do Warszawy

– miasta, od dawna pozbawionego magii, w którym moce Herberta nie działają.

Pokonanie 30 kilometrów w kilka godzin nie wydaje się być wielkim wyzwaniem. Staje się nim jednak, kiedy jego tropem ruszają: magowie, wysłannicy tajemniczego „Bractwa Miast”, wyznawcy Bazyliuszka, najemnicy i policja. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku i tylko poznani przypadkowo sojusznicy oraz niespodziewanie budząca się do życia magia stolicy dają szansę na ocalenie ukochanej. Czasu jest coraz mniej.

Warszawa nie miała do tej pory swojego maga.

Teraz już ma! Nazywa się Herbert Kruk!

PIERWSZY TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA <http://geniuscreations.pl/ksiazki/okup-krwi-marcin-jamiolkowski/>



 KUPUJ W
madbooks.pl